

Adam Lard

INSTITOR

Kto pierwszy podpalił stos...



Adam Lard

INSTITOR

Kto pierwszy podpalił stos...

**fabuła
faza**
WYDAWNICTWO

WARSZAWA

Warszawa 2017
Copyright © by Fabuła Fraza
Copyright © by Adam Lard

Korekta: Alicja Kobel

Projekt graficzny i skład: Dymitr Miłowanow

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN: 978-83-65411-19-8

Fabuła Fraza Sp. z o.o.
02-495 Warszawa
ul. Apartamentowa 6/B3
www.fabulafraza.pl
biuro@fabulafraza.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Motto.....	5
Rozdział I.....	6
Rozdział II.....	22
Rozdział III.....	69
Rozdział IV.....	100
Rozdział V.....	120
Rozdział VI.....	174
Rozdział VII.....	219
Rozdział VIII.....	240
Rozdział IX.....	260
Rozdział X.....	284
Rozdział XI.....	332
Rozdział XII.....	405
Rozdział XIII.....	415
Epilog.....	426
Post Scriptum.....	431

*Dobrze byłoby, moje córki, trochę się czymś orzeźwić.
Św. Dominik Guzman*

*Chrystus Pan też był niewinny i go ukrzyżowali.
Nigdy nikomu nie zależało na jakimś tam niewinnym człowieku.
Józef Szwejk*



Rozdział

I



*To prawda, szatan może opętać człowieka.
Jest jednak wiele sposobów, aby go z tej opresji wyzwolić.
„Malleus maleficarum”*

Zimą 1517 roku w kilku niemieckich i kilku francuskich miastach miały miejsce niezwykle i bardzo do siebie podobne wypadki. Widziano bowiem kobiety unoszące się nad ziemią. Tak było w Arras, w Chartres, Dijon, Clermont, Strasburgu, Trewirze i w Ravensburgu. Kobiety przemieszczały się zawsze w stronę najbliższego wzgórza, mając za środek transportu kij, którego dosiadały jak rączego rumaka. Lecąc, wykrzykiwały słowa, które za każdym razem brzmiały jak wzywanie Złego. Świadkom tych lotów udawało się zwykle rozpoznać, kim były kobiety i jak się nazywały. Wszystkie, po krótkim lub dłuższym śledztwie, przyznały się do znajomości z szatanem, a niektóre nawet do tego, że miały z nim intymny związek. Procesy, jakie toczyły się równolegle w każdym mieście, udowodniły ponad wszelką wątpliwość winę niemal stu kobietom. Te, które same się przyznawały, wydawały kolejne, a te jeszcze inne. Wszystkie spłonęły na stosie.

Pierwsze z tych dziwnych zdarzeń, być może przypadkiem uruchamiające serię podobnych, a nawet identycznych, miało jednak miejsce nad ranem, 12 grudnia w Lyonie, mieście położonym w widłach dwóch wielkich rzek – Saony i Rodanu.

Wieczorem poprzedniego dnia z górą setka handlarzy, kramarzy i hodowców ustawiła swoje zagrody na targowisku. W powietrzu unosił się smród surowych ryb, świeżego mięsa, przypraw, zmieszany z odorem zwierząt gospodarskich, odchodów koni, kóz, świń, krów. Niektórzy kupcy specjalnie nie kładli się spać, żeby skoro świt obejrzeć lub z miejsca kupić inwentarz. Kilku z nich, po nocnym czuwaniu w oberży, zmierzając tuż przed

wschodem słońca na targ mięsny, dostrzegło trzy postacie płci żeńskiej lecące nisko nad ziemią w kierunku wzgórza Fourvière. Lecąc, wydawały z siebie chrapliwe okrzyki, a każda z nich powtarzała najczęściej dwa zdania: „*va per le dyable, va*”, a także „*sathan n’oublie pas ta mamye*”. Świadkowie opowiadali, że wszystkie trzy niewiasty trzymały oburącz kij, którego węższy koniec sterczał im z przodu, a grubszy ścisnęły między kolanami. Wydawało się, że ów kij, choć równie dobrze mogła to być zwykła miotła, unosił je coraz wyżej i wyżej, aż znikły na szczycie wzgórza.

Kupcy, przechodząc w drodze na targowisko obok klasztoru Braci Kaznodziejów, poinformowali ojca Rogera, przeora zgromadzenia, o tym, co przed chwilą widzieli. Jako że ojciec Roger, zbudzony przez kupców, nie mógł zebrać myśli, poprosił, aby przyszli w południe, zaraz po skończonym handlu. Sam natomiast, nie czekając na ich przybycie, wezwał do siebie trzech braci, doświadczonych w ocenie podobnych przypadków, i nakazał im zbadać, które z lyońskich mieszczek nie spały tej nocy w swoich własnych domach. Jeszcze przed południem bracia przyprowadzili Annę Sugot, żonę piekarza, który od lat wypiekał chleb dla klasztoru, Margot Saligner, żonę szynkarza, i Julię Abrusiane, córkę hodowcy bydła, który kilka miesięcy wcześniej wyjechał z Tuluzy, by zamieszkać w Lyonie. Kobiety tłumaczyły, że z konieczności musiały spędzić ostatnią noc, a nawet jak Julia kilka ostatnich nocy, z dala od domu. Margot i Anna pomagały chorym matkom, a ponieważ obie matki mieszkają poza murami miasta, zostały u nich na noc, bojąc się wracać po zmroku do mężów. Od razu dodały zresztą, że zarówno pan Sugot, jak i pan Saligner byli poinformowani o wyjściu swoich żon i liczyli się z tym, że mogą wrócić dopiero następnego dnia.

Braciom z miejsca wydał się podejrzany wspólny powrót obu kobiet. Nie przyjmowali argumentu, że Margot i Anna znają się od lat, a w dodatku ich domy sąsiadują ze sobą. Oba te fakty, według zakonników, zamiast oczyścić z zarzutów, potwierdzały ich wspólny udział w sabacie. Panowie Sugot i Saligner z początku nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji. Na pytania braci odpowiadali z uśmiechem, tak jak się reaguje na każdą, nieprawdopodobną opowieść. Zaczęli się bać dopiero wtedy, gdy ich żonom

związano ręce i wyprowadzono z domów. Jeszcze na ulicy, idąc za braćmi i poszturchiwanymi przez nich kobietami, próbowali błagać o uwolnienie. Z każdym krokiem ich nadzieja jednak gasła. Dominikanie mieli prawo aresztować każdego i z tego prawa właśnie korzystali. Nie przejmując się ani lamentami kobiet, ani argumentami ich mężów.

Z Julią Abrusiane było inaczej. Wyjechała kilka dni temu do Tuluzy, na polecenie ojca. Miała przywieźć dokumenty handlowe, których pan Abrusiane nie zabrał w czasie przeprowadzki ze starego do nowego domu w Lyonie. Julia od dawna pomagała ojcu w interesach. Matki właściwie nie pamiętała, jedynie drobiazgi, które tylko dziecko zapamiętuje: zapach, czerni lub brąz jej oczu, dotyk. Umarła przy porodzie, gdy Julia miała niecałe trzy lata. Razem z matką zmarło dziecko, chłopiec. Tylko dlatego nie nadano mu nawet imienia, że ksiądz nie zdążył go ochrzcić. Pan Abrusiane nigdy już się nie ożenił. Jak sam często powtarzał, na zawsze stracił zainteresowanie kobietami. W swojej sypialni, tej w Tuluzie i tej w nowym już domu, miał coś w rodzaju ołtarzyka. W centralnym miejscu obraz – portret na desce klonowej przedstawiający żonę, a niżej, w wazonie, zawsze świeże kwiaty i pamiątki: kosmyk włosów, pierścionek, który jej dał, gdy oboje mieli niecałe dwadzieścia lat, i ulubiony szal, którym zawsze okrywała się w chłodniejsze dni.

Z kolei Julia, chociaż niedawno przekroczyła trzydziesty rok życia, wykazywała daleko idący brak zainteresowania mężczyznami, nieustannie zabiegającymi o jej względy. Uroda Julii, choć lepiej będzie mówić o jej słynnym w całej środkowej Francji, jak to nazywano, „cudzie powierzchowności”, sprawiała, że w kolejce do ręki ustawiali się kandydaci z Tuluzy, Dijon, Lyonu, Bordeaux, nawet z miast południowego wybrzeża. „Tak już zostanie, ojczy” – mówiła panu Abrusiane, z biegiem lat coraz bardziej zaniepokojonemu tym, że jego śliczna córka wybiera samotność. „Nie jestem samotna, mam przecież ciebie” – tłumaczyła za każdym razem, gdy pan Abrusiane, jak zawsze delikatnie, rozpoczynał temat zamążpójścia.

Julia wróciła więc tego dnia dwie godziny po wschodzie słońca, zmęczona i śpiąca. Całą noc spędziła w siodle, raz jedyny przystając dla rozprostowania kości. W domu zastała młodego dominikanina, który rozmawiał z jej

zapłakanym ojcem.

Kobiety przesłuchiwał osobiście ojciec Roger. Mimo próśb, nie uznał za stosowne sprawdzić wiarygodności zeznań. Zresztą nawet gdyby matki Anny i Margot, a także jacyś ludzie w Tuluzie potwierdzili zeznania, i tak wszyscy mogli być w zмовie z kobietami.

W południe nadeszli czterej kupcy. Stawili się, jak kazał ojciec Roger, w zakrystii kościoła. Na pytanie, czy w osobach pani Sugot, pani Saligner i panny Abrusiane rozpoznają trzy lecące nad ranem kobiety, kupcy nie byli zgodni. Dwaj z przekonaniem potwierdzili, że rozpoznają twarze. Dwaj przyznali, że w tamtej chwili nie zwrócili uwagi na oblicza unoszących się kobiet. Ojciec Roger rozkazał więc każdej z nich głośno krzyknąć: „*va per le dyable, va*”. Z początku nie chciały, ale gdy młodzi bracia pomagający przeorowi na jego życzenie odbyli z każdą z kobiet krótką rozmowę na osobności i gdy w czasie rozmowy zagrozili karą ognia, kobiety, płacząc, zgodziły się na zaproponowany eksperyment. To znaczy zgodziły się tylko dwie, Julia Abrusiane odmówiła współpracy. Uśmiechała się przy tym pogardliwie, czym wprawiała przeora w zakłopotanie, ale też, jak się wydaje, swoim prowokującym zachowaniem potwierdzała konszachty z diabłem. Na dodatek jej niepowtarzalna uroda, choć przeor rzadko przyglądał się kobietom, sprawiała, że bardziej zrozumiałe stawało się szatańskie zainteresowanie. Zło bowiem najczęściej zwraca uwagę na piękno lub brzydotę, powierzchownością przeciętną zbytnio się nie interesując.

Może nie był to krzyk, a jedynie donośny głos, jednak ten głos wystarczył. Teraz wszyscy kupcy byli już zgodni. Kobiety, dwie starsze spośród nich, zaczęły jeszcze głośniej łkać. Przeor pozwolił się im wypłakać, a potem zadał pytanie:

– Czy potwierdzacie, że ostatniej nocy leciałyście na czymś, co przypominało kij, w stronę wzgórza Fourvière, wznosząc te same okrzyki, które wypowiedziałyście przed chwilą w naszej obecności?

Żadna się nie przyznała. Nawet gdyby chciały coś powiedzieć, nie były

w stanie. Pani Saligner i pani Sugot wydawały się omdlałe i przerażone. Wszystkie odprowadzono do celi w podziemiach klasztoru. Ostatnia szła Julia Abrusiane. Z wysoko uniesioną głową, z tym samym, ciągle pogardliwym uśmiechem. Na popołudniową godzinę ojciec Roger zapowiedział początek procesu.

Przed furtą klasztorną czekał pan Abrusiane, czekał pan Saligner i pan Sugot, ale nie zostali przyjęci. Rozeszli się do domów, mając nadzieję, że sprawa rozwiąże się na korzyść kobiet jeszcze przed końcem dnia. Idąc, rozmawiali.

– Moja żona jest niewinna – mówił pan Sugot.

– Moja także – powtarzał pan Saligner.

– Moja córka nie ma z tym nic wspólnego – przekonywał pan Abrusiane.

Ale żaden z nich nie był do końca pewien racji towarzyszy. Szczerze mówiąc, pan Sugot i pan Saligner nie byli nawet pewni swoich własnych racji. W końcu przestali rozmawiać. Szli w milczeniu, patrząc na siebie podejrzliwie. Za mostem na Saonie podali sobie dłonie na pożegnanie i każdy, bez słowa, ruszył w swoją stronę. Być może zdawali sobie sprawę, że nadmiernie pobudliwa, nerwowa reakcja na to, co się wydarzyło, w tej chwili nie byłaby dla nich korzystna. Należało wszystko jeszcze raz przeanalizować. „Tylko spokojnie, tylko spokojnie. Z pewnością są jeszcze wolne cele w klasztornych piwnicach. Lepiej być tu niż tam. A Bóg przecież nie zostawi mojej córki ani tych biednych kobiet” – myślał pan Abrusiane. Mniej więcej tak samo myśleli i pan Saligner, i pan Sugot.

Proces rozpoczął się, jak zwykle w tego typu przypadkach, od ponownego pytania o winę. Ponieważ żadna z kobiet się nie przyznała, usłyszano tylko niemiły dla uszu bełkot pani Sugot i pani Saligner, z którego nic nie wynikało, tak jakby kobiety ciągle były zamroczone, przeor zarządził próbę wody. Procesja trzydziestu braci, a między nimi Anna, Margot i Julia, ruszyła z klasztornego dziedzińca, kierując się w stronę rzeki. Po drodze przyłączał się coraz większy tłum mieszczan, tak że gdy czoło pochodu wchodziło na nisko zawieszony nad Saoną most, tył ciągle jeszcze pozostawał w ciasnych uliczkach miasta. Ale tłum parł do przodu. Ludzie używali łokci, by znaleźć

się jak najbliżej głównej sceny widowiska. Matki z dziećmi, mężowie z żonami, nawet ci, co niedawno zakupili na targu trzodę, przeciskali się, ciągnąc na postronkach owce, krowy, a co niektórzy popędzali kopniakami nabyte przed chwilą tłuste, różowe świny, które biegnąc, kwiczały, jakby je zarzynano. Pan Sugot, pan Saligner i pan Abrusiane stali nieco z boku, w odległości stu kroków od mostu, nad samym brzegiem rzeki, chcąc, jeśli zajdzie taka potrzeba, rzucić się w odpowiednim momencie na ratunek. Lub też się nie rzucić, żaden z nich jeszcze nie zdecydował, co robi. W każdym razie stali w bezpiecznej dla siebie odległości, pośród przerzedzonej w tym miejscu publiki, i w nasuniętych głęboko na czoło słomkowych kapeluszach obserwowali, co też się będzie działo.

Dominikanie przed samym mostem utworzyli żywy mur, zagradzając postronnym drogę. Dalej szli już tylko przeor, trzech pomocników i prowadzone przez nich za ręce kobiety. Szły, jakby nie zdając sobie sprawy, co się wokół nich dzieje. Nie czekano, aż tłum przebije szpaler zakonników i wedrze się na most. Zrzucano je od razu. Jedną po drugiej. Jeśli wypłyną, będzie to dowód na ich winę. Jeśli utoną, okażą się niewinne, zostaną oczyszczone. Oczywiście może być i tak, że wszystkie pójdą na dno, a następnie, wyciągnięte i uznane za nieżywe, ożyją lub jakimś cudem zostaną odratowane. To jednak byłoby najgorsze rozwiązanie, bo niedające pewności winy ani tym bardziej nieświadczące o niewinności.

Pani Sugot nie zmoczyła nawet głowy. Jej szeroka suknia utrzymała ją na powierzchni jak wielki, atłasowy balon. Próbowwała się zanurzyć, ukryć pod wodą, może przeczekać, liczyć na cud, ale nie dała rady. Wyglądała jak łódka z opuszczonym żaglem, którą prąd rzeki znosi do brzegu.

Pani Saligner na chwilę prawie cała skryła się pod wodą, a potem wystrzeliła na powierzchnię. Być może zupełnie przypadkiem trafiła na wir wznoszący, a może po prostu jej solidna waga (pani Saligner była bowiem kobietą bardzo otyłą) zadziałała jak katapulta i woda ją wyniosła niezależnie od tego, czy pani Saligner chciała, czy też nie chciała wypłynąć. W każdym razie i jedna, i druga unosiły się niezgrabnie, a prąd spychał je ku brzegowi, mniej więcej tam, gdzie stali ich mężowie.

Panna Abrusiane, wysoka, szczupła, o brązowych oczach i czarnych

rozpuszczonych włosach, zachowała się bardzo nieodpowiedzialnie. W chwili, w której dominikanin popychał ją do skoku, szybkim ruchem zerwała suknię i ku zdziwieniu publiczności właściwie skoczyła sama. Kiedy zdawało się już, że jako jedyna dowiodła swojej niewinności (nie wypływała długo), nagle jej głowa ukazała się bardzo blisko przeciwległego brzegu, na którym oprócz kilku gapiów nie było nikogo. Pan Abrusiane zakrył oczy ręką. „Córeczko, na miłość boską, płyń, nauczyłem cię pływać, jeszcze trochę, już blisko” – powiedział do siebie cicho.

Julia Abrusiane płynęła szybko. Jej głowa raz była na powierzchni, raz pod wodą. Nie więcej niż dwadzieścia kroków od brzegu, do którego już prawie dopływała, zaczynała się ściana lasu, zbocze wzgórza Fourvière. Jeśli zdąży dobiec, w lesie trudno ją będzie znaleźć. Przecież biega tak samo dobrze, jak pływa. Ojciec Roger dyskretnie skinął głową do swoich pomocników. Ruszyli we trzech, ale Julia była szybsza. Już wychodziła z wody, już biegła. Prawdopodobnie udałoby się jej dobiec do lasu, potem uciec pogoni, ale jeden z gapiów podstawił jej nogę. Upadła. Zanim się podniosła, trzech zakonnic przytrzymał ją już za ręce i nogi. Jeszcze się wyrывała, dysząc, wyrzucała z siebie jakieś niezrozumiałe słowa, które tłum brał za ostateczny dowód diabelskiego opętania. Najwyższy i najsilniejszy z braci wziął ją za ręce, zarzucił sobie na ramię, przyniósł na most i rzucił pod nogi przeora. Wyglądała jak owca, z której uczyniono ofiarę. Nie protestowała, leżała bezwładnie u nóg ojca Rogera. Obok niego stały już, doprowadzone przed chwilą, trzęsące się z zimna pani Sugot i pani Saligner.

– A więc winne – powiedział uroczyście przeor, nakazując odwrót. Tłum zaczął się rozchodzić. Do domu ruszył też pan Sugot, ruszyli panowie Saligner i Abrusiane. Po drodze każdy z osobna ustalał plan działania. Wiedzieli jednak, że nawet najlepszy plan ratowania kobiet może się już okazać nieskuteczny. Obiecali sobie, że się spotkają nazajutrz i wspólnie podejmą decyzję, co dalej robić.

Późnym wieczorem, po niesporach i po komplecie, proces wznowiono, tyle że już bez udziału publiczności. Z opactwa Montluel, położonego nieopodal Lyonu, zawezwano ojca Heinricha Kramera, zwanego Instiorem, dominikanina, który w klasztorze Benedyktynów przebywał od kilku dni.

W bibliotece opactwa, posiadającej największy zbiór ksiąg ze wszystkich klasztornych bibliotek w środkowej Francji, ojciec Kramer kończył właśnie pisać swoje własne dzieło. Pamiętnik wielu lat spędzonych na walce z czarownictwem. Kilka dni temu obchodził osiemdziesiąte siódme urodziny. Prawie całe życie zakonne poświęcił na studiowanie procesów o czary i herezje. Chociaż urodził się w Alzacji, niedaleko Strasburga, wiele podróżował. Znał dobrze Rzym, Paryż, Lyon, Wenecję. Wyprawiał się nieraz na północ i wschód, do Pragi, Krakowa i Ołomuńca, w którym spędzał ostatnie lata. Wzywany do szczególnie trudnych procesów, nigdy nie odmawiał. Na niemal trzysta rozpraw, którym przewodniczył jako przedstawiciel władzy papieskiej, nie więcej niż dziesięć skończyło się uniewinnieniem.

Gdy po kolacji zostali sami w klasztornym refektarzu, ojciec Roger przypatrywał się szczupłej, sprężystej sylwetce Kramera. Jego posiwiałym, ale jeszcze nie siwym włosom, ostrym konturom twarzy z wydatnym, zaostrzonym nosem. Gdyby nie wiedział, ile lat ma ojciec Heinrich, mógłby pomyśleć, że są w podobnym wieku. Pięćdziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt pięć lat. Nie wyglądał na więcej. „W jego latach ludzie mają problem z logicznym dobieraniem słów, nawet z wysławianiem, nie mówiąc o chodzeniu, które staje się czynnością ponad siły. Niektórzy starcy na powrót stają się dziećmi. Nawet wymagają podobnej opieki. Ale nie Kramer” – pomyślał. Ojciec Heinrich nie tylko sprawnie rozumował i patrzył na świat, nie używając szkieł powiększających, ale też jego głos wydawał się głosem całkiem jeszcze młodego człowieka.

– Ojcie – przeor zwrócił się do Kramera – dam trzech silnych braciszków i celę do przesłuchań. Z resztą ojciec sobie sam poradzi, a gdyby...

– Widzisz, mój drogi – przerwał mu Kramer. – Nie przyjechałem tu, by sądzić. Od lat nie praktykuję. Inne zadania wyznaczył mi nasz Pan.

– Jak mam to rozumieć, ojcie?

– A tak, jak mówię. Wezwaliście mnie, więc jestem, lecz nie po to, by wydawać na męki.

– Dalej nie rozumiem.

– Wkrótce zrozumiesz wszystko.

– Jak ojciec sobie życzy... O jedno proszę. Gdyby ojciec mógł choćby spojrzeć na adeptki...Ojca doświadczenie...Będzie nam łatwiej...

– To mogę zrobić. Nic więcej – zgodził się, choć niechętnie, Kramer.

Kiedy ojciec Heinrich razem z przeorem weszli do celi, w której kobiety przebywały od powrotu znad rzeki, zobaczyli najpierw panią Sugot i panią Saligner. Leżały przy drzwiach, złęczone w nienaturalnym uścisku. Na pierwszy rzut oka bez ducha. Nie poruszyły się nawet, gdy przeor trącił obie podeszwą buta. Patrząc na Kramera, bezradnie rozłożył ręce.

Julia Abrusiane stała nieruchomo w kącie. Widząc ją, Kramer się zachwiał. Upadłby, gdyby ojciec Roger go nie podtrzymał.

– Wybacz, ojcie – powiedział przeor, widząc, że Kramer chce jak najszybciej opuścić celę. – Nie wiedziałem, że ojciec tak...Wychodzimy...Wybacz...

– Będę sądził – wysapał Kramer, kiedy na powrót znaleźli się w refektarzu.

– Nie wszystko rozumiem – powtórzył przeor – ale niech Bóg ma ojca w opiece. Jak długo to może potrwać?

– Zwykle kończy się po kilku godzinach, w trudniejszych przypadkach po kilku, a nawet kilkunastu dniach. W tym objawia się cała, zdradziecka natura diabelska. Jest pierwszy, by ludzką duszę skazać na potępienie. Ostatni, by jej pomóc, gdy walczy o przetrwanie w doczesnym życiu. Nie wydaje mi się, żebyśmy tu mieli do czynienia ze szczególnie trudnym przypadkiem. Choć bardzo ciekawym, jak sądzę. Skończę do rana.

– Podziwiam ojca za tę pewność siebie, ale jeszcze bardziej za przenikliwość.

– Praktyka, drogi ojcie. Doświadczenie. Nie wiedziałem, że przyjdzie mi jeszcze sądzić. Na naszym, doczesnym świecie, mnie, starca, niewiele już może zadziwić. Szatan, jak widzę, staje się coraz bardziej aktywny. I coraz bardziej skomplikowanych metod używa, byśmy nie mogli go rozpoznać i odkryć jego planu. Będzie miał jednak do czynienia ze mną, czego zapewne nie przewidział. Ręka Boga mnie tu prowadziła, bracie. Mówię ci, ręka Boga – ostatnie zdanie Kramer wypowiedział z namaszczaniem, unosząc ku górze prawą rękę, jakby zamierzał błogosławić przeora.

– To prawda. My wszyscy jesteśmy twoimi uczniami. Żałuję, że ojciec tak rzadko nas wizytuje – ojciec Roger pochylił głowę.

– W moim wieku każda podróż może być ostatnia – powiedział Kramer, jakby dyskutując z myślami przeora. – A więc do pracy. Jeszcze wiele niespodzianek czeka nas dzisiejszej nocy. Rano zdam ojcu raport. Potem zostanie nam tylko wymierzenie kary. Ale to ojciec już zrobi sam. Ja, gdy odpocznę, muszę wracać do Montluel. Moje książki czekają, ich też nie mogę zawieść.

– Rozumiem, bardzo dobrze rozumiem. I pochwalam. Czy ma ojciec jakieś życzenia? Czy czegoś ojcu trzeba?

– Jedynie chwili samotności dla zebrania myśli. I chwili modlitwy.

– Zaprowadzę ojca do kaplicy...

– Nie, nie, chciałbym, jeśli ojciec pozwoli, zostać sam.

– Tu? W refektarzu?

– Tak, ojcze. Bóg jest wszędzie. Mogę z nim rozmawiać i tu.

– Jak ojciec sobie życzy – chciał już odejść, ale Kramer chwycił go mocno za rękę.

– Gdyby ojciec zechciał...

– Tak?

– Mam tu coś, co już nie należy do mnie. Proszę to przyjąć – ojciec Kramer rzucił na stół stos zapisanych kart związanych grubym sznurem.

– Co to jest? – spytał zdziwiony przeor.

– Część mojego życia. Spisanego moją własną ręką. Ono już nie należy do mnie – powtórzył. – Jechałem tu z nadzieją, że ojciec je przyjmie i przechowa dla tych, którzy przyjdą po nas. Nie wiem, ile jeszcze nasz Pan wyznaczył dla mnie dni, miesiący, a może tylko godzin, bo o latach nie śmiem myśleć. Będzie lepiej, jeśli ojciec zajmie się tym, niż gdyby mój pamiętnik życia miał wpaść w niepowołane ręce. Da Bóg, dokończę go jeszcze. A jeśli nie... – Kramer zawiesił głos.

– Będę zaszczycony ufnością ojca – przeor znów skłonił głowę.

– Jutro poczynię ostatnie notatki i zostawię ojcu, zanim wyjadę. Proszę tego strzec. Książki dopiero po latach, jak wino, nabierają mocy i smaku, a ich wartość nie jest mierzona doczesnym życiem – Kramer położył rękę na manuskrypcie, a oczy wzniósł ku górze. – Mój ziemski obrót już się kończy...

– Ależ, ojciec – zaprotestował przeor.

– Drogi chłopcze – uśmiechnął się Kramer. – Osiemdziesiąt siedem lat. Mógłbyś być moim synem, gdyby nam pozwolono zakładać rodziny. Zgłębiłem wiele tajemnic, które mnie prowadziły do naszego Pana lub czasem od niego oddalały, ale tej jednej nigdy nie dane mi było poznać.

– O czym ojciec mówi? – ojciec Roger położył dłoń na księdze, obok dłoni Kramera.

– Umieramy bezpotomnie i bez wielkiej nadziei – powiedział cicho Kramer.

– Ależ, ojciec, to przecież herezja.

– Z szeregu herezji, jakie znam, chyba najmniejsza, z pewnością najsmutniejsza. Znałem papieży, którzy własnym dzieciom uchylali drzwi do kariery. Świeckiej i kościelnej. Moje życie chyli się ku zachodowi, ale ty z pewnością doświadczysz jeszcze prawdziwego Boga. Są młodszy i ode mnie, i od ciebie. Oni dalej poprowadzą walkę, nawet wbrew Rzymowi, a może przede wszystkim wbrew niemu. Jeden z nich już niebawem uczyni tak wiele, że przetrwa nie tylko na kartach mojej historii.

– O kim ojciec myśli? Czy go znam? – zainteresował się przeor.

– Jeszcze nie. Poznasz wkrótce, tak jak wszyscy. On już mnie przerósł, choć to ja, na początku, starałem się być jego mistrzem i nauczycielem. Niczym chrestny Jan dla naszego Pana. Sam dobrze wiesz, nasi ojcowie na Stolicy Piotrowej już dawno nas opuścili. Goniąc za władzą i pieniędzem, w swojej chciwości zapomnieli o Piśmie, zapomnieli, skąd przychodzimy i kto jest naszym Bogiem. Jeśli wybrali innego, tego, z którym całe życie toczyłem walkę... – Kramer zawiesił głos – niech Bóg im wybaczy.

– Nie godzi mi się tego słuchać – przeor zdjął rękę z księgi, jakby stos kart nagle zaczął go parzyć.

– Nie oczekuję, żebyś słuchał, lecz abyś przechował moje spisane słowo. Tylko o to proszę – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Zrobię, jak ojciec sobie życzy – przeor jeszcze raz, z szacunkiem pochylił głowę, ukazując gładko wygoloną tonsurę. Gdyby podobne słowa wypowiadał byle jaki klecha, zakonnik, a już na pewno zwykła osoba, ojciec Roger z pewnością musiałby zareagować. Być może nawet pojmać i postawić przed oblicze sądu. Ale to był Kramer, Institor. Człowiek, który

sam decydował, kto jest, a kto nie jest heretykiem, który sam sądził i skazywał. Wielki i sławny Heinrich Kramer, przed którym papieże uchylali drzwi, gdy tego żądał, a inni z ulgą zamykali, gdy opuszczał domostwa, kościoły i pałace, nie znajdując win ani powodów oskarżenia.

– Nie będziesz żałował – Kramer spojrział na przeora, który, wydawało się, dalej nie rozumie słów starego dominikanina, mimo to jeszcze niżej skłonił głowę. – A teraz odejść, chcę zostać sam.

Badanie zaczęło się przed północą, a skończyło nad ranem. Ojciec Heinrich zostawił swój raport na stole w refektarzu. Raport krótki, lakoniczny, ledwie kilkanaście zdań:

„Dwie oskarżone przyznały się do winy po krótkim, ale intensywnym badaniu. Jedna, o nazwisku Abrusiane, nie chciała uznać swoich win, ale pozostałe oskarżyły ją w wystarczającym stopniu. Adeptki w osobach Anny Sugot, Margot Saligner i Julii Abrusiane, nasmarowawszy się diabelską maścią, wyleciały przez okna. W przypadku Margot Saligner było tak, że ze względu na jej otyłość, zniecałkowaną, za sprawą diabła rozszerzyły się ściany domu, aby mogła odlecieć, a następnie niepostrzeżenie znów się połączyły. Lecąc na spotkanie, wzniosły się aż do pośredniej strefy nieba, bardzo chłodnej, gdzie w oczy szczyptał je mróz, a członki tężały z zimna. Diabeł przewodniczący zebraniu specjalnie, by okazać wzdąlenie Wielkiemu Panu Świata, obnażył swój zad i wystawił go ku niebu. Kobiety jak jedna, po kolei, na klęczkach adorowały demona i oddawały mu hołd, ucałowawszy mu pierwszej rękę i stopę, jednocześnie zaś podały mu płonącą świecę z czarnego wosku. Potem, gdy demon się od nich odwrócił, pocałowały go w tyłek i oddały mu duszę, którą ma zabrać po ich śmierci (oby nastąpiło to szybko). W zamian za przyobiecana duszę diabeł miał obdarować oskarżone pieniędzmi, siłą i potencją. Potem demon przeniósł je do ukrytego gaju, gdzie posiadał każdą cielesność. Oskarżone, z wyjątkiem jednej – Abrusiane, w czasie przesłuchań zeznały, że dotykały członka przewodniczącego, jakoby zimnego i miękkiego, tak jak całe jego ciało. Najpierw włożył go do pochwy oskarżonej, wypuszczając nasienie zepsute, żółtawe, zebrane z nocnej polucji jakiegoś mężczyzny albo i gdzie indziej, tego oskarżone nie wiedziały.

Później wkładał go im do tyłka i używał sobie bez miary. Gdy przyleciały na powrót do domu, był już świt. Zeznanie dwie kobiety potwierdziły swoim własnoręcznym podpisem, a jedna – Abrusiane, odmówiła, choć jej wina jako najmłodszej adeptki jest największa. Ja też potwierdzam i ustaliam karę ognia dla wszystkich trzech, postulując, aby dwie starsze uprzednio oddały ducha przez powieszenie, a trzecia – Abrusiane, najbardziej zatwardziała i arogancka, zginęła w ogniu bez wstępnych zabiegów. Heinrich Kramer – Institor OP”

Anna Sugot, Margot Saligner i Julia Abrusiane spłonęły w chłodne popołudnie, tuż przed zachodem słońca, 13 grudnia 1517 roku. W chwili, w której podpalano stos, panna Abrusiane zaczęła głośno krzyżeć. Większość obecnych na placu słyszała wyraźnie, jak po raz kolejny wzywa diabła. Z kolei nielicznym wydawało się jednak, że krzyży: „Sami jesteście diabłami”. Być może i jedni, i drudzy mieli rację.

Kiedy stos się dopalił, mieszkańcy Lyonu poczęli z wolna opuszczać miejsce kaźni. Niektórzy zatrzymywali się jeszcze w oberżach, by przy grzonym winie omówić zdarzenia, których byli świadkami w ostatnich dwóch dniach. Rozmowy trwały do późnego wieczora. Co starsi ludzie pamiętali przypadki palenia czarownic, lecz nikt nie mógł sobie przypomnieć, by spalono aż trzy niewiasty jednocześnie. Wieści o przyjeździe Institora i o tym, że będzie przewodniczył sądowi nad kobietami, rozeszły się jeszcze przed procesem. W nagłej i niespodziewanej obecności dominikanina upatrywano przestrogi, znaku, który miał upewnić mieszczan w ich trwaniu w wierze, a także dodać im sił, by mogli z jeszcze większą niż do tej pory uwagą obserwować postępy Złego. Podziwiano ojca Kramera i bano się go zarazem, pamiętając opowieści o jego długoletniej posłudze inkwizytora, który ma za sobą dziesiątki, a może nawet setki udowodnionych zbrodni czarownictwa. Choćby z tego, jednego powodu, mieszkańcy woleli, aby na wszelki wypadek trzymał się już od nich z daleka.

Ojciec Kramer wyjechał z Lyonu o świcie 14 grudnia, jednak nie dotarł do Montluel. Czekało na niego w klasztorze tego i następnego dnia. Dopiero kolejnego, dziewięć dni przed świętem Narodzenia Pańskiego, znaleziono

powóz, którym podróżował. Pojazd stał zanurzony w bagnie, niecałą milę od głównej drogi z Lyonu do Montluel. Z czterokonnego zaprzęgu nie zostało ani jedno zwierzę. Nie było woźnicy, a we wnętrzu pojazdu odnaleziono różaniec z brązowych koralikach, należący do ojca Kramera. Uznano, że dominikanin padł ofiarą którejś z licznych band, przemierzających szlaki wędrownie środkowej Francji. Jego ciała ani ciała woźnicy, mimo że przekopano bagno wokół powozu, jednak nie odkryto.

W dzień narodzin Jezusa Chrystusa ojciec Roger odprawił mszę w kościele świętego Marcina, z intencją, by Institor, ojciec Heinrich Kramer, szybko znalazł pocieszenie u boku swojego Pana. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że tak się właśnie stanie.

Wieczorem, po mszy i po odmówieniu komplety, przeor zaszedł do biblioteki położonej na piętrze klasztoru. Otworzył kluczem niskie drzwi prowadzące do niewielkiego pomieszczenia, w którym przechowywano najcenniejsze manuskrypty. Sięgnął po zbiór luźnych kart, zebranych konopnym sznurem. Odwiązał go powoli, z namaszczeniem. Bielony z obu stron niemiecki pergamin, coraz rzadziej używany, wypierany przez zwykły, tani papier, bardzo już pożółkł na marginesach i w rogach. Strona tytułowa nosiła tylko dwa słowa: *Dziennik Institora*. Ponumerowane, zapisane wprawną ręką kaligrafa, kończyły się na sto pierwszej. Ojciec Roger przekładał karta po karcie, z każdą upewniając się, że Kramer podarował mu swoje własne życie. Nie był pewien, czy chce je poznać, szczególnie że zakończyło się dla wszystkich tak nieoczekiwanie. Ale jednak nie dla Kramera. On sam przewidział zbliżający się finał swojej ziemskiej drogi. „Skoro zostawił mi tę księgę – pomyślał przeor – to znaczy, że chciał, bym ją poznał. Gdyby było inaczej, zabrałby ze sobą na wieczne zapomnienie”. Zaczął przerzucać karty, poczynając od ostatniej i szybko wracając do pierwszej.



Rozdział

II



*Szatani rozmnażają się tylko w jeden sposób.
Mianowicie kradną nasienie mężczyznom.
„Malleus maleficarum”*

XXI PAŹDZIERNIKA MCDLXXXIII



woją opowieść zaczynam od końca. Mimo że każda powinna mieć swój początek u progu, ta ma początek tam, gdzie inni dobiegają kresu historii.

Poświęcając życie na walkę z siłami zła, jakże często zapominamy o ich pochodzeniu, eliminując jedynie skutek, zostawiając przyczynę. Jakże też często, u kresu życia, pragniemy zostawić potomnym coś więcej niż nasze czyny. Mnie, prostemu mnichowi, przypadło w udziale wejść na sam szczyt, z którego widziałem więcej niż ci, co oglądali świat z wysokości tronu. W późnym wieku średnim widzę, jak bardzo się myliłem, służąc ludziom, a nie naszemu Panu. Moja przemiana następowała powoli. Im więcej rozumiałem, tym częściej nachodził i dalej nachodzi mnie smutek. Obserwowałem zło w jego najczystszej postaci. Zło ma oczy świni, łeb kozy i pachnie gnojem.

Próżno mu zapobiegać, gdyż dla odróżnienia dobra musi być jego przeciwieństwem. Powinno istnieć, aby człowiek rozumiał, że błądzi. Gdyby zło nie istniało, należałoby je wywołać. Zapewne nigdy nie zginie, jak ludzka chciwość – napędzająca zło niczym koło, co wprawia w ruch karete.

Mimo wielu pokus, mimo pojawiającego się z biegiem lat zmęczenia, nigdy nie złożyłem broni. Nigdy nie zaprzestałem walki, bywało, prowadzonej w osamotnieniu. Ale czy przeznaczeniem człowieka nie jest samotność? Tym bardziej przeznaczeniem Institora. Samotność nie domaga się pochwał,

nie szuka poklasku. Nie wybieramy jej. To ona nas sobie wybiera. Jak nieuleczalna choroba.

Tam gdzie zjawiał się On, którego imienia nie godzi się przywoływać, tam musiałem składać ofiarę życia. Niech te słowa będą przestrogą dla tych, co przyjdą po mnie. I niech to będzie spowiedź, bez rozgrzeszenia. Jeśli grzeszyłem, nie ludzi będę prosił o darowanie win. Bóg jeden wie, że czyniłem słusznie. Amen.

Z początkiem jesieni roku Pańskiego mcdlxxxiii, razem z bratem Jakobem, jak ja kaznodzieją, wyruszyliśmy w długą drogę z Salzburga do Rzymu. Jechaliśmy już dziesiątą dobę, nie tracąc czasu na sen, śpiąc w siodle lub na przypadkowych postojach, gdzie popadnie, w Tyrolu, a od wczoraj, gdy zjechaliśmy z gór północnej Italii, musimy się pilnować, słysząc o tym, że nie każdy, jadąc przez ten niebezpieczny kraj, dociera do celu swej podróży. Śpieszymy, by zdążyć na czas, dopiero teraz stając na dwa dni odpoczynku w naszym bolońskim konwencie, w którym piszę te słowa.

List od Ojca Świętego nadszedł w samą porę. Nie wiedziałem już bowiem, czy moja posługa generalnego inkwizytora prowincji Allemania, jaką mi powierzono dziesięć lat temu, znajduje w oczach Ojca poparcie. Nigdy nie spodziewałem się, by Rzym zauważył moje starania, ani nie chciałem wywyższać się z szeregu równych sobie, Bożych sług. Jednak milczenie Rzymu nie dawało mi spokoju. Któż bowiem, jeśli nie On, może tchnąć w naszą pracę nowego ducha, gdy stary z wolna zaczął się wypalać. Obowiązki moje od świtu do zmierzchu wypełniały czas, nie zostawiając go na inne aktywności. Z rzadka tylko zadawałem sobie pytanie, czy aby robię słusznie i czy mogę służyć lepiej. Bo któż nie ma wątpliwości? Chyba tylko stary koń, prowadzony do rzeźni, nie wątpi, że wkrótce przyjdzie mu się rozstać z życiem.

Ja czułem się jeszcze młodo. W pięćdziesiątym trzecim obrocie mojego życia czułem się tak, jak wtedy, gdy wstępowałem do naszego zakonu. Niech mi wolno będzie powiedzieć o sobie. Urodziłem się w Pańskim mcdxxx roku w Schlettstadt, małym i biednym miasteczku w Alzacji,

niedaleko wielkiego i bogatego Strasburga. W moim mieście, dwadzieścia lat wcześniej, urodził się Johannes Mentelin. Znany z tego, że jako pierwszy wydał Biblię w naszym, niemieckim języku. Z kolei dwadzieścia lat po moim urodzeniu w Schlettstadt przyszedł na świat Jakob Wimpfeling, dziekan wydziału sztuk na uniwersytecie w Heidelbergu. Tak oto prowincjonalne miasto, w jednakowych odstępach czasu wydało na świat trzech swoich synów, którzy rozślawili jego imię w całej Rzeszy.

Moi rodzice, jakkolwiek dobrze urodzeni, to jednak ubodzy pracownicy rolni. Na swoim polu uprawiali wszystko, co ziemia była im w stanie oddać. A więc groch, kukurydzę, pszenicę, owies. Niewielki sad rodził zawsze zdrowe jabłka, morele i wiśnie, a całkiem spora połać przeznaczona na winorośl dostarczała materiału na wino, którego w naszym domu zawsze było pod dostatkiem. Ojcu zdarzało się nawet sprzedawać kilka beczek do klasztoru, zwykle na przednówku, kiedy braciszki, wypiwszy zapasy, tęsknie spoglądali na dopiero co odrastające, młode pędy roślin. Ojciec po nowe, nieznane kiedyś szczepy białej, a szczególnie wydajnej odmiany rieslingerskiej, dwa razy w roku jeździł aż do grafa Jana z Ruesselsheim, słynnego w całej Alzacji plantatora, którego sława sięgała znacznie dalej niż na pogranicze francusko-niemieckie. Wracał wozem wypełnionym po brzegi wielkimi, drewnianymi donicami, w których rosły młode gałązki. Prawdę mówiąc, gdyby nie nasza kobyła, ojciec myliłby drogę, którą dobra szkapa znała lepiej niż on. Mój ojciec nie próżnował bowiem w Ruesselsheim. Lubili z grafem Janem degustować różne odmiany alzackiego, tak że nawet jeszcze wiele dni po powrocie ojciec nie miał sił na pracę w polu.

Wino słabe, rozwodnione, piłem już od dziecka, tak jak na terenach pozbawionych winnej tradycji pija się wodę lub miód. Nic dziwnego, że i w dorosłym życiu wino było dla mnie ważniejsze niż mięso. Bez mięsa obywałem się tygodniami. Bez wina trudno było wytrzymać choćby dzień.

W moim domu ojciec rządził surową ręką. To się tyczyło nie tylko mnie, moich sióstr i braci, ale także matki. Na nią ojciec podnosił rękę tylko w przypadkach szczególnych, kiedy już inaczej nie potrafił zaprowadzić porządku lub dla słusznego wyładowania gniewu. My, dzieci, dostawaliśmy

ciągi za byle co, ale też zazwyczaj słusznie. Dziecko powinno znać twardą rękę ojca. Jak mawiał mój: „Twarde wychowanie – diabeł nie dostanie”. Matka przyznawała ojcu rację, zdając sobie sprawę, że tylko on może decydować i tylko z jego ręki może być zaprowadzany porządek. Dobra, mądra, znała miejsce przysługujące kobietom i nie chciała więcej. Starła się, jak mogła, ale wiadomo, że kobiety bywają ułomne, tak i matce zdarzały się drobne błędy, jak obiad podany za późno lub woda do mycia za zimna czy za gorąca, sień niezamieciona i inne rzeczy podobne, a wtedy ojciec potrafił ją nawet z domu na mróz wypędzić, żeby skruszała i zrozumiała, co zrobiła. Najczęściej rozumiała szybko, ale bywało i tak, że karać trzeba było dłużej, bo i dłużej do mądrości wracała. Niestety, zmarło się matce w połogu przy trzecim moim bracie, a ósmym dziecku w ogóle. Tak że sami z ojcem zostaliśmy, ale siostra najstarsza miała już szesnaście lat, to teraz na nią spadły obowiązki, a gniew ojca obracał się ku niej. Wdzięczny jestem ojcu nie za to, że mnie karmił, bo o to starła się matka, dopóki żyła, ale że pokazał, co znaczy żywioł męski, a co żeński. I że kobieta po to została przez Boga dana Adamowi, by mu usługiwać, jak siostra zakonna służy księdzu. Jeśli o tym zapomnimy, podkopujemy fundament, na którym opiera się nasza chrześcijańska tradycja.

Jak napisano w liście do Koryntian, ze względu na naturę myślącą zarówno w mężczyźnie, jak i w kobiecie widnieje obraz Boga. Pod pewnym ubocznym względem prawdą jest także, że obraz Boga znajduje się w mężczyźnie w inny sposób niż w kobiecie. Mężczyzna jest początkiem i celem kobiety, tak jak Bóg jest początkiem i celem całego stworzenia. Apostoł to rozumiał, gdy po słowach: „Mężczyzna jest obrazem i chwałą Boga, a kobieta jest chwałą mężczyzny” dodaje: „To nie mężczyzna powstał z kobiety, lecz kobieta z mężczyzny”. Podobnie też mężczyzna nie został stworzony dla kobiety, ale kobieta dla mężczyzny. Kto temu przeczy – Biblii przeczy i niegodny jest miana chrześcijanina.

Gdyż, jak pisał święty Tomasz: utworzono kobietę z żebra mężczyzny. Pierwsze, by dać do zrozumienia, że między mężczyzną i kobietą winna istnieć więź wspólnotowa. Bowiem kobieta nie powinna przewodzić nad mężem i dlatego nie jest uczyniona z głowy, ani też mężczyzna nie powinien

jej lekceważyć jakby jakąś podległą niewolnicę.

W odniesieniu do natury partykularnej kobieta jest czymś niedoszłym i niewydarzonym. Czemu? Bo tkwiąca w nasieniu siła czynna zmierza do utworzenia czegoś doskonałego: podobnego do siebie co do płci męskiej. A że rodzi się kobieta, dzieje się to albo z powodu słabości siły czynnej, albo z powodu jakiejś niedyspozycji materii.

Nie jest jednak tak, jak niektórzy powiadają, że szatan gnieździ się w łonie kobiety. Łonem kobiet szatan tylko prowokuje do występku. Szatańskie nasiona kiełkują natomiast w kobiecych głowach i dlatego nie ma do nich dostępu. Nigdy nie wiesz, co w tych głowach siedzi, co się załęgło. Gdyby tam było dobro, czy uwiodłoby Adama? Bóg nam pokazał przebiegłość i grzeszność żony Adamowej. Pierwszy człowiek nie był kobietą, lecz mężczyzną. Nie ma w tym przypadku, bo nieprzypadkowe są wybory boskie. Poświęcił się dla niej, oddając własne żebro, z którego powstała. Ona mu się odwdzieczyła grzechem pierworodnym. Zasiała ziarno, a jego złe owoce zbieramy do dziś. Znałem wiele kobiet, nigdy jednak nie oddałem się żadnej. Nie tylko dlatego, że są nieczyste. Także dlatego, by nie rozpraszały mojego skupienia na sprawach, którym poświęciłem życie. Dopuszczam myśl o kobiecie, musiałyby być jednak narzędziem anioła, nie szatana. A takich nie znam, nie widziałem. Nie wiem nawet, czy gdzieś są.

Po śmierci matki nic się więc właściwie nie zmieniło. Do kościoła chodziliśmy zawsze całą rodziną, a że daleko nie było, nigdy nie braliśmy zaprzęgu. Ojciec powtarzał, że jest nas za dużo w domu, że to wina matki. I że czeka, aż go wreszcie Pan zabierze do siebie, bo dopiero wtedy od nas odpocznie. Wyzionął ducha nagle. Stał, upadł i już się nie podniósł. Upadając, włożył sobie palec wskazujący lewej ręki w prawą dziurkę od nosa i z tym palcem w nosie odszedł, co uznaliśmy za znak. Nie wiedzieliśmy tylko, co nam chciał przekazać. Prawdopodobnie nic wielkiego, bo nie przypominam sobie, by kiedykolwiek miał nam coś naprawdę ważnego do powiedzenia. Pochowaliśmy go w jednym grobie z matką (oby jej tam nie dyscyplinował nadmiernie), a my, niektórzy z nas już dorośli, zostaliśmy sami.

Miałem trzynaście lat, kiedy wybrałem drogę mnicha, za zgodą ojca, który zawsze powtarzał: „Pójdiesz między habity, to i do końca życia będziesz miał wikt i opierunek, a może jeszcze do czegoś dojdiesz, biskupem zostaniesz, rodzinie pomożesz”. Prawdę mówiąc, ojciec, gdy miałem dwanaście lat, oddał mnie już do klasztoru, żebym pomagał braciszkom. Po złożeniu ślubów zakonnych czyniłem wszystko, by wiernie służyć zgodnie z naszą regułą, a jej głównym rygorem jest i zawsze była walka z odstępstwem od Boga. W wieku lat dwudziestu ośmiu widziałem ogień, które na strasburskim rynku pochłonęły Fryderyka Reisera, kacerza podającego się za husyckiego spadkobiercę. Ten obraz ginącego w męczarniach heretyka będę pamiętał zawsze. Stałem ledwie dziesięć kroków od płonącego stosu, żar palił mi policzki, dym wciskał się do oczu, a jednak patrzyłem. Co tam, patrzyłem: napawałem się widokiem coraz to bardziej kurczącej się postaci, aż wreszcie został z niej mały ogryzek kości obleczonych szernią skórą. Nie pozwolono ich zebrać nikomu, nawet rodzinie. Jeszcze następnego dnia widziałem psy roznoszące po mieście doczesne szczątki Reisera. A także gromadę dzieci bawiących się z psami, rzucających fragmenty piszczeli i każących zwierzętom aportować. Co zresztą czyniły z upodobaniem.

Nieuchronność kary upewnia mnie więc, że stos jest najlepszym miejscem dla wysłanników szatana. Jest w tym ogniu coś wzniosłego, oczyszczającego, sprawiedliwego, niezwykłego. I choć już nie praktykuję tak często jak kiedyś, prawdę mówiąc w ogóle, to poświęcam się teorii, równie ważnej, jeśli idzie o obecność diabelską w naszym, doczesnym życiu.

Od skończenia czterdziestego roku pełnię posługę inkwizytora. Oskarżając już w wielu procesach, zawsze uczciwie analizując przewiny, ukarałem dziesiątki, a może i setki osób (nie liczę tego dokładnie, gdyż nie liczba jest ważna, lecz pewność kary i strach przed nią), które próbowały oszukać nie tylko Boga, ale nawet i mnie, skromnego ucznia, wykonawcę boskich poleceń.

Tym, którzy nie wierzą w fizyczną obecność Zła, w czarownictwo, w czarownice i czarowników (choć mężczyzn jako czarowników mamy zaledwie ślady, za to kobiety w swojej nieczystej przebiegłości są tu

najbardziej winne), polecam modlitwę, gdyż grzeszą, nie uznając realności tego okrutnego i groźnego świata. Mimo że postronni ostrzegają przed nami, kaznodziejami, głosząc: „*Litaniis ordinis praedicatorum libera nos, Domine*”, to jednak im też polecam modlitwę, aby przejrzeni na oczy:

*Święta Maryjo, gwiazdo na niebie najjaśniejsza, módl się za nami,
Nad księżyc światlejsza, blaskiem słońce przyćmiewająca,
Matko Boga Wiekuistego,
Święta Maryjo, która rozpraszasz ciemności wiecznej nocy, módl się
za nami,
Która niweczysz wyrok naszego potępienia,
Źródło prawdziwej mądrości,
Światło rzetelnej nauki,
Radości nasza bezcenna,
Upragniona wśród narodów,
Pożądanie wiekuistych wzgórz,
Zwierciadło, w którym oglądamy Boga,
Nad wszystkich świętych najświętsza,
Wszelkiej chwały najgodniejsza.
Amen*

Jako trzydziestoletniego, niedoświadczonego jeszcze mnicha, wybrano mnie na przeora strasburskiego zgromadzenia, co uznałem za akt Bożej łaski, jaka na mnie spadła nagle i niespodziewanie. Od tamtego dnia upłynęło już wiele lat, a ja ciągle, w głębi duszy, noszę przekonanie, że byli godniejsi ode mnie.

Jak powiedziałem, list nadszedł w samą porę. Pośpiech, z jakim wyruszyliśmy, był zrozumiały, gdyż doszły do nas wieści, że Sykstus z każdym dniem czuje się coraz gorzej. I choć medycy czynili wszystko, by przedłużyć jego i tak długie już życie, należało się w każdej chwili spodziewać najgorszego. A konklawe i wybór nowego namiestnika na Stolicę Piotrowej mogły, jeśli nie zniweczyć nasz trud, to przynajmniej oddalić plany. Sykstus ciągle pozostaje dla mnie tym samym ojcem Francesco, generałem

bliskiego nam zakonu franciszkanów, którego poznałem i pokochałem jak ojca, gdy jako nowo mianowany przeor udałem się ze swoją pierwszą wizytą do Rzymu. W długich dysputach wiele razy wracaliśmy do naszych, bardzo do siebie podobnych losów. Francesco della Rovere, podobnie jak ja, pochodził z ubogiej wprawdzie, lecz szlachtetnej rodziny. I jego, podobnie jak mnie, oddano na wychowanie do klasztoru. On studiował teologię w Pawii i Bolonii, ja na północy, w Strasburgu. I jego, tak jak mnie, niech mi to będzie wolno powiedzieć, uważano za dobrego kaznodzieję. I to jeszcze zanim on otrzymał kardynalską godność, a ja swoje powinności zakonne. Wkrótce nasz papież Paweł II zakończył swoje ziemskie życie, a ja na stanowczą prośbę ojca Francesca, mimo rozlicznych zajęć, udałem się do Rzymu, nie domyślając się nawet, z jakich powodów wzywa mnie mój przyjaciel i patron. Musiał już wtedy wiedzieć, że nie kto inny jak on zasiądzie na Piotrowym tronie. Tak też się stało, a Francesco, dwa dni po zakończonym dla niego szczęśliwie konklawe, wezwał mnie do siebie i poprosił, bym przy nim zostałem, jako jego sekretarz i spowiednik. Zgodziłem się bez namysłu. Prosiłem tylko, bym mógł wrócić do siebie, dokończyć rozpoczęte sprawy i przekazać klasztor w godne ręce, co zajmie mi nie więcej niż kilka miesięcy. Gdy będę gotów, poinformuję go w liście, a gdy on uzna, że będę mu przydatny, ma po mnie posłać. Tak też zrobiłem, niestety, posłaniec od Ojca nigdy się nie zjawił, a i ja od tamtego czasu nie miałem już szczęścia ani rozmawiać z nim, ani go nawet oglądać. Rozumiałem i godziłem się z tym, wiedząc, że jego praca, praca pasterza nad całą chrześcijańską trzodą, wymaga daleko większych poświęceń niż moja skromna inwestytura. Sam nie jeżdżąc do Italii, słuchałem jednak uważnie głosów, jakie stamtąd dochodziły. Im więcej słuchałem, tym bardziej mnie one niepokoiły. Opowiadano, że Francesco, mimo swoich wielkich dokonań w przeszłości, nie jest powszechnie szanowanym papieżem. Początkowo uznawałem to za opinie osób mu nieprzychylnych, być może wypowiedane w zawiści. Twierdzono, że nowego papieża zajmują tylko dwie troski: by wywyższać i zapewniać dostatek licznych krewnych oraz by go nie uznawano za barbarzyńcę, jak jego poprzednika. Prawdą okazało się, że mój dobry Francesco obsypywał własną rodzinę zaszczytami i dobrami. Jego

kuzyn Pietro Riario oraz bratanek Giuliano della Rovere zostali kardynałami, a inni krewni uzyskiwali coraz większy wpływ na Sykstusa. Chwalono go wprawdzie za to, że stale pomnażał finanse kurii, ale metodami, których ja sam nie mogłem pochwalać – częstym udzielaniem odpustów, wysokim opodatkowaniem beneficjów i mnożeniem urzędów do kupienia. Ta wiedza była mi przykra. Jeśli teraz miałem się z nim spotkać, by przedstawić własny plan, chciałem też mieć nadzieję, że sprawy w Rzymie miały się jednak lepiej, niż je przedstawiano. Przecież to on nie dalej jak kilka lat temu zezwolił Ferdynandowi i Izabelli, władcom Aragonii i Kastylii, na przywrócenie inkwizycji. I to on zatwierdził naszego dobrego brata Tomasza z Turrecrematy (*Ordo Praedicatorum*), jako wielkiego inkwizytora Hiszpanii. Ktoś, komu by nie zależało na sprawach całego Kościoła, nie uczyniłby tych w pełni właściwych kroków. Jadę więc do niego, by mu przedstawić swój plan, w nadziei, że go przyjmie i pochwali, ale też by mu dodać otuchy w jego, być może ostatnich, dniach.

X LISTOPADA MCDLXXXIII

Co miałem zatem myśleć, kiedy wieczorem, siedząc sam w rzymskiej bibliotece, pochylałem się nad „*Vitae pontificum*” słynnego Bartolomea Platiny? Jakie miejsce zająłby mój drogi ojciec Francesco na kartach tej książki, jednej z kilku tysięcy dzieł wypełniających największą bibliotekę naszego świata? Bartolomeo już nic nie napisze, a Sykstus jest za słaby, by pisać, nawet dyktować. Rozmawialiśmy zbyt krótko, by się nacieszyć jego słowem, za długo, by w moim sercu nie rosły wątpliwości i pytania. Na zawsze już pozostaną bez odpowiedzi.

Rano przyszedł po mnie (tylko po mnie, gdyż mój brat Jakob zabawił ledwie dwa dni w Rzymie i już musiał wracać do obowiązków w diecezji Kolonia) Giuliano della Rovere, prezbiter od Świętego Jana na Lateranie. Bazylika spalona, zniszczona pożarem, jednak on nie traci nadziei na odbudowanie tej cudownej świątyni. Gdy spytałem o zdrowie stryja, machnął ręką i powiedział: „Ech, co tu gadać, właściwie nie ma o czym, nie jest dobrze i tyle”

Nasz pasterz z każdym dniem słabnie. Są dni, kiedy w ogóle nie wstaje z łóżka. Zamyka się przed światem, nie chcąc, by widziano chwile jego słabości. Jedynie kilku ludzi ma do niego dostęp, a kardynał Giuliano dzieli z nim posiłki, odprawia wieczorną kompletę. Z Giuliano, którego znam jeszcze z konklawe, przeszliśmy do nowej kaplicy, zwanej Kaplicą Sykstusa. Opowiadano mi o niej, lecz to, co zobaczyły moje oczy, przerosło wszystkie opowieści. Najbardziej niedościgłe freski toskańskich i umbryjskich artystów. Giuliano wskazał na malowidła Pietro Vannucciego, tego samego, który jako młodzieniec portretował Francesco, zanim mój kochany Ojciec został papieżem.

– Popatrz na to – Giuliano wskazał palcem na ogromny fresk. – Alessandro di Mariano Filipepi, „Oczyszczenie trędowatego”. Z powodu jego wyglądu, przypominającego beczkę, nazwano Alessandra Botticellim, ale Bóg, oblekając go w marną posturę, dał talent, jakiego trudno szukać we Florencji, a nawet w całej Italii. Ten kościół w środku to Szpital Świętego Ducha, jak może wiesz, zbudowany na polecenie Sykstusa. Z lewej Jezus Chrystus wśród aniołów, wyżej szatan kuszący Chrystusa, by rzucił się z dachu świątyni, z prawej, to powinno cię szczególnie zainteresować, szatan sam kończy nędzny żywot, skacząc ze skały. A tu, z lewej, niewielka postać, to ja.

Ostatnie słowa Giuliano wypowiedział z nieukrywaną satysfakcją. Rzeczywiście mężczyzna, jego twarz, przypominała twarz Giuliano. Mógł tak wyglądać jako młody człowiek, tyle że to było dawno temu. Już bardziej liście dębu na płaszczu – herb Rovere – przekonywały, że mamy do czynienia z przedstawicielem tej słynnej rodziny. Chciałem iść dalej, ale Giuliano nie odstępował obrazu. Wpatrzony w siebie, młodego, wydawało się, że zapomniał o mojej obecności. Wreszcie odbił wzrok od ściany, spojrzał na mnie i powiedział:

– Da Bóg, kiedyś zobaczysz mnie na bardziej honorowym miejscu. Najbardziej honorowym.

Domyśliłem się, że Giuliano ma na myśli tron Piotrowy, ale nic nie powiedziałem. Udałem, że nie słyszę. Niepohamowane ambicje niejednego

już, miał wynieść, strąciły w niebyt. A nawet w otchłań piekielną. Szatan tylko czeka na ludzi słabych i żądnych zaszczytów. Giuliano nigdy bym nie podejrzewał o grzech pychy, a jednak było w jego postawie coś, co mnie osobiście urażało. Sam bowiem nie dbałem o stanowiska, traktując liczne wyróżnienia jako dopust Boży, a nie decyzje ludzi, o których łaskę miałbym zabiegać w jakiś szczególny sposób. Nie uważałem też za stosowne, jako mnich, nosić się z pańska, zakładać bogate, od najlepszych włoskich krawców stroje. Wolałem zawsze mnisi habit, a tylko od czasu do czasu czarny surdut z kołnierzem, gdy nie chciałem, aby rozpoznano we mnie duchownego.

Giuliano, ubrany w albę i ornat, jako że szedł prosto z nabożeństwa, dodatkowo przystroił swoje szaty liturgiczne złotą nicią i złotymi wstęgami, które jak zbyt długi paliusz oplatały mu ramiona. Na nogach miał natomiast buty z jakiejś delikatnej skóry nieznanego mi zwierzęcia, dodatkowo przystrojone złotymi okuciami z przodu i z tyłu. Dostrzegłem, że mu się przyglądam, i zapewne uznał moje zainteresowanie za oznakę podziwu, gdy tymczasem strój mego dawnego przyjaciela wywoływał we mnie poczucie winy, jakbym to ja sam prowokował swoim wyglądem podejrzenia o grzeszną rozrzutność lub frywolność nieprzystającą do stanu biskupiego. Cóż, pomyślałem, widać taka moda na Lateranie, aby okazywać nadmiar tam, gdzie trzeba umiaru i skromności. Nie mnie jednak oceniać. Zbyt ni rygorystyczny w ocenianiu bliźnich nie zawsze bowiem idzie w parze z rozsądkiem oceniającego.

W kaplicy mieliśmy czekać, aż przyjdzie On. Czekanie trwało długo, lecz wreszcie ukazał się, podtrzymywany przez dwóch braci od świętego Franciszka. Gdy padłem do jego stóp, nakazał mi wstać, jakby moja szczerość i moje oddanie sprawiały mu ból. Jego długi, ostro, jak u drapieżnego ptaka, zakończony nos, jeszcze bardziej się wyostrzył, podobnie całe rysy twarzy. Choroba odcisnęła piętno na jego dobrotliwym obliczu. Skupiony słuchałem, co ma mi do powiedzenia, sam czekając, aż dane mi będzie ujawnić plan, z którym do Niego przybyłem. Zapisując naszą rozmowę, ufam, że nie pomnę ani jednego słowa, które wypowiedział, gdyż każde może okazać się bardzo ważne.

Ojciec mówił: Mój chłopcze, jak widzisz, nie zastajesz mnie w zdrowiu,

lecz w bolesti. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy razem modliliśmy się za pomyślność Francesca della Rovere, nowego papieża. Niestety, każdy kiedyś odchodzi. I mnie to czeka już wkrótce.

Ja mówiłem: Ależ, Ojciec Święty.

Ojciec mówił: Tak będzie i nie nam o tym decydować. Długo myślałem, że wolę, byś mnie zachował w pamięci zdrowego i wesołego, a nie cierpiącego starca. Lecz byłaby to z mojej strony niewdzięczność za twoje wieloletnie poświęcenia, o których słyszałem, choć sam nigdy ci o tym nie mówiłem, jak ważna dla całego Kościoła jest twoja misja. Lecz także jak może być dla Kościoła groźna...

Tu ojciec zakaszłał, a potem nakazał odejść braciom. Także Giuliano, by nam nie przeszkadzać, stanął na końcu kaplicy. Jednak w takiej odległości, która pozwalała mu słyszeć, o czym rozmawiamy. Dostrzegłem z daleka, że nawet specjalnie nadstawia ucha, gdy ucieka mu któreś z wypowiedzianych przez papieża słów.

Ojciec mówił: Z pewnością doszły cię głosy nieprzychylnie papieżowi. Jeśli tak, nie wahaj się pytać.

Ja mówiłem: Nigdy w Ojca nie przestałem wątpić.

Ojciec mówił: A więc jednak. Pamiętasz, mój drogi chłopcze, jak kiedyś chciałem, byś został moim spowiednikiem? Teraz możesz wypełnić moją dawną prośbę.

Ja mówiłem: Zrobię, o co mnie Ojciec poprosi.

Ojciec mówił: Nikt nas nie słyszy, z wyjątkiem Boga, a on przecież i tak wszystko wie. Nasza spowiedź jest zatem zwrócona ku nam samym, uświadamia nam naszą słabość, której człowiek nawet w Jego imieniu nie może z nas zdjąć, rozgrzeszając i nakazując pokutę. Czy zgodzisz się ze mną?

Nic nie mówiłem, czekając, co dalej powie Ojciec Święty.

Ojciec mówił, a ja zrozumiałem, że mam wysłuchać jego spowiedzi, w duchu modląc się, by nie była ostatnią: Pragnę, byś mnie wysłuchał, i nie proszę o rozgrzeszenie. Symonia jest zdradą. Tak chce Ewangelia, gdy Szymon kupczy świętością ducha. Tak mówi nasz Dante, którego głosu zbyt często już

dziś zapominamy. I ja to wiem. Musisz jednak i ty wiedzieć, że nadchodzą dla Kościoła czasy trudne. I tylko Kościół silny, bogaty materialnie, będzie mógł zadbać o czystość naszej wiary, odrzucając zło, jakie narosło przez wieki. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Jeśli coś robimy, to nie dla siebie, lecz dla Niego. Nie pochwalam kupczenia stanowiskami, nie pochwalam sprzedawania odpustów, lecz dzięki temu nasz Kościół stał się silny jak nigdy dotąd. I wierzę, że przetrwa, choć za mojego życia niejeden wieszczęł jego rychły koniec. Zło bowiem nie śpi, jest obecne w każdym z nas. Od nas samych zależy, czy potrafimy z nim walczyć w imię jedności Kościoła.

Ja mówiłem: Przyjechałem do Ojca, żeby o tym rozmawiać.

Ojciec mówił: Wiem, mówiono mi. Opowiedz dokładnie, co zamierzasz.

Ja mówiłem: Wspólnie z bratem Jakobem piszemy dzieło, które rozesłane do wszystkich naszych gmin, diecezji, klasztorów i parafii, będzie nauką i radą dla tych, co każdego dnia i każdej nocy strzegą wiary przed siłami zła.

Ojciec mówił: Mam rozumieć, że nadal chcesz walczyć z czarownicami? Chcesz przekazać innym swoją wiedzę?

Ja mówiłem: Tak. Pragnę uzyskać Ojca zgodę i błogosławieństwo.

Ojciec mówił, a na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki: Mój drogi, przecież czarownic nie ma. Sami je stworzyliśmy, by skuteczniej walczyć z herezją, zagrażającą jedności Kościoła. Czarownice istnieją jedynie jako wytwór naszej imaginacji. Zastanów się nad tym, co mówię. Nie trzeba nam nowych ofiar. Na końcu swojego ziemskiego życia, prosząc o odpuszczenie, widzę to lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Ja mówiłem: Gdybym Ojca nie kochał i nie znał, mógłbym te słowa uznać za herezję.

Ojciec wstał i opierając się na lasce, mówił podniesionym głosem: Mimo wszystko to ja jestem papieżem i ja decyduję, co jest, a co nie jest herezją. Jeszcze ja, nikt inny. Giuliano odprowadzi cię do wyjścia.

Ja mówiłem: Czy mam Ojca zgodę?

Ojciec mówił: Nie mogę ci zabronić, ale nie będę cię też wspierał, bo zamiast budować potęgę Kościoła, chcesz go na długie wieki uwikłać w wojnę z nieistniejącym wrogiem.

Ja mówiłem: Mój Ojczy, my już z nim walczymy. Każdy na swój sposób.

Trwonimy siły, zamiast wydać wojnę szatanowi siłą potęgi całego Kościoła Bożego.

Ojciec mówił: Niech zostanie, jak jest, synu. Nie trzeba nam żadnych wojen. Gdy ją rozpoczniesz, wepchniesz Kościół na długie wieki w konflikt, który skończy się dla nas klęską. Jeśli chcesz prowadzić wojny z czarownicami, rób to w swojej parafii, jak do tej pory. Rzymowi zostaw politykę. Idź już. Jestem zmęczony twoją obecnością.

Ja mówiłem: Ojciec mój!

Ojciec mówił: Idź. Obyś nie stał się narzędziem w jego rękach.

Ja mówiłem: Jestem narzędziem w jego rękach, Ojciec.

Ojciec mówił: A skąd wiesz, czy to są ręce naszego Pana? Żegnaj.

Co więc miałem teraz myśleć, kiedy wieczorem, siedząc w bibliotece, pochylałem się nad „*Vitae pontificum*”, opisującym życie papieży, poczynając od świętego Piotra? Nie mogę zaprzestać swojej pracy. Moja misja dopiero się zaczyna. Ulegając pokusie posłuszeństwa wobec Ojca Świętego, popełniłbym niewybaczalny grzech. Ale czy go nie popełniam, odrzucając rady mojego drogiego Francesca? Jestem jak pszczoła szukająca zgubionego ula. Nie pojmuję, jak do tego doszło, że mój Ojciec tak bardzo się zmienił. Pamiętam jego niczym niezachwianą pewność prawdy i ufność w siłę Bożą. Albowiem nie ma innej prawdy, tylko ta, że siły zła czekają, skrywają się za plecami każdego z nas, gotowe do ataku. Im mniej o nich mówimy, tym bardziej aktywnie działają. Prawda, są obecne także w każdym z nas, choć nie do każdego mają równy dostęp. Jeśli będziemy udawali, że ich nie ma, sami siebie skazemy na wieczną tułaczkę, na poszukiwanie świętości, a znajdziemy tylko ból, smutek i płacz. Najwyższy powołał mnie do życia nie po to, bym je przeżył jak ćma, lecąc ku światłu zniszczenia, lecz bym rozsądnie a zdecydowanie walczył w jego imieniu. Jako anioł, z mieczem Michałowym w dłoni, wycinał wrzody naszego Kościoła. Sam jeden przeciw wszystkim. To moje zadanie. Wykonam je, nawet gdybym spotkał na swojej drodze jedynie przeciwności. Znam te oczy pełne nienawiści. Wielokrotnie widziałem je we śnie, a na jawie pod postacią jego nawiedzonych adeptek udających ptaki. Dwa światy – szatański i zwierzęcy – przenikają się wzajemnie, czyniąc życie pasmem udręki. Mimo zmęczenia nie spocznę,

aż walka zostanie wygrana. I otworzą się bramy nieba, i wstąpię weń, zasiądę po prawicy Pana, by ogłosić ostateczne unicestwienie grzechu i oczyszczenie świata od wszelkiego zła. Po prawicy, gdzie siedzi już On, lecz i dla mnie starczy tam miejsca.

Ty, do którego teraz mówię, a którego imienia nie chce mi się nawet wymawiać, jest mi bowiem wstrętne, już nigdy nie zaznasz spokoju. Gdziekolwiek jesteś, nie zaśniesz. Czuwam. Ja, Heinrich Kramer, z Bożej łaski Institor, wydaję ci wojnę nie w imieniu Kościoła, lecz w swoim imieniu, tak jak chciał Francesco. Dziś, schorowany, nie ma już sił. Tylko w ten sposób mogę wytłumaczyć zachowanie mojego Pana i Ojca. Niedana mi była nawet próba przekonania Francesca. Odchodziłem w niepokoju nie tylko o niego, ale o przyszłość całego Kościoła. Nie wiem nawet, czy to nadal mój Kościół. I czy kiedykolwiek znajdę w nim jeszcze swoje miejsce. Wiem, że to moje zło. I że sam muszę, aż do ostatecznego zwycięstwa, stoczyć tę walkę.

XI LIPCA MCDLXXXIV

W Rzymie spędziłem ponad pół roku Pańskiego. Z miesięczną przerwą na wyjazd i pobyt w diecezji Konstancja, głównie, choć nie tylko w Konstancji, także w Weingarten, mieście dobrze mi znanym, w którym już zdarzało mi się sądzić i skazywać na potępienie. Z opactwa benedyktynów w Weingarten przyszedł do Stolicy Piotrowej list, adresowany na Ojca Świętego. Jako że Ojciec nie był już w stanie odpowiadać, list przekazano mnie. Giuliano della Rovere przyniósł mi go któregoś ranka, z prośbą, żebym odpowiedział lub, jeśli to możliwe, osobiście udał się na północ i, jak się wyraził: „podjął odpowiednie kroki”. List zaczynał się jak każde pismo składane na święte ręce papieża, ale to, co w nim można było dalej czytać, skłoniło mnie do szybkiego wyjazdu. Oto list, datowany na dzień piąty miesiąca czerwca, a właściwie obszerne fragmenty listu, gdyż cały musiałby zająć zbyt wiele miejsca, którego to miejsca na kartach ciągle mi brakuje:

„Umiłowany Ojcze Święty, z woli naszego Pana ośmielamy się mówić. Wiele złego zdarzyło się w ostatnich tygodniach w naszej diecezji. Wieś Bodman, położona nad wielką, znaną Wam wodą bodeńską, była

świadkiem trwogi, opowiadanej przez mieszkańców okolic Konstancji, Ravensburga, a nawet Weingarten – Waszych ulubionych miast, do których przyjeżdżaliście w latach młodości dla odpoczynku. Nad owym jeziorem, zwanym od wsi: bodeńskim, widziano unoszące się postacie. Przemieszczały się w różne strony, z jednego na drugi brzeg. Działo się to zazwyczaj w czasie pełni Księżycy i w bezchmurne noce, a postacie, według zeznań świadków, były kobietami, o czym przekonuje sposób, w jaki podróżowały. Mianowicie siedząc nie okrakiem na miotłach, lecz bokiem, jak kobieta dosiada wierzchowca. Kiedy owe zdarzenia nagle ustały, równie nagle krowy we wsi Bodman poczęły dawać mleko zabarwione na krwisty kolor. Jako że osobiście tych zdarzeń nie widzieliśmy, możemy się jedynie pożytkować relacjami. Postanowiliśmy prosić o przysłanie delegacji, która lepiej i godniej niż my sami podejmie odpowiednie kroki dla wyjaśnienia owych, niepokojących wydarzeń”.

Z podpisanych pod listem znałem tylko ojca Paola, benedyktyna, z którym widziałem się jedyny raz dziesięć lat temu w Rzymie, gdy uczestniczyłem w zgromadzeniu generalnej kapituły naszego zakonu i musiałem odpowiadać na zarzuty o obrazę cesarza Fryderyka za moje kazania. Istotnie, wiem to, zbyt ostro potraktowałem Fryderyka, głosząc jego oddalenie od Kościoła Bożego, choć z drugiej strony jego ród, wywodzący się z niewielkiej, choć coraz głośniejszej rodziny Habsburgów, robi wiele, żeby zawładnąć całą niemiecką ziemią na długie lata. Jak mi się zdaje, jest jednak zbyt zachłanny, dlatego nie przetrwa dłużej niż to i może jeszcze następne pokolenie. Bo wielkie rody szybko rosną i szybko upadają, gdy chcą zbyt wiele. Ostatecznie jednak to ja dostałem wtedy tytuł magistra teologii, na potwierdzenie składanych zarzutów, a stanowisko *Praedicator generalis*, jakie otrzymałem, utwierdziło mnie w przekonaniu, że racja była po mojej, a nie cesarza stronie. Tak też uważał Paolo i choć sam z innego niż moje zgromadzenia, doskonale znał przyczyny konfliktu.

Szczęśliwym trafem, gdy przebywałem w Rzymie, zjechał do Świętego Miasta także Paolo. Miał być zaledwie trzy, cztery dni, czekając, aż Ojciec Święty zdecyduje się ruszyć do Konstancji na odpoczynek. Paolo

miał mu towarzyszyć w drodze. Sprawy potoczyły się jednak inaczej i cierpiący papież zdecydował o pozostaniu, przynajmniej kilka najbliższych miesięcy, na Stolicy Piotrowej. Spotkałem Paola przypadkiem na Lateranie, gdy szedł do drogi powrotnej. Nie było już czasu na rozmowę, Paola wzywały obowiązki, jednak wiedząc, że zostałem wyznaczony do roli inspektora, obiecywał wszelką pomoc na miejscu, w Konstancji. Wtedy miałem się dowiedzieć, co zaszło i, być może, podjąć odpowiednie kroki. Jakże? Tego nigdy się nie wie, zanim się nie przeprowadzi wizytacji na miejscu.

Ruszyłem tydzień później, konno, w asyście czterech braci dominikanów, których mi dał Giuliano, dla bezpieczeństwa podróży. Droga nie była łatwa. Wiosenne roztopy rozmyły szlak, a letnie upały i gorące wiatry wyłobiły przepastne koleiny, czyniąc długie odcinki niemal nieprzejezdnymi. Wiele razy musieliśmy zsiadać i prowadzić konie, omijając dzieła przyrody, z którą człowiek nie umie lub nie chce sobie poradzić. Tak, drogi to największa zmora cesarstwa. O ile w Italii bywa wiele utwardzonych duktów, to północne prowincje, a raczej ich szlaki, wyglądają ciągle tak samo źle, jak za Wandalów i Hunów.

Dotarliśmy do Konstancji o świcie, po siedmiu dniach podróży. Z przysiółka Bodman, łodzią czekającą na nas, ale też na innych podróżnych przy brzegu, przeprawiliśmy się na niewielką wyspę, na której od setek lat stoi opactwo Benedyktynów, znane w całym, chrześcijańskim świecie, bo założone przez Pirminiusa, misjonarza wspomnianego do dziś w wielu diecezjach, a szczególnie na pograniczu Francji, Niemiec i Italii.

Jan Pfuser, opat, sprawujący opiekę nad swoją trzodą już dwadzieścia lat, ale wciąż, jak ja, młody duchem, właśnie kończył celebrę w kościele świętej Marii. Przybiegł do nas natychmiast po ostatniej modlitwie, trzymając w obu dłoniach habit, który, wyraźnie zbyt długi, plątał mu się u kolan i stóp, zostawiając z tyłu ślad, jakby celowo sprzątniętej ziemi. Przez chwilę pomyślałem o nim jak o ślimaku, który pełzną, czyni tak samo. Nieco zdyszany, ale uśmiechnięty, rzucił mi się na szyję, choć przecież nigdy się nie widzieliśmy. Domyśliłem się, że dobry Paolo uprzedził nasz przyjazd. Okazało się jednak, że poprzedniego dnia opatowi przywieziono z Rzymu

list. Posłaniec był szybszy niż my, więc ojciec Jan wyczekiwał naszego przybycia lada dzień.

– Naczekaliśmy się, oj, naczekaliśmy – powiedział, łapiąc oddech.

Poczułem się niezręcznie, ściskany przez nieznanego, więc delikatnie odsunąłem rękę opata. Nigdy nie lubiłem takich nieoczekiwanych czułości, szczególnie gdy okazywały je osoby mi obce. Przybytek czułości bardzo często bowiem potrafi się zmienić w zbytek nienawiści i uprzedzeń, gdy ludzie zaczynają poznawać swoje *credo*. Wstrzemięźliwość w każdej dziedzinie pozwala uniknąć nieporozumień. Zawsze trzymałem się tej maksymy. Nigdy mnie nie zawiodła, nie będę więc jej dalej zmieniał. Dla nikogo.

– Tyle słyszałem o ojcu, a teraz mam szczęście ojca poznać i uściskać – jeszcze raz zabrał się za ściskanie i znowu musiałem go powstrzymać przed tym nieuzasadnionym przyplływem serdeczności.

Nie zdążyłem wypowiedzieć nawet słowa, bo opat nie przestawał mówić. A mówiąc, nieznacznie seplenił, tak że ślina wypluwała mu się bezwiednie, tryskając wprost na moją twarz i czoło. Stałem więc w bezpiecznej odległości, a on gadał i gadał, parskając i sapiąc.

– Jakie to szczęście, jakie szczęście, że tak sławnego pasterza możemy u nas gościć, tu na prowincji, a ojciec z pewnością przywykł do Rzymów i innych wielkich miast cesarstwa. Do wygod i miejskich atrakcji. My tu, skromni mnisi, pracujemy na chwałę Pana jakby trochę na końcu świata, nad wielką wodą, daleko nam do zbytku nowoczesnego świata. Zatopieni w księgach, niewiele wiemy o świecie. Konstancja wprawdzie, jako miasto, urosła, ale gdzie jej tam do miast francuskich czy włoskich. Ciągłe nam przypominają sobór z początków stulecia i spalenie tego biednego kaznodziei Husa. Nic ważniejszego się tu nie wydarzyło. Każde odwiedziny to dla nas zaszczyt, tym bardziej takich osób jak ojciec. Papiescy delegaci raz na kilka lat zaglądają. Już nawet częściej sam Ojciec Święty nas wizytował. Ostatni raz mieliśmy szczęście gościć Sykstusa trzy, może cztery lata temu, był trochę chory, więc go braciszkanie nosili w lektyce na brzeg jeziora, a on

oddawał się kontemplacjom. Zapatrzony w wodę, zdawało się nieobecny, z pewnością rozważał sprawy, o których nam, prostaczkom, nawet się nie śniło. Pobył dziesięć dni, nabrał sił i wrócił do Stolicy Piotrowej. Słyszymy jednak i czytamy, że jego dni wydają się już przeliczone i Pan niebawem wezwie go do siebie...

– Pozwoli ojciec, że z miejsca zajmę się badaniem – przerwałem opatowi, bo gdybym tego nie zrobił, prawdopodobnie do południowej modlitwy musiałbym wysłuchiwać, co ma do powiedzenia w tematach, które mnie w tej chwili mniej obchodziły. Niewysoki, lecz upasiony na klasztornym wikcie, z przekrwionymi białkami oczu od nadmiaru spożywanego wina lub co gorsza gorzałki, mógłby zapewne opowiadać w nieskończoność. Domyślałem się, że i pokuta jest mu obca. Nasz kler, mówię to z żalem, częściej oddaje się rozpuście niż modlitwie i umartwianiu, które przecież zawsze prowadzi do Boga. Nie trzeba tego tłumaczyć. Z trunkami, jak z ludźmi, trzeba uważać. Mogą być twymi przyjaciółmi, ale też łatwo stają się wrogami, gdy nierozsądnie z nimi postępujesz.

– Naturalnie – odpowiedział, jak mi się wydawało, nieco urażony – brat Paolo już czeka na ojca. Spotkamy się wieczorem, wtedy oprowadzę ojca po naszej bibliotece, jeśli ojciec będzie sobie życzył.

Zaprowadził mnie i czterech moich braci do refektarza, gdzie zobaczyłem Paola zatopionego w lekturze *breviarium*. Przewracał kartka po kartce, jakby czegoś szukał w zapisie czynności i terminów modlitw. Przywitaliśmy się serdecznie. Paolo, młodszy ode mnie o co najmniej dziesięć lat, wydawał się starszy niż ja, siwy już, ze zmarszczkami na twarzy, a ponadto zasępiiony, nawet gdy mnie zobaczył, nie zauważyłem na jego obliczu radości, raczej smutek, jakby chciał powiedzieć, że obu nas czekają trudne dni.

Paolo dał nam kwatery w klasztorным budynku tuż nad wodami jeziora. Znużeni drogą, chcieliśmy wypocząć godzinę lub dwie, jednak oczekiwał, że niezwłocznie zajmiemy się badaniem. Tak też zrobiliśmy, odkładając sen na później.

Pierwszego dnia, aż do zmierzchu, Paolo prowadził nas wzdłuż jeziora, do osad, które były świadkami wydarzeń. Sam opowiadał lakonicznie,

co wcześniej słyshał. Do dziwnych lotów nad jeziorem, do obstrukcji w dawaniu mleka przez zwierzęta gospodarskie lub dawaniu, lecz zabarwionego różowo, doszedł jeszcze jeden, wyjątkowo niepokojący fakt. Otóż w kilku obejściach zdarzył się pomór bydła. Nagle i niespodziewanie krowy, także owce, zaczęły padać. Nieodgadniona przyczyna pomoru od razu, prawdopodobnie słusznie, została powiązana z obecnością złych mocy.

Rozmowy, jakie prowadziłem z ludźmi, nie potwierdzały jednak wcześniejszych doniesień. Być może obawa przed papieską delegacją zamknęła wszystkim usta. Zdziwieni moją obecnością, woleli milczeć. Niektórzy z nich znali moje imię, Institor, nie powiem, żeby mi to nie schlebiało, nie mogę też ukryć, że wyczuwałem bojaźń, gdy dowiadywali się, kto do nich przybył i w jakim celu.

Niezrażeni, kontynuowaliśmy pochód. Dopiero zataczając koło, na samym końcu wyspy konstancjańskiej, nad brzegiem jeziora, docierając do znanej w okolicy, jak powiedział Paolo, karczmy, usłyszeliśmy prawdę lub tylko jej część.

Karczmarz, przedstawiający się jako Baptiste Santi, przyjął nas winem i późnym obiadem złożonym z ryb i świńskiego mięsa, co dziwne, bo nigdy jeszcze nikt mnie nie raczył obojgiem mięs jednocześnie, rybnym i zwierzęcym. Po posiłku, jak zawsze jadłem mało, tyle żeby zaspokoić pierwszy głód, za to piłem więcej, przystąpiliśmy do rozmów.

Baptiste od początku wydawał się zmieszany, jakby próbował coś ukryć. Domyślałam się, że tylko obecność Paola, którego znał dobrze, kazała mu mówić. Spisując relacje Baptiste Santi, czułem, że mogą być niepełne lub nawet fałszywe. Lata posługi wyostrzyły mi bowiem uwagę na kłamstwa, które później i tak musiałem przysposabiać do rzetelnej prawdy. Ufność jest siostrą naiwności, tak jak nienawiść matką upadku.

Oto relacja Baptiste Santi, od razu muszę to powiedzieć, co najmniej zaskakująca, nie tylko mnie, ale także braci słuchających:

„W tym miejscu rodzina nasza żyje od pokoleń. Zawsze pobożna, nieraz wspierała okoliczne klasztory zarówno datkami, jak i rybami łowionymi w jeziorze. Za mojej pamięci, człowieka pięćdziesięcioletniego, papież Mikołaj, papież Paweł, a ostatnio Sykstus przyjeżdżali tu na odpoczynek.

Szczególnie Sykstus upodobał sobie to miejsce, goszcząc nawet w naszych skromnych progach dwa lub trzy razy, chwalać potem przyjęcie, z jakim się spotkał. Tak więc bliskość Kościoła Bożego dodawała nam sił, by jeszcze lepiej służyć naszemu Panu. Nigdy też nie byliśmy świadkami zdarzeń, które mogły być inspirowane przez diabelskie siły. Wręcz odwrotnie, wszelkie podejrzenia o czarownictwo, tak liczne w naszej prowincji, zawsze nas, jak i całą Konstancję, omijały, co rozumieliśmy jako rzecz zupełnie naturalną, zważywszy na, przynajmniej od czasu do czasu, obecność Ojca Świętego w tych stronach. Kto skuteczniej niż On mógłby odstraszyć szatańskie plemię? Tym bardziej zdziwiło nas, że niektórzy mieszkańcy miejscowości nad jeziorem widywali coś, czego nie umieli wytłumaczyć inaczej, jak siłą nieczystą. Ktoś widział loty czarownic z jednego na drugi kraniec jeziora, komuś podobno krowy zaczęły dawać czerwone mleko, a jeszcze innym w ogóle nie dawały się doić, kopiąc i wierzgając, gdy tylko ktoś się do nich zbliżył. Słyszano także zawodzenie powtarzające się co noc na południowym brzegu jeziora. Mówię, co słyszałem, bo sam nie widziałem nic. Każda z tych zasłyszanych historii wydawała mi się wątpliwej wartości. Ludzie u nas przewrażliwieni, zbyt łatwo dają się przekonywać do rzeczy niemożliwych. Zapewne tak było i w tym przypadku, że ludziom coś się wydawało, a potem historia, wzięta na języki, poczęła żyć, otaczać się szeregiem zmyślonych wydarzeń”

– To już ja, panie Santi, osądzę z Bożą pomocą, co jest, a co nie jest zmyśleniem – powiedziałem na koniec relacji.

– Z pewnością, z pewnością – przyznał skwapliwie Baptiste. – Po to przecież ojca do nas delegowano.

– A gdzie to trzyma pan, panie Santi, swoją żonę i córkę? Czy aby nie w szopie? – zażartował Paolo, przerywając tę krótką wymianę zdań między mną a Santim. – Cały wieczór ich nie widzieliśmy, a ojciec Heinrich z pewnością chętnie by obie poznał.

Pan Santi, choć nieśpiesznie, przywołał służącego, tego samego, który nam donosił jedzenie i picie. Coś mu szepnął do ucha i służący pobiegł na schody prowadzące ku piętru karczmy, na którym, zapewne, znajdowały

się pomieszczenia sypialne. Santi zniknął na chwilę w kuchni. Wrócił, niosąc kolejny dzban wina, dobrego wina własnej produkcji. Przyznam, że rzadko piłem równie smaczne, choć młode, jednoroczne, jednak mocne i pozbawione cierpkości świeżych win. Jak mi to wyjaśnił Paolo, a potwierdził pan Santi, wyspa, na której przebywaliśmy, rodzi najlepsze grona w okolicy. Głównie za sprawą ciepła. Zimą jedynie w tym miejscu, ze wszystkich pól wokół Konstancji, otoczonej z każdej strony wodą, nigdy nie chwyta mróz. Najstarsi bracia zakonni, a są tu tacy, co pamiętają jeszcze sobór w Konstancji, zaczęty w 1414 roku (a także wstyd, jaki towarzyszył kłótniom trzech papieży, z których każdy uważał się za jedynego), czyli dobiegają dziewięćdziesięciu lat, nie pamiętają też, by kiedykolwiek padał tu śnieg, co najwyżej śnieg i deszcz razem, a i to nie częściej niż raz na kilka lat. Już nieco dalej, w mieście, na stałym lądzie owszem, i mróz i, śniegi od czasu do czasu, ale na wyspie nigdy, zimy łagodne jak w Neapolu lub Rzymie. Ziemia przy tym o wiele lepsza niż tam, bywa, że rodzi dwa, trzy razy w roku, co nie zdarza się w innych miejscach po tej stronie gór. Dlatego być może upodobał sobie to miejsce siedemset lat temu Pirminius. Mogło mu się wydawać, że odkrył raj. Nic dziwnego, że kazał w tym miejscu stawiać klasztor.

Rozważania przerwaliśmy nagle, bo na schodach pojawiły się dwie kobiety, podobne do siebie jak odbicie w lustrze. Starsza ubrana w aksamitną, czerwoną suknię, spod której wychylał się kołnierz białej koszuli. Ciemne, sięgające piersi włosy dopełniały niezwykłego obrazu. Wysoka, może nawet zbyt wysoka, bardzo szczupła, schodząc, musiała uważać, by nie zaczepić głową belek nad schodami. Elegancja i uroda aż nadto widoczne, mimo że pani Santi nie była już przecież kobietą pierwszej młodości.

Obok niej szła dziewczyna o identycznej twarzy, identycznych, niemal czarnych włosach, spiętych czerwoną kokardą za głowę, niewiele tylko niższa, nie dałbym jej więcej niż osiemnaście lat. Zamiast sukni ubrana w czarną bluzkę z szerokimi rękawami, także czarne spodnie, jak mężczyzna, zdaje się, skórzane to były spodnie i wysokie do kolan, skórzane buty. Kiedy na nią spojrzałem, ujrzałem anioła. Jej mleczna cera, regularne rysy, smukłość w połączeniu z godnością kroku, którą widać nabyła za sprawą matki, czyniło z niej zjawisko niezwykłe. „Szczęśliwy, kto ją posiadzie” –

przyszło mi do głowy i zaraz zdałem sobie sprawę z lubieżności tych myśli. Odpędziłem je ręką, co mogło wyglądać, jakbym odganiał natrętną muchę. A jednak myśli same przychodziły do głowy. Córka Santiego miała idealną postać. Gdyby ją ujrzeli florency mistrzowie, bez wątpienia wpadliby w zachwyty. Ja też nie mogłem oderwać wzroku. Jej usta, milcząc, wyrażały cały zachwyty świata. Jej szyja i otwarty dekolt, wychylający się spod bluzki, świadczyły o dziewczęcości i zarazem budzącej się kobiecości. Oczy. Tak skromne, jak wyzywające. Ogromne, czarne jak jej włosy. Oczy patrzące odważnie i do pewnego stopnia bojaźliwie, jakby chciały powiedzieć: „patrzcie, patrzcie, syćcie się tym widokiem, oglądacie bowiem dzieło sztuki”. Gdyby tak rzeczywiście myślała, miałaby całkowitą rację. Nigdy jeszcze nie widziałem równie wielkiej urody. Choć tu nie tylko o urodę chodzi. Córka Santich swoją postawą, śmiałością kroku, spojrzeniem, które kazało chować wzrok w obawie przed odkryciem natrętnych oczu, uosabiała wszystko, co może być Boskim spełnieniem. Czy tak wyglądała Najświętsza Maria? A może Maria Magdalena? Pamiętam ich wizerunki, dzieła słynnych mistrzów. Każdemu daleko było do oddania piękna tej młodej kobiety. Ale czy uroda nie bywa czasem dziełem szatańskim? Czy nie jest nim najczęściej? Może nawet zawsze? Kusicielska, obezwładniająca, przynosząca zapomnienie o Bożym świecie. Strzeż się, Heinrichu Kramerze, bo nie przypadkiem na własne oczy zobaczyłeś to piękno. W jednej chwili zapomniałem, w jakim celu tu przybyłem. Zapomniałem o bracie Paolo i o tym, gdzie jestem. Uniosłem się z krzesła i szybko usiadłem, nieco zawstydzony swoją reakcją, aż nadto dla wszystkich zrozumiałą. Dopiero co ją zauważyłem, a wydało się, chwila trwa wieczność. Chciałbym zatrzymać chwilę, aby delektować oczy niepowtarzalnym obrazem. Taką doskonałość można jedynie kochać lub znienawidzić. W jednym i drugim przypadku za to samo. Za skarb, który nosi jej skóra, jej cała postać. Skarb niedostępny, rzadki. Zazdrość o piękno, jestem tego pewien – przyszło mi do głowy – rozpala namiętność każdego, kto je ujrzął, jak teraz ja, z bliska, z coraz bardziej bliska.

Zeszły ze schodów i stanęły przed stołem, z którego służący dawno już sprzątnął misy z jedzeniem, zostały jedynie kielichy z winem i prawie do dna opróżniony dzban.

– Przedstawiam ojcom moją żonę Florencję i córkę Annę – Santi wstał, podał rękę żonie i w ten sposób obie przyprowadził do stołu. Kiedy usiadły, mówił dalej, zwracając się do kobiet. – Ojca Paola znamy. Ojciec Kramer dopiero co przybył z Rzymu. Jako delegat Ojca Świętego ma zbadać ostatnie wydarzenia, o których słuchy doszły aż na Lateran.

– Mówisz, ojcze, o tych bajkach opowiadanych przez ludzi nad jeziorem i w ogóle... – córka karczmarza, mówiąc to, wykrzywiła usta, dając wyraz swojej dezaprobaty.

– Moja droga, nie mów tak – przerwał jej Santi. – Ojciec Kramer gotów pomyśleć, że obce nam są niebezpieczeństwa czyhające na człowieka za sprawą szatana.

– Mnie są obce, ojcze. Wiesz, co o tym myślę – córka Santiiego spojrzała na mnie, musiałem więc zająć stanowisko.

– A co pani myśli, jeśli mogę się dowiedzieć? – udałem zdziwionego, choć najbardziej zdziwiony byłem nią samą, jej obliczem, które teraz, lekko naburmuszone, stało się jeszcze piękniejsze, bo niedostępne.

– Myślę, że w czasach, gdy we Florencji, Strasburgu, Bazylei, Pradze, Krakowie czy w Padwie naukowcy tłumaczą świat racjonalnie, mówienie o szatanie jest już troszeczkę nie na miejscu. Ja bym się w każdym razie wstydziła.

– Anno... – skarcił ją Santi. – Wybacz, ojcze, córka szykuje się do wyjazdu na uniwersytet w Bazylei. Może tam choć trochę zmądrzeje.

– To ciekawe – próbowałem dopytywać, zaskoczony tym, co usłyszałem. – A więc uważa pani, że szatana nie ma. Czy dobrze zrozumiałem?

– Oczywiście, że nie ma. Jeśli gdzieś jest, to tylko w głowach ludzi, którzy tak wiele czasu mu poświęcają, że w końcu uwierzyli w jego realność.

– A czym, młoda damo, wytłumaczysz zło, które panoszy się po świecie?

– Człowiekowi, żeby być złym, nie jest potrzebny szatan. Wskazując na szatana, jedynie usprawiedliwia swoje złe uczynki.

– Może nam jeszcze powiesz, że i Boga nie ma – nie ustawałem w pytaniach.

– Jeszcze go nie poznałam, choć przyznaję, bardzo się staram i, da Bóg, odnajdę.

– Anno – nie wytrzymał Santi. – Jeszcze ściągniesz na nas nieszczęście...
– A kto twoim zdaniem kieruje całym światem? Kto go stworzył? – spytałem.

– Tego nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle ktoś kieruje – odpowiedziała skwapliwie.

– Czyli staje się samo. *Perpetuum mobile*, uważasz, tak? Samo z siebie, bez udziału siły wyższej, tak mam to rozumieć? – dopytywałem.

– Nie wiem, choć to bardzo prawdopodobne.

– Jeśli – tu zwróciłem się do pana Santi – wszyscy w tej okolicy myślą podobnie, wcale mnie nie dziwi aktywność szatana, który najchętniej pozyskuje naiwnych, niewierzących w jego istnienie. Kiedy w końcu zaczynają wierzyć, bywa, jest już za późno...

– Słyszałam o ojcu – Anna mi przerwała, odrzuciła włosy na ramiona. Właśnie takie kobiety, ponad miarę urodziwe, choć jeszcze niewinne, szatan z pewnością uwodzi najchętniej.

– Wcale mnie to nie dziwi – odpowiedziałem. Chciałem już zapytać, gdzie o mnie słyszała, ale pytanie okazało się niepotrzebne.

– Ludzie o ojcu opowiadają niestworzone rzeczy. Gdy byliśmy u rodziny w Bazylei, poznaliśmy Sebastiana Branta... – przerwała na chwilę, bo Santi dał znak ręką, żeby przestała, ale Anna, jakby na przekór ojcu, mówiła dalej.

– Tak, Sebastiana Branta, o ile pamiętam, przez chwilę ucznia ojca, czyż nie?

– Mówisz o tym poecie, błaznie? Nie nazywam go swoim uczniem, choć w Strasburgu uczestniczył w moich wykładach. Z marnym skutkiem, bo niczego się nie nauczył. Choć przyznaję, zręczny z niego poeta – przypomniałem sobie Branta. Ten młody człowiek rzeczywiście wyrastał ponad swoje pokolenie, które ja nazywam „pokoleniem buntu ignorantów”. Podzielając wiele jego tez, na przykład tę o upadku władzy świeckiej, nie mogłem akceptować języka pełnego ironii, języka prześmiewczego, nieoszczędzającego nawet najwyższych, w tym hierarchów Kościoła. Sprawność intelektualna, moim zdaniem, nie szła jednak w parze z lekkością pióra. Petrarką bez wątpienia Brant nie był.

– Sebastian, z którym się zaprzyjaźniliśmy, opowiadał, że przeprowadził

ojciec sto procesów o czary. I wysłał na stos setkę czarownic.

– To nieprawda – poprawiłem. – Uczestniczyłem do dziś w niemal trzystu procesach, a skazanych doliczyłem się niespełna dwustu. Skazanych nie tylko na stos, także na powieszenie, więzienie lub tylko przepadek tego, co posiadali.

– Dobry wynik.

– A żebyś wiedziała – udałem, że nie wyczuwam ironii w głosie dziewczyny. Intrygowała mnie jej postawa. Uznałem, że mogę uczestniczyć w grze, którą ona sama zaproponowała. Ostatecznie nic nie tracę, a mogę zyskać. Prawda, lecz co zyskać, z wyjątkiem przedłużania konwersacji z pięknem. Dla tego samego warto wstrzymać czas. – Jako delegat papieski, nie ukrywam, mam pewne doświadczenie. W ostatnim czasie bardziej jednak zajmuje mnie teoria niż praktyka.

– I nie ma ojciec żadnych skrupułów?

– Anno, przestań, nie męcz już naszego gościa – pan Santi uniósł się z krzesła, jakby chciał wyprowadzić córkę.

– Przeciwnie – zaprotestowałem – rozmawiajmy dalej, sam jestem ciekaw, do czego nas to zaprowadzi.

– Ani wyrzutów sumienia? – spytała córka Santich.

– Czy skorpion, kłusząc atakującego węża, odczuwa wyrzut sumienia? A niedźwiedź, opędzając się od stada wilków, nie ma do tego prawa? Czy ranny wół źle czyni, ukrywając się przed sępem, czekającym na jego ścierwo?

– Pytam o ludzi, nie o zwierzęta.

– A czym się różni grzeszny człowiek od węża skazanego na wieczne potępienie za udział w grzechu pierworodnym?

– Dziwne, że ojciec nie zauważa różnicy.

– Dziwne jest to, że ty ją zauważasz – powiedziałem zdecydowanie, czym wywołałem nerwową reakcję pana Santiago. Łypnął okiem na żonę. Pani Santi wstała, wzięła córkę pod rękę. Pierwszy i jedyny raz się odezwała, mówiąc: „Już się pożegnamy”.

– Nie, nie, usiądźmy jeszcze, rozmawiajmy, rzadko mam okazję uczestniczyć w takiej debacie – powiedziałem tonem oficjalnym, nieznoszącym sprzeciwu,

aby nie mogły się wycofać i odejść. Mówiąc szczerze, bardziej niż końca rozmowy bałem się ją stracić z oczu. Niech ta chwila trwa jak najdłużej – myślałem i bałem się jednocześnie tej myśli. Zdawałem sobie sprawę, że nie Bóg mi ją podsuwa. – A więc uważasz, że grzech powstaje we wnętrzu człowieka, w jego kiszkach, łożu i tłuszczu, a nie poprzez zewnętrzne działanie szatana? – zapytałem, udając, że na nią nie zwracam uwagi.

– Nie znamy tak naprawdę ani sami siebie, ani tym bardziej Boga – odpowiedziała szybko. – Jak ojciec doskonale wie, pojęcie szatana człowiek stworzył sobie sam, w czasie niewoli babilońskiej. Dwa tysiące lat temu prorok Zachariasz opisał go jako anioła zła, jednak cały czas podlegającego boskiemu prawu, jak o tym mówią uczone księgi, które niestety, nie tłumaczą, dlaczego Bóg pozwala szatanowi na jego nieprawości.

– I ty, młoda dziewczyna, czytasz owe księgi?

– Owszem, jeśli tylko ojciec mi na to pozwala – spojrzała z wyrzutem na Santiago.

– Wielu już było takich, którzy chcieli poznać i zrozumieć Boga. Większość z nich źle skończyła – przypomniałem, wpatrzony w jej oczy. Chciałem odwrócić wzrok, ale nie mogłem.

– Myśli i słowa, także te pisane, pozwalają nam wiedzieć, pozwalają stawać się człowiekowi mądrzejszym. Nawet jeśli ojciec się na to nie zgadza, nic nie powstrzyma ludzkiej myśli i ludzkiej ciekawości.

– Nie jest tak, że się nie zgadzam. Chcę tylko powiedzieć o pokusie, która dla wątpliwej chwały oddała nas od Boga – zaoponowałem.

– Proszę wybaczyć, za chwilę wrócę – powiedziała Anna i znikła na schodach. Jak wszyscy siedzieliśmy za stołem, tak milczeliśmy. Zbiegła, niosąc zbiór kart w ciemnej, brązowej oprawie. Położyła to, co przyniosła, na stole i szybko wytłumaczyła. – Może ojciec przeczytać, jeśli znajdzie czas i ochotę. Tylko proszę mi zwrócić przed wyjazdem.

– Co to jest? – spytałem zdziwiony.

– Moje myśli. Jak ojciec widzi, nikt nie zabronił ich zapisywać. A teraz już panów pożegnamy – powiedziała, biorąc matkę za rękę.

Po czym obie wróciły tam, skąd przyszły, a ponieważ karczmarz przekonał mnie i Paola, że wieczorem nie warto już wracać do klasztoru,

zaraz przygotował nam posłanie i udaliśmy się na spoczynek. Do klasztoru wysłałem jedynie moich braci zakonnych, bo tu, przynajmniej na razie, nie byli mi potrzebni.

Siedząc na łóżku, wziąłem do ręki zapiski (jak je w skrytości ducha nazwałem) Anny Santi. Czytanie sprawiało mi przyjemność i smutek. Kto wie, czego było więcej. Czytałem łacińskie słowa z nadzieją, że jutro rano znów ją zobaczę:

*„Chcę wiedzieć, lecz Bóg nie pozwala.
Czemu mnie rani, nazywając ziarnem piasku,
Gdy z ziarna piasku nie rośnie roślina.
Dlaczego każe być gorszą, niż chcę być ja sama?
Jak mam go pojąć, gdy On nie rozumie
Moich pytań,
Moich łez,
Mojego współczucia,
Mojej wiary w Niego
I niewiary w siebie.
Ściszam głos,
Już prawie milczę,
Zamykam oczy,
Lecz czy to wystarczy?
Nie słyszę odpowiedzi.
W jakim języku mam mówić?
W jakim ludzkim języku?
Dziś rano skaleczyłam palec,
Dziś rano zraniłam duszę,
Dziś rano nie poszłam do nieba.
Muszę być bardzo cierpliwa,
Muszę ufać, że jest coś więcej
Niż brak odpowiedzi.
Moja krew wsiąka w cebulki róży,
Z mojej krwi wyrośnie kwiat,*

*Który o nic nie zapyta,
Ale to już nie będę ja”.*

Tej nocy śnili mi się święci, ojcowie i mędracy Kościoła, co uznałem za znak. Siedzieli jak na konsystorzu, ubrani w szaty pokutne, wymieniając się poglądami o naturze kobiet. Poglądami, które dobrze znałem, czytając ich pisma, nie rozumiem więc, w jakim celu w nocnej marze starali się przypominać swoje mądrości. Wolałbym ich prosić o radę niż wysłuchiwać wciąż tych samych myśli.

– Kobiecie przystoi jedynie szata żałobna. Skoro tylko przekroczy próg wieku dojrzałego, winna zasłonić swe gorszące oblicze, by nie utracić szczęśliwości wiecznej – mówił Tertulian, a gęba mu się przy tym śmiała bardzo filuternie, jakby co zdrożnego opowiadał.

– Kobieta jest istotą pośrednią, która nie została stworzona na obraz i podobieństwo Boga. To naturalny porządek rzeczy, że kobieta ma służyć mężczyźnie – wtórował mu Augustyn.

– Są błędem natury... Z tym ich nadmiarem wilgoci i ich temperaturą ciała świadczą o cielesnym i duchowym upośledzeniu... Są rodzajem kalekiego, chybionego, nieudanego mężczyzny... Pełnym urzeczywistnieniem rodzaju ludzkiego jest mężczyzna – święty Tomasz z Akwinu pokiwał głową, przyznając rację.

– I są przeznaczone głównie do zaspokajania żądz mężczyzn – krzyknął Jan Chryzostom.

– Kobieta winna zasłaniać oblicze, bowiem nie zostało ono stworzone na obraz Boga – mędrzec Ambroży pogroził czymś w rodzaju pastorału. Nie wiem tylko, komu groził, bo kobiet, przynajmniej na razie, w moim śnie nie było.

– Wartość kobiety polega tylko na jej zdolnościach rozrodczych i możliwości wykorzystania do prac domowych – dodał Akwinata, krzywiąc się na myśl o kobiecie, jak wykrzywia nam usta cierpki i kwaśny sok.

– Kiedy widzisz kobietę, pamiętaj, to diabeł! Ona jest swoistym piekłem! – zakończył dyskusję papież Pius II, którego kiedyś miałem okazję sam poznać, gdy przybył do naszego zgromadzenia w Strasburgu.

Zasypiałem z obrazem córki Santiago. Jej uroda, jednoczesna boskość

i diabelskość, przyciągała uwagę, sprawiała, że czułem się przy niej skrępowany. Jak to inaczej wytłumaczyć niż obecnością szatana? Co mam z tym robić?

Śniłem dalej, choć realność doznań każe wątpić w sen. Że ją nawiedzam. Wspinam się po stopniach schodów, uważając, by żaden nie zaskrzypiał. Otwieram pierwsze z brzegu drzwi, choć nie wiem przecież, że do niej prowadzą. Jest ciemno, ale widzę dokładnie jej nagą cielesność w proporcjach florenckich mistrzów. Śpi odkryta, odwrócona na prawy bok. W ciemnościach widzę tylko zarys jej kształtów. Zdziwiony, robię kilka kroków. Trzask deski w podłodze. Budzi się, rozgląda. Dostrzega mnie, ale zdziwiona, nie wydaje z siebie żadnego głosu. Dotykam jej włosów. Zakrywam jej teraz usta jedną ręką, a drugą rozsuwam nogi. Nawet nie próbuje krzyknąć. Strach odbiera jej mowę. Cała sztywnieje. Czy tak to jest? Czy tak się to robi z kobietą? Ani ona, ani ja tego nie wiemy. Widzę, jak płacze, stara się mnie odepchnąć, ale to niemożliwe, bo już jestem tam, gdzie zawsze chciałem być. Widzę w jej oczach strach i ból. A potem odwraca głowę, leży bezwładnie, jakby bez świadomości. Słyszę tylko, jak bije jej serce. A może to moje? Może kto usłyszy? Ciszej, nie tak głośno.

– I począł się z Ducha Świętego – wypowiadam słowa, których nie rozumiem, one mówią się same. Cicho zamykam drzwi, schodzę na dół, do swojego pokoju.

Wstałem o świcie. Niewyspany, zmęczony nocnymi koszmarami. Wyjrzałem przez okno. Nad jeziorem unosiła się jeszcze mgła, kładąc delikatne smugi na pola, które wyżej położone na środku wyspy, obniżały się w stronę bodeńskiej wody. Z daleka dostrzegłem rybaków zarzucających sieci nieopodal brzegu i gromadę ludzi czekających, zdaje się, na przeprawę na drugi brzeg. Powietrze było rześkie, nawet chłodne jak na połowę czerwca. Słońce nie wyszło jeszcze zza chmur. Być może w ogóle nie miało dziś takiego zamiaru.

Słałem swoje łóżko. Kiedy prostowałem prześcieradło, zauważyłem na palcach lewej ręki kosmyk włosów, owiniętych wokół kciuka. Długich, czarnych, lśniących i miękkich w dotyku. Czyżbym tego nie śnił? Nierealność nocnych peregrynacji utwierdzała mnie w przekonaniu, że musiałem śnić.

A z drugiej strony kosmyk włosów, wyrwanych niechcący, skąd mógłbym go mieć? Czułem ucisk w brzuchu i kołatanie serca. Gdyby to była prawda, jak bardzo musiałbym być chory, by nie pamiętać. Chociaż nie, pamiętałem przecież, uznając moją pamięć za nocną marę. Pierwszy raz doświadczyłem bliskości czy po raz pierwszy straciłem rozum? A może jedno i drugie jednocześnie? Granica między dobrem a złem jest nieostra, jak wzrok starca. Piekło i niebo znalazły sobie jedną ścieżkę. Tak czy owak podążam nią, tracąc zmysły. Dzieje się to przez kobietę, właściwie jeszcze dziecko. Ale nie z dzieckiem obcowałem. Chcę tego i nie chcę zarazem. Płonę, lecz nie czuję ognia, tylko chłód. Na czoło występują mi zimne krople potu. Nigdy się tak nie czułem. W trzewiach mam niepokój promieniujący do lędźwi. Na samo wspomnienie nocy serce przyspiesza.

Nie pytałem gospodarza ani o żonę, ani tym bardziej o córkę. Może nic się nie stało. Santi wydawał się jeszcze bardziej uprzejmy niż wczoraj. A może to tylko gra. Tylko w jakim celu? Czego ode mnie oczekuje? Wie czy udaje, że nie wie. Lecz o czym właściwie może wiedzieć, jeśli i ja nie mam pewności. Jego przychylność wydała mi się podejrzana. Spotkałem w życiu wielu usłużnych, których oblicze zmieniało się, gdy tylko odwracałem głowę. Nadmiernie miłych pochlebców zawsze miałem w pogardzie. Fałszywy sprzymierzeniec jest skory do okrucieństwa, wróg zadowolony się jedynie twoją porażką.

Jako że nigdy rano nie bywam głodny, z miejsca, Paolo i ja, udaliśmy się na ponowny obchód. Im szybciej, tym lepiej. Niemal od razu natknęliśmy się na starą kobietę idącą od jeziora, niosącą dwa wiadra z wodą. Podeszliśmy bliżej. Patrzyła na nas jednym, zdrowym okiem, drugie zasłodziła jej bielmem. Wyglądała jak wrona, której dzieci, dla zabawy, wybiły kamieniem oko. Postawiła wiadra i przypatrywała się nam z ciekawością, mimo że duchownych z klasztoru musiała zapewne widywać codziennie.

– A dokąd to prowadzi Najwyższy? – spytała, przypatrując się na przemian to mnie, to Paolo, dziwnie przy tym wykrzywając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

– Ojciec Kramer – Paolo wskazał na mnie ręką – jest delegatem naszego Ojca Świętego. Ma zbadać tajemnicze wydarzenia, do których dochodzi nad jeziorem za sprawą, jak nam się wydaje, sił nieczystych. Czy słyszałaś coś

może, dobra kobieto? Lub może widziałaś?

– A jakże, niejedno widziałam, niejedno słyszałam – kobieta podeszła bliżej.

– Powiedzcie, co widzieliście, tylko dokładnie, niczego nie pomijając – Paolo spojrział na mnie, a ja kiwnąłem głową z aprobatą.

– Dwie, nie, trzy noce z rzędu widziałam czarownice lecące nad wodą. Słyszałam też jęki, jak gdyby kogoś obdzierano ze skóry.

– Skąd wiecie, że to były czarownice, a nie ptaki przemieszczające się na ląd? – spytałem.

– Ojciec chyba nie wie. Żaden ptak nocą nie poleci. A nietoperz jest za małym stworzeniem, żeby go pomylić z ludzką czy może nieludzką postacią.

– Skąd i dokąd leciały? – pytałem dalej.

– Skąd, tego nie wiem, ale nikły na tym wzniesieniu, tam gdzie karczma żydowska.

– Jaka karczma?

– Karczma Żyda, Santiego, nie ma tu innego Żyda.

– Słyszałeś, mój drogi, żeby Santi był Żydem? – odwróciłem się do Paola, który stał w bezpiecznej dla siebie odległości, jakby się obawiając złego oka kobiety.

– Tak ludzie mówią, ojczy, że maran – odpowiedział Paolo. – Ale czy to prawda, nie wiem. Nigdy, mówiąc szczerze, się nad tym nie zastanawiałem. Zresztą oni są tu tak dawno, że gdyby nawet kiedyś byli wyznawcami starego prawa, już dawno stali się wiernymi nowego. Wspierają i wspierali klasztor, żyją zgodnie ze wszystkimi sakramentami...

– Wychowują córkę na heretyczkę – przypomniałem wczorajszą rozmowę i to, co mówiła córka Santiiego.

– Przejdzie jej, ojczy, kiedy pozna życie.

– Nie jestem tego taki pewien, Paolo, nie jestem pewien – odparłem, łącząc nitki tej delikatnej tkaniny, jaką w każdym przypadku jest śledztwo w sprawie obecności Złego.

Kobieta z jednym zdrowym okiem nie miała nic więcej do powiedzenia. Ruszyliśmy więc dalej, napotyając pasterza, pędzącego przed sobą niewielkie

stado kóz. Niskiego wzrostu, z potężnym garbem na plecach, przypominał bardziej małego dromadera niż człowieka. Przsiedliśmy z nim na kamieniu, przy samym brzegu jeziora. Jego opowiadanie było podobne. Opowiadając, ślinił się i mlaskał, jak głodny, który widzi suto zastawiony stół. Sam nie zauważył nocnych lotów, jedynie o nich słyszał, za to jęki i nawoływania dochodzące od strony gospodarstwa Santich słyszał nie dalej niż dwie, trzy noce wstecz. Na wszelki wypadek przepędza swoje stado na drugi kraniec wyspy, byle dalej.

Podziękowaliśmy pastuchowi i szliśmy dalej, dochodząc do miejsca, na które się wczoraj przeprowadziliśmy łodzią z miasta Konstancja. Ku naszemu zdziwieniu na brzegu stała wcale liczna grupa ludzi. Przekrzykiwali jeden drugiego, tocząc bez wątpienia jakiś spór. Kiedy nas zauważyli, ściszyli głosy, a gdy do nich podeszliśmy, całkiem zamilkli. Niektórzy z nich mnie poznali z wczorajszego obchodu.

– O czym to tak rozmawiacie, dobrzy ludzie? – pierwszy odezwał się Paolo.

– Wybaczcie, ojcowie – do przodu wyszedł, zdaje się, najstarszy z mężczyzn, ubrany w jasny, lniany płaszcz. Na głowie miał słomkowy kapelusz, który natychmiast zdjął zamaszystym ruchem, w ten sposób nas witając. – Właśnie chcieliśmy iść z delegacją do klasztoru, ale powiedziano nam, że ojciec – tu spojrział na mnie – zatrzymał się na noc w karczmie.

– I co z tego, człowieku? – spytałem, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Karczma to złe miejsce. Santiemu nie należy ufać – powiedział, robiąc dwa kroki w tył.

– Czyżby? A dlaczego tak uważacie?

– Stroni od ludzi.

– A powiadają, że do kościoła chodzi – dopytywałem.

– Chodzi, żeby się w oczy nie rzucać, a po kryjomu odprawia swoje czary.

– Widział kto te czary? – dalej pytałem.

– Widzieć nie, bo się z tym nie obnosi, ale słyszeć to i ja słyszałem. Krzyki i zawodzenia, jak żydowskie modły. Długo nic nie mówiliśmy, ale jak ostatnio widziano nad jeziorem dziwne rzeczy, to od razu wiedzieliśmy, że przez niego. Albo diabły zlatują do niego na ucztę, albo on sam jest diabeł nad nimi. My, wasza wielebność, ludzie prości, ubodzy, lecz bogobojni,

u nas się nie znajdzie przyjaźni z szatanem. Santi to co innego. Ludzie opowiadali, że jak czasem spojrzął na człowieka, albo on, albo ta jego żona z córką, to potem się złe rzeczy działy. A kto umie rzucić urok, jak nie ten, co spokrewniony z diabłem albo z nim chociaż w przyjaźni?

Kiedy skończył, spytałem, czy inni mają jeszcze coś do powiedzenia, a ponieważ nie mieli, nakazałem im wracać do domów w przekonaniu, że rozważę, co usłyszałem, i z pewnością podejmę właściwe kroki. Następnie z bratem Paolo udaliśmy się na powrót do karczmy.

Santi przywitał nas chłodno. Jego wzrok uciekał na boki, wyraźnie nie chcąc spotkać moich oczu. Kazał zastawić stół, przynieść wino, zaczął już nawet wypełniać kielichy, ale odsunąłem swój, prosząc, by zabrał wszystko ze stołu. Głód, jeśli mam być szczerzy, zaczął mi już doskwierać, ale nauczony doświadczeniem wiedziałem, że przy pustym brzuchu lepiej się myśli i że nikomu jeszcze nie zaszkodził jednodniowy post. Samemu zdarzało mi się prowadzić już posty kilkudniowe, jedynie o wodzie.

Santi, nieco chyba zmieszany, ściągnął naczynia razem z obrusem. Czekał, co mam mu do powiedzenia. Zanim zacząłem mówić, poprosiłem Paolo, by zapisywał, co usłyszy, a także by dał tytuł pismu: *Przesłuchanie*. Zażądałem też obecności żony i córki. Chciałem ją zobaczyć, nacieszyć oczy i duszę. Moje zdziwienie i żal były wielkie, gdy się dowiedziałem, że Santi dziś w południe wyprawił córkę na studia. Nie chciał jednak powiedzieć, mimo moich usilnych nalegań, czy wyjechała do Bazylei, jak zapowiadał jeszcze wczoraj, czy może do innego miasta. Przestałem w końcu pytać o cel i kierunek tego nagłego wyjazdu, zdając sobie sprawę, że, gdyby zaszła potrzeba, odnalezienie dziewczyny nie powinno stanowić problemu. Nie żyjemy już wszak w czasach starożytnych, gdy jeśli kto chciał, mógł przepaść bez śladu. Dzisiejsze, nowoczesne czasy dają wiele środków niezbędnych dla poszukiwania zguby. A najważniejszy z tych środków to skuteczność moich Braci Kaznodziejów, rozsianych po wszystkich prowincjach, miastach, miasteczkach, nawet wsiach. Czułem żal, jakbym stracił kogoś bliskiego. Da Bóg, nie na zawsze. O ile da. I o ile to on mi ją przyprowadził.

– Dlaczego kłamiesz? – spytałem Santiago, zaczynając przesłuchanie.
– Czemu miałbym kłamać? – odpowiedział, udając zdziwionego.
– Bo każdy kłamie – rzeczywiście, przez całe moje życie nie spotkałem jeszcze człowieka, który by nie kłamał. Nawet mnie się zdarzało, w drobnych, przyziemnych sprawach, lecz zawsze składałem pokutę. Co innego jednak rzeczy błahe, a co innego kłamstwo kacerskie lub czarownicze.

Przesłuchanie skończyliśmy bardzo późno. Na koniec zdjęłem ze ściany namalowany wprawną ręką portret Anny, wyjąłem go z ramy, zwinąłem w rulon i schowałem do wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza. Pan Santi nie protestował. Nie odezwał się ani słowem, gdy szykowaliśmy się do drogi. Już po północy zajechaliśmy do klasztoru. Paolo całą drogę dopytywał, co postanowiłem. Miałem już wprawdzie gotowy plan działania, jednak wolałem się z nim nie dzielić do chwili, w której będę miał możliwość rozmowy z autorami listu opisującego zdarzenia – benedyktynami z Weingarten. Tak więc rano – jak zwykle bez śniadania – dwukonnym zaprzęgiem, który już na nas czekał w Konstancji, ja i Paolo udaliśmy się do miasta Weingarten. Podróż minęła szybko. Jechaliśmy całkiem dobrą, leśną drogą. Był czas na przemyślenia, przerywany od czasu do czasu pytaniami stawianymi przez Paola, na które nie znalazł odpowiedzi. Sam zadawałem sobie pytanie, czemu Paolo, czemu jego współbracia znad bodeńskiego jeziora, milczeli w sprawie wydarzeń. List nadszedł wprawdzie z tego samego zgromadzenia, ale przecież aż z Weingarten. Z pewnością, dochodziłem do wniosku, braciszkuwie znad jeziora woleli oddalić od siebie zarzut złej opieki nad okoliczną trzodą. Tylko głupi lub naiwny będzie bowiem kłał własne gniazdo. Tak rozważając w duchu, spoglądałem na Paola, a on zdawał się milcząco potwierdzać moje przypuszczenia.

Bardzo się ucieszyłem, gdy z daleka wyrósł nam klasztor i bazylika, położone na wzniesieniu, tak że ostatni fragment drogi konie szły pod górę już wyraźnie zmęczone. Ogromny fronton bazyliki, z dwiema wieżami dzwoniczymi po bokach, był jedną ze wspanialszych świątyń, jakie kiedykolwiek widziałem, a nie muszę dodawać, że widziałem naprawdę wiele. Tak samo czworoboczny klasztor i konwent, założony pół tysiąca lat temu, niemal tak wysoki jak kościół, z czerwoną dachówką, niewielkimi

oknami, robił wrażenie rozległej oazy na pustyni traw, krzewów porastających górę.

Przyjął nas sam ojciec Benedictus, opat zgromadzenia, człowiek wiele lat starszy nawet ode mnie. Pamiętam go z dawniejszych czasów, kiedy jeszcze młody, poświęcał dnie, a nawet noce na czytanie i przepisywanie świętych ksiąg. Potem, gdy wzrok mu się popsuł – Benedykt nie widzi już dalej niż na długość własnego łokcia – braciszkanie znaleźli mu nowe zadanie – prowadził i uprawiał klasztorny ogród, a gdy dobiegł w zdrowiu sześćdziesięciu lat, czyli około dwudziestu lat temu, uczyniono go przełożonym klasztoru. Przez wielu, już za życia, nazywany świętym, głównie dlatego, że jak prawdziwy pasterz, piętnował każde odstępstwo od wiary. Opowiadano, że w dzieciństwie obserwował na własne oczy stos, na którym spłonął profesor Hus, i ponoć bardzo to przeżył. Od tamtego czasu, a bardziej może jeszcze od czasu, gdy złożył śluby, stara się dusić w zarodku wszelkie herezje. Nie tylko dlatego, że jest człowiekiem głęboko wierzącym, ale, jak mówią, ostrzegając każdego, kto może popaść w herezję, przed mękami trudnymi do wyobrażenia, gdy kat podpali mu ogień pod stopami. Na wszelki wypadek, dla pamięci, by nie zapomnieć o tamtym strasznym dniu, trzyma w swojej celi, w specjalnej szkatułce, nadpaloną kość wskazującego prawego palca rektora praskiej uczelni – zabrał ją z miejsca kaźni, zanim uprzątnięto stos z popiołami. I pokazuje każdemu, komu chce wytłumaczyć, że źle czyni. Podobno też na każdym, kto widzi maleńki fragment spalonego kiedyś w całości Jana Husa, robi to wielkie wrażenie. Opat zwykł jeszcze, choć robił to tylko wobec szczególnie zatwardziałych grzeszników, wyjmować kość i grozić nią, wypowiadając przy tym fragmenty Apokalipsy według świętego Jana. Zrozumiałe, że ja sam – Benedictus przecież nie ma, bo nie może mieć do mnie zastrzeżeń – nie widziałem owej kości. I da Bóg, nigdy nie zobaczę.

Po przywitaniu z opatem zaszliśmy do refektarza. Wypiliśmy zupę z jarzyn, przyrządzoną na kurze przez braci zakonnych, a następnie, po krótkiej modlitwie, zacząłem relację, wpierw odczytując przesłuchanie pana Santi. Samo przesłuchanie niczego nie wniosło, bo karczmarz pytany o jego udział

w zdarzeniach albo milczał, albo się śmiał zdenerwowany, albo odwracał głowę, udając niezainteresowanego stawianymi mu pytaniami.

Benedykt, słuchając, raz na jakiś czas brał mnie za rękę i powtarzał: „Nigdy bym nie przypuszczał, że to on, że Santi, znałem go od dziecka, także jego ojca. Nigdy bym nie przypuszczał. Taka opresja, taka opresja”

Na koniec opat poprosił o moje wnioski. Wnioskowałem o zatrzymanie Santiago i jego żony, a następnie przewiezienie do Weingarten i osadzenie w podziemiach klasztoru. Ale nie od razu, zaleciłem dwutygodniową obserwację. Gdyby przypadki się powtarzały, konieczne będzie niezwłoczne izolowanie Santich. Gdyby i wtedy sytuacja nad jeziorem nie uległa zmianie, nie wahałbym się zastosować karę ostateczną, czyli karę całopalną. Majątek zaś, czyli karczma razem z ziemią, powinna przejść na własność benedyktynów, jako że Kościół w tym procesie jest najbardziej pokrzywdzony.

– A co z ich córką, jakże jej na imię, nie pamiętam? – spytał Benedykt.

– Anna, ojcze. Proszę to już zostawić moim braciom. Jeśli zajdzie potrzeba, na pewno ją znajdą – odpowiedziałem.

W klasztorze benedyktyńskim odpoczywałem jeszcze dziewięć dni, prawie nie wychodząc z biblioteki, czytając i pisząc. Do Konstancji, gdzie kreślę te słowa, wróciłem tylko na dwie noce, a już zaraz, razem z moimi Braćmi Kaznodziejami, udaję się w drogę powrotną do Rzymu.

XXI SIERPNIA MCDLXXXIV

Do końca trzymałem straż przy łożku umierającego papieża, a po jego śmierci obserwowałem konklawe, mieszkając w klasztorze moich Braci Kaznodziejów tuż za murami Lateranu i rozpamiętując jeszcze pobyt w Konstancji, czekałem na nowego papieża. Doszły mnie też wieści z Weingarten. Santi i jego żona zostali pojmani i przewiezieni do klasztoru Benedyktynów. Pod opuszczoną karczmę ktoś podłożył ogień, a może tylko burza wywołała iskrę i pożar, nie wiadomo. Z drewnianego budynku zostały jedynie zgliszcza, które okoliczni mieszkańcy starannie przeszukali i zabrali to, co jeszcze nadawało

się do użycia.

Wkrótce nadszedł też list od ojca Benedictusa. Stary i święty opat żalił się, że musi utrzymywać małżeństwo Santich, żywiąc ich i pojąc, zamiast pozbyć się problemu raz na zawsze. Nie robi tego tylko dlatego, że przyśnił mu się Jan Hus, który groził opatowi całym i zdrowym jeszcze palcem, powtarzając przy tym: „Nie pal, gdyż możesz być sam spalony”. Ale ponieważ i Santi, i jego żona nie są karmieni zdrowo, można się domyślać, że problem tak czy inaczej wkrótce sam się rozwiąże.

Benedykt pytał jednocześnie, czy poczyniłem jakieś ustalenia, jeśli idzie o córkę Santich. Gdzie mianowicie jest i czy można się spodziewać jej pojmania. Do listu opat dołączył portret dziewczyny, naszkicowany wiernie z pamięci przez jednego z braci, trzymających posługę na wyspie opodal Konstancji. Nie wiedział bowiem, że oblicze Anny, zdjęte ze ściany ich domu, jest już w moim posiadaniu i będzie powielone przez braci biegłych w rysunku. W odpowiedzi, jaką wysłałem Benedictusowi, przyrzekłem zająć się poszukiwaniami. Mnie samego, mówiąc szczerze, ciekawiło, gdzie przebywa ta młoda heretyczka, i żałowałem, że już tam, na miejscu, nie kazałem jej zatrzymać i osadzić w celi. Kobietom, wiem to, nauczony doświadczeniem, nigdy nie należy pobłażać. Zdolne do największych występków, stają się pomocnikami szatana, zanim mężczyzna zauważy ich zdradziecką aktywność. Niewierne są przy tym i kłamliwe. „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”, nie darmo mówi przysłowie. Aż dziw, że diabelska postać jest męskiego rodzaju, a nie żeńskiego. Choć z drugiej strony diabeł nie musi wcale być kobietą, bo ma je za służące na swoim dworze i może sobie z nimi używać do woli.

I WRZEŚNIA MCDLXXXIV

Francesco umierał tak, jak żył. Cicho i spokojnie. Okazało się już po jego śmierci, że skarbiec kurii mocno w ostatnich miesiącach podupadł. Czy za sprawą ludzi otaczających papieża? Tych, którzy wiedli Kościół, gdy On zaniemógł? Zostawił po sobie opłakujących go artystów, których zatrudniał, dobrze im płacąc, według wielu, zbyt dobrze w porównaniu z zarobkami

pracowników kurii. Przez jednych krytykowany za skłonność do zbytku, przez innych z kolei nazywany Wielkim, gdyż Kościół mógł się za jego rządów cieszyć szacunkiem, jakiego nie miał od wieków. Według mnie lepiej jest być nazywanym Wielkim, choć rozrzutnym dla dobra Kościoła, niż oszczędnym, lecz Małym, pchając Kościół ku zgubie.

Gdy dni Francesca się wypełniały, ja nie próżnowałem. Dnie od rana do zmierzchu spędzałem w bibliotece, zagłębiając się w lekturze uczonych ksiąg, gromadzonych długimi latami przez Bartolomea. Słuchałem opowieści i rad moich braci, którzy rozsiani po licznych klasztorach, od czasu do czasu zjeżdżali do Rzymu, nie tylko po to, by zbliżyć się do świętego, Piotrowego miejsca, lecz by zdać relację z pracy w swoich zgromadzeniach. Notowałem wszystko, co uważałem za ważne, przygotowując i nieustannie poprawiając z Jakobem nasze dzieło. Choć sam Jakob mówi, że to bardziej moje niż jego dzieło. Dużo w tym, nie ukrywam, racji ma brat Sprenger. Niech to będzie młot kruszący wszelkie zło. Młot na czarownictwo niszczące nasze dusze, wzbraniając czystości, dla której jedynie warto oddawać cześć naszemu Panu. I taki też tytuł daliśmy naszej księdze: „Młot. Na czarownice”.

Zatem konklawe, pierwszy raz zebrane w tamtych dniach w Sykstusowej Kaplicy, wybrało nowego Pasterza. Giovanni Cibo, biskup Molfetty, przyjął imię Innocenty VIII. Był od niedawna kamerlingiem Świętego Kolegium Kardynałów. Jak Szaweł w Pawła, tak i on doświadczył przemiany duchowej w dorosłym już wieku. Chodziły słuchy o nieślubnych dzieciach, dla których był wyrodnym ojcem. Trudno powiedzieć, czy to prawda, ludzie plotą czasem, co im ślina na język przyniesie. Nigdy wcześniej nie miałem szczęścia go poznać. Kiedy jednak dziś rano poprosiłem o audiencję, zostałem natychmiast przyjęty, jako bliski Ojcu Francesco i powiernik jego ostatnich myśli.

W rozmowie, która trwała aż do południowej godziny, przedstawiłem swój plan, ubierając go w szczegóły. Miłe mi było zainteresowanie Ojca. Giuliano della Rovere, uprzedzając moje przyjście, był łaskaw o mnie wspomnieć. Ojciec pytał, jak postępują prace. Przyznałem, że niełatwo, choć są już na ukończeniu. Najdalej w trzy niedziele przedstawię księgę do oceny. Innocenty obiecał mi przysłać kopistów, tak by wkrótce po ukończeniu

dzieła mogło ono trafić do naszych diecezji w Rzymie, a potem jeszcze i jeszcze dalej. Być może z jego woli księga zostanie powielona w setkach egzemplarzy w systemie ruchomych czcionek. Dowiedziałem się także, że nasz Pasterz planuje już wydać swoją pierwszą bullę *Summis desiderantes affectibus*, która może stać się dla mnie pomocą w pełnieniu służby.

Wyszedłem wzmocniony i ufny. Udaję się natychmiast w podróż do mego domu zakonnego w Strasburgu i zabieram ochoczo do pracy, wsparty wielkim duchem mojego nowego Ojca.

XV GRUDNIA MCDLXXXIV

Bulla właśnie trafiła do moich rąk. Ojciec Święty pisze:

„Innocenty, biskup, sługa sług bożych, na wieczną rzeczy pamiątkę. Pragnąc najgoręcej, tak jak wymaga tego troska pasterska, aby wiara katolicka, zwłaszcza w naszych czasach, umacniała się i rozkwitała wszędzie, i aby zepsucie heretyckie wygnane zostało z wszystkich krain wiernych, z chęcią mówimy, a także przypominamy o tych konkretnych metodach i środkach, dzięki którym spełnić się mogą dążenia chrześcijaństwa. Jeśli bowiem dzięki naszym wysiłkom, tak jak motyką dobrego gospodarza, wykorzeniony zostanie wszelki błąd, oddanie naszej wierze i zapał dla niej bardziej jeszcze umocnią się w sercach wiernych. Nie bez przepełnionego gorczyczą smutku dowiedzieliśmy się ostatnio, że w niektórych częściach północnych Niemiec, a także w prowincjach, parafiach, okręgach, dzielnicach i diecezjach Mainzu, Kolonii, Trewiru, Salzburga i Bremy, wiele osób płci obojga, nie bacząc na własne zbawienie i odchodząc od wiary katolickiej, zadaje się z diabłami, inkubami i sukkubami i poprzez swoje czary, zaklęcia, gusła i inne przekłete zabobony, obmierzłe praktyki i zbrodnie, niszczy potomstwo kobiet i nowo narodzone zwierzęta, wykorzenia plon, jaki wydaje rola, strąca winne grona z winorośli i owoce z drzew. Mało tego, zabija mężczyzn i kobiety, zwierzęta juczne pospołu ze stworzeniami innego rodzaju, niszcząc również winnice, sady, łąki, pastwiska, łąny pszenicy i innych zbóż, i wszelkie inne uprawy. Co więcej, nikczemnicy

owi gnębią i doświadczają mężczyzn i kobiety, zwierzęta pociągowe, trzody owiec, a także bydło i inne stworzenia, zadając im ból i zsyłając na nie wszelkiego rodzaju choroby, tak wewnętrzne, jak i zewnętrzne, i uniemożliwiają mężczyznom płodzenie, a kobietom poczęcie, sprawiając, że nie mogą współżyć małżeńsko ze sobą ani żony z mężami, ani mężowie z żonami. Również i ponadto bluźnierczo wyrzekają się wiary, którą otrzymali wraz z sakramentem chrztu, i z poduszczenia wroga rodzaju ludzkiego nie wahają się popełniać najdzikszych okropieństw i występków na zgubę swych dusz, obrażając nimi majestat boski, dając tym gorszący i niebezpieczny przykład wielu innym. I jakkolwiek umiłowani synowie nasi, Heinrich Kramer i Jakob Sprenger, profesorowie teologii z zakonu braci predykantów, wyznaczeni zostali listami apostolskimi do przeprowadzenia śledztwa w sprawie tych heretyckich niegodziwości i nadal pozostają inkwizytorami – jeden w rzeczonych częściach Niemiec północnych, w których znajdują się wspomniane wyżej prowincje, miasta, parafie, diecezje i inne wymienione miejscowości, drugi zaś na pewnych obszarach przyległych do Renu – nie mało osób spośród duchowieństwa i osób świeckich tych krajów, starając się być mądrzejszymi, niż im przystoi, w związku z tym, że we wspomnianych pismach nominacyjnych nie wyraża się i nie wyszczególnia imiennie nazw owych prowincji, parafii, okręgów, diecezji i innych poszczególnych miejscowości, a również i dlatego, że niewyszczególnieni w nich zostali imiennie sami owi dwaj delegaci ani też określone dokładnie i jednoznacznie występkami, jakim mają stawić czoło, osoby owe mają czelność obstawać uporczywie przy tym, że występkami owe nie zdarzają się w tych prowincjach, a co za tym idzie, wymienieni wyżej inkwizytorzy nie mają prawa sprawowania swej władzy inkwizytorskiej w prowincjach, parafiach, okręgach, diecezjach oraz na obszarach, jakie zostały tu wyliczone, i że inkwizytorom tym nie wolno podejmować działań w celu ukarania, uwięzienia i poprawy tych, którym dowiedziono określonych powyżej niegodziwości i zbrodni. W rzeczonych przeto prowincjach, parafiach, okręgach i diecezjach występkami i zbrodniami, o których mowa, trwają nadal, nie bez oczywistej szkody dla ich dusz i zaprzepaszczenia nadziei na wieczne zbawienie. Przeto

my, jak nakazuje nam nasz obowiązek, pragnąc usunąć wszelkie trudności i przeszkody, mogące wadzić inkwizytorom w ich pracy, i chcąc zapewnić skuteczne lekarstwo, które mogłoby zapobiec zarazie herezji oraz innym okropieństwom, jakie rozsiewa ich jad na zgubę niewinnych dusz, tak jak wymaga tego od nas nasz urząd i wyznacza gorliwość w wierze, a także sprawić, by prowincje, parafie, okręgi, diecezje oraz obszary w tych, północnych częściach Niemiec, które wymieniliśmy, nie były pozbawione dobrodziejstw Świętego Urzędu Inkwizycji wyznaczonego na mocy władzy naszej apostolskiej, nakazujemy niniejszym i jak najgoręcej zalecamy, aby wspomniani wyżej inkwizytorzy upoważnieni byli w owych prowincjach, parafiach, diecezjach, obszarach i okręgach do swobodnego i niczym nieskrępowanego upominania, więzienia i karania wszystkich winnych wspomnianych zbrodni i nieprawości, tak jakby osoby owe i ich zbrodnie zostały nazwane i szczegółowo opisane w naszych listach. Ponadto, dla większej pewności, rozszerzamy zakres nadanej tymi listami władzy, tak by obejmowała ona wszystkie wspomniane uprzednio prowincje, parafie, diecezje, dzielnice i obszary, a także osoby i wspomniane zbrodnie. Udzielamy też zezwolenia wspomnianym wyżej inkwizytorom, obu razem i każdemu z osobna, a także ich pisarzowi, naszemu umiłowanemu synowi Johanowi Gremperowi, magistrowi sztuk wyzwolonych, księdzu parafialnemu z Konstancji, albo każdemu innemu notariuszowi publicznemu, który zostanie wyznaczony przez nich obydwu lub przez któregoś z nich, a wysłanemu czasowo do wspomnianych wyżej prowincji, parafii, diecezji, dzielnic i wyżej wspomnianych obszarów, aby działali zgodnie z zasadami inkwizycji przeciwko ludziom tego rodzaju, bez względu na ich rangę lub wysokie urodzenie, a także upominali, karali, więzili i nakładali grzywny, stosownie do popełnionych przez nich zbrodni, na wszystkich tych, których uznają za winnych. Ponadto winni oni cieszyć się całkowitą swobodą głoszenia i objaśniania wiernym Słowa Bożego we wszystkich kościołach parafialnych wspomnianych prowincji, ilekroć nadarzy się po temu sposobność i kiedy będzie im to odpowiadało, a także odprawiania wszelkich obrzędów oraz dokonywania wszelkich czynności, jakie uznają za pożyteczne w tych sprawach. Władzą naszą

najwyższą gwarantujemy im raz jeszcze pełną i całkowitą swobodę. Listami naszymi apostolskimi domagamy się też od naszego czcigodnego brata, biskupa Strasburga, by ogłosił osobiście albo sprawił, by jakaś inna osoba czy inne osoby ogłosiły publicznie treść tej bulli, co winien czynić wtedy i tak często, jak sam uzna za stosowne albo kiedy zażądata tego odeń obaj wspomniani inkwizytorzy lub każdy z nich z osobna. Nie wolno mu też dopuścić, aby wbrew temu, co zalecają owe listy, niepokoiła ich lub stawiała im przeszkody jakakolwiek władza. Przeciwnie, winien zagrozić wszystkim, którzy przeszkadzają wspomnianym inkwizytorom, niepokoją ich lub się im sprzeciwiają, wszystkim owym buntownikom, bez względu na ich stanowisko, stan, majątek, pozycję, dostojęństwo, godność i kondycję, a także przywileje i wolności, na jakie mogliby się powoływać, ekskomuniką, zawieszeniem w czynnościach, klątwą, a także gorszymi jeszcze karami i cenzurami kościelnymi, jakie uzna on za stosowne, bez prawa apelacji, a także na mocy naszej władzy podejmował tego rodzaju decyzje tak często, jak mu się to spodoba, odwołując się, w razie konieczności, do pomocy ramienia świeckiego. I niechaj nikt nie stawia żadnych przeszkód owym listom apostolskim i poleceniom. I niechaj nikt w żaden sposób nie sprzeciwi się temu pismu, nie postąpi wbrew niniejszemu oświadczeniu, rozszerzającemu naszą władzę i nasze zalecenia. A jeśli ktoś poważy się tak uczynić, niechaj wie, że spadnie nań gniew Boga Wszechmogącego i błogosławionych apostołów, Piotra i Pawła. Dan w Rzymie, u Świętego Piotra, dnia piątego grudnia, roku od Wcielenia Pańskiego tysięcznego czterechsetnego osiemdziesiątego i czwartego, w pierwszym roku naszego pontyfikatu”

Schlebiało mi papieskie pismo. Tym bardziej że Ojciec Święty nadał mu rangę bulli, aktu wyższego rzędu, zarezerwowanego tylko dla szczególnie ważnych wystąpień. Mogło to być przecież równie dobrze *breve*, pismo niższego rzędu, jakich wiele. Bulla potwierdzała wybraną przeze mnie drogę. Kto jak nie papież może dać do ręki broń. Pytam sam siebie, czy ją uniosę. Wszak tylko cielaka nie nachodzą wątpliwości. Gdy się dobiega lat pięćdziesięciu pięciu, nie jest wielką sztuką odgadywanie ludzkich intencji. A papież to przecież człowiek. Prawda, wywyższony spośród równych sobie,

jednak nadal plemię Adamowe. Może się kierować planem niedostępnym gawiedzi. A jeśli w tym planie moje miejsce ukryte? Myślałem o tym dziś wieczorem, idąc na mszę do Świętego Tomasza. Przed kościołem ułapił mnie za ramię żebrak. Już chciałem odrzucić jego rękę, nie zwykłem bowiem wspierać jałmużną, lecz on na mnie spojrzał i powiedział: „Nie chcę od ciebie złota, chcę, abyś mnie pokochał, Heinrichu, zbliża się bowiem czas próby”. Dziwne to słowa. Skąd znał moje imię? Gdy je wypowiedział, odszedł. Straciłem go z oczu w tłumie zdążających ku świątyni.

Czyżby Pan dawał mi znaki? Jak je rozumieć?

V MAJA MCDLXXXV

Minęło kilka miesięcy najbardziej intensywnej pracy i oto jest, choć lepiej będzie powiedzieć, są. Piętnaście starannie przepisanych egzemplarzy cieszyło nasze oczy i serca. Egzemplarz został wysłany do Moguncji, by go powielić maszyną ruchomych czcionek, w tej nowej technice wymiennej kaligrafii ruchomych liter z metalu, która nie wiem, czy przyjmie się na dobre, wymaga bowiem pracy wielu osób, a nie jednego kopisty, lecz już teraz pozwala na kopiowanie nawet kilkudziesięciu ksiąg jednego dnia. Nie wiem tylko, czym teraz będą się zajmowali benedyktyni, dla których przepisywanie ksiąg jest nie tylko powołaniem, ale i największą przyjemnością. Czytałem z radością, co sam napisałem. Z pomocą Boską i Jakoba Sprengera, brata mojego zakonnego. Ojciec Święty obiecał wysłać przynajmniej po jednym egzemplarzu do każdej diecezji i każdego zgromadzenia. Ja mam nadzieję, że „*Malleus maleficarum*” kiedyś trafi do każdej parafii, do każdego księdza, i choć trochę pomoże walczyć z siłami zła.

XIII LIPCA MCDLXXXV

Jak już pisałem, po najdłuższym w moim życiu, z górą półrocznym pobycie w Rzymie, przerwany wyjazdem do Konstancji, wróciłem do Strasburga, ale nie zagrałem tam miejsca. Mimo wszystko obecność na Lateranie pokazała mi, jak wiele jest do zrobienia także w naszym – duchownym

stanie. O ile wcześniej, wizytując jedynie Rzym, nie dane mi było poznać jego wad, widziałem tylko same zalety – wielkość naszego Kościoła, wielkość jego pasterzy, tak teraz uderzył mnie obraz stosunków panujących w Rzymie, tworzony na podobieństwo świeckiego świata. Obserwowałem grę o wpływy, zabiegi, często niemające nic wspólnego z moralnością dobrego chrześcijanina, a konklawe, któremu się przyglądałem z bliska, było niczym innym niż walką dwóch skłóconych rodzin: z jednej strony Rovere, z drugiej Borgiów, bogatej rodziny aragońskiej, która za mojego życia miała już jednego papieża, Kaliksta Trzeciego, ale widać było im mało, chcieli więcej i więcej. A jak się chce za dużo i za szybko, można się udławić. Niech Pan im odpuści grzechy, o ile je mają. Nie mnie osądzać moich braci, znacznie ode mnie dostojniejszych, a może i mądrzejszych, tak wtedy myślałem.

Nie zagrzałem więc miejsca w strasburskim klasztorze. Jako wizytator papieski przystąpiłem na powrót do swoich obowiązków, odwiedzając diecezje, parafie, pracując z jeszcze większym niż kiedyś zaangażowaniem. Licho bowiem nie śpi. I tak, podążając za nim krok w krok, dziś rano dotarłem do Trewiru.



Rozdział

III

*Współcześnie żyjące czarownice wyjątkowo chętnie ulegają szatanowi. Nie wstydzą się tego w ogóle. Często, na procesach, opowiadają o swoich praktykach. Nie potrafimy nawet zliczyć, ile takich wszetecznic skazaliśmy na karę ognia.
„Malleus maleficarum”*

10 GRUDNIA 2017



toi na *rue Tête d'Or*. Patrzy na metalową, niewysoką bramę zabitą dwiema długimi deskami ułożonymi w kształt krzyża świętego Andrzeja. Pada deszcz. Niewyraźne kontury kamienic odbijają się na mokrym asfalcie, rozjaśnianym tylko trochę przez mdłe światło dopiero co włączonych latarni. O tej porze roku zmierzch w Lyonie zapada wpół do piątej. Obchodzi dookoła mury klasztoru. W prawo, najpierw *rue Bugeaud*, potem *rue Massena* i *rue Vauban*. Wraca w to samo miejsce, pod bramę na *Tête d'Or* numer 93. W długiej, sięgającej za kolana kurtce, w założonym na głowę kapturze, przypomina zakonnika, który, nie wiedząc czemu, zamiast w klasztornej ciszy przygotowywać się do wieczornej komplety, spaceruje pod murami klasztoru. Jego wysoka, właściwie tyczkowata, chuda i osamotniona w tym miejscu postać, w ciemności i w deszczu dodatkowo nabiera widmowego charakteru.

Ulicą jedzie samochód, rozbryzgując kałuże. Odruchowo cofa się znad krawędzi chodnika. Obok przechodzi kobieta. W lewej ręce trzyma parasolkę, prawą ciągnie za sobą wózek z zakupami.

Odprawa na lotnisku Ruzyne ciągnęła się niemiłosiernie. Samolot wystartował z godzinnym opóźnieniem. Po piętnastu minutach lotu posiłek

w plastikowym pojemniku, roznoszony przez stewardesę Air France. Mała butelka wina Cotes du Rhone. Mniej więcej po godzinie kapitan informuje: lądujemy w Grenoble. Lyon nie przyjmuje. Mgła.

Mógł to przewidzieć. Mógł kupić bilet na pierwszy, poranny lot z Pragi z przesiadką w Paryżu albo we Frankfurcie.

Z lotniska autobus wiezie ich do centrum miasta. Najbliższy pociąg do Lyonu odchodził za godzinę. Półtorej godziny jazdy. *Gare de Lyon-Part-Dieu*. Taksówka. Hotel Mirage, właściwie niewielki hotelik w starej, trzypiętrowej kamienicy, na *rue Gentil*, trzecie piętro, pokój 302, widok z okna na Rodan, dwadzieścia minut pieszo od *rue Tête d'Or*.

Szybki prysznic. Zakłada białą koszulę, czarną marynarkę, kurtkę z kapturem. Sięga po soczewki, ale zaraz odkłada. Założy okulary. Zawsze łatwiej je zdjąć niż walczyć z wyciąganiem małego krążka wyprodukowanego z żeluz i plastiku. Ale właściwie dlaczego miałyby je wyjmować? Nie wie, ale zakłada okulary. Może dlatego, że w okularach wygląda na starszego, dojrzalszego? Nie myśli już o tym. Zjeżdża windą na parter.

Stoi przed bramą zabita deskami ułożonymi w kształcie krzyża świętego Andrzeja. W tym miejscu chodnik jest bardzo wąski. Żeby przepuścić kobietę ciągnącą wózek z zakupami, musi zejść na jezdnię. Kobieta przechodzi obok, zatrzymuje się kilka kroków dalej, opuszcza parasolkę. Ma całkiem młodą twarz, kontrastującą z długimi, siwymi włosami wystającymi spod wełnianej, głęboko nasuniętej na czoło czapki.

– Tędy pan nie wejdzie – mówi. – Wchodzi się furtką, ale furtka też zamknięta. Remont. Wyjechali do Dijon. Jak pan chce do kościoła, to lepiej do Świętego Marcina, msza o szóstej. Wie pan, jak się idzie do Świętego Marcina?

Niewielka furtka, ukryta w gęstym bluszczu pokrywającym mur klasztoru. Kobieta znów opuszcza parasolkę, stuka w drzwi i odchodzi, ciągnąc za sobą wózek. Obraca się jeszcze na chwilę, wykonuje ruch głową, jakby chciała powiedzieć: no dalej, próbuj, próbuj, jeśli ci się chce, i znika za rogiem.

Kaptur już całkiem przemókł, kurtka też właściwie przestała chronić

od deszczu. Mosiężne kółko, osadzone na drewnianym skoblu. Uderza dwa razy. Dopiero po chwili zauważa mały przycisk dzwonka. Naciska kilka razy. Upływa minuta, może dwie. Ktoś uchyla drzwi.

– O co chodzi? – w półcieniu widać jedynie fragment jasnego ubrania.

– Nazywam się Jan Gutman, chciałbym się widzieć z przeorem.

– Ach tak, Gutman... – człowiek wydaje się zaskoczony. Uchyła szerzej drzwi, teraz widać biały habit, kaptur nasunięty na głowę i czarne półbuty wystające spod długiej sukni – ale może będzie lepiej, jeśli pan przyjdzie jutro. Ojciec pracuje. Wolałbym mu teraz nie przeszkadzać.

– Proszę chociaż powiedzieć, że jestem i proszę o rozmowę.

Zakonnik waha się jeszcze. Po chwili otwiera drzwi i ruchem ręki zaprasza do środka.

– Dobrze – mówi – niech pan idzie za mną.

Idą krótką, wąską ścieżką wysypaną żwirem. Ścieżka prowadzi na wybrukowany dziedziniec klasztoru. Mijają nieczynną o tej porze roku fontannę i trzy ogromne, bezlistne platany. Wchodzą do sieni, schodami na pierwsze piętro. Zakonnik każe mu usiąść na drewnianej ławce pod ścianą. Dalej idzie sam. Znika za zakrętem korytarza.

W korytarzu panuje półmrok. Wstaje, podchodzi do jedynej, zamontowanej na ścianie lampy dającej mdłe, żółte światło. Patrzy na zegarek, dochodzi szósta. Był pewien, że poszukiwanie klasztornej furty zajęło mu najwyżej kilkanaście minut. Teraz siedzi na ławce. Czeki. Wydaje mu się, że czeka już długo, pół godziny, może godzinę. Sprawdza zegarek. Minęło dziesięć minut. Mdłe światło. Zасыpia z głową opartą o chłodną, pomalowaną na biało ścianę. Kiedy się budzi, zakonnik siedzi obok na ławce.

– Proszę wybaczyć, chyba usnąłem, ojciec długo tu siedzi? – pyta zmieszany.

– Krótką chwilę. Nie chciałem pana budzić. Ojciec Roger powiedział, że pana przyjmie. Kończy porządkować notatki. Mamy jeszcze kilka minut. Tylko jedna prośba, moja prośba. Dziś po południu wróciliśmy z Dijon, ojciec natychmiast zabrał się do pracy. Jest już zmęczony, zresztą zdaje się tak jak pan. Byłbym wdzięczny, gdyby rozmowa nie trwała dłużej niż

kwadrans. Wie pan, ojciec ma już swoje lata, ciągle jest bardzo aktywny, ale wieku nie da się oszukać.

– Czytałem, że osiemdziesiąte piąte urodziny obchodził, wizytując zgromadzenia w południowej Ameryce.

– Tak, ale to było dwa, trzy lata temu. Od tamtego czasu trochę się nam postarzał. Siły już nie te. Musi pan zrozumieć.

– W kwadrans nawet trudno mi będzie zadać część pytań, które mam do przeora.

– Jeśli ojciec uzna, że nie wyczerpaliście tematu, sam pana zaprosi na jutro albo na pojutrze. Znam go od dwudziestu lat. Wiem, że nigdy nie unika rozmów na temat zakonu. Zapewne pan wie, że ostatnie lata poświęcił na opisywanie historii dominikanów.

– Czytałem jego prace. Właśnie dlatego poprosiłem o spotkanie, tylko że nikt nie odpowiedział na mój list. Nie wiedziałem nawet, czy zostaną przyjęty. Nie mogłem już dłużej czekać, więc zaryzykowałem i jestem.

Zakonnik udał, że nie słyszy ostatniego zdania.

– Proszę mnie nie tytułować ojcem. To zarezerwowane dla kapituły zgromadzenia. Ja jestem tylko skromnym bratem bibliotekarzem. W przyszłym roku mam zostać prokuratorem, ale to jeszcze nic pewnego.

– Prokuratorem?

– Tak nazywamy u nas brata troszczącego się o sprawy materialne klasztoru – nagle wstał, jakby sobie coś przypomniał. – Niech pan mi wybaczy, zapomniałem się przedstawić – wyciągnął rękę. – Jean, Jean Guzman.

– Guzman? Jak założyciel zakonu? – Jan podniósł się z ławy.

– Ach, to czysty przypadek. Pokrewieństwo duchowe, jedynie duchowe. Mój rodzony ojciec próbował się doszukiwać jakichś związków, ale najdalszy przodek, jakiego znalazł, urodził się w połowie XIX wieku. Zajmował się uprawdziej, tak jak ja, pasterstwem, ale w dosłownym tego słowa znaczeniu. Mój daleki krewny, proszę pana, pasał owce. W miasteczku, z którego pochodzę, Guzmanów liczy się na pęczki. I wątpię, żeby którykolwiek z nich mógł się pochwalić rodzinną tradycją sięgającą przełomu dwunastego i trzynastego wieku. Pan nazywa się podobnie. To samo imię, nazwisko

różni się tylko jedną literą. Czy jest pan krewnym szesnastowiecznego teologa Adriana Gutmana, zresztą jak ja, dominikanina, autora „Traktatu o Bogu Doskonałym”?

– Nie sędzę. Nawet o nim nie słyssałem.

– No widzi pan. Przypadki czasem nas zaskakują. Jak jednak widać, się zdarzają. Dobrze, powinniśmy już iść. Tylko jeszcze raz proszę, piętnaście, dwadzieścia minut, nie dłużej.

Ojciec Roger stał w otwartym oknie. Karmił gołębie. Ptaki wskakiwały na wewnętrzny parapet. Brał je delikatnie w dłonie i wystawiał za okno. Jan zamknął za sobą drzwi i przypatrywał się tej dziwnej ceremonii. Chciał coś powiedzieć, ale przeor odezwał się pierwszy.

– Przylatują o ustalonych porach. Rano, w południe i wieczorem. Można je karmić z ręki, w ogóle się nie boją – przeor ciągle stał w oknie, nawet nie odwrócił głowy. – Miejskie gołębie żyją jak ludzie. Jedzą, srają, zakładają rodziny, odwiedzają te same miejsca, co my. Czasem mi się wydaje, że one nigdy nie śpią.

Zgarnął z parapetu ostatnie okruchy i wyrzucił je na dziedziniec. Ptaki natychmiast odfrunęły. Dopiero teraz zamknął okno i odwrócił się do Jana.

– Wyobrażałem sobie ojca... – Jan nie dokończył zdania.

– Wyobrażał mnie pan sobie inaczej, tak?

– Tak.

– Jak zgrzybiałego starca?

– Nie, ale...

– Przykro mi, że pana rozczarowuję. Jak pan być może wie, my, dominikanie, umiemy o siebie dbać. Nasz założyciel, Dominik, nie dożył wprawdzie sędziwego wieku, ale do końca swoich dni, jak widzimy na rycinach, pozostawał człowiekiem młodym. A przynajmniej na takiego wyglądał.

Jan patrzył na tego człowieka. Siwizna przyprószyła kruczoczarne włosy. Szczupła, wyprostowana sylwetka. W czarnych spodniach, szarej koszuli i czarnej marynarce nie przypominał duchownego. Rzeczywiście inaczej go

sobie wyobrażał. Gdyby go zobaczył w innym miejscu, na ulicy, w metrze, gdzieś, gdzie czasem przypatrujemy się ludziom, którzy zwracają czymś naszą uwagę, nie dałby mu więcej niż pięćdziesiąt kilka lat. Ale ojciec Roger już dawno przekroczył osiemdziesiątkę. Można się pomylić o pięć, nawet dziesięć lat, ale nie o trzydzieści. Jedynie oczy, głęboko osadzone po bokach długiego, spiczastego nosa, wskazywały na przebytą drogę. Było w nich coś, czego Jan w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć. Oczy nie pasowały do całej reszty. Do gładko ogolonej twarzy, twarzy bez zmarszczek. Były to oczy starego człowieka. W dodatku pogodzonego ze swoją starością. Blade, smutne, jakby niewidzące.

– No tak, ale przecież pan ma ważne dla siebie sprawy i po to nas odwiedził, mimo braku zaproszenia – mówiąc to, ukradkiem spojrzął na Jana – a ja pana zagaduję.

Przeor usiadł za biurkiem na skórzanym, obrotowym fotelu, jaki można kupić w każdym sklepie z meblami biurowymi. Ten fotel nie pasował z kolei do surowego wnętrza gabinetu, w którym oprócz biurka, dwóch niedużych regałów z książkami, obrazu przedstawiającego Dominika Guzmána i krzyża zawieszzonego na ścianie, nie było nic więcej. Jan usiadł na drewnianym krześle po drugiej stronie biurka. Zanim się odezwał, przeor znów go uprzedził. Otworzył szufladę, chwilę czegoś szukał, wyciągnął kopertę, z niej list. Czytając, mówił do Jana.

– A więc pisze pan książkę o ojcu Kramerze, nazywanym Institorem. Ciekawe. I pracuje pan na uniwersytecie w Pradze. Jest pan, jak rozumiem, Czechem?

– No tak, Czechem.

– Doktorem czegoś tam...

– Historii, a właściwie antropologii historycznej.

– Nawet nie wiedziałem, że istnieje taka dziedzina nauki. A co pana zainteresowało w ojcu Kramerze? Dlaczego akurat on?

– Napisałem dwie książki. Pierwsza o Husie, druga o Giordano Bruno...

– Ach tak, szkoda, że nie czytałem – przeor mruknął pod nosem. – Powiem panu coś. Te wszystkie wasze popularne, nienaukowe dziełka przyprawiają mnie o ból głowy. Lepiej, żeby w ogóle nie powstawały. Roją

się od przypuszczeń, niczym niepotwierdzonych tez, a czasem zwykłych paranoi. Niech pan się na mnie nie obraża, próbuję być z panem szczerzy. Jak pan myśli, dlaczego nikt do tej pory nie napisał jeszcze książki o Kramerze?

I nie czekając na odpowiedź, sam jej udzielił:

– Bo nikt się nie odważył. Bo to trudny temat, skomplikowany. Bo być może niebezpieczny. Na pewno warto mieć odpowiednie przygotowanie. I teologiczne, i duchowe. To drugie może nawet ważniejsze, bo obracamy się w kręgu zła, grzechu, diabła.

– Ojciec wybaczy, staram się myśleć racjonalnie – przerwał mu Jan.

– Uważa pan, że ja inaczej? Zło, jeśli czynione z zamysłem, jest jak najbardziej racjonalnym stanem. Podejmuje pan ryzyko.

– Szczerzość za szczerzość – przełknął Jan. – Mnie się z kolei wydaje, że teologowie, czy jak ich tam nazwać: pisarze związani z Kościołem, co najmniej od kilku wieków nie wymyślili niczego oryginalnego. Ostatni, zdaje się, był Luter.

– No dobrze, mniejsza z tym, uzgodniliśmy, jak się to mówi, stanowiska, ale dlaczego on, Kramer? Brakuje panu bohaterów?

– Chyba jest trochę tak, jak z górą. Jeśli ktoś jej nie zdobył, chcemy być pierwsi. Dobrze ojciec wie, że Institor, jego historia zasługują na książkę. W dodatku umarł gdzieś koło Ołomuńca, w Czechach...

– Nie wiemy tak naprawdę, gdzie umarł, może się okazać, że całkiem gdzie indziej – przerwał nagle ojciec. – Wolałbym, żeby pan jednak był teologiem. Albo księdzem. Choćby tylko dla pana dobra. Gdzie się pan uczył francuskiego? Mówi pan jak Francuz, prawie bez obcego akcentu.

Jan pokręcił głową.

– Jeśli ojciec pozwoli mi powiedzieć parę zdań więcej, to się przekonam, że czasem brakuje mi słów – powiedział prawdę. Nawet teraz, kiedy rozmawiał z przeorem, musiał się starać, żeby jego francuski był w miarę płynny. – Nie mówię po francusku zbyt często. Uczyłem się w domu. Mój ojciec był z pochodzenia Francuzem, mama była Czeszką. Niestety, ojciec zmarł, gdy miałem pięć lat, a mama kilka lat temu. Żałuję, że tak naprawdę nie było mi dane dobrze poznać ojca. Przyjechał na studia do Pragi i już tak

został, spodobało mu się w Czechosłowacji.

– Tak? A skąd przyjechał? Gdzie wcześniej mieszkał?

– Tutaj, to znaczy w Lyonie. W Pradze studiował medycynę. Był lekarzem. Do końca życia nie nauczył się dobrze mówić po czesku. Używał dziwnej hybrydy czesko-francuskiej. To podobno miało nawet swój urok.

– No tak, no tak. Byłem kilka miesięcy w Pradze tuż przed wojną, właściwie jako dziecko. Mieliśmy tam swój nowicjat. Częściej odwiedzałem Pragę pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych. Moi rodzice umarli bardzo wcześnie. Można powiedzieć, że wychowałem się w zakonie.

– Wiem, stryj ojca był przeorem. Właściwie od razu po nim przejął ojciec obowiązki w lyońskim zgromadzeniu dominikanów.

– Takie było życzenie kapituły. Ale zanim to się stało, wysłano mnie za ocean, do Stanów Zjednoczonych. To było w czasach, kiedy Amerykanie mieli ogromne i długie samochody. Tak długie, że obejście auta z fotela pasażera na fotel kierowcy zajmowało mniej więcej połowę „Zdrowaś Mario”. Braciszkwowie próbowali mnie uczyć kierowania autem. Szczerze mówiąc, do dziś nie potrafię dobrze prowadzić samochodu. A jak Praga teraz wygląda, tak samo jak wtedy?

– Nie pamiętam, jak wyglądała kilkadziesiąt lat temu.

– Ach, prawda. Skąd pan to może wiedzieć. Pańska pamięć nie sięga dalej niż dwie, może trzy dekady wstecz. Ile pan ma właściwie lat?

– Trzydzieści sześć.

– No tak. Proszę mi wybaczyć, rzadko mam okazję rozmawiać z młodymi ludźmi, zazwyczaj rozmawiam ze starcami, takimi jak ja – westchnął.

– Prawdopodobnie wygląda dokładnie tak samo.

– Co?

– Praga. Prawdopodobnie wygląda tak samo jak wtedy. To jedno z tych miast, które prawie w ogóle się nie zmieniają.

– I bardzo dobrze, i bardzo dobrze. Wy, Czesi, o ile dobrze pojmuję waszą historię, w ogóle nie lubicie zmian. Przynajmniej od czasów wielebnego Jana Husa, zdaje się, tak jest – ojciec Roger zamyślił się, jakby usiłował sobie przypomnieć kilkumiesięczny pobyt w czeskiej stolicy. Nagle wstał, podszedł do okna, otworzył je. Janowi wydawało się, że patrzy na gołębie,

które pewnie kończyły swoją kolację na dziedzińcu. Przeor zamknął okno.

– Często pan bywa w Lyonie? – zapytał, siadając na powrót w fotelu.

– Nigdy tu nie byłem. Byłem w Paryżu. Ale tylko raz, dwadzieścia lat temu z wycieczką szkolną.

– Jak to? Nie ma pan żadnej rodziny w Lyonie?

– O ile wiem, już nie. Mama mówiła, że z naszej francuskiej rodziny nikt nie został.

– Nie wiem, czy mogę, czy jestem w stanie panu pomóc – przeor szybkim ruchem zamknął szufladę biurka. – Od jego śmierci upłynęła mniej więcej połowa tysiąclecia. Nie zachowały się żadne dokumenty. Jedyne manuskrypt jego dzieła, jeśli tak można powiedzieć, pierwsze wydanie, drukowane jeszcze u Gutenbergów, ale „Młot” pan przecież zna, prawda?

– Tak, znam dzieło Institora, wszyscy je znają.

– No tak, no tak – ojciec Roger pochylił się nad biurkiem, skrzyżował dłonie, podpierając nimi brodę. – Musi pan wiedzieć, że nic więcej się nie zachowało. Są oczywiście przyczynkarskie teksty, rozsiane po wielu publikacjach z tamtego czasu i z czasów późniejszych. Część z nich w naszej bibliotece, ale trzeba lat, żeby je wszystkie przejrzeć, i paru wieków, żeby je dokładnie przestudiować.

– Wie ojciec, czego szukam. Napisałem o tym w liście.

– Szuka pan pamiętnika Institora, dziennika jego życia i pracy. Problem w tym, że wierzy pan w istnienie czegoś, co prawdopodobnie nigdy nie istniało.

– W wielu miejscach natrafiałem na informacje, że Institor wszystko zapisywał. No może prawie wszystko, w każdym razie wszystko, co wydawało mu się ważne. Wiem też, że nie ja pierwszy szukam tych zapisków.

– To prawda, nie pan pierwszy. Poszukiwanie dziennika Institora przypomina mi poszukiwania świętego Graala, jakiejś tajemnicy, po odnalezieniu której wszystko będzie już łatwe i proste, a ci, którzy ją znajdą, będą mieli przywilej zrozumienia niezrozumiałego. To wszystko, młody człowieku, jedynie blef historii. Wymysł sensatów i gawiedzi, która

nas przekonuje, że jest jakaś krótsza droga poznania, którą można dojść do celu. Historia nie uznaje tymczasem skrótów. Pod tym względem niewiele się zmieniliśmy od starożytności. Trzeba się nachodzić, żeby zrozumieć. Tak jak nie ma świętego Graala, tak nie ma dziennika Institora. Zresztą po cóż on byłby panu potrzebny?

Przeor, oparty o fotel, badawczo przyglądał się Janowi. Długa, pociągła twarz, lekko kręcone, czarne włosy, raczej wydłużony, semicki nos. I okulary w delikatnych, cienkich oprawkach, nadające twarzy jakąś niepowtarzalną surowość. Z pewnością nie mógłby takiej twarzy przeoczyć na ulicy, w metrze. Zwróciłaby jego uwagę. Im dłużej się przyglądał, tym mniej rozumiał. I nagle przypomniał sobie samego siebie, gdy miał trzydzieści, czterdzieści lat. Trudno mówić o łudzającym podobieństwie, ale nos, oczy, kostyczne rysy... Być może idealizował swój własny wygląd z młodości, ale ta, całkiem ładna, na pewno miła, młoda twarz Jana, była po części jego twarzą. Twarzą, którą pamiętamy, ale chcemy o niej zapomnieć, kiedy na starość przeglądamy się w lustrze. Twarzą niepodobną, a jednak bliską.

– Ojciec wie, dlaczego – Jan przerwał rozmyślenia przeora. – Interesuje mnie nie tylko, co robił, ale przede wszystkim, jaki był. Jego motywy działania. On sam. O czym myślał. Czy miał wyrzuty sumienia. Czy nie miał wątpliwości. Mówiąc krótko, interesuje mnie człowiek, jedna z ważniejszych postaci w Kościele przełomu średniowiecza i renesansu, rozumie ojciec?

– Chce pan go poddać psychoanalizie? Jak Jung analizował psychikę Boga, a Bóg Hioba? Obawiam się niestety, że do tego nie wystarczy nawet wiedza psychiatry. Którym zresztą pan nie jest. Nie jest pan też duchownym, nawet nie wiem, czy pan należy do naszego Kościoła, chociaż... – przeor zawiesił głos, podszedł do okna, mówił odwrócony do Jana tyłem – chociaż pewnie to ma akurat najmniejsze znaczenie. Nasz Kościół, podobnie jak cały świat, zmienia się, przepoczwarza. W tempie, za którym my, starzy, już nie nadążamy. Mam często wrażenie, że bardziej dbamy o tych, którzy z Kościołem nie mają nic wspólnego, niż o tych, którzy mu oddali całe życie.

– Chciałbym... – Jan nie dokończył zdania.

– Dziś już nie jestem w stanie poświęcić panu więcej czasu – przeor nagle

zmienił ton na oschły, służbowy. – Pracowałem cały dzień.

– Jeszcze jedno, pozwoli ojciec...

– Jeśli pan musi.

– Ojciec wie o objawieniu, jakiego miał doświadczyć Institor?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o przepowiedni Heinricha Kramera, zwanego Institorem.

– A, o to chodzi... Chyba zbyt wiele pan ode mnie oczekuje.

– Przynajmniej w kilku pracach dominikanów natknąłem się na informacje o tym, że Kramer tuż przed śmiercią doznał objawienia, podobnego do objawienia przypisywanego świętemu Janowi. Ojciec sam w swojej „Historii Braci Kaznodziejów” o tym wspomina.

– Rzeczywiście, ale jak sam pan powiedział, jedynie wspominam, nie przesądzając, czy tak było w istocie. Pan za to mówi o dzienniku ojca Kramera jako o rzeczy realnie istniejącej. Zgodzi się pan ze mną, że realnie istniał Jezus, także jego uczniowie zapisujący drogę swojego mistrza. Heinrich Kramer to jedynie epizod. Z punktu widzenia historii i misji Kościoła nie najważniejszy. Gdzie pan się zatrzymał, w hotelu?

– Tak, w Mirage, niedaleko.

– Wiem, znam. Odezwiemy się.

– Mogę liczyć...

– Tak, ale dziś niech pan mnie już nie męczy. Brat Jean odprowadzi pana do furty.

Ojciec Roger odczekał chwilę. Słyszał, jak schodzą z piętra na parter. Potem otworzył drzwi, przeszedł korytarzem. W małym pokoju, którego jedyne okno wychodziło na klasztorny dziedziniec, stał pojedynczy, nieduży regał. Przeor sięgnął po niewielki, oprawiony w szare płótno rękopis, stojący na końcu, tuż przy oknie. Otworzył na ostatniej stronie. Zaczął czytać, od czasu do czasu poruszając niemo ustami.

Zamknął. Odłożył na półkę. Kiedy wracał do swojego gabinetu, natknął się na Jeana. Wziął go za rękę i długo wpatrując się w jego nagle posmutniałe oczy, zapytał:

– Wiesz, co masz zrobić?

– Tak, wiem.

– Dobrze. Uważaj, żeby niczego nie zepsuć.

– Tak.

– Jutro wieczorem powiem, że wracam do Dijon. Znasz plan? Dasz radę?

Pamiętasz wszystko?

– Tak, bardzo dobrze pamiętam, poradzę sobie.

– Zaproś go na południe.

– Może to zignorować?

– Wiesz, że to niemożliwe. Jutro w południe. No, idź już, idź prędko.

Jean, zbiegając po schodach, zaczął zdejmować habit. W swoim pokoju na parterze szybko założył spodnie, sweter, ortalionowy płaszcz. Wybiegł z klasztoru i stanął na *rue Tête d'Or*. Rozejrzał się, ale Jana już nie było. Pomyślał, że za chwilę znajdzie go w hotelu.

Deszcz ciągle padał. Jan szedł powoli, omijając kałuże na chodniku. Zatrzymał się przed wejściem. Niebieski neon z napisem Hotel Mirage pulsował jaskrawym światłem. Nagle zawrócił, przeszedł most na Rodanie, a potem na Saonie. Obok katedry świętego Jana Chrzciciela stała grupa turystów, rozmawiali po niemiecku. Jeden z turystów zbliżył się do Jana i kiepską francuszczyzną zapytał o drogę do kolejki na Fourvière. Jan udał, że nie rozumie. Nie chciało mu się tłumaczyć, że sam nie wie. Był zmęczony, chciał znaleźć jakieś spokojne miejsce, usiąść, odpocząć. Turysta machnął ręką i odszedł.

Oberża „Pod Ślimakiem”. Kilka stolików. Wszystkie wolne. Kelner wpatrywał się w ekran telewizora, zawieszzonego nad barem. Na ekranie dwaj mężczyźni rozmawiali o pogodzie.

– Ciepło – mówił pierwszy.

– Dwadzieścia stopni zimą to chyba lekka przesada – mówił drugi.

– Ależ skąd. Świetna pogoda, żeby jechać na weekend do Saint Tropez.

– Teraz?

– Właśnie teraz. Wyobraź sobie: słońce, woda w morzu cieplejsza niż powietrze.

– Jedziesz?

– Ja tak. A ty?

– Jeśli ty, to i ja.

Koniec rozmowy. Plansza z cennikiem. Hotel w Saint Tropez, dziewięćdziesiąt euro za dobę, dwa posiłki dziennie, sauna za darmo, rabat na rejs statkiem po morzu. Zimą dwa razy taniej, pogoda murowana. Najlepiej z biurem podróży Mare Tours. Adres, numer telefonu.

Zamówił whisky z lodem. Po pięciu minutach dostał samą whisky. Zimą nikt nie zamawia lodu. Tak mówi kelner. Trudno, może być bez lodu. Pierwszy łyk ciepłego alkoholu natychmiast uderzył mu do głowy. Poczł delikatne mrowienie w rękach, brzuchu, idące aż do nóg. Zamknął oczy, poddał się temu ciepłu, które mu przypomniało wczorajszy dzień, popołudnie i wieczór wczorajszego dnia. W gabinecie dziekana spędził ponad godzinę, jak zwykle wypijając kilka filiżanek zielonej herbaty z miodem. Profesor Hass, promotor pracy doktorskiej Jana, dobre pół godziny opowiadał o swojej ostatniej wyprawie w słowackie Tatry.

– Idę, obok mnie Reks i Zuza, wesołe, poszczekują, jak to one, wiesz, idziemy ze Smokowca w stronę Doliny Wielickiej, pamiętasz, tam gdzie kiedyś szliśmy z całym waszym rokiem, dochodzimy na skraj doliny i nagle widzę, jak psy się zatrzymują, przestają szczekać, najeżają sierść, prostują się jak do skoku, a przed nimi, w odległości dwudziestu, może trzydziestu metrów, najprawdźniejszy niedźwiedź, wielki jak krowa, stoi i gapi się to na psy, to na mnie. Mam wrażenie, że za chwilę albo Reks z Zużą skoczą na niego, albo on zaatakuje. Ale nic z tych rzeczy. Jakby wszyscy troje ocenili własne możliwości, uznając, że siły są mniej więcej równe. I powoli, w jednej chwili, zaczęli się wycofywać. Moje psy stanęły przy nodze, a niedźwiedź, pomrukując, zniknął w zaroślach przysypanych świeżym śniegiem. Wyobrażasz sobie? Zwierzęta są mądrzejsze od nas wszystkich, lepiej niż my oceniają sytuację zagrożenia, ważąc zamiary na swoje własne siły, a nie odwrotnie – siły na zamiary, którym nie są w stanie sprostać.

– Jak się okazuje, nawet zwierzęta się tego od nas nauczyły – Jan uśmiechnął się, dopijając trzecią czy czwartą filiżankę herbaty. – Wolimy nie ryzykować, jeśli to nie jest konieczne. Nasza racjonalność parę razy już nam pomogła. To znaczy o nas mówię, o Czechach – wytłumaczył, co miał na myśli.

– To prawda, Janie, to prawda – odpowiedział z uśmiechem dziekan. – No

dobrze, kiedy wracasz?

– Właśnie chciałem o tym porozmawiać – Jan wyjął notes z kalendarzem.
– Dziś jest sobota, lecę jutro, powinienem wrócić w poniedziałek, najpóźniej we wtorek, więc gdybym nie dotarł do poniedziałku, to rozumiem, że pan, profesorze, poprowadzi za mnie zajęcia?

– Oczywiście, Janie, oczywiście, jak zwykle. Ale czy ty w ogóle musisz tam jechać? – profesor Hass spojrział na Jana, jakby chciał go zniechęcić do wyjazdu.

– Nie muszę, ale chcę. Inaczej nie ruszę z książką, wie pan, profesorze. Zresztą sam mnie pan namawiał...

– Nie namawiałem, jedynie mówiłem o Kramerze. Sam podjąłeś decyzję. No dobrze, mam w Lyonie paru znajomych. Chcesz jakiś kontakt? Może ci się przyda.

– Nie, nie, dziękuję, poradzę sobie – Jan podniósł się z krzesła. – Muszę już iść, przepraszam, Anna na mnie czeka, opowiem o wszystkim, jak wrócę.

– Ach, ta twoja Anna – dziekan pokręcił głową. – Moglibyście się w końcu pobrać, to bardzo mądra i zdaje się, równie dobra dziewczyna. Poza tym macie już swoje lata.

– Do zobaczenia, profesorze – Jan udał, że nie dosłyszał ostatnich słów Hassa. Szybko wyszedł z dziekanatu i żwawym krokiem ruszył na Małą Stranę. Dochodziła czwarta po południu, było już całkiem ciemno. Szybko pokonał most Karola. Postawił kołnierz, mocniej związał szalik. Mroźne powietrze, wiatr i wilgoć idąca od rzeki unosiły mgłę podobną do tej, którą pamiętał ze starych, angielskich filmów o wiktoriańskim Londynie. Do spotkania z Anną zostało dwadzieścia minut. Zamiast iść najkrótszą drogą, skręcił w prawo w Józefską, potem w lewo obok kościoła świętego Tomasza. I dalej Leteńską i Małostrzańską wzdłuż kościoła świętego Mikołaja. Oba kościoły były już zamknięte. „A może w ogóle nie są otwierane w tygodniu” – pomyślał. Kilka miesięcy temu, w niedzielne południe, przechodząc obok, zajrzał do środka. Kończyła się msza. Naliczył czterech wiernych: cztery kobiety, każda z nich mogłaby pewnie być jego babką. We wszystkich badaniach, które znał, Czesi zawsze okazywali się najbardziej laickim narodem świata. Nie da się tego wytłumaczyć jedynie tradycją

husytów, wojnami religijnymi przetaczającymi się przez Czechy i Morawy w piętnastym i szesnastym wieku, a potem nawrotem katolicyzmu. Nawet latami komunizmu i walki z Kościołem nie da się wytłumaczyć tego dziwnego stanu kompletnego braku zainteresowania religią. Było coś jeszcze, czego Jan do końca nie rozumiał. Hass nazywał to „czeskim otępieniem”, sugerując, że oprócz niewątpliwych zalet, takich jak rozsądek, dystans do samych siebie, charakteryzuje Czechów tępota uczuć wyższych. „Jeśli na coś nie mamy wpływu – mówił – wolimy się bez tego obejść, bo niby jaki mamy wpływ na Pana Boga? Żaden. Jest w tej zależności wyjątkowa niesprawiedliwość, bo on za to może z nami zrobić, co tylko sobie chce. Dla własnego spokoju lepiej więc w niego nie wierzyć niż wierzyć i się ciągle bać, że nas ocenia i kiedyś tam rozliczy. Niech rozlicza tych, co w niego wierzą – myślimy i od razu czujemy się lepiej, bo sami się z tej grupy wyłączyliśmy. O ile na przykład Żydzi widzą w swojej religijności interes, to my jesteśmy na drugim biegunie – wiara w Boga jakoś kompletnie się nam nie opłaca”

Na początku był sam. Czekał, aż przyjdzie. Nie lubił się spóźniać, a jeszcze bardziej, kiedy Anna się spóźniała. Właściwie nie pamiętał, żeby się jej zdarzyło przyjść na czas.

Potem siedzieli po obu stronach drewnianego stołu w ich ulubionym barze „U Hrocha”. Jan pochylał się nad swoim notatnikiem, Anna czytała „Młodą Frontę”. Palila papierosa, trzymając go, jak to ona, w wyprostowanych palcach lewej ręki, zapominając strzepywać popiół, który spadał na gazetę. Dopiero wtedy, gdy popiołu było już tak dużo, że utrudniał czytanie, zrzuciła go na podłogę. Gdyby ich ktoś w tym momencie obserwował, mógłby pomyśleć, że widzi rodzeństwo. Mniej więcej ten sam wiek, szczupłe twarze z nieco wystającymi kośćmi policzkowymi, duże, ale lekko zwężające się w kącikach, zielone oczy i nieznacznie zakrzywione, semickie nosy. Jedynie włosy zupełnie inne. Jan miał brązowe, prawie czarne, krótkie, nieznacznie kręcone. Anna bardzo jasne i całkiem proste, sięgające niemal do pasa. Teraz rozpuszczone, ale zazwyczaj splecione w warkocz.

W pewnej chwili przestała czytać. Zaczęła mu się przypatrywać,

zmarszczyła brwi. Wydawało mu się, że chce coś powiedzieć.

– No? Coś nie tak? – zapytał, uprzedzając jej pytanie.

– Nie wydaje ci się, że troszeczkę przesadzasz?

– O co ci chodzi? Mówiłem, że muszę tam jechać.

– Ależ jedź sobie, jedź. Ja nie o tym – jeszcze bardziej zmarszczyła brwi, rzuciła papierosa na podłogę, przydeptała. – Coś ci powiem. Z twoją głową nie jest w porządku.

– Niby co?

– Jak długo się znamy? No odpowiedz. Proste pytanie, jak długo się znamy?

– Z piętnaście lat?

– Prawie dobrze. Za miesiąc będzie siedemnaście.

– Aha.

– A ile lat mieszkamy razem?

– Prawie tyle samo.

– Dokładnie szesnaście i pół roku. Widzisz, nawet tego nie pamiętasz. Ale nie o to chodzi. Nieważne, dziesięć, jedenaście. Jak ostatnio próbuję z tobą gadać, to wiesz, co mówisz?

– No co?

– Jestem zajęty. Nie mam czasu. Siedzę i czytam. Jest jeszcze druga wersja: jestem zmęczony, cały dzień pisałem, chce mi się spać. Wiesz, kiedy ostatni raz gdzieś wyszliśmy? Kino, teatr? Kiedy to było?

– Nie tak dawno.

– Mój drogi, w twoim słowniku historyka nie tak dawno może znaczyć trzysta lat temu. Nie jestem chyba aż tak stara, co? Nie wyglądam jeszcze na trzysta lat, mam nadzieję.

– Anna...

– Twoja Anna ma trzydzieści pięć lat. O ile nadal jest twoja. Jak myślisz, nadal jestem twoja? A może ktoś inny już uzupełnia miejsce po tobie, co?

– Do czego zmierzasz, nie rozumiem?

– Człowieku, kobiety w moim wieku zakładają rodzinę. Gdzie tam, zakładają. Mają już dzieci, mają mężów, dom, rozumiesz? Jeszcze chwila, a oboje będziemy mieli po czterdzieści lat. Mężczyźni w wieku czterdziestu

lat są jeszcze młodzi. Czterdziestoletnie kobiety mają jednak pewien problem, wiesz jaki?

– No?

– Czterdziestoletnie kobiety zaczynają wsteczne odliczanie.

– Co?

– Wsteczne. Patrzą do przodu, a tam się nic nie dzieje. Patrzą, patrzą, a tam pustka. Patrzą jeszcze dalej, a tam jeszcze większa pustka. Za dziesięć, piętnaście lat klimakterium. Wiesz, co to klimakterium? Że nie można mieć dzieci, tak w skrócie ci mówię. Organizm kobiety jest taki, że chce mieć dzieci. Boi się tej granicy czterdziestu paru lat, za którą wprawdzie można mieć jeszcze dzieci, nawet bliźniaki, trojaczki, ale bardzo dobrze, jeśli się wtedy ma męża, a mąż to rodzina, dom, pewność, spokój, czy ty chcesz mieć dzieci? Na przykład ze mną?

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Oczywiście. Ale to nie była rozmowa. Przypomnę ci, co mówiłeś...

– Anna...

– Przypomnę, co mówiłeś, cytuję: jeszcze nie teraz, kropka, koniec. Jeszcze nie teraz.

– Przesadzasz. Jak zwykle.

Wyjęła z paczki następnego papierosa, zapaliła, zaciągnęła się głęboko. Nie rozumiał, dlaczego pali. Tyle razy jej mówił, że nie znosi dymu. Prosił, żeby przestała palić. Teraz specjalnie wydmuchiwała kłęby w jego stronę. Zaciągnęła się kilka razy i rzuciła niedopałek na podłogę.

– Wiesz co, ja już nie mam siły – powiedziała cicho. – Musimy w tej chwili coś postanowić. Uważaj, zadam ci pytanie, od którego bardzo wiele zależy. Jutro lecisz do Lyonu, wracasz za parę dni...

– Pojutrze.

– Dobrze. Pojutrze, popojutrze, za tydzień, wracasz. I co dalej?

– Jak to, co dalej? Nudzisz się? Czego ty chcesz, Anna? Masz dobrą pracę, lubisz to, co robisz. Daj mi pracować. Czy ja ci przeszkadzałem, jak pisałaś swój doktorat? Czy ja coś mówiłem? Prędkość kątowna ruchu orbitalnego,

niewielkie wydłużenie doby słonecznej, nieco większe od przeciętnej, co pociąga za sobą nieco szybszy ruch Słońca na jakimś tam tle, chyba gwiazd. Elipsa Keplera, jako zachowanie momentu pędu czy popędu, już nie pamiętam – próbował zażartować, ale Annie się to nie spodobało.

– Pieprzony humanista.

– Coś pomyliłem? Nie jestem fizykiem.

– Elipsa Keplera jako warunek zachowania momentu pędu – wyrecytowała Anna.

– Pamiętam. Kepler, obrońca Sparty Praga.

– Ale ty jesteś głupi.

– E tam. Tak uważasz?

– Bardzo głupi. Co dalej?

– To jest to pytanie?

– Tak. Skoncentruj się. Masz dwie odpowiedzi. Pierwsza jest taka, że zaczynamy żyć jak rodzina. No wiesz, zachodzimy razem w ciążę. Mieszkamy razem, mamy dziecko, jest nam dobrze. Druga jest taka: nie chcę cię, mam wszystko w dupie, jestem małym chłopcem, do widzenia, Anna, do widzenia, żegnaj. Tylko jedna odpowiedź jest prawdziwa. Jak myślisz, która?

– Nie wiem.

– Wybrałeś najgorszą odpowiedź.

Jan poczuł, że ktoś go szarpie za ramię. Otworzył oczy. Przed nim stał brat Jean. W swetrze, ortalionowej kurtce wyglądał inaczej niż w klasztorze.

– Nie śpij – powiedział Jean.

– Nie śpię – Janowi przez chwilę wydawało się, że ciągle siedzi w barze na Małej Stranie.

– Wydawało mi się, że śpisz.

– To brat? Skąd brat tutaj?

– Pan rzeczywiście musi być bardzo zmęczony – Jean usiadł na krześle po drugiej stronie stołu. Kelner przyniósł mu kieliszek czerwonego wina, ukłonił się i odszedł do baru. – Szukałem pana w hotelu. Pomyślałem, że pewnie znajdę w jakiejś restauracji, a o tej porze turystów można znaleźć

jedynie na Starym Mieście. No i się nie myliłem.

– A ja nie sądziłem, że dominikanie zagląдают wieczorem do knajp – Jan już całkiem oprzytomniał. Tamta, wczorajsza rozmowa z Anną przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Nie pierwsza, nie ostatnia. Miał dość tych rozmów, ciągłych pytań i poszukiwania właściwej odpowiedzi, której nie chciał, a może tylko nie umiał znaleźć. – Pan, przepraszam, brat...

– Ani pan, ani brat – Jean mu przerwał – nie dzieli nas aż tak duża różnica wieku, żebyśmy nie mogli sobie mówić po imieniu.

– Będę zaszczycony – Jan powiedział to jakoś niepewnie, właściwie nigdy tak nie mówił, tym bardziej nie wiedział, dlaczego teraz, w obecności dominikanina, wypowiedział te dziwnie sztuczne, niepasujące do niego słowa.

– No i kłopot z głowy – Jean się uśmiechał. Zdjął płaszcz, zawiesił go na oparciu krzesła. – Kelner, poproszę jeszcze wino dla mnie – spojrzał na niedopitą whisky w szklance Jana – a dla mojego przyjaciela whisky, tak? – tu obrócił się do Jana, a ponieważ Jan nie protestował, dodał – podwójna whisky.

Milczeli. Obaj wpatrywali się teraz w ekran telewizora, na którym kolejna reklama zachęcała do wizyty w Grenoble. „Wjeżdżasz na górę, widzisz Mont Blanc i co ci pozostaje?” – pytał mężczyzna, trzymając w jednej ręce narty, a w drugiej telefon komórkowy. „Pozostaje ci zadzwonić pod numer (na ekranie pojawia się numer telefonu) i zamówić weekend w Alpach. Chcesz tego? Dzwon, przyjeżdżaj, czekamy”

– Ojciec przeor zaprasza cię jutro w południe – Jean odstawił już pusty kieliszek i przypatrywał się Janowi, jakby chciał ocenić, czy do Jana trafia to, co mówi.

– Macie tu coś oprócz reklam? – Jan udał, że nie słyszy zaproszenia.

– Francja nie musi się reklamować. Przyjdiesz?

– Jutro w południe?

– Tak, ojciec Roger zaprasza na dwunastą.

– Rano mam samolot do Pragi.

– To przełoż na później.

– Z Lyonu do Pragi jest tylko jeden lot dziennie. Musiałbym przełożyć

na kolejny dzień. O ile będą miejsca.

– Jak chcesz. Jeśli ci zależy na rozmowie z przeorem, spróbuj się do niego dopasować.

– Już próbowałem, ale nie odpowiadaliście na moje listy.

– Wybacz, Janie, ale do naszego zgromadzenia każdego dnia przychodzi około pięćdziesięciu listów. Jak sobie wyobrażasz, że będziemy na każdy odpowiadali?

– Jakie to listy? Takie jak mój?

– Różne. Ktoś chce wstąpić do zakonu, ktoś o coś pyta, jak ty, ktoś inny nas o coś oskarża, inny dziękuje. Bardzo różna korespondencja. Staramy się odpowiadać, ale to trwa. Tobie się wydawało, że jak piszesz do nas list w sierpniu, to we wrześniu powinienes dostać odpowiedź, a w październiku zostaniesz przyjęty. Ale to nie jest państwowy urząd, Janie. Nawet jeśli przeor czytał twój list, to nie znaczy, że odpowie od razu. Niektóre rzeczy trzeba przemyśleć. To, co w życiu trwa chwilę, u nas musi poczekać, musi się uleżeć, okrzepnąć. Sprawy tego świata nie są dla nas tak ważne, jakby to się niektórym mogło wydawać.

– Ojciec Roger trzyma mój list w szufladzie biurka.

– Jak wiele innych. Niektóre czyta po kilka razy, inne wyrzuca. Bardzo rzadko ktoś, tak jak ty, przyjeżdża bez zaproszenia. A jeszcze rzadziej bywa przyjmowany – Jean machnął ręką na kelnera. Zamówił kolejną butelkę wina i podwójną whisky. – Miałeś szczęście, że akurat wróciliśmy na dwa dni do Lyonu. I że przeora zainteresował temat twojego listu.

– Rozumiem. Wracacie do Dijon? Kiedy? Jutro?

– Przeor wraca, ja zostaję, mam parę spraw do załatwienia.

– Ach, tak – Jan czuł, że język zaczyna mu się plątać.

Nie pamiętał już, ile wypił szklanek whisky. Cztery, pięć, sześć? Dochodziła dziewiąta. Do tej pory pusty bar zaczął się z wolna zapełniać. Uświadomił sobie, że dziś jest niedziela, koniec weekendu. W Pradze, w każdy niedzielny wieczór, znalezienie wolnego miejsca w barach i gospodach położonych na Starym Mieście jest prawie niemożliwe. Jean wyszedł do toalety, a Jan mógł się teraz dokładniej przyjrzeć towarzystwu, które usiadło przy stoliku w samym rogu oberży. Byli to ludzie młodzi, może w jego wieku. Trzej

mężczyźni i jedna kobieta. Mężczyźni mieli na sobie jasne koszule i ciemne, chyba czarne marynarki. Jan zaczął się przypatrywać kobiecie. Miała czarne, opadające na ramiona włosy. Część z nich było ukryta pod naciągniętym głęboko na czoło, czerwonym beretem. Nie pasowała do swoich towarzyszy. Miała długi, powyciągany we wszystkie strony, czarny sweter, wyglądający, jakby go przejęła po starszej i większej siostrze. Na szyi niedbale zarzucona, czerwona chustka, na nogach opięte jasnoniebieskie dżinsy i wysokie, także czerwone buty, sięgające prawie do kolan. Obserwował ją dłuższą chwilę. Z odległości dziesięciu kroków słyszał tylko strzępy wyrwanych z kontekstu zdań. Żywo gestykulowała. Prawdopodobnie tłumaczyła coś swoim towarzyszom. W pewnej chwili odwróciła głowę w kierunku Jana, dostrzegła, że się jej przygląda, potem znów zabrała się do gestykulowania i tłumaczenia, a jej koledzy ze zrozumieniem kiwali głowami. Ciekawe, kim jest, kim są. Dlaczego ona, nieco ekstrawagancko ubrana, ładna, młoda kobieta, tłumaczy coś z takim przejęciem trzem mężczyznom, a oni jej słuchają, i to z coraz większą uwagą. Nie wyglądają na studentów, którzy po ostatnim wykładzie idą do knajpy, żeby dyskutować o tym, co przed chwilą usłyszeli. Na studentów są zresztą za starzy. Coś ich musi łączyć, tylko co? W końcu uznał swoje dywagacje za całkowicie pozbawione sensu – zawołał kelnera, zamówił kawę.

– Mocną, bez mleka – poprosił kelnera, który teraz musiał się już uwijać między stolikami, z których jeszcze tylko dwa lub trzy były wolne.

Wrócił Jean. Zauważył, że Jan przygląda się ludziom siedzącym przy stole na końcu obojętnej. W tym czasie kelner przyniósł kawę, Jan zaczął ją, jeszcze bardzo gorącą, łapczywie pić, jakby tych kilka łyków napoju parzącego podniebienie miało go w jednej chwili otrzeźwić. Otrzeźwiło tak, że na propozycję Jeana („może jeszcze?”) odpowiedział, kręcąc głową i podnosząc rękę na znak, że już dość, już wystarczy. Kiedy dopijał ostatni łyk, zmieszany z niesmacznym osadem z ekspresu, usłyszał, jak od stolika, który przed chwilą tak wnikliwie obserwował, ktoś zaczyna krzyczeć do Jeana, jakby dopiero teraz, w tej chwili go rozpoznał.

– Jean, Jean – mężczyzna w ciemnej marynarce, z długimi, kręconymi włosami, podnosił rękę i wyraźnie wołał w ich stronę. Jean odwrócił się

niechętnie. Jan miał przez chwilę wrażenie, że Jean już wcześniej dostrzegł przy tamtym stoliku swojego znajomego, jednak wolał nie reagować na jego obecność. Tamten podniósł się od swojego towarzystwa, które zresztą nie przestawało namiętnie dyskutować, i ruszył w ich stronę, uśmiechając się ze szczerością małego dziecka, rozkładając już z daleka ramiona na powitanie. Jean wstał, pokleпали się po plecach.

– Rzadko cię ostatnio widuję, nie przychodzisz „Pod Ślimaka”, co się z tobą dzieje? – mężczyzna zadał pytanie naturalnie, jakby naprawdę niepokoilo go, że od dawna nie widuje Jeana, bez tej wyuczonej kurtuazji, którą bardzo łatwo wyczuć, gdy spotykają się dwaj ludzie, którzy dawno siebie nie widzieli.

– Wszyscy jesteśmy w Dijon. Wpadam tylko raz na jakiś czas, na kilka dni. Wiesz, jak to jest...

– Wiem, wiem, patrząc tak na ciebie, myślałem, żeś się w końcu zdecydował wystąpić. Cywilne ubranie. Już nie pamiętam, kiedy cię widziałem po cywilnemu. Wystąpiłeś? No powiedz, że wystąpiłeś.

– Nie wygłupiaj się – Jean poczuł się zakłopotany. Nie spodziewał się spotkać w knajpie znajomych. I to akurat dziś. I akurat jego. Stali naprzeciw siebie. Mężczyzna roześmiany i zadowolony, że spotkał kolegę, Jean strapiiony, jakby zobaczył kogoś, kogo zupełnie nie miał ochoty w tej chwili oglądać.

– No co tak stoisz, przedstaw nas – zaordynował mężczyzna.

– Janie, to jest Pierre, mój stary kolega, Pierre, to Jan, właściwie poznaliśmy się kilka godzin temu – Jean usiadł i podsunął od niechcienia krzesło Pierre’owi. Zapadła chwila milczenia, jakby Pierre czekał na to, co obaj powiedzą. W końcu sam zaczął mówić.

– Coś wam opowiem. Szliśmy prosto z próby tu do oberży...

– Pierre jest aktorem i reżyserem w jednej osobie – przerwał mu Jean. – jak się ten wasz teatr nazywa, Bez Początku?

– Nie udawaj, że nie wiesz – Pierre poczuł się urażony. – Bez Końca. Mógłbyś zapamiętać, byłeś u nas kilka razy, choćby dlatego mógłbyś pamiętać. Mniejsza z tym. Szliśmy z próby... – Pierre przerwał na chwilę, popatrzył w stronę stolika, przy którym siedziała kobieta i jego dwaj towarzysze.

– Słuchajcie – powiedział, odstawiając krzesło. – Właściwie dlaczego my tu siedzimy, idziemy do naszego stolika – i od razu ruszył, nie czekając na to, co powiedzą Jan i Jean. Chcąc nie chcąc, ruszyli za nim.

– Jeana mieliście kiedyś okazję poznać, a Jan jest tu, zdaje się, nowy, to jest Julia, a ci dwaj dżentelmeni to Albert i Adrian – powiedział Pierre do Jana i Jeana, wskazując obu, gdzie mają usiąść.

– Nie jesteś stąd, prawda? – Julia zdjęła берет. Położyła go na stole obok pustego kieliszka, odgarnęła do tyłu włosy, które na chwilę zakryły jej szczupłą, młodą twarz i lekko skośne, jakby nieustannie przymrużone oczy. Z daleka wyglądała na starszą. Teraz, siedząc naprzeciwko niej, nie dałby jej więcej niż dwadzieścia kilka lat.

– Skąd? – udał, że nie rozumiał pytania.

– Z tego miejsca na ziemi, które my znamy, czyli stąd, prawda, koledzy? – spojrzała na Alberta i Adriana. – Nie znamy naszego nowego kolegi, a chętnie byśmy coś o nim usłyszeli, tym bardziej, że kolega przypatrywał się nam od pewnego czasu, jakby nas znał. Ale kolega nas nie zna, prawda?

Jana coś raziło w jej sposobie bycia. Ta sztuczna bezpośredniość, z którą on sam zawsze miał problem. Przypatrywała mu się badawczo, miał wrażenie, że robi to specjalnie, chcąc w nim wywołać jakąś bliżej nieokreśloną reakcję. Teraz musiał coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

– Nie, nie znam, przyjechałem dziś z Pragi – urwał, ale zaraz, jakby od niechcienia dodał: – Jesteście aktorami?

– Tak nam się wydaje – Julia nie spuszczała wzroku z Jana. – Mieszkasz w Pradze?

– Tak.

– Co Francuz może robić w Pradze?

Denerwował go ten dziwny, trochę ironiczny, lekceważący ton.

– Francuz w Pradze może robić prawdopodobnie dokładnie to samo, co w Lyonie – odpowiedział zaczepnie. – Ale ja nie jestem Francuzem, jestem Czechem.

– Ach tak – Julia cały czas grała, teraz udawała zaskoczoną. – To chyba musi być bardzo ciekawe?

– Co? – tym razem Jan naprawdę nie zrozumiał pytania.

– Być Czechem. Nigdy nie widziałam Czecha na własne oczy, a przynajmniej nic mi nie wiadomo, żebym widziała.

– Julie, daj mu spokój – Pierre wmiszał się do rozmowy – zawsze musisz się wygłupiać, chłopak gotów pomyśleć, że taka jesteś naprawdę, zamów sobie lepiej wino, a ja opowiem Jeanowi i naszemu czeskiemu koledze o tym przypadku, który nas spotkał, jak szliśmy „Pod Ślimaka”

Julia rzeczywiście zamówiła po kieliszku wina dla wszystkich siedzących przy stole, uśmiechnęła się do Jana pojednawczo, co mogło oznaczać, że przeprasza, ale równie dobrze, że nie powiedziała przecież nic złego.

– Wyobraźcie sobie – mówił dalej Pierre – że szliśmy z teatru, wzdłuż Saony po stronie Starego Miasta, skręciliśmy przy katedrze, a przed katedrą, tuż obok głównego wejścia, siedział żebrak. Niedbale ubrany, po prostu jakieś łachmany, siwe włosy, siwa broda, ale nie bardzo stary, raczej bardzo zaniedbany. Nie wiem, Janie, czy ty dobrze znasz miasto, ale widok żebraka w Lyonie to obrazek raczej niecodzienny, a już w ogóle nie zdarza się w samym centrum Starego Miasta. Podeszliśmy bliżej, stanęliśmy dwa kroki przed nim, on też tak jakoś na nas łagodnie popatrzył, wtedy poszperałem w kieszeniach, wyciągnąłem parę drobnych i chciałem mu je dać, czekałem, aż wyciągnie rękę. I wiecie co? On zrozumiał, że chcę mu dać jałmużnę, i obrażony odwrócił się od nas. Na to Albert mówi, żebym położył pieniądze przed nim, on to usłyszał i jak na nas nie krzyknie: „Co wy myślicie, że ja jestem żebrakiem, że chcę od was pieniędzy?”. Tak powiedział, po czym wstał, otrzepał się i odchodząc, rzucił jeszcze coś takiego: „Już nawet posiedzieć spokojnie nie dadzą człowiekowi, co za świat, co za ludzie, Boże, co za ludzie”. I odszedł, odwracając się co jakiś czas i mierząc nas wzrokiem, jakbyśmy mu rzeczywiście wyrządzili krzywdę.

– Faktycznie, dziwne zdarzenie – Jean upił mały łyk wina. – Co było dalej? Poszliście za nim?

– No coś ty. Jak mogliśmy za nim pójść, ten jegomość wyraźnie nie oczekiwał naszego towarzystwa – Pierre bezradnie rozłożył ręce.

– Może – Jan włączył się teraz sam do rozmowy – może jemu o coś innego

chodziło.

– Na przykład o co? – Julia znów mierzyła go badawczo swoimi wąskimi szparkami oczu.

– Może trzeba go było najpierw zapytać, może jemu chodziło nie o pieniądze, tylko żeby z kimś pogadać, nie wiem...

– Wy w Czechach, jak widzicie żebraka – Julia znów zaczęła swoją grę – to najpierw go pytacie: czy pan łaskawie przyjmie od nas jałmużnę? A może chodzi panu tylko o to, by spędzić małą chwilę na miłej pogawędce? Dysponujemy jednym i drugim. Tu są pieniądze, jeśli pan sobie życzy, a jak nie, to oferujemy dyskusję na wybrany przez pana temat. Tak pytacie? Tak należało zrobić?

– Julie, daj spokój, przecież wiesz, że nie o to chodzi, nie zachowuj się jak dziecko – Pierre uciął rozmowę i skierował ją na bezpieczniejszy tor, prosząc Jana, żeby opowiedział, co robi w Lyonie, czym się zajmuje i jak długo ma zamiar zostać w mieście. Jan mówił o Pradze, o swojej pracy i o tym, że przyjechał na krótko, właściwie tylko po to, by się zobaczyć i porozmawiać z przeorem dominikanów, ojcem Rogerem. Kiedy to opowiadał, Pierre przypatrywał mu się z coraz większą uwagą. Kiedy Jan wymienił nazwisko ojca Kramera, Pierre powiedział niby do siebie, ale tak, żeby wszyscy usłyszeli:

– „*Malleus maleficarum*”

– Że co, proszę? – wtrąciła się Julia.

– „Młot na czarownice”. Ojciec Kramer, zwany Instytorem, napisał, o ile dobrze pamiętam, pod koniec piętnastego wieku to swoje epokowe dzieło, prawda, bracie Jean, chyba się nie mylę?

– Wiesz tak samo dobrze, jak ja – odpowiedział krótko Jean.

– No to muszę ci powiedzieć – Pierre zajrzał Janowi głęboko w oczy – że czeka cię trudne zadanie, chłopie, niezwykle trudne.

– Dlaczego tak uważasz? – spytał Jan.

Na twarzy Pierre’a pojawiło się coś dziwnego, jakby zakłopotanie, w każdym razie Jan tak odebrał jego chwilowe milczenie.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie ty pierwszy próbujesz zgłębiać tajemnice Institora?

– Tak, wiem, ale też wiem, że tak naprawdę nikt nie napisał jeszcze o nim niczego wartościowego.

– Z pewnością. Bo może nie da się napisać niczego wartościowego – wydawało się, że Pierre chce coś jeszcze powiedzieć, ale przerwał i zamilkł.

– Skąd to możesz wiedzieć, Pierre?

– Wiem więcej, niż ci się może wydawać – Pierre, odpowiadając Janowi, spojrzał wymownie na Jeana. – Aktorzy wcielają się w różne role. Jakby ci to powiedzieć, operujemy na tkaninie, z której się kroi najczęściej wymyślonych bohaterów. Może dlatego aktorzy nie lubią grać postaci istniejących naprawdę. Nie lubią być Napoleonami, Hitlerami, Stalinami. Owszem, zagrają, nawet mogą to być świetne role. Ale Napoleona nigdy nie zbudujesz od początku, bo Napoleon miał swój realny początek, realne życie i realny jego koniec. Swojego Raskolnikowa możesz budować od początku i za każdym razem może to być zupełnie inny Raskolnikow. Istniejące jedynie literacko postacie budujesz bez uprzedzeń. Literatura zawsze daje ci możliwość czytania między wierszami. To, co między wierszami, jest zwykle bardziej wartościowe. Albo popatrzmy na to z innej strony. Czy dobro, samo dobro, może być tkaniną, z której aktor uszyje postać? Z samego dobra raczej nie. Chyba że mówimy o teatryku dla dzieci. Dobru w świecie dorosłych musi towarzyszyć zło, czy nie tak? Podobnie samo zło jest nędzną tkaniną, nieatrakcyjną z punktu widzenia sztuki. Jeśli te dwie płaszczyzny, realność istnienia i samo dobro lub samo zło, nałożą się na siebie, nie ma mowy o sztuce. Możesz się namordować, a nic z tego nie wyciągniesz. Prawdziwa sztuka zdarza się wtedy, gdy płaszczyzny, albo lepiej powiedzieć, linie równoległe się nie przecinają. Owszem, iskra, jak iskra elektryczna, przeskakuje z jednej linii na drugą. Kiedy się zetkną, nałożą, dochodzi do wybuchu. Teatr się wali, bo wali się prawda. Dobro jako punkt odniesienia dla zła, zło jako alternatywa dla dobra. To cała prawda. Innej nie ma.

– Ale co to ma wspólnego, Pierre, z tym całym Instytorem od czarownic? – spytała Julia.

– Jak to, nie rozumiesz? Institor żył naprawdę. A w jego życiu prawdopodobnie nie było niczego poza złem.

– Tylko że ja nie uprawiam sztuki jak wy – włączył się Jan. – Nie tworzę

i nie mam zamiaru tworzyć teatru.

– Nie będziesz musiał, sami go stworzymy – Pierre wypowiedział ostatnie zdanie bardzo cicho. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Wstał i zaczął się żegnać z każdym po kolei. – Wam też radzę iść do domu – popatrzył na Julię, Alberta i Adriana. – O ósmej rano chcę was widzieć w teatrze.

Razem z Pierre'em podnieśli się i Jan, i Jean. Wyszli we trzech przed oberżę.

– W którą stronę idziesz? – Jan miał ochotę dokończyć rozmowę, zaczęta i tak nagle urwaną.

– Wzdłuż Saony, o, tam – Pierre ruchem głowy pokazał kierunek.

– Pozwolisz, że cię kawałek odprowadzę?

– Jasne, chodź.

– Myślałem, Janie, że pójdziemy razem i po drodze omówimy jeszcze szczegóły jutrzejszego spotkania z przeorem – Jean był wyraźnie niezadowolony, że nie będą razem wracali.

– Szczegóły? – Jana zdziwiła ta nagła propozycja Jeana. – Jeśli pozwolisz, przyjdę kwadrans przed dwunastą.

– Niech i tak będzie. Wobec tego do jutra.

Szli jaskrawo oświetlonym bulwarem biegnącym nad samą rzeką. Pierre dopinał guziki płaszcza, nagle zatrzymał się i zaczął czegoś szukać w kieszeniach.

– Cholera jasna, zostawiłem na stole cały tekst – powiedział. – No nic, pewnie zobaczą i zabiorą, już mi się nie chce wracać.

– Co to jest? To co przygotowujecie, co to jest?

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Rzecz o poszukiwaniu miejsca, w którym jeszcze nic się nie zdarzyło. O zapełnianiu miejsca i niemożności zapełnienia. O drodze, którą trzeba przejść, żeby zrozumieć, że początek i koniec bywają bardzo do siebie podobne. O ofiarach, które ponosimy, żeby dojść tam, dokąd zmierzamy, a żadna z ofiar, które składamy, nie jest warta tego, by je ponosić, więc zamiast ofiarowania sami z siebie robimy ofiary losu. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Być może chodzi o to samo, czego ty próbujesz szukać, zajmując się jakimś piętnastowiecznym popaprańcem.

– Ależ ja piszę o człowieku, który istniał naprawdę, Pierre, to jednak nie to samo.

– Jesteś pewien? Nasi bohaterowie też kiedyś istnieli. Tak czy inaczej żyli, a potem umierali, jak wszyscy, Janie, jak wszyscy.

– Powiedz coś więcej o tym przedstawieniu.

– Sztuka Christiana Becu, prawdopodobnie napisana na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Nie wiemy, kiedy dokładnie, bo nie ma przy niej żadnej daty. Becu był mało znanym dramaturgiem. Urodził się w Lyonie w 1923 roku, umarł czterdzieści lat później. Jego dwie jednoaktówki grały paryskie teatry. Przedstawienia szybko schodziły z afisza. Był prekursorem tego, co potem nazywano teatrem absurdu, kojarzysz, Ionesco, Beckett i wielu innych. Jego ostatni tekst, „Clausewitz”, nigdy nie był wystawiany. Dostaliśmy go od córki Becu. Jak go przeczytaliśmy, wzięliśmy się do pracy i od pół roku niczego innego nie próbujemy.

– Clausewitz? Chodzi o tego niemieckiego teoretyka wojny?

– Tak, ale sztuka Becu ma niewiele wspólnego ze sztuką wojenną Clausewitza. Chodzi o coś zupełnie innego.

– Pozwolisz, że przyjdę jutro na próbę? Miałem wracać do Pragi, ale okazało się, że zostaję. Przynajmniej jeszcze kolejny dzień – Jan odwrócił głowę.

– Nie wiem, zwykle w naszych próbach nie uczestniczą widzowie.

– Postaram się nie przeszkadzać.

– Jak chcesz. Teatr jest w podziemiach starej kaplicy Dominikanów, sto metrów od katedry w stronę wzgórza Fourvière.

– Znajdę.

Aleja Romain Rollanda o tej porze była już prawie pusta. Znow zaczął padać deszcz. Weszli na most Bonapartego, Jan się na chwilę zatrzymał.

– No, nie idziesz? – poganiał go Pierre.

– Słuchaj, skąd się właściwie znacie z bratem Jeanem?

– Nie mówił ci? To dziwne. Pewnie nie zdążył – Jean jest moim bratem. To znaczy był moim bratem, kiedy byłem w zakonie dominikanów. Odszedłem trzy lata temu, dziesięć lat po ostatnich święceniach. Namawiałem go wtedy, żeby wyszedł razem ze mną. I wiesz co, nawet się wahał, ostatecznie jednak

został. Dobra, dalej pójdę sam, mieszkam po drugiej stronie Saony – podałem rękę Janowi. – To jutro się widzimy, tak?

– Na pewno przyjdę. Do widzenia, Pierre – Jan założył kaptur, przyspieszył kroku. Idąc do hotelu, myślał, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając do Lyonu. Miał wrażenie, że jest tu już od dawna, a mijała dopiero dziewiąta godzina od jego przyjazdu. Co ważniejsze, był przekonany, że nie wyjedzie stąd ani jutro, ani pojutrze. Nie miał pojęcia, kiedy opuści to miasto.



Rozdział
IV



*Człowiek opowiadał, iż gdy własny członek męski zgubił,
poprosił czarownicę, by mu go przywróciła. Rozkazała, aby wszedł
na drzewo
i sięgnął do gniazda, gdzie takowych członków było wiele, i wybrał, jaki
chce.
Gdy największy między nimi sobie upodobał, rzekła czarownica:
– Zaniechaj go, albowiem jest to plebana członek.
„Malleus maleficarum”*

XIV LIPCA MCDLXXXV

Trewir wydał mi się mały i prowincjonalny w porównaniu z Rzymem. Można go wszerz i wzdłuż przejść w cztery pacierze. Nie wiedzieć czemu, choć może i słusznie, moje drogi zawsze omijały to znane, stare miasto. Słusznie, bo od rana, kiedy tu jestem, nos wciąga fetor nieczystości wylewanych z domów wprost na ulice, a wzrok i nogi starają się omijać zwały brudów, których nikt nie uprząta. W Stolicy Piotrowej już dawno poradzono sobie z tym problemem, spychając resztki, jakie przecież musi pozostawiać wielka metropolia, wprost do rzeki. Rzeka z kolei unosi kloakę z dala od ludzkich siedzib. W Trewirze, jak widać, nikt jeszcze nie wpadł na ten zbawienny pomysł, choć przecież i rzeka nie mniejsza od Tybru. Tym razem musiałem tu przybyć, zaproszony listem naszego brata Gerharda, jak ja kaznodziei, przeora trewirskiego zgromadzenia i inkwizytora. Pozostanę do końca lipca lub może nawet dłużej, dając wykłady i odczytując fragmenty „*Malleus maleficarum*” w katedrze świętego Piotra, a dokładnie rzecz ujmując, w kościele Najświętszej Marii Panny, dobudowanym do świątyni z górą dwa wieki temu.

Zanim jednak zacznę posługę, odwiedzam nowy skarbiec katedralny

i jego dziedzictwo przechowywane w relikwiarzach, czyli Święte Szaty, ząb świętego Piotra, Święty Gwóźdź, którym nasz Pan został przybity do krzyża, a także sandały świętego Andrzeja, umiłowanego apostoła, brata Piotrowego. I widzę ze zdziwieniem, jaką małą nogę miał święty. Ledwie połowa mojej, choć prawda też taka, że moja jest wyjątkowo duża. Jak mawiał kiedyś mój ojciec: „Pan ci dał wielką stopę, jak niedźwiedziowi, żebyś mógł stać mocno na ziemi, jako i on stoi”. Stoję, ojczy, tam gdzie zawsze, gdzie wtedy, gdy zacząłem walkę.

XV LIPCA MCDLXXXV

Mój wykład w kościele Maryi Panny trwał z górą trzy godziny. Przewidziany na dwie, ciągnął się dalej, bo pytań było tyle, że i tak nie na wszystkie zdołałem odpowiedzieć. Zacząłem od czytania fragmentów mego dzieła. Tych z pierwszego rozdziału, czyli: O sposobach, którymi szatan wabi ludzi niewinnych, używając do tego czarownic. Jak wiadomo, jest ich przynajmniej kilka, nie będę teraz omawiał, każdy może zajrzeć do księgi.

Szczególnie ten fragment spotkał się z zainteresowaniem słuchaczy: „Albowiem w mieście Spirze, w roku, w którym zaczęto pisać tę księgę, pewna nabożna kobieta, nigdy nie podejrzewana o kontakty ze złymi mocami, spotkała na drodze czarownicę. Poznała ją po złym spojrzeniu, a także po tym, że nie pozwalała jej przejść, strasznie się przy tym kłóć. W końcu kobiecie udało się wrócić do domu, ale w nocy, dla spokoju, nakładła do kolebki, w której spało jej dziecko, całe mnóstwo święconego ziela, a na dodatek pokropiła kolebkę święconą wodą, wpuściła dziecku do ust kilka kropel poświęconej wody, wreszcie, przeżegnawszy się krzyżem, usiadła przy kolebce, pilnując dziecka. Koło północy dziecko zaczyna płakać. Matka zakołysała kolebką, chciała dotknąć dziecka, ale dziecko znikło. Przerażona zapaliła świecę, rozejrzała się, znajdując dziecię w kącie pokoju. Z tego wynika prawda, że każdy egzorcyzm jest pomocny, gdy szatan nas nawiedza. Nawet zapalenie świec czasem pomoże.

Inna znana mi historia. Wieśniak z miejscowości Wisental złożony był za sprawą czarów bardzo ciężkimi boleściami. Opowiedział mi, iż w każdą

niedzielę spożywał sól święconą i wodą się kroił. Jednej niedzieli działań tych zaniedbał, narażając się na czary. Ten sam wieśniak, innym razem, będąc w Ravensburgu, spotkał kobietę, która go usilnie namawiała do grzechu, sama będąc pod wpływem szatana. Nieborakowi przyszło do głowy, gdy kobieta na chwilę wyszła, żeby solą święconą, jak kiedyś słyszał na kazaniu, natrzeć się i czekać. Kiedy niewiasta, albo lepiej ją nazwać szatanem w ciele czarownicy, kolejny raz weszła do izby, wyczuła świętość i natychmiast odeszła. Prawda z tego taka: gdzie szatan przybywa pod postacią czarownicy, także i Bóg przyjść może, aby szatana przepędzić i wygrać walkę ze złem. Walkę, która toczy się od zarania dziejów ludzkich”

Następnie opowiedziałem, zgodnie z kolejnymi rozdziałami, o spustoszeniach, jakie szatan może poczynić w bydłe i innych zwierzętach gospodarskich, o tym, jak potrafi w jednej chwili zmienić pogodę w grad i burzę, czym wywołuje strach wśród ludzi, o tym, jak egzorcyzmy działają na szatana i jak je odmawiać. Wreszcie opowiedziałem o swoich bitwach z szatanem, z których wychodziłem zwycięsko także dlatego, że jego pomocnice paliłem na stosie, to znaczy sam nie podkładając nigdy ognia, decydowałem o życiu lub śmierci, przykładając rękę do oczyszczenia z plew naszej ziemskiej drogi.

Jakie były pytania? Te łatwe i te trudne dla odpowiadającego. Jeśli je zadawali uczeni księży – odpowiadałem, wytrwale używając języka teologii. Jeśli pytała gawiedź, także licznie zgromadzona – zgrabnie unikałem trudnego języka, starając się podkreślać, jak ważna jest praktyka postępowania z czarownictwem i kacerstwem.

Nieco już zmęczony, w czwartej godzinie wykładu, poprosiłem, by dane mi było skończyć, a jeśli ktoś chce i potrzebuje rozmów ze mną – jestem na miejscu, oczywiście w granicach rozsądku i moich sił. Kiedy tak opowiadałem, nagle doznałem zwidów. Przestałem mówić. Wpatrywałem się w ostatni rząd ławek, za którym, ale jeszcze przed kruchtą, oparty o ścianę stał on. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak realnie. Ubrany w mieszczkański surdut z falbanami u rękawów, z długimi, wystającymi spod czapki, czarnymi jak noc włosami. Nawet z tej odległości zauważyłem, że nie ma nóg, lecz czarcie golenie zakończone racicami. Kiedy zdjął kapelusz, kłaniając

mi się z daleka, zobaczyłem wydatne rogi. Rozejrzałem się po kościele, wskazując na niego palcem. Publiczność poczęła się przyglądać miejscu, które pokazywałem, ale najwyraźniej niczego nie zauważyła. Czyżbym tylko ja go widział? Czyżby tylko do mnie przyszedł? Zacząłem iść w jego kierunku, gdy nagle znikł i pojawił się na ołtarzu, w miejscu, w którym przed chwilą stałem. Patrzył na mnie, uśmiechnięty i zadowolony. Oblicze miał ciemne, niby osmalone sadzą, a nad małymi, świńskimi oczami brwi jak krzaki głogu, usta za to wąskie i krótkie. Znów ruszyłem w jego stronę, a on opuścił ołtarz, żeby za chwilę pojawić się na ambonie przy pierwszym filarze kościoła, tuż nad moją głową. Rozejrzałem się wokół, dostrzegłem drewniany krzyż leżący przed stallami, używany najczęściej do świątecznych procesji. Chwyliłem go i mimo że ciężki, rzuciłem nim z całych sił w szatana. Nie trafiłem. Znikł tak szybko, jak szybko i niespodziewanie się pojawił. Za to krzyż, spadając, uderzył mnie prosto w głowę.

Nie wiem, jak się znalazłem w zakrystii. Ojciec Gerhard kropidłem zraszał mi czoło i policzki, a siostra, której imienia nie znam, przykładała do skroni chustę, z której sączyła się krew. Uderzony spadającym krzyżem, musiałem stracić przytomność. Bolała mnie cała głowa, lewa ręka, prawdopodobnie zwichnięta podczas upadku, i lewa noga.

– Chwalić Pana, że ojcu nic gorszego się nie stało – mówił Gerhard.

– Nic się nie stało – powtórzyłem za nim bezwiednie.

– Martwiliśmy się o ojca, publiczność jeszcze długo nie opuszczała kościoła.

– A on tam jeszcze jest? – spytałem.

– Kto, ojcie, kto? – Gerhard wyraźnie nie wiedział, o co i o kogo pytam.

– Mniejsza o to, nieważne – wolałem się nie dopytywać, sam nie będąc pewny, czy to, co widziałem, było prawdą czy tylko jej wyobrażeniem. – Jak długo byłem nieprzytomny?

– A z dziesięć pacierzy ojcie, długo, bardzo długo – odpowiedziała szybko siostra. – Ma ojciec ranę na ciemieniu i dlatego zemdlał z bólu, ale krew już powstrzymaliśmy.

– Powinien ojciec odpocząć – dodał Gerhard. – To wszystko przez zmęczenie. Zbyt wiele sobie ojciec bierze na głowę – wypowiadając to zdanie, z miejsca zauważył jego niestosowność, bo ostatnią rzeczą, jaką

sobie wziąłem na głowę, był symbol odkupienia, drewniany i ciężki krzyż. – Zaraz przyjdzie medyk i ojca zbada, żeby się nie okazało coś jeszcze oprócz rozbitej głowy.

– Nie chcę żadnego medyka – zaprotestowałem. – Już mi dobrze. Chwilę poleżę i zaraz wstanę – spróbowałem się podnieść, ale ból głowy powalił mnie z powrotem na leżankę.

– Jak ojciec sobie życzy – Gerhard kiwnął głową. – Jeśli jesteśmy jeszcze ojcu potrzebni...

– Możecie iść. Zawołam, gdybyście byli potrzebni. Niech mi siostra mocniej obwiąże głowę i poproszę o wodę, najlepiej święconą – zarządziłem.

Z trudnością usiadłem, a przy pomocy ojca Gerharda przemieściłem się na fotel i opierając głowę o oparcie, oddaliłem wszystkich, aby w ciszy ulżyć bólowi i wszystkim moim ostatnim lękom. Siostra po chwili doniosła mi dzbanek z wodą. Kazałem go postawić i wyjść.

Kiedy tak siedziałem, rozmyślając, usłyszałem pukanie do drzwi. Wpierw myślałem, że tylko mi się zdaje, ale wkrótce, bez zaproszenia, drzwi się uchyliły. Weszła kobieta, szczupła, w szerokim, długim płaszczu, w chuście przewiązanej przez głowę wzorem muzułmanek, które odkryte zostawiają tylko oczy. Usiadła na krześle dwa kroki przede mną i wpatrywała się w moją twarz.

– Czego pani sobie życzy? Mogę jakoś pomóc, dopomóc? – spytałem, ale ona milczała. – Czy my się znamy? Jeśli tak, mogę wiedzieć skąd? Kiedy się poznaliśmy? Jeśli nie, to co panią sprowadza? – zadałem kolejne pytania, czując, jak każde poruszenie szczęką wywołuje zwielenokrotniony ból w czaszce, a ona nadal się nie odzywała. – Cóż to za tajemnica, jeśli mogę wiedzieć, o której pani jest tak trudno mówić? – przyjrzałem się jej oczom i przez chwilę wydawało mi się, że je skądś znam, ale przecież to niemożliwe. Nie znam kobiet, staram się na nie nie patrzeć, z obawy o zło, jakie może wyrządzić wzrok kobiety, co wiele razy było potwierdzone doświadczeniem mężczyzn, ale też innych kobiet. – Jeśli mamy tak siedzieć i milczeć, to muszę wiedzieć dlaczego. Nie uważa pani?

Zaczęła wolno odwiązywać chustę. Najpierw z tyłu, potem z lewej i prawej strony, na końcu zrzuciła całą szybkim ruchem ręki.

Siedziała przede mną Anna Santi.

Miała brązowe oczy. Te oczy patrzyły na mnie, można powiedzieć, bez żadnej namiętności. Nie wyrażały niczego, może tylko zainteresowanie. Tak często spoglądają słuchacze, gdy nie rozumieją, co się do nich mówi.

– To pani...? To ty...? – powiedziałem to tak, jakbym zobaczył zjawę.

– Jak widzisz – odpowiedziała cicho, ale dobitnie. – Jestem, podobno mnie szukałeś, szukaliście mnie.

– Nie boisz się tak przychodzić?

– Gdybym się bała, czy byłabym tu teraz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Mogę cię w każdej chwili zatrzymać.

– W twojej sytuacji? Popatrz, jak wyglądasz. Zanim się podniesiesz, zdołam wybiec.

– Są jeszcze bracia. Czekają pod drzwiami, wystarczy...

– Pod drzwiami nikt nie czeka – przerwała mi w pół zdania. – Skłamałam, że jestem twoją bratanicą i że mamy wiele do omówienia. Rozeszli się. Ten najstarszy powiedział, że gdyby był potrzebny, znajdziemy go w klasztornym refektarzu. Za to przed kościołem mój przyjaciel trzyma konie. W kilka chwil znajdziemy się daleko za miastem, nawet nie będziesz wiedział, w którą stronę ruszyliśmy.

– A więc to tak...

– A więc to tak – powtórzyła.

– Czego chcesz?

– Jeszcze nie wiem.

– Potrzebujesz modlitwy? Chcesz spowiedzi? – spytałem.

– Sam jej potrzebujesz – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Potrzebujesz swojego Boga, żeby ci wytłumaczył, kim jesteś.

– Nie przywołuj jego imienia, szatańska córko – odparłem, trzymając się za głowę. Ból narastał, rozsadzając mi czaszkę. – Czy... – nie wiedziałem, jak ją o to zapytać. – Czy ja, wtedy, w nocy, byłem u ciebie?

– A jak ci się wydaje? Nie pamiętasz? Nie wierzysz sobie?

– Wierzę w Boga. To on mną kieruje.

– A jeśli się mylisz? Nie brałeś tego pod uwagę?

- Ja mogę. Bóg nigdy się nie myli.
- Niedobry ten twój Bóg – wykrzywiła usta, jak wtedy, nad jeziorem, ale nawet w tym skrzywieniu była piękna.
- To jest także twój Bóg.
- Nie chcę takiego, klecho. Razem z nim mordujecie ludzi, skazujecie na niewyobrażalne męki.
- Prawdziwa wiara w cierpieniu, jedynie w cierpieniu.
- Jeśli tak, ty też będziesz cierpieć.
- Nie mam dla ciebie czasu – próbowałem się dźwignąć, a wtedy wyjęła spod płaszcza krótki, cienki nóż, właściwie sztylet, i położyła go sobie na kolanach.
- Grozisz mi? – spytałem.
- Wiesz, co się stało z moimi rodzicami? – znów odpowiedziała pytaniem.
- Przebywają w podziemiach klasztoru Weingarten. Słusznie skazani za czarownictwo.
- Mylisz się. Umarli. Z głodu. Nie podawano im jedzenia ani wody. Nie wiem, która śmierć lepsza, ta w płomieniach czy ta moich rodziców. Jak myślisz?
- Nie wiedziałem. Groził im stos. Tak samo jak i tobie. Bądź pewna, że wreszcie na nim spłoniesz. Obiecuję ci – powiedziałem z naciskiem, tak aby wiedziała, że postanowiłem już i o jej losie.
- A ja to samo obiecuję tobie. Będziesz się smażył w ogniu piekielnym. O ile coś takiego istnieje.
- Istnieje. Dla takich jak ty – znów próbowałem się podnieść, ale przyłożyła koniec sztyletu do mojego gardła. – Panie, który widzisz tę niegodziwość w całej postaci – zacząłem się modlić – wejrzyj, proszę, za sprawą syna Twojego, Institora, i spraw, by ta oto kobieta skończyła, jak każda córka szatana, na stosie lub na stryczku, lub jedno i drugie po sobie. Jeden jest bowiem Kościół Boży, jedna wiara, rzymska, a Ty jej strażnikiem w niebie, tak jak ja tu, na ziemi. I zbaw nas od wszelkiego zła, a naszych wrogów nie oszczędzaj...
- Dość tych głupot – krzyknęła. – Powinnam cię zabić – syknęła, mocniej dociskając ostrze i nie zwracając uwagi na to, co mówię.

- Wrogów nie oszczędzaj, nie oszczędzaj... – mówiłem dalej.
- Powinnam – odsunęła ostrze, ale cały czas trzymała je przed sobą, jakby za chwilę miała zadać cios. – Nie umiem, mamu. Wybacz mi, nie umiem, wybaczcie mi – powiedziała do siebie.

Schowała sztylet pod płaszcz, twarz owinęła chustą i szybko wybiegła z zakrystii. Zwlokłem się tak prędko, jak umiałem, doczołgałem do ściany. Otworzyłem okno, które wychodziło na dziedziniec katedry. Dziewczyna właśnie dosiadała wierzchowca. Mężczyzna, ubrany tak jak ona w długi, sięgający ziemi płaszcz z kapturem skrywającym głowę, podawał jej strzemię.

- Jeszcze się spotkamy – krzyknąłem.
- Jeśli chcesz żyć, trzymaj się ode mnie z daleka. I od córki też – odpowiedziała, a ja w pierwszej chwili nie rozumiałem, co powiedziała.

Pojechali w stronę południowej bramy. Zapewne dla zmylenia pogoni, gdyby taka za nimi ruszyła. Mogę się tylko domyślać, że zatoczyli koło wokół miasta i pojechali w całkiem innym kierunku. Byłem za słaby na pogoń. Nie miałem nawet sił, aby wezwać braci. „Od córki też, od córki, od córki”. Słowa Anny, jak brzęczenie natrętnej muchy, rozsadzały mi czaszkę. Poczułem, że znów tracę przytomność. Osunąłem się na zimną posadzkę.

XII SIERPNIA MCDLXXXV

Wiele w ostatnich dniach odpoczywałem. Po ranie na głowie już nie ma śladu. Być może upływ krwi, a może ogólne potłuczenia spowodowały, że długo musiałem nabierać sił. Nie mogłem się tak, jak chciałem poświęcić wykładom. Jeden zaledwie, który dałem w ostatnich dniach, umęczył mnie bardziej, niż mogłem przypuszczać. Znów poświęcałem czas na mniej męczące zajęcia, jak czytanie i pisanie dziennika. Szatan nie próżnuje, wystąpił przeciw mnie realnie i do tego w poświęconym miejscu, co tylko potwierdza moje przypuszczenia, że im bardziej go zwalczam, tym bardziej wyszukanych metod używa, by mnie pognębić.

Za Anną, gdy odzyskałem przytomność, wysłałem kilku braci. Byli zaskoczeni moją prośbą, a ojciec Gerhard, zaniepokojony, przyglądał mi się długo, zanim zgodził się prosić młodszych braci o pomoc. Oprócz mnie nikt nie widział córki Santich wchodzącej do pomieszczenia, w którym przebywałem. Nikt też jej nie zauważył, gdy odjeżdżała sprzed katedry. Czyżbym się mylił? Czyżbym, półprzytomny, nadal doświadczał zwidów i natręctw? Nawet nie chcę na to pytanie odpowiadać. Bracia wrócili po dwóch dniach bez żadnych wieści, mimo że dojechali na północ aż do Bitburga, a potem okrążyli Trewir, jadąc na wschód, południe i zachód, dotarli od strony wsi Langsur. Nikt o dziewczynie nie słyszał, nikt jej nie widział. Ufam, że listy wysłane wcześniej do naszych zgromadzeń w Italii, Francji i Niemczech pozwolą prędzej czy później odnaleźć wysłanniczkę szatana. Jej niespodziewany przyjazd – wierzę, że tak było – i nagła ucieczka, a także wydarzenia, do jakich doszło w kościele, z pewnością mają ze sobą związek. Nic bowiem tam, gdzie mamy do czynienia z siłami nieczystymi, nie dzieje się przypadkiem. Uspokojony, oddałem się codziennej pracy ku chwale naszego Pana.

XIX WRZEŚNIA MCDLXXXVI

Do San Gimignano, pięknego i zamożnego miasta, pełnego kościołów i wysokich wież, położonego dzień jazdy od Florencji, przybyłem wezwany przez naszego młodego brata kaznodzieję, Girolamo Savonarolę. Poznaliśmy się wiele lat temu na konwencie dominikańskim w Lyonie. Mogę chyba się przyznać, że ten młody kaznodzieja chłonał moje słowa, szczególnie te o potrzebie walki z szatanem i odnowie moralnej człowieka, bo tylko niezłomny moralnie jest w stanie odeprzeć coraz liczniejsze pokusy tego świata. Pytał mnie nawet, czy może zostać moim uczniem. Nikomu nie wzbraniam. Ale naszemu młodemu bratu poleciłem raczej iść własną drogą, wykorzystując moje doświadczenia, znane przecież już powszechnie w Kościele. Zapamiętałem go jako człowieka wielkiej wiedzy teologicznej i wielkim autorytecie wśród naszej młodzieży, a jednocześnie skromnie się noszącego i skromnie odżywiającego, jeszcze skromniej niż ja, a jak już

pisalem, nie staram się żyć, by jeść, lecz jeść tylko tyle, by przeżyć. Już wtedy przypadliśmy sobie do gustu dzięki podobnemu spojrzeniu na życie doczesne, ale też znaczeniu, jakie przykładaliśmy do regularnego czytania Pisma Świętego. Przyzwyczajenie to jest bowiem coraz słabsze, także wśród duchowieństwa. Szczególnie zaś ulubiliśmy Apokalipsę według świętego Jana. Obaj, coraz częściej i silniej, zdawaliśmy sobie sprawę z czasów ostatecznych, jakie niewątpliwie nadchodziły szybciej, niż się to niektórym uczonym wydawało.

Girolamo już od roku głosił w kościele Najświętszej Marii Panny kazania, na które przyjeżdżali wierni z całej środkowej Italii. Nigdy nie brałem udziału w kazaniach Girolamo, ale słyszałem o nich wiele. Jednak to, czego doświadczyłem w dzisiejsze południe, poruszyło mnie tak silnie, że jeszcze teraz, gdy piszę te słowa, myślę o nich i boję się ich jednocześnie. Mój młodszy brat posiadał dar głoszenia równy pierwszym ewangelistom. I nikt, także ja, nie może się z nim równać. Kiedy mówi – zapada cisza. Gdy krzyczy – gawiedź razem z nim dobywa głosu i tak samo płacze, gdy widzi łzy na jego policzku. Girolamo zwracał się nie do wiernych zgromadzonych w świątyni, ale do całego Kościoła. Nazywał Kościół niegodziwym potworem, który przyobłókł piękne szaty, lecz oddaje cześć bożkom. Naczynia używa do pychy, a sakramenty do symonii. Stał się diabłem, wstrętnym zwierzęciem. Za wszystkie haniebne czyny czeka go niewola. Biada piastującym urzędy, biada wszystkim. Nie ma innego lekarstwa, oprócz pokuty. Jeśli nie będziemy pokutowali, Girolamo wróży Kościołowi upadek, gdyż nadchodzą czasy ostateczne.

I ja tak coraz częściej uważam, choć obca mi jest egzaltacja Savonaroli. Egzaltacja i egoizm lubią ze sobą chodzić w parze, Girolamo, mój dobry przyjacielu i bracie. Natomiast prostota i skromność są darem niebios.

XXI WRZEŚNIA MCDLXXXVI

Girolamo nie miał dla mnie czasu. Nie powiem, żebym się z tego cieszył, choć rozumiem. Otoczony wieńcem mężczyzn i kobiet, pośród których widziałem także ludzi wysokiego stanu, do późnej nocy udzielał im rad i pouczeń, nie

wychodząc z kościoła. Prosił, bym zaszedł do świątyni na poranną mszę, a po niej już tylko ze mną chce rozmawiać.

Tak też się stało. Usiedliśmy, bo on tak chciał, w pierwszej ławie przy ołtarzu. Wyglądał na zmęczonego. Chuda twarz, zapadnięte oczodoły i nos, zawsze wydatny, ostry, teraz wystający do przodu niczym dziób wielkiego ptaka, tym większego, że ukrytego pod mnisim kapturem. Dałbym mu, ciągle młodemu, dwadzieścia lat więcej, niż ma naprawdę.

– Znajduję ojca w zdrowiu – zaczął Girolamo.

– A ja ciebie nie – powiedziałem. – Martwię się o twoje zdrowie. Wyglądasz, jakbyś nie dbał o siebie.

– Dbamy jedynie o nasz Kościół. Boimy się tego, dokąd zmierza.

– Boimy się, każdy na swój sposób.

– To prawda – Girolamo zsunął kaptur z głowy i przystawił twarz do mojej.

– Wiesz, dlaczego cię wezwaliśmy?

– Sam powiedz – udałem, że nie słyszę słowa „wezwanie”. W liście, który dostałem, Girolamo zapraszał do siebie, a nie wzywał. Jedynie papież lub generał zakonu mogą mnie do siebie wezwać. Przemilczałem niefortunne sformułowanie.

– Wiesz, że musieliśmy wyjechać z Florencji.

– Mówiono mi.

– Najpiękniejsze z miast stało się dla nas za małe. Nasi wrogowie postarali się, abyśmy zmienili otoczenie. Każdego dotyczą nasze słowa, a szczególnie władców i duchownych. Mieliśmy we Florencji wielkie rzesze wyznawców. Zgadzała się z nami, wspierali. Artysci tylko dla nas i pod naszym wpływem tworzyli dzieła, które przetrwają, gdy nas już nie będzie. Słyszałeś może o Leonardzie, młodym malarzu z miasta Vinci? Przychodził na każde nasze kazanie.

– Nigdy nie interesowałem się sztuką – przyznałem zgodnie z prawdą.

– To źle, jeszcze o nim usłyszysz. Wydaje się geniuszem, choć według mnie traci czas na frywolne wynalazki bez znaczenia...

– Chciałeś mi coś powiedzieć, Girolamo...

– A tak, prawda – mój młodszy brat się zamyślił. Mówił o sobie „my”, jakby jego „ja” dla niego samego stało się już za małe, jakby się w swoim

„ja” nie potrafił zmieścić. – Wiemy o twojej postudze, pochwalamy ją. Żeby oczyścić Kościół ze zła, muszą płonąć stosy. A pierwszym, który powinien na nim stanąć, jest papież, bo to za jego przyczyną odchodzimy od prawdziwej wiary.

– Nie chcę tego słuchać, bracie – powiedziałem ostro, kategorycznie, ale Girolamo mówił dalej.

– Otwórz oczy! – krzyknął i złapał mnie za rękę. – Musisz nam pomóc. Im nas więcej, tym łatwiej nam będzie oczyścić gniazdo rozpusty, które się załęgło w Rzymie.

– Byłem w Rzymie ponad pół roku – powiedziałem, odsuwając kościstą dłoń Girolamo. – Widziałem, a jeszcze bardziej nasłuchiwałem różnych opowieści. Czy prawdziwe, czy nie, tego nie wiem. Nawet jeśli prawdziwe, to jest nasz papież, Ojciec Święty, Girolamo! – teraz ja podniosłem głos.

– Taki z niego święty, jak z psa biegnącego za rzuconą kością – odparł spokojnie mój brat. – A im tłustsza kostka, tym szybciej się stara pochwycić ją w zęby. – Psa mamy na stolcu bracie, psa, co węszy za ochłapem, zamiast stróżować, rzekłem! – znów podniósł głos.

– Nie mów tak, Girolamo, na miłość boską, nie mów tak! – wybuchnąłem potokiem słów, tłumacząc, że Rzym to nie tylko papież, a Kościół tworzą nie sami kardynałowie. Ale on już nie chciał słuchać. Oparty o ławkę, kiwał głową, jak mi się zdawało, z politowaniem.

– Przyjdzie czas, a sam zrozumiesz. Oby nie było za późno. Jestem – zaczął wreszcie mówić o sobie „ja” – tylko Chrzczicielem. Po mnie przyjdzie Inny, któremu nie godzien jestem wiązać sznura sandałów. Żegnaj, mój drogi, obyśmy Go rozpoznali, oby...

I odszedł, zostawiając mnie w pustym kościele.

To prawda, nie rozumiałem jego słów. Obawiałem się, że mój młodszy brat nie znajdzie pomocników. Z pewnością nie mnie, z pewnością nie teraz. Mam do spełnienia swoją misję i tego będę się trzymał. Nie zdążyłem go ostrzec, powiedzieć, żeby na siebie uważał, bo ognie zapalano już pod znacznie większymi niż on. Może przyjdzie czas, myślałem, że staniemy

razem. Może, choć dziś bardzo w to wątpię.

Wracałem do swojej celi zamyślony do tego stopnia, że pomyliłem drogę. Zamiast otoczyć kościół i skierować się w prawą stronę, do konwentu, poszedłem w lewą, a pomyłkę zauważyłem dopiero po kilku minutach, kiedy już wszedłem w dzielnicę ludzi ubogich. Wielu z nich musiało nie mieć domostw, bo siedzieli wprost na ziemi, obok namiotów zrobionych z drewna i płacht zarzuconego na drewno płótna. Gdy się do nich zbliżyłem, zaczęli mnie łapać za rękawy i wołać: „Daj, panie, co łaska”, „Jedzenia, panie”, a jeszcze inni, widząc mój schludny wygląd (wyjątkowo nie miałem na sobie habitu, tylko czarny, długi surdut), gdy oni sami przypominali zwierzęta obdarte ze skóry, pluli na mnie i popychali. W taki sposób, ukradkiem, omijając sterty nieczystości, końskich, psich i ludzkich odchodów leżących wprost na ulicy, doszedłem do ostatniej bramy miasta, a nie chcąc wracać tą samą drogą, zastanawiałem się, w którą stronę powinienem teraz pójść. Wtedy poczułem zapach mydła. Przypomniałem sobie dzieciństwo. Matka pochylona nad balią trze w rękach nasze ubrania. W powietrzu unosi się odświeżony zapach czystości. Młodsze dzieci, między innymi ja, moczymy ręce w gorącej wodzie, udając, że uczestniczymy w tej comiesięcznej celebrze na równych prawach z matką.

Odwrociłem się. Na parterze obskurnej kamienicy zobaczyłem pralnię. Podszedłem bliżej, zajrzałem przez otwarte na oścież okno, z którego wydobywały się kłęby pary. W środku trzy kobiety, odwrócone plecami stały nad czymś, co przypominało balię mojej matki, było jednak od niej wiele razy większe. Kobiety zanurzały ręce w parującej wodzie. Gdy się pochylały, ich wysoko podwinięte, zatknięte za pas spódnice ukazywały gołe pośladki. Patrzyłem na to bezwstydną teatrą rozgrywającą się przed moimi oczami i nie mogłem oderwać wzroku. Nie umiałem się temu widokowi oprzeć, mimo że próbowałem. Wyglądały jak trzy Gracje, greckie boginie Aglaja, Eufrozyna i Taleja. Nieskończenie doskonała harmonia nagości. Niemal identycznych, równie pełnych, drgających w ruchu, ociekających wodą, różowych i młodych, ukazujących w nachyleniu całą obfitość młodego, dziewczęcego jeszcze łona. Stałem tak, choć przecież dla mnie ten widok powinien być wstrętny. Powinien, lecz nie był. Przyglądałem się, jakbym

podziwiał dzieło sztuki wprawione w ruch niewidzialną siłą. Gorące, wilgotne powietrze wychodzące z pomieszczenia sprawiło, że cofnąłem się, zawstydzony tym, co widzę, a jeszcze bardziej tym, co sam robię. Nagle jedna z dziewcząt odwróciła się i ujrzałem twarz Anny Santi. Patrzyła na mnie, przekrzywiając głowę jak ptak, to w jedną, to w drugą stronę. Chwilę trwało, zanim ochłonąłem. Stałem oparty o mur kamienicy. Zajrzałem jeszcze raz do środka. Znów, odwrócone tyłem, zanurzały ręce w balii. Nie wiedziałem, czy mnie zobaczyła, czy poznała. Idąc wzdłuż murów, trafiłem na wejście do pralni, a właściwie drewnianą bramę prowadzącą na podwórze, z którego dopiero wchodziło się do zakładu. Drzwi były lekko uchylone. Gdyby nie ten sam, słodkawy zapach mydła przedostający się przez szparę, nie wiedziałbym, w którą iść stronę. Z początku mnie nie zauważyły. Para prawie całkiem skrywała drzwi. Stały jak przedtem, z rękoma w balii, tyle że teraz widziałem je z przodu. Ani jedna, ani druga, ani trzecia nie była Anną Santi. Na mój widok stojąca bliżej podskoczyła i krzyknęła:

– A co tu, panie! Tu nie można!

– Gdzie jest ta dziewczyna? – spytałem z miejsca.

– Jaka dziewczyna? – odpowiedziały prawie jednocześnie, udając, że nic nie wiedzą.

– Nie ukrywajcie jej, bo będziecie żałowały – krzyknąłem, rozglądając się, czy aby z pomieszczenia nie ma innego wyjścia, ale były tylko jedne drzwi, te, którymi wszedłem.

– Co pan, o co chodzi, bo dzielę ścierką – zareagowała znów najbliższa, zdaje się najodważniejsza.

– Widziałem ją, niczego nie ukryjecie – powtórzyłem.

– Patrzcie go – odwróciła się do koleżanek. – Dziad jeden, podglądać przyszedł – i jak nie uderzy mnie czymś ciężkim i mokrym, tak, że się zachwiałem, ledwo łapiąc równowagę. – Guuustaw! – zawołała i w drzwiach natychmiast pojawił się wielki, zwalisty mężczyzna.

– Co? – spytał.

– Wyrzuc go stąd, podpatrywacza jednego – powiedziała znów ta sama.

– Jestem Heinrich Kramer, delegat papieski, inkwizytor... – zacząłem tłumaczyć, ale ów jegomość uniósł mnie i przez okno wyrzucił na ulicę,

krzyżąc za mną:

– A ja jestem Jan Chrzciciel i daję ci chrzest z wody – wziął wiadro, napełnił je wodą z balii i chlusnął wprost na mnie. – Znamy takich delegatów, znamy, codziennie tu stają, żeby się gapić, wynocha stąd, bezwstydniku...

Cóż miałem robić. Podniosłem się, otrzepałem z mydlin i szybkim krokiem, przemoczony, wróciłem do kościoła Najświętszej Marii Panny, żeby wezwać na pomoc braci zakonnych. Niedługo potem, już ubrany w swój habit, w towarzystwie sześciu kaznodziejów, których zgodził mi się oddelegować Girolamo (wspomniałem mu tylko ogólnie o moich podejrzaniach wobec kobiet, o tym, że przetrzymują osobę od dawna poszukiwaną, on się skrzywił, ale nic nie powiedział), szedłem znaną mi już ulicą, a każdy brat, z wyjątkiem mnie, trzymał w rękach zapaloną świecę, jako znak urzędowej i boskiej sprawy, która nam została zlecona.

Tym razem ulica była pusta. Na nasz widok żebracy pochowali się do bram, a ci, co nie zdążyli, stali oparci o mury i pochylonymi głowami, nie unosząc wzroku, witali nasz pochód. Wielka jest jeszcze siła naszego Kościoła, mimo jego licznych słabości. Lud musi czuć strach przed karą boską, inaczej zrodzi się anarchia, jak w ostatnich latach pierwszego Rzymu. Gawiedź bardzo łatwo czyni tumult, który później ciężko naprawić. Nie po to przecież my – pasterze – zostaliśmy wybrani do prowadzenia trzody, by nam zwracano uwagę, że kierujemy ku złym pastwiskom. A z drugiej strony, sam wiem o błędach Kościoła. Jak to połączyć? Jak zrozumieć i co robić? Pytania, pytania, pytania. Odpowiedzi zostawiam na później. Teraz musiałem się zmierzyć z tym samym, co zwykle przeciwnikiem.

Kobiety nie protestowały, kiedy bracia skrępowali im ręce od przodu i powiązali jednym postronkiem. Musiały wiedzieć, że nic nie zdziałają, a mogą tylko pogorszyć swoją sytuację. Nawet krzyki i wezwania pomocy im nie pomogą, bo ci, co mogliby przyjść na ratunek, sami w trwodze. Na tym polega wielkość inkwizycji, że pozostawia lud w niepewności o własną przyszłość, a winnych w nieuchronności czekającej ich kary. Oczywiście w przypadku winy i tylko w tym przypadku. Inna sprawa, że przypadków uniewinnienia jest tak mało, że nie ma o czym mówić. Gawiedź musi czuć

respekt dla kościelnej władzy. Nie może być pewna, czy aby nie popełnia grzechów i przewin, nawet nie widząc, że to czyni. To my decydujemy, co jest grzechem i kto winien. Każdy może być oskarżony, albowiem nie ma istoty ludzkiej, która w swoim życiu przynajmniej myślą nie zgrzeszyłaby chociaż raz.

Mężczyzny, który dokonał na mnie defenestracji, nie znaleźliśmy, ale też nie chcieliśmy szukać. Nie jego wina, że zareagował niemądrze, lecz kobiet, które go do tego czynu zmusiły. Bo jaka tu wina mężczyzny, skoro kobiety dopuściły się prowokacji.

Idąc w stronę świątyni, popychając dla porządku kobiety, bracia zaintonowali modlitwę do Najświętszej Marii Panny, w którą i ja się ochoczo włączyłem.

Panno, usłysz nas.

Panno, wysłuchaj nas.

Ojca z niebios ulubienico uwielbiona.

Syna Bożego Matko błogostawiona.

Ducha Świętego mocą zapłodniona.

Trójcy Świętej siedzibo niesplamiona, zmiłuj się nad nami.

Nad wszystkie zastępy błogostawionych duchów wyniesiona.

Jana Chrzciciela dzieciństwem uweselona.

Przez patriarchów upragniona.

Przez proroków oznajmiona.

Apostołami w wieczniku zjednoczona.

Z męczennikami męką uświęcona.

Przez dziewice ulubiona.

Z Marią Magdaleną pod krzyżem we łzach pochylona.

Nad wszystkich świętych, nad wszystkie święte ozdobiona.

Święta Maryjo, przez anioła pozdrowiona.

Kiedy doszliśmy na dziedziniec kościoła, bracia zgasili świece, a ja spodziewałem się powitania, gdyż czego innego mogłem się spodziewać. Myślałem nawet, że Girolamo osobiście się stawi, żeby razem ze mną dopatrzeć procedur. A jednak plac był pusty. Żadnego z braci, żadnej

postronnej osoby, jakby wszystkich wymiotło szatańską miotłą.

Nakazałem wprowadzić kobiety do kościoła, a stamtąd, kamiennymi schodami, zeszliśmy do podziemi, w których bracia trzymali wino i zapasy.

Kobiety, odwiązane z postronka, ze skrępowanymi rękami siedziały na posadzce, opierając się o ścianę. Poprosiłem o więcej światła i bracia z miejsca przynieśli dodatkowe świece.

Przesłuchanie zacząłem od pytań, które zawsze muszą być postawione na początku. Czy jesteście wiernymi Kościoła Bożego? Czy jesteście zdrowe na ciele i umyśle? Czy wiecie, dlaczego się tu znalazłyście? Na dwa pierwsze dostałem odpowiedź twierdzącą. Na pytanie trzecie nic nie powiedziały, jedynie pokręciły przecząco głowami. Na kolejne pytania odpowiadały na przemian, jakby każda chciała się tłumaczyć.

– Czy prawdą jest, że ukrywacie osobę płci żeńskiej, za którą wydaliśmy list, żeby ją odszukać i doprowadzić przed oblicze sądu?

– Nie, panie, nic nie wiemy, we trzy pracujemy, nie ma u nas innych kobiet.

– Kłamiecie, sam widziałem, mówcie prawdę – starałem się pytać wpięć łagodnie, mając nadzieję, że uzyskam informacje bez konieczności badania przewidzianego prawem.

– Kiedy mówimy prawdę, panie, my skromne kobiety, nie mamy niczego do ukrycia.

– Nie jestem waszym panem, a ojcem. Skromności wam też brakuje, bo wystawiacie łona dla gawiedzi.

– To z gorąca, ojcze, nie mamy złych zamiarów, prosimy o wybaczenie.

– Jeszcze raz, ostatni, pytam, gdzie się znajduje osoba, o której mówię, a którą u was widziałem?

– Nic nie wiemy, ojcze, prosimy o wybaczenie, ale nic nie wiemy.

Nie chciałem z początku stosować metod określonych w pismach i praktyce. Każdy jest wart tego, by dać mu szansę przyznania. Dlatego kazałem braciom pójść po brzozowe witki. Przynieśli całe naręcze. Wybrałem najtwardsze. Zażądałem, by zdjęły okrycia. Kiedy były już nagie, począłem je smagać, do pierwszej krwi. Gdy się pojawiła, przerwałem, bo ich krzyk stał się niemiły dla uszu. I wtedy nadszedł Girolamo. Ucieszony, że mój

brat pomoże w badaniu, już chciałem mu dziękować, ale on wyrwał mi wszystkie gałązki z ręki.

– Co robisz, znam te kobiety, na Boga, co robisz! – krzyknął.

– Robię to, co nakazuje prawo – odpowiedziałem.

– Czyje prawo? – spytał już cicho, wpatrując się w moje oczy.

– Czyżbyś zapomniał, do czego jesteśmy powołani, Girolamo? – spytałem jeszcze ciszej, tak by moje słowa nie doszły do adeptek i braci.

– Wiem, do czego ja jestem powołany, a ty...tego nie wiem – Girolamo odrzucił witki w kąt i dał znak swoim braciom. Czterech pomogło się ubrać kobietom. Zanim się zorientowałem, wyprowadzili je schodami na górę, do kościoła. Na dole został Girolamo, ja i dwóch braci.

– Zanieść na dziedziniec, przygotować, odesłać tam, skąd przybył – zaordynował Girolamo.

Nie dano mi nawet konia. Posadzono na osle, a do ręki włożono brzozone witki.

Do florenckiego konwentu, w którym piszę te słowa, po wielu godzinach jazdy na oklep, przysypiając, dotarłem nad ranem. Niczym Jezus wjeżdżający do Jerozolimy. Mnie jednak nikt nie witał, nie wznosił okrzyków radości na mój widok. Miasto spało.

Jeszcze się spotkamy, Girolamo. Jeszcze się spotkamy. Rozumiem teraz, z jakich przyczyn zesłano cię na banicję. Niech cię piekło pochłonie. Jeśli tylko będzie mi dane, przyłożę rękę do twojej zguby. Ja, Heinrich Kramer, z Bożej łaski Institor, nigdy nie wybaczę ci zniewagi. Strzeż się, Girolamo. Już dziś podkładam ogień pod twoje stopy.



Rozdział

V

*Jesteśmy tego pewni, że szatan mieszka w ludziach opętanych.
Trzeba taki stan karać bardziej niż grzech.
Mamy tu na myśli kary cielesne.
Choć one zawsze są za słabe wobec popełnionych szaleństw.
„Malleus maleficarum”*

11 GRUDNIA 2017



budził się tuż przed jedenastą, szybko wziął prysznic i zbiegł na dół na śniadanie. Usiadł przy oknie wychodzącym na ulicę. Zamówił parówki z musztardą, pił lurowatą kawę. Do spotkania z przeorem została godzina. Spojrzał w okno. Zobaczył tę samą co wczoraj kobietę, idącą chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy. Kobieta, tak jak wczoraj, ciągnęła za sobą wózek, podpierając się parasolką. Kiedy zrównała się z oknem hotelowego baru, przystanąła. Odwróciła głowę w jego stronę. Nie był pewien, czy z tej odległości mogła rozpoznać jego twarz. Rozejrzała się, poczekała, aż przejedzie samochód, i zaczęła iść w jego kierunku. Stanęła za szybą, niemal twarzą w twarz z Janem. Uśmiechnął się do niej. Kobieta uniosła parasolkę, stuknęła nią dwa razy w szybę i poszła dalej. Odstawił filiżankę, wybiegł przed hotel, ale kobiety już nie było.

Kwadrans przed dwunastą stał przed klasztorną furtką. Chciał zapukać, ale drzwi się uchyliły. Jean, ubrany tak jak wczoraj, w długi, biały, zakonny płaszcz, stał w progu, jakby chciał coś powiedzieć, ale wyciągnął tylko rękę na powitanie i wpuścił go do środka. Szli dziedzińcem. Dopiero teraz Jan zauważył, że chodnik jest wyłożony kolorową mozaiką, taką samą jak dach klasztoru, a fontanna, obok której przechodzili, ma kształt rozchylonego kielicha zwieńczonego rzeźbami zrywających się do lotu gołębi. Spojrzał w górę. Na gzymsie, przed otwartym oknem gabinetu przeora, dreptała

gromada takich samych, tyle że żywych ptaków. Kiedy wchodzili schodami na piętro, Jan przystanął.

– Mieliliśmy jeszcze porozmawiać, prawda? Zanim wejdę do ojca Rogera. Wczoraj mówiłeś...

– Nie, nie – przerwał mu Jean. – Chodźmy, szkoda twojego czasu i czasu przeora. Jeszcze będziemy mieli czas na rozmowy, chyba że musisz wracać do Pragi – teraz Jean się zatrzymał.

– Na pewno nie dziś ani nie jutro, szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem kiedy, to zależy...

– Tak myślałem – Jean znów nie dał mu dokończyć zdania. – Teraz idź do ojca, a jakbyś czegoś potrzebował, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Gdy Jan wszedł do gabinetu, przeor pochylał się nad stertą dokumentów, przykrywających całe biurko. Uniósł głowę dopiero wtedy, gdy usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

– A, więc mamy naszego badacza czarownic – uśmiechnął się i podniósł zza biurka. Miał dziś na sobie biały habit z kapturem i czarną, zarzuconą na ramiona tunikę. Jan odniósł dziwne wrażenie, że ten strój zupełnie nie pasuje do przeora. Wolał go w czarnej marynarce i koszuli, jak wczoraj. Ale właściwie jakie to ma znaczenie, co on woli.

– Jeszcze panu nie przeszło? – nie czekając na odpowiedź, mówił dalej, układając dokumenty, jedne na drugich, na skraju biurka. – Moja buchalteria – pokazał głową na piętrzący się stos kartek. – Przeor współczesnego zakonu większość czasu, zamiast modlitwie i lekturze książek, musi poświęcać lekturze papierysk. Jestem dyrektorem przedsiębiorstwa, które się nazywa zgromadzenie ojców kaznodziejów. Jednoosobowa komisja rewizyjna całkiem nieźle prosperującej firmy – uśmiechnął się jeszcze raz, wskazując Janowi to samo krzesło, na którym siedział wczoraj. – No dobrze, przejdźmy do rzeczy. Postaram się panu pomóc na tyle, na ile sam potrafię. Pozwoli pan, że będę mu mówił po imieniu? Mógłby pan być moim wnukiem, gdybym rzecz jasna miał wnuki.

– Będę zaszczycony – znów to powiedział i znów nie wiedział, dlaczego.

– Jean mi opowiadał o waszym wczorajszym posiedzeniu w oberży. Jeszcze dziś rano bolała go głowa. Wyobraź sobie, że braciszek Jean, duchowny

zakonu dominikanów, miał dziś rano najnormalniejszego w świecie, świeckiego kaca.

– Szczerze mówiąc, nie zdawałem sobie sprawy, że mnisi potrafią z taką ochotą degustować wino – Jan uznał, że może sobie pozwolić na trzymanie się tego samego tonu, który zaproponował przeor.

– Degustacja – ojciec Roger kaszlnął i uśmiechnął się znacząco. – Nie, nie, nie mam nic przeciwko, jak to nazywasz, degustacji. Sam w młodości zachodziłem do oberży „Pod Ślimakiem” i o ile wiem, nasi bracia są tam nadal mile widzianymi gośćmi. Nasze królestwo, chłopcze, jest przecież także z tego świata, a kulturalna degustacja nie musi jeszcze oznaczać występku, czyż nie mam racji?

– I ja tak uważam, ojczu.

– Ha, ha – zaśmiał się przeor, sięgając do szafki pod biurkiem. Wyciągnął otwartą butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki. Nalał prawie po brzegi.

– Twoje zdrowie, Janie. Obyś w takim samym zdrowiu opuszczał Lyon, w jakim do nas przyjechałeś – Jan zwrócił uwagę, że mówiąc to, przeor uważnie mu się przypatruje.

– Dziękuję i życzę ojcu zachowania takiej formy jak dziś jeszcze przez długie lata – odpowiedział Jan, upijając kilka łyków.

– Niezbadane są plany i nie nam o nich sądzić – powiedział szorstko przeor. – No dobrze, zanim zaczniesz mi zadawać pytania, bo pewnie masz wiele pytań, pozwól mi na dłuższy wstęp. Najpierw chciałem zwrócić twoją uwagę na fakty, które być może znasz, ale pomijasz, skupiając się jedynie na swoim bohaterze. Tymczasem nie można, jak sądzę, ich pomijać. Nasz brat Heinrich Kramer, zwany Institorem, urodził się w 1430 roku. Umarł na początku szesnastego wieku, dokładna data śmierci nie jest nam znana. Według różnych, oficjalnych źródeł umarł w Pradze lub w Brnie, może w Ołomuńcu, a może gdzie indziej. Tak naprawdę nie wiemy, jak umarł, nie wiemy nawet, gdzie został pochowany. Musisz sobie zdawać sprawę, skoro się tym zajmujesz, że okres jego działalności przypadał na względny, jeśli tak można powiedzieć, spokój, gdy mówimy o tym, co potocznie nazywa się polowaniem na czarownice. Przed Institorem stosy zapalano częściej, a i po nim także więcej było wyroków skazujących za czary, herezje i tym

podobne rzeczy, które z naszej perspektywy, perspektywy ludzi oświeconych, wydają się niewyobrażalnym okrucieństwem, a nawet obłądem. Zanim więc Institor opublikował swoje słynne dzieło „*Malleus maleficarum*”, byli inni. Także, mówię to ze smutkiem, nasi Bracia Kaznodzieje. Działający od 1233 roku, i tylko przez sześć lat, pierwszy dominikański inkwizytor Francji, ojciec Robert le Bourge, w ciągu kilku lat wysłał na stos co najmniej 272 osoby, w tym 183 spalił jednego dnia, dokładnie 13 maja 1239 roku, w miejscowości Montwimer. Le Bourge działał tak brutalnie, że w końcu papież Grzegorz IX odwołał go z zajmowanego stanowiska. Egzekucja w Montwimer według wszelkiego prawdopodobieństwa była zwieńczeniem zakrojonego na szeroką skalę śledztwa obejmującego obszar aż 16 diecezji. Nie ulega wątpliwości, że była to jedna z największych masowych egzekucji w dziejach inkwizycji, porównywalna z okrucieństwem krzyżowców lub z działalnością naszego słynnego brata Tomasa Torquemady, przeora klasztoru w Segowii, a w latach 1483–1498 generalnego inkwizytora Kastylii, Walencji i Aragonii. Prawdopodobnie dopiero francuska Wanda, francuska rewolucja, a potem rewolucja proletariacka w Rosji przebiły tę liczbę uśmierconych jednorazowo. Dla przypomnienia, w obozach zagłady w czasie drugiej wojny światowej zdarzały się dni, kiedy Niemcy mordowali po kilka tysięcy osób. Z kolei ten, wydawałoby się, nie do przebiccia wynik powtórzyli mniej więcej w tym samym czasie Sowieci, mordując strzałami w głowę polskich oficerów gdzieś w okolicach Charkowa. W paręnaście dni unicestwili w ten sposób około dwudziestu tysięcy istnień, co daje średnią tysiąc albo i więcej istnień na dzień. Parę lat później, to jeszcze ta sama, druga wojna światowa, Niemcy w parę dni wymordowali jakieś pięćdziesiąt do stu tysięcy mieszkańców stolicy Polski – Warszawy. Nawiasem mówiąc, biedny ten kraj, w którego historii ofiara goniła ofiarę, jakby los się wziął na ten skrawek Ziemi. Jednak chwilę później i ta statystyka okazała się mało znacząca, gdy Amerykanie, naród tak wielbiący pokój i demokrację, zrzucili dwie bomby. Najpierw na Hiroszimę, a trzy dni później na Nagasaki. W jednej chwili wyparowało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Byli ludzie, nie ma ludzi. A pół wieku później w Rwandzie, mniej więcej w trzy miesiące, jedno plemię wymordowało około miliona przedstawicieli innego plemienia. Przyznasz

więc, że wynik całkiem niezły, porównując go z osiągnięciem naszego brata Roberta. Znacznie lepszy niż osiągnięcia wszystkich moich starszych Braci Kaznodziejów, rozpalających stosy przez kilka stuleci. Od tamtej pory, od wojny i afrykańskiej rzezi, nikt nie pobił tego wyniku, choć jak widzimy, tendencja jest rosnąca i należy się spodziewać, że nie są to jeszcze szczytowe osiągnięcia naszej cywilizacji, która za główny cel obrała sobie walkę z czarownicami, jakkolwiek byśmy nie definiowali tego dość pojemnego terminu. Ostatnie zdarzenia, o których mówię, miały miejsce już za mojego życia, czyli stosunkowo niedawno. Śmierć jednego człowieka to tragedia, śmierć miliona to już tylko statystyka, jak to powiedział pewien słynny radziecki aforysta.

Pytanie, co by się z nami stało, gdyby nie planowa lub czasem przypadkowa eksterminacja naszego gatunku w zarazach i epidemiach. Największa zaraza, czarnej śmierci, czyli dżumy, w połowie czternastego wieku zabiła prawdopodobnie około połowy populacji. Zmarło mniej więcej sto pięćdziesiąt milionów ludzi w Europie i Azji. Najwięcej we Włoszech i Francji, bo około osiemdziesięciu procent naszego gatunku. Najmniej w odizolowanej Anglii: tam mniej niż jedna piąta. Ziemia jest obliczona na dziesięć miliardów mieszkańców. A my się lubimy rozmnażać w sposób całkowicie niekontrolowany. Jeśli będzie nas więcej – zginiemy. Dziesięciomiliardowy obywatel Ziemi urodzi się jeszcze za twojego życia. A ponieważ nasz Pan dba, byśmy przetrwali jako gatunek, możemy się wkrótce spodziewać globalnej zarazy lub wyniszczającej wojny, które zmniejszą populację do jakichś praktycznych rozmiarów. Tak będzie na pewno. Nie wiemy tylko, kiedy nasz Pan się na to zdecyduje. Bo domyślam się, że dla niego też nie jest przyjemne wydawanie wyroków śmierci i oglądanie rozczłonkowanych ciał. Być może łatwiejsze, gdy w grę wchodzi jedynie statystyka, w tym widzę pewne podobieństwo do Stalina.

Wróćmy jednak do wieków średnich. Po odwołaniu Roberta z urzędu działalność inkwizycji w północnej Francji niemal ustała. Choć trybunały inkwizycyjne były regularnie obsadzone, niewiele jest śladów ich aktywności. Jeden z największych procesów w tym rejonie miał miejsce dopiero z górą dwa wieki później, w latach sześćdziesiątych piętnastego wieku w Arras.

Trzydziestu czterech waldensów oskarżono wówczas o czary i satanizm, dwunastu z nich spalono na stosie. Marny wynik, sam przyznasz.

– W tym procesie uczestniczył już ojciec Kramer – zareagował Jan.

– Być może, ale odejdźmy na chwilę od Kramera, by na końcu przyjrzeć mu się dokładniej – ojciec Roger dolał wina do kieliszków. – Jak wiesz, przed rokiem tysięcznym nikogo nie stracono dlatego, że sąsiad rzekomo widział sąsiada w towarzystwie diabła. Ludzie oskarżali się wprawdzie o to, że są czarownikami lub czarownicami i że posiadają nadprzyrodzoną moc czynienia zła, mniej więcej tak, jak to się dzieje i w naszych czasach, a nawet co niektórzy widywali kobiety przemieszczające się po nieboskłonie z nadnaturalną prędkością, jednak nie było powszechnej zgody na karanie bohaterów tych urojeń. Dodajmy: urojeń z naszego punktu widzenia, z punktu widzenia ludzi rzucających bombę na Hiroszimę. Ludzi, którzy deklarują przywiązanie do życia, niektórzy nawet do tego, co się jeszcze nie narodziło, jednak istnieje gdzieś tam w ciele kobiety, bo co by nie mówić, jednak kobieta wydaje na świat nowe życie, ale, tak czy inaczej, wszyscy pochodzimy od bakterii, nawet nie od małpy, jesteśmy więc nieco bardziej rozumną bakterią, oczywiście wszystko się dzieje za wiedzą, a nawet „wstawiennictwem” naszego Ojca, Ojca Wszechrzeczy. Prawdziwym Adamem i prawdziwą Ewą była więc jakaś bakteria, w dodatku pozbawiona zdolności przewidywania dalszych wypadków, czyli czegoś, co bywa nazywane ewolucją. Nie wiedziała, biedna, że za jakiś czas jej odległy potomek przewiezie kawał żelastwa nad Japonię, żeby pozbawić życia innych potomków tej samej bakterii. Wybacz dygresję, ale gdyby nasz Pan, Bóg Ojciec, z równą zapobiegliwością dbał o życie swojego jedynego syna, łatwiej byłoby nam zrozumieć prymat życia nad ofiarą śmierci, która zresztą okazała się próżna, bo ludzie nie stali się lepsi, mimo osobistej, rodzinnej tragedii Boga Ojca, który składa w ofierze własne dziecko, bo prawdopodobnie inne metody zawiodły. To znaczy te, które miały naprawić grzeszny charakter człowieka. Bezradność Ojca, szczerze mówiąc, zawsze mnie przerażała. Dlaczego niby mielibyśmy uśmiercać swoje dzieci, żeby inne miały lepiej? No, nie wiem. To znaczy wiem, ale boję się tej wiedzy.

W tamtych, odległych czasach Kościół podkreślał w każdym razie z całą mocą, że nie ma czegoś takiego, jak latające czarownice. To się po prostu nie mieściło w głowach ludzi cokolwiek wówczas oświeconych. W roku tysięcznym nie wolno było wierzyć, że loty czarownic się zdarzają, ale pięćset lat później nie wolno już było wierzyć, że się nie zdarzają. W roku tysięcznym Kościół utrzymywał oficjalnie, że loty czarownic to złudzenie wywołane przez diabła. Po upływie połowy tysiąclecia ten sam Kościół oficjalnie utrzymuje, że ci, którzy twierdzą, że taki lot to złudzenie, sami zawarli pakt z diabłem, czyli...

– „Młot na czarownice” Institor opublikował w 1487 roku – Jan przerwał ojcu Rogerowi.

– Słusznie. W 1487, a może rok wcześniej. Nie przywiązywałbym znaczenia do dat. Sądzisz, że Hiroszima była odpowiedzią na „*Malleus maleficarum*” ojca Kramera? Nie sądzę. Jedynie wynik się zgadza. W całym długim procesie walki z czarownicami, a więc głównie od XV do XVII wieku, wymordowano około pół miliona niewinnych ludzi. Z naszego punktu widzenia niewinnych. Po zrzućeniu bomby na Hiroszimę i Nagasaki, w wyniku różnego rodzaju chorób, w tym choroby popromiennej, zmarło mniej więcej tyle samo. A w różnych zarazach, trawiących zresztą w wiekach średnich nie tylko Europę, pomarło, lekko licząc, kilka, może nawet kilkanaście milionów przedstawicieli naszego gatunku.

– Ojczy, ja nie chcę się zajmować Hiroszimą ani zarazami, przyjechałem tu, żeby się czegoś dowiedzieć o Institorze – Jan tym razem sam dolał sobie i przeorowi wina.

– Wydaje mi się, że ciągle o nim mówimy. Dobrze, wracamy do źródła – ojciec Roger wstał, chwilę przechadzał się po gabinecie, wrócił na fotel i zaczął mówić szybko, jakby wyuczonym na pamięć tekstem prowadził akademicki wykład. – Przestępstwa czarownictwa. Paktowanie z diabłem, latanie do odległych miejsc na miotłach, nielegalne gromadzenie się na sabatach, czczenie diabła, całowanie diabła pod ogonem, kopulacja z inkubami – diabłami wyposażonymi w lodowate penisy, kopulacja z sukubami – diabłami płci żeńskiej. Często dodawano bardziej przyziemne oskarżenia: zabicie krowy sąsiada, spowodowanie gradobicia, zniszczenie plonów,

kradzież i zjadanie dzieci. Te ostatnie herezje nie są nam zresztą obce i dziś, bo i Żydów całkiem niedawno oskarżano o rytualne mordy dokonywane na dzieciach. Ponieważ sam, naukowo, nigdy się nie zajmowałem procesami o czary, pozwolisz, że się posłużę wiedzą innych, najczęściej historyków, antropologów, nawet co niektórych teologów. Wszyscy się zgadzają, że pomimo wielkiej liczby przyznań do uprawiania czarownictwa, niewiele wiadomo o sprawach sądowych tych, którzy się przyznawali do winy. Niektórzy historycy twierdzą, że cały ten dziwny splot, pakt z diabłem, loty na miotle, sabat, wymyślili ci, którzy czarownice palili, a nie one same – palone na stosach czarownice. Jednak wiele z oskarżonych jeszcze przed rozprawą czuło, że potrafią latać, że znają szatana, że z nim weszły w jakiś intymny związek. Samo przyznanie się do paktu z diabłem nie było najważniejsze, gdyż zazwyczaj osiągnano je torturami, a więc wiarygodność takich zeznań była raczej wątpliwa. Tortury stosowano zresztą dopiero od końca XV wieku.

– Znów Heinrich Kramer i jego „Młot”

– Wydaje mi się, że raczej odwrotnie. To Institor jako pierwszy zaczął archiwizować znane techniki tortur, być może uzupełniając je o własne pomysły, ale raczej tylko uzupełniając, nie tworząc metod. Tortury stosowano tak długo, aż czarownica sama się przyznała, a tym lepiej, gdy zaczęła wydawać swoje koleżanki. Gdy próbowała odwołać zeznania, uciekano się do jeszcze wymyślniejszych tortur, które trwały tak długo, aż wcześniejsze zeznanie zostało potwierdzone. Oskarżona miała oczywiście dwa wyjścia. Albo się przyznać i umrzeć na stosie, w straszliwych mękach, które jednak wkrótce się kończyły, albo być nadal maltretowaną skrajnie bolesnymi torturami, przez wiele dni, czasem tygodni, a skutek był i tak ten sam – stos, tyle że nieco później. Mając do wyboru dwa scenariusze, każdy normalny człowiek wybierze ten pierwszy – przyznać się do wszystkiego, byle już dłużej nie cierpieć. Przyznać się i jak najszybciej zginać, bo i tak szansy na przeżycie nie było żadnej. Szansa uratowania skóry równa zeru. Rozumiesz to? Żadnej, nawet ułamek procenta szansy. Jakie to musiało być zatrwające dla tak zwanych adeptek. W nagrodę za współpracę z sędzią czarownica najwyżej mogła mieć nadzieję, że kat, zanim rozpali pod nią

stos, skręci jej kark, udusi lub choćby przebije sztyletem. Jeśli zaś chodzi o techniki torturowania, to znamy ich wiele. Każda była po wielokroć stosowana. Zaczynano najczęściej od *strappado*, czyli związania rąk z tyłu i podciągnięcia na sznurze przywiązanym do nadgarstków. Już samo *strappado* łamało co słabsze kości i nie trzeba było wobec podejrzanej stosować innych tortur. Ale bywało i tak, że kobiety wytrzymywały tę prostą, niewyszukaną torturę i nadal zapierały się przed wzięciem na siebie ciężaru winy. Wtedy posługiwano się przyrządem do miażdżenia kciuków lub zdejmowano kobietę i sadzano ją na tak zwanym kolczastym krześle, domyślasz się wrażeń. Dopełnieniem było rozgrzane do czerwoności żelazo, kolczaste buty, w których kazano chodzić. Także szczypcy do wyrywania paznokci odgrywały ważną rolę w śledztwie. Jeszcze głód, bezsenność. Czy czegoś ci to nie przypomina? Przeczytam ci zapis wrażeń, jakie były udziałem pewnego szesnastowiecznego mnicha, który przypadkiem znalazł się w sali tortur po skończonym przesłuchaniu.

Przeor wyciągnął z szuflady mocno już podniszczoną księgę, wypełnioną rycinami przedstawiającymi torturowane postacie. Dłuższą chwilę szukał odpowiedniej strony. Zaczął czytać, zerkając od czasu do czasu na Jana.

– „Widziałem rozdarte członki, oczy wyłupione z głowy, stopy oderwane od nóg, ścięgna wyszarpywane ze stawów, łopatki wyrwane z pleców, nabrzmięte żyły wewnętrzne, jakby na powrót wepchnięte do środka. Jaki gwałt trzeba zadać ludzkiemu ciału, żeby oglądać tak smutny widok” – zastanawia się ów mnich, który, zdaje się, miał pierwszy raz do czynienia z badaniem ofiar. Takie dramatyczne wydarzenia miały wprawdzie miejsce już za życia Institora, ale dopiero po jego śmierci stały się normą w procesach o czary. Zanim Kramer napisał swoje dzieło, w Kościele obowiązywała całkiem inna wykładnia przepisów, nazywana *Canon episcopi*. Jeszcze starszy jest zapis Reginona z Prum, pochodzący mniej więcej z 900 roku. Reginon przekazuje bardzo dokładne instrukcje dla biskupów z Niemiec i z północnej Francji. Dziś byśmy to nazwali stanowiskiem doktrynalnym na temat wierzeń dotyczących nocnych lotów, czarownic i tym podobnych. To, co napisał Reginon, zostało 150 lat później włączone do dekretów

Burcharda z Wormacji, a po kolejnych stu latach, już jako *Canon episcopi*, weszło w skład *Decretum gratiani*. Mniejsza zresztą o nazwy. W ten sposób powstawał swoisty talmud wyjaśniający i dający niepodważalną wykładnię stosunku Kościoła do skomplikowanego i nierzeczywistego świata. Zacytuję teraz fragmenty Kanonu: „Umysł niewierzący myśli, że takie rzeczy – mowa rzecz jasna o czarownicach, ich lotach, kontaktach z szatanem – zdarzają się nie duchem, lecz ciałem. Diabeł bowiem zawsze potrafi wmówić, że ty lub bliźni wyruszacie na nocne loty, lecz przecież ani ty, ani nikt nie potrafi latać jako ptak. Jednak rojenia owe nie są niczym innym, jak snem, który na ciebie przychodzi i w tym śnie widzisz siebie lecącego i spółkującego ze złem. Wszelako jest to równie niebezpieczne, co realne loty i ich konsekwencje. Śniąc tak, podlegasz ocenom, jakbyś żył na jawie. Trudno jednak wydawać na ciebie, grzeszna istoto, wyrok śmierci. Nie stos dla ciebie, lecz ekskomunika”. Reginon ostrzegał jednak, że „są pewne wszeteczne niewiasty, co postępując za szatanem, uwiedzione złudzeniami i zjawami diabelskimi, wierzą i rozgłaszają, że wraz z Dianą, boginią pogańską, i niezliczonymi tłumami kobiet w porze nocnej cwałują na pewnych zwierzętach, że w ciszy głębokiej nocy przemierzają niezmiernie odległości, posłuszne rozkazom bogini jako ich pani, na której służbę w pewne noce bywają wzywane. Niewiasty te grzeszą nie tylko osobiście, ale też wciągają w swój występki inne kobiety, każąc im wierzyć, że prócz jedynego Boga są również inni bogowie. Dlatego kapłan bezustannie w kazaniach powinien wyjaśniać ludowi, że wszystkie te rzeczy są całkowicie fałszywe, i że to nie duch Boży, lecz zgoła inny, zły duch, zdolny do przedzierzgnięcia się w anioła światła, owłada umysłem jakiejś bożej istoty, zniewala ją i wespół z innymi demonami przekształca, kierując ku zgubie”. Na końcu Kanonu znajdujemy podsumowanie, będące jednocześnie nakazem dla sędziów. Nawet jeśli czarownice realnie nie uczestniczą w sabacie, to jednak są winne grzechu, bo przestały wierzyć w prawdziwego Boga, zastępując go wiarą w demona. Dlatego takim kobietom należy wytoczyć proces o *infidelitas*, lecz nie ma w Kanonie mowy, że karą za ten straszliwy w owych czasach grzech jest śmierć przez spalenie, a nawet w ogóle nic o karze nie czytamy. *Canon* jest więc rodzajem konstytucji dla tych, którzy zajmują się odstępstwem

od wiary. Ale oprócz Kanonu, tak jak to się dzieje w naszych czasach, jest całe mnóstwo ustaw, rozporządzeń niższego rzędu, możemy je nazwać prawem wykonawczym. Choćby „*Summa de officio inquisitionis*”, dokument opublikowany gdzieś pod koniec XIII wieku. W tym dziełku zamieszczony jest formularz, zresztą bardzo przypominający te, których używają dziś socjologowie, psychologowie społeczni czy antropologowie, chcący lepiej poznać jakąś grupę społeczną czy fakt społeczny. Zapewne widziałeś nieraz takie ankiety, a może i sam je tworzyłeś na studiach. Całkiem znana do dziś forma zdobywania wiedzy. Inkwizytor badający konkretny przypadek za każdym razem zadawał te same, zgodne z ankietą pytania, i zaznaczał odpowiedzi gdzieś na marginesie. Pytania ankiety były mniej więcej takie: czy podejrzany sam dokonywał czynów, czy zachęcał do nich inne osoby, czy w swoich praktykach posługiwał się zwierciadłem, mieczem, paznokciem, kulą, rączką z kości słoniowej, formułami zaklinającymi diabła, ziołami, ptakami czy innymi zwierzętami, czy uciekał się do praktyk magicznych wywołujących miłość u kobiet lub u mężczyzn, czy stosował praktykę koła magicznego, czy używał czarów lub ludzi martwych, a także krwi, kości zwierząt bądź ludzi, czy wyczytywał przepowiednie z wnętrzości zwierząt, czy sporządzał eliksiry lub maści, czy używał w swych praktykach hostii lub wody święconej. Formularz przesłuchań był podzielony na dwie rubryki. Pierwsza odnosiła się do zwykłych czarownic, druga była dla heretyków odstępujących od jedynej, słusznej wiary. Tak się jednak składało, że heretycy byli jednocześnie podejrzewani o czary. Nasz brat Bernard Guidone, inkwizytor Tuluzy, wspominał w swoim dziele „*Practica inquisitionis hereticae pravitatis*” o pewnej sentencji wyroku na osobę winną herezji, a jednocześnie stosującą praktyki magiczne, takie jak posługiwanie się hostią. Osobę tę, kobietę prawdopodobnie, choć w tym przypadku nie mamy pewności, postanowiono żywcem zamurować, przy czym na odzieniu miała mieć powieszoną hostię z żółtego filcu. Sędziowie dysponujący wolnością i życiem ludzkim w stopniu nieograniczonym mieli też przywilej instrumentalnego wykorzystywania biblijnych treści. Wysyłając na stos, wypowiadali zazwyczaj tę samą formułkę, ustęp z rozdziału piętnastego Ewangelii świętego Jana.

Wyjął z biurka Nowy Testament, chwilę przewracał strony, wreszcie znalazł to, czego szukał, spojrzął na Jana, jakby się chciał upewnić, czy ma dalej mówić, czy może Jan zna tę słynną linijkę ewangelisty. Jan znał ją bardzo dobrze, ale pozwolił ojcu czytać.

– Posłuchaj – przeor pochylił się nad tekstem. – „Ten kto we mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją i wrzuca do ognia, i płonie”. Czy trzeba szukać lepszego uzasadnienia, skoro on, Jan, święty Jan, daje nam je na tacy, że tylko brać i się nim posługiwać? Tak zatem, mniej więcej do końca czternastego wieku, mówię mniej więcej, bo dokładnej daty nie jesteśmy w stanie ustalić, wyroki śmierci przez spalenie zapadały przeważnie nie na biednych ludzi, którzy latali na sabat, ale na zdecydowanie trudniejszych do zwalczania wrogów Kościoła, takich jak albigensi, waldensi, husyci, którzy w ramach istniejącej organizacji kościelnej i religijnej usiłowali przeforsować swoje własne pomysły na praktykę działania tej największej w dziejach świata instytucji. Wprawdzie już w trzynastym wieku udoskonalono system polowań na czarownice, jakbyśmy to dziś nazwali, jednak tortury stosowano tylko wobec nielegalnych instytucji funkcjonujących na obrzeżach Kościoła. Takie sekty, jak katarzy czy waldensi, nawet arianie i nieco później bracia czescy, powstawały i rozprzestrzeniały się w całej Europie. Groziły załamaniem monopolu Rzymu w ściąganiu dziesięcin, udzielaniu sakramentów, sprzedawaniu posad i tytułów. Katarów, z języka greckiego „czystych” albigensów, oskarżano o to, że przyjmując do swego grona neofitów, kazali się im wyrzec wiary w Chrystusa i wyrzec chrztu. Na to, że diabeł inspiruje katarów, zwraca uwagę w piętnastym wieku niejaki Alain z Lille, szczerze mówiąc, nie wiem, kim był, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby to był któryś z naszych braciszków. Otóż Alain nazwę katarzy wyprowadza od kota, a kot, wiadomo, zwierzę diabelsko namaszczone.

Jak być może wiesz, było jeszcze „*Directorium inquisitorum*” z 1376 roku, podręcznik dla inkwizytorów autorstwa hiszpańskiego, a właściwie katalońskiego teologa i inkwizytora Nicolasa Eymerica. Dziełko pełne

grimuarów i zabawnych, choć na pierwszy rzut oka wstrząsających opisów paktowania z siłami nieczystymi. Zapewne Institor czytał „*Directorium*” Eymeric opisuje, nawet szczegółowo, procedury inkwizycyjne. Nie zaleca, ale też nie wzbrania tortur, starając się jednakowoż polecać jeden rodzaj tortur, zmierzających do ujawnienia czarownictwa.

Przeor wydobył tym razem z biurka małą książeczkę. Jan dostrzegł tytuł: „Cytaty historyczne”. Przeor szybko znalazł fragment, na którym mu zależało.

– Posłuchaj – mówił spokojnie, jak mówi się o rzeczach oczywistych, zwykłych, codziennych, niewzbudzających najmniejszych emocji – to będzie łaciński cytat, który pokazuje dokładnie, od czego wyprowadzano nazwę katarzy: „*a cato quia, ut dicitur, osculantur posteriora catti, in cuius specie, ut dicunt, apparet eis Lucifer*”. Adept całuje swojego nowego pana „*in culo vel ano, dando ei pro tributo unum membrum sui corporis post mortem*”, a potem dzieją się sceny, w których „*simul carnaliter coniunguntur solus cum solo et aliquando pater cum filia, filius cum matre, frater cum sorore, et equo ordine nature minime observato*”, zrozumiałeś?

– Tak – Jan pokiwał głową. – Diabeł w tradycji często pojawia się pod postacią kota i to nie dotyczy jedynie katarów. Tak jak całowanie w tyłek szatana jest bardzo powszechne wśród czarowników. Pamięta ojciec, że Mozarta podejrzewano o spisek z diabłem. Prawdopodobnie tylko dlatego, że ludziom nie mieściło się w głowie, że człowiek bez namaszczenia demona może tak dalece genialnie wykraczać ponad niewątpliwy geniusz wielu mu współczesnych artystów. Oczywiście ci, co oskarżali Amadeusza, wypominali mu właśnie jego analne skłonności, przypominali, że wiele razy w rozmowach mówił o całowaniu w dupę, pamięta ojciec. W listach, które pisał do przyjaciół i przyjaciółek, ale także do własnego ojca, tematyka analna była jakąś jego dziwną obsesją. A z kolei orgie, cytowane przez ojca, także te kazirodcze, były najczęstszym motywem oskarżeń o uleganie diabłowi. Nie tylko katarów podejrzewano więc, zresztą zupełnie niesłusznie, o takie praktyki.

– Czy niesłusznie, tego się już nigdy nie dowiemy – mówił dalej ojciec Roger. – Lista przestępstw, o które się oskarża heretyków, jest zresztą dużo

dłuższa. To także zabijanie dzieci dla uzyskania tłuszczu do nacierania kija od miotły, sporządzanie z wnętrzości dzieci, a także z innych składników, specjalnych proszków, które heretycy mieli rozpylać na polu w celu rzucenia czaru i spowodowania nieurodzaju, sporządzanie maści, najlepsza była z trupa mężczyzny o rudych włosach, maści, która służyła do nacierania własnego ciała, dzięki czemu nie odczuwało ono bólu i zmęczenia. Jak jednak wiadomo, albigensi stali się, szczególnie we Francji, potężną siłą dysponującą własnym klerem, działającym pod protektoratem wybitnych przedstawicieli francuskiej szlachty. Negując błędy Rzymu, tworzyli nie tylko coraz większe, sekciarskie ugrupowania, ale w gruncie rzeczy mogli doprowadzić do rozłamu w Kościele. Reformacja, Janie, mogła się zacząć prawie trzy wieki przed Lutrem, zdajesz sobie z tego sprawę? Nie zaczęła się, bo nie było dla niej jeszcze wówczas odpowiedniej gleby. Reformacja była największym osiągnięciem renesansu. Późne średniowiecze okazało się za wczesne dla rewolucji w łonie Kościoła. Dopiero atmosfera i zapowiedzi zbliżającego się końca świata umożliwiły Lutrowi zwycięstwo nad Rzymem. Luter był przekonany, że żyje w czasach ostatecznych. Sam siebie uznał za wcielenie mesjasza, który odnawia starożytne przymierze z Bogiem. Nie rozumiał w swoim opętaniu, że sam jest w pewnym sensie narzędziem szatana. Niech będzie mu odpuszczone, gdyż nie wiedział, co czyni. A więc gdy biednych waldensów brano na męki, czarownice nadal chronił *Canon episcopi*. Gusta i zabobony były przestępstwem, to prawda, lecz nie herezją, bo przecież sabbat był tylko wytworem wyobraźni, jak głosi *Canon*. Prawdziwie niebezpieczni dla Kościoła byli owi rewolucjoniści, kwestionujący rozwiążłość kościelnej hierarchii i brak poszanowania Ewangelii. I wtedy pojawia się nasz, to znaczy bardziej twój bohater, Heinrich Kramer, a także jego pomocnik Jakub Sprenger, tak głosi tradycja oraz zwięzła literatura przedmiotu. Sprenger miał być, jak Kramer, naszym Bratem Kaznodzieją, jednak wzmianki o tej postaci są tak lakoniczne, że być może był tylko wytworem wyobraźni Kramera. Zresztą nieważne, załóżmy, że istniał realnie jak niektórzy uważają. Wspólnie wyprawiają się do Rzymu, do papieża. Aplikują o rozmowę z Ojcem Świętym. Według wielu historycznych źródeł zostają przyjęci, lub tylko Kramer zostaje, na audiencję 10 listopada 1483 roku. To bardzo ważna

data, czy nie przypomina ci innej, bardzo ważnej daty w dziejach Kościoła?

Janowi data wydawała się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją zna.

– No? Wytęż swoją pamięć – przeor wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie, dając Janowi czas do namysłu.

– Luter – Jan powiedział cicho, jakby do siebie.

– Co proszę? – przeor udał, że nie dosłyszał.

– Data urodzin Marcina Lutra.

– Tak, brawo, Janie – siadając, ojciec z aprobatą pokiwał głową. – Oczywiście nie wyciągamy z tej zbieżności dat żadnych wniosków, bo niby dlaczego mielibyśmy wyciągać. Przypadek. Zbieg okoliczności. Zdarza się. Nasi bracia Heinrich i Jakub, o ile ten drugi rzeczywiście istniał, apelują u Ojca Świętego o uznanie win czarownic za winy prawdziwe, podlegające osądowi i skazaniu na takich warunkach, jak sądzono i skazywano kościelnych odszczepieńców od wiary. Zrazu niechętnie, papież godzi się na zaproponowany przez Kramera i być może także Sprengera eksperyment, o ile nie zagrozi on jedności Kościoła. Tym papieżem jest Sykstus IV, znany choćby z tego, że zbudował kaplicę zwaną od jego imienia sykstyńską. Podejrzewam, choć nie mam pewności, że Sykstus chciał się pozbyć dominikanów. Miał swoje problemy, zresztą był już wtedy człowiekiem schorowanym, niezdolnym do rządzenia. Nakazał dwóm braciom, dla świętego spokoju, by wszystko spisali, nie wierząc, by kiedykolwiek ci dwaj prowincjonalni mnisi doprowadzili swoją pracę do końca. Jednak ambicja Kramera kazała mu się poświęcić gruntownym studiom demonologicznym. Pytanie, czy tylko ambicja, czy może coś więcej? Może Kramer miał w tym po prostu swój interes, który w dodatku nie był jedynie jego interesem. Nakierowując uwagę Rzymu na czarownice, odwracał ją od owych ruchów rozłamowych, o których mówiłem wcześniej. Ruchów, które tłamszone, jednak pączkowały, przybierały inną formułę, inaczej się nazywały, jednak niewypalone do szczętu, zaowocowały niebawem tym, co potomni nazwali reformacją. Spekulujemy, Janie, obracamy się w świecie, którego do końca nie znamy. Kramer ojcem reformacji? Być może w tych rozważaniach

idziemy za daleko. Kramer i jego *alter ego* – Sprenger – siadają do pracy. W pół roku spisują znane sobie przypadki czarownictwa, lecz kiedy, gotowi, chcą się podzielić efektem swojej pracy i być może przekonać nie do końca przekonanego papieża, Sykstus IV umiera. Co wtedy robią? Proszą o audiencję u następcy Sykstusa, Innocentego VIII. Innocenty w 1484 roku ogłasza bullę „*Summis desiderantes affectibus*”, która zezwala Kramerowi na stosowanie całej mocy inkwizycji w celu wytępienia czarownic w Niemczech, Francji, a także w północnych rejonach dzisiejszych Włoch. Kramer, już jako Institor – taki przydomek, bliski jego niemieckiemu nazwisku, sam sobie wybrał, jak wiesz, po łacinie znaczy to kramarz, handlarz, domokrążca – przystępuje do dzieła. Jeździ po świecie, zawężonym oczywiście do znanego mu świata, czyli Europy, i pomaga w rozprawie Kościoła z największym jego wrogiem, czyli czarownicą na miotle. Może nie brzmi to zbyt poważnie ani przekonująco, ale takie są fakty. „Młotowi na czarownice” wielu zarzucało już niespotykaną niechęć do kobiet, uparty mizoginizm, przejawiający się spotwarzaniem płci żeńskiej na każdy możliwy sposób. Kramer pisze przecież, że „najprzód kobiety mają większą skłonność do wiary, więc demon, starający się głównie zepsuć wiarę, z większą łatwością znajduje do nich przystęp i je atakuje. Po drugie, ze względu na naturę swojej kompleksji nerwowej, łatwiej przyjmują polecenia złego. Po trzecie, języki mają lubieżne i nie potrafią wobec innych kobiet utrzymać w sekrecie własnych wszeteczności, a gdy nie mają dość siły, by się czynem zwykłym na kimś zemścić, dokonują tego w drodze czarów i rzuconych klątw. Kobieta, osoba zła z natury, szybko popada w wątpliwość co do wiary, wnet się jej odrzeka, w czym także tkwi fundament jej zbrodniczych czarów. Co się zaś tyczy drugiej władzy duszy, to jest woli, kobieta ogarnięta nienawiścią do kogoś, kogo na przykład kiedyś kochała, płonie gniewem i niecierpliwością, miota się i pieni jak rozszalałe morze. Koniec końców wszystko zależy od pożądliwości cielesnej, która u kobiet jest nienasycona, stąd wdają się w kontakty z demonami, by zaspokoić swą niewyczerpaną chęć”. W tym opisie można znaleźć kilka ciekawych danych, potrzebnych do oceny zachowania naszego bohatera, Heinricha Kramera. Kramer jawi się nam jako Freud renesansu. Jego uwagi o kobietach, w wielu aspektach

słuszne, brną jednak ku nieprawdziwym wnioskowi, potwierdzając z góry założoną, natrętą myśl, że to kobieta jest winna najgorszemu złu świata. Co tam zresztą Kramer. Nasz brat Tomasz z Akwinu, przecież święty, tak pisał: „Kobieta jest jedynie pomocą w płodzeniu (*adiutorium generationis*) i pełni pożyteczną rolę w gospodarstwie domowym”. Albo: „Zarodek płci męskiej staje się człowiekiem po 40 dniach, zarodek żeński po 80. Dziewczynki powstają z uszkodzonego nasienia lub też w następstwie wilgotnych wiatrów”. Co na to powiesz?

Jan pokręcił głową, ale na razie wolał się nie odzywać.

– Nawet Augustyn poświęcił wiele akapitów kobietom, pisząc o nich rzeczy, które dziś cytujemy ze wstydem. Ale czy mogło być inaczej? Przecież Bóg ma cechy męskie. Gdyby zapytać wtedy prostych ludzi, czy Bóg jest kobietą, czy mężczyzną, prawdopodobnie wszyscy powiedzieliby, że to mężczyzna. I z pewnością usłyszelibyśmy, że ponad wszelką wątpliwość nie jest kobietą. Sądzę, że w dużym stopniu do dziś jest podobnie. Jakoś dopuszczamy myśl o tym, że Bóg może być mężczyzną, ale w ogóle nie bierzemy pod uwagę, że mógłby być kobietą. Jeszcze gorzej jest z Mesjaszem. To, że Mesjasz mógłby być kobietą, wygląda już na coś więcej niż herezję. A przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żeby w Betlejem narodziła się dziewczynka, nie chłopiec. Dziewczynka w żłóbku, Maria trzymająca dziewczynkę, trzej królowie odwiedzający córkę, a nie syna Bożego. Jak ci się to podoba? Brzmi obrazoburczo, a jednak mogło się tak zdarzyć. W mężczyznach, władcach tego świata, jest stale obecna niepewność dotycząca kobiety. Z jednej strony nadajemy im cechy boskie, jak Najświętszej Marii Pannie, a z drugiej podejrzewamy o najgorsze zło. Czy w takim razie Institor nie wiedział, co czyni? Czy był tak głupi, pełen kompleksów związanych z jego własnym libido, zapytałby Freud? Do pewnego stopnia tak, być może. Celibat u normalnych ludzi, szczególnie u mężczyzn, może wywołać głęboką dysfunkcjonalność społeczną. Czasem nawet doprowadza do zachowań patologicznych. Spójrzmy na to inaczej. Kobietę można było stosunkowo łatwo w tamtych czasach zaatakować. Była bezbronna. Atakując kobietę, odsuwało się jednocześnie podejrzenia

od mężczyzny, przynajmniej jeśli chodzi o inspirację do zabronionego czynu. Kierując podejrzania w stronę kobiet, pozostawiało się mężczyzn z boku. A kto z kolei był motorem napędowym wszystkich ruchów emancypacyjnych w Kościele w dobie renesansu, a i wcześniej też. Gdy pojawiały się kobiety zdolne porwać za sobą masy, natychmiast były palone na stosie, tak jak się stało z Joanną d'Arc, wprawdzie odważną, ale zdaje się wyjątkowo naiwną dziewczyną, której się wydawało, że w męskim porządku świata zrobi wyłom i przeciśnie się przez szparę ku sławie i zbawieniu. Atakując ruchy heretyckie, inkwizytorzy, wyposażeni w wiedzę o kobiecie, jaką im przekazał Institor, nawet gdy oskarżali mężczyzn, traktowali ich z dużo większą pobłażliwością niż inspiratorki – kobiety paktujące z diabłem. Czy nie wydaje ci się dziwne, że kilkadziesiąt lat po „Młocie na czarownice” Luter prawie słowo w słowo powtarza po Institorze zarzuty wobec kobiet? W maju 1526 roku Luter wygłasza swoje słynne, płomienne przemówienia, w których nawołuje do zabijania czarownic wszelkimi możliwymi sposobami. Nie woła o unicestwienie osób obojga płci uprawiających czary. Powołując się na cytaty z Księgi Wyjścia, rzuca oskarżenia przeciwko kobietom, czarownicom, bo tylko one, jego zdaniem, współpracują z szatanem. Porównajmy sformułowania Lutera z tym, co przed nim głosił już Kramer. Luter mówi o „lubieżnych językach”, którymi władają kobiety, o „pożądliwości cielesnej, która u kobiet jest nienasycona”, o tym, że demon z „większą łatwością niż do mężczyzn, znajduje przystęp do kobiet” i o „chuci, z której się bierze fundament czarów uprawianych przez kobietę”. Jakbyśmy słyszeli naszego brata Heinricha. Czy to przypadek, że Luter – znany już wówczas w całej Europie heretyk, patrząc oczyma Rzymu heretyk, ale też wybitny intelektualista, filolog tłumaczący Biblię, tworzący podwaliny pod budzący się dopiero do życia naród niemiecki, określający jego pierwotną tożsamość wokół języka niemieckiego i nowej, czystej wiary, czy to przypadek, że mówi słowami, które przed nim ktoś już wypowiedział? I to nieraz mówi słowo w słowo, jakby uczył się na pamięć fragmentów „*Malleus maleficarum*”.

– Cenna uwaga, nie zdawałem sobie sprawy... – Jan przerwał ojcu Rogerowi.

– A widzisz. Może nieuważnie czytasz. Oczywiście mężczyźni też płonęli na stosie, nawet ci bardzo znani, jak Giordano Bruno, a przecież Kopernikowi i Galileuszowi też zaczynało się robić gorąco pod stopami. Jednak oni tak naprawdę nie zagrażali jedności zachodniego Kościoła. Poważne herezje w rozumieniu herezji albigensów, waldensów, schodzą w każdym razie na dalszy plan. Teraz prawdziwym złem jest latająca dziewczka. Przyznasz, że to wszystko wygląda dość infantylnie. Jeszcze przed chwilą ludzie rozumni nie wierzyli w prawdziwość podań o lotach, a teraz stawiają je na pierwszym planie. Niszcząca aktywność Kościoła kieruje się w stronę walki z nieistniejącym wrogiem, pozostawiając na marginesie prawdziwe zagrożenie – rozłamowców, heretyków, którzy za chwilę doprowadzą Kościół do klęski. I to niespodziewanie dla samego Kościoła. Jak to się stało? Przypadkiem? Parę dekad później nie ma już Kościoła zachodniego. Uwikłany w wojny, dodajmy przegrane, nigdy już nie odbuduje swojej potęgi, roztrwaniając ją przypadkiem, niechcący. Powstają nowe sekty. Początkowo wydają się one równie łatwe do zniszczenia, jak kiedyś waldensi i albigensi. Jednak Rzym roztrwonił już swoje siły na walkę z szatanem kopulującym na górze z wiedźmą. Nie zauważył, że wyrósł pod jego bokiem o wiele trudniejszy przeciwnik, szatan do kwadratu, Luter, który za chwilę oskarży boskiego namiestnika urzędującego w Rzymie o to, że jest antychrystem. Tego nikt się nie spodziewał. Papież antychrystem! Gdyby to ktoś nieco wcześniej powiedział, nie przeżyłby kolejnej nocy, a Luter przeżył, ciesząc się dobrym zdrowiem. Nawet napadnięty przez diabła na zamku w Wartburgu, radzi z nim sobie bez najmniejszych kłopotów, rzucając w demona kałamarnicą. Do dziś przewodnicy pokazują zresztą ślady na ścianie po tym mocnym rzucie doktora Lutra.

– Teoria ojca jest ciekawa – Jan przerwał orację przeora – jednak nie uwzględnia następstwa czasu. Institor nie mógł wspomagać Lutra, bo gdy Luter w 1517 roku ogłasza swoje tezy o odpustach, Institora już nie ma na świecie.

– Data śmierci Kramera nie jest nam znana. Gdyby wtedy żył, miałby osiemdziesiąt siedem czy osiemdziesiąt osiem lat, raczej na pewno mniej niż dziewięćdziesiąt – ojciec Roger znów wstał, podszedł do okna, otworzył

je i przegonił stado gołębi siedzących na gzymsie. – Popatrz – odwrócić się do Jana – zasrały cały parapet, trzeba będzie posprzątać, ciekawe, kto będzie sprzątał to gówno, gdy mnie już nie będzie. No tak, doktor Luter, augustianin, z jednej strony niezwykle świątobliwy mąż, a z drugiej pożądlivy samiec, musiał być jeszcze bardzo młody, gdy Kramer kończył swój życiowy obrót. I zapewne nie ma nic do rzeczy, że my, dominikanie, oparliśmy swoją regułę także na regule świętego Augustyna. Cóż, moja teoria się wali – przeor znów otworzył niewielką książeczkę zatytułowaną „Cytaty” i mówił dalej – szczególnie, że sam papież Jan Paweł II zamknął właściwie naszą dyskusję, pisząc dwie dekady temu: „Istotnie, naukowe badania uczonych, tak ewangelickich, jak i katolickich, badania, w których już osiągnięto znaczną zbieżność poglądów, doprowadziły do nakreślenia pełniejszego i bardziej zróżnicowanego obrazu osobowości Lutra oraz skomplikowanego wątku rzeczywistości historycznej, społecznej, politycznej i kościelnej pierwszej połowy XVI wieku. W konsekwencji została przekonująco ukazana głęboka religijność Lutra, którą powodowany, stawiał z gorącą namiętnością pytania na temat wiecznego zbawienia. Okazało się też wyraźnie, że zerwania jedności Kościoła nie można sprowadzać ani do niezrozumienia ze strony pasterzy Kościoła katolickiego, ani też jedynie do braku zrozumienia prawdziwego katolicyzmu ze strony Lutra, nawet jeśli obydwie te okoliczności mogły odegrać pewną rolę. Podjęte rozstrzygnięcia miały głębokie korzenie. W sporze na temat stosunku między wiarą a tradycją wchodziły w grę sprawy najbardziej zasadnicze, odnoszące się do właściwej interpretacji i recepcji wiary chrześcijańskiej, sprawy zawierające w sobie potencjalność podziału Kościoła, niedającego się wytłumaczyć samymi racjami historycznymi” – ojciec zamknął książkę, schował ją do szuflady biurka.

– Jakimi racjami – mówił dalej – w takim razie możemy to wszystko tłumaczyć? Pytanie bez odpowiedzi. Nie są mi wszelako znane wystąpienia Ojca Świętego na temat Heinricha Kramera zwanego Instiorem. Teorie mają więc to do siebie, że bardzo łatwo powstają i równie łatwo można je zakwestionować. Cała znana nam teologia, a także jej bliźniacza siostra filozofia, to zbiór prawd tworzonych tylko po to, by je następnie podważać.

Powiadam ci, nie ma nic bardziej niepraktycznego na świecie niż teologia i filozofia. Przy nich sztuka wydaje się po inżyniersku precyzyjna. Dzieła Arystotelesa jeszcze nikomu w niczym nie pomogły, za to Tycjan, Bramante, Michał Anioł, da Vinci odwalili kawał dobrej roboty w interesie ludzkości. Chyba że... – przeor zamilkł, wpatrywał się w dziedziniec klasztoru. – Wybacz, muszę cię na chwilę zostawić samego – zamknął okno i szybko wyszedł z gabinetu.

Jan zbliżył się do okna. Dziedzińcem szła kobieta. Przeszła obok fontanny. Musiała wejść do budynku, bo stracił ją z oczu. To była ta sama kobieta, która poprzedniego dnia wskazała mu klasztorną furtkę, a dziś rano stuknęła parasolką w szybę, za którą siedział, jedząc śniadanie. Przynajmniej tak mu się wydawało. Nie, to niemożliwe, pomyślał. Jeszcze raz wyjrzał przez okno. Zdziwił się jeszcze bardziej, bo zobaczył ojca Rogera stojącego przy fontannie razem z Jeanem i Pierre'em. Przeor na chwilę spojrzął w okna gabinetu. Jan zrobił krok w tył, jakby się obawiał, że będzie zauważony. Kiedy znów przysunął się do okna, na dziedzińcu nie było już nikogo. Gdy wracał na swoje miejsce przy biurku, przeor wszedł do gabinetu i od progu zaczął kończyć rozpoczętą przed chwilą myśl.

– Chyba że... czegoś nie wiemy, Janie – ojciec Roger zaczął mu się badawczo przypatrywać. – Niewiedza już nieraz zaprowadzała ludzi tam, dokąd wcale nie chcieli dojść, czyż nie mam racji?

– Nie wiem, do czego ojciec zmierza – Jan próbował zrozumieć, o co teraz chodzi przeorowi. Przed momentem zobaczył tę kobietę. I ojca Rogera, Jeana i Pierre'a stojących na dziedzińcu. O czymś rozmawiali. Chciał o to zapytać, ale nie wiedział jak.

– Chcesz mnie jeszcze o coś zapytać? – przeor schował pustą butelkę i kieliszki do szafki w biurku, jakby chciał pokazać, że rozmowa dobiega końca.

– Właściwie o nic jeszcze ojca nie spytałem.

– A czy ja w istocie nie odpowiedziałem na pytania, które chciałeś zadać?

Jan uświadomił sobie w tej chwili, że przeor ma rację. To, czego słuchał przez ostatnią godzinę, odpowiadało na wiele jego pytań. Jednak nie

na wszystkie. W każdym razie nie na najważniejsze. Był pewien, że ojciec tak naprawdę nie chce odpowiadać na żadne pytania. Dlatego nie dał mu dojść do słowa, nakierowując na rozważania o istocie rozłamu w Kościele, dlatego bite sześćdziesiąt minut prowadził swój wykład i dlatego mówiąc o tezach narzucanych z góry przez inkwizytorów, tak naprawdę sam narzucał Janowi swoje własne tezy, pozostawiając na boku sprawy, z punktu widzenia Jana, o wiele ważniejsze i trudniejsze. Mimo wszystko spróbował.

– Ojcie, ojca teoria jest być może prawdziwa. Mówiąc szczerze, nigdy się nie zastanawiałem nad rolą Institora w jakichś szerszych procesach dotyczących Kościoła – spojrzał na przeora i zobaczył w jego oczach znudzenie, a może tylko niechęć przed kontynuowaniem dyskusji. – Kramer – mówił dalej, zachęcony tym, że ojciec Roger mu nie przerywał, choć jego wzrok dotykał teraz pustej ściany po drugiej stronie gabinetu – jest postacią historyczną. Ten człowiek żył, a w jego życiu prawdopodobnie nie było niczego innego poza złem – nagle uświadomił sobie, że cytuje Pierre'a, który wczoraj wypowiedział dokładnie to samo zdanie.

– Nawet jeśli, to co? Czego ty szukasz, chłopcze? – przeor spojrzał na Jana z dobrotliwą uprzejmością, która jednak wydawała się Janowi pogardliwa. – Chcesz rozmawiać o odpowiedzialności? Oczywiście możemy. O odpowiedzialności za śmierć w męczarniach tysięcy, setek tysięcy istot. Masz jakiś aparat, żeby tę odpowiedzialność zmierzyć? Bo ja nie mam.

– A dekalog? Dziesięć przykazań. To nie jest ten aparat?

– Okazuje się, że nie wystarcza – ojciec Roger cały czas przypatrywał się Janowi, jakby go chciał sprowokować do zadawania kolejnych pytań. – Nigdy nie wystarczała. Stworzyliśmy sobie ogólny zestaw zakazów i nakazów nie po to, by ich przestrzegać, a po to, by je z premedytacją łamać. Według mnie tylko po to. Twój Institor skazywał ludzi na śmierć w majestacie prawa. Takie prawo wtedy obowiązywało i on je wypełniał. Nie robił nic innego niż ludzie współcześni. Kto wie, co nas jeszcze czeka w przyszłości. Od godziny mniej więcej próbuję ci tłumaczyć, że z punktu widzenia historii naszego gatunku palenie czarownic było tylko epizodem w wielkim teatrze zdarzeń. Bardziej niż sam problem odpowiedzialności interesowałoby mnie coś innego. Mianowicie pytanie: dlaczego? Ono musi zawsze paść, gdy nie

rozumiemy. Dlaczego ludzie, bądź co bądź oświeceni, uwierzyli w czarownice latające na miotle. Niezależnie od kontekstu. Politycznego, społecznego, od interesu jednostek i grup. Dlaczego uwierzyli w coś, w co nie da się wierzyć, jeśli zachowamy zdrowy rozsądek.

– Właśnie – Jan nie miał zamiaru kończyć rozmowy. – Rozsądek. Wie ojciec, że w historii świata zdarzały się zbiorowe szaleństwa. Sam ojciec o nich mówił. Inkwizycja to zbiorowe szaleństwo? Amok?

– Sam sobie odpowiedz.

– Nie znam odpowiedzi, ojciec – Jan bezradnie rozłożył ręce.

– Ludzie to idioci, Janie. W większości. Wyposażeni przez Boga w gen zła, czyli w coś, czego nie mieli nasi przodkowie. Instynkt przetrwania, charakterystyczny dla świata zwierząt, człowiek zmienił w instynktowną podłość. Bogu udał się dinozaur, rekin, koń i żaba. Ale człowiek nie, bo nagle Bóg zaczął wymagać od swojego wynalazku, by był taki jak on. Doskonały. To się nie mogło udać. Czekam tylko, kiedy Bóg zakończy swój eksperyment o nazwie: człowiek. Bo Bóg na pewno nie jest idiotą, ale jest omylny. Widzi, co narobił. Zapewne odczuwa coś w rodzaju wstydu. Każdemu trudno się przyznać do błędu. Tym bardziej jemu.

– Ojciec nie chce mi pomóc?

– Ależ chcę, tylko nie wiem, czy ty chcesz, żebym ci naprawdę pomógł. Już wczoraj mówiłem, że oczekujesz ode mnie zbyt wiele. Nie znam odpowiedzi na pytanie, jaki był Kramer i czy miewał moralne dylematy, gdy skazywał ludzi na śmierć. Tak samo nie wiem nic o dylematach naszego Boga, gdy dozwala na ludzkie tragedie. Nie rozumiem, dlaczego nie pozwalamy Kramerowi uprawiać zła, gdy nie zabraniamy tego Bogu. Wyczuwam tu małą niekonsekwencję. Zwróciłem twoją uwagę na coś, czego się nie zauważa, oceniając postęпки Institora. Musisz pamiętać, że w Kościele nigdy i nic nie działo się ot, tak sobie. Zastanów się nad tym, co mówię i bądź ostrożny, Janie – przeor spojrział mu w oczy – to nie są bezpieczne tematy. Zło nie zginęło wraz ze spalaniem ostatniej czarownicy, czyli gdzieś pod koniec XVIII wieku. Ono nadal tu jest. Stoi za ścianą i czeka na tych, którzy mu najszybciej ulegną, na nieprzygotowanych, by rzucić w demona kałamarnicą – ojciec Roger nagle zmienił ton, z familiarnego na oschły

i bezkompromisowy. – Czasem sami sobie wydajemy się genialni. A gdy przychodzi rozczarowanie, zostaje pustka, z którą nie umiemy sobie poradzić. Radzę, zaniechaj swoich starań. Wierz mi, że to dobra rada i największa pomoc, jakiej mogę ci udzielić, chłopcze. Może lepiej porozmawiaj z jakimś prokuratorem w którymś z wielu krajów, gdzie nadal orzeka się karę śmierci i ją wykonuje. To o wiele prostsze zadanie. Ani we Francji, ani w twoim niewielkim kraju sądy nie zabijają już ludzi. Musisz się wybrać gdzieś dalej, najlepiej za ocean, do Ameryki. Lub do Chin albo na Bliski Wschód. Sporo jeszcze zostało miejsc, w których się zabija człowieka w majestacie prawa. Oczywiście ich prawa. Prawa tamtych społeczności.

– Ojciec teraz ironizuje.

– Ani trochę. Jak mógłbym ironizować, gdy w grę wchodzi ludzkie życie. Pytałeś mnie wczoraj o objawienie Institora. Dla mnie jedynym objawieniem jest to, którego doświadczył najpierw Abraham, potem Mojżesz, a przeszło tysiąc lat po nim Jezus. Institor, nawet jeśli wyobraził sam siebie w roli mesjasza zbawiającego świat, to jednak nim nie był. Gdyby był, wiedzielibyśmy o tym – przeor zaczął sprzątać dokumenty leżące na stole, spojrzął na zegarek. – Już późno. Mogę cię, jeśli sobie życzysz, zaprowadzić do naszej biblioteki i tam zostawić. Za godzinę mam pociąg do Dijon. Jeśli będziesz miał jeszcze jakieś pytania czy prośby, brat Jean będzie do twojej dyspozycji. Ja muszę cię już pożegnać – przeor wstał.

– Kiedy ojciec wraca? – spytał Jan.

– Nie wiem jeszcze. Może za kilka dni, to nie tylko ode mnie zależy – odpowiedział przeor. – A teraz chodź ze mną, coś ci pokażę.

Biblioteka zajmowała obszerne pomieszczenie na piętrze, oddzielonym od gabinetu przeora wąskim, długim, wewnętrznym korytarzem pozbawionym okien, oświetlonym kilkoma niewielkimi lampkami umocowanymi na ścianach. Jan inaczej sobie wyobrażał klasztorną bibliotekę. Powinna być szara, ciemna, a w powietrzu powinien się unosić kurz ze starych woluminów. Biblioteka lyońskich dominikanów wyglądała jak sala operacyjna. Czysta, lśniąca, jasna, wręcz sterylna. Długa mniej więcej na trzydzieści, czterdzieści metrów, szeroka co najmniej na piętnaście. Jeden

z dłuższych boków pokrywały okna. Rząd pojedynczych, wąskich, lecz wysokich okien, z podstawą niemal u podłogi, wznoszących się ku sufitowi na trzy, może cztery metry. Szyby przyciemnione, zielonkawo-brązowe, przepuszczające o wiele mniej światła słonecznego niż zwykłe okna.

– Zdziwiłeś się? – przeor odgadł myśli Jana.

– Trochę. Mam wrażenie, jakby przed chwilą ktoś tu robił generalne sprzątanie.

– Bracia i goście odwiedzający bibliotekę muszą zakładać fartuchy, osłony na buty, osłonę na twarz i usta. Wszystko jednorazowe. Teraz nie ma na to czasu, niech mi Jean wybaczy, to on odpowiada za sterylność tego pomieszczenia. Gdybyśmy nie przestrzegali tej celebry, same roztocza już dawno by nas pozabijały. W naskórku z opuszka palca może być nawet sto tysięcy małych pajęczaków, wiedziałeś o tym? A każdy osobnik wydalą co najmniej 50 razy dziennie. Oczywiście to są bardzo małe gówienka, ale ich suma może być dla nas poważnym problemem. Do tego pyłki, brud, nasze oddechy, nie mówiąc o kichaniu czy kaszlu, a więc drobnoustroje. Wszystko razem wzięte przyprawiałoby nas o ból głowy, jeśli nie o choroby skóry i oczu. Raz na pół roku przyjeżdża firma, która jedynie dezynfekuje pomieszczenie. Oczywiście nie otwieramy okien i w ogóle reglamentujemy liczbę odwiedzających do najwyżej dziesięciu dziennie. Klimatyzatory, które widzisz na ścianach, utrzymują stałą wilgotność i temperaturę nie wyższą niż osiemnaście stopni Celsjusza. Szara posadzka to włókno węglowe z dodatkiem jakichś kompozytów czy czegoś takiego, sam dokładnie nie wiem, co to, zresztą regały zrobione są z podobnego materiału. A fartuchy i osłony pobieramy z tej szafy, która stoi przy wejściu do biblioteki. Istna sala operacyjna, szpital, prawda?

Jan nie odpowiedział. Patrzył na rząd kilkunastu szerokich, wysokich na kilka metrów, aż do sufitu, regałów. Na pierwszych, bliżej wejścia, książki, ustawione jedna obok drugiej, nie miały żadnej, dodatkowej osłony. Ostatnie trzy regały były raczej przezroczystymi, gigantycznymi, oszklonymi szafami.

– Tak, tak – wymamrotał ojciec Roger – to są najcenniejsze zbiory, chronimy je dodatkowo. Najstarsze papirusy mają prawie dwa tysiące lat, jak ten –

przeor pokazał palcem na przewiązany sznurem zbiór. – „*Adversus heareses*” świętego Ireneusza, pierwszego biskupa Lyonu. Dzieło z końca drugiego wieku. Nie da się tego czytać. Ma swoją wartość historyczną, teologicznie to jedynie zbiór frazesów.

Ojciec Roger przystawił drabinę do ostatniego regału. Wspiął się na najwyższy stopień i wyciągnął wielki, brązowy tom oprawiony w zniszczoną, poczerniałą skórę, noszącą ślady wielu rąk, które musiały w przeszłości sięgać po księgę.

– Masz swój „Młot” – powiedział, sprawnie zeskakując. – Rękopis Kramera. Jest u nas od początku, tylko ostrożnie.

– Od jakiego początku? – Jan nie rozumiał. Trzymał księgę liczącą więcej niż pół tysiąclecia. Ręce mu drżały, jakby unosił nie wiadomo jaki ciężar.

– Mamy 2017 rok, grudzień, jedenasty grudnia. W tej księdze, nazywamy ją „księgą czytań”, tej na małym stole, widzisz, tam z boku, przy którym można też usiąść i czytać – przeor pokazał ręką na stolik przy ścianie – znajdziesz wpisy tysięcy osób, którym udostępnialiśmy nasze zbiory gromadzone od połowy XV wieku. Podpisz się i ty. Oczywiście nigdy żaden z najcenniejszych tomów nie opuszczał tej sali. Chyba że na czas remontu. Ci, którzy skorzystali z książek, musieli za każdym razem potwierdzać własnoręcznym podpisem obecność w bibliotece, a także informować o tytule, który udostępniał im brat bibliotekarz. Za trzy dni mija dokładnie pięćset lat od chwili, gdy Kramer ofiarował nam swoje dzieło. Adnotacja na stronie tytułowej, spójrz – Jan otworzył księgę i szybko przetłumaczył z łaciny krótkie *insignium* wykaligrafowane pośrodku strony: „Dzieło swe dedykuję moim braciom ku wiecznej przestrodze. Udowodniwszy winę o poranku xiv grudnia. Roku Pańskiego mdxvii. H.K. Institor z Bożej łaski”

– A więc wtedy jeszcze żył – Jan szybko przeliczył. – Miał 87 lat. Dokładnie tyle, ile ojciec ma dziś.

– Doprawdy? – przeor wydał się zdziwiony nagłym odkryciem Jana. – Przypadek. Przypadki, jak widać, się zdarzają, niezależnie od tego, czy ich chcemy, czy nie.

- O udowodnieniu jakiej winy wspomina Kramer, wie ojciec?
- 13 grudnia 1517 roku spalono w Lyonie trzy kobiety podejrzewane o czary.
- Znam tę historię. Nie wiedziałem tylko, że Kramer miał z nią coś wspólnego.
- Nie tylko miał coś wspólnego, ale wysłał je na stos – przeor podał Janowi rękę na pożegnanie i pośpieszył do drzwi. W tej samej chwili w drzwiach stanął Jean. Jan machnął ręką na powitanie.
- Ojciec – powiedział Jean z wyrzutem, kiedy przeor znalazł się już przy wyjściu – prosiłem, żeby nie wchodzić bez osłony, przynajmniej proszę coś założyć na buty. Wrócę za godzinę, najdalej dwie – mówił dalej, dobitnie, oficjalnie i głośno, jakby pierwszy raz widział Jana. – Gdybyś chciał wcześniej wyjść, odłóż tom na miejsce. Furta otwiera się bez klucza od strony dziedzińca. Po prostu ją zatrzaśnij, jak znajdziesz się na ulicy. Chyba że będziesz chciał dłużej posiedzieć, wtedy się jeszcze spotkamy. Wolałbym, żebyś założył fartuch i osłony na twarz i buty, są w szafie, przy drzwiach wejściowych – i nie czekając na to, co powie Jan, pośpieszył za przeorem.

Jan odłożył ciężki tom na stół. Zignorował polecenia Jeana. Natychmiast otworzył „księgę czytań”, jak ją nazwał przeor. Liczyła 1750 ponumerowanych ręcznie stron. Ostatnie wpisy kończyły się na stronie 1724. Zaczął przewracać strona po stronie, rzucając na każdą okiem i w ten sposób dochodząc szybko do pierwszej. Wyblakłe autografy. Pierwszy z 1472 roku. Przewracał dalej, zatrzymując się na licznych wpisach z początku XVI wieku. Jego uwagę przykuł zamaszysty podpis. Wydawało mu się, że skądś zna akurat ten autograf. Pochylił się nisko nad księgą. Podpis poprzedzały cztery krótkie, oddzielone kreskami słowa: „*Sola fide, solum verbum*”. Pod spodem ledwo czytelna sygnatura zakonu augustianów, dalej „lugdunum. ad mdxvii”. Jeszcze niżej inicjał „M.L. – Martin Luther”

Kiedy Jean wrócił, zastał Jana siedzącego na parapecie, przed otwartym oknem.

– Człowieku, zamknij to okno, nigdy nie otwieramy okien, tu są książki, które mają po kilkaset lat – podszedł bliżej i zobaczył, że Jan ma bardzo

bladą twarz. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Może zobaczyłem – niepewnie odpowiedział Jan. – Muszę już iść. Umówiłem się z Pierre'em.

– W teatrze? – skrzywił się Jean

– Tak, a co? – Jan zdziwił się reakcją zakonnika.

– Nic. Myślałem, że chcesz porozmawiać.

– Chcę. Jeśli pozwolisz, przyjdę jutro po południu – Jan zaczął się rozglądać.

– Czegoś szukasz? – zapytał Jean.

– Nie wiem, gdzie zostawiłem płaszcz.

– Masz go na sobie.

– Tak, prawda – Jan nerwowo przeszukiwał kieszenie. – Pierre zostawił wczoraj „Pod Ślimakiem” swoją rolę.

– Słucham? – Jean podszedł bliżej. – Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

– Tak, do jutra.

– Do jutra. Wyśpij się dobrze, bo nie wyglądasz najlepiej.

– Dziękuję – powiedział Jan i zamknąwszy za sobą drzwi, szybko zbiegł po schodach. Po chwili stał już na chodniku. Spojrzał na zegarek, dochodziła szósta. Padał deszcz. Naciągnął kaptur. Było mu zimno, więc dla rozgrzania, truchtem, pokonał most na Rodanie, przebiegł dwieście metrów *quai Saint-Antoine*, a potem wąską kładką dla pieszych przeszedł na prawy brzeg Saony.

Łatwo znalazł kaplicę dominikanów. Niewielki budynek, bardziej przypominający żydowską synagogę niż kościół chrześcijan. Stawiany prawdopodobnie gdzieś na styku dwóch epok, romańskiej i gotyku, miał charakterystyczne cechy jednego i drugiego stylu. Jeszcze romańskie okna i portal, ale już niską, gotycką wieżę, która jeszcze niedawno musiała pełnić rolę dzwonnicy. Stojąc przed drzwiami, zastanawiał się, co właściwie robi w tym miejscu. Nie przyjechał do Lyonu, żeby uczestniczyć w teatralnych próbach. A co właściwie robił Pierre na dziedzińcu klasztoru? Dziwne pytanie. Po prostu przyszedł, miał jakąś sprawę. Nie wiedział, że Jan siedzi w bibliotece. Nawet gdyby wiedział, to niby dlaczego miałby się chcieć w tej chwili z nim widzieć. Normalne, wszystko normalne. A ta kobieta? Jest zmęczony, mogło mu się wydawać. Może już dziś wracać. Nocnym

pociągiem. Przecież nie ma nocnego pociągu do Pragi. Z Lyonu w ogóle nie ma pociągów do Pragi. Teraz może pójść do hotelu, nalać wodę do wanny, odpocząć, rano po śniadaniu jechać na lotnisko. Anna pewnie dzwoni pod jego numer. Odłączył telefon zaraz po przyjeździe i zostawił w walizce w hotelu. Nie chciał, żeby mu przeszkadzała. Nagle poczuł jakiś od dawna nieznany przypływ uczuć do tej kobiety, którą znał od tylu lat, a której tak naprawdę nigdy nie chciał do końca poznać. Jakby się obawiał, że poznając wszystko, co dotyczy Anny, przekroczy niebezpieczną dla siebie granicę, za którą już nie będzie odwrotu. A może warto nie mieć odwrotu? Wyjmie telefon, zadzwoni i powie, że jutro wraca. Na pewno nie wydusi z siebie nic więcej. Po prostu powie, że wraca. Może jednak powie coś więcej. Czy to już będzie początek drogi bez możliwości powrotu? Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiejś taksówki, która mogłaby go zawieźć do hotelu. I wtedy, z boku, usłyszał potok słów wyrzucanych przez Julię tym lekko ironicznym, absurdalnym tonem, który już wczoraj miał okazję poznać, a który go zwyczajnie peszył.

– Co tak stoisz, włącz do środka, bo całkiem przemokniesz, zmarzniesz i umrzesz, czy ty w ogóle jesteś ubezpieczony na wypadek jakiejś strasznej choroby albo czegoś takiego? Czy Czesi się ubezpieczają, jak wyjeżdżają za granicę?

– Próba już się zaczęła? – odpowiedział pytaniem nie na temat.

– Gdyby się zaczęła, to byłabym prawdopodobnie w środku, jak myślisz?

– A do której będzie trwała?

– Co to za pytanie. Czasem trwa godzinę, czasem do rana, to zależy od Pierre'a, który sam siebie uczynił reżyserem, a potem dyrektorem – dyktatorem tylko dlatego, że nikt inny do tego się nie nadawał. Pierre się nadaje, ja się nie nadaję. Będziemy tak stali?

Jan się jeszcze wahał.

– No, wchodzisz czy nie? – Julia zrobiła kilka kroków w stronę wejścia. – W jedną albo drugą? Raz, dwa, decyduj, bo nie mam zamiaru dalej niszczyć swoich ślicznych butów za 350 euro, stojąc w tej kałuży.

– Wchodzę – odpowiedział.

Przeszli długim korytarzem lekko opadającym w dół. W tym miejscu

korytarz rozwidłał się na dwa wąskie przejścia. W jednym, położonym niżej, stała woda.

– Zalało was? – spytał Jan.

– Tak jest zawsze po deszczu – Julia pokręciła z niesmakiem głową. – Czujesz ten zapach?

– Raczej smród.

– No właśnie. Wilgoć.

– To przejście łączy się z kanałami. Jak pada duży deszcz, woda podchodzi aż tu. Pierre chciał postawić ścianę między kanałem a korytarzem, ale konserwator zabytków się nie zgodził. Substancja zabytkowa, trzynasty wiek, rozumiesz. Czasem nie da się tędy przejść, bo woda sięga do kolan, wtedy ją wypompowują, wkładając wąż do rezerwuaru na ulicy i ciągną aż tu.

Na końcu drugiego, położonego wyżej przejścia, były niewysokie i wąskie drzwi. Za nimi jeszcze kilka schodów i kolejne, tym razem szerokie, rozsuwane wrota. Julia otworzyła je z wysiłkiem, po omacku znalazła kontakt, włączyła światło. Stali w dużej sali.

– Jeszcze parę lat temu była tu kaplica Dominikanów – Julia wyciągnęła z torebki papierosy, zaczęła szukać zapalniczki. – Masz zapalniczkę? Mogą być zapalki.

– Nie palę – powiedział, przyglądając się scenie, na której stało kilka rekwizytów, stół, krzesło, wózek dla dziecka.

– No tak – Julia dalej przeszukiwała torebkę – nikt już nie pali. Jeszcze trochę, a zabronią nam pić kawę, potem kopulować, na końcu myśleć. Ja bym wołała, żeby ludziom zabroniono być ludźmi. A może tobie już tego wszystkiego zabroniono, co? Czesi nie palą, nie kopulują, nie myślą, jakie to smutne.

Jan się uśmiechnął i nie odpowiedział. Julia włożyła papierosa z powrotem do paczki.

– Widzisz – pokazała ręką – tam był ołtarz, który teraz jest sceną. Można powiedzieć, że składamy swoje młode życie na ołtarzu sztuki, he, he – zaśmiała się ze swojego żartu.

– Gdzie cała reszta? – Jan rozglądał się, jakby za chwilę na scenie mieli się pojawić aktorzy.

– Pewnie zaraz będą, spóźniają się jak zwykle – spojrzała na zegarek. – Słuchaj, to ty się teraz trochę porozglądaj, a ja pójdę się przebrać, dobra? – i nie czekając na zgodę, znikła w kulisie sceny.

Rozglądał się. Teatr bez widzów, bez aktorów, jasno oświetlony, przypominał pustą, kolejową rampę. Niewielką, zbitą z desek scenę otaczał mur, prawdopodobnie ten sam, który tu był od wieków. Z daleka zauważył, że mur pokrywają blade freski, prawdopodobnie pozostałość po starych malowidłach. Jakaś ledwie zarysowana postać w dziwnym nakryciu głowy, trzymająca w ręce sztylet lub miecz, walczyła ze zwierzęciem, prawdopodobnie z bykiem. Być może święty Jerzy zabijający demona. Przez głowę przemknęła mu myśl, żeby jednak stąd wyjść, wrócić do hotelu. Nie czuł się dobrze w tym miejscu, w kaplicy zamienionej na teatr, z ławkami, w których być może jeszcze niedawno siadano do mszy. Sala była przystosowana dla widowni, rzędy ławek opadały lekko w stronę proscenium, ale tak naprawdę wcale by się nie zdziwił, gdyby nagle na scenie – ołtarzu pojawił się zamiast aktora ksiądz. Ksiądz też musi mieć swoją widownię – pomyślał, położył się na ławce w pierwszym rzędzie i bezmyślnie patrzył na zwisający z sufitu kandelabr upstrzony dziesiątkami malutkich, świecących żarówek.

Usłyszał podekscytowane głosy dobiegające z korytarza, coraz głośniejsze. Weszli wszyscy trzej, Pierre, Adrian i Albert. Jeszcze dyskutowali, przekrzykując się nawzajem. Do Jana docierały jedynie strzępy ożywionej dyskusji.

– Gadasz głupoty – mówił Pierre – on nie ma warstwy ochronnej, podobnie jak ona... Rzucić na pożarcie, zrobić być może najlepszy teatr, jaki do tej pory graliśmy, jakiego nikt nigdy nie zagrał, czy ty tego nie rozumiesz?

– To nie jest w porządku, Pierre, to... – Adrian wyraźnie na coś się nie zgadzał.

– Stary, cały świat nie jest w porządku, gdybym się miał ciągle zastanawiać, co jest w porządku, a co nie, poza tym... to bym dalej odmawiał różaniec u kaznodziejów – Pierre wykrzykiwał, akcentując każdą sylabę.

– No dobrze już, dobrze, nie musisz wrzeszczeć.

– Ja nie wrzeszczę, ja mówię, a ty...

– W porządku, w porządku, ale musisz sobie zdawać sprawę... Ja tego na siebie nie wezmę... On wcale nie musi... – upierał się przy czymś Adrian.

– Jeśli się chcesz wycofać, to teraz, bo potem... Zbyt wiele już zrobiliśmy, zresztą chyba nie my o tym decydujemy, no nie? – powiedział cicho Albert.

Janowi przez moment wydawało się, że mówią o nim, ale zaraz odrzucił tę myśl. Rozmawiają o sztuce, z pewnością o sztuce. Mimo wszystko poczuł się dziwnie. Chciał wstać, tak żeby zobaczyli, że już tu jest, ale coś mu kazało nadal przysłuchiwać się rozmowie. Cała trójka szła teraz w stronę sceny. Słyszał każde ich słowo.

– Trzynastego, skończymy trzynastego, a potem wielki finał, do tego czasu macie robić to, o co was prosiłem – Pierre mówił z naciskiem nieznoszącym sprzeciwu.

– Jeszcze dwa dni – mówił Albert.

– Tak, i pamiętajcie, że kobiety bywają nie-prze-wi-dy-wal-ne – Pierre jeszcze raz wyraźnie zaakcentował ostatnie słowo. – Zresztą nie tylko kobiety. Na razie wszystko idzie dobrze, oby tak do końca. To musi się udać, panowie. Nie ma innego wyjścia.

Jan się przeciągnął, leżąc na swoim miejscu, po czym wstał, udając zaskoczonego.

– O, już jesteście, trochę się zdrzemnąłem – usiadł na ławce, bokiem do sceny – Julia poszła do garderoby.

– Słyszałeś naszą rozmowę? – spytał Pierre.

– A o czym rozmawialiście? – zauważył, że Pierre patrzy na Adriana i Alberta.

– Nic, nieważne, takie tam, o tym jak grać, mamy różne pomysły, tak naprawdę każdy z nas ma swój pomysł na rolę – Pierre podszedł do Jana i poklepał go po ramieniu. – Fajnie, że przyszedłeś. Zawsze to lepiej próbować dla kogoś niż do pustej widowni. No dobrze, panowie – zwrócił się do Alberta i Adriana – dość gadania, idziemy się przebrać – potem

do Jana – za parę minut wracamy, nie śpij.

– Nie śpię, w porządku – powiedział Jan.

Zgasły światła. Scenę rozświetlał jedynie punktowy reflektor. Wchodzili po kolei. Najpierw Julia, potem Adrian i Albert. Na końcu Pierre. Wszyscy ubrani jednakowo, w szare, drelichowe kurtki, w szare spodnie. Julia upięte włosy miała schowane pod beżową czapką z daszkiem. Usiadła na krześle pod ścianą, Adrian i Albert na krawędzi sceny, zwrócenieni do siebie plecami.

* * *

Zaraz po tym jak Jan opuścił klasztor, Jean zgasił światło w bibliotece i gabinecie przeora, po czym zszedł na parter. W swoim pokoju zdjął habit, założył spodnie i gruby, wełniany golf. Uklęknął przed obrazem, na którym święty Tomasz z Akwinu trzyma w prawej ręce budynek klasztoru, a w lewej otwartą księgę. Ubrany w czarny, mnisi habit, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt na ołtarzu kościoła, wydaje się czymś zmęczony. Jakby ciążyły mu oba atrybuty zakonu dominikanów. Jean pochylił głowę i zaczął bezgłośnie odmawiać nieszpory. W pewnym momencie przerwał, położył się przed obrazem, wyciągając w bok obie ręce. Zaczął mówić głośno, dobitnie, od czasu do czasu unosząc głowę i patrząc w obraz.

– Bracie z Roccasecca, pomóż nam, albowiem nie wiemy, co czynić. Ty, który z łatwością rozróżniałeś to, co rzeczywiste, od tego, co potencjalne, bądź nam przewodnikiem. Popatrz na nasze starania, by oddzielić prawdę od fałszu i dobro od zła. Upewnij nas w naszych planach i dodaj sił, o to proszę, wysłuchaj nas, a jeśli się mylimy, powstrzymaj. Jeszcze jest czas. Prosimy cię o wstawiennictwo, aby wytrwać w postanowieniu. Gdyż zbliża się dzień próby. Amen.

Wstał, wyciągnął z szafy płaszcz. Założył go, stawiając wysoko kołnierz. Kiedy znalazł się na klasztornym dziedzińcu, odwrócił głowę, upewniając się, czy zgasił wszystkie światła. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Zamknął furtkę. Skręcił w jedną z wąskich uliczek. Przy kolejnym skrzyżowaniu zatrzymał się i wyciągnął kartkę, na której miał zapisany adres. *Rue du Plat* dwanaście, trzecie piętro, mieszkanie numer osiem.

Spojrzał na numer domu, przy którym stał. Poszedł za daleko. Wrócił i stanął przed właściwym budynkiem. Nacisnął przycisk domofonu. Ktoś podniósł słuchawkę, ale się nie odzywał.

– To ja, brat Jean – powiedział do mikrofonu.

Nadal nikt się nie odzywał, ale Jean usłyszał brzęczenie domofonu. Popchnął drzwi, wszedł do sieni, a potem na ostatnie, trzecie piętro. W powietrzu unosił się zapach jakiegoś środka dezynfekcyjnego. Prawdopodobnie niedawno ktoś go używał do mycia klatki schodowej. Buty Jeana zostawiały ślady na wilgotnych jeszcze schodach. Zanim zapukał, drzwi się uchyliły i wszedł do środka.

W mieszkaniu był tylko chwilę. Teraz zbiegał po schodach, na powrót stawiając kołnierz płaszcza. Szybko wrócił uliczką na Tillsit, potem ruszył do mostu na Saonie, by za chwilę znaleźć się w ciasnych ulicach Starego Miasta. Przechodząc obok katedry, zobaczył kloszarda siedzącego w kucki. „Pewnie ten sam, o którym opowiadał Pierre” – pomyślał. Zatrzymał się na moment, ale zaraz przyspieszył kroku. Minał gablotę z napisem „Teatr Bez Końca” i po chwili znalazł się w oszklonym budynku dolnej stacji kolejki szynowej, wwożącej ludzi na wzgórze Fourvière. Wsiadł na ostatniej, górnej stacji, pod samym szczytem wzgórza, i krętymi, parkowymi alejkami, oświetlanymi przez niskie latarnie, kierował się na najwyższe miejsce Fourvière, tam gdzie wznosił się wysoki na kilkadziesiąt metrów, żelazny krzyż. O tej porze nie było już turystów. Usiadł na drewnianej ławce zwróconej w stronę miasta leżącego w dole, około trzystu metrów poniżej szczytu wzgórza. Patrzył na ciąg ulic wyznaczony światłami. Z prawej strony, obok Starego Miasta, Saona łączyła się z Rodanem, nieco wyżej ruiny rzymskiego teatru. Z lewej Villeurbanne, północna dzielnica Lyonu. Śródmieście to równy dywan rozświetlonych kilkupiętrowych kamienic z jednym wysokim, bardzo wysokim budynkiem, nazywanym przez mieszkańców ołówkiem, i dwoma innymi, prawie tak samo strzelistymi. Kiedy dwadzieścia lat temu pierwszy raz przyjechał do Lyonu, poradzono mu, żeby spojrzeć na miasto z góry. Jedynie z tego miejsca, jak z lotu ptaka, można było objąć wielką, prawie dwumilionową metropolię, która ciągnęła się na wschód i południe aż po horyzont, ku pierwszym, wysokim

wzniesieniom, będącym już przedgórzem Alp. Ale tym razem Jean nie wjechał na Fourvière, żeby oglądać panoramę Lyonu, którą setki turystów każdego dnia uwieczniają na pamiątkowych zdjęciach. Wjechał tu po to, by się od tego miasta oddalić. By spokojnie pomyśleć o tym, co się niebawem stanie, albo raczej co może się stać. W głowie układał sobie plan, który wydawał się tak nierzeczywisty, jak to miejsce. Wystarczyło zrobić kilka kroków, przekroczyć barierkę, żeby w kilka, najwyżej kilkanaście sekund znaleźć się na dole. Na samą myśl o tym poczuł dreszcze. Zamknął oczy. Kiedy je znów otworzył, spojrzął na zegarek. Była punktualnie dziewiąta. Zmarznięty, podniósł się z ławki i tą samą drogą, którą wchodził na szczyt, doszedł do górnej stacji kolejki. Kwadrans po dziewiątej stał przed zielonym neonem z napisem „Oberza pod Ślimakiem”. Wszedł do środka. Przy tym samym co zwykle stoliku siedzieli Pierre, Adrian, Albert i Julia. A razem z nimi Jan.

Pierre zauważył Jeana stojącego w drzwiach. Szybko wstał i ruszył w jego stronę, chwilę rozmawiali. Pierre, gestykulując, tłumaczył coś Jeanowi. W końcu razem wrócili do stolika.

– Dobry wieczór, nie byłem pewien, czy was tu znajdę – powiedział Jean, siadając obok Jana.

– A gdzie niby mieliśmy być o tej porze? – Julia skinęła ręką na kelnera.

– Myślałem, że macie próbę.

– Była, ale się skończyła – Julia zamówiła kolejną butelkę wina Cotes du Rhone.

– I jak poszło? – spytał Jean

– Niech ci Jan powie – Julia sprawnie nalała wszystkim wino do kieliszków.

– Byłeś na próbie? – Jean wydawał się zdziwiony, spojrzął na Pierre’a, który szybko odwrócił wzrok.

– Tak – odpowiedział Jan. – Właśnie zaczęliśmy o tym rozmawiać. Chyba nie wszystko rozumiałem.

– Jan nie wszystko rozumiał – Julia zaczęła ironizować w swoim stylu. – Jan jest Czechem, a my mówiliśmy po francusku, dlatego nie wszystko rozumiał.

– Julie – Pierre spojrzął karcąco na Julię.

– Wydaje mi się – Jan zawiesił głos – wydaje mi się, że bohaterowie sztuki są papierowi. Nie ma między nimi czegoś, nie wiem, jak to nazwać, czegoś, co by widzowi pozwalało się z nimi identyfikować. A przynajmniej z kimś, choćby z jednym z nich. W dodatku to dziwne zakończenie. Sam nie wiem...

– Ależ tak – podchwycił Pierre, nie zwracając uwagi na ostatnie zdania wypowiedziane przez Jana – masz rację, o to właśnie chodzi. Oni nie prowadzą dialogu. Każdy z nich właściwie mówi do siebie, jakby nikogo więcej nie było, jakby cały świat nie miał znaczenia. Jakby nie było już żadnej wartości. Żadnego oparcia, w niczym. Na tym polega wielkość tego tekstu. Ludzie, zamiast prowadzić dialog z drugim człowiekiem, tak naprawdę rozmawiają sami ze sobą. Człowiekowi przestaje być potrzebny do życia drugi człowiek. Prawdziwej wolności można doświadczyć jedynie w osamotnieniu. Becu to przewidział, jest genialnym autorem, niestety, całkowicie zapomnianym.

– Naprawdę uważasz, że był genialny? – spytał od niechcienia Jean.

– Oczywiście – Pierre chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował, sięgnął po kieliszek i od razu, kilkoma łykami go opróżnił.

– To dobrze, że tak myślisz – powtórzył Jean. – Artyści muszą być pewni, że to, co robią, ma sens, prawda?

– No tak, oczywiście, że tak – odpowiedział Pierre niepewnie. – Czasem mogą się mylić, to normalne, ale raczej nie w tym przypadku.

– Jan – Jean spojrzał na Jana – będziesz na premierze czy wracasz do Pragi?

– A kiedy jest premiera? – Jan był zaskoczony pytaniem.

– Jak to kiedy? – teraz Jean wydawał się zdziwiony. – Za trzy dni. Trzynastego, nie wiesz?

– Jeszcze mu nie mówiliśmy – Pierre odpowiedział zamiast Jana. – Oczywiście, jesteś zaproszony – schylił głowę w stronę Jana, jakby ten gest miał potwierdzić jego słowa.

– Nie widziałem żadnego plakatu informującego o premierze – Jan przyglądał się Pierre'owi, coraz bardziej zadziwiony.

– A, o to ci chodzi – uśmiechnął się Pierre. – Nazwijmy to przedstawieniem przedpremierowym. Będą tylko zaproszeni goście, dopiero potem ustalimy

datę prawdziwej premiery. Tak się często robi. Będzie czas na poprawienie błędów, dopracowanie roli. Tak się często robi – powtórzył.

– No dobrze, ale zdaje się, przerwałem wam dyskusję. Z chęcią posłucham – Jean wypił łyk wina i spojrzał najpierw na Pierre’a, potem na Jana, Julię, Adriana i Alberta.

– Twoje uszy mogą tego nie wytrzymać, Jean – zaśmiał się Pierre. – Rozmawialiśmy o tym, że człowiek, niezależnie od tego, co robi, jest tak skonstruowany, że oczekuje nagrody za swoje działanie. O ile oczywiście to działanie ma jakikolwiek sens. Bez nagrody i tej mgłistej nadziei, że ją dostanie, nigdy nie podejmowałby żadnej aktywności. Nie byłoby rozwoju, cywilizacja kręciłaby się wobec raz zastanych, niezmiennych faktów. I jeszcze o tym mówiliśmy, że wiara w Boga, jakiegokolwiek boga...

– Mówisz tak, jakby ich było wielu, jakby Bóg nie był bytem jednostkowym – przerwał mu Jean.

– Z punktu widzenia teologii chrześcijańskiej, o ile taka w ogóle istnieje, masz rację – Pierre machnął ręką – ale ja nie chce się zagłębiać w dyskusje teologiczne. Szczerze mówiąc, mam ich dość na całe życie. Religie, znane nam religie – szybko się poprawił – te, w które dziś wierzy parę miliardów ludzi na całym świecie, są przyczyną konfliktów, wojen, mówiąc krótko, straszliwych rzezi. O tym jest sztuka, której Jan nie zrozumiał. Dajmy temu spokój. Chciałem tylko powiedzieć, że człowiek jest szalenie interesownym stworzeniem, a religia nas utwierdza w tym przekonaniu.

– Jak wszystkie stworzenia, człowiek jest interesowny jak wszystkie stworzenia, małe i duże. A przy tym bezgranicznie chciwy – powiedziała Julia i zamilkła. Milczeli dłuższą chwilę, popijając wino. Julia zamówiła następną butelkę.

– Rozumiem, o czym mówisz – Jan spojrzał na Pierre’a. – Chociaż nie wydaje mi się to wyjątkowo oryginalne. Począwszy od grzechu pierworodnego, zawsze oczekiwaliśmy nagrody. Na początku było jabłko. Na końcu też może być tylko jabłko – Jan zamyślił się, jakby chciał sobie coś przypomnieć. – Znaście historię Yalego?

– Mów, mów, szlifuj język Woltera i Robespierre’a – zachęcała Julia.

– Recz dzieje się na północno-wschodnim wybrzeżu Nowej Gwinei,

w rejonie zwanym Madang – zaczął Jan. – Europejczycy zaczynają odwiedzać to miejsce dopiero na początku XIX wieku. Kiedy docierają tam pierwsi biali, ludność tubylcza ma jakieś swoje wierzenia. Ich bóstwo nazywa się Anus i przypomina greckiego Zeusa. Oprócz niego jest cała plejada bóstw totemicznych, którymi rządzi Anus. Razem z białymi trafiają do Madangu wytwory współczesnej cywilizacji, siekiery, młotki, gwoździe i tym podobne rzeczy. Biali zaczynają uczyć tubylców posługiwania się tymi przedmiotami. Tubylcy zaczynają wierzyć, że goście to ich przodkowie, o których wiedzieli, że kiedyś nadejdą, przywożąc im niezbędne do życia dostawy. Dostawy, głównie jedzenie, zapewnią im dostatnie życie, nie będą już musieli pracować, polować, będą spędzali życie na przyjemnościach, czyli na próżnowaniu. Po pierwszych latach względnego zrozumienia dla przodków, którzy w ich mniemaniu muszą mieć jednak trochę czasu, by zrealizować oczekiwane dostawy, tubylcy zaczynają okazywać niepokój. Czas upływa, przodkom żyje się całkiem wygodnie, a oni, ludność miejscowa, nadal nie mają zapowiedzianych w ich wierzeniach dostaw. W latach osiemdziesiątych Niemcy ogłaszają Madang swoją kolonią, ustanawiają na wyspie kolonialny rząd. Luterańscy misjonarze próbują nawracać czcicieli Anusa na swoją wiarę, której tubylcy nie rozumieją. Niemcy, ich przodkowie, powinni im zapewnić dostatek, jednak nic takiego się nie dzieje. Misjonarze obiecują wprowadzić nagrodę w postaci życia wiecznego, ale ma się to odbywać dopiero po śmierci, czego tubylcy już zupełnie nie są w stanie pojąć. Oczywiście miejscowi są wykorzystywani do budowy dróg, domów, pracują na plantacjach, ale gdzie nagroda, pytają swoich przodków. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz, odpowiadają przodkowie. Czyżby ich przodkowie byli skąpi, zastanawiają się autochtoni? A może to jednak nie są przodkowie? Może ci dopiero nadejdą. Postanawiają to sprawdzić, wzniecając bunt. Zabijają paru Niemców, ale Niemcy – teraz miejscowi są już pewni, że to nie przodkowie – aresztują prowodyrów rewolucji i ich też zabijają. Reszta rdzennych mieszkańców nie wie, co o tym wszystkim myśleć. Zanim zrewidują swoje przekonania co do gości, wybuchła pierwsza wojna światowa i sprawa w pewnym sensie sama się rozwiązuje. Niemców wypierają z Madangu Australijczycy i Anglicy. Tubylcy tym razem ich przyjmują jak przodków,

z nowymi nadziejami na spodziewane dostawy. Zmieniają swój stosunek do białych, zaczynają po swojemu wierzyć w nową religię przyniesioną przez białych. Z Ewangelii, która jest im głoszona, wybierają to, czego sami chcą, tworząc swoisty konglomerat własnych wierzeń i chrześcijaństwa. Na dodatek są już bardzo zmęczeni ciężką pracą, za którą, oprócz lichej strawy i w najlepszym razie paru centów od czasu do czasu, nie dostają nic. Znów się buntują, zaczynają okupację kościoła. Tym razem nie zabijają nikogo, tylko domagają się odpowiedzi na kluczowe pytanie: dlaczego wielcy biali ludzie, zamiast tajemnicy, skąd się biorą dostawy, uczą ich jedynie wersetów z Biblii. A przecież, mówią, gdy czytamy w Piśmie: „i Bóg pobłogosławił Noego”, znaczy to, że Bóg dał Noemu dostawę. Jeśli więc mają się starać o królestwo Boga, to znaczy, że Bóg nagrodzi ich za chwilę jakąś wielką dostawą. Myślą dalej i dochodzą do wniosku, że ich ciemiężcy musieli zapewne aresztować swojego Boga, Jezusa Chrystusa, i dlatego sami pożytkują to, co należy się wszystkim, także im, tubylcom. Ale jak uwolnić Jezusa, którego zresztą wciąż utożsamiają ze swoim Anusem? Tego nie potrafią zrobić. Nie wiedzą nawet, gdzie jest przetrzymywany. Któryś z miejscowych proroków tłumaczy im w końcu, że Jezus musi być jakimś pomniejszym Bogiem, skoro dał się zaaresztować. Być może nawet Jezus nie ma żadnego wpływu na termin, w jakim należy się spodziewać dostaw. Jeśli nie Jezus, to kto? Dochodzą do wniosku, że już raczej ich lokalny bożek Kilibob, do którego w dawnych czasach się zwracali i choć nie dostawali jakichś wielkich dostaw, to jednak żyło im się lepiej niż dziś. Kiedy próbują opracować jakąś nową wykładnię wiary w boga dostaw, rozpoczyna się z kolei druga wojna światowa. Europejczyków i Australijczyków przepędzają z Madangu Japończycy. Japończycy są witani jak prawdziwi wyzwoliciele, bo nie każą im już czytać Biblii, nie przeszkadzają im też w oddawaniu czci totemom. Zaraz będą dostawy, zaraz będą – opowiadają swoim braciom prorocy. Ale dostawy znów się spóźniają, a Japończycy tłumaczą to wojną. Najpierw trzeba pokonać białych ludzi, mówią żółci ludzie, a potem będą bardzo wielkie dostawy. Tubylcy niecierpliwią się jednak coraz bardziej. Nie rozumieją, dlaczego mają wciąż czekać. Czują się skrzywdzeni. Japończycy w nagrodę rozdają tubylcom miecze samurajskie, mianują ich oficerami

w swojej armii, ale to jednak nie to samo co dostawa, a jej nie ma i nie ma. Kiedy zamierzają o tym poważnie porozmawiać z żółtymi ludźmi, znów historia zatacza koło. W 1945 roku Madang zostaje otoczony przez Australijczyków. Japończycy nie mogą uciec z wyspy i sami zaczynają mieć problem z dostawami. Zjadają wszystkie swoje zapasy. Potem zabijają prawie całą zwierzynę łowną, a kiedy jej brakuje, zjadają także psy i koty, które dla miejscowych nie są zwykłymi psami i kotami. Są ich totemami, w które wierzą, że mogą być ich zmienionymi w zwierzęta przodkami. Sytuacja z biegiem czasu staje się krytyczna, bo gdy zabito i zjedzono zwierzęta, Japończycy przystępują do konsumpcji tubylców. Zjadają ich niewielu, gdyż kończy się wojna i w Madangu znów lądują Australijczycy. Koło się zamyka. Tubylcom zaczyna się już trochę mylić, kto, kiedy i dlaczego u nich ląduje, mylą im się wszystkie obietnice, a także to, w jakim czasie zobowiązano się je zrealizować. Miejscowym chodzi ciągle o dostawy. Są uparci, ale Australijczycy tym razem są konkretni. Jak wygramy wojnę, mówią, czarni i biali w Madangu będą żyli w zgodzie. Czarni tak jak biali będą mieli domy, będą mieli elektryczność, mnóstwo innych dóbr, a szczególnie dużo będą mieli jedzenia. To jest ten moment, gdy na scenę wkracza Yali, młody, dwudziestoparoletni autochton. Yali wydaje się Australijczykom przywódcą grupy, więc mianują go sierżantem własnej armii. Ponieważ wojna się już kończy i tak naprawdę nie ma z kim walczyć, Yali, jako przywódca, ma być kupiony w zamian za honory i dystynkcje, a razem z nim ma być kupiona cała rdzenna ludność Madangu. Co z dostawami, pyta jednak Yali. Teraz, gdy wojna się skończyła, gdy prawdopodobnie uwolniliście już Jezusa, dostawy powinny się zacząć. Tak, tak, przekonują Australijczycy, ale trzeba troszeczkę zaczekać. Yali ma wrażenie, że tubylców znów próbuje się perfidnie okłamywać. Australijczycy zabierają więc Yalego do Sydney. Chcą mu pokazać, na czym polega tajemnica dostaw. Obwożą sierżanta Yalego po fabrykach, pokazują ludzi stojących przy taśmach, bardzo ciężko pracujących ludzi. Ale Yali nie jest głupi. Wychodzi z fabryki i widzi, że jednak nie wszyscy pracują. Niektórzy odpoczywają, chodzą, jeżdżą samochodami, uśmiechają się, są nawet bardziej zadowoleni niż ci, co pracują. Oni mi nie mówią prawdy, myśli Yali. I myśli dalej: ci, co pracują, to są ich niewolnicy,

tacy jak my na wyspie. Ci ludzie, ciężko pracujący, pracują po to, by inni mieli dostawy. Tak to mniej więcej rozumiał Yali. Zupełnie inaczej niż tego chcieli Australijczycy. A kiedy jeszcze zawieźli Yalego do ogrodu zoologicznego, by mu pokazać różne, zaaresztowane zwierzęta i szczęśliwych ludzi oglądających te zwierzęta, wtedy Yali był już pewien, że ktoś tu próbuje z Yalego zrobić idiotę. Wrócił do Madangu i wszystko opowiedział. Jego bracia potwierdzili przypuszczenia Yalego. Nie będzie żadnych dostaw, biali ludzie kłamią. Dostawy wprawdzie są, i to bardzo duże, ale tylko dla białych ludzi. Wśród mieszkańców Madangu byli jednak i tacy, którzy mówili: no dobrze, poznaliśmy tajemnicę białych, ale spróbujmy ich przechytryć, poczekajmy jeszcze trochę, a może i do nas coś spłynie. Może nie wszyscy biali to łgarze, może są wśród nich ludzie wiarygodni. Wyznaczyli Yalemu zadanie. Ma śledzić postęпки wielkich białych ludzi i przekazywać tubylcom, co widzi. Ostatnia nadzieja upada, gdy Yali, sierżant Yali, dostaje zaproszenie na powojenną konferencję rządową do Port Moresby, stolicy Nowej Gwinei Australijskiej. Jest tam przyjmowany jak król, wszędzie witany, pozdrawiany, każdy chce z nim rozmawiać. Yali w tym czasie nauczył się języka angielskiego na tyle dobrze, że rozumiał, co do niego mówią. Trochę się dziwił, że Australijczycy nie rozumieją jego języka. Był pewien, że skoro posiadli tajemnicę dostaw, to nauczenie się jego języka nie powinno być dla nich jakimś wielkim problemem. Szczególnie że on, Yali, szybko nauczył się ich języka. Może nie są aż tak mądrzy, myślał Yali. A może ich język jest lepszy, może to Yali się jednak mylił, nie ufając Australijczykom, a oni znaleźli język, którym proszą o dostawy i je otrzymują? Australijczycy mogą być bardzo w porządku, myśli dalej Yali. Zawsze mówili prawdę, a my jej nie rozumieliśmy. Yali zaczyna myśleć tak, jak tego chcieli Australijczycy. I nagle wszystko się zmienia. W czasie konferencji Yalem pokazują obrazki, na których prezentowana jest darwinowska ewolucja gatunków. Okazuje się, że najpierw były małpy. Małpy stawały się coraz bardziej rozumne, aż w końcu z tych małp narodzili się ludzie. Dopiero teraz Yali uświadomił sobie wielką mistyfikację, jakiej ofiarą padli rdzenni mieszkańcy Madangu. Nie było żadnego Jezusa, nie było żadnego Boga białych ludzi. Było dokładnie to, w co od niepamiętnych czasów wierzyli jego bracia. Przodkami

były zwierzęta, prawdziwi bogowie. Biali ludzie w którymś momencie pozabijali zwierzęta, żeby przejąć od nich dostawy. Prawdopodobnie zabili także Anusa, który przecież był trochę człowiekiem, a trochę nieczłowiekiem. Yali wraca więc na Nową Gwineę i opowiada wszystko, co widział. Wniosek jest jeden. Wielcy biali ludzie zabili swoich własnych wielkich białych bogów, przejmując tajemnicę dostaw. Dlatego ludziom w Madangu nie dane są żadne dostawy, bo ich w tej sytuacji być po prostu nie może. Co robić, zastanawiają się tubylcy. Zastanawiają się przez następnych kilka miesięcy, a w tym czasie Yali przechodzi na stronę Australijczyków. Skoro nie może być nagrody, czyli dostaw dla wszystkich w Madangu, to przynajmniej Yali będzie miał jakieś dostawy. On już nie wierzy, że jego bracia sprowadzą dostawy. Nie interesuje go powrót do pierwotnych źródeł religii Nowej Gwinei. Składanie ofiar, oczekiwanie na cud, to już nie dla Yalego. Wspólnie z grupą kilkudziesięciu rdzennych mieszkańców, wyposażony w broń przez Australijczyków, tępi wszelkie przejawy nieposłuszeństwa swoich braci. Wkrótce nadchodzą oczekiwane dostawy. Wprawdzie tylko dla Yalego i dla jego niewielkiej armii, ale jednak są to realne dostawy. Yali żyje w pałacu, otoczony przez dwór wybranych tubylców, każdego dnia ma to, o co poprosi Australijczyków. Yali jest teraz pewien, że wreszcie zrozumiał tajemnicę dostaw. Zresztą coraz więcej tubylców odwiedza jego pałac, składając mu hołd. Yali z wolna staje się bogiem dla mieszkańców Madangu. Przez jego pokoje przechodzą setki miejscowych kobiet, które Yali w rytualnych orgiach przysposabia na swoje poddane i żony. Po całej prowincji krążą buteleczki z nasieniem proroka, króla Yalego. Jego nasienie ma bowiem uszczęśliwiać i dawać nadzieję na dostawy.

Jeśli któraś z kobiet – żon przestaje mu się podobać, podcina jej gardło, a zwłoki dla zatarcia śladów pali. To samo robi z wieloma swoimi wrogami, którzy próbują go wygryźć ze stanowiska proroka – króla. Dopóki Yali utrzymuje w ryzach miejscową społeczność, Australijczycy nie zwracają na niego uwagi. Dopiero gdy zgłasza swoją kandydaturę do Rady Madangu, Australijczycy mówią: stop. Yali był potrzebny jako nadzorca nad buntującym się tłumem. Jako wybrany w wyborach przedstawiciel społeczności, Yali nie jest już potrzebny. Australijczycy na początku lat pięćdziesiątych aresztują

go i przez kilka lat trzymają w więzieniu. Wśród tubylców wybucha kult Yalego. Skoro biali go uwięzili, to znaczy, że zrobili z nim to samo, co kiedyś z Jezusem, który tak jak Yali poznał tajemnicę dostaw. Plan uwolnienia proroka pozostaje jednak tylko planem. Ale po wyjściu z więzienia Yali jest otoczony na wyspie powszechnym szacunkiem. Gdy umiera, cała rdzenna społeczność Nowej Gwinei jest w żałobie, bo umarł ten, który jako jedyny z nich poznał tajemnicę dostaw. Zapomina się jego liczne morderstwa, orgie i prywatę. Do dziś na wyspie dzień urodzin proroka Yalego jest dniem święta. Ludzie gromadzą się przy stołach, jedzą i piją, wierząc, że dostawy, które są udziałem mieszkańców tej wyspy, dał im prorok o imieniu Yali. Nikt już nie pamięta o tym, kim ów człowiek był naprawdę.

– Amen – powiedziała Julia, przypalając papierosa od stojącej na stole świeczki.

– Pouczające, przyznaję, pouczające – pokiwał głową Pierre. – Ale właściwie w jakim celu opowiedziałeś nam tę historię?

– Jak to w jakim celu? – Jean uprzedził Jana. – On chciał ci powiedzieć, że nie ma prostych rozstrzygnięć, że czasem ulegamy zbyt łatwym sądom, a te z kolei mogą nas zaprowadzić do całkowicie mylnych wniosków, prawda, Janie?

Jan nie odpowiadał, czekając na to, co dalej powie Jean.

– Prorok Yali – mówił Jean – był jednym z ostatnich, jeśli nie ostatnim, znanym prorokiem czasów pogańskich, żyjącym w naszych czasach. Znasz tę historię równie dobrze jak ja, Pierre – spojrzał na niego, nie przestając mówić. – Uczyliśmy się o tym na wykładach z historii religii. Profesor Deskur, Antoine Deskur, pamiętasz jego wykłady z synkretyzmu. Że niby ja, inaczej niż ty, nie znajduję powodów, dla których miałbym odrzucić wiarę. Tobie akurat nie muszę tego mówić, że cała historia chrześcijaństwa jest pełna zaskakujących i trudnych do zaakceptowania zdarzeń, a mimo wszystko to jest część naszej historii i tożsamości.

– Twojej historii i twojej tożsamości, Jean, mojej już nie – Pierre powiedział to z jakimś dziwnym smutkiem. – Powód, dla którego nasz czeski

kolega tu przyjechał, też jest częścią tej historii. Odpowiedzialność za kryzys w późnośredniowiecznym społeczeństwie przesunięto z państwa i Kościoła na urojone demony w ludzkiej postaci.

– To nie całkiem tak – przerwał mu Jan.

– Może nie całkiem, ale mania polowań na czarownice to nie był epizod, incydent, który szybko zabłysł i szybko zgasł. Nasi bracia w najlepsze urządzali sobie nagonkę, gdy tymczasem świat wydawał dzieła Szekspira, gdy na Uniwersytecie Cambridge Newton tłumaczył zasadny dynamiki, do dziś obowiązujące, a Kepler przekonywał, że wszechświat to coś więcej niż Ziemia i żyjący na niej ludzie. W tym samym czasie, a nawet długo po ich śmierci, płonęły jeszcze w Europie stosy. Nawiasem mówiąc, Kepler, zdaje się, tylko dlatego uratował swoją, podejrzewaną o czarownictwo, matkę przed spaleniem na stosie, że cokolwiek w tamtym świecie znaczył. Był matematykiem jego cesarskiej mości. I chyba pierwszy raz w długiej historii procesów o czary dopuszczono prawdziwego obrońcę, w dodatku syna oskarżonej. Raz dwa załatwił niewinnienie.

– Nie tak znowu raz dwa – zaprotestował Jan. – Proces Katarzyny Kepler trwał sześć lat, od 1615 do 1621 roku.

– Wiesz lepiej – przyznał Pierre – ale mnie chodzi o to, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy ważyło się życie pani Kepler, to parę kilometrów dalej jej syn obmyślał zasadę zachowania momentu pędu, czyli tworzył podstawy fizyki i astronomii, jeśli wiesz, o czym mówię?

Jan przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Anną.

– Czy twoim zdaniem, Jean – Pierre mówił dalej – ja mam to wszystko zaakceptować jako część mojej historii? Czy mam polowanie na czarownice uznać za jedno z doświadczeń ludzkości na tej samej zasadzie, na której oceniam doświadczenia Keplera i jemu współczesnych naukowców? Czy może uznać tamtą historię, jak mówili komuniści, za okres błędów i wypaczeń? Szczerze mówiąc, bardziej już do mnie przemawia wizja naszego brata, przeora Joachima z Fiore, który uznał wszelkie materialne potrzeby za zbędne i w ogóle nie uznawał za stosowne respektować istnienia państwa ani papieża. To było już po Tomaszu z Akwinu. Pamiętasz, Jean?

– Sam byłeś częścią tej historii – Jean z dezaprobatą kręcił głową. – Sam

byłeś w środku.

- Byłem, ale się wypisałem.
- No właśnie i dokąd poszedłeś? – Jean podniósł głos.
- A to już moja sprawa, tylko moja, bracie.
- Nie mów do mnie: bracie – wycedził przez zęby Jean.
- A ty mi pozwól, żebym sam wybierał, gdzie chcę być.
- O ile to nikomu nie wyrządza krzywdy – Jean patrzył Pierre’owi prosto w oczy, uśmiechając się ironicznie.
- Co masz na myśli? – teraz Pierre się uniósł.

Rozmowa prowadziła do otwartej kłótni. Jan próbował do niej nie dopuścić.

– Nie rozumiem waszej dyskusji – powiedział, patrząc na jednego i na drugiego. – Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Średniowiecze, renesans już dawno za nami. Tak samo jak najazd Hunów i wojny punickie. Nie ma się o co spierać.

- Jest o co, ale być może nie w tej chwili – Pierre spojrział na Jeana.
- Późno już, czas na mnie – Jean nagle wstał i zaczął zakładać płaszcz.
- Jean, pozwolisz, że jutro przyjdę do biblioteki? – Jan też zbierał się do wyjścia.
- Oczywiście, przyjdź, najlepiej zaraz po południu, zostawię otwartą furtkę.

Zapłacili rachunek, wyszli przed oberżę. Pożegnali się i każde ruszyło w swoją stronę. Jan zrobił kilka kroków, ale usłyszał wołanie Julii.

- W którą stronę idziesz? – spytała.
- Tam – Jan się odwrócił i pokazał ręką.
- A nie poszedłbyś w moją stronę? Mam w domu, jak to się mówi, całkiem spory zestaw płyt kompaktowych, a także butelkę francuskiego wina i wyjątkowo dużą wannę.
- Jaki rocznik?
- To całkiem nowa wanna.
- Nie żartuj.

- Zbyt stare, żeby je pić w samotności.
- No to chodźmy, daleko mieszkasz?
- Po drugiej stronie Saony – wzięła Jana pod rękę.

Za rzeką skręcili w małą uliczkę. Zatrzymali się na jej końcu, przed dwupiętrową, wąską kamienicą. Wszystkie okna, z wyjątkiem dwóch, na samej górze, były zakryte okiennicami.

- Tam mieszkasz? – Jan podniósł głowę.
- Nietrudno zgadnąć – Julia otworzyła drzwi, wpuszczając go jako pierwszego do środka.

Zaskoczyło go, że w mieszkaniu panował porządek. Wyobrażał sobie, że mieszkanie Julii powinno być inne, powinno zdradzać ten sam nieład, pozorny chaos, z jakim Julia obnosiła się w życiu. Ale przecież tak naprawdę nie znał jej życia. Od dwóch dni obserwował tylko jej zachowanie, prowokujące zachowanie, jakby koniecznie chciała skupiać na sobie uwagę. W przedpokoju, oprócz starej, trochę już zniszczonej, zabytkowej szafy nie było niczego. Weszli od razu do dużego pomieszczenia, które było jednocześnie salonem i kuchnią. Jedyne oprócz wejściowych drzwi, znajdujące się w części kuchennej, prowadziły prawdopodobnie do łazienki. W pokoju stało duże, niskie łóżko przykryte zgniłozieloną narzutą, mały stolik, dwa głębokie pluszowe fotele, w rogu odtwarzacz kompaktowy, obok niego dwumetrowej wysokości lustro w ciężkiej, mosiężnej oprawie i regał, którego połowę zajmowały książki, a połowę płyty. Na podłodze brązowy dywan, czysty, nowy, jakby przed chwilą położony na drewnianą, pomalowaną na czerwono podłogę. Wszędzie bardzo czysto, jakby właśnie skończono sprzątanie. Powietrze pachniało kwiatami, chociaż w mieszkaniu nie było żadnych kwiatów. Julia zdjęła swoje wysokie buty i na bosaka przeszła do kuchni.

- Możesz sobie coś włączyć. To co chcesz – powiedziała. Wyjęła z lodówki żółty ser i pokroiła go na małe kawałki. Sięgnęła do szafki po wino, korkociąg i kieliszki. Wszystko ustawiła na tacy i wniosła do pokoju. – Możesz sobie coś włączyć. To co chcesz – powtórzyła.

- Może być? – spytał, wyjmując z regału pierwszą z brzegu płytę.

– Może być – odpowiedziała, nalewając wino.

Jan zastanawiał się, co teraz powinien powiedzieć i czy w ogóle powinien się odzywać. Julia zamknęła oczy, słuchała muzyki. Kilkoma łykami opróżnił zawartość kieliszka. Dolał sobie, nie czekając, aż Julia wypije. Otworzyła oczy, a na jej twarzy pojawił się dziwny grymas.

– Chcesz mnie o coś zapytać – sięgnęła po kieliszek.

– Skąd wiesz?

– Wyglądasz na człowieka, który ma jakiś problem, ale nie wie, od czego zacząć – zapaliła papierosa, zmrużyła oczy.

– Tak. To znaczy nic wielkiego – Jan nie był pewien, czy powinien zaczynać tę rozmowę. – Chodzi o to, że... Przynajmniej tak mi się wydaje, że coś tu nie gra.

– Nastawić głośniej?

– Przestań się w końcu wygłupiać, nie możesz chociaż przez chwilę być poważna?

– Kiedy jestem poważna, to dopiero wtedy wydaje się sama sobie śmieszna. Najśmieszniejsi są właśnie ci, którzy nie potrafią przestać być poważni, gdy sytuacja tego wymaga. Wiesz, każdy gra jakąś rolę. W życiu jak na scenie, z tą różnicą, że na scenie nie możesz popełnić błędu, żeby go ktoś nie zauważył. W życiu możesz sobie popełniać błąd za błędem, a publiczność będzie to gównem obchodziło. Jesteśmy chyba w ogóle zbyt inteligentni, żeby prawdziwie współczuć.

– Ty też teraz grasz, chyba niepotrzebnie, to zwykle objaw jakichś kompleksów.

– Nie bądź pan taki Freud, panie Czech – skrzywiła usta z dezaprobatą.

Jan chciał się podnieść, pożegnać i wyjść, ale Julia przytrzymała go za rękę.

– Przepraszam – powiedziała zaskakująco poważnie – czasem aż mnie korci, żeby prowokować ludzi. To chyba oznaka niedojrzałości, jak myślisz? – i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej. – Na studiach nie miałam przez to koleżanek. Uważały mnie za skończoną idiotkę i wszystkie traktowały mnie z dystansem. Nawet mi to odpowiadało, bo nie musiałam brać udziału w byle jakich dyskusjach o byle jakich sprawach. Zawsze lepiej się czułam w towarzystwie facetów, chociaż to też idioci. No, może nie wszyscy –

dodała szybko, przypatrując mu się uważnie.

– Łatwo ci przychodzi wyrażanie opinii o ludziach.

– A nad czym się tu zastanawiać. Świat nie jest wbrew pozorom aż tak bardzo skomplikowany, jak się niektórym wydaje. Ludzie sami komplikują sobie życie, doszukując się nieistniejących znaczeń. Tymczasem składamy się z paru fizjologicznych potrzeb, niektórzy, ale tych jest niewiele, mają jeszcze jakieś potrzeby duchowe, które w konsekwencji też są zwykłą biologiczną koniecznością. Aż przykro o tym mówić, takie to banalne.

– Mówisz jak zgorzkniały starzec albo kiepska aktorka, nie jak dwudziestokilkuletnia, atrakcyjna i zdaje się, niegłupia dziewczyna.

– Tylko bez komplementów, panie Czech. Mów pan, co panu nie gra, a ja spróbuję rozświetlić te pana wątpliwości i niepokoje. O ile będę potrafiła cokolwiek wyjaśnić.

– Od kiedy znasz Pierre’a, Alberta i Adriana?

– Jakies pół roku, a co?

– Jak ich poznałaś?

– Przyjechałam po studiach. Właściwie wróciłam do Lyonu z Paryża. Cztery lata studiów w Lyonie, a potem paryska *Ecole des beaux arts*, jeśli cię to interesuje. Mieszkałam trochę za granicą, daleko stąd. W Paryżu grałam w teatrze studenckim, ale to nie były jakieś wielkie role, raczej epizody. Sama nie jestem pewna, czy chcę być aktorką, to się dopiero okaże. Zawsze mogę się zająć wyuczonym fachem, czyli historią sztuki i antropologią.

– Oni cię znaleźli czy ty ich?

– A co to, przesłuchanie, panie komisarzu? – uśmiechnęła się do niego. – Jakie to ma znaczenie?

– Być może nie ma znaczenia, ale chciałbym wiedzieć.

– Zobaczyłam ogłoszenie w gazecie. Szukali aktorki. Zgłosiłam się.

– I tak cię od razu wzięli?

– A co w tym dziwnego?

– Nie musiałaś się o to starać? Nie musiałaś startować w jakimś castingu?

– Nie – odpowiedziała rozbawiona Julia. – I tak się okazało na pierwszej próbie, czy pasuję do nich. Jak widać, pasowałam. Wiesz, ile w Lyonie jest teatrów? Samych zawodowych chyba z pięćdziesiąt, nie mówiąc

o amatorskich. Tych są pewnie ze dwie setki.

– Wy jesteście teatrem amatorskim?

– Trochę tak, a trochę nie. Pierre załatwił jakieś pieniądze z merostwa czy skądś tam. Płaci mi niewiele, ale na życie wystarcza. Po premierze mam dostać więcej.

– A kto będzie na premierze?

– Zaproszeni goście. Właściwie to tylko przedstawienie przedpremierowe.

– Jacy goście?

– Nie wiem dokładnie. Pierre się tym zajmuje.

– No to niewiele wiesz.

– Wiem tyle, ile chcę wiedzieć.

– A ich wcześniejsze przedstawienia?

– Grali klasyczny repertuar. Beckett, Dostojewski, Czechow. Nie wiem dokładnie, bo mówię ci, że wróciłam do Lyonu pół roku temu. O ile wiem, teatr nie cieszył się jakimś wielkim zainteresowaniem widzów – Julia przyjrzała się uważniej Janowi. – Słuchaj, ale właściwie dlaczego mnie tak wypytujesz. Czy w twoim kraju to normalne, że się tak ludzi wypytuje?

– Oczywiście, w Pradze ludzie siebie nawzajem zatrzymują na ulicy i wypytują o różne szczegóły. To należy do naszego charakteru narodowego.

– Teraz ty się nie wygłupiaj. Powiedz, o co ci chodzi.

Jan dolał sobie wina, zrobił głęboki oddech i zaczął mówić o dziwnym wrażeniu, którego doznawał od dwóch dni, odkąd jest w Lyonie. Zupełnie niechcący poznał kilka osób, których wcale nie zamierzał poznawać. Najpierw dziwna rozmowa z przeorem. Brat Jean. Pierre i całe to towarzystwo, do którego należy Julia. Jeszcze jakaś starsza kobieta, którą widział już dwa czy trzy razy. Kobieta na ulicy, kobieta na dziedzińcu klasztoru. Do tego Pierre odwiedzający Jeana i rozmawiający o czymś także na klasztornym dziedzińcu. Oprócz tego coś, czego nie potrafi wyjaśnić, coś tajemniczego. Rozmowy kolegów Julii przed spektaklem. Byli skonsternowani, gdy zauważyli, że ich słucha. Niestety, nie słyszał wszystkiego. Jeszcze autor sztuki, kompletnie nieznany, a jednak Pierre utrzymuje, że to genialny dramatopisarz. Sama rozmowa z przeorem też wydaje mu się niezwykła. Jakby ojciec Roger próbował strzec sobie tylko znanej tajemnicy. Tylko

jakiej? I dlaczego? O co chodzi? A sprawa jest prosta, przyjechał, bo nie odpowiedzieli na jego list. Gdyby go nie przyjęli, to trudno. Pocałowała by klamkę furty, zwiedził miasto i wrócił do Pragi.

– Nie patrz tak na mnie, tu naprawdę coś nie gra – skończył i wypił ostatni łyk wina.

– Wiesz, co ci powiem – teraz Julia wzięła głęboki oddech – naczytałeś się o tych swoich czarownicach i nerwy ci puszczają. W tym, co mówisz, nie ma niczego niezwykłego – wstała i poszła zmienić płytę. Ale zamiast ją zmienić, klęczała zwrócona tyłem do Jana, jakby się nad czymś zastanawiała. – Słuchaj – odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem – a może ty masz manię prześladowczą, co? Zaczynam się niepokoić o siebie. Może jesteś pospolitym przestępcą. Chcesz mnie zgwałcić, a potem zabić i poćwiartować? No powiedz, jesteś psychopatą?

– Zacznij pisać kryminały – Jan z rezygnacją machnął ręką.

Julia zmieniła płytę. Kwartet smyczkowy zastąpiła „Czterema porami roku” Vivaldiego.

– To dla uspokojenia twoich nerwów – powiedziała, siadając po turecku przy stole i zapalając następnego papierosa. – Jesteś po prostu zmęczony. Wiesz, nowe miejsce, pewnie kiepsko spałeś. Znam tych wszystkich ludzi od wielu miesięcy, no może z wyjątkiem przeora, ale wiele o nim słyszałam, zresztą to człowiek powszechnie znany i szanowany, wiesz przecież.

– Tak – Jan przyznał jej rację, ale zrobił to bardzo niepewnie. – A kobieta? Starsza pani, o której ci mówiłem.

– Jej nie znam, ale czego ty od niej chcesz? – teraz Julia machnęła ręką, jak gdyby chciała się opędzić od natręctw Jana. Wyciągnęła nogi, odrzuciła głowę do tyłu i wypuszczała dym prosto w sufit, tworząc nad sobą szarą mgłę, która z wolna wypełniała pokój.

– Janie – powiedziała pytająco.

– Tak?

– A jak wygląda ta kobieta, ta starsza pani?

– Chodzi w berecie, to znaczy ja ją widziałem za każdym razem w obszernym berecie, z parasolką w ręku... – nie dokończył, bo Julia mu

przerwała.

– A spod beretu wystają jej długie, siwe włosy?

– Tak, znasz ją? – Jan aż podskoczył na fotelu.

– Nie, ale widziałam ją dwa czy trzy razy – przerwała Julia, coś sobie przypominając.

– No, mów.

– Raz przysłała na próbę, podeszła do sceny, a wtedy Pierre do niej zbiegł i szybko ją wyprowadził. Wrócił po paru minutach. Drugi raz to się powtórzyło „Pod Ślimakiem”. Weszła i szła w naszą stronę. Pierre znów do niej wyszedł i wyprowadził na zewnątrz. Byłam pewna, że to jakaś znajoma Pierre’a, może ciotka, ktoś taki, bo wiem, że matka mu dawno zmarła. Ostatnio, dosłownie parę dni temu, ta sama kobieta stała przed wejściem do teatru i stuknęła w drzwi parasolką. Otworzyłam je kluczem. Chciałam, żeby ze mną weszła do środka, nawet powiedziałam, że Pierre pewnie zaraz przyjdzie, ale ona tylko na mnie spojrzała, tak jakoś dziwnie, i odeszła.

– Rozmawiałaś o tym z kimś? Na przykład z Pierre’em?

– Nie, nie było kiedy. Zresztą zapomniałam o niej. Przecież nic się nie stało. Właściwie to nawet nie było o czym gadać.

– Mam prośbę.

– Tak?

– Nadal nie mów o tym Pierre’owi, ani że rozmawialiśmy. O moich przecuciach też nie mów. Może to są rzeczywiście jakieś natręctwa i niepotrzebnie zawracam ci głowę.

– Dobrze. I tak bym nie powiedziała, bo niby dlaczego.

Jan wstał, sięgnął po płaszcz.

– Jak to, wychodzisz? – zdziwiła się Julia.

– Tak, pójdę już. Zdaje się, że jutro czeka mnie sporo pracy.

– Myślałam, że zostaniesz. Przynajmniej do rana – popatrzyła na Jana, jakby jej wyrządzał krzywdę.

– Nie mogę, Julia.

– Ale właściwie dlaczego? Nie podobam ci się?

- Nie o to chodzi.
- A o co?
- Zawsze o to samo.
- O kobietę?
- Tak.
- No to idź sobie – Julia szybko otworzyła drzwi.
- Aha – przypomniał sobie Jan, stojąc w progu – daj mi, jeśli możesz, swój numer telefonu.
- Nie mam telefonu – powiedziała Julia oschle.
- Mówisz poważnie?
- Tak, ani w domu, ani komórkowego.

Jan popatrzył na nią, nie dowierzając.

- Naprawdę – powtórzyła. – Nie są mi do niczego potrzebne.
- Dziwna jesteś.
- E tam... – powiedziała, zamykając drzwi.



Rozdział
VI



*Żyła pewna kobieta, przez którą szatan mówił różnymi językami.
Kiedy egzorcysta zapytał owego szatana o imię, zły duch odpowiedział:
– Jestem tym samym duchem, co ogniem przepędził wojska
chrześcijan, wrogie i nieprzyjazne Czechom.
Zesłałem na owych żołnierzy ogień tak silne, jak piekielny ogień.
Tak Bóg, wysługując się szatanem, ukarał ludzi za ich grzechy.
„Malleus maleficarum”*

VI GRUDNIA MCDLXXXVII

Wczoraj rozpocząłem pięćdziesiąty ósmy rok życia. Dopiero niedawno zauważyłem u siebie dziwną przypadłość, być może skrywaną latami. Mianowicie mam w pogardzie zwierzęta. Takie, które ludzie trzymają dla własnej przyjemności. Nie mówię tylko o kotach, jak wiadomo, zwierzętach szatana, ale nawet o psach czy ptakach – te ostatnie są naznaczone wyjątkową nieczystością. Bierze się to u nich z braku duszy. Tylko dusza może być czysta lub w innych przypadkach pokalana. Żadne zwierzę, nie wiem, jak by się starało, nie dostąpi czystości. Za to człowiek, żyjący w zgodzie z przykazaniami, idzie prostą drogą do zbawienia i wiecznego obcowania z Bogiem. Mój brat zakonny Jakob Sprenger, który bardzo mnie wspierał przy pisaniu „*Malleus maleficarum*” dziwił się zawsze, że gdy widzę kota, to odmawiam modlitwę. Powtarzał: „Nie może być dobrego charakteru ten, co ma w pogardzie braci naszych mniejszych”. W ten sposób nawiązywał do świętego Franciszka. Ja jednak zawsze miałem akurat tego świętego za odmienia i nie trafiały do mnie jego życiowe wskazania. Podobnie Dominik Guzman, gdy spotkał Franciszka na soborze, nie rozumiał, co ten do niego mówi. Poróżnili się bardzo, mając odmienne zdanie na wiele tematów. Jak podaje tradycja, wzięli się nawet za łby i nie kto inny jak papież musiał ich rozłączać. Według mnie jednak, to

nie może być prawda, bo Dominik aż tak długo nie żył, by uczestniczyć w lyońskich soborach. Ludzie strzępią języki i zmyślają historie. Wiele już słyszałem opowieści, co doprawdy miały drogę jak stąd do Indii.

Gdyby wszyscy chcieli się kierować franciszkańską regułą i naśladować świętego założyciela zgromadzenia, Kościół nie przetrwałby jednego wieku, poszedłby na żebrzy jak Franciszek, z bosymi stopami i w plebejskiej tunice. Tego rodzaju egzaltacja nigdy nie była mi miła. Tylko ludzie mądrzy potrafią przechodzić życie w równowadze, bez skrajnych emocji. Co innego psy Pana, czyli my, dominikanie. To się odnosi przecież nie do zwierząt, a jedynie do podległości, także miłości, która jest właśnie taka, jak psa do swego dobroczyńcy.

Nie przypadkiem wspominam o Jakobie. Kiedy niedawno został przeorem konwentu dominikańskiego w Kolonii, jego stosunek do mnie bardzo się zmienił. Do tego stopnia, że ukochany brat zaczął kwestionować moją praktykę inkwizytora. Co bardzo dziwi, gdyż sam został wiele lat temu powołany na to stanowisko, jednak po kilku latach pracy zaniechał starań. Dlaczego? Jeden Bóg raczy wiedzieć. Będę z Jakobem także o tym rozmawiał, gdy zjadę do Kolonii w przyszłym miesiącu na generalne zgromadzenie Braci Kaznodziejów.

Za dużo w ostatnich latach podróżuję. Uświadamiam to sobie z przykrością. Moja praktyka Bożego posłańca, gromiącego ogniem i sznurem, zesłała na drugi plan kosztem tworzenia słowa. Ale czy słowo pisane ma tę samą moc? Odpowiedz, Boże. Tchnij we mnie siłę na kolejne lata.

VI STYCZNIA MCDLXXXVIII

Tak więc zgromadzenie generalne zostało zwołane w Kolonii, a nie w Awinionie, gdzie zwykli przebywać generałowie zakonu. Kolonię wskazano nieprzypadkowo. Ojciec Gioaccino Torriani, nowy generał (*Ordo praedicatorum*), wybrany na kapitule w Wenecji, chciał się zapoznać ze sprawami całego zgromadzenia, ale przede wszystkim łaknął informacji z prowincji Teutonia, w której Kolonia jest miastem najważniejszym.

Niemcy południowe i zachodnie, także pogranicze z Francją i Italią poprzez różnego rodzaju kacerskie wystąpienia, na które, jak mi się wydaje, dozwala cesarz Fryderyk III, od dawna są przyczyną zmartwień nie tylko Braci Kaznodziejów, ale i całego Kościoła świętego.

Nasze zebranie w kościele świętego Andrzeja zaczęło się wraz ze wstającym słońcem. Po nabożeństwie celebrowanym przez Jakoba on sam przywitał wszystkich gości. Nie liczyłem, ale wydaje się, że nie mniej niż stu delegatów przyjechało do Kolonii. Rozpoznawałem wśród nich dobrze znane mi twarze braci inkwizytorów. Obok mnie, z lewej strony, siedział biskup Georg Fabre z diecezji dorpackiej w Inflantach, a z prawej, wielki jak dąb i podobnie rozłożysty, Chryzostom Haman z Salzburga. Z tyłu, dwie ławki dalej, dostrzegłem Gerharda von Eltena, jak już kiedyś pisałem, pracującego na co dzień w Trewirze i Moguncji. Gerhard był świadkiem diabelskich sztuczek w Trewirze, choć pewnie do dziś ma wątpliwości, czy rzeczywiście doświadczyłem spotkania z szatanem, a tym bardziej z prześladowającą mnie od pewnego czasu kobietą.

Kobiety potrafią się mścić z satysfakcją obcą mężczyznom.

Kobiety piękne potrafią zabijać.

Natomiast kobiety piękne i mądre zarazem najczęściej same na siebie wydają wyrok śmierci.

Myśląc o tym, zauważyłem wchodzących, trzymających się pod rękę, ojca Tomasa Hermeschela, od niedawna inkwizytora diecezji salzburskiej, i Johannes Krawnickela z diecezji saksońskiej. Obaj równi wzrostem, w starannie wykrochmalonych habitach, ogoleni i pachnący z daleka, jakby dopiero przed chwilą wyszli spod ręki cyrulika, wyglądali jak bliźniacy, choć nie byli nawet braćmi. Za to słyszałem o ich głębokiej, wieloletniej przyjaźni, która zdaniem wielu, już dawno temu przerodziła się w afekt.

Z daleka, spod bocznej prawej nawy, ukłonili mi się jednocześnie ojciec Nicolas Beier z Magdeburga i Thomas van Dordrecht z Utrechtu – obaj łysi i grubi, tak że siedząc w ławach, każdy z nich zajmował po dwa miejsca, a nie jedno. Widziałem w ich oczach szacunek i domyśliłem się, że każdy już miał sposobność gruntownie się zapoznać z „*Malleus maleficarum*” oraz że zgromadzenie poświęci czas także na podkreślenie znaczenia mojej książki

pisanej z pomocą Jakoba Sprengera. Wkrótce miałem zrozumieć, jak bardzo się myliłem.

Msza święta trwała nadzwyczaj długo, jak zwykle, gdy celebrycę prowadzi mój brat Jakob, nie przechodząc więc na posiłek, przemówił ojciec generał, zdając relację z finansów zakonu, które się przedstawiały bardzo, ale to bardzo korzystnie, przewyższając nasze potrzeby, dlatego razem z zakonem kaznodziejów żywi się też cały Rzym, za co osobiście podziękował ojcu Gioaccino papież Innocenty VIII na audiencji w Kaplicy Sykstyńskiej nie dalej jak dwa tygodnie temu.

– Nasz zakon – mówił ojciec generał – miał już dwóch papieży. Da Bóg, przyjdą następni. My, Bracia Kaznodzieje, potrzebujemy wielkich przewodników, gdyż czasy nadchodzą niełatwe. Wielkich i mądrych przewodników – powtórzył. – Dlatego też zaprosiliśmy do Kolonii naszych trzech braci: Tomasza, generalnego inkwizytora Kastylii i Aragonii, brata Savonarolę z Italii i Kramera z diecezji teutońskiej. Z nich trzech przybył tylko ojciec Kramer. Dwaj pozostali w związku z tym nie wykonali polecenia swojego przełożonego, czyli mojego polecenia, za co zostaną w swoim czasie ukarani. O karze zdecydujemy później.

Rozejrzałem się dookoła, szukając aprobaty braci dla mojej obecności, ale jej nie znalazłem. A to, co za chwilę powiedział ojciec generał, było dla mnie zupełnie nieoczekiwane i przykre:

– Tak więc, zwracam się teraz do ciebie, bracie Heinrichu. Jako zakon zostaliśmy powołani do szerzenia Ewangelii, a nasz drogi brat Dominik de Guzman strawił dorosłe życie na dysputach i przekonywaniu odszczepieńców, jak albigensi czy katarzy, aby powrócili do życia Kościoła. Dominik z nimi rozmawiał, jeżdżąc od miasta do miasta, od wsi do wsi. Walczył z herezją słowem – bronią, której ostrze nie pozbawia życia – ojciec Gioaccino wyjął spod płaszcza moją księgę i siedząc na drewnianym fotelu, pośrodku prezbiterium, położył ją sobie na kolanach. – Wszyscy znamy „*Malleus maleficarum*”. A ci, co nie znają, powinni tę księgę przeczytać, bo jest dla nas nauką i przestrożą jednocześnie. Zawiera bardzo wiele

cennych uwag. I tyle samo – ojciec generał westchnął głęboko – tyle samo błędów.

Chciałem już wstać i zabrać głos, ale ojciec generał mnie uprzedził.

– Walka z czarownictwem, drogi Heinrichu, jest ze wszech miar chwalebna, jednak nie może zastąpić samej Ewangelii. Należy też pamiętać, że w Kościele rodzi się prawdziwy wróg, taki, co poddaje krytyce nasz ustrój, nasze hierarchie, prowadzi wiernych na manowce. Jeszcze nie skończyliśmy z waldensami, a już pojawili się rozłamowcy w rodzaju husytów czy teraz braci czeskich – *Unitas fratrum*, jak sami siebie nazywają. Nie mogę też pozostać obojętny na opisy, jakie przytaczasz w swoim dziele. Mnie samego, starego dominikanina, który obserwował wiele procesów o czary, przerażają. Te wszystkie porady, jak stosować tortury, jakich narzędzi używać, robi mi się od tego niedobrze, bracie. Nie tylko mnie...

– Ależ ojcie – przerwałem mu – obowiązuje nas bulla *Ad extirpanda*, o uznaniu tortur za dopuszczalne w pewnych, szczególnych sytuacjach. Bulla wydana w 1252 roku przez Innocentego IV. Czyżby ojciec zapomniał?

– Nie podnoś głosu, bracie, i nie mów niepytany. Kapituła zwróciła uwagę, że twoja księga, aczkolwiek pisana z dobrymi intencjami, zbyt wiele znaczenia przydaje latającym na miotłach dziewczkom, zamiast się skupić na walce o jedność Kościoła Bożego, przeciw kacerzom. A teraz proszę, żeby się wypowiedział przeor tutejszy, ojciec Jakob Sprenger.

– Wiele lat znamy się z ojcem Heinrichem i wiele razem przeszliśmy – zaczął Jakob, ale widziałem, bo nie siedział daleko ode mnie, że nie chce mi patrzeć w oczy. – Pomagałem nawet pisać jego dzieło, które sygnowaliśmy wspólnie, jednak nie brałem udziału w ostatecznej redakcji księgi, nad czym ubolewam, bo ustrzeglibyśmy się niezręcznych opisów. Dochodzą też do nas słuchy o procesach, jakie brat Heinrich wytacza odstępcom od wiary Chrystusowej. Chwalebne to, lecz zbyt rygorystyczne. Strach trzyma wprawdzie gawieź w karności i posłuszeństwie, niestety, przy okazji sprawia, że lud nie tylko się nas boi, ale zaczyna nami pogardzać. Jako zakon żebraczy skazani jesteśmy na to, co dostaniemy. Źle się stanie, jeśli lud się od nas odwróci i pójdzie w inną stronę. Aż boję się pomyśleć, w jaką. Wielu jest odszczepieńców kradnących nam dusze. Nie muszę braciom przypominać, że aby sprawować

posługę kaznodziejską, potrzebujemy dusz. Potrzebujemy ich także dlatego, by utrzymać liczne domy i konwenty zakonu. A i o świętopietrze trudniej, gdy panowie nie chcą łożyć, zniechęceni odpływem wiernych w stronę tych, co kwestionują rządy papieskie. Nie muszę też mówić, że obserwujemy coraz głębsze pęknięcia w Kościele Piotrowym. Przeciwno rozłamowcom trzeba coraz częściej wysyłać już nie ewangelistów, ale rycerzy, by mieczem przywracali porządek.

Kiedy mój brat mówił, zauważyłem, że coś dziwnego dzieje się z ojcem generałem. Siedząc w fotelu z wysokim oparciem, w samym środku prezbiterium, począł majstrować przy habicie, z jego tylnej strony. Wiercił się przy tym i nieznacznie sapał. W końcu dobył coś, co przypominało ogon zakończony wydatnym pędzelkiem, i tym czymś zaczął kręcić młynka. Raz w jedną, raz w drugą stronę, jednocześnie przypatrując mi się uważnie i dobrotliwie uśmiechając. Dostrzegłem też, że Jakob, mówiąc, coraz szerzej otwiera usta, jakby miał za chwilę zacząć krzyczeć. Z rozdziawionej gęby wystawały mu jednak nie zęby, a siekacze niczym kły wilka. W jednej chwili wszyscy podwinęli habity, dobyli ogonków i uruchomili młynki, miarowo, to w prawo, to w lewo, spoglądając przy tym na siebie z wielkim zadowoleniem. Biskup Fabre, siedzący najbliżej, z lewej strony, pochylił się do mojego ucha i natchniony szepnął:

– Dobądź i ty ogonek, czemu nie dobywasz, dobądź i kręć, gdyż wszyscy kręcimy, to tak, to tak, o, zobacz, w tę i we w tę – i poprowadził takiego młynka, że inni bracia przestali kręcić i patrzyli z zachwytem na ojca Fabre, który podnosił i schylał przy tym miarowo głowę, a ja zauważyłem, że z jego tonsury wyrastają rogi, niby koźle lub baranie, i stają się coraz wydatniejsze, co wprawia zgromadzonych w jeszcze większy zachwyt. Chwyciłem się za habit, jego tylną część, żeby sprawdzić, czy i mnie nie doprawiono ogonka. Pomacałem w miejscu, z którego innym wyrastał, ale nie było tam nic z wyjątkiem grubego, lnianego materiału. Uspokojony, że przynajmniej ja wyglądam normalnie, dalej przypatrywałem się moim braciom.

Na dokładkę stało się coś jeszcze dziwniejszego. Ojciec Gioaccino wstał z fotela, podciągnął habit i zaczął podrygiwać w rytm śpiewów, które pewnie tylko on słyszał, a podciągnięty wysoko materiał ukazał zamiast

ludzkiej czarcią stopę, śmigającą po kościelnej posadzce niczym łyżwa po zamrzniętym stawie. Gdy habit podnosił zbyt wysoko, ukazywało się przyrodzenie, wielkie jak kolumna w świątyni i wątliwej urody, bo czarne. Kiedy i sam złapałem się za krocze, by sprawdzić, czy i mnie się coś nie stało, nagle usłyszałem podniesiony głos brata Jakoba:

– Heinrich, ojciec Heinrichu, czy mnie słyszysz? – Jakob stał przede mną i potrząsał mną za ramiona.

– Jakże inaczej, oczywiście, że słyszę – odpowiedziałem najszybciej, jak mogłem, by z kolei nie dać im powodu do niepokoju. Udałem, że nic się nie stało, że niczego nie zauważyłem. Nawet jeśli mnie chcieli sprowokować – nie osiągną celu. Ogonek Sprengera, jak również ogonki innych braci gdzieś się pochowały. Znikły też kły Heiniego, rogi mojego sąsiada z ławy, nawet ojciec generał przestał płaszać i znów zasiadł w fotelu. Mimo wszystko oczy ojców kaznodziejów patrzyły na mnie podejrzliwie, a ja wiedziałem, że nie mogę okazać zakłopotania, gdyż oni tylko na to czekają.

– I co, zgadzasz się z naszą opinią? – spytał Sprenger.

– Tak, mogę przyznać, że się zgadzam – odpowiedziałem na wszelki wypadek twierdząco, nie wiedząc jednak, co potwierdzam.

– Niech więc tak będzie – powiedział ojciec Gioaccino. – Na wschodnich rubieżach cesarstwa możesz używać swoich metod, ale tylko tam. Czechy i Morawy są wystarczająco daleko od nas, by wieści, idąc tygodniami, straciły na wiarygodności i na aktualności.

Ostatnie słowa, gdy je właściwie zrozumiałem, dopiero później nabrały dla mnie istotnego znaczenia.

W taki sposób zostałem dziś mianowany wizytatorem zgromadzenia ojców predykantów dla dzielnic Saksonia, Czechy oraz Morawy. Z moją misją wiąże się posługa inkwizytora, choć nikt tego głośno nie wypowiedział ani nie wymagał. Udam się tam niezwłocznie, jak tylko otrzymam stosowne pełnomocnictwa podpisane przez generała naszego zakonu.

Mam tylko nadzieję, że zgody nie będzie podpisywał pędzlem, w który jego ogonek był zaopatrzony na samym końcu.

XXV KWIETNIA MCDLXXXVIII

Rozpoczynam czwarty już miesiąc posługi w dzielnicy Morawy, do której zostałem zesłany przez moje zgromadzenie za winy, których nie popełniłem.

Dalej niż na wschodnią rubież rzymskiego chrześcijaństwa już nie mogli mnie posłać. Ruskie Bizancjum, jakie rozciąga się nieopodal, to kraina dla nas nieprzenikniona. Z kolei na północ, za Karpatami, wielka, słowiańska Polska, tocząca nieustanne wojny z nami, Germanami i z naszym ramieniem, jakim jest *Ordo fratrum domus hospitalis Sanctae Mariae Theutonicorum in Jerusalem*. Zaiste, dziwny to naród Polacy. Ich książęta najpierw sami sprowadzili do siebie rycerzy zakonnych, a teraz z nimi walczą, zamiast pomagać w nawracaniu pogańskich plemion.

Liczne podróże pozwoliły mi sobie wyrobić opinie o ludach i narodach spotykanych po drodze. Niektóre, jak mój własny, poznałem dobrze, inne mniej. O każdym mam swoje zdanie.

Czesi, wśród których spędzam ostatnio najwięcej czasu, to ludzie praktyczni. Niewiele mówią, za to dużo robią. Mają wielu dobrze wykształconych, nie tylko duchownych, których imiona znają wszyscy. Nie przypadkiem pierwszy uniwersytet na tych ziemiach założono w Pradze, mieście cesarskim, lecz sami Czesi nie chcą być uważani za część cesarstwa. Zamożnością czeskie miasta nie ustępują niemieckim czy francuskim, są za to lepiej od nich ułożone, okazalsze i czystsze, choć tych miast nie ma zbyt wiele. Jak już są – cieszą oczy. Ludzie przychylni, chociaż, według mnie, na pozór. Lubią się przymilić, ale co sobie tam myślą – Bóg raczy wiedzieć. Nie dziwi mnie, że w tym kraju działał Jan Hus, gdyż łączy Czechów potrzeba, której innym brakuje, mianowicie potrzeba reform, a Kościół się do tego nadaje jak nic innego na naszym, Bożym świecie. Jako ludzie przeważnie skromni, choć bywa, że wyjątkowo majątni, myślą rozsądnie, lecz często naiwnie. Między sobą porozumiewają się dziwnym językiem, bo tego wymagał od nich za życia biedny Hus. Na szczęście znajomość klasycznych języków, łaciny oraz greki, także niemieckiego, szczególnie w warstwach oświeconych, pozwala się z nimi porozumiewać bez większych problemów. Poznałem ich wielu. Bystrość Czechów, w połączeniu z rozległą wiedzą, każe ich stawiać

na pierwszym miejscu wśród narodów. Będzie jeszcze czas, w innym miejscu, o nich powiedzieć.

O Polakach wiem niewiele. Stworzyli swoje państwo na wzór cesarski, będąc oprócz cesarstwa drugą wielką siłą, tyle że skierowaną ku wschodowi i północy. Dwa moje, niedawne, krótkie pobyty w Krakowie, mieście królewskim, dały mi ogólny obraz. Kraków nie może się wprawdzie równać z Pragą czy miastami niemieckimi, jednak sława krakowskiego uniwersytetu zaczyna przewyższać sławę praskiej uczelni. Do Krakowa, w ostatnich latach, zaczynają ściągać wybitni artyści, nie tylko niemieccy, także włoscy, czyniąc z polskiej stolicy drugą Florencję. Jak słyszałem w czasie mojego ostatniego pobytu w tym mieście, mają też plany rozwiązania kwestii żydowskiej. Żydzi, słusznie przepędzani z Hiszpanii, Francji, Niemiec i Czech, znajdują, nie wiedzieć czemu, coraz częściej oparcie w Polsce, przeważnie zaś w Krakowie. Stąd pomysł, by ich wysiedlić ze stolicy, gdzie się panoszą ich kupcy i lichwiarze, do sąsiedniego miasteczka, nazywanego Kazimierzem na pamiątkę ich króla, który zakładał miasto, jak wszystkie polskie miasta, na prawie niemieckim, czyli magdeburskim, z górą sto lat temu. Czy tak będzie, tego nie wiem. Jak mi się zdaje, cechą wspólną Polaków jest nadmierna kłótność, która zaczyna się na górze, a przenosi na dół, do szynków i karczm, kończąc się bijatykami, nawet zabójstwami, gdyż tylko tak potrafią rozwiązywać spory. Z charakteru, jako Słowianie, bardziej podobni do Czechów niż Niemców, mają jednak w sobie coś, czego gdzie indziej nie spotkałem. Mianowicie upór, który ich doprowadza do rzeczy wielkich, ale czasem kieruje ku zgubie. Czech, gdy uparty, umie się, z nielicznymi wyjątkami, w swoim uporze zatrzymać. Polak nigdy. Przebywając w krakowskim konwencie dominikańskim, byłem świadkiem, jak nasi bracia, zamiast toczyć dysputy istotne, kłócili się nawet o rzeczy błahe, jak posiadanie dóbr doczesnych, co nie przystoi chodzącym w habitach.

Niemcy, do których sam się zaliczam, są mi najbliżsi, jednak najmniej ich rozumiem. Nie trzeba ich też specjalnie przedstawiać, bo są wszędzie, jak Żydzi, tyle że otoczeni należnym szacunkiem. Nie pojmuję, skąd bierze się nasza wielkość, przy niewątpliwej ociążałości. Gdy dwóch z nas rozmawia, jakby dwoma językami gadamy. Potrzebujemy trzeciego, co nam prawdę

wyłoży. Na końcu każdy zostaje przy swoim zdaniu. Wielkość nasza może się brać z obowiązku. Każdy, niezależnie od tego, czy uprawia małą płachtę ziemi, czy rządzi królestwem, wykonuje swoją pracę, najlepiej jak umie, nie oglądając się na innych. Potrzebuje tylko przewodnika, co nad nim stanie, i pogoni, gdy trzeba, któremu będą ufać jak ojcu. Jesteśmy w tym podobni do pierwszych Izraelitów i tak jak oni wspierani ręką Boską, bo inaczej naszej wielkości i znaczenia nie umiem wytłumaczyć.

Francuzi zawsze chcieli przewodzić. Dopóki robią to na swojej ziemi – droga wolna. Gdy zaczynają u siebie stawiać tron papieski, stają się żałośni i śmieszni. Wiele razy podróżowałem i, da Bóg, jeszcze będę, do miast środkowej Francji. Nasze konwenty są największe i najbogatsze właśnie tam. Nigdzie też my, dominikanie, nie znajdujemy takiego posłuchu wśród ludzi, jak we Francji. Bierze się to z bojaźni. Francuz puszy się i gdacze, jak bażant ukryty w zbożu. Gdy go wyprowadzić na odkryte pole, przestaje stroszyć pióra. Silny w ukryciu, a najlepiej w grupie, traci odwagę, zostawiony sam sobie. Nie mam dobrego zdania o Francuzach, podobnie jak oni o nas, Niemcach.

O ludach Italii czy Hiszpanii wiem za mało, by się tu wypowiadać. Tym bardziej o Anglikach, od których dzieli nas morze. Takie są główne ludy, a wszystkich łączy jedno, niezależnie od tego, skąd pochodzą i jak sami się określają. Gdy wyczuwają niebezpieczeństwo ognia, który może im przypiec stopy, jednakowo się boją, a strach przed umieraniem w mękach paraliżuje do tego stopnia, że nie potrafią ginąć z godnością, złorzecząc i krzycząc o ratunek. A przecież nawet nasz Pan nie pomógł, gdy Syn prosił, umierając na krzyżu. Albowiem, co zostało postanowione, już się nie odwróci, próżne lamenty i żale. Trzeba je, zawczasu, zwracać ku naszemu Panu. Człowiek, ja także, jest tylko Jego skromnym narzędziem. Sierpem tnącym, młotem uderzającym. Każdy pobożny chrześcijanin powinien te dwa narzędzia, rzucone na krwistą czerwień tła, uczynić swoim znakiem, flagą i herbem. Da Bóg, kiedyś tak się stanie, gdy owe znaki Kościoła ogarną cały świat.

XVI LISTOPADA MCDLXXXVIII

Siedzę tu już wiele miesięcy. W Ołomuńcu, w konwencie moich braci. Banicja, na jaką mnie zesłano, doskwiera, uraża moją dumę i moją duszę. Czyżbym uczynił za mało, by cieszyć się szacunkiem? Bracia dają mi jeść, dają miejsce do spania, lecz nic więcej. Wielu nie podziela decyzji kapituły. Dziwią się, że spędzam czas na czytaniu i pisaniu, zamiast aktywnie uczestniczyć w tym, do czego mnie powołano. Tylko czy moje powołanie jest jeszcze komuś potrzebne? Dochodzą mnie słuchy, że moja księga, powielona w wielu egzemplarzach, trafia tam, gdzie chciałem. Jest czytana w parafiach, zakonach, a jej fragmenty, zdarza się, księża ogłaszają w czasie nabożeństw ku przestrodze, o czym donoszą bracia, częściej ostatnio niż ja podróżujący. Raz na jakiś czas jestem proszony o udanie się poza miasto, dla rozpoznania zdarzeń, z których każde, jak do tej pory, okazywało się fałszywe. Najdalej byłem w mieście Brno, drugim, po Ołomuńcu, najważniejszym mieście dzielnicy Morawy. W Brnie, w naszym domu zakonnym, spotkałem starego ojca Sveraka, który uczestniczył w kolońskiej kapitule, nie wiem tylko, bo nie miałem śmiałości pytać, czy także głosował za moim przeniesieniem. Domyślałem się, że głosował za, bo nie chciał ze mną długo rozmawiać. Sverak, niemal osiemdziesięcioletni kaznodzieja, od z górą trzech dekad pełnił posługę przeora w Ołomuńcu, choć wolał mieszkać w brneńskim konwencie. Pewnie dlatego, że się w tym mieście urodził i miał w Brnie liczne stado swojej bliższej i dalszej rodziny. Poruszaliśmy tematy mało ważne, a na pożegnanie powiedział:

– Widzisz sam, Heinrichu, u nas nie ma już czarownic, nie ma też Żydów, za którymi tak często się oglądamy. Czarownice dawno spaliliśmy, a Żydów przepędziliśmy do wszystkich diabłów. Nie ma też w takim razie dla ciebie pracy, nad czym boleję, bo nie jesteś jeszcze stary. Zajmij się pracą duszpasterską, jak my wszyscy teraz. Przyjdzie lepszy dla ciebie czas, to i znów zaczniesz rozpalać stosy.

Nic na to nie odpowiedziałem. Wolałem przemilczeć, by nie powiedzieć zbyt wiele.

XI STYCZNIA MCDLXXXIX

Dziś rano przyszło do mnie wezwanie od pana Sternberka, właściciela wsi i zamku na północ od Ołomuńca. Wezwanie, ustne, przynieśli mi dwaj bracia, którzy wracając z Krakowa, zatrzymali się na noc w sternberckim zamku, niecały dzień jazdy od Ołomuńca. Gdy pan Sternberk dowiedział się o moim pobycie w konwencie, jak mówili bracia, pobycie „tak znamienitego gościa”, natychmiast prosił o mój przyjazd. Pochlebia mi to, że w dalekim kraju znane jest moje nazwisko. Przygotuję się i w kilka dni ruszę, mając za przewodnika któregoś z braci, znających dobrze drogę. Mam nadzieję na przerwę w monotonii ostatnich dni i miesięcy.

XXII LUTEGO MCDLXXXIX

Dopiero teraz, przeszło miesiąc od przyjazdu do zamku, mam czas pisać. Miesiąc minął szybko, wypadki trudno spamiętać i opowiedzieć. Zacznę od początku. Pan Sternberk wprowadził mnie w historię swojej rodziny. Kupili zamek niemal sto lat temu. Razem z zamkiem wieś, a ze wsią robotników pracujących na roli. Wieś jest rozległa i bogata. Nie ma drugiej takiej na Morawach, w której ludzie by trzymali tyle owiec, co tu. Mają też ogromne plantacje śliw, grusz, moreli i jabłek. Rozpytywałem o uprawę winnej latorośli, jednak klimat okazuje się tu zbyt surowy. Nieco dalej na południe, ku Węgrom, winogrona bywają główną uprawą. Tu nie, jedynie dla siebie, na własny użytek, każdy ma po trochu.

W czasie wojen z husytami jego dziad wspierał katolicką tradycję, wysyłał nawet własnych zbrojnych przeciw husytom, a potem zawierał kompromisy z utrakwistami. Zamek, kilka razy zdobywany to przez jednych, to przez drugich, mocno podupadł, nawet dziś jeszcze widać ślady dawnych walk. Ojciec pana Sternberka, wiele lat później, wspierał oddziały króla węgierskiego Macieja, gdy jego wojsko próbowało odbić Morawy z rąk czeskiego króla Jerzego, by w końcu przejść na jego stronę. Pan Sternberk dziś, to zachowanie bardzo mi pasuje do Czechów, nie jest ani po jednej, ani po drugiej stronie, obie uważając za zbyt radykalne.

Na przywitanie pokazał mi piwnice. Już przygotowane na mój przyjazd, oświetlone jaskrawo świecami. Wybrałem wino. Niemieckie, czerwone reńskie. Byłem ciekaw, co mu kazało po mnie słać, zostawiłem jednak ciekawość na później, zgodnie z maksymą: nie pytaj, jeśliś ciekawy, odpowiedź przyjdzie sama.

Gdy zasiedliśmy do stołu, sam zaczął mówić. Widziałem, że stół go cieszy. Umie i lubi zastawiać. Na zamku mieszka z żoną, córką, a także z dwiema siostrami, które utraciwszy mężów, wróciły do swoich panieńskich posiadłości, przywożąc w darze całkiem pokaźny majątek, a pan Sternberk obiecał im opiekę do końca życia. Jego lub ich życia.

Żona i córka przysły pierwsze. Schodziły z wolna kamiennymi schodami do jadalni, a ja wyobraziłem sobie, że oto idą Anna i jej matka. Zamknąłem na chwilę oczy, by sobie przypomnieć ich wizerunek. Piękny i bolesny zarazem. Mara natychmiast odeszła. Obie panie Sternberk nie przypominały ani jednej, ani drugiej. Raczej tęgie i brzydkie. Siostry pana Sternberka przysły ostatnie. Z nich wszystkich gospodarz wydawał się mieć najciekawszą powierzchowność. Dzieci, jak się okazuje, także siostry, nie mówiąc o żonach, nie zawsze dorównują urodą i postawą patronom rodzin.

Wszyscy mieszkańcy zasiedli do stołu. Podawali trzej słudzy ubrani z niemiecka, takie, zdaje się też, było ich pochodzenie. Pan Sternberk, młodszy ode mnie znacznie, przypominał mi mojego brata Jakoba. Wysoki, dobrze zbudowany, z długimi, spadającymi aż do ramion, lekko już siwymi włosami. Tak jak Jakob, nosił długie bokobrody i tak jak mój brat zakonny, trzymał na nosie okulary dla lepszego widzenia. Poprawiał je ciągle, bo mu się zsuwały z nosa. Zwróciłem uwagę na jego dłonie, wielkie i poorane. Zauważył, że się im przyglądam.

Powiedział: „Tak, tak, narąbało się tego i owego w życiu”. Ubiór pana Sternberka wskazywał, że nie przywiązuje zanadto uwagi do swojego wyglądu. Ja, pierwszy raz od dawna, zdjąłem habit, założyłem na tę okazję swój czarny surdut z białym, wysokim kołnierzem. On, w tym, co miał na sobie, mógł iść do pracy w polu. Koszula szara, płócienna, przykryta czarną, skórzaną tuniką opadającą na spodnie, których koloru nie jestem nawet

w stanie zgadnąć. Wydaje się, że były nieco zbrudzone. Inaczej niż moje, wiśniowe, z prawdziwego, angielskiego płótna. Jedynie buty, one zwróciły moją uwagę. Wysokie do kolan, brązowe, z cielecej skóry, wyczyszczone sadłem, lśniące. Niedbałość w wyglądzie, za wyjątkiem właściwego obuwia, pan Sternberk pokrywał, i to z nadatkiem, swoją wiedzą i umiejętnością logicznego myślenia.

Kolacja, a raczej późny obiad (przyjechaliśmy tuż po południu, wyjeżdżając o świcie), przeciągnęła się niemal do północy. O tym, że pan Sternberk dba o posłuch w swoim domu, świadczy to, że w czasie posiłku, gdy on mówił i ja, ani żona, ani córka, ani siostry nie odezwały się słowem. Grzecznie zjadły, wypity, posłuchały, co ma do powiedzenia mąż, ojciec i brat, wstały po dwóch godzinach, pożegnały się i wyszły, a my dopiero zaczęliśmy dyskusję. Takiej, na tej morawskiej pustyni, od dawna mi brakowało. Spisując dopiero teraz, nie wszystko będę umiał spamiętać.

– Bardzo mnie to cieszy – zaczął pan Sternberk – że ojciec znalazł czas i do nas przyjechał.

– W mojej sytuacji każde wyjście z celi jest zbawienne – zażartowałem. – Tym bardziej wyjazd w tak piękne i znane wszystkim Czechom miejsce. Dziękuję, panie Sternberk, za gościnę, a przede wszystkim zaproszenie.

– Wiem, bo mam przyjaciół w Niemczech, że oddelegowano ojca na Morawy i że ojciec, nie chcąc, musiał się zgodzić.

– Tak właśnie było.

– Klaus, księga! – pan Sternberk zawołał na służącego, który po chwili wniósł na srebrnej tacy „*Malleus maleficarum*”. Pan Sternberk położył ją na stole. – Jak ojciec widzi, staram się zapoznawać z ważnymi dziełami – powiedział, oddalając służącego i kładąc mu zabrać butelki, a przynieść beczułkę z winem. – Przeczytałem od początku do końca. Mogę ojca pochwalić za umiejętność pisania. Jednego tylko nie rozumiem – Sternberk zawiesił głos.

– Spróbuję wytłumaczyć, gdy się dowiem, czego – zaproponowałem, patrząc niecierpliwym okiem na beczułkę, co gospodarz zrozumiał, odkręcając korek i nalewając kielichy do pełna.

– Otóż, szanowny ojcie, nazwisko ojca znam od dawna. Ono budzi strach

wśród gawiedzi w całych Niemczech, a teraz, gdy wyszła ojca księga, także w innych krajach. Jednak tylko wśród gawiedzi. Najwięksi tego świata mają ojca dzieło w pogardzie. Czy ojciec o tym wie? Czy się domyśla dlaczego?

Nie wiedziałem, do czego zmierza ta rozmowa. W ten sposób rozpoczętą uznałem za niemiłą, a gospodarza nieuprzejmym. Już się podnosiłem, by wyjść, gdy Sternberk przechylił się przez stół i złapał mnie za rękę.

– Niech ojciec się nie obraża – powiedział, na powrót, swoją wielką dłonią, sadzając mnie w fotelu. – Mówię, co myślę, może nie powinienem, ale taki już jestem. Jak niedźwiedź na salonach.

– Niech pan mówi dalej – odparłem.

Pan Sternberk zaczął tłumaczyć. Według niego jesteśmy na progu wielkich zmian.

– Wyczuwam je, panie Sternberk – przyznałem. – Nie wiem tylko, w którą stronę pójdą.

– W którą, to jeszcze się okaże – mówił dalej. – Zasług ojca nikt nie podważa, a jednak coraz częściej słychać, że ojca działalność odwraca uwagę od prawdziwych problemów i realnych win Kościoła.

– A skąd pan ma taką wiedzę, panie Sternberk? – spytałem, nie całkiem rozumiejąc jeszcze, o co mu idzie.

– Co by ojciec powiedział, gdybym ujawnił, że są ludzie, można ich nawet nazwać zebraniem, choć nielicznym, któremu zależy na zmianach – Sternberk popatrzył na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy może się dalej posunąć.

– Spytałbym kim są ci ludzie i o co im chodzi – pozwoliłem mu mówić, choć nie byłem wcale pewien, czy chcę czekać na odpowiedź.

– Powoli, dojdziemy do tego, nie musimy się śpieszyć. I ojciec, i ja mamy przecież dużo czasu – spytał, czy jestem może głodny, gdy powiedziałem, że nie, dolał tylko wina i rozwijał swoją myśl. – Każda wojna musi mieć swoje ofiary. Wojna bez ofiar to jak pole bez upraw. Jałowicie, nie daje plonów. Rozumiem, że na swojej drodze i ojciec prowadzi wojnę, bierze jeńców, czasem wymierza najwyższą karę. Czy ojciec się zastanawiał, kto na tym korzysta? Kto wygrywa tę wojnę?

– My wszyscy, panie Sternberk, my wszyscy – powtórzyłem.

– Ja, i nie tylko ja, uważamy, że jest całkiem inaczej.

– Niech pan mi to wyjaśni, bo nie rozumiem – zaczynał mnie męczyć ten sposób prowadzenia rozmowy. W dodatku rozmawialiśmy po niemiecku, a pan Sternberk, mimo że znał mój język, to jednak długo dobierał słowa, rozciągając zdania, wpatrując się we mnie, jakby rzeczywiście chciał się upewnić, czy rozmawia z właściwą osobą.

– Bo widzi ojciec – mówił – praca ojca, jej owoce, odwracają uwagę od prawdziwych grzechów Kościoła. Im trzeba wydać wojnę.

– Ale dlaczego?

– Żeby uczynić świat lepszym, sprawiedliwszym. Czy to nie jest wystarczający argument?

– Nie wierzę w takie zamysły. Ludzie ze swej natury są grzeszni i źli. Włada nimi szatan, nie Bóg. Moim zadaniem jest pozbawienie szatana jego mocy i przywracanie Bożego porządku.

– Jakie to się wydaje proste, ojcze, jakie proste. Kiedy ojciec wytacza procesy czarownicom, oskarżając je o najgorsze zbrodnie, w tym samym czasie dostojnicy Kościoła uprawiają symonię, kupczą odpustami, uprawiają nierząd. Wysyłając ojca do walki z prostym człowiekiem, odwracają uwagę od swoich grzechów...

– Nie, panie Sternberk – przerwałem mu. – Myli się pan. Banicja, na jaką mnie skazano, świadczy o czymś innym.

– A skąd ojciec wie, kto stoi za tą, jak ją ojciec nazywa, banicją? – Sternberk uśmiechnął się figlarnie.

– Kto, według pana?

– Mamy swoich ludzi, ojcze. W miejscach, których by się ojciec nawet nie spodziewał.

Zadziwiał mnie Sternberk. Czesi są narodem cichym, ale przebiegłym, powolnym, lecz byстрыm. Zdążyłem się już o tym przekonać. Nie musiałem tego słuchać. Mimo wszystko nadstawiłem uszu, skuszony tajemnicą, o jakiej bez wątpienia chciał mi opowiedzieć pan Sternberk.

– Nawet w zakonie kaznodziejów – mój gospodarz kontynuował. –

W innych miejscach też. Duchowni i świeccy jak ja. Niemcy, Francuzi, Czesi, ludzie z Italii, nawet z Węgier i Polski. Ojca brat, Girolamo, z którym ojciec się nie tak dawno spotykał...

– On też? – znów przerwałem. – Jak? Co? Dlaczego? – spytałem chaotycznie, nieskładnie.

– O nim mogę powiedzieć, bo szczerze mówiąc, sam się ujawnił – przyznał Sternberk. – O innych, przynajmniej na razie, nie.

– Czego chcecie? – dopytywałem, bardziej zaniepokojony niż ciekawy dalszego ciągu.

Pan Sternberk podszedł do półki stojącej przy ścianie. Sięgnął po Pismo Święte, wrócił do stołu, przerzucił karty, począł czytać:

– „A kiedy Piotr wchodził, Korneliusz wyszedł mu na spotkanie, padł mu do nóg i oddał pokłon. Piotr podniósł go słowami: Wstań, ja też jestem człowiekiem”. I jeszcze: „Kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony”. Rozumie ojciec?

Wyrwałem mu Pismo z rąk. Znalazłem odpowiednią stronę.

– „Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców. Każde drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone” – przeczytałem.

– Święte słowa, ojczy, każde, które nie wydaje dobrego owocu. Dobrego! – powtórzył głośno Sternberk. – A ojciec co robi? Wrzuca w ogień te dobre i te złe.

– Hieronim, panie Sternberk, powiada: „Trzeba odciąć zgangrenowane członki i usunąć z trzody parszywą owcę, aby cały dom nie spłonął, nie popsuła się cała masa, nie zaraziło się całe stado, nie zginęła cała trzoda”. A Dominik: „Człowiek ma rozum i rękę”

– Wystarczy – przerwał mój gospodarz. – W cytowaniu świętych nie dotrzymam ojcu kroku.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – spytałem.

– Tylko tego, żeby mnie ojciec wysłuchał – odparł, po czym wstał, przeszedł

na moją stronę stołu, wziął mnie pod rękę i nic nie mówiąc, poprowadził ku piwnicom, w których już dziś byliśmy, gdy wybieraliśmy wino.

Na dole panował mrok. Gdy nasze oczy nieco się przyzwyczyły do ciemności, pan Sternberk sięgnął w sobie tylko znane miejsce, biorąc do ręki patyk. Przeciągnął nim po ścianie i patyk w jednej chwili zapłonął. Poczulem zapach siarki, jakbym zstąpił do piekieł, cofnąłem się, ale pan Sternberk przytrzymał mnie za ramię.

– Nie obawiaj się, ojcie – powiedział, kładąc rękę na moim ramieniu.

Następnie podpalił trzy świece i w piwnicy zrobiło się jasno. Zobaczyłem tę samą co wcześniej ścianę z półkami, na których leżakowały butelki wina, niektóre z nich na dole, prawdopodobnie najstarsze, pokryte kurzem. Sternberk chwycił półkę z jednej strony i popchnął od siebie. Konstrukcja ściany poruszyła się, a Sternberk popychał dalej, tworząc najpierw wąski przesmyk, a potem szerokie przejście do następnego pomieszczenia. Półka, obrócona dookoła, znalazła się teraz za naszymi plecami. Mój gospodarz zapalił kolejne świece, a ja ujrzałem pomieszczenie większe niż piwniczka dla win. Wypełnione książkami, setkami książek, ustawionymi na półce przy dłuższej ścianie na wprost. Krótszą ścianę, z mojej prawej strony, pokrywały malowidła, na podobieństwo tych, które widziałem w Kaplicy Sykstusa na Lateranie. Może tylko nieco przybladłe ze starości. Przedstawiały młodzieńca toczącego walkę ze zwierzęciem, jak mi się zdawało, bykiem.

– Moje królestwo – odezwał się Sternberk. Otworzył butelkę wina, napełnił kielichy.

Usiedliśmy w fotelach przy niskim stole nakrytym białym obrusem.

– Niech ojciec sobie popatrzy, co my tu mamy – Sternberk zachęcająco kiwnął głową.

Wstałem, sięgnąłem po świecę. Najpierw, z czystej ciekawości, przeliczyłem, ile jest książek na jednej z pięciu półek, tej środkowej. Od lewej do prawej stało dziewięćdziesiąt ściśniętych grzbietów. Razy pięć półek to

będzie około czterystu pięćdziesięciu ksiąg. Biblioteka watykańska, nie tak dawno przecież założona, liczy już prawie cztery tysiące woluminów i nie znam większej, ale ponad czterysta w prowincjonalnej czeskiej bibliotece należącej do człowieka, o którym jeszcze niedawno w ogóle nie słyszałem, zrobiło na mnie znacznie większe wrażenie niż tysiące watykańskich dzieł. Brałem po jednej księdze, wertowałem kartki i odkładałem na miejsce.

– Jak ojciec widzi, cała literatura klasyczna – odezwał się pan Sternberk. – Głównie przepisana ręką mnichów, ale są też nowe inkunabuły. A to rarytas – wyciągnął z najwyższej półki oprawioną w brązową skórę księgę i dał ją Kramerowi. – „Psałterz moguncki” wydany przez Fusta i Schöffera, kiedyś wspólników Gutenberga. Jak ojciec wie, Gutenberg zaciągnął u nich dług. Nie mogąc go spłacić, musiał oddać całą manufakturę w ręce wspólników. Na końcu, w kolofonie, znajdzie ojciec datę. 14 sierpnia 1457 roku. Wysokiej jakości pergamin, kolorowy, czarno-czerwono-niebieski druk. Pierwsza księga, jaka wyszła z mogunckiej drukarni.

Odłożyłem na miejsce, przyjrzałem się innym tomom. Zobaczyłem „*Res gestae*” Ammianusa Marcellinusa, przyjaciela Homera, Sofoklesa i Cyncerona, najskromniejszego z największych, a także dzieła jego wielkiego ucznia Jana Chryzostoma: „*Homiliae XXI de statu ad populum Antiochia*” i „*Quales ducendae sint uxores*”. Znalazłem też poezje Decimusa Ausoniusa Magnusa „*Eglogarum liber*”, „*Caesares*” – szczególnie ceniłem tę drugą księgę, opisanie językiem poezji dwunastu cesarzy, których wcześniej w swoich dziełach przedstawił Swetoniusz.

Niżej, stojące obok siebie, dzieła świętego Augustyna. Zobaczyłem „*Confessionum libri tredecim*”, które czytałem, studiując w Strasburgu, „*Adversus iudaeos tractatus*”, „*Contra epistolam Manichaei quam vocant fundamenti liber unus*”, a także „*De opere monachorum liber unus*”, „*De grammatica: Regulae*”, „*De natura boni contra Manichaeos liber unus*” oraz „*Psalmus contra Partem donati*”. Jeszcze niżej księgi Williama Ockhama: „*Summa logicae*”, „*Quodlibet septem*”, „*Summulae in octo libros physicorum*”, „*Opus nonaginta dierum*” i „*Questiones erumque decisiones*”, a także „*Kazania*” Johanna Taulera. Wszystkie te dzieła były mi lepiej lub

gorzej znane, choć niektóre tylko z nazwy. O dziele Piotra Chelczyckiego „Sieć wiary” przestrzegano mnie w Rzymie, jako księdze husyckiej, utopijnej i rozłamowej. Chelczycki wierzył, że świat powinien wyglądać tak, jak z kazania Jezusa na Górze – oczyszczony z grzechu, niewinny, szczęśliwy. Nie zdawał sobie w swojej naiwności sprawy, że aby się tak stało, trzeba ten stan uprzednio wywalczyć mieczem i ogniem, a ponoszone ofiary przybliżają nas do pokoju Bożego. Sięgnąłem po księgę i zobaczyłem na stronie pierwszej dedykację: „Dla brata Jana Sternberka ad mcdxlii”. Pan Sternberk zauważył, że czytam.

– To mój dziad, przyjaciel Chelczyckiego – wyjaśnił, nie ruszając się z fotela. – Studiowali razem na praskim uniwersytecie za czasów Husa. Znajdzie tu ojciec wiele bardzo cennych tomów. Także nuty, szczególnie mi bliskie, bo sam tworzę muzykę. Niestety, nie jestem w tym mistrzem, więc moje utwory śpiewa, i to tylko od czasu do czasu, chór parafialny w naszej wsi. Proboszcz, poczciwy człowiek, jednak nie gustuje w moich kompozycjach. Niech ojciec spojrzy – pan Sternberk podszedł do półki i pokazał palcem na najniższą – nuty flamandzkich mistrzów: Johanneses Ockeghema, Heinricha Isaaca, Jakoba Olbrechta, Guillaume de Faya. A te są pisane moją ręką. Już białą, a nie czarną menzurą, to znaczy czarne są jeszcze nuty krótkie, ale długie białe. Utało się już tak zapisywać wszędzie. Czyli białe: *longa*, *brevis*, *semibrevis*, *minima*, a czarne *semiminima* i *fusa*. Z metrum dwudzielnym lub trójdzielnym. I wiele głosów, dwa, trzy, cztery, dowolnie, piękne, prawda? Niech ojciec posłucha.

Pan Sternberk zaczerpnął powietrza i wydał z siebie głos. Byłem zdziwiony jego wysokością i czystością.

– *Sanctus, Sanctus, Saaanctus Dominus, Deus Sabaoth. Pleni sunt caeli et terra gloria tua. Hooosanna in exceelsis* – skończył, znów zaczerpnął powietrza i spytał – Jak się ojcu podoba?

– Nie jestem specjalistą, w klasztorze mówiono mi, że nie mam talentu do śpiewu, ale myślę, że oddaje pan Boską chwałę.

– Chwała chwałą – machnął ręką Sternberk – pytam o muzykę. Muzyka jest przeciwieństwem kobiety. Tylko jednej z nich możesz słuchać dla

przyjemności – sam zaczął się śmiać ze swojego żartu.

Przechadzałem się, zaopatrzone w świecę, wzdłuż rzędu ksiąg. Ilekroć mam okazję z nimi obcować, wydaje mi się, jakbym zaglądał do czyjejs alkozy. Niepohamowana ciekawość skłania do sięgania po kolejne dzieła. Kiedyś więcej czytałem, wydarzenia ostatnich lat kazały mi raczej pisać, niż czytać. Choć moja księga powstała nie dlatego, że poczuwałem się do bycia pisarzem, a dlatego, że trzeba ją było napisać koniecznie. I nikt inny tego nie mógł za mnie zrobić.

– A teraz, ojciec Kramer, pokażę ojcu najważniejsze dzieła ze wszystkich zgromadzonych w tej skromnej bibliotece – Sternberk wspiął się na palce i z najwyższej półki wyjął jeden z tomów. – „Oracz z Czech” Johannes von Tepla. Pierwsze wydanie drukiem, z 1460 roku, i pierwsza księga, jaka kiedykolwiek została napisana w ojca języku.

– Nie miałem przyjemności poznać, słyszałem o niej zaledwie – powiedziałem, biorąc do ręki księgę. Miała nie tylko litery drukowane, ale wiele kolorowych obrazów, zbliżających, jak sądzę, do tematu księgi lub jej bohaterów.

– Tepl już nie żyje, ale jego przesłanie zostało – pan Sternberk wrócił na swoje miejsce i mnie też wskazał fotel. – Nigdy nie napisano księgi, która by ukazywała człowieka w równie głęboki i mądry sposób. Autor cierpi po stracie żony. Jest jak biblijny Hiob, któremu Bóg odebrał wszystko, co miał. Tepl przekomarza się z Bogiem. Przypomina w tym starego Żyda droczącego się ze swoim Jahwe. I co na to Bóg? Nic. Człowiek zostaje wystawiony na próbę. Jego miłość i wiara zostają wystawione na próbę. A to – Sternberk wyjął stojący obok tom – nasza najważniejsza księga. O ile „Oracz z Czech” jest lekturą znaną wielu, to o tej księdze Tepla wiedzą jedynie wtajemniczeni. Gdyby Johannes ją ogłosił za życia, prawdopodobnie by nie przeżył miesiąca. Proszę spojrzeć – „Bóg światłości”. Uważano, że dzieło zaginęło. A jak ojciec widzi, jest u nas napisane jego własną ręką. Niewiele, jednak bardzo ważnych stron. Jak katechizm. Tepl, ojciec, był jednym z nas. To dzieło jest naszą drugą biblią, czymś, czym jest Talmud dla religii mojżeszowej.

– Kim jesteście, na Boga? – spytałem, chyba już nie pierwszy raz.

– Wkrótce się dowiesz – odpowiedział. – Wiesz, jak trafić do swojej sypialni. Jutro się spotkamy.

Odszedł, zostawiając przejście między piwnicą na wino a biblioteką, a ja, zmęczony podróżą i całym dniem wrażeń, szybko udałem się na spoczynek, zostawiając lekturę ksiąg na inną okazję. Być może na jutro.

Wczesnie rano do moich drzwi zapukał służący. Powiedział, że pan Sternberk już czeka. Ubrałem się więc szybko i zszedłem na dół. Pan Sternberk jadł śniadanie złożone z jajek, ja natomiast, gdyż był piątek, postanowiłem pościć i jak każda tradycja, zjeść dopiero po zachodzie słońca lub nawet jutro, gdybym nie czuł się dotkliwie głodny. Towarzyszyłem mojemu gospodarzowi przy stole, sam prosząc jedynie o rozwodnione wino. W picciu wina nie ma bowiem niczego zdrożnego. Nasz święty brat Dominik zalecał spożywanie, pojąc winem braci i siostry zakonne.

Wszak nektar, ulubiony napój greckich bogów, także był winem, jak podaje Homer. A i nasz Syn Boży nie stronił od degustacji. Wino pite z umiarem, nie więcej niż dwie butelki dziennie, najlepiej do obiadu i kolacji, ma samoistną tendencję do zamiany w krew, wspomagając ją, stąd kolor podobny. Nie muszę dodawać, że wino wybrał Jezus Chrystus nie dlatego, że nadużywał alkoholu, a właśnie dlatego, że ma podobne właściwości jak krew. Mieszając się w żyłach, tworzy związek niezbędny do życia.

Słońce dopiero wschodziło. Pan Sternberk zczekał, aż zrobi się całkiem widno, wtedy kazał siodłać konie i poprowadził mnie do wsi. Dzień był chłodny, nawet mroźny. Pola między zamkiem a odległą, choć widoczną z daleka wsią, pokrywał szron, nadając widzianemu obrazowi świąteczny charakter. Wydawało mi się zawsze, że jestem dobrym jeźdźcem. Konie mnie słuchały, a jazda prawie zawsze sprawiała mi przyjemność. Wolałem, gdy była ku temu sposobność, dosiadać konia niż gnieździć się w ciasnych powozach. Jeśli jednak ja byłem jeźdźcem dobrym, to pan Sternberk doskonałym. Mój koń, mimo że się starałem, nie dotrzymywał w galopie. Widząc to, pan Sternberk przyhamował, dopasowując się do mojego tempa. Zjechaliśmy ze wzniesienia, na którym stoi zamek, i jechaliśmy wsią, która

sprawiła wrażenie małego miasteczka. Rząd przeważnie drewnianych, krytych słomą domów po obu stronach drogi. Gdzieś zdarzały się domy z kamienia i kryte dachówką, jak się domyśliłem, należące do bogatszych gospodarzy. Komin każdego domu wypuszczał obłoki dymu. W powietrzu czuć było spaleniznę, tym mocniej, że bezwietrzna pogoda zostawiała spaliny przy ziemi. Gdy przejeżdżaliśmy, z niektórych domów wyszli mężczyźni. Na widok pana Sternberka, bo przecież nie na mój widok, zdejmowali z głów kapelusze i zamasyście się kłaniali, wlekąc nakrycia głowy po zmrożonej ziemi. No, no – pomyślałem, pan Sternberk ma posłuch i szacunek nie tylko we własnej rodzinie.

Zwalniając, w końcu jadąc stępą, dojechaliśmy do kościoła. Z zakrystii natychmiast wybiegł do nas kościelny, stary, utykający na jedną nogę, przygarbiony jegomość ubrany po chłopsku, w wełniany lub może lniany płaszcz, takie same spodnie i buty filcowe sięgające kostek. Bieg sprawiał mu trudność. Zwolnił i dochodząc do nas, przywitał pana Sternberka ukłonem. Chciał już wiązać konie do słupa, ale pan Sternberk machnął ręką i nie schodząc, powiedział:

– Daj no nam tu proboszcza.

Proboszcz okazał się człowiekiem młodym, najwyżej trzydziestoletnim. Przybiegł jeszcze szybciej niż kościelny.

– To jest nasz gość, możesz go sobie obejrzeć – powiedział do niego po niemiecku pan Sternberk.

– Wielki zaszczyt, ojciec – proboszcz skłonił przede mną głowę. – Myślałem, że ojciec jest dużo starszy – powiedział, łapiąc za uzdę mojego konia.

– Obowiązki nie pozwalają mi się zestarzeć – odparłem.

– Długo ojciec zostanie? – dopytywał proboszcz, a ja spojrzałem na Sternberka, szukając u niego odpowiedzi.

– Tyle, ile będzie trzeba – ubiegł mnie Sternberk.

– Rozmawialiście już? – proboszcz patrzył to na mnie, to na mojego gospodarza.

– Zaczęliśmy rozmawiać – Sternberk się uśmiechnął.

– I co?

– Jeszcze wiele rozmów przed nami – odpowiedział tajemniczo, spiął konia

i ruszyliśmy dalej.

Wracaliśmy do zamku powoli, jadąc nieco pod górę, inną drogą. Konie parskwały, zdaje się, przyzwyczajone do szybszej jazdy. Przyglądałem się otoczeniu. Rzadko miałem okazję przebywać na wsi. Ta wieś, morawska, a więc wschodnio-czeska, mogłaby pozować florenckim mistrzom. Na planie pierwszym kościół, nieduży, z kamienia, z niewysoką wieżą dzwonnicy przyklejoną niejako do prezbiterium. W tle wieś przypominająca, jak już powiedziałem, małe miasteczko. Po obu stronach drogi pola, jeszcze nie orane na przednówku, i sady z oszronionymi drzewami, nadającymi pejzażowi odświętny charakter. Dalej ściana lasu, zdaje się bukowego, most drewniany, którym za chwilę przejedziemy, i na samym końcu, na wzniesieniu, zamek z jedną wieżą, zwodzonym, otwartym teraz mostem, a za nami wstające słońce, oświetlające wieżę kościoła i domostwo Sternberków. Jechałem w przeczuciu czegoś, co miało się stać.

Na zamku pan Sternberk poinformował mnie, że już przed świtem wysłał całą swoją rodzinę do Brna, do brata żony, pana Jerzego Crhy. Wrócą w połowie marca, czyli z początkiem wiosny, więc „cały zamek, a szczególnie jego piwnice są do dyspozycji ojca”, jak to ujął.

W kolejnych dniach rzadko go widywałem. Jedynie krótko na posiłkach. Pan Sternberk prosił, abym się zapoznawał z księgami, szczególnie z dziełami von Tepla. Chcąc nie chcąc, musiałem to robić, bardziej jednak chcąc. Tylko głupi nie skorzystałby z takiego daru, jaki otrzymałem od gospodarza. Spędzając dni na czytaniu, czekałem, aż pan Sternberk zdecyduje się ze mną rozmawiać.

Oto „Bóg światłości” Johannes von Tepla:

„Tak już jest na tym świecie, mój drogi przyjacielu, że najważniejsze zostawiamy na koniec. A przebywając drogę, nie wiemy, dokąd nas zaprowadzi. U kresu, gdy wydaje się, że pojęliśmy istotę rzeczy, trzeba umierać. Ten smutek towarzyszył moim dniom, zanim pojąłem, kim jestem, kim my wszyscy jesteśmy. Składając wdzięczność Światłu Wiekuistemu,

zrównujemy go z naszym Bogiem. Bo jak do pogan pisał Tertulian: „Inni bardziej po ludzku sądzą, że słońce jest bogiem chrześcijan, jako że jest rzeczą znaną, iż podczas modlitwy zwracamy się na wschód albo że cieszymy się w dniu słońca. Czy inaczej postępujecie? Czy wielu spośród was, uwielbiając niekiedy ciała niebieskie, nie porusza wargami o wschodzie słońca? Faktycznie jesteście tymi, którzy do spisu tygodnia przyjęliście słońce, jako podstawę siedmiodniowego tygodnia, z samych dni wybraliście jeden, w którym unikacie kąpieli lub odkładacie ją na wieczór, względnie dbacie o odpoczynek lub posiłek. Czyniąc to, odstępujecie sami od własnej, a przechodzicie do obcej religii. Żydowskimi bowiem świętami są szabaty i czyste potrawy, i żydowski kult świec, i posty razem z chlebami praśnymi oraz modlitwy nad brzegami rzek. Przecież to wszystko obce jest dla waszych bogów. Dlatego nie odstąpię od obranej drogi – zauważacie podobieństwo wy, którzy zarzucacie nam kult słońca i jego dnia, że nie jesteśmy zbyt daleko od Saturna i waszych szabatów”.

Tak, mój przyjacielu. Powiedziano ci: bądź dobrym chrześcijaninem, a czeka cię Królestwo Niebieskie. Tam gdzie Słońce wyznacza drogę po firmamencie, tam szukaj swojego boga. Licz siedem dni, jak siedem ciał niebiańskich. Saturn, Słońce, Księżyc, Mars, Merkury, Jupiter i Wenus. Zamiast Saturna, ostatniego dnia tygodnia, jak czynią to Żydzi, będziesz święcił Słońce, dzień tygodnia pierwszy. Ono daje życie, ono jest naszym bogiem, który do nas mówi przez proroków: Jezusa, Mitrę, zrodzonych razem z budzącej się ze snu zimowego światłości.

Jak mówi Klemens z Aleksandrii: Ponieważ obrazem dnia narodzin jest wschód słońca i stąd rozlewa się światło, początkowo rozbłyśnięte w ciemności, a z kolei ludziom trwającym w niewiedzy załśnił dzień poznania prawdy na wzór słońca, więc modlitwy wnosimy w kierunku wschodu jutrzeńki. Stąd i najstarsze spośród świętych przybytków spoglądały na zachód, aby ludzie stojący twarzą do posągów byli przyzwyczajani do zwracania się w kierunku wschodu.

Co Orygenes potwierdza: „Powiedzmy jeszcze parę słów, w którą stronę świata należy się zwrócić przy modlitwie. Skoro są cztery strony: północ, południe, zachód i wschód, któż nie przyzna, że w czasie modlitwy winniśmy

patrzeć ku wschodowi na znak, że dusza wygląda wzejścia prawdziwej światłości”

Czy pamiętasz, mój drogi przyjacielu, co mówił Justyn Męczennik? „Możecie natomiast znaleźć ludzi z każdej narodowości, którzy dla imienia Jezusa cierpieli i dalej cierpią wszelkiego rodzaju tortury, a nie chcą się wyrzec wiary w niego. Bowiem Jego słowo prawdy i mądrość jaśnieją mocniej niż moc słońca, toteż dociera do głębin serca i umysłu. Dlatego też Słowo powiedziało: Ponad słońce wzniesie się imię Jego. A Zachariasz mówi: Wschód imię Jego”

A w listach Barnaba: „Gdyby bowiem nie przyszedł w ciebie, jakżeby ludzie mogli Go oglądać i pozostać przy życiu, skoro patrząc na słońce, dzieło rąk Bożych, które przecież ulegnie kiedyś zagładzie, nie są w stanie znieść blasku jego promieni?”

Ulegamy złudzeniu, że poznaliśmy Boga i jego boskie zamierzenia, zamiast pochylić głowy w niewiedzy przed jego promieniem. O tym mówi Ignacy z Antiochii: „Zabłyśta na niebie gwiazda ponad wszystkie gwiazdy, a światło jej było niewysłowione i zadziwiała swoją nowością. Wszystkie inne gwiazdy razem ze Słońcem i Księżycem chórem ją otoczyły, a ona dawała więcej światła niż wszystkie pozostałe. I zaniepokoiły się, skąd ta nowość tak do nich niepodobna. Wówczas to zginęła wszelka magia i znikły więzy złości, skończyła się niewiedza i upadło dawne królestwo, kiedy Bóg objawił się jako człowiek pod postacią życia wiecznego: zaczynało się spełniać to, co Bóg postanowił”

Sam widzisz, drogi mój, że okłamywano cię. Że nie dano ci poznawać prawdy. Żli, podli ludzie, dla własnych korzyści stworzyli Twój Kościół. Nazywając nas poganami, sami nimi byli, gdyż powołali do życia swoich bożków, którym zaczęli oddawać cześć. Nazywając Jezusa Bogiem, obrazili Boga. Nazywając matkę Jezusa świętą, oddając jej pokłony niczym Wszechmogącemu, narazili nas na gniew. Każąc oddawać hołd namiestnikowi Piotrowemu, obrazili nas wszystkich.

Gdzie jest dobro, tak bliskie pierwszym chrześcijanom? Nasz powtórny chrzest, jak powtórzone prawo, miał odnowić przymierze, a sprawił tylko, że oddaliliśmy się od Boga.

Musisz zrozumieć, przyjacielu, Bóg nie jest, bo nie umie być człowiekiem. Przydawanie mu ludzkich cech prowadzi na manowce poznania. Jeśli chcesz, poprowadzę cię za rękę. Wyjdę z tobą na pole, gdy promień słońca wychodzi sponad góry. Kiedy oświetli twoją twarz, zrozumiesz.

Deus omnem lacrimam ab oculis eorum. I staną się jak na początku.

Bo jest tylko jeden Bóg, który znaczy Słońce Niezwyciężone – *Sol Invictus*.

Bo są jego prorocy: Jezus i Mitra

Bo tylko przed Bogiem wyznajemy nasze grzechy

Bo nie można okłamać Boga

Bo nie było grzechu pierworodnego

Bo życie zaczęte nie kończy się nigdy, a jedynie zmienia swój stan

Bo zrozumiałem, jak mały jest człowiek

Bo tylko Bóg zna prawdę

Bo nigdy nie poznamy Jego Imienia

Bo Bóg nigdy nie zasypia

Bo Bóg o nic nie prosi, niczego nie wymaga

Bo trzeba się bać człowieka, a nigdy Boga

Bo Bóg będzie, gdy niczego nie będzie

W nieskończoności”

III MARCA MCDLXXXIX

Piszę te słowa znów z Ołomuńca. Po rozmowach z panem Sternberkiem wróciłem do swoich braci. Prawdopodobnie nie spędzę tu wiele czasu. Moja „niewola morawska”, jak ją sam nazywam, już się kończy. Czas wrócić do życia.

Pan Sternberk, przed moim wyjazdem, zabrał mnie do biblioteki. Rozmowa nie była długa.

– Czy umie ojciec dochować tajemnicy? – spytał.

– Tak, jeśli nikomu nie grozi. Nie, jeśli zagraża komuś – odpowiedziałem, a on mi kazał przysięgnąć na krzyż.

Gdy tego nie zrobiłem, mimo wszystko mówił dalej.

– Gdyby ojciec chciał te słowa przekazać, a co gorsza wykorzystać, i tak

nikt ojcu nie uwierzy. Nasi przyjaciele mają wystarczające wpływy.

– Kim są? – kolejny raz w czasie pobytu na zamku zadawałem to pytanie.

– Niektórych już z nami nie ma, jak ojca przyjaciel, papież Sykstus, wtajemniczony dopiero na łożu śmierci. Inni, jak brat ojca, Girolamo Savonarola, tylko nam przeszkadzają, mimo że znają tajemnicę – może to dziwne, ale gdy usłyszałem te imiona, nie zdziwiłem się zbytnio. – Niektórych ojciec zna, innych nie. Wszystkich łączy jedno: potrzeba zmian w Kościele, zahamowanie choroby, jaka od dawna toczy Rzym, w tym papieski tron, powtórne nazwanie Boga i jego proroków, odnowienie przymierza, w ten sposób uczynienie świata sprawiedliwszym, gdyż zmierza w złą stronę.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – spytałem.

– Tego, czego oczekujemy od wszystkich zgromadzonych, prawdy i jej głoszenia.

– Jakiej prawdy? – nadal nie rozumiałem.

– Jeszcze ojciec nie pojmuje? Chrześcijaństwo skończyło się w ostatniej dekadzie czwartego wieku po Chrystusie, za cesarza Teodozjusza, który zabronił wyznawania innych religii. A przecież jeszcze chwilę przed tym rozprawiano się z chrześcijanami od Palestyny, przez Egipt i Afrykę, aż po Galię. To, co stało się później, nie jest już religią chrześcijańską, lecz religią panujących. I to niezależnie od tego, czy mówimy o cesarzach, królach czy papieżach. Nie jesteśmy nowymi waldensami, katarami ani żadną sektą w łonie Kościoła. Rozmawiamy, przekonujemy do naszych idei. Im nas będzie więcej, tym lepiej. Inaczej świat na kolejne wieki pograży się w chaosie.

– Takie herezje są karane ogniem – powiedziałem cicho, lecz zdecydowanie.

– Dlatego podjęliśmy odpowiednie kroki, aby się czuć bezpiecznie – pan Sternberk popatrzył na mnie, jakbym nie wiedział, co mówię. – Gdyby ojcu przyszło do głowy ujawnić nasze tajemnice, jak się wytłumaczy z miesięcznej gościny w moich progach? Proboszcz z pewnością potwierdzi naszą zażyłość, a mieszkańcy wsi chętnie opowiedzą o moich i ojca konnych wycieczkach.

– To dlatego mnie pan zaprosił i gościł tak długo. Teraz rozumiem pańską przebiegłość, panie Sternberk – powiedziałem z wyrzutem, bo szczerze

mówiąc, ubodły mnie jego słowa.

– Nie tylko dlatego. Najzwyczajniej w świecie chciałem ojca poznać i spróbować przekonać do naszych idei – wydało mi się, że Sternberk jest ze mną szczerzy. Przez cały czas pobytu na zamku wiele razy przychodziło mi do głowy, że obcuje z wariatem. Lecz z pewnością szczerym wariatem.

– Mam jeszcze swoje wpływy i w zakonie, i w Rzymie – odparłem, nie wiedzieć czemu w ten sposób. Jakbym rzeczywiście zamierzał denuncjować Sternberka i zamiary jego kompanów.

– Bez wątpienia, dlatego z ojcem rozmawiam. Ale gdyby ojciec chciał zaryzykować, oskarżając nas o herezję, pójdzie na dno razem z nami.

Pan Sternberk wyjawiał mi następnie, że ich, jak to nazywa „zebranie”, nie ma formy ani organizacji, jedynie wspólnotę myśli, a także celu. Nie wszyscy o sobie nawzajem wiedzą, ale ich hasłem, po którym się z miejsca rozpoznają, jest słowo „Sol”, a odpowiedź „Invictus”. Tłumacząc z łaciny: „Słońce Niezwyciężone”. Należy je jednak wypowiadać oszczędnie, mogą się wydać dziwne osobom postronnym, gdy będą zbyt często używane. Na moje pytanie, ilu jest uczestników „zebrania”, pan Sternberk nie potrafił dokładnie odpowiedzieć, prawdopodobnie można ich liczyć w dziesiątki, na pewno jeszcze nie w setki. Są wśród nich osoby duchowne, są wysoko urodzeni, ale też nisko, choćby dobrze wykształceni, wybitni, młodzi ludzie, którzy dopiero zaczynają dorosłe życie. Są ludzie nauki i sztuki. Wszystkich łączy potrzeba odrodzenia człowieka, a także właściwe nazwanie Boga. W tym względzie posługują się „Bogiem światłości” Johanna von Tepla, który dla nich jest wyznaniem nowego przymierza i wytłumaczeniem prawdy.

– Jak Talmud dla Żydów? – próbowałem sprowokować Sternberka.

– Jak dla Żydów Zohar, ojcie – odpowiedział po namyśle Sternberk.

– Choć mistyka kabalistów jest nam obca, zostaje podobne rozumienie nieskończoności, jako formy idealnej, najwyższej, boskiej. A jednocześnie nieosiągalnej dla nas – ludzi.

Nie spotykają się razem, nie mają przewodzącego. Każdy przekonany przekonuje kolejnych, biorąc, każdy z osobna, odpowiedzialność za wspólnotę myśli i czynów. Nie jest obowiązkiem, a jedynie prawem

każdego wtajemniczonego, wtajemniczanie następnych. Nie więcej jednak niż kolejnych dwunastu. Jak dwanaście plemion Izraela, jak dwunastu apostołów, jak dwanaście fundamentów Nowego Jeruzalem. A jego fundamenty ozdobione na dwanaście sposobów: jaspisem, szafirem, chalcedonem, szmaragdem, sardonyksem, krwawnikiem, chryzolitem, berylem, topazem, chryzoprazem, hiacyntem, ametystem. A na brzegu rzeki Drzewo Życia rodzące dwanaście razy w roku.

Wydając wojnę strukturze Kościoła i jego licznym przewinieniom, wspierają naukę traktowaną jak filar odnowionej wiary, a urzędującego papieża Innocentego nazywają antychrystem. Pan Sternberk został wtajemniczony z górą dwadzieścia lat temu, studiując medycynę na praskim uniwersytecie. Ostatecznie nie skończył studiów, nie został lekarzem. Po przedwczesnej śmierci ojca, jako najstarszy z rodzeństwa i jedyny syn, był zmuszony wrócić do zamku, zająć się rodziną i rodzinnymi dobrami. Nie zaprzestał jednak kontaktów osobistych ani wymiany listów z, jak to ujmuje, „przyjaciółmi z praskich lat”. Spędza też część roku, przeważnie w zimowych miesiącach, na podróżach do miast niemieckich, włoskich i francuskich, poznając światowe nowości i odwiedzając przyjaciół.

– Czy ojciec wie, że Słońce stoi nieruchomo, a Ziemia kręci się wokół niego, obiegając je w 365 dni? – spytał nagle.

– Słyszałem o takich domysłach, jak do tej pory nikt nie znalazł na to dowodu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Otóż nasi przyjaciele znaleźli. I niebawem ogłoszą. Czekamy tylko dobrej sposobności, by nie stać się ofiarami takich ludzi jak ojciec – tu Sternberk chwycił mnie za łokieć i spojrzał w oczy. Nic nie odpowiedziałem, słuchając dalej.

– O tym że Ziemia jest okrągła jak arbuza, wiemy od dawna. Jeden z naszych przyjaciół przygotowuje się do wyprawy, by płynąc na zachód, wrócić od wschodu. Nie chcemy, by ktoś mu w tym przeszkodził. Arbuza, na którym żyjemy, jest zaś tylko jednym z nieskończenie wielu ciał niebieskich. Na nich, dzięki boskim promieniom Słońca, toczy się życie, a przynajmniej wydaje się, że tak może być. Czy to nie jest pięknie? Wydobyć się z mroku i iść ku światłu. Czy to niewarte ryzyka? Jesteśmy

jako ludzie w przededniu nie tyle wielkich odkryć, bo one są już dokonane, lecz ich ogłoszenia. A żeby do tego doszło, trzeba osłabić wszechwładzę Kościoła, by nie spłonąć na stosie, zanim nowa wiedza spotka się z aprobatą. I do tego potrzebny jest także ojciec. To tyle na razie – Sternberk skończył i poprawiając okulary, wpatrywał się we mnie, oczekując reakcji, a gdy nie następowała, dokończył: – Nie mamy złudzeń, ojcze, stosy będą płonęły niezależnie od tego, czy tego chcemy, czy nie. Z tych czy innych przyczyn będą. Upłyną lata, dziesięciolecia, nim zrozumiemy, kim jesteśmy my – ludzie, w swojej małości i wielkości zarazem. Jeśli powiemy zbyt wiele, skończymy jak Hus, na mękach. Jak wielu innych, co próbowali mówić prawdę. Czy ojciec mnie rozumie?

– Rozumiem – odpowiedziałem niepewnie, choć w istocie rzeczy nie pojmowałem wszystkiego. Miałem go za szaleńca, zdając sobie sprawę, że szaleństwa bywają niebezpieczne i groźne nie tylko dla tych, którzy im ulegają. Pożegnałem się z panem Sternberkiem znakiem krzyża, na co on tylko się uśmiechnął, mówiąc: – Pamiętaj ojcze, *Sol, Invictus*, pamiętaj i nie rób niczego, czego byś potem żałował.

Szaleniec, z pewnością szaleniec, powtarzałem sobie, wracając do konwentu w Ołomuńcu. Ciekawy człowiek, jednak szaleniec. Mógłby być moim synem.

XIX LISTOPADA MCDXC

Na przeszło rok zaniechałem spisywania, bo prawdę mówiąc, nie było o czym wspominać. Próżno szykowałem się do drogi, czekając na wieści od ojca Gioaccina, generała mojego zakonu, lub od innej osoby wskazanej przez niego. Nie mogąc, a raczej nie chcąc opuszczać miasta Ołomuniec bez zgody przełożonych, siedziałem jak mysz w norze, nie wychylając głowy dalej niż do Brna. Nie powiem, żeby morawska niewola była dla mnie w sposób szczególny dotkliwa. Przyzwyczaiałem się, dzieląc czas na pracę duszpasterską w diecezji i z rzadka odwiedzając pana Sternberka, który większość tego roku spędził w Italii i w Niemczech. Wracając, przywoził informacje, jak zwykle spóźnione, bo zdarzenia nie czekają na podróżujących tygodniami

z południa i zachodu Europy na wschód.

– *Nihil novi, ojciec, nihil novi* – mówił, gdyśmy się widzieli ostatnio, czyli w końcu października, jak zjechał na tydzień do zamku. – Papież coraz słabszej kondycji fizycznej, bo rozum już dawno mu odebrało. Wojna z Neapolem, mordy na waldensach, a na deser plany krucjaty przeciwko Turkom. Trzyma w Rzymie pod strażą sułtańskiego brata i tylko dlatego nie zwołuje nowej wyprawy krzyżowej, bo sułtan mu się opłaca, a pieniądze są papieżowi niezbędne, by wygodnie mościć swoje dzieci. *Nihil novi, ojciec, nihil novi* – powtarzał.

Pan Sternberk dozwolił mi przebywać na zamku pod swoją nieobecność i czuć się jak we własnym domu, co chętnie wykorzystywałem, zaznajamiając się z dziełami jego coraz większej biblioteki. Stałem się niemal domownikiem, traktując rodzinę pana Sternberka jak własną. Pan Sternberk ze swoich wycieczek przywoził nowe księgi, tak że nie nadążałem z czytaniem starych, a już miałem nowe tytuły. Najnowsze to prace angielskiego teologa Jana Wycliffe'a „*De ecclesia*”, „*De veritate sacrae scripturae*” i „*De potestate papae*”. Wszystkie zabronione przez nasz Kościół już z górami sto lat temu, a o samym autorze, jeszcze za jego życia, papież pisali niejedną bullę potępiającą. Jak głosi legenda, choć może to i prawda, wiele lat po śmierci Wycliffe'a papież Marcin V nakazał rozkopanie grobu, wyjęcie szczątków, spalenie i wrzucenie do rzeki na wieczne zapomnienie. Takie działania, a było przecież wiele podobnie strasznych, nigdy nie znajdowały mojego poparcia. Bo co innego walczyć z herezją, prowadzić wojnę z żywymi dla spójności Kościoła, a co innego bezcześcić kości spoczywających w grobach. „Człowiek jest bytem złożonym” mawiał nasz święty brat Dominik, a ja mogę tylko dodać: złożonym z dobra i zła, chwalebnych i okrutnych czynów.

Jeśli idzie o moje i pana Sternberka wcześniejsze rozmowy, nie wracaliśmy do nich. Gdy raz wspomniałem, Sternberk zbył mnie krótko: – Wrócimy do rozmów, gdy ojciec będzie opuszczał Morawy. Jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie.

Nie nalegałem. Nie chciałem, by się poczuł niezręcznie. Obłąkanym zawsze ciężko się przyznać do własnych szaleństw. Jakże często musiałem

rozstrzygać, co jest chorobą, a co herezją z podszeptu szatana. Pan Sternberk z pewnością nie miał związków z siłami diabelskimi. Zauważyłbym, obcując z nim w jednym domu, rozmawiając i słuchając.

Nie było nawet o tym czasie myśleć, bo kurierzy dominikańscy przywieźli list od kardynała Ardicino della Porta, prezbitera kościoła świętego Jana i świętego Pawła w Wenecji. Ardicino, kiedyś mój wielki przyjaciel, z którym w młodości przemierzałem rzymskie ścieżki, poznając Stolicę Apostołów, otrzymał od Ojca Świętego nowe zadanie. Jak pisał w liście: „zbyt wiele ich już ma, nie wszystkim jest w stanie podołać”. Papież mianował go biskupem ołomunieckiej diecezji. Ponieważ nie może pełnić powinności osobiście, chce, abym to ja go reprezentował na Morawach, a on, kiedy tylko będzie mógł, choćby na krótko, zjedzie do miasta. Nie mogłem odmówić, godząc się w związku z tym na długi jeszcze pobyt w Ołomuńcu. Nie wiedziałem nawet, czy kiedykolwiek uda mi się stąd wyjechać i wrócić do kraju mojego urodzenia.

IX LIPCA MCDXCI

Kierując się prośbą biskupią, odwiedziłem już liczne parafie diecezji Ołomuniec. Wszędzie przyjmowany, jakbym to ja sam miał głowę odzianą w mitrę. Nie dla mnie jednak uzurpowanie zaszczytów, mam dość własnych osiągnięć, dlatego za każdym razem prosiłem księży, by traktowali mnie raczej jak przyjaciela i posłańca, który z radością dogląda trzody, choć sam jej nie wypasa. Zauważyłem też, jeżdżąc tu i ówdzie, że księża tutejsi bardziej niż gdzie indziej mają na względzie nakaz ubóstwa. Nie dlatego, że kraj jest biedny. Morawy, także całe Czechy, mogłyby stawać w rzędzie z Toskanią czy Bawarią, jeśli idzie o zamożność. A jednak to tu skromność duchowieństwa idzie w parze ze wstrzeźliwością mieszkańców. Zdarzają się wyjątki, jak zawsze, ale ogólna prawda może stawiać ten kraj jako dobry przykład dla innych ziem cesarstwa. Coraz bardziej też lubię tu przebywać i wcześniejsza dolegliwość pobytu z wolna ustępuje na rzecz zrozumienia i przyjemności.

Do Litoula przyjechałem dwa dni temu. Mieszkańcy, przeważnie jak ja –

Niemcy, co się tu osiedlali od stu lub więcej lat, nazywają miasto: Littau. Schludne, czyste, całe otoczone murem, ma już dwa kościoły i jedną, nową kaplicę pod wezwaniem świętego Jerzego. Zaproszony na jej poświęcenie, przybyłem na jeden dzień, a siedzę już kolejny. Położone na bagnach i w rozlewiskach rzek, nie ma dobrego klimatu, co czują moje, niemłode już kości. Szczególnie rankami przy dobrej pogodzie i letnim, jak teraz, gorącu idzie od bagien ze wschodniej strony wilgotne, niezdrowe powietrze. Ale dzięki mokradłom Litovel jest bezpieczny. Trudno go najechać, tym bardziej zdobyć, o czym się kiedyś przekonali i katolicy, i husyci, dochodząc jedynie na przedpole miasta. A ponieważ konie zaczęły im grzęznąć w mule, odstąpili od Litovla. Jedynie tutejsi znają przejścia po groblach prowadzących do jedynego, drewnianego mostu na rzece Morawie, płynącej od północy ku południowi i skręcającej na wschód tuż przed bramą miejską.

Dlaczego tu spędzam czas – śpieszę wytłumaczyć. Proboszcz Otokar Precht nalegał, bym jako doświadczony wizytator z praktyką inkwizycyjną, wspólnie z nim rozpoznał pewną sprawę, a być może też postanowił o wyroku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Precht nie podoba mi się szczególnie już od samego początku, kiedy go zobaczyłem. Ani jako człowiek, ani pasterz. Wzrostu niskiego, kościstej budowy, za to głowę ma końską, wielką jak koń i kształtem przypominającą łeb tego zwierzęcia. Gdyby mu w gębę włożyć wędzidło i zamocować uzdę, chciałoby się nim poganiać i nikogo by nie zdziwiło, że człowiekiem goni. Nawet mówiąc, kłapał szczęką, a śmiejąc się, wydawał odgłosy przypominające rzenie. Nie widziałem nigdy konia, który by przypominał człowieka, za to pierwszy raz w życiu, w Litovlu, zobaczyłem człowieka, którego fizjonomię łatwo pomylić z pyskiem wierzchowca. I to, mówiąc prawdę, niezbyt urodziwego.

Powiedział Precht, że we wsi Hanowice, będącej biskupim lennem należącym do parafii litowelskiej, dochodzi do podpażeń. Nie wiadomo, kto ich dokonuje, z jakiego powodu, ani czy nie kryje się za tym jakaś, jak powiada Precht, szatańska siła. W niewytłumaczalny sposób każde podpalenie, choć zanim nie znajdzie się winnego, można równie dobrze

mówić o zwykłym pożarze, zdarzało się w nocy z piątku na sobotę. Były razem cztery podpalenia w ciągu jednego miesiąca, co jak na wieś mającą dwadzieścia dymów daje obraz zniszczenia.

– Aresztować wieś, wszystkich po kolei. Albo wygonić, przegonić, w ten sposób oczyścić ze złych mocy – doradzał proboszcz, wydając dodatkowo dźwięki, które zupełnie nie przypominały ludzkiej mowy. Ja z kolei, zrażony nieco do Prechta i jego powierzchowności, zalecałem powściągliwość.

Udałem się do wsi, by przeprowadzić dochodzenie. Mimo że wielebny Otokar chciał koniecznie jechać ze mną, nakazałem mu, by został w swojej parafii. Jego wygląd i manieri mogły być dla mnie utrapieniem. Zgodził się niechętnie.

– Jak ojciec chce – zakłapał w końcu szczęką, zarżał i dziwnie wierzgnął lewą nogą, upewniając mnie, że mam do czynienia nie z człowiekiem jednak, lecz z podstarzałą szkapą.

XXV SIERPNIA MCDXCI

Jak pisał święty Tomasz: „*Habet homo rationem et manus*”. Czyżby moja ręka uprzedzała rozum? Czy tak bywało w przeszłości? Myślę o tym teraz w ołomunieckim konwencie, odpoczywając po tygodniach wytężonej pracy, która mnie doprowadziła do nieoczekiwanych, choć przykrych wniosków. O tym za chwilę.

Doskwiera mi poczucie osamotnienia. Mam wprawdzie wokół siebie braci, starających się, by mi niczego nie brakowało, jednak nawet delfin, zwierzę stadne, odpływa czasem od grupy, czując się wyobcowany i nikomu niepotrzebny. Zdarza się go widzieć konającego na brzegu. Nie chcąc skończyć, jak on – piszę, opisuję, składam relacje. W ten sposób czuję się potrzebny, dzięki temu łatwiej też znosić samotność.

Gdy się ma sześćdziesiąt jeden lat, jak ja, trudno się zmienić, trudno stać się lepszym. Człowiek dowiaduje się o sobie dopiero wtedy, gdy nie ma czasu na poprawę. Tak właśnie boski plan już postanowiony. Mam sobie do zarzucenia wiele, jednak czym są moje drobne przewiny wobec bezmiarów grzechu, morza podłości, oceanu ludzkich win. Jednego

żałuję ponad wszystko: że nie dane mi było poznać przywileju posiadania własnej rodziny. Błóżniesz, synu – powtarzam sobie często, gdy podobne myśli przychodzą mi do głowy. Ale czyż Maria Magdalena nie była ulubionym uczniem Chrystusa? Jego powierniczką, gdy wskrzesił Łazarza? Czy nie o niej mówią apostołowie w zazdrości, gdy jej pierwszej ukazuje się zmartwychwstały Syn Boży? Czy nie ona była żoną swojego Mistrza? Dlaczego zresztą miałaby nią nie być? Czy nie po to Bóg podzielił rodzaj ludzki na dwa, niemal identyczne, jeśli idzie o wielkość stada, różniące się za to i wyglądem, i rozumem, niby dwa całkiem odmienne gatunki?

Lubieżność myśli towarzyszyła mi w posłudze, ale odpędzałem od siebie wszystko, co mogłoby mi przeszkadzać w pracy. Jedynie w skupieniu mogłem ją wykonywać. Skoncentrowany na walce z siłami zła, nigdy nie przekroczyłem granicy między grzechem myśli a grzechem zabronionego uczynku. Myśl, póki niewprawiona w czyn, jest bowiem grzechem mniejszym. I co innego o kobiecie myśleć, a co innego dzielić z nią łożę. Niemal codziennie nawracam do spotkania z rodziną Santi. Niewątpliwie szatan postawił ich córkę na mojej drodze. Bez wątpienia musiała być także jego, nie tylko Santich córką. Prowokowała urodą, szatańską, niepowtarzalną i jedyną, na którą tak naprawdę pierwszy raz w swoim długim życiu zwróciłem uwagę. Prowokowała nie tylko tym, co mówiła, lecz nawet samą swoją obecnością, grzechem istnienia. Z pewnością istnienie może być grzeszne, jeśli nakierowane na zgubę innych. Lecz czy to mnie usprawiedliwia? Wolę myśleć, że tak. Inaczej rozpamiętywanie tamtych zdarzeń stałoby się dla mnie nie do zniesienia. Im więcej czasu upływa, tym mniej owe wydarzenia stają się prawdopodobne. A jednak miały miejsce. Niewątpliwie miały. Bóg da, z pomocą moich braci, odszukać szatańską córkę. I przykładnie ukarać, jej wina jest bowiem niepodważalna. Dawno już z mojego wyroku nie zapłonął żaden stos. Uświadamiam sobie tę prawdę, choć nie wiem, czy jest ona dla mnie przykra.

Z dwudziestu domów, jak już powiedziano, zostało w Hanowicach szesnaście. Spalonych nikt nie odbudowuje, przynajmniej na razie, dopóki przyczyna ognia nie zostanie ustalona. Zatrzymałem się na postój w pierwszej

z brzegu chacie. Bielone wapnem ściany, solidny dach z płyt ceramicznych, wskazywały na majątnego gospodarza. I takim rzeczywiście był Bocek Sowa. Imię dano mu, jak mi się zwierzył, na pamiątkę pierworodnego syna króla Jerzego z Podiebradów. Wprawdzie Bocek, syn królewski, uchodził za nieco opóźnionego w rozwoju, to jednak rodzice pana Sowy chcieli upamiętnić także jego, jako swoje pierwsze w kolejności dziecko. Następnym dawano zresztą imiona pozostałych dzieci husyckiego króla, czyli Wiktoryn, Barbara, Henryk i Katarzyna. Król Jerzy miał więcej dzieci, ale rodzeństwo pana Sowy kończyło się na Katarzynie. Podobnie swoim trzem na razie dzieciom, tyle że w odwróconej kolejności, zaczął nadawać imiona, poczynając od Katarzyny, pierworodnej.

Piętnaście lat temu dwadzieścia rodzin, między innymi rodzina Sowy, kupiła spory kawał ziemi między lasem a rzeką. Licha ziemia należała do ołomunieckiej diecezji i nie była droga. Zapłacili dziesięć guldenów, licząc guldena po dwadzieścia osiem praskich groszy, gdy dla przykładu cena jednego odchowanego wieprza nie była wtedy większa niż jeden, najwyżej dwa grosze. W jeden miesiąc pobudowali domy, tak że pierwszą zimę spędzili już ciepło i bezpiecznie. Teraz, skąd się tu wzięli. Nie ukrywał Sowa od razu ich pochodzenia i zapatrywań. Wrócili z wygnania. Niemal od dziecka mieszkali na pograniczu mołdawsko-węgierskim, przegnani z Moraw za króla Macieja Korwina.

– Tak, ojcze, wróciliśmy na Morawy, jak Żydzi z babilońskiej niewoli – powiedział Sowa, gdy siedliśmy wieczorem przy piecu, jako że wieczory tego lata były wyjątkowo chłodne. Jego żona podawała nam jedzenie i picie (wino, swojej roboty, muszę przyznać jako znawca, nie było najwyższej próby), a ja zauważyłem, że nie wie o mnie nic, za wyjątkiem tego, że będąc wysłannikiem biskupa, mam przeprowadzić śledztwo. Może to i lepiej, pomyślałem od razu. – *Unitas fratrum*, jesteśmy braćmi czeskimi, jak zwykło się nas nazywać, nie ukrywamy tego, chcemy żyć spokojnie, nikomu nie robimy krzywdy i oczekujemy, że nikt nas nie będzie niepokoił. Tak właśnie było do niedawna. Niestety – tu Sowa zawiesił głos, jakby się obawiał, czy może sobie pozwolić w mojej obecności na szczerość. Gdy szybko kiwnąłem głową, mówił dalej – ostatnio nastał nowy proboszcz – wyobraziłem

sobie z miejsca końskie oblicze wielbego Otokara – który podniósł nasze obowiązki z dwudziestu groszy na pięćdziesiąt rocznie. Jesteśmy wprawdzie właścicielami ziemi, ale obowiązek lenny pozostał. Dwadzieścia groszy to niemało, ale dawaliśmy sobie radę. Nawet pięćdziesiąt zapłacimy, chociaż ziemia tego niewarta, a już słysząc, że proboszcz planuje do stu groszy podnieść opłatę. Do tego nieszczęście na nas spada, bo płoną nasze domy i ludzie się gnieźdzą po dwie rodziny, czekając na jakiś cud, który nam wyjaśni zdarzenia. Samo przecież się nie podpala. Wystawiamy strażę, ale nie mamy tylu ludzi, żeby każdy dom ze wszystkich stron obstawić.

Tyle się na początek dowiedziałem od Sowy. Chciałem go spytać o pana Sternberka, czy o nim słyszał, a może w jakiś sposób poznał, powstrzymałem się jednak. O ile Sternberk mógł być szalony, to *Unitas fratrum*, jako odszczepieńcy, z pewnością są groźni dla naszego Kościoła. Nie powiem, żeby mnie to specjalnie przerażało. Zauważam w sobie coraz to większą powściągliwość, jeśli idzie o krytykę herezji, gdy w grę wchodzi ocena kacerzy postulujących reformy Kościoła. Co innego pojedynczy człowiek. Interesuje mnie jego grzeszna dusza, a Kościół w swojej całości trudno podejrzewać o posiadanie duszy, która jest cechą raczej indywidualną, a nie zbiorową. Choć z drugiej strony jednostkowe dusze, gdy uczestniczą w grupie, wytwarzają coś na kształt duszy zbiorowej oddzielającej się od indywidualium na rzecz wspólnoty, wydawałoby się, kreując do pewnego stopnia nowy, niematerialny byt. Mnie samemu wydaje się czasem, że część mojej duszy bezwiednie przekazuję jakiejś nieokreślonej sumie, pozbywając się czegoś i tracąc, zyskując za to przekonanie o udziale w świadomości jak gdyby zawieszonyj pomiędzy. Trudno mi to wyjaśnić, nigdy bowiem nie byłem filozofem, jedynie teologiem, a i to u początku mojej drogi, bo od dawna już raczej ze mnie praktyk.

– Panie Sowa – spytałem, gdy skończył – a czy pan, albo ludzie we wsi, macie jakieś podejrzenia? Wydaje wam się, że ktoś stoi za podpaleniami?

– Nie śmiem, ojczy, podejrzewać ludzi – odpowiedział Bocek. – Już raczej przypadek lub jakaś siła, o której nic nie wiemy.

– Przypadkiem to niektórzy zostają duchownymi – nie wiem, dlaczego to właściwie powiedziałem – pożary, panie Sowa, występujące po sobie co tydzień, na pewno nie są przypadkiem. Wiem co nieco o rozpalaniu ognia – dodałem tajemniczo, nie tłumacząc, skąd pochodzi moja wiedza.

Poprosiłem, by na dzień następny Bocek sprowadził wszystkich mieszkańców. Z kobietami nie chciałem rozmawiać, gdyż są nieprecyzyjne, gadają, co im ślina na język przyniesie. Szkoda czasu dla kobiet, żeby je wysłuchiwać w jakimkolwiek przypadku. Chodziło mi o mężczyzn i chłopców starszych niż czternaście lat, bo tacy już mogą uchodzić za niemal dorosłych. Razem stawiło się trzydziestu. Jedynie Sowa i kilku innych znało język niemiecki, byłem więc zmuszony rozmawiać po czesku, w języku, który poznałem na tyle dobrze, żeby przestać go uważać za słowiańskie seplenienie.

Fakty przedstawiały się następująco. Po pierwszym pożarze, co zrozumiałe, nie czekano na następny, nie przedsiębrano żadnych środków zaradczych. Gdy drugi pożar wybuchł, to znaczy po ugaszeniu, wystawiono warty nocne przy każdym obejściu. Ale jak to z ludźmi bywa, ktoś się zdrzemnął, czuwając, ktoś inny musiał za potrzebą do lasu. Ten trzeci pożar, w gospodarstwie pana Pospichala, został zauważony dopiero wtedy, gdy trawił drewnianą komórkę, a z niej w jedną chwilę przeniósł się na zabudowania mieszkalne. Nie było co gasić. Dobrze, że nikt nie ucierpiał. Pożar czwarty, i jak do tej pory ostatni, był tragiczny. Zginęła cała rodzina Żamberskich, spokrewnionych z Maciejem, podobno biskupem czeskich braci. Ojciec, matka i troje dzieci w wieku od pięciu do dziewięciu lat. Sami sobie winni. Michał Żamberski stał na czatach, lecz zasnął, oparty o ścianę domu. Gdy się obudził, ogień był już w kuchni i na poddaszu. Michał, próbując ratować dzieci, w ten ogień wskoczył i spalił się razem ze wszystkimi. Zostało tylko parę niedopalonych kości. Zebrano je do drewnianej skrzynki i pochowano w jednym grobie, ustanawiając w ten sposób, tuż za ostatnim zabudowaniem, cmentarz, którego wcześniej we wsi nie było, bo i nikt do tej pory w Hanowicach nie umarł. Widoczny z daleka, drewniany krzyż otoczono także drewnianym płotem, wyznaczając w ten sposób rozległe pole cmentarne, ale także drogę, którą prędzej czy później każdy mieszkaniec wsi podąży, gdy przyjdzie

na niego czas.

Na pogrzeb przyjechał sam Maciej Żamberski, jak oni wszyscy chłop, tyle że ustanowiony pasterzem tej odszczepieńczej trzody. Nie będę się teraz nad tym rozwodził, chociaż mam w tej sprawie swoje przemyślenia.

Gdy o tym wszystkim rozmawiałem z ludźmi, zbliżał się kolejny piątek, został więc dokładnie jeden dzień. Wydałem dyspozycje, jak się ludność Hanowic ma przygotować. Z każdego domu w jutrzejsze południe mieli się stawić dwaj delegaci. Jeden do pilnowania własnego domostwa, drugi do straży wiejskiej, która miała czekać ukryta w rowach na polu otaczającym wioskę z każdej strony.

Następnego dnia, w piątek, od samego rana robiłem obchód wsi, zatrzymując się najpierw przy każdym spalonym domu i szukając wspólnych być może dowodów, potwierdzających przypuszczenia o celowym działaniu. Oprócz zwęglonych desek, kikutów ścian i smrodu spalenizny nie było tam niczego. To znaczy niczego podejrzanego, co by zwracało moją uwagę. Dopiero na końcu oględzin, za zgliszczem domu Żamberskich, spostrzegłem dziwne ślady. Ledwo widoczne w trawie, która widać koszona przed dwoma, trzema tygodniami, sięgała mi już do połowy łydki. Dokładnie rzecz ujmując, pierwszy ślad zauważyłem najpierw w krowim placku. Ta część gospodarstwa Hanowice służyła wypasowi bydła, nawet teraz na łące pasło się kilkanaście krów. Ślad buta pozostawiono na środku krowich odchodów. Ale łajno, które oblepiło podeszwę, zostawało też na trawie przy każdym kolejnym kroku. Tak było dobre dwadzieścia kroków postawionych w stronę zabudowań, aż czyjś but oczyścił się w trawie na tyle, by jej przy kolejnych krokach nie brudzić. But był zapewne męski, i to sporych rozmiarów, z obcasem zagłębionym w całkiem jeszcze świeży placek. Za młodu sam wypasałem dwie nasze krowki. Pamiętam, że bydłce odchody zachowują swoje wewnętrzne ciepło nawet do dwóch tygodni. Wielkie krowie kupsko, w które ktoś wdepnął na hanowickiej łące, nie mogło mieć więcej niż siedem do dziesięciu dni. Dlaczego jednak właściciel buta nie czyścił go od razu, wycierając w trawę, jak czynią wszyscy, co niechcący trafią na cuchnącą przeszkodę? Być może szedł tędy nocą, mógł nie zauważyć. Wdepnął i poszedł dalej. Wróciłem do wsi po pana Sowę i razem udaliśmy

się na łąkę. Poprosiłem Sowę, żeby się przyjrzał śladom. Na ślad zostawiony w krowim placku pokręcił głową.

– But z obcasem – potwierdził to, co i ja już wiedziałem. – Każdy gospodarz ma u nas jedną parę z cholewką na obcasie, ale na miłość boską, nikt w nich nie idzie na pastwisko. Nawet dobrze wytartego buta gównem trzyma się całymi tygodniami, zanim całkiem przestanie śmierdzieć – powiedział fachowo, o czym i sam dobrze wiedziałem. – Zresztą my takie buty, robione u szewca w Ołomuńcu, mamy tylko na niedzielę i święta. Na co dzień łązimy w chodakach, o takich – pan Sowa pokazał palcem na swoje obuwie wydłubane w drewnie. – Dałaby mi żona, gdybym chodaki zamienił na świąteczne buty i ganiał w nich za krowami – uśmiechnął się i machnął ręką. – Myśli ojciec, że to są dowody? – Sowa zawiesił głos.

– Nie wiem, panie Sowa – odparłem, przypatrując się jeszcze raz bardzo dokładnie śladom. – Na pewno ktoś w dobrym obuwiu chodził, i to niedawno, po waszej łące. Ten ktoś ubabrał swój elegancki, solidny but łajnem, zmierzając w stronę wsi, idąc, jak się wydaje, od lasu. Jeśli to nie był nikt z was, pozostaje pytanie, kto w takim razie.

– Nie znamy odpowiedzi – rzekł Sowa, ze smutkiem zwieszając głowę.

– Nie znamy – przyznałem.

Po południu wszyscy byli już rozmieszczeni tam, gdzie im nakazałem. Ukryci w różnych miejscach, mieli pozostać niezauważeni dla oczu ewentualnych przybyszów z zewnątrz. Gdy się ściemniło, począłem chyłkiem odwiedzać strażę, sprawdzając, czy aby nie śpią i czy są dobrze schowane. Cała wieś wydawała się spać. Cicha, spokojna, morawska wieś – można by pomyśleć. Czuwałem całą noc, skryty za studnią pośrodku wsi, wsłuchując się w każdy szmer dochodzący z obejść gospodarskich. Tak doczekałem świtu. Gdy wróciłem pod dom pana Sowy, zastałem go śpiącego i z lekka pochrapującego na ławce pod oknem. Dla żartu pstryknąłem go w ucho, Sowa zerwał się natychmiast.

– Jak to, co to, gdzie to? – krzyknął zbudzony, a widząc mnie, zaczął przeproszać, że nie był wystarczająco czujny.

– To nic panie Sowa, to nic – poklepałem go po ramieniu. – Szczęśliwie nic się tej nocy nie stało – dodałem, wchodząc do domu, w którym obudzona

już gospodyni przygotowywała śniadanie.

Kolejnej nocy powtórzyliśmy dokładnie te same czynności. I znów nic się nie wydarzyło. W niedzielny poranek, po kolejnych nieprzespanych godzinach, pożegnałem pana Sowę i konno udałem się do Litovla, by wziąć udział we mszy świętej, a potem zdać sprawę wielebnemu Prechtowi, właściwie tylko poinformować proboszcza, że niczego specjalnego nie ustaliłem. Spotkałem Prechta w zakrystii, zaraz po nabożeństwie, które celebrował. Zdejmował już ornat i stułę, oblekając zwykły, mnisi habit, spod którego wystawały brązowe, skórzane buty na grubej podeszwie z wysokim obcasem. Wtedy właśnie usłyszałem szept, jakby ktoś sączył słowa do mego lewego, a potem prawego ucha. Nie wiem, czyj był ów szept, mogę się tylko domyślać, że anielskiego pochodzenia: „Zbadaj but, zbadaj but, zbadaj but”

– Niech wielebny zdejmie prawy pantofel – nakazałem Otokarowi.

– Co? – Precht, zdziwiony, otworzył swoją końską paszczę i kłapnął zębiskami.

– But prawy zdjąć! – powiedziałem ostro i proboszcz natychmiast zzuł trzewik. Przyjrzałem mu się najpierw z zewnątrz. But jak but, sam mam takich kilka par. Odwróciłem podeszwę. Czysta, widać, że ostatnio czyszczona. Ale w wąskim rowku między podeszwą a koturnem obcasa widać było zaschniętą jakiś czas temu nieczystość. Przystawiłem podeszwę do nosa, wciągając powietrze. No przecież! Tak śmierdzi tylko krowie łajno. Nie mogłem się mylić.

Następne godziny potwierdziły moje przypuszczenia. Na wszelki wypadek, do czasu wyjaśnienia wszystkich wątpliwości, rozkazałem zamknąć Prechta w piwnicy. Poleciałem też trzymać strażę przy drzwiach prowadzących na dół. Sam natomiast przeszukałem pokój, w którym proboszcz mieszkał i spał. W koszu na brudną bieliznę znalazłem sutannę. Na dole, w dwóch miejscach, miała ślady zabrudzeń, prawdopodobnie krowim gównem, bo nie pachniała zachęcająco.

Przesłuchanie Prechta trwało wyjątkowo krótko. Utrzymawał, że podpaleń

dokonywał sam, nikt mu nie pomógł (szczerze mówiąc, byłem pewien, że nie miał pomocników, bo kto przy zdrowych zmysłach porwałby się na taką zbrodnię), całą winę wziął na siebie. Wieczorem, zanim pod eskortą dwóch braci zakonnych odjechał do Ołomuńca, spojrzął mi w oczy i począł wyrzucać z siebie jakiś, nie całkiem zrozumiały dla mnie, strumień słów:

– Ojciec nie wie, jak to jest. Bracia, bracia, czescy, pacia, macia, sracia. Zabiorą nam niedługo całą ziemię, odbiorą wiernych. Ja im jeszcze pokażę, ja ich skażę, obrażę, obnażę, a ojca ukażę – tu zrobił ręką znak krzyża nad moją głową, splunął, pokazał język i przeraźliwie zarżał – niech będzie pochwalony, podpalony, ponizony. Giń, przepadnij, maro! – krzyknął, kłapnął szczęką i wierzgnął prawą nogą, kopiąc przy tym brata, który go przytrzymał za rękę.

Razem z Prechtem wysłałem też list do przeora naszego zgromadzenia w Ołomuńcu. List opisywał hanowickie wypadki i postulował, by nie karać proboszcza najwyższą karą ze względu na prawdopodobny ubytek inteligencji i chorobę jego *psyche*, która uczyniła z niego, oprócz mordercy, także ofiarę, przynajmniej w pewnym stopniu. Poleciałem, by go zamknięto w klasztornej celi, dawano raz dziennie jeść i pić i do naturalnej śmierci nie wypuszczano. Sam natomiast, zamiast także wracać do Ołomuńca, dosiadłem konia i ruszyłem na zamek pana Sternberka. Mówiono mi, że właśnie wrócił ze swoich podróży.

Kiedy mnie zobaczył w progach swojego domu, rozpostarł ramiona i krzyknął: – *Sol, ojcie, sol.*

– *Invictus*, panie Sternberk, *invictus* – powtórzyłem, uśmiechając się, zdziwiony, że tak łatwo mi przychodzi na język to kacerskie powitanie. Dziwiłem się także, że Morawy stają się z wolna moim domem. Mimo że wiele razy chciałem już opuszczać tę krainę, coś mnie w niej jednak trzymało. Może ludzie? Przychylni i dobrzy w większości, rozsądni i pracowici. A może spokój, z dala od głównych wydarzeń świata. Tęskniąc za Niemcami, a najbardziej za moją ukochaną Alzacją, nie umiałem określić swojej najbliższej przyszłości. Nawet tego, dlaczego tu jeszcze jestem i czy w ogóle kiedyś stąd wyjadę.



Rozdział
VII

*Uwierzcie, także i większych grzechów dopuszczają się czarownice,
co widzieli ludzie sprawiedliwi.
„Malleus maleficarum”*

12 GRUDNIA 2017 (1)

Rano zadzwonił telefon. Jan spojrzął na zegarek, dochodziła ósma. Nie wstając z łóżka, sięgnął po słuchawkę. Dzwonił recepcjonista.

– Dzień dobry, panie Gutman. Jakaś młoda dama do pana, czeka w holu, co mam powiedzieć? – spytał.

Jan w pierwszej chwili nie zrozumiał. Do hotelu wrócił już po północy. Kiedy wyszedł od Julii, rozejrzał się za taksówką, ale żadna nie jechała. Postanowił iść pieszo. Półgodzinny spacer dobrze mu zrobił. Wieczorny chłód, a właściwie lekki mróz, który ścinał kałuże, podziałał na niego orzeźwiająco. Przestał myśleć o ostatnich dwóch dniach. Zdecydował, że następnego dnia wraca do Pragi. Zamówi miejsce w samolocie na popołudniowy lot, przez Frankfurt albo Paryż. Ostatecznie może nawet jechać pociągiem, taksówką, statkiem, rakieta, czymkolwiek. Byle dalej stąd. Szedł ciasnymi uliczkami nad Saoną. W oknach kamienic paliły się pojedyncze światła. W pokoju szybko się rozebrał, wskoczył do łóżka i momentalnie zasnął. Spał mocno i być może dlatego, teraz, kiedy usłyszał dzwonek telefonu, wydawało mu się, że jest środek nocy. Za oknem było jeszcze zupełnie ciemno.

– Proszę pana? – znów usłyszał głos w słuchawce.

– Przepraszam, obudził mnie pan – Jan jeszcze raz spojrzął na zegarek.

– To ja przepraszam, że pana budzę, ale jest tu na dole pewna młoda dama, która mówi, że chce się z panem widzieć. Zejdzie pan? Co mam jej

powiedzieć? – recepcjonista zawiesił głos w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Tak, tak, już schodzę – do Jana dopiero teraz dotarło, że ktoś naprawdę na niego czeka. Ale przecież on na nikogo nie czekał. Chyba że... No tak, to jasne. Anna. Mógł się domyślić, że to zrobi. Nie rozmawiali od trzech dni. Nie odzywał się, nie dzwonił do niej. Jego odłączony telefon. Cała Anna. Szybko założył spodnie, buty, naciągnął koszulę. Zbiegł schodami, nie czekając na windę.

W holu, oprócz recepcjonisty rozmawiającego z kimś przez telefon i portiera siedzącego na małym krzeselku przy drzwiach, nie było nikogo. Portier zauważył, że Jan się rozgląda.

– Tam, poszła do baru, proszę pana – powiedział, pokazując jedną ręką, a drugą unosząc lekko śmieszny, zielony melonik, który razem z zieloną, przetykaną złotą nitką liberią, był jego dziwacznym, służbowym ubraniem.

W barze przy stoliku, pijąc kawę i paląc papierosa, siedziała Julia.

– To ty? – Jan usiadł obok niej.

– A spodziewałeś się kogoś innego? – Julia zmrużyła oczy.

– Nikogo się nie spodziewałem – skłamał. – Coś się stało?

– Dlaczego od razu uważasz, że coś się musiało stać? Nic się nie stało – Julia piła kawę, trzymając filiżankę w obu dłoniach. – Po prostu chciałam cię odwiedzić, to chyba nic dziwnego?

– O tej porze?

– Jakoś nie mogłam spać.

– Dlaczego?

– Coś sobie przypomniałam.

– To znaczy? – do stolika podszedł kelner. Jan zamówił kawę, prosząc, żeby była mocna.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tej kobiecie? Tej z siwymi włosami? – Julia zgasiła papierosa i wyciągnęła następnego. Miała podkrążone oczy, jakby rzeczywiście całą noc nie spała.

– Przypomniało mi się, że słyszałam dziwną rozmowę, którą Pierre prowadził przez telefon. Mówił: „ta stara może nam jeszcze narobić kłopotu”. Był zdenerwowany, a osoba, z którą rozmawiał, chyba go uspokajała,

bo w końcu powiedział: „masz rację, to tylko stara wariatka, ale będziemy ją mieli na oku” czy jakoś tak się wyraził. Na oku albo „będziemy się jej przyglądali”

– Zauważył, że słuchasz?

– Raczej nie. Stałam za drzwiami jego garderoby, drzwi były uchylone. On potem szybko wybiegł i odwołał próbę. To znaczy powiedział, żebyśmy sami próbowali, bo musi coś załatwić.

– Kiedy to było?

– No właśnie nie pamiętam, niedawno, kilka dni temu, może tydzień

Jan zmarszczył brwi.

– Myślisz, że to ważne?

– Bo ja wiem... – Jan przyjrzał się uważnie Julii. Dlaczego miałby wierzyć w to, co mówi. Może ta dziewczyna prowadzi jakąś grę, tylko jaką i dlaczego? Gdyby kłamała, musiałaby mieć w tym ukryty cel. Tylko jaki i dlaczego, jeszcze raz zadał sobie to samo pytanie.

– Julia, jesteś pewna, że słyszałaś tę rozmowę?

– Oczywiście – powiedziała urażona – tak jak jestem pewna, że w tej chwili do mnie mówisz. Kiedy wczoraj zadawałeś te dziwne pytania, wydawało mi się, że przesadzasz, ale potem zaczęłam się zastanawiać i myślę, że masz rację. Coś tu nie gra, chociaż sama nie wiem co. Być może nam obojgu coś się tylko wydaje, jak myślisz?

Jan nie odpowiadał. Kelner przyniósł mu kawę. Jan wsypał łyżeczkę cukru i zaczął mieszać, najpierw w jedną, potem w drugą stronę, nie patrząc na Julię. Za oknem robiło się szaro. Wstawał dzień, padał śnieg z deszczem. Kamienice za oknem tonęły w delikatnej, porannej mgłę. Uliczne latarnie właśnie przestały świecić, pozbawiając kamienice koloru, czyniąc z nich jednolitą, bezbarwną masę. Nie lubił takich późnojesiennych, zimowych poranków z unoszącą się w powietrzu wilgocią. W Pradze, w połowie grudnia, widno robi się już przed ósmą. W Lyonie nawet o dziewiątej jest jeszcze całkiem ciemno.

- No powiedz coś – ponaglała Julia.
- Jadłaś śniadanie?
- Co?
- Śniadanie, pytam, czy jadłaś śniadanie? – Jan wypił duszkiem jeszcze gorącą kawę.
- Nie jadam śniadań – odpowiedziała zdziwiona Julia.
- Ale ja muszę coś zjeść.
- Myślałam, że porozmawiamy.
- Będziemy jedli i rozmawiali. Ile masz czasu?
- Cały dzień. Wieczorem idę na próbę, a ty?
- Umówiłem się z Jeanem w klasztorze. Ojciec Roger pozwolił mi zwiedzić bibliotekę. Pójdę zaraz po południu i zostanę tak długo, jak będzie to możliwe.
- To mamy jeszcze parę godzin – uśmiechnęła się Julia.
- Tak. Parę godzin – powtórzył Jan, uświadamiając sobie, że tego dnia na pewno już nie wyjedzie z Lyonu.
- Wiesz co – chwycił Julię za nadgarstek – miałem dziś do południa obejrzeć miasto, gdybyś chciała być moim przewodnikiem...
- Dobrze, panie Czech – Julia przetarła zmęczone oczy – jeszcze nikogo nie oprowadzałam po Lyonie.

Jan zasypał ją mnóstwem pytań. O to, co robiła w mieście przed wyjazdem do Paryża, o studia w Paryżu, o pierwsze spotkanie z Pierre'em, o sztukę Becu, o to, jak dobrze zna brata Jeana, o jej przyjaciół w Paryżu, w Lyonie. Odpowiadała z namysłem i powoli, bo Jan przerywał jej dodatkowymi pytaniami, które teraz już nie dziwiły Julii. Usiłowała sobie przypomnieć najdrobniejsze szczegóły, jakby każdy mógł się okazać ważny, mimo że oboje nie wiedzieli jeszcze, do czego właściwie zmierzają. W tej powodzi informacji chcieli wspólnie znaleźć jakiś punkt oparcia dla swojego niepokoju, chociaż nadal nie byli przekonani, czy wątpliwości Jana, a teraz i Julii, mają racjonalne podstawy. Julia wyjechała z Lyonu cztery lata wcześniej. Najpierw w Lyonie studiowała antropologię kulturową. Potem w Paryżu dwa razy zdawała na wydział aktorski *Conservatoire des arts dramatiques*. Obie próby były nieudane. Za pierwszym razem znalazła się

w trzydziestce finalistów, ale oblała ostatni egzamin. Kazali jej udawać robaka. Powiedziała, że nie będzie udawać robaka, bo nie wie, jak się to robi, ale jeśli chcą, może przed komisją udawać człowieka, bo nic innego nie robi od dwudziestu lat. Ale oni nie chcieli, żeby udawała człowieka. Może nie zrozumieli, o co jej chodzi. Za drugim razem, rok później, znów się zakwalifikowała do finałowej grupy, z której komisja miała wybrać dziesięciu studentów *Conservatoire*. Przypomnieli ją sobie z poprzedniego roku i poprosili, żeby udawała człowieka, ale tym razem to ona nie chciała. Spytała, dlaczego nie pozwolono jej tego zrobić rok wcześniej. Usłyszała, że ma przyjść za rok. W następnym roku już nie próbowała, zapisała się na historię sztuki. Nie chciała mieszkać w Paryżu. Nigdy nie lubiła tego miasta, było dla niej za duże. Choć mieszkała w nim kilka lat, nie znalazła swojego miejsca, nie poznała też nikogo, kto by ją mógł zatrzymać w Paryżu. Z każdym miesiącem czuła się tam coraz bardziej samotna. Mimo że grała w studenckim teatrze, od czasu do czasu pomagała organizować wystawy młodym tak jak ona artystom i raz na parę miesięcy pisała tekst do „Le Point”. O sztuce. Kiedyś poznała szefa działu kultury w „Le Point”. To była krótka, nic nieznacząca znajomość. Właściwie epizod. Namawiał ją, żeby pracowała na stałe w tygodniku, ale pisanie o innych nie sprawiało jej żadnej satysfakcji. Paryż komuś, kto chce robić karierę, obojętnie w jakiej dziedzinie, po prostu karierę, może się wydawać ziemią obiecaną. Ale nie jej, ona nie chciała robić żadnej kariery. Gdyby ją przyjęli na wydział aktorski, pewnie musiałyby zostać, być może nawet chciałyby mieszkać w Paryżu, przyzwyczyłyby się. Ale sprawy potoczyły się inaczej. Resztę historii Jan już zna. Wróciła do Lyonu, odpowiedziała na ogłoszenie. Najpierw spotkała się z Pierre’em „Pod Ślimakiem”. Wypytywał ją o mnóstwo spraw dotyczących jej życia. Czy ma męża, czy w ogóle z kimś jest, gdzie mieszkają jej rodzice, jak na przesłuchaniu. Trochę ją to dziwiło, ale uznała, że Pierre jest po prostu oryginalny. Nie chciał za bardzo słuchać o jej doświadczeniach aktorskich. Kiedy mu powiedziała, że dwa razy zdawała do *Conservatoire*, wydawał się nawet nieco zły. Takie odniosła wrażenie. Dał jej wydruk tej sztuki Becu. Nie, nie całą sztukę, jakieś dwadzieścia stron. Powiedział, że ma czas do jutra, musi się tego nauczyć na pamięć. Nie spała całą noc, rano przyszła

na pierwszą próbę, kilka razy się pomyliła, ale Pierre ją przyjął do swojej trupy. Podobał się jej ten archaiczny termin „trupa”. Nie zespół, ale właśnie trupa, dziś nikt tak już nie mówi. Zaczęli intensywne próby, każdego dnia po kilka godzin. Według niej Pierre jest utalentowanym reżyserem, mimo że nie skończył żadnej szkoły, ani aktorskiej, ani reżyserskiej. O tym, że był dominikaninem, dowiedziała się jakieś dwa, trzy miesiące temu, gdy do oberży przyszedł Jean. Pierre się wtedy przyznał, że spędził kilka lat w zakonie. To była dla Julii nowa wiadomość, ale zdaje się, że ani dla Adriana, ani dla Alberta, oni nie byli zaskoczeni. Jean potem jeszcze kilka razy pojawiał się „Pod Ślimakiem”, raz czy dwa razy był też na próbie. Chyba sam się wpraszał, bo Pierre nie był z tych wizyt zadowolony. W ogóle oni obaj, Pierre i Jean, zachowywali się tak, jakby mieli do siebie żal. O co? Julia nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale być może chodziło po prostu o to, że Pierre opuścił klasztor, przeszedł na drugą stronę, jak to kiedyś nazwał Jean. Oprócz tych prawie codziennych posiedzeń w oberży, nie spotykała się ani z Pierre’em, ani z Adrianem, ani z Albertem. Widywali się tylko na próbach, po których ona, Adrian i Albert szli na wino. Pierre nieraz szedł z nimi, a nieraz mówił, że jest zmęczony i musi odpocząć. Wtedy od razu wracał do domu, ale Julia nawet nie wie, gdzie on mieszka, zdaje się, gdzieś po drugiej stronie Saony, w każdym razie blisko teatru. Teatr wypełniał jej całe dnie, a czasem kawałek nocy, bo zdarzało się, że próby kończyły się bardzo późno. Pierre bardzo rygorystycznie podchodzi do obowiązków. Teraz, kiedy Julia się zastanawia nad ostatnim półroczem spędzonym w Lyonie, dochodzi do wniosku, że Pierre specjalnie nie dawał im czasu na życie poza teatrem, jakby tylko od liczby godzin spędzonych na próbach zależało powodzenie spektaklu. W ciągu tych sześciu miesięcy ani razu nie wyszła do kina, nie była w innym niż ich teatrze, nie odwiedzała galerii sztuki, bo kiedy wychodziła z prób, to całe miasto już przeważnie spało. Dopiero w ostatnich dniach Pierre dał im trochę wolnego, ale ona była już tak zmęczona przygotowaniem do premiery, że wolała się dobrze wyspać niż gdzieś chodzić. Właściwie pierwszym człowiekiem, pierwszym od kilku miesięcy człowiekiem, z którym dłużej rozmawia, jest Jan. Pierre powtarzał, że na normalne życie będą mieli czas po premierze. W końcu

tak się przyzwyczaiła do monotonii zajęć w teatrze, że przestała myśleć o czymkolwiek innym.

– To co, idziemy? – spytała Julia, gdy Jan na chwilę przestał zadawać pytania.

– Tak, poczekaj tu parę minut, wypij jeszcze kawę, a ja się pójde umyć i ubrać – Jan wstał od stolika, zawołał na kelnera i zapłacił rachunek.

– Tylko się pośpiesz, mamy niecałe trzy godziny, to trochę za mało, żeby obejrzeć całe miasto – Julia znów potarła oczy.

– Nie musimy zwiedzać całego, wystarczy kilka miejsc.

– No dobra, leć już, ale zaraz wracaj.

Jan pobiegł do pokoju. Szybko wziął prysznic, założył ciepły sweter, płaszcz i szedł na dół. Upłynęło około piętnastu minut, ale Julii nie było już w barze, nie znalazł jej też w holu. Rozglądał się bezradnie, nie wiedząc, co się stało. „Pewnie poszła do toalety” – pomyślał i usiadł w holu na miękkiej, pluszowej sofie. Po upływie kolejnych kilku minut wstał i podszedł do portiera.

– Nie zauważył pan mojej przyjaciółki? – spytał.

– Tej, co do pana przyszła?

– Właśnie.

– A widziałem, widziałem – odpowiedział portier, uśmiechając się znacząco. – Jakaś sprzeczka, co? To się zdarza, ja tu, proszę pana, już tyle rzeczy widziałem, mógłbym panu opowiedzieć takie historie, że aż by się pan zdziwił – machnął ręką. – Niech pan tego nie bierze do siebie. Z kobietami najlepiej smakują, proszę pana, kolacje, jak byłem taki młody jak pan, to nigdy nie jadłem śniadania z kobietą. Zawsze wychodziłem przed, he, he – zaśmiał się ze swojego żartu i szybko spoważniał, bo zobaczył karcące spojrzenie Jana. – Tak, widziałem tę młodą damę – nagle portier stał się bardzo precyzyjny. – Wyszła przed chwilą z hotelu w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, wzrostu dość wysokiego, jak pan, ubranego w brązową marynarkę, dwurzędową, ciemne, prawdopodobnie czarne spodnie ze sztruksu, buty też czarne, na głowie miał brązowy beret, więc nie widziałem całej jego twarzy, tym

bardziej że miał okulary, takie przyciemnione, ale to był jego sposób mniej więcej w pana wieku, może ciut starszy – wyrecytował precyzyjnie, jakby obserwowanie ludzi było jego stałym zajęciem. – Młoda dama trzymała go pod rękę, przepraszam, nie tak, oni jakoś się oboje trzymali pod rękę i mam wrażenie, że młoda dama była troszeczkę zdenerwowana, no ja to rozumiem, bo zdaje się, wolałaby zostać z panem, a tu taki ambaras, że ktoś ją, he he, odnajduje w hotelu – puścił oko do Jana. – Ma pan szczęście, że nie w pokoju, bo dopiero wtedy mielibyśmy problem, prawda? Mężuś? Dobrze, że pana nie nakrył.

– Widział pan, dokąd poszli, w którą stronę? – Jan zignorował pytania, zacisnął zęby, portier to zauważył i nic nie powiedział, tylko przecząco pokręcił głową.

– Naprawdę pan nie widział?

– No wie pan, obowiązuje mnie jednak pewna tajemnica hotelowa. Jak lekarza albo, nie przymierzając, księdza.

Jan wyciągnął z kieszeni dwa zmięte banknoty, resztę, którą dostał od kelnera w barze.

– Czy teraz pan sobie przypomni? – powiedział, wciskając je w rękę portiera.

– Coś jakbym pamiętał – portier zrobił minę, jakby przypominanie sprawiało mu ogromny wysiłek. – Wyszli i wsiedli do taksówki. Tak, wsiedli do taksówki, a potem odjechali. W tamtą stronę – pokazał głową kierunek.

– Do jakiej taksówki? Pamięta pan numer?

– Numer? – portier uniósł wzrok do góry, jakby numer miał wypisany na suficie. – Pyta pan o numer?

Jan wyciągnął portfel, wyjął dwa kolejne banknoty.

– Tak, teraz sobie dokładnie przypominam. Taksówka nie miała numeru. Wsiedli do taksówki Marka, Marc u nas jeździ. Przed hotelem stała tylko jedna taksówka, więc do niej wsiedli. Jak pan poczeka, to Marc zaraz wróci,

będzie pan go mógł sam zapytać, dokąd pojechali.

Jan znów usiadł na sofie. Przyglądał się grupie japońskich turystów, którzy właśnie wchodzili do hotelu. Taszcząc wielkie jak szafa walizki, karnie ustawiali się w kolejce przed recepcją. Wszyscy uśmiechnięci od ucha do ucha i bardzo cisi, jakby weszli do kościoła, a nie hotelu w centrum miasta. Po dwudziestu minutach portier kiwnął i otworzył przed nim drzwi. Na chodniku stała taksówka. Portier podszedł do niej, przez uchyloną szybę szepnął coś do ucha kierowcy, a potem, jeszcze raz, kiwnął na Jana. Jan wsiadł do środka, na przednie siedzenie.

– Wiozł pan przed chwilą kobietę i mężczyznę – zaczął.

– Wiozłem, a jakże – odpowiedział kierowca, przyglądając się Janowi. – Bardzo im się śpieszyło, mówili, żebym jechał szybciej, ale o tej porze nie da się szybko jechać. Wie pan, jak to jest rano, korki.

– Kto kazał szybko jechać, mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna, kobieta całą drogę się nie odzywała. Zresztą w ogóle się nie odzywali, tylko raz czy dwa ten facet mówił, że mam szybciej jechać. A panu o co chodzi? – kierowca zajrzał Janowi w oczy.

– Dokąd ich pan zawiózł?

– Do północnej dzielnicy.

– Zawiezie mnie pan tam – powiedział rozkazująco Jan.

– Miałem teraz iść na śniadanie.

– Zapłacę podwójnie.

– No dobrze, niech stracę – powiedział kierowca, włączając silnik.

Jechali dziesięć, może piętnaście minut. W końcu zaparkowali przed bramą jakiegoś parku.

– Tu wysiedli, widziałem, jak przechodzą przez bramę, a potem wróciłem – powiedział kierowca.

– Co to za miejsce? – spytał Jan.

– Nie wie pan? To największy śródmiejski ogród we Francji, *parc de la Tete d'Or*, nie słyszał pan? Zajmuje obszar sporego miasteczka.

Jan nie odpowiedział. Zapłacił, wysiadł z taksówki i szybko minął bramę. W środku główna aleja rozwidlała się na trzy węższe, biegnące w różne strony. Każda z nich ginęła w oddali pośród drzew i niewysokich wzniesień. Jan wybrał środkową, dochodziła dziesiąta. Parkowymi drózkami sunęły kobiety popychające wózki z dziećmi i młodzi ludzie na rolkach. Między nimi, nieco niezgrabnie, poruszały się pary starszych, trzymających się pod rękę ludzi. Niektórzy przystawali nad rozległym stawem i karmili kaczki.

Gdy jechali z hotelu, przestał padać deszcz. Wyjrzało słońce i na dworze zrobiło się całkiem ciepło. Termometr wiszący w cieniu, na parkowej bramie, pokazywał dziesięć stopni. Jan szukał wzrokiem wolnej ławki, na której mógłby usiąść i chwilę pomyśleć, ale wszystkie były zajęte. Zauważył po drugiej stronie stawu drewnianą wiatę i schowane pod nią stoliki baru lub restauracji. Ruszył w tę stronę, rozglądając się, jakby za chwilę z którejsz z alejek miała wyjść Julia. Sama lub z kimś. Z mężczyzną, który po nią przyjechał i dla którego zostawiła go w hotelu, mimo że obiecała pokazać miasto. Jeśli to zrobiła, znaczy, że musiała – pomyślał i zaraz zdał sobie sprawę, że wniosek, do którego doszedł, nie jest specjalnie odkrywczy. Tylko dlaczego? Z kim wyszła? Kto mógł wiedzieć, że Julia przyszła do hotelu? Zadając sobie pytania, mimo że wiedział, że nie znajdzie na nie odpowiedzi, doszedł do baru, usiadł przy stoliku i zamówił kawę. Obok na szafce leżały gazety. Sięgnął po pierwszą z brzegu, „Le Progres”, spojrzął na datę. Dzisiejsze wydanie. Przeczytał kilka nagłówków z pierwszej strony. Mer Lyonu obiecuje, że w przyszłym roku rozpocznie się budowa piątej linii metra łączącej najstarszą część miasta z Villeurbanne – obok zdjęcie uśmiechniętego mera, pokazującego na planie miasta, którądy będzie przebiegała trasa nowej linii. Prezydent Francji, który odwiedził wczoraj Lyon, nazwał miasto „francuską perłą”. Bezrobocie w mieście spadło pod koniec roku do czterech procent. Studenci dwudziestu prywatnych uczelni działających w Lyonie planują akcję protestacyjną, która ma zrównać ich prawa socjalne ze studentami uczącymi się w uczelniach państwowych. Morderstwo na dworcu Perrache – w tunelu między peronami znaleziono ciało czterdziestoletniego mężczyzny zakłutego nożem. Premiera „Don Giovanniego” w operze. Policja apeluje, by w tym roku na „Święto światła”

nie przesadzać z fajerwerkami.

Pił kawę, lustrując wzrokiem ogromną przestrzeń parku. Nawet jeśli Julia rzeczywiście tu jest, szanse jej spotkania były praktycznie zerowe. Znów zaczął bezwiednie przerzucać strony gazety. Zatrzymał się na ogłoszeniach, a jego uwagę zwrócił mały, zamieszczony w ramce anons. „Teatr Bez Końca przypomina wszystkim zaproszonym o premierze, 13 grudnia, godzina 23. Obecność obowiązkowa”. Dlaczego w dziale ogłoszeń? Przecież takie informacje powinny być zamieszczane na stronach kulturalnych. Jaka obecność obowiązkowa? O co chodzi? Nic z tego nie rozumiał i nagle uświadomił sobie absurdalność swojej sytuacji. Niepotrzebnie za nią jechał. Jeśli spokojnie poukładać zdarzenia z ostatnich dni, to nie stało się nic takiego, co powinno go niepokoić. Owszem, dziwne zachowania, rozmowy, ale przecież nie znał ich wcześniejszych zachowań. Oceniał ich tak, jakby oceniał samego siebie. To pomyłka, która go zaprowadziła do błędnych wniosków. Jest przewrażliwiony, Julia pewnie spotkała znajomego. Miała dość czekania, po prostu razem wyszli. Gdyby coś chcieli ukryć, nie braliby przecież hotelowej taksówki. Z drugiej strony to, czy wzięli tę czy inną, i tak niczego nie zmienia. Na pewno kogoś spotkała, i to spotkanie okazało się ważniejsze. Trudno. Ostatecznie nie mógł nawet wymagać, żeby na niego czekała. Zabawa w detektywa zaczynała go męczyć, dopił więc kawę i wąską, asfaltową ścieżką ruszył do wyjścia. Jeśli nie całkiem uspokojony, to przynajmniej pogodzony z tym, że nic więcej nie może już zrobić.

Metrem dojechał do placu Bellecour. Słupy ogłoszeniowe na całym placu informowały o święcie światła. „*Fête des lumières*, tradycja zapalania lamp w oknach sięgająca 8 grudnia 1852 roku. Kiedy najpierw powódź, a później huragan uniemożliwiły umieszczenie złotej figury Matki Bożej Niepokalanego Poczęcia na szczycie bazyliki, mieszkańcy miasta spontanicznie zapalali świece w oknach, składając hołd Maryi. Zdarzenie to kontynuowano, a dzisiaj święto zmieniło się w największy w Europie Festiwal Światła. 8 do 13 grudnia, początek 8 grudnia o godzinie 18.00, zakończenie o północy 13 grudnia”

„Największy pokaz iluminacji na świecie, wieki tradycji, kolorowa współczesność Lyonu” – głosiło hasło wypisane na ogromnym, białym

płótnie rozciągniętym między latarniami w samym środku placu. W informacji turystycznej kupił przewodnik po mieście. Usiadł na ławce i zaczął czytać. „Lyon został założony przez Rzymian w 43 p.n.e. Na początku, za panowania rzymskiego, nazwa Lyonu brzmiała Lugdunum. Był to najważniejszy ośrodek rzymskiej prowincji Galii. Burgundowie zajęli miasto w 470 r., potem przejęli je Frankowie (534). W 879 r. powróciło do Burgundii, a w 1032 r. zostało przyłączone do Cesarstwa Niemieckiego. Prawa miejskie od XIII wieku. Od 1307 r. Lyon należy do Francji. Po okresie upadku w średniowieczu, w XVI wieku rozpoczął się ponowny rozwój Lyonu jako ważnego ośrodka handlowego i finansowego, konkurującego o swoje wpływy z Paryżem. W 1793 r., w czasie rewolucji francuskiej, w mieście wybuchło powstanie żyrondistów i rojalistów przeciwko jakobinom. W latach 1831 i 1834 miały tu miejsce krwawo stłumione powstania tkaczy. W czasie II wojny światowej mieściła się w Lyonie najważniejsza komórka francuskiego ruchu oporu, którą dowodził Jean Moulin. Główne zabytki: amfiteatr z czasów rzymskich, katedra św. Jana Chrzciciela, bazylika *Notre Dame de Fourvière* i romańska bazylika benedyktynów Saint Martin d’Ainay z XII wieku. *Cathédrale Saint Jean-Baptiste de Lyon*. Budowa rozpoczęła się w XII wieku na ruinach VI-wiecznego kościoła, a została ukończona w 1476. Szczególnie godne wzmianki są dwa krzyże z prawej i lewej strony ołtarza, konserwowane, ponieważ Rada w 1274 uznała je za symbol Związku Kościołów i Kaplicy Bourbon, wybudowanej przez kardynała de Bourbon i jego brata, Piotra II. Król Ludwik XI skończył arcydzieło rzeźby z XV wieku. Katedra posiada również zegar astronomiczny z XIV wieku. Do czasu gdy zbudowano bazylikę *Notre Dame de Fourvière*, był to kościół górujący nad Lyonem. Bazylika *Notre Dame de Fourvière*, znajdująca się na szczycie wzgórza Fourvière, została zbudowana z prywatnych funduszy między 1872 i 1896. Zaprojektowana podobnie jak bazylika *Sacré-Coeur* w Paryżu, jako znak triumfu chrześcijańskich wartości nad komuną gminy Lyon z 1870. Jej niezwykle kształt wywodzi się zarówno z architektury romańskiej, jak i bizantyjskiej. Znajdują się w niej mozaiki, witraże oraz krypta św. Józefa. Bazylikę zwiedza około 1,5 miliona ludzi rocznie. Znajduje się w niej Muzeum Sztuki Sakralnej”

Spojrzał w wąski prześwit między kamienicami placu Bellecour. Widział katedrę nad brzegiem Saony, a nad nią, wyżej, na samym szczycie wzgórza Fourvière, bazylikę Notre Dame.

Kilka minut później stał przed katedrą świętego Jana Chrzciciela. Na chwilę zajrzał do środka, dobiegała końca msza. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, wierni stali nawet między rzędami ławek. Przypomniawsobiesobie praskie kościoły, które, niezależnie od pory dnia, niezależnie od tego, czy były akurat święta, czy zwykłe dni tygodnia, zawsze przypominały muzea, w dodatku z lichą frekwencją. Kiedy wszyscy opuścili kościół, Jan wszedł do środka i usiadł w ostatniej ławce. Pamiętał, że w tym miejscu modlili się uczestnicy soborów. Być może nawet mieszkali w położonym obok klasztorze Benedyktynów. Z kieszeni płaszcza wyciągnął przewodnik. Czytał wsparty o ławkę z przodu, jak dobry chrześcijanin zapatrzony w swój modlitewnik.

„Lyon. Miasto położone między Saoną a Rodanem. Najstarsza część miasta leży właściwie na prawym brzegu pierwszej z tych dwóch wielkich rzek, bez których miasto nie mogłoby się rozwijać. Nie tylko Lyon, ale cała środkowa Galia bez swoich dwóch głównych żył, tętnic, nie miałaby czym spławiać towarów do nadmorskich portów. I Saona, i Rodan dawały wodę pitną i dla ludzi, i dla zwierząt, nawadniały żyzne, muliste pola wzdłuż rzek. Nie mówiąc o rybach i wielkim rybnym handlu, który się usadowił nie tylko w Lyonie, także w wielu innych miastach i osadach od Genewy na północnym wschodzie, po Awinion i Marsylię na południu.

Lyon, nazywany kiedyś Lugdunum i będący prowincją cesarstwa – tak było za pierwszych biskupów: Fotyna i Ireneusza w drugim i trzecim wieku, miało w swojej historii bujne okresy wzrostu, ale i trwające latami epizody, w których traciło na znaczeniu, wręcz chyliło się ku upadkowi. Pierwsze lata szesnastego wieku, licząc od urodzin Jezusa Chrystusa, rozpoczynały jeden z lepszych, jeśli nie najlepszy, czas dla Lyonu. Najważniejszym historycznie wydarzeniem w mieście był sobór lyoński pierwszy – XIII sobór powszechny Kościoła katolickiego, zwołany przez papieża Innocentego IV do Lyonu. Trwał od 26 czerwca 1245 r. do 17 lipca 1245 roku. Na sobór przybyło ok.

150 biskupów i wielu innych wyższych duchownych. Ich liczba była więc niewielka, a przyczyn tego należy szukać w najeździe mongolskim i trwającej w Europie wojnie z ordami Batu-chana. Szczególnie niewielu przedstawicieli wyższego kleru zjawiło się z samego Cesarstwa Niemieckiego, co jest zrozumiałe, gdyż jedną z przyczyn zwołania soboru był konflikt pomiędzy papieżem a cesarzem Fryderykiem II, ciągnący się od pontyfikatu Grzegorza IX. Rosnące zapędy cesarza, chcącego sprawować całość władzy świeckiej i częściowo podporządkować sobie Kościół, oraz postać i ambicje papieża Innocentego IV, dążącego z kolei do sprawowania powszechnej władzy biskupa Rzymu, doprowadziły do ostatecznej konfrontacji. Sobór zdetronizował Fryderyka II jako króla niemieckiego i cesarza rzymskiego, co okazało się decyzją trwałą i skuteczniejszą od ekskomuniki. Cesarza, który miał się zjawić na posiedzeniu soboru jako oskarżony, reprezentował jego sędzia dworski, Tadeusz z Suessa. Sobór ów zatwierdził kościelne prawo procesowe, opracowane przez papieża, oraz zajął się problemem Mongołów w Europie. Następstwem tego było wysłanie rok później pierwszej europejskiej delegacji do chana mongolskiego, Batu-chana. Zwrócono także baczną uwagę i omówiono problemy moralne wewnątrz Kościoła, głównie odnoszące się do duchowieństwa, co miało swój oddźwięk w uchwalonych konstytucjach. Ogłoszono także nową krucjatę przeciwko Turkom seldżuckim, która spotkała się z odezwą Ludwika IX Świętego i przeszła do historii jako VI krucjata (bądź VII, zależnie od tego, czy za pełnoprawną krucjatę uzna się tę prowadzoną przez Fryderyka II w latach 1227–1229).

Sobór lyoński drugi – XIV sobór powszechny Kościoła katolickiego zwołany przez papieża Grzegorza X do Lyonu, podobnie jak w przypadku poprzedniego soboru – soboru lyońskiego pierwszego, za pontyfikatu Innocentego IV. Obrady rozpoczęły się 7 maja 1274 roku. Przybyło ok. 560 opatów i biskupów, a wśród zaproszonych byli także święty Bonawentura i święty Tomasz z Akwinu, który nie dotarł na miejsce, gdyż zmarł w drodze do Lyonu. Sobór obradował głównie nad problemem ponownego zjednoczenia Kościoła zachodniego ze wschodnim. Dążył do niego zarówno papież Grzegorz X, jak i cesarz Michał VIII Paleolog. Ten ostatni czynił to jednak z pobudek czysto politycznych. Karol I Andegaweński, ówczesny

władca Sycylii, Neapolu, Andegawenii oraz kilku innych państw i krain, czynił starania zmierzające do odbudowy *Imperium Romanum*. Naturalnie, jednym z kroków zmierzających do urzeczywistnienia tego celu było podporządkowanie sobie Bizancjum, przy czym najlepszym rozwiązaniem dla Karola I było przywrócenie w miejsce cesarstwa Paleologów cesarstwa łacińskiego. Zawarcie unii uchroniłoby więc cesarza Michała Paleologa przed ewentualnym, acz coraz bardziej realnym, atakiem łacinników. Kościół katolicki warunkiem unii uczynił zaakceptowanie formuły *filioque* („Duch Święty pochodzi odwiecznie od Ojca i od Syna nie jako od dwóch odrębnych początków, ale jako od jednego początku, *tamquam ex uno principio*”) oraz uznanie ważności siedmiu sakramentów. Michał Paleolog, reprezentowany w Lyonie przez ekspatriarchę Konstantynopola, zgodził się na te warunki oraz przyjął doktrynę o supremacji Stolicy Apostolskiej. Zawarto w ten sposób trwającą zaledwie siedem lat unię lyońską. Na soborze ogłoszono nową krucjatę, a na jej potrzeby zarządzono zbiórkę specjalnej dziesięciny w każdej parafii. Nie doczekała się ona jednak wcielenia w życie, odzew był znikomy.

Sobór, który obradował podczas trzech uroczystych sesji (11, 20 i 30 listopada), zajął się trzema ważnymi dla ówczesnego Kościoła kwestiami: rekonkwisty Ziemi Świętej, reformy wewnętrzkościelnej oraz herezjami albigensów, katarów i Joachima z Fiore. Zajęto się problemem nieuznawania przez kler prawosławny rytów sakramentalnych Kościoła łacińskiego. Sobór przypominał o prymacie Stolicy Piotrowej nad innymi patriarchatami, powołując się na wolę Chrystusa w tej sprawie. Zobowiązano wiernych do corocznej spowiedzi i komunii wielkanocnej. Spowiednicy zostali ponownie wezwani do zachowywania sekretu spowiedzi świętej. Zakazano potajemnego błogosławienia małżeństw, potępiono symonię, brak szacunku do relikwii oraz nadużycia w udzielaniu odpustów. Niezwykle ważne było także ostateczne przyjęcie i usankcjonowanie zasady konklawe przy wyborze każdego kolejnego papieża. Próbowano ją wprowadzić już na soborze laterańskim III zwołanym przez papieża Aleksandra III. Odtąd wybór miał zapadać na zgromadzeniu kardynałów elektorów, którzy zbierali się po śmierci głowy Kościoła. Wybór miał być dokonany większością 2/

3 głosów, a kandydat nie musiał pochodzić z grona elektorów, papieżem mógł więc w zasadzie zostać każdy katolik (do XVI wieku także osoby świeckie wybierano na papieża, np. Leona X), przed objęciem urzędu były jednak konsekrowane. Sobór, mimo niezrealizowania ogłoszonych na nim uchwał, był niezwykle ważny z punktu widzenia historii i rozwoju Kościoła rzymskiego. Dał ostateczne wskazówki co do wyboru głowy Kościoła katolickiego. Zajął się problemami życia konsekrowanego, starał się także przywrócić jedność z Kościołem prawosławnym, z którym łączność została zerwana ponad 200 lat wcześniej. Czynił to jednak z pozycji strony silniejszej, więc nie może być nazwany ekumenicznym w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Wyznaczył on trwały kierunek postępowania Kościoła na następne dekady i stulecia. Jeśli więc szukamy prapoczątku nowożytnego Kościoła chrześcijańskiego, trwającego jeszcze trzy wieki aż do luteriańskiej protestacji, miał on miejsce właśnie w Lyonie, przy dzisiejszej ulicy Bourgelat, tu gdzie osiem wieków temu oprócz kościoła nie było nic, z wyjątkiem pastwisk i winnic. Wychodząc z bazyliki, nie zapomnij wrzucić choćby małego pieniążka do skarbonki znajdującej się w kruchcie. Z Twoich datków księży restaurują kościół”

Wrzucił kilka drobnych i wyszedł na zewnątrz. Wąziutkim mostem Świętego Jerzego przeszedł na drugą stronę rzeki, na plac Bellecour. Stąd miał jeszcze piętnaście minut pieszo do klasztoru Dominikanów. Spojrzał na zegarek, był kwadrans przed dwunastą. Słońce grzało tak mocno, jakby to był początek wiosny. Zdjął płaszcz i wystawił głowę do słońca. Prostokątny plac był prawie pusty, dwaj mężczyźni grali w szachy przy betonowym stoliku, turysta z plecakiem szybko schodził do metra. Była jeszcze stara kobieta karmiąca gołębice. Ptaki siadały jej na ramionach i głowie, a ona odganiała je ręką, ale znów przylatywały. Jan wstał i zrobił kilka kroków, teraz był pewien. Siwe włosy, tym razem bez nakrycia głowy. W prawej ręce trzymała parasolkę, lewą rzucała na chodnik kawałki chleba. Podeszedł bliżej. Wysypała z małej, papierowej torebki okruszki i zbierała się do odejścia. Jan zagroził jej drogę.

– Pamięta mnie pani? – spytał.

– Proszę? – kobieta przystanęła i zdziwiona spojrzała na Jana.

- Pokazywała mi pani drogę do klasztoru, pamięta pani?
- Do jakiego klasztoru?
- Do klasztoru Dominikanów. Dwa dni temu. Mówiła pani, że wyjechali do Dijon.
- I co, trafił pan? – kobieta go wyminęła i nie czekając na odpowiedź, szła coraz szybciej w stronę mostu na Saonie. Jan też przyspieszył.
- Czy może się pani na chwilę zatrzymać? Chciałbym o coś zapytać – Jan znów zagroził jej drogę.
- Czego pan chce – powiedziała szorstko.
- Widziałem panią wczoraj na klasztornym dziedzińcu. Rozmawiała pani z przeorem.
- No i co? – kobieta stanęła, zrobiła taki sam ruch ręką jak przed chwilą, gdy odpędzała gołębie.
- Może to niezręczne pytanie – Jan się zawahał – ale chciałem panią spytać, kim pani jest i co robiła u dominikanów.
- Karmiłam gołębie – odpowiedziała i szybko ruszyła dalej. Jan złapał ją za rękę.
- Proszę pani, to dla mnie ważne. Od kilku dni dzieją się rzeczy, których nie rozumiem.
- Przecież pan wie – kobieta opuściła parasolkę. – Jest pan jednym z nich, niech mi pan da spokój, dajcie mi wszyscy spokój – krzyknęła, ale nie ruszała się z miejsca.
- Kim są oni, niech mi to pani wytłumaczy, jestem w Lyonie od trzech dni, naprawdę nie wiem, co się tu dzieje – Jan złożył ręce jak do modlitwy.
- A pan kim jest? Dlaczego mi pan grozi? – zajrzała mu odważnie w oczy.
- Jestem Czechem, przyjechałem zbierać materiał do książki. I w ogóle pani nie grozę.
- Do jakiej książki?
- O Heinrichu Kramerze, autorze...
- Wiem, kim był Kramer – przerwała. – On był bardzo złym człowiekiem.
- Skąd pani wie, kim był Kramer?
- Od ojca.
- Od jakiego ojca?

- Ma pan ojca?
- Już nie mam.
- Ale pan wie, co to ojciec.
- Od pani ojca?
- Tak.
- Kim był pani ojciec?
- Pisał książki, tak jak pan. Christian Becu, ale pan go nie może znać.
- Autor „Clausewitza”?

Kobieta zrobiła krok w tył. Popatrzyła na Jana nieufnie.

- Pan jest jednym z nich. Złodzieje, złodzieje – zaczęła krzyżeć.

Mężczyźni grający w szachy zerwali się z miejsca i w zaciekawieniu patrzyli na Jana i kobietę.

- Niech się pani uspokoi, proszę – Jan objął ją ramieniem – nie jestem jednym z nich, cokolwiek by to miało znaczyć. Nawet nie wiem, kim są oni.

- Dlaczego miałabym panu wierzyć? – spojrzała na Jana badawczo.
- Bo panią o to proszę. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć.
- Zabrali mi wszystko, a teraz chcą zabrać Dziennik – powiedziała cicho.
- Dziennik Institora? – Jan poczuł, że robi mu się gorąco.
- Pan wszystko wie – zrezygnowana spuściła głowę.
- Właśnie, że nic nie wiem. Jeśli pani może mi to wytłumaczyć...
- Paszport.
- Co?
- Niech mi pan pokaże swój paszport, skoro pan nie jest stąd.

Jan wyjął paszport i wręczył kobiecie. Przewracała strona po stronie.

- Pan jest Czechem? – spytała.
- Mówiłem pani.
- Nie Francuzem?
- Nie, moi dziadkowie byli Francuzami.

Odwróciła się, a kiedy znów na niego spojrzała, zauważyła na jej policzkach rumieńce.

– Niech pan idzie ze mną – powiedziała bardzo łagodnie, biorąc Jana pod rękę.

– Nie, teraz nie mogę, jestem umówiony w klasztorze, spotkajmy się wieczorem, jeśli mogę panią o to prosić.

– W takim razie wpół do siódmej, o szóstej kończy się msza u Świętego Marcina. Będę czekała. Niech pan koniecznie przyjdzie. *Rue du Plat* dwanaście, trzecie piętro, mieszkanie numer osiem, zapamięta pan?

– Tak – Jan powtórzył adres, a ona kiwnęła głową i szybko odeszła, podpierając się parasolką.



Rozdział
VIII



*Gdy czarownica nie chciała przybyć własnym ciałem na spotkanie,
mogła w nim uczestniczyć inaczej.
Musiała się wówczas położyć na lewym boku i przywołać imię szatana.
Natychmiast z jej ust poczynąły wychodzić żółte wapory,
a dzięki zabiegowi mogła się na niby przenieść, słysząc wszystko,
o czym na spotkaniu rozmawiano.
„Malleus maleficarum”*

I PAŹDZIERNIKA MCDXCII

Wieść o śmierci papieża dotarła do nas, do Ołomuńca, na początku sierpnia. Kardynał Ardicino della Porta, mój protektor i biskup Ołomuńca, w imieniu którego pełnię posługę na Morawach, poinformował listem o ostatnich dniach Innocentego i zapowiedział, że na początku października odwiedzi swoje biskupstwo, lecz zabawi nie dłużej niż kilka dni. Czekamy więc, słuchając od czasu do czasu relacji braci odwiedzających naszą pustelnię, w której nic się nie dzieje za wyjątkiem moich rozmów, choć nieczęstych, z panem Sternberkiem. Stał się dla mnie Sternberk osobą bliską, bliższą niż moi bracia rodzeni i siostry. Bliższą niż Bracia Kaznodzieje, a im przecież ślubowałem miłość i posłuszeństwo. Po tym jak wielebny Otokar Precht targnął się na swoje życie, wieszając własne gardło na sznurze od habitu w celi, do której go skierowałem, wielu moich Braci Kaznodziejów zerwało ze mną stosunki, uważając, że pochopnie wydałem wyrok na proboszcza Litoula. Uważają mianowicie niektórzy, że Precht miał rację karząc ogniem domostwa czeskich braci. Nie wyznaję takiego poglądu, już mówiłem, że ważniejsze dla mnie są przewiny osobiste niż grupowe, nawet grupy *Unitas fratrum*. Diabeł bowiem, a znam go dobrze, bo nieraz przyszło mi z nim wojować, uderza

w jednostki, nigdy zaś w grupy, jako że sam jest słaby i woli pojedynczych przeciwników niż zebranych w zawsze silniejsze niż jednostka stado. Na dodatek łatwiej przekonać do siebie pojedynczego człowieka niż całe stado, w którym zawsze znajdzie się ktoś rozumny, komu szatańskie obietnice będą obojętne, i przekona resztę, by nie ulegali złemu. Przyjeżdżałem jednak na Morawy ze sławą inkwizytora. Wiem, że moja, od dawna zauważalna beczynność w tej materii może się wielu wydawać dziwna, a być może nawet podejrzana.

Nikt w Rzymie w każdym razie nie płacze po papieżu, a i mnie żadna łza nie cieknie po policzku. Ostatnie lata uczą dystansu do wydarzeń, których byłem świadkiem lub tylko o nich wiedziałem. Nadmierna egzaltacja, sam jej nieraz ulegałem w przeszłości, prowadzi najczęściej do czynów nieroztropnych, nieprzemyślanych. Umarł papież, jest już kolejny, Rodrigo Borgia, Aleksander VI, mój równolatek.

I niech Pan ma nas przed nim w opiece. Znam tego człowieka z jak najgorszej strony.

XVI PAŹDZIERNIKA MCDXCII

Kardynał Porta zaledwie tydzień przebywał w swojej diecezji. Drugiego dnia, kiedy odpoczął po trudach podróży, wezwał mnie do siebie.

– Jak się ma nasz drogi Sternberk? – spytał.

– Ojciec go zna? I wie, że ja go znam? – zdziwiony odpowiedziałem pytaniami.

– A jakże, któż go nie zna. *Sol*, bracie – powiedział cicho, spojrzał mi filuternie w oczy i zaczął się przebierać. Zdjął przy mnie habit, ukazując swoje kościste kształty. Zakładał białą koszulę i czarny surdut.

– *Invictus* – odrzekłem mimowolnie i w zawstydzeniu, jakby on, kardynał Kościoła, przyłapał mnie na czymś niewłaściwym. Spuściłem wzrok, nie chcąc się mierzyć z moim protektorem. Czekaając, co się dalej zdarzy, wyobraziłem sobie biskupów. Dziesięciu, stu, całe mnóstwo purpuratów schylających głowy obleczone w mitry i zamiast chrześcijańskiego pozdrowienia

witających się tak, jak kardynał Porta przed chwilą ze mną. *Sol, bracia, sol, invictus, invictus*. Jestem jednym z nich, jestem jednym z was. W mitrze, w purpurze. Ja, któremu zaszczyty zawsze były obce, stoję pośród was. Wypowiadam zakłęcie, lecz spoglądając we wszystkie strony, upewniam się, czy aby robię słusznie. Alleluja! Jestem już heretykiem czy dopiero się nim staję? Bóg Słońce. Co to ma znaczyć? Jeśli do tej pory traktowałem pana Sternberka jako niegroźnego, a nawet miłego szaleńca, to teraz mam już do czynienia z dwoma dziwakami. Ale czy na pewno dziwakami czy raczej niebezpiecznymi kacerzami? A może...

– Heinrichu? Heinrichu? Każ zaprzęgać – zadysponował Porta, przerywając moje zamyślenie. – Odwiedzimy naszego przyjaciela, mamy do omówienia wiele ważnych kwestii.

Przygotowano nam powóz ze stangretem, ale Porta chciał jechać tylko ze mną. Sam wziął lejce i poganiał konie. Szło mu całkiem zręcznie, bo jak powiedział, w życiu ma dwie pasje. Pierwszą jest Kościół, drugą powożenie. Jeśli w obu jest równie sprawny, mogę być spokojny o przyszłość Kościoła. Tylko jakiego? Na to pytanie nie znam jeszcze odpowiedzi. W trzy godziny byliśmy na miejscu, w drodze prawie się do siebie nie odzywając. Jedynie od czasu do czasu kardynał rzucał krótkie: popatrz i ręką pokazywał a to na pięknie wijącą się opodal rzekę, a to na pole i idących rzędem chłopów, czyniących pewnie ostatni przed zimą pokos trawy, a to na młodą dziewczynę dosiadającą osła, który ją niósł drogą, tyle że w przeciwną stronę. Miałem wrażenie, że te, przecież zwykłe, wiejskie obrazy zachwycały Portę w równym stopniu, co radość powożenia. Kardynał – obserwowałem go cały czas – uśmiechał się przy tym do siebie, jakby ucieczka z Rzymu i zwiedzanie morawskich przysiółków uszczęśliwiały go niepomiernie. Zauważył w końcu, że mu się przyglądam, i krzyknął: – A tak, tak, Heini. Nie ma to jak wieś, nie ma jak wieś, patrz, wachaj ten zapach i ciesz się ze mną!

Pan Sternberk przywitał się z kardynałem jak z najlepszym przyjacielem. Nieco zaskoczony, ale ucieszony wizytą. Kiedy się już wyściskali, podał mi

rękę i we trzech przeszliśmy do salonu.

Wkrótce wyszło na jaw, że podobnie jak ja, także kardynał gustuje w dobrym winie. Służący pana Sternberka co godzinę donosił nowe butelki ze znanej mi piwnicy, a Ardicino język coraz bardziej się rozwiązywał. Opowiadał o sierpniowym konklawe, które zaczęło się dzień po pogrzebie starego papieża i trwało sześć dni. Otwierałem oczy ze zdziwienia na to, co słyszałem. Widać jeszcze zbyt słabo poznałem Lateran.

– Pańskie zabiegi, panie Sternberk, odniosły taki skutek, że faktycznie byliśmy bliscy zwycięstwa – mówił kardynał, wychylając kolejny kielich czerwonego, pięcioletniego francuskiego *cabernet*, którego pan Sternberk sprowadził niedawno dwadzieścia butelek. Aromatyczny, choć nieco za blade, lecz pachnący lukrecją zmieszaną z domieszką pieprzu, smakował jednak wyjątkowo. Pijąc w tym tempie, pomyślałem, odmiany tej wystarczy nam najwyżej na kilka godzin. – Biskup Boccaccio, tak jak miał zrobić, wysłał listy do kardynałów, w których określił nadzieje dworów panujących Modeny, Florencji, że to właśnie ja zostanę wybrany i że obok Giuliano della Rovere i Sforzy mam największe szanse. W pierwszym i drugim głosowaniu miałem za sobą po pięciu elektorów, ze wszystkich dwudziestu trzech. Przeczuwałem, że za mało. Po trzecim było już wiadomo, że wygra Borgia lub Carafa. Głosowanie, jak może wiecie, pierwszy raz odbywało się w nowej kaplicy Sykstusa. Przed ostatnim, czwartym głosowaniem Rodrigo naobiecował naszym kolegom takie zaszczyty i dostarczył niektórym z nich tyle srebra i złota, że wynik był z góry przesądzony. Przed samym głosowaniem podszedł do mnie młody Rafael Riario, jak wiecie, kamerling, chwając się, że pałac Piazza Navona jest już jego. Spytał mnie też o moje beneficja, które miałem jakoby otrzymać od Borgii. Wie pan, panie Sternberk, że nasz Pan obdarzył mnie łaską skromności i ubóstwa. Nie umiem brać, ale nie potrafię też obiecywać, jak to czynią inni. Ostatecznie, zdając sobie sprawę z przegranej, a nie chcąc iść na wojnę z nowym papieżem, zagłosowałem jak każdy na Borgię, który przyjął imię Aleksander VI. Przegraliśmy, panie Sternberk, i nie wiem, kiedy dostaniemy kolejną szansę. Zapowiada się bowiem długi pontyfikat. Rodrigo nie jest jeszcze stary, a przede wszystkim ma zdrowie jak koń.

Pan Sternberk najpierw odprawił służbę, sam rozlał do kielichów kolejną butelkę wina, a potem zaczął mówić. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak poważnego, nie słyszałem, żeby tak precyzyjnie i powoli dobierał słowa. Sprawiało mu to niejaką trudność, gdyż każdy z nas miał we krwi zawartość co najmniej dwóch butelek wina, wprawdzie nie najmocniejszego, jednak wino zawsze pozostaje winem.

– Już mi raportowano, ojcze, sam wolałem siedzieć na prowincji niż rzucać się w oczy na Stolicy Piotrowej – pan Sternberk nie wydawał się strapiony ani zdziwiony tym, co słyszy. – Jak widać, nasz czas jeszcze nie nadszedł, może nigdy nie nadejdzie. A może zamiast przejęcia władzy jedyne, co nam zostaje, to rozbijanie rzymskiego Kościoła? Trzeba się nad tym zastanowić, uważając, by nie zostać rozpoznanym. Rodrigo Borgia już nieraz pokazał, że jest mistrzem spisku. Musisz go znać, ojcze – tu zwrócił się do mnie.

Wyjaśniłem Sternberkowi, że chociaż nigdy z kardynałem Borgia nie rozmawiałem, to jednak wiem o nim całkiem sporo. Znany jest z tego, że nie ukrywa pod sutanną własnych dzieci, a odwrotnie, wprowadza je na salony, dzieląc między nich inwestytury, przywileje i bogactwo, którego zgromadził tyle, że nawet królewskie rody zazdroszczą mu fortuny. Jako człowiek pozbawiony wiary w Boga, wierzy w siłę pieniądza i miecza. Mój starszy brat kaznodzieja, Thomas de Turrecremata, przeor klasztoru w Segowii, a także inkwizytor Kastylii, opowiadał o dyskusji, jaką przed laty toczył z młodym jeszcze, choć już kardynałem Borgia. Borgia oddzielał przekonanie o istnieniu Boga od przekonania o misji Kościoła. To pierwsze nazywał prawdami dla gawiedzi, utrzymującymi rygor w pospólstwie, to drugie – metodą osiągnięcia wielkości swojej i swojej rodziny. Mówił to bezwstydnie i szczerze, wiedząc, że nawet Turrecremata, przed którym drżeli monarchowie, nie jest w stanie zagrozić jego pozycji, gdyż każdemu, kto by chciał wystąpić przeciw niemu, mógł zamknąć usta pieniędzmi lub stanowiskami.

– Brat Thomas opowiadał – przypomniałem sobie – że Rodrigo nie znał

w całości nawet jednej modlitwy, unikał też celebrowania nabożeństw, bo nie nauczył się następujących po sobie rytuałów, a w jego otoczeniu zawsze było kilka kochanek, jako że stałość uczuć nie była jego cechą charakteru, o ile miał w ogóle jakikolwiek charakter. Na pewno miał słabą głowę. Turrecremata pił z nim kiedyś wino i Borgia już po pierwszej butelce bełkotał, jakby opróżnił pół beczki. Zamiast znanej maksymy: *Memento mori* miał własną: *memento vitae*. Nigdy też nie ukrywał, że najchętniej połączyłby oba urzędy: cesarski z papieskim, ustanawiając władzę, jakiej nikt, nigdy nie miał na ziemi, nawet Cezar czy faraon. Jego zepsucie moralne jest tak wielkie, że uprawiał miłość także ze swoimi dziećmi, córkami i synami, a podobno przyłapano go nawet na współżyciu z owcą, ale to mogą być tylko plotki, bo chyba żadne miejsca na świecie nie są tak rozplotkowane, jak Lateran i Watykan. Bardzo długo myślałem, że to źli, zawistni ludzie rozpowszechniają nieprawdziwe informacje. Od pewnego czasu ufam jednak plotkom, gdy dotyczą papieży. Obawiam się jednak, podobnie jak ojciec Porta, że jego pontyfikat może być długi. Hierarchom odpowiada ktoś taki na tronie Piotrowym. Po pierwsze, w jego grzechach i okrucieństwach mogą ukryć własne, po drugie, przy jego fortunie wzrośnie także ich zamożność.

– Też tak obrażam – przyznał kardynał Porta. – Też tak uważam – z miejsca się poprawił, gdyż język zaczynał mu się już plątać. – Nie pierwszy i nie ostatni, który potrzebuje miłosnych emocji. Pamiętasz, Heinrichu, Pawła II, co odszedł na serce, harując ze swoim młodym siankiem, to jest, chciałem powiedzieć, kochankiem.

– Na stos z nim! – krzyknąłem i już chciałem się zrywać z miejsca, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

– Na stos! – zawołał kardynał. – Ale jakże to, przecież on już nie żyje.

– Nie ten, to inny – pan Sternberk, słysząc o ogniu, chciał podpalić w kominku, jednak podobnie jak ja, nie mógł się ruszyć z miejsca.

– *Sol*, panowie, *sol* – powiedział niewyraźnie kardynał.

– *Invictus! Invictus!* – odpowiedzieliśmy jednocześnie z panem Sternberkiem.

Porta i Sternberk, oparci o stół, szykowali się do drzemki. A ja, nie dziwiąc

się zupełnie temu widokowi, zobaczyłem Annę Santi siedzącą obok mnie. Miała nad głową aureolę z gwiazd. Na sobie długą, białą suknię, a w ręce kij pasterski, którym odganiała młodego baranka, łaszącego się do jej stóp. Nagle wstała i ruszyła w stronę drzwi, a ja poczułem niemiły zapach siarki. Zawołałem ją po imieniu, ale nie odpowiedziała. Zawołałem jeszcze raz:

– Dokąd idziesz, pani?

– Opuściłeś mnie, więc idę do Rzymu, by mnie powtórnie ukrzyżowano – odpowiedziała.

– Nie pozwolę na to, pani – wybełkotałem.

– Nie masz nic do gadania, Heinrichu, będzie tak, jak mówię – szepnęła mi do ucha. Spojrzałem na moich kompanów. Obaj spali z głowami opartymi o stół.

– Ale dlaczego, pani? – spytałem, nie rozumiejąc znaczenia jej słów.

– Nie chciałeś mnie. Kto mnie teraz przygarnie z bękartem? – pokazała palcem na baranka. – Muszę ponieść karę za grzechy.

– Ja ciebie chcę. Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona moja dusza.

– Za późno, Heinrichu, za późno. Już się dokonało.

– Jeszcze jest czas, nie mów tak – chciałem paść na kolana, ale zawiodły mnie nogi.

– Nie poniżaj się, poniżając przy tym także mnie. Musisz być silny, Heini, pamiętaj.

– Jestem silny, mimo lat – próbowałem się podnieść.

– Nie oszukuj się, Heinrichu. Jesteś już starym człowiekiem, za starym dla mnie. Nic mi po takim starcu.

– Ależ pani, ja się poprawię, będę jeszcze młody.

– I posłuszny?

– Tak jest, posłuszny – odpowiedziałem skwapliwie.

– Wykonasz każde moje polecenie? Każdy mój rozkaz? – Anna zrobiła kilka kroków w moją stronę i jeszcze silniej poczułem niemiły, ostry zapach.

– Tak – powiedziałem już mniej pewnie, bo zauważyłem, jak zwilża językiem wargi. Ale to nie był zwykły język, lecz język w kolorze zwiędłego buraka, rozdwojony na końcu, niczym język węża.

– Musisz mi coś obiecać, Heini – stanęła do mnie tyłem, podniosła rękę

do góry, jakby chciała mi pogrozić. – Że odstąpisz towarzyszy. Nie słuchaj ich, bo cię prowadzą do zguby.

– Czyżby? – spytałem podejrzliwie. Zaczęło już do mnie docierać, z kim mam do czynienia.

– Masz wątpliwości? Nie możesz mieć żadnych wątpliwości – odwróciła się, zaczęła iść w moją stronę. Chwyliłem pierwszą z brzegu butelkę, jeszcze do połowy wypełnioną winem. Starłem się mierzyć celnie, ale butelka rozbiła się na ścianie, zostawiając na niej krwisty ślad.

Zapadłem w sen.

Nie pamiętam, jak się znalazłem w swoim pokoju, w łóżku. Rano bolała mnie głowa. Kiedy znów wszedłem do salonu, pan Sternberk, najmłodszy z nas i chyba też najsilniejszy, już rozmawiał z Portą.

Kazał mi wypić całą miskę parującego bulionu i rzeczywiście, gorąca zupa postawiła mnie na nogi. Spałem krótko, lecz intensywnie. Zaciekawiony, czego to dziś nie usłyszę, nadstawiałem uszu.

– Człowiek musi sobie od czasu do czasu pofolgować z winem i biesiadą – Sternberk spoglądał to na Portę, to na mnie.

– I ja tak myślę, panie Sternberk, Jezus nie miał nic przeciwko biesiadowaniu, sam w nich wiele razy uczestniczył. W dodatku nic mi nie wiadomo, aby przemieniał wino w wodę, za to zdarzało mu się zamieniać wodę w wino, zresztą w dużych ilościach, ku uciechu gawiedzi. Udowadniał w ten sposób, że i jemu nie jest obcy szlachetny smak trunku. Chyba nasz przyjaciel – Porta odwrócił się w moją stronę – ma trochę słabszą głowę. Okropnie krzyczałeś, mój drogi. Musieliśmy cię z panem Sternberkiem, we dwóch, zanieść do sypialni, rozebrać i jak dziecko ułożyć do snu.

– Miałem koszmary – próbowałem się tłumaczyć.

– Nic się nie stało – powiedział nasz gospodarz, dolewając mi bulionu i pokazując służącym, że mogą podawać do stołu, na którym jako pierwsze znów pojawiły się butelki wina, tym razem białego, rieslingowego, a ja zacząłem się zastanawiać, czy podołam następnej biesiadzie, szczególnie że zaczynała się niemal o świcie. Na szczęście dla mnie nie musiałem.

Wkrótce, najedzeni, ruszyliśmy za panem Sternberkiem, który nas prowadził ku piwnicom. Minęliśmy dobrze mi znane wejście do biblioteki.

Szliśmy jeszcze dalej i głębiej w czeluście zamkowych podziemi, stając na samym dole przed niskimi drzwiami. Pan Sternberk wyjął z kieszeni klucz i otworzył wejście do pomieszczenia, którego wielkość, gdy zapaliliśmy pochodnie, z miejsca mnie zaskoczyła. Ogromny, zamkowy salon był przynajmniej połowę mniejszy od tej wielkiej pieczary. Stały w niej drewniane skrzynie różnej wielkości. Od takich wielkości krzesła, do ogromnych, w których mógłby się schować niejeden człowiek. Pan Sternberk nakazał nam z ojcem Portą usiąść na ławie i podał baranie kożuchy.

– Zimno tu, załóżcie – powiedział, a sam zajął się otwieraniem pierwszej skrzyni. Wyjął z niej dużą kulę, dużo większą od największego arbuza, przytrzymywaną od spodu przez stopę i wbitą w kulę krótką igłę. – Kula ziemską, panowie – ściszył głos, jakby zamierzał się modlić do tego dziwnego przyrządu. – Autorstwa mojego przyjaciela z Portugalii, geografą i odkrywcy Martina Beheima, właściwie Niemca, tak jak ojciec Kramer. Ziemia według Beheima jest kulą, wisi zawieszona w przestrzeni.

– Jak to wisi, panie Sternberk? Jak, nie przymierzając, ćma zawieszona w powietrzu? Bez skrzydeł wisi? I morza się z niej nie wylewają, a my nie spadamy? A jak, za przeproszeniem, oddajesz stolec, panie Sternberku, to dlaczego gównu nie spada, skoro też jest, jak rozumiem, zawieszona, podobnie do nas. Słyszałem o takich koncepcjach i zawsze je traktowałem z dystansem – kardynał pokręcił głową.

– Jest przyciągana przez inne ciała niebieskie i sama przyciąga.

– Nie ma rąk, panie Sternberk, żeby przyciągała. Chyba że czyjś wzrok, jakiegoś człeka osadzonego na Księżycu. Chociaż coś w tym, co pan mówi, może i jest. Już święty Tomasz przekonywał, że wszystko, co się porusza, przez co inne poruszane jest – przyznał Porta.

– Tak tak, dlatego wisi w przestrzeni, której elementy i ciała jak gdyby poruszają same siebie nawzajem. Jest okrągła Ziemia jak jabłko, w dodatku się obraca, dlatego mamy dzień i noc, taką lub inną porę roku.

– Dobrze, panie Sternberk – wtrąciłem swoje trzy grosze – ale święty Tomasz mówił także: „Co do poznania istoty Bożej, najpierw należy przyjąć, że Bóg jest. Człowiekowi rozumnemu rzuca się to w oczy”

– Zapewne miał rację, jeśli za Arystotelesem uznamy, że jego Nieruchomy Poruszyciel to właśnie Bóg. Wszystko, całe nasze życie, zależy jednak od Słońca. A Słońce może być nieskończenie wiele, jak uważają mądrzejsi ode mnie. Skoro tak, to mamy nieskończenie wielu bogów lub jednego, najdoskonalszego w swojej nieskończoności Boga Słońce. Już starożytni przewidywali, że tak jest. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy być od nich głupszy. Podobnie rzecz się ma z innymi ciałami, które obserwujemy na nocnym niebie – wszystkie podlegają tym samym prawom, oczywiście, uprzedzę kolejną wątpliwość ojca, prawom tak czy inaczej Boskim. Miejmy tylko nadzieję, że jeśli i tam – wyżej i dalej, żyją istoty podobne do nas, to są od nas chociaż trochę rozumniejsze.

Sternberk mówił o tym z satysfakcją, zaznaczając, że nie rości sobie pretensji do bycia autorytetem.

– Świecę odbitym światłem – przyznał. – Według Martina, ale też według innych uczonych, podróżując w stronę zachodu słońca, wrócimy od wschodu. A w bezmiarze oceanu, między nami a Indiami, gdzieś daleko na zachodzie musi być jeszcze jakiś kontynent, który Beheim zaznaczył o tu, popatrzcie, na globusie. Z kolei pewien nasz wspólny znajomy, wyposażony w wiedzę kartograficzną przez Martina, udał się niedawno w trzy statki, aby odkryć ten nowy ląd i nową drogę do Indii. Wprawdzie wypłynął w maju i słuch po nim, jak po wielu innych, zaginął, mimo wszystko wierzymy, że jeszcze wróci. Oby tak się stało. Zabrał ze sobą przyrząd do mierzenia pozycji na morzu, o, taki – pan Sternberk wyciągnął z tej samej skrzyni dziwne, trójkątne urządzenie z lunetą, statywem i przesuwaną dźwignią. – Jeśli się tu patrzy, a tu porusza, można określić, gdzie się jest, z dokładnością do tysiąca kroków albo i dokładniej. Jeden egzemplarz zabrał ów żeglarz, którego imienia nie pamiętam, drugi mam ja. Jako matematyk amator pomagałem Martinowi w tworzeniu konstrukcji, czyniąc niezbędne obliczenia. Spoglądamy w lunetę – pan Sternberk chciał, żebym to ja zrobił, ale go powstrzymałem – widzimy miejsce, w którym się łączy morze z niebem. Następnie przesuwamy to ramię, aż obraz obserwowanego ciała niebieskiego, na przykład Słońca albo Gwiazdy Północy, pokryje się z linią

złączenia morza i nieba. Na tej podziałce niżej odczytujemy kąt, na którym się znajdujemy, a więc nasze usytuowanie na bezkresnym morzu. Kompas przy tym urządzeniu to wynalazek dla dzieci.

Pan Sternberk zaczął teraz jednocześnie odkrywać kolejne skrzynie.

– Pompa – oznajmił krótko. – Stworzona przez Leonarda z Vinci, znacie go z pewnością jako artystę, tymczasem większy z niego inżynier. Dobywa wodę z dużej głębokości. Jedna jest tu, drugiej używam w ogrodzie, dzięki temu nie trzeba jeździć z beczkami do rzeki. Czy widzieliście w moim obejściu beczki z wodą? Właśnie, nie ma ich, są niepotrzebne. Pompy tłoczą wodę bezpośrednio do zamkowej kuchni. W tamtych skrzynkach, przy ścianie, jest przyrząd do latania, jeszcze niedoskonały, ale zleciałem nim z góry zamkowej na pole zeszłego lata. Mam dalej pokazywać? – spytał, czekając na naszą reakcję.

– Nie uważa pan, że to wszystko marność? – odezwał się pierwszy. – Odkrycia naukowe były zawsze i da Bóg, będą nadal. Człowiek nie staje się jednak dzięki nim lepszy, a świat sprawiedliwszy i pozbawiony grzechu.

Sternberk, nic nie mówiąc, sięgnął do jeszcze jednej skrzyni. Wyjął niedużą księgę, oprawioną w skórę garbowaną na zielono.

– „*De hominis dignitate*” Pico della Mirandoli – przeczytał z okładki tytuł i nazwisko autora. – Młody człowiek, zapewne nieznanym ojcu – tu popatrzył na mnie – za to znany kardynałowi, przyjaciel Savonaroli, co zresztą źle mu wróży. Obaj wtajemniczeni. Pico, największy z nas wszystkich, chce przywrócić godność człowiekowi, a nauce pierwszorzędne znaczenie. Chciał zorganizować w Rzymie, za naszą zgodą, dyskusję najwybitniejszych uczonych. Niestety, papież nie wydał zgody, Pico popadł w melancholię, wyprzedał swój majątek. Podobno krąży gdzieś między Rzymem a Florencją, ucząc prosty lud.

– Słyszałem o nim – przerwał Sternberkowi. – Chciał zostać mnichem, wstąpić do naszego zakonu, ale mu nie pozwolono w obawie przed jego szaleństwem, jak głosił komunikat.

– Właśnie – przyznał Sternberk. – Widzi ojciec jednak, że nie próżnujemy.

– Widzę raczej, że jesteście szaleni – powiedziałem, próbując w jakimś stopniu obrócić to w żart, ale Sternberk spojrział na mnie z wyrzutem.

– Czy ojciec nadal nie rozumie? – spytał w sposób, w który rodzice mówią czasem do niezbyt rozgarniętych dzieci. Z troską, ale też wielkim rozczarowaniem. – Świat jest w przededniu wielkich odkryć, które na zawsze zmienią nasze życie. Sprawią, że lepiej niż do tej pory wykorzystamy umysł dla dobra ludzkości. Na uniwersytetach w Bolonii, Padwie, Heidelbergu, Krakowie i Pradze pracują bliscy nam przyjaciele, myślący jak ja i Ardicino. Nie sądzę, aby ojciec słyszał o Konradzie Celtisie, autorze „*De navigatione sua Sarmatica*”, opisie podróży statkiem z Krakowa na północ, do morza. Założycielu krakowskiego Sodalitas Litteraria Vistulana, a także jego odpowiedników w Heidelbergu i innych uniwersyteckich miastach. Sam należę do krakowskiego stowarzyszenia, brałem udział w jego powoływaniu. Zapewne nikt ojcu nie powiedział o Wojciechu z Brudzewa, u którego Konrad pobierał nauki na krakowskim uniwersytecie. To właśnie Wojciech napisał...

– Nikt mi nie musiał o nim mówić – przerwałem Sternberkowi. – Wiele lat temu poznałem go w Krakowie, wizytując nasz konwent. Wydał mi się człowiekiem skrytym i małomównym.

– Powiedziałbym raczej: skromnym, mimo rozległej wiedzy. Tak więc Wojciech napisał, że Ziemia porusza się wokół Słońca po elipsie i że patrząc na Księżyc, zawsze widzimy tylko jedną jego stronę. Nie wie ojciec oczywiście, że Wojciech zebrał, za naszym pośrednictwem, grupę kilku najzdolniejszych studentów i prowadzi wykłady. Niestety, już poza uniwersytetem, bo dla tej słynnej uczelni jego nauka okazała się zbyt śmiała. Tak długo, ojcze, jak Rzym powstrzymuje rozwój ludzkiej myśli, tak długo nasze skarby, zamiast oświecać drogę, pomagać ludziom, muszą być trzymane w skrzyniach.

– A jeśli się mylicie? – moje pytanie było skierowane do obu, choć właściwie wcale nie czekałem na odpowiedź. Pierwszy odezwał się kardynał Porta.

– Każdy ma prawo popełniać błędy, byleby je chciał naprawiać – odpowiedział Porta, a ja nie całkiem zrozumiałem, o co mu chodzi.

Później, gdy już siedzieliśmy przy obiedzie, żaden z nas się nie odzywał.

Jedliśmy w milczeniu, unikając nawzajem swojego wzroku. Postanowiłem przerwać ciszę.

– Zakładam, panie Sternberk, że nie jesteście obłąkani, wybacz, drogi ojciec – pokłoniłem się kardynałowi Porcie – i wasza misja ma jakiś, nieznaną jeszcze dla mnie, sens. Dlaczego jednak mnie, akurat mnie, właśnie mnie wtajemniczacie? Wiecie przecież, co wam grozi, gdyby czyjś język okazał się zbyt długi.

– Heinrichu – zaczął Porta, uprzedzając Sternberka. – Grozi nam stos, to pewne. A kto jest najbardziej znanym inkwizytorem? I to w całym cesarstwie? Odpowiedź prosta. Ty.

– Z twojego „*Malleus maleficarum*” korzystają wszyscy, czyż nie? – dodał Sternberk.

– To prawda. Co z tego? – spytałem.

– Jest ojciec ostatnim, który mógłby uczestniczyć w jakimkolwiek spisku. O ile to, co robimy, można tak nazwać. Lepiej mówić o oświecaniu błądzących – Sternberk spojrzał na Portę, kardynał tylko pokiwał głową. – Mówiłem już ojcu, że sprawy poszły za daleko. Także dla ojca, prawda?

– W pewnym sensie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Gdybym chciał poinformować o tym, czego się dowiedziałem, byłbym uznany za współwinnego. Jednak wiedzieć i milczeć to brać na siebie ciężar grzechu. O ile grzeszą. Czy grzechem jest poszukiwanie odpowiedzi? Spiskowanie przeciw papieżowi to już grzech najcięższy, może się z nim równać jedynie zaprzeczenie Boga. Dlaczego więc nie każę ich aresztować? Dlaczego nie wytaczam im procesu? Bo sam doświadczyłem grzechu? Czemu Bóg na to pozwala? Kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy podpali stos.

– Niebawem, Heinrichu, będziemy mieli dla ciebie zadanie – kardynał Porta mówił tonem, w którym nie było już miejsca na zastanowienie, tym bardziej odmowę. – Jako nasz emisariusz udasz się do Niemiec. Odwiedzisz Heidelberg, Erfurt, Lipsk, Moguncję i Kolonię. W dowolnej kolejności. Postarasz się dla nas przysposobić co światlejsze, młode jednostki. Uniwersytety są spiżarnią, powinniśmy z niej wyciągać dla naszej sprawy jak najwięcej wybitnych umysłów.

Dwa dni później kardynał ruszył na powrót do Rzymu. Ja wróciłem

do Ołomuńca, mam czekać na szczegółowe dyspozycje od pana Sternberka, jeśli chodzi o termin mojego wyjazdu. Także na list podróżny, który kardynał Porta dla mnie prześle, tak abym mógł się nim posługiwać jako jego emisariusz, gdyby była potrzeba.

Nie mogę się doczekać powrotu w rodzinne strony. Zdawało mi się, że już do końca moich dni zostanę na obczyźnie. Choćby z tego, jednego powodu, plany Sternberka i Porty wydały mi się ciekawe. Zobaczymy, co będzie dalej, jaki los wyznaczy mi nasz Pan.

XVI LUTEGO MCDXCIII

Minął październik, potem listopad, grudzień, pierwszy miesiąc nowego roku i połowa drugiego. Nie nadchodzą żadne dyspozycje. Ani od kardynała Porty, ani od pana Sternberka. Czekam cierpliwie. Nachodziły mnie już w mojej samotni myśli, że Porta i Sternberk to wytwory imaginacji, a ich światłe misje urodziły się w mojej, a nie w ich głowie. Powtarzałem sobie, że pewnie tak byłoby lepiej i dla nich, i dla mnie. Cięży tajemnica, jaką mi powierzyli. Mam dość własnych tajemnic i wystarczająco wiele swoich problemów, by się nie angażować w kolejne. A jednak to zrobiłem, brnąłem w dziedziny, które zawsze były mi obce. Być może pociągały swoją tajemniczością. A może zawsze chciałem uczestniczyć w ważniejszych zdarzeniach niż nużące mnie już tropienie szatana i jego ziemskich giermków.

Dnie spędzam teraz na posłudze pasterskiej, oczekując wieści. Noce, ponieważ źle ostatnio sypiam, przeważnie na rozmyślaniach.

XVII LUTEGO MCDXCIII

Wieści nadeszły dziś wieczorem. W drzwiach mojego pokoju, zdyszany, stanął ksiądz proboszcz z posiadłości pana Sternberka. Ten sam, którego poznałem kiedyś, będąc pierwszy raz na zamku, gdy Sternberk wyprowadził mnie na konną wycieczkę do wsi. Po jego minie wiedziałem, że musiało się stać coś bardzo złego.

– *Sol* – powiedział zdyszany na powitanie, widać było, że dopiero zsiadł

z konia.

– *Invictus* – odpowiedziałem niecierpliwie, nie wykazując już nawet zdziwienia tym osobliwym powitaniem. Czekałem, co powie.

– Kardynał della Porta nie żyje. Został otruty w Rzymie, kilka dni temu. Posłaniec ostrzegł pana Sternberka, a pan Sternberk ostrzega ojca, prosząc, by ojciec jak najszybciej wyjechał i ukrył się na jakiś czas w odległym i spokojnym miejscu – zmęczony i zdenerwowany, w takim tempie wyrzucał z siebie zdania, że nie wszystko od razu zrozumiałem.

– Zaraz. Kto zabił kardynała? Co robi pan Sternberk? I dlaczego każe mi się ukryć? – próbowałem uporządkować chaos informacji.

– Nie wiem, ojcze, kto zabił. Pan Sternberk bardzo prosił, sam z rodziną udał się dziś rano w nieznane miejsce. Przed wyjazdem kazał mi ojca uprzedzić i powiedzieć to, co już powiedziałem. Ojciec ma też niezwłocznie wyjechać. Po południu na zamek zjechało dwudziestu konnych z Pragi. Wszyscy to ojca bracia, jak ojciec kaznodzieje, w habitach, ale z mieczami u boku. Gdy się okazało, że pana Sternberka nie ma, zabrali się za przesłuchania służby. Męczą ich już wiele godzin, próbując zmusić do ujawnienia miejsca pobytu. Mogą tak robić do dnia sądu ostatecznego, bo ci biedni ludzie wiedzą znacznie mniej niż ja, a i ja nie mam pojęcia, dokąd się udał Sternberk.

– Księdzu nic nie grozi? – spytałem.

– Mnie nie, ale ojcu tak. Ja nie bywałem na zamku, nawet nie znałem kardynała della Porty. Z panem Sternberkiem rozmawiałem zawsze po kryjomu, w mojej kościelnej zakrystii. On tak wolał. Niech ojciec jak najprędzej rusza, byłoby źle, gdyby nas razem spotkano.

I tyle go widziałem. Kiedy wyszedł, a właściwie wybiegł, usiadłem do pisania. Na dworze jest już całkiem ciemno. Dokąd mam jechać i w jakim celu? Strach jest zwykle najgorszym doradcą, a ja przecież nie mam się czego bać. Z moją reputacją i zasługami szybko się wybronię, gdy przyjdzie potrzeba i gdyby rzeczywiście pytano mnie o kontakty ze Sternberkiem. Podobnie z kardynałem, do tego biskupem Ołomuńca. Jakie to wszystko dziwne, jakie dziwne. Kardynał Porta z panem Sternberkiem nie dalej jak cztery miesiące temu prowadzili mnie ku drodze do światłości. Dziś

jeden nie żyje, drugi musiał się salwować ucieczką. Powinienem im już wtedy powiedzieć, najlepiej ostrzec. Tam gdzie pojawiają się moi Bracia Kaznodzieje, tam nie ma litości. Nie zdziwiłbym się, gdyby któryś z ołomunieckich braciszków poinformował, kogo trzeba, o moich, bardzo ożywionych kontaktach z panem Sternberkiem, a także o naszym ostatnim spotkaniu z kardynałem na sternberkowym zamku. Mój generał, stary Gioacchino, przyjaciel i zaufany człowiek obecnego papieża, sam mógł wydać polecenie zabójstwa, nie musiał tego z nikim konsultować. Nie pierwszy i prawdopodobnie nie ostatni kardynał ginie w ten sposób. Zdarzało się, że i papieżom trucizny odbierały życie doczesne. Wiele bym dał za wiedzę, co się z nimi stawało potem. Szczególnie z tymi, którzy grzeszyli brakiem wiary. Czy Pan ich przyjął, czy odrzucił?

Być może dowiem się tego, gdy sam stanę na końcu swojej drogi. W sześćdziesiątym trzecim roku życia czuję się nadal młodo. Siły, chwalić Boga, mnie nie opuszczają. Umysł pracuje jak zawsze.

Biedny kardynał Porta. Czy kiedyś poznam prawdę o jego śmierci? A może to tylko przypuszczenia Sternberka? Porta był dobrym człowiekiem. Kiedy go coś bawiło, śmiał się całym sobą. Jego kardynalska purpura odbijała się na twarzy rumieńcem podobnego koloru, a nos poruszał się niczym ptasi dziób. Gdy był zmartwiony, jego czoło pokrywało się setkami zmarszczek i wydawał się wtedy wiele lat starszy, niż był naprawdę. Pewnie nikogo w życiu nie skrzywdził, chyba nawet nie umiał. A czy ja krzywdziłem? Jeśli tak, niech mi to zostanie wybaczone. Nie mam już tej pewności, która mi towarzyszyła całe lata. Jednostka liczyła się dla mnie jedynie jako źródło zła z inspiracji szatana, nigdy jako ofiara. Występując w obronie Kościoła, musiałem poświęcać pojedyncze osoby, dla ochrony całej naszej społeczności. Jak w gromadzie saren poświęca się najszabsze, rzucając na pożarcie wilkom, by mimo zagrożenia stado mogło przetrwać. Łatwo mówić o błędach i wypaczeniach, gdy się siedzi na biskupim stolcu i nie wyściubia nosa znad ołtarza.

Postanowiłem, że nie będę uciekał. Po pierwsze – nie widzę takiej potrzeby. Czuję się bezpieczny, a strach, jak już powiedziano, doradza najczęściej złe

rozwiązania. Po drugie – nie mam nawet dokąd zbiec. Moja praktyka, prowadzona z pełną świadomością trudnych dla mnie konsekwencji, nie przysporzyła mi zastępu przyjaciół. Rzekłbym nawet – otoczyła różańcem wrogów.



Rozdział
IX

*Szatan chadza po świecie najczęściej bez swojej,
dobrze nam znanej, powłoki cielesnej.
„Malleus maleficarum”*

12 GRUDNIA 2017 (2)

Tak jak obiecał Jean, furtka była lekko uchylona. Jan wszedł na dziedziniec klasztoru i zobaczył go stojącego w oknie biblioteki. Dominikanin kiwnął ręką. Kilkoma skokami pokonał schody wiodące na pierwsze piętro. Jean siedział na parapecie.

- Muszę ci coś opowiedzieć – zaczął od progu Jan.
- Skoro rzeczywiście musisz... – Jean wydawał się niezainteresowany tym, co Jan ma mu do powiedzenia.
- Spotkałem przed chwilą panią Becu.
- Ach tak. I co?
- Zaprosiła mnie do domu – Jan czekał na reakcję Jeana, ale nie było żadnej reakcji, więc mówił dalej. – Wydawała się czymś zaniepokojona, a nawet przerażona.
- Czym?
- Mówiła, że coś jej zagraża, jacyś „oni”, nazywała ich złodziejami. Jean, ty ją znasz, prawda?
- Tak, znam – odpowiedział krótko Jean.

Jean zszedł z parapetu, podszedł do Jana i położył mu rękę na ramieniu.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – mówił, akcentując każde słowo – lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś jeszcze dzisiaj stąd wyjechał. Jedź na lotnisko, na dworzec kolejowy i wracaj do domu, dobrze ci radzę, Janie.

– O czym ty mówisz? – Jan odepchnął rękę Jeana.

– Mówię, że lepiej będzie, jeśli stąd wyjedziesz. Inaczej może ci się coś stać.

– To brzmi jak ultimatum. Ty mi grozisz, Jean?

– Ja? Nie, źle mnie zrozumiałeś – Jean znów podszedł do okna i usiadł na parapecie. – Ale widzę, że z tobą zaczyna się dziać coś dziwnego. Doszukujesz się tajemnic w nic nieznaczących zdarzeniach, tak jak to spotkanie z panią Becu. Ona czasem do nas przychodzi. Starsza pani ma jakąś manię prześladowczą. Uważaj, żebyś i ty jej nie dostał. Być może w ogóle nie powinieneś się zajmować tym całym Kramerem. Żeby zgłębiać tajemnice przeszłości, trzeba mieć, Janie, dystans do terażniejszości – powiedział stanowczo i poważnie.

– Ależ mam dystans, zapewniam cię, że mam. Niestety, nie bardzo rozumiem, co się tu dzieje.

– Ja też nie rozumiem wszystkiego – powiedział od niechcienia Jean.

– Tylko tyle?

– Co chcesz wiedzieć?

– To, co ty wiesz.

– Dobrze – Jean podsunął mu krzesło. – Ojciec pani Becu nie umarł naturalną śmiercią. Popełnił samobójstwo, rzucając się ze wzgórza Fourvière. Razem z nim zginęła też matka pani Becu. Nie znam dokładnie okoliczności ich śmierci, ale wiem, że ona nie chciała zginąć. Próbowwała ratować męża i oboje zsunęli się w przepaść. Becu był rzeczywiście dobrze zapowiadającym się dramaturgiem, ale przy tym wyjątkowo słabym psychicznie człowiekiem. Z upływem lat tracił dystans do otaczającej go rzeczywistości. Jaka była tego przyczyna, mogę się tylko domyślać. Jego sztuk, z wyjątkiem jednej czy dwóch, nikt nie chciał wystawiać. Oprócz tego musiało być jeszcze coś, ale co to było, jeden Bóg raczy wiedzieć. Ich córka miała wtedy dziewięć czy dziesięć lat. Zaopiekowała się nią ochronka dominikanów, a osobiście dbał o nią ojciec Roger, znajomy, może nawet przyjaciel Christiana Becu.

– Kiedy to było? – Jan poczuł, że robi mu się gorąco.

– Pani Becu ma koło siedemdziesiątki, więc to musiało się stać mniej więcej sześćdziesiąt lat temu. Prawdopodobnie nigdy nie pogodziła się ze stratą rodziców. Do dziś w jej zachowaniu odbijają się ślady tamtej tragedii. Jeśli

chodzi o to, co ci mówiła, że ktoś jej coś ukradł, rzecz przedstawia się następująco.

Jean zrobił pauzę, podszedł do okna. Mówił, zwrócony tyłem do Jana.

– „Clausewitz” jest jedyną sztuką, która się zachowała, inne Becu spalił. Ojciec Roger uratował „Clausewitza”, trzymając go w naszej bibliotece. Jak trafił w ręce Pierre’a? Pewnie zrobił kopię. Gdy pani Becu się dowiedziała, że chce wystawić sztukę, próbowała nas przekonać, byśmy do tego nie dopuścili. Wiem, że sama też rozmawiała z Pierre’em. Jeśli zauważyłeś, że moje rozmowy z Pierre’em przeważnie kończą się kłótnią, to właśnie przez tę sztukę. Uważam, że powinien respektować opinię córki Becu. Jej ojciec, niech spoczywa w spokoju, nazywając rzecz po imieniu, zwariował, utracił kontakt z rzeczywistością, żył w świecie własnych imaginacji, które go zaprowadziły i strąciły ze wzgórza Fourvière. Tyle miałem ci do powiedzenia.

– Niczego przede mną nie ukrywasz? – Jan spojrzał podejrzliwie.

– Mówię o faktach. Czasem warto popatrzeć na świat racjonalnie.

– I to ty mówisz? Duchowny, zakonnik, dominikanin? – Jan udał zdziwionego.

– Nie ma bardziej racjonalnej organizacji niż Kościół. Spójrz na siebie. Przyjechałeś tu, żeby zbierać materiały do książki, a zaczynasz ulegać złudzeniu, że nie wszystko wygląda tak, jak według ciebie powinno wyglądać. Zaczynasz sobie zadawać pytania, a im więcej zadajesz, tym mniej masz odpowiedzi. Doszukujesz się intrygi być może tam, gdzie jej nie ma. Gdy wyłączysz samego siebie z tej układanki, okaże się, że nic niezwykłego się nie dzieje. Może być tak, że to ty sam uruchamiasz zdarzenia, a potem się nad nimi zastanawiasz, analizujesz je, jakby były od ciebie niezależne, jakbyś nie miał na nie wpływu. Gdy stąd wyjedziesz, wszystko wróci do normy. Dlatego mówiłem, że powinieneś jak najprędzej opuścić to miejsce. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz dalej brnął w rzeczywistość, którą poniekąd sam stwarzasz. I sam stajesz się ofiarą podejrzeń, jako jej uczestnik, a nawet w pewnym stopniu sprawca. Wracaj do domu, bo twoja obecność w Lyonie może nas wszystkich drogo kosztować.

Jan udał, że ostatnie zdanie w ogóle nie padło. Podeszedł do najbliższego regału i z przekrzywioną głową wczytywał się w tytuły na woluminach.

– Macie jakiś katalog? – spytał.

– Tak, ale książki są ustawione według roku wydania. Najstarsze na końcu, najnowsze tu, gdzie w tej chwili stoimy.

– Ile ich jest?

– Dwieście pięćdziesiąt pięć tysięcy trzysta dwadzieścia sześć. Z tej liczby kilkadziesiąt woluminów znajduje się w konserwacji, a kilka wyjątkowo, na przykład Biblia Gutenberga, jest na wystawach w różnych muzeach. Oczywiście wrócą do nas za jakiś czas.

– Pozwolisz, że trochę tu posiedzę? – Jean zauważył, że ton, jakim Jan do niego mówił, stał się oschły, niechętny, pozbawiony tego zaufania, które było w jego głosie jeszcze przed chwilą, gdy opowiadał o swoich wątpliwościach i gdy zadawał pytania.

– Oczywiście, bądź tu, jak długo chcesz. Jestem u siebie, wiesz gdzie. Tylko proszę, nie otwieraj znów okna – wyszedł, zamykając drzwi biblioteki.

Jan ruszył nieśpiesznie wzdłuż najbliższego regału, minął go, minął następny, od czasu do czasu dotykając którejs z książek, jakby chciał się upewnić, że te stare, liczące nieraz kilkaset lat dzieła istnieją naprawdę. Żadnej nie wyjmował z półki, mimo że niektóre z nich znał, a nawet czytał. Zmierzał na sam koniec biblioteki. Kiedy już stanął przy ostatnim regale, jego uwagę zwróciły równo poukładane, tej samej wysokości, oprawione w coś, co przypominało skórę, dzieła Marcina Lutera, a zaraz obok nich kilka prac Heinricha Kramera.

„*Malleus maleficarum*”, jak kilkanaście innych dzieł z końca regału, stało za szklaną szybą odsuwaną na bok. Najpierw sięgnął po manuskrypt. Otworzył i delikatnie wertował kartka za kartką. Przyjrzał się dedykacji Institora, którą mu wczoraj pokazał ojciec Roger. 13 grudnia 1517 roku. Prawie dokładnie pięć wieków temu – pomyślał i odłożył manuskrypt na półkę, zdejmując z niej egzemplarz wydrukowany w Moguncji w 1486 roku. Właśnie to wydanie, prawdopodobnie pierwsze, które ukazało się drukiem,

było podstawą czeskiego tłumaczenia, zresztą wielokrotnie w ciągu wieków poprawianego, po to by lepiej rozumieć bardzo trudny język „Młota”, pisany piętnastowieczną łaciną. Był ciekaw, czy w ogóle cokolwiek zrozumie z tego historycznego pierwowzoru dzieła. Usiadł przy stoliku pod oknem, tak by mieć więcej światła, zaczął czytać i tłumaczyć zdanie po zdaniu:

„Są trzy kategorie osób uprzywilejowanych z boskiego namaszczenia, wbrew szkodom, jakie szatan może im czynić. Pierwsi to ludzie publiczni w sądach, urzędach różnych. Drudzy – księża, biskupi, kardynałowie i wszelki stan duchowny rozsiany po klasztorach, mający siłę święconą daną od Boga. Im szatan niestraszny, gdyż po to są, by z nim walczyć. Trzecia kategoria to aniołowie Boży, wybrani do tego, by ze Złym przestawać i się go nie bać, lecz chronić spóółstwo przed nim.

Już bowiem Dionizjusz pisze: Prawo Boże nieodmiennie postanowione jest takie, żeby dolne rzeczy od górnych, przez pośrednie brały swą doskonałość, a wtedy cokolwiek dobrego ze studnicy wszelkiej dobroci wypłynie. Bo wszystko się dzieje przez anielską posługę tych dobrych aniołów, którzy nam pokazują drogę.

Także poczęcie Syna Bożego w Pannie najbłogostawiejszej, choć się przez moc Boską uczyniło, to jednak anielska myśli sprawiła, że Matka została wsparta w swoim trudzie.

Zdanie doktora, który tę księgę pisze, jest takie, iż człowiek ma w sobie trzy główne rzeczy: wolę, rozum i władzę. Jedne z nich bywają wewnętrzne, drugie powierzchowne, związane z jego cielesnością. Pierwszą z nich sam tylko Bóg włada. Drugą dobrzy aniołowie, oświecając człowieka. Rzeczą trzecią zarządza i dobry, i zły anioł, choć z Bożą pomocą człowiek zawsze może sprawy ku dobremu kierować – dzieje się to poprzez natchnienie albo przez wezwanie Boskiego ratunku.

Pan jednak, mimo że ma osobliwą opatrność nad swymi wybranymi, niektórych jednak niby przypadkiem dotyka swym karaniem. Innych zaś tak ochrania, że nie mogą narzekać na nic. I nie ma w tym jednak przypadku. Kto bowiem od aniołów dobrych bierze przykład, tego Pan doceni, a ten, kto od złych uczy się, będzie poniżony.

Należy też powiedzieć, że oprócz tych trzech kategorii wymienionych

na początku, są także inni, których złe moce się nie chwytają. Ci ludzie obdarzeni są tak wielką czystością, że szatan do nich nie ma dostępu. Ale to nie zdarza się często. I nigdy przypadkiem. Co postanowione, przez Boga musi się sprawdzić i człowiek na to wpływu nie ma. Może się jedynie w porę wycofać, idąc ku grzechowi, a Pan to doceni w tym lub przyszłym życiu.

Tak było ze świętym opatem Serenem, o którym wspomina Kasjanus. Seren dla wewnętrznej potrzeby serca i dla czystości duszy, we dnie i w nocy na modlitwach trwając, a także ustawiczny post podejmując, niespaniem ciało trapiąc, za sprawą Boską ogień nieczystości i żądź ugasił w sobie.

Podobnie o błogosławionym opacie Ekwicjuszu święty Grzegorz powiada: gdy Ekwicjusza trapiły żądze cielesne i pokusy, które gorętsze były niż potrzeba modlitwy, tak wezwał on Anioła Pańskiego, prosząc, by mu męski członek oderznął. Anioł to uczynił i odtąd już pokus nie miał, jako też płci.

Nie inaczej było z zakonnikiem Eliaszem, który w zakonie miał trzysta białogłów. On to po dwóch latach nie wytrzymał cielesnie i obawiając się, że może być przez złego do grzechu doprowadzony, uciekł do lasu, modląc się: wybaw mnie, Panie, od tej pokusy albo mnie zabij. W nocy, gdy spał, aniołowie przyszli i pytają, czy jeśli Pan go pokusy pozbawi, wróci, by białogłowy pilnować. Gdy przyrzekł, że tak będzie, aniołowie wzięli brzytwę i mu przyrodzenie wyrznieśli. Zajmował się Eliaz jeszcze czterdzieści lat zakonem bez żadnych pokus.

Nie mniejszym darem oświecono wielkiego uczonego, błogosławionego Tomasza z Akwinu, brata naszego zakonnego, który, niestety, zmarł był w drodze do Lyonu na sobór powszechny, jak wiedzą wszyscy. Otóż i on, gdy miał wstąpić do zakonu, a trzeba było próbę jakąś przejść, wrzucono go więc do więzienia, gdzie siedział. Następnie przyprowadzono po wielu dniach białogłową wszeteczną, by go oderwała od modlitwy i oddała mu swe ciało. Nasz doktor, zobaczywszy ją, skoczył do ognia i porwawszy głownię gorejącą, ową wszetecznicę z więzienia wygnał. Jak głosi tradycja, aniołowie pokazali mu się wtedy, mówiąc: Oto od Boga opasujemy cię pasem czystości, który żadną pokusą przerwany być nie może. Prawda, że potem już nigdy bez potrzeby z białogłowami nie rozmawiał i brzydził

się wszeteczeństwem.

Rozdzielmy więc teraz naszą księgę, pierwszą jej część na szesnaście rozdziałów, by bliżej poznać, jak szatan nas zmusza, byśmy wykonywali jego polecenia. Poznamy jego możliwości, nauczymy się z nim walczyć. A walka ta będzie trwała aż do skończenia świata. Amen”

Przerwał. Odłożył tom na miejsce. Wrócił na początek biblioteki i usiadł przy stole, na którym leżała księga czytań. Wpisał tytuł, datę, swoje imię, nazwisko, a potem zaczął przewracać karty księgi, szukając wpisów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Domyślał się, że znajdzie wpisy Christiana Becu, jednak nie spodziewał się, że będzie ich tak wiele. Od końca lat pięćdziesiątych Becu był najczęstszym gościem biblioteki. W jednym tylko, 1959 roku, doliczył się prawie stu podpisów Becu. Bywały dni, gdy czytał po kilka książek. Na przykład 13 stycznia 1959 roku miał w rękach same dzieła Marcina Lutera. Tytuły wypisane jeden pod drugim, a pod każdym podpis Becu. W kolejności: „O niewolnej woli”, „O wolności chrześcijańskiej”, „O zwierzchności świeckiej”, „Duży katechizm” i „Mały katechizm”. Kilka dni później bierze prace Heinricha Kramera: „*Malleus maleficarum*” – wydanie z 1486, to samo, które Jan miał przed chwilą w rękach, „Kilka rozpraw i kazań o misterium Najświętszego Sakramentu Eucharystii” – Norymberga, 1496 rok, „Traktat o błędach Mistrza Antonia degli Roselli – Wenecja, 1499 i „Tarcza obronna Świętego Kościoła Rzymskiego przeciw waldensom i pikardom”, praskie wydanie z 1500 roku. Ostatni wpis Becu nosił datę 12 września 1965 roku. Tego dnia wziął tylko jedną książkę, „Wyznania” świętego Augustyna. Po „Wyznania” – niezwykłą autobiografię przemiany duchowej Augustyna, Becu sięgał już wcześniej. W 1959 roku między czerwcem a październikiem przychodził do biblioteki co kilka dni i brał tylko tę jedną książkę. W 1949 roku studiował głównie dzieła Platona, a rok wcześniej, przez kilka tygodni wczytywał się w „Metafizykę” Arystotelesa i w „*Adversus haereses*” – „Przeciw herezjom”, dzieło świętego Ireneusza, biskupa z Lyonu z drugiego wieku, wydane przez Erazma z Rotterdamu w 1526 roku. Jeśli do tego doliczyć pisma gnostyków: Marcjona, Walentyna Egipcjanina, Bazylidesa, Herakleona, Ptolemeusza, Markosa i Teodora, które Becu brał od czasu

do czasu, a także „Listy” Maniego, to już z samych lektur można ułożyć portret Christiana Becu – człowieka wręcz maniakalnie poszukującego jakiegoś wspólnego mianownika dla prac pisanych w ciągu prawie dwóch tysięcy lat, licząc od Platona aż po Lutra. Niektóre z tych ksiąg Jan także czytał. Teraz odczuwał dziwny związek z tym człowiekiem, którego nie znał, a jednak był pewien, że w jakiś sposób są sobie bliscy. Ale właściwie do czego mu były potrzebne te wszystkie książki? Jan zamknął księgę czytań i spojrzał na długi rząd regałów wypełnionych tomami. Dlaczego Pierre upatrzył sobie sztukę akurat tego pisarza? Autora, o którym nikt nie słyszał. Czy tylko dlatego, że jego sztuka rzeczywiście jest tak dobra, jak twierdził Pierre? Samobójstwo to ostateczność, na którą decydują się tylko ci, co nie mają już żadnej nadziei. Dlaczego Becu zdecydował się na ten krok, zabijając przy okazji żonę i niszcząc życie swojego dziecka? „Za dużo pytań, za mało odpowiedzi” – zamruczał do siebie pod nosem, wychodząc z biblioteki.

Kiedy się znalazł na ulicy, poczuł przejmujący chłód, padał drobny deszcz ze śniegiem, a do tego podmuchy wiatru wiejącego od Rodanu przynosiły lepkie, zimne, wilgotne powietrze. We mgle idącej od rzeki widać było co najwyżej przeciwległą stronę ulicy, numery domów nawet z tej, bliskiej odległości były całkiem nieczytelne. Po kilkunastu minutach marszu skręcił w lewo w *rue du Plat*. Minął kampus Uniwersytetu Katolickiego, potem dwie restauracje – z wnętrza obu dochodziła muzyka, z pierwszej Edith Piaf, z drugiej muzyka fortepianowa, zdaje się Liszt, może Chopin, Jan nie był pewien. Zatrzymał się przy salonie fryzjerskim. Za szeroką, szklaną witryną, w fotelach, siedziało kilka kobiet czekających na swoją kolej. Wszystkie czytały książki. W jednej chwili podniosły wzrok i spojrzały na Jana, który teraz stał z nosem przyklejonym do szyby. Chyba się do niego uśmiechały. Odpowiedział uśmiechem i ruszył dalej. Przeszedł skrzyżowanie z *rue Paul Lintier*. Szedł lewą stroną *rue du Plat*, podniósł głowę i zobaczył, że właśnie stoi przed numerem dwanaście. Było dokładnie wpół do siódmej. Nacisnął przycisk domofonu. Ostatni od dołu, numer osiem. Czekał, strzepując z włosów płatki mokrego śniegu. Nacisnął jeszcze raz. Potem trzeci, czwarty. Spojrzał na zegarek, potem na fasadę trzypiętrowej kamienicy, ale powyżej pierwszego piętra nie było widać żadnych świateł. Mgła stawała się coraz

gęstsza. „Może nie dosłyszy – pomyślał – może dzwonek zepsuty, może...” Przycisnął przycisk z siódmką i po chwili odezwał się głos starszego mężczyzny.

– Tak?

– Czy mógłby mi pan otworzyć, idę do pani Becu, widocznie ma zepsuty dzwonek, bo nie słyszy – Jan, mówiąc, położył rękę na plastikowej gałce do otwierania drzwi, ale drzwi nawet nie drgnęły. Za to mężczyzna spod siódmki zaczął go wypytywać.

– Do pani Becu, tak?

– Tak, do pani Becu.

– Pana nazwisko?

– Gutman. Jan Gutman.

– Dobrze, otworzę panu, ale sprawdzę, czy pan rzeczywiście idzie do pani Becu, więc gdyby pan chciał mnie okłamać, od razu będę wiedział.

Jan nie odpowiedział. Już w środku spojrzął na jasnożółte ściany, na szyb starej, zamkniętej ażurową klatką windy tuż przy wejściu, na kręte, kamienne schody z drewnianą balustradą. I obrazki na ścianach, a właściwie stare zdjęcia w złoconych ramach, przedstawiające Lyon z końca dziewiętnastego, a może z początku dwudziestego wieku. Spróbował uruchomić windę, ale przycisk nie zadziałał. Domyślił się, że przycisk działa wtedy, kiedy do drzwi windy włoży się klucz: winda tylko dla mieszkańców. Szybko wbiegł na schody. Przeskakując po dwa, czasem trzy schodki, szybko znalazł się na ostatnim, trzecim piętrze. Spojrzął na drzwi z numerem siedem. Były lekko uchylone. Z pewnością starszy pan, który go wpuścił, sprawdzał, czy Jan rzeczywiście idzie do pani Becu.

Nie znalazł dzwonka. Zapukał. Najpierw cicho, potem kilka razy głośniejsze, a ponieważ drzwi się nie otwierały, sam nacisnął klamkę i wszedł do środka. W tej samej chwili drzwi spod siódmki zamknęły się z łoskotem. W mieszkaniu było ciemno. Na jego, wypowiedziane ścisłym głosem: „dobry wieczór”, nikt nie odpowiedział. Przeciągnął ręką po ścianie z jednej i z drugiej strony drzwi, szukając przycisku włączającego światło. Po chwili jego oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności. Zobaczył delikatne światło

w szparze między drzwiami a framugą. Ostrożnie ruszył w tę stronę, kilka razy powtarzając: „Dobry wieczór, pani Becu, jest pani tu?”

Kiedy wszedł do pokoju – gabinetu, zobaczył panią Becu. Siedziała przy biurku, w głębokim, wyściełanym pluszem fotelu, z głową przekrzywioną i opartą o blat. Opuszczone bezwładnie ręce jakby czegoś szukały na podłodze. Powtórzył jeszcze raz: „Pani Becu?”. Nie odpowiadała. Podeszedł bliżej. Miała otwarte oczy.

Rozejrzał się po obszernym gabinecie. Przy ścianach stały półki z książkami, z tysiącami książek ciasno upchanych jedna obok drugiej. Nad biurkiem, a właściwie nad fotelem, w którym teraz siedziała pani Becu, wisiał obraz. Mniej więcej metr długości na pół metra szerokości, w zdobionej, drewnianej ramie. Przedstawiał elipsę złożoną z jasnych, jaskrawożółtych plam na szarym tle. W prawym dolnym rogu podpis autora: Christian Becu. Obok data i tytuł: *1953, Analema*.

Jeszcze raz spojrzał w nieruchome oczy pani Becu, dotknął jej policzka. Przypomniał sobie, że w tej sytuacji, żeby się upewnić, trzeba zdaje się ucisnąć tętnicę szyjną. Widział to na filmach.

Nie mógł. Wyszedł z gabinetu, potem z mieszkania. Zatrzymał się na progu schodów, szybko się cofnął i zapukał do sąsiada spod siódemki.

– Tak, o co panu chodzi – spytał obcesowo starszy, dystyngowany mężczyzna ubrany w elegancki, chyba atłasowy szlafrok, spod którego wystawała biała koszula zwieńczona niebieskim fularem.

– Pani Becu, wie pan, pani Becu – Jan nie wiedział, jak ma to powiedzieć.

– No słucham pana, co pani Becu? Coś chciała mi przekazać ta jędrza? Ja, proszę pana, z nią nie rozmawiam od trzydziestu lat, odkąd odrzuciła moje, że tak się wyrażę, amory. Nie życzę sobie, szanowny panie, żadnych informacji od tej pani. Żegnam – próbował zamknąć drzwi, ale Jan je przytrzymał.

– Nie, nie, ja nie o tym – dopiero w tej chwili poczuł się dziwnie, jakby stracił kogoś bliskiego. A przecież panią Becu widział zaledwie kilka razy w życiu. Zresztą jak można powiedzieć „w życiu”, skoro w Lyonie jest dopiero od... no właśnie, od ilu dni? Dwóch, trzech, może to już tydzień, miesiąc? Nie, oczywiście, to trzeci dzień, jest w Lyonie kilkadziesiąt godzin,

przecież wie, chodzi o to, że te dni się ciągną niemiłosiernie, a teraz jeszcze śmierć pani Becu, dlaczego akurat teraz, nie mogła z tym poczekać do jego wyjazdu?

– No, młody człowieku? Co pan tak stoi i nic nie mówi? – mężczyzna zrobił krok do przodu, jakby chciał wyjść na klatkę schodową.

– Myślę, że pani Becu nie żyje – Jan wskazał głową na drzwi po drugiej stronie korytarza.

– Jak to nie żyje? Co jej pan zrobił? – mężczyzna wykonał teraz dwa kroki w tył, cały czas trzymając za klamkę.

– Niech pan zadzwoni po lekarza. Ona naprawdę nie żyje. To chyba serce. Leży tam, w gabinecie.

Mężczyzna znikł, zatraskując drzwi, a Jan szybko zbiegł na dół. Kilkaset metrów do hotelu Mirage przebiegł tak szybko, jak potrafił. Zdyszany, poprosił recepcjonistę o sprawdzenie samolotu, nawet z przesiadką, którym jeszcze dziś mógłby odlecieć do Pragi. Zabrał klucz. W swoim pokoju spakował wszystkie rzeczy do walizki i szybko zszedł na dół.

– Niestety, panie Gutman – recepcjonista pokazał palcem na kartkę papieru, na której zapisał godziny odlotów i przesiadek. – Chyba będzie pan musiał zostać do jutra, bo nawet z dwiema przesiadkami nie doleci pan do Pragi wcześniej niż na godzinę dziesiątą. Musiałby pan i tak spędzić kawał nocy na lotnisku we Frankfurcie, Moskwie lub Londynie. To chyba już lepiej się wyspać u nas i rano o dziesiątej pięćdziesiąt ma pan bezpośredni lot do Pragi. Mogę, jeśli pan chce, zarezerwować bilet.

– Trudno, dobrze, niech pan rezerwuje – odpowiedział Jan, ciągle jeszcze łapiąc oddech. – I niech ktoś zanieś moją walizkę z powrotem do pokoju. Ja muszę jeszcze wyjść do miasta.

– Natychmiast to zrobimy, panie Gutman, życzę miłego wieczoru – portier przeniósł walizkę Jana za ladę, a recepcjonista zabrał się za rezerwację lotu do Pragi.

Furtka klasztorna była otwarta. Jakby Jean specjalnie nie zamykał, licząc na to, że Jan będzie go chciał jeszcze dziś wieczorem odwiedzić. Szybko przeszedł przez dziedziniec, otworzył drzwi. W korytarzu tliło się mętne światło. Jeana nie było w jego pokoju. „Pewnie odprawia modły w kaplicy”

– pomyślał i ruszył w przeciwną stronę.

Jedynie przy tabernakulum świeciły się dwie elektryczne świece. Nie widział Jeana. Widocznie był w innej części klasztoru. Dla pewności zawołał ściszym głosem:

– Jean, jesteś tu gdzieś? – ale pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Już miał na powrót wejść w korytarz prowadzący do refektarza, gdy w półmroku zauważył Jeana leżącego krzyżem, na wznak, między pierwszym rzędem ławek a ołtarzem.

– Jean, to ty? – zawołał jeszcze raz, ale już zdecydowanie głośniej.

Podszedł bliżej, szarpnął Jeana za ramię. Potem jeszcze raz, mocniej. Jean nawet się nie poruszył. Jan pochylił się, żeby sprawdzić, czy oddycha. „Jak dziwnie wygląda śmierć”, tak pomyślał, tylko tyle. Nigdy wcześniej nie widział zmarłego człowieka. A teraz, jednego dnia, pani Becu i ten tutaj. Nie o to chodzi, że się bał. Był zaskoczony.

Powoli, jakby się obawiał zbudzić Jeana, wyszedł z kaplicy. Wąskim korytarzem, idąc właściwie po omacku, trafił do części konwentualnej klasztoru. Znalazł pokój Jeana, otworzył drzwi, rozejrzał się. Metalowe, zasłane łóżko, drewniana dwudrzwiowa szafa, nocny stolik, radio. Porządek, żadnych ubrań rzuconych niedbale. I biurko, nieduże, na którym oprócz komputera, leżały w nieładzie książki, kilka długopisów, kartek do zapisywania. Między książkami, w płóciennym oprawie związanej sznurkiem, leżała paczka. Rozwiązał sznurek, otworzył. Płócienna obwoluta skrywała luźno ułożone kartki, zapisane drobnym pismem od góry do dołu. Na pierwszej stronie przeczytał tytuł, imię, nazwisko autora: „Dziennik Institora. Christian Becu”. Zasznurował na powrót, włożył do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyszedł na *rue Tête d’Or*.

Dowlóknął się do hotelu. Padał deszcz, więc starał się przede wszystkim okrywać to, co jak skarb trzymał za pazuchą. Idąc, nie zastanawiał się, co to jest i dlaczego Jean trzymał to coś u siebie. Myślał o nim. O Jeanie, którego prawie nie znał, ale też prawie polubił. Na pewno mógłby polubić. Gdyby Jean żył. „Może to tylko omdlenie, może choruje na cukrzycę, może tak z nim bywa, oby tak, oby”. Ale to była tylko próba okłamywania samego

siebie. Jego nowo poznany, starszy o kilka lat kolega, zakonnik, nie żył. „Trochę zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień” – pomyślał, człapiąc krok za krokiem.

W hotelu nie miał już siły ani wjeżdzać na górę, ani tym bardziej wspinać się po schodach. Wszedł do baru i zdjął płaszcz, wyjmując z kieszeni płócienny skarb. Tak o nim myślał: skarb, znaleziony przypadkiem. Gdyby nie śmierć Jeana, być może nigdy by się nie dowiedział, że ta „książka” (tak ją już w myślach nazywał, chociaż nie wiedział tak naprawdę, co zawiera) w ogóle istnieje. Położył ją na krawędzi stołu. Płótno lekko namokło. Parę minut i wyschnie. Nie trzeba na razie otwierać, przecież jeszcze zdąży.

Zamówił herbatę z cytryną i podwójną whisky. Kelner zaproponował „coś ciepłego, bo w taką pogodę trzeba zjeść coś ciepłego na kolację, inaczej się pan rozchoruje, widzę, że panu cały czas zimno, a wygląda pan, nie przymierzając, jak zmokła kura”.

Nie chciał jeść, ale szybko wypił whisky i poprosił znów o podwójną. Od jego wejścia do hotelu nie minęło pewnie więcej niż pół godziny. Ciągle jeszcze nie zajrzał do książki, dopiero jak wróci do pokoju. Jeszcze chwila, już dochodzi do siebie. Jutro rano wsiądzie w taksówkę, pół godziny jazdy na lotnisko. W południe wyląduje w Pradze. Dopiero wtedy, z dystansu, spróbuje ocenić wszystkie wydarzenia z Lyonu.

Kiedy tak myślał, zauważył na oko może czterdziestoletniego mężczyznę w czarnej, skórzanej kurtce, rozmawiającego z recepcjonistą. Obaj wyraźnie mu się przyglądali. Wreszcie recepcjonista pokazał palcem w kierunku Jana i mężczyzna ruszył w stronę stolika, przy którym Jan kończył właśnie pić whisky i ostatnie łyki ciągle jeszcze ciepłej herbaty.

– Pan Gutman – zapytał mężczyzna w taki sposób, jakby odpowiedź nie była w ogóle potrzebna.

– Tak, a o co chodzi? – Jan zdjął ze stołu zapiski w płóciennym oprawie i znów umieścił je w kieszeni przesychniętego już płaszcza.

– Benoit Givet. Komisarz Givet – mężczyzna szybko się poprawił, mignął Janowi przed oczami policyjną legitymacją i niepytany o zgodę, usadowił się po przeciwnej stronie stołu. – Wie pan, co mnie sprowadza, prawda?

– Nie bardzo.

- Znał pan panią Becu, prawda?
- Tak, znałem.
- I wie pan, że nie żyje?
- Tak, wiem. To, że pani Becu nie żyje, w pewnym sensie ja zgłosiłem.
- Przyznam się panu – komisarz wyciągnął z kieszeni paczkę gauloise'ów, zapalił i szybko się zaciągnął – że pierwszy raz widzę mordercę, który informuje o własnej zbrodni.
- Że jak? Jakiego mordercę? – Jan skrzywił się, jakby mu kazano pić sok z cytryny.
- Bo widzi pan, pani Becu ktoś najwyraźniej pomógł się rozstać z tym światem. I powiem panu, że mam wielką ochotę uznać, że to zrobił pan.

Zapadła cisza. Komisarz, w oczekiwaniu na reakcję Jana, odwrócił się, przywołał kelnera i zamówił kawę. Wszystko, co się działo w ostatnich dniach, także teraz, w hotelowym barze, było tak absurdalne, że Jan nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Nerwowego, urywanego, przypominającego szczekanie psa.

- Co pana tak śmieszy? – nie wytrzymał Givet.
- Pan uważa, że to ja zamordowałem panią Becu? – Jan nagle spowaźniał, przestał się śmiać, zamówił jeszcze jedną podwójną whisky. – Skąd pan w ogóle wie, że ją zamordowano?
- Zastrzyk.
- Słucham? – Jan nie rozumiał.
- Ktoś zrobił jej zastrzyk, w przedramię. Według naszego lekarza albo trucizna, albo, i do tego się skłania nasz lekarz, pani Becu wstrzyknięto w żyłę obwodową znaczną ilość powietrza. Za kilka godzin poznamy prawdziwą przyczynę śmierci.

Znów zapadła cisza. Jan zrozumiał, że musi się jakoś odnieść do rewelacji komisarza. Zaprzeczyć, że to on, wytłumaczyć, cokolwiek, choćby po to, żeby przerwać ciszę. Givet wpatrywał się w niego badawczo, jakby chciał powiedzieć: „nie wydaje mi się, żebyś to był ty, ale może byś wytłumaczył, co tam w ogóle robiłeś”

– A co pan tam w ogóle robił, panie Gutman? Dla wyjaśnienia, sprawdziliśmy już, że jest pan Czechem i że przyleciał pan trzy dni temu z Pragi. Jakiś pana dokument bym poprosił. Najlepiej paszport.

– Paszport mam w pokoju, w walizce, zaraz przyniosę – Jan podniósł się, ale komisarz go powstrzymał, wskazując palcem na krzesło.

– Niech pan siedzi – wyciągnął telefon z kieszeni kurtki, nacisnął przycisk.
– Olivier, rusz dupę z auta, przyniesiesz paszport pana Gutmana. Jest w jego pokoju, w walizce. Przy okazji rzuć okiem na zawartość walizki i w ogóle obejrzyj pokój.

– Spytał pan, co tam robiłem – Jan starał się zachować spokój.

– Dokładnie o to spytałem.

– Czyli mam opowiedzieć, co robiłem od przyjazdu, tak?

– O, to to, właśnie. Niech pan opowiada, o sobie też, kim pan jest, co pan tu robi, zamieniam się w słuch – komisarz zapalił kolejnego papierosa, zamówił jeszcze jedną kawę.

Jan zaczął opowiadać. O swoich zainteresowaniach historią, o pracy na Uniwersytecie Karola, o Heinrichu Kramerze, o planach książki, o tym, że nieproszony, przyjechał właściwie tylko do ojca przeora, na jeden, dwa dni, a potem zdarzył się ten ciąg nieplanowanych przez niego spotkań i nowych znajomości. I że to wszystko w trzy dni, i że właśnie jutro chciał już wracać do Pragi. Sam wie, że dzieją się rzeczy, których nie rozumie. I że w jakimś sensie, zupełnie tego nie chcąc, znalazł się w centrum zdumiewających i przykrych zdarzeń, w których uczestniczyć w żadnym razie nie planował. O ostatniej wizycie w klasztorze, o Jeanie, nie wspomniał. Chciał, ale nie wiedział, jak ma to powiedzieć.

– Ma pan jakąś teorię? Domyśla się pan, kto się chciał pozbyć pani Becu? – komisarz wyjął z kieszeni długopis i notatnik.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – przyznał szczerze Jan. – Ani nikt. Ci ludzie których poznałem, z Teatru Bez Końca, wydali mi się trochę dziwni, ale nie aż tak dziwni, żeby mieli ochotę kogoś zabijać.

– Nawet pan nie wie, jacy normalni bywają mordercy – Givet wpisał

do zeszytu nazwę teatru. – Z mojego doświadczenia wynika, że ci najbardziej okrutni są właśnie najbardziej normalni. Na przykład tacy jak pan.

– To znaczy jacy? – Jana zaczęło już denerwować to nawracanie do niego jako potencjalnego mordercy.

– Młodzi, wykształceni, obcy, pewnie inteligentni, mający jakąś pasję i często dla tej pasji poświęcający innych, nigdy siebie – kolega komisarza przyniósł paszport wyjęty z Jana walizki, powiedział Givetowi, że nic ciekawego nie znalazł, i wrócił do samochodu. Givet położył dokument na stole, przed sobą. – Niech mi pan jeszcze opowie o tym Teatrze Bez Końca. Nigdy o nim nie słyszałem.

– Już mówiłem, gdzie jest teatr, o chłopakach i dziewczynie, którzy go tworzą, też. Nie wiem o nich nic więcej. Nie wiem, gdzie mieszkają – tu Jan skłamał, nie chciał, żeby Givet dalej go wypytywał, w tym przypadku o Julię. – Najlepiej niech pan tam pójdzie, mają codziennie próby, a jak nie do teatru, to pewnie ich pan znajdzie wieczorem w oberży „Pod Ślimakiem”, na pewno pomogą panu bardziej niż ja, gdzie jest oberża to pewnie pan wie...

– Tak tak, oczywiście, wiem, pójdę, dlaczego miałbym nie pójść – wydawało się, że Givet nieuważnie słucha Jana, że myśli o czymś intensywnie. – A niech pan mi jeszcze powie więcej o tym pana bohaterze, Instaktorze, Instruktorze?

– Institorze – kolejne dziesięć, piętnaście minut Jan opowiadał o Kramerze, jego słynnym dziele, o polowaniu na czarownice. Opowiadanie przerwał dzwonek telefonu komisarza, Givet odebrał. Właściwie nic nie mówił, tylko słuchał, od czasu do czasu kiwając głową i powtarzając: „tak, tak, rozumiem, tak, tak, rozumiem”. Rozmowę zakończył krótkim: „Będę za piętnaście, dwadzieścia minut, do mojego przyjazdu niczego nie ruszajcie”. – Panie Gutman – Givet wziął do ręki paszport Jana – i tak miałem pana prosić o pozostanie w Lyonie przynajmniej do jutrzejszego wieczora, ale sytuacja się zmieniła. Właśnie poinformowano mnie, że nieopodal Lyonu znaleziono zwłoki ojca Rogera, przeora lyońskich dominikanów. Pewnie się pan domyśla, że nie umarł naturalną śmiercią. Domyśla się pan, jak umarł? – Givet spojrzał Janowi głęboko w oczy.

– Niech mnie pan nie straszy. Skąd miałbym wiedzieć – odpowiedział Jan, czując, że głowa zaczyna mu pękać. Od alkoholu lub emocji, jakich doświadczał już kilka godzin. Pewnie od jednego i drugiego razem.

– Nasz lekarz uważa, że zginął w podobny sposób jak pani Becu.

– Niech mnie pan nie straszy – powtórzył jeszcze raz Jan.

– To raczej ja bym prosił, żeby pan zaczął być ze mną szczerzy. Mogę się dowiedzieć, jak wyglądał pana dzień? Dzisiejszy dzień. Co pan robił?

– Byłem w klasztorze, u pani Becu, to już pan wie, wcześniej byłem w kościele.

– Pan jest wierzący? Katolik? – komisarza wyraźnie zainteresowała wizyta Jana w kościele.

– Sam nie wiem, chyba jestem agnostykiem – Jan sobie zdał sprawę, że właściwie nigdy i nikomu nie musiał tłumaczyć swojego stosunku do religii. W Czechach, w których kościoły już dawno opustoszały, przewietrzone przez tradycję husycką i specyficzny dystans Czechów do wszystkiego, co egzaltowane, pretensjonalne, problem tradycji religijnej jest ważny mniej więcej tak samo, jak ważna jest tradycja mitów Greków czy Rzymian. Wiadomo, że warto je znać, ale to nie to samo, co w nie wierzyć.

Givet sięgnął do kieszeni po wizytówkę. – Tu ma pan mój numer telefonu, proszę mi teraz podać swój numer i mieć telefon ciągle włączony. Zrozumiałe, że w tej sytuacji jestem zmuszony zatrzymać pański paszport i prosić pana o pozostanie w Lyonie do czasu, aż pozwolimy panu wyjechać. Proszę też nie zmieniać hotelu. Oczywiście pokryjemy koszty pana pobytu w hotelu, z wyjątkiem wyżywienia. Czy pan zrozumiał, co przed chwilą powiedziałem?

– Tak, jak pan sobie życzy, rozumiem. I tak mam już wrażenie, że nigdy stąd nie wyjadę – Jan pozwolił sobie na małą zgryźliwość wobec losu, który go zatrzymuje w miejscu, w którym miał spędzić najwyżej dwa dni. Ale komisarz Givet nie zrozumiał, co Jan miał tak naprawdę na myśli. Założył płaszcz, schował paszport, oparł się o stolik, pochylił.

– Skoro pan tak uważa. Do zobaczenia, panie Gutman, na pewno się jeszcze spotkamy – powiedział cicho i wyszedł z baru, a potem z hotelu.

Po wyjściu komisarza Jan wjechał windą na trzecie piętro. Już w pokoju wyjął zawiniątko w płóciennym opakowaniu, położył je na stoliku nocnym. Potem szybko zdjął ubranie, wszedł pod prysznic. Stał pod nim kilka minut, puszczając raz chłodną, raz ciepłą wodę. Wytarł się, obwiązał ręcznikiem, wrócił do pokoju. Rozejrzał się za walizką. Kolega komisarza przestawił ją pod okno. Pod ubraniami (a nie na wierzchu, jak wcześniej) odnalazł telefon. Kiedy go włączył, okazało się, że Anna dzwoniła jedenaście razy. Kilka esemesów, wszystkie podobnej treści: „Daj znać, odezwij się”, „Daj w końcu znać, bo nie wiem, co się dzieje”

Zaraz do niej zadzwoni, ale zanim to zrobi, musi jeszcze pomyśleć. Jak jej wytłumaczyć? Co powiedzieć? Oprócz śmierci pani Becu, oprócz tego, że Jean nie żyje, że znaleziono martwego przeora, nic więcej się nie stało. To znaczy jemu, Janowi, nic się nie stało. To mało? Jeśli to on, w jakiś niewyjaśniony sposób, prowokuje te zdarzenia – chociaż zdarzenia to złe słowo, ale dobrze, niech będą zdarzenia, bo chyba nie tragedie, ostatecznie nie znał tych ludzi, przypadek sprawił, że ich poznał prawie w tym samym momencie – jak ma się zachować. Nie może wziąć walizki i pojechać na lotnisko. Nie ma paszportu. Ma dowód osobisty. Będzie mógł lecieć, może jechać pociągiem. Nikt go nie zatrzyma. Ale czy powinien? Wyjazd mógłby zostać odebrany jak ucieczka. Przecież nie chce uciekać. Niby przed czym? Przed samym sobą? Dlaczego? Powinien powiedzieć komisarzowi o Jeanie. Ale nie mógł, i tak się pewnie wkrótce dowiedzą. Musi doprowadzić sprawę do końca. Tylko jakie sprawy? Przypadki zdarzają się niezależnie od tego, czy ich chcemy, czy nie. Kto tak powiedział pierwszy? Przeor, Pierre, Jean? Tylko jak wytłumaczyć trzy śmierci jednego dnia. Śmierć trojga ludzi, którzy się dobrze znali. Przypadek? Może. A może nie. Nieostre granice, wypadki zachodzą jeden na drugi, trzeci. Intensywność tych dni jest nie do zniesienia. Jednak bez przesady. Każdy, chyba każdy, miewa w życiu dni, których nie jest w stanie zrozumieć.

Jan zauważył, że właśnie próbuje racjonalizować to, co wydaje się kompletnie nieracjonalne.

Sięgnął po telefon. Wybrał numer Anny.

– No, nareszcie – w głosie Anny nie było wyrzutu, raczej ulga. – Co się z tobą dzieje, dzwoniłam parę razy. Wracasz?

– Chciałbym, ale w tej chwili to raczej niemożliwe – Jan zrobił pauzę.

– Co się dzieje?

– Nie wiem, jak mam ci to wszystko opowiedzieć – Jan znów zawiesił głos.

– Po prostu mów – powiedziała apodyktycznie Anna.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku, najlepiej zacząć od początku.

Jan zaczął opowiadać. Po kolei, od pierwszego dnia, od przylotu do Grenoble, zamiast do Lyonu. O pierwszej wizycie w klasztorze, o Jeanie, o gospodzie „Pod Ślimakiem”, o teatrze i jego aktorach, o pani Becu, o „Clausewitzu” i Christianie Becu, o bibliotece, w której znalazł coś ważnego. W końcu o tym, że pani Becu nie żyje, nie żyje Jean, a komisarz policji, który z nim rozmawiał przed chwilą, zakomunikował mu, że odnaleziono przeora, który też nie żyje. Zabrano mu paszport, kazano nie wyjeżdżać z Lyonu.

Skończył. Czekał na reakcję Anny.

– Ty sobie nie żartujesz, prawda? Nie tworzysz, wiesz, jakiejś literackiej wizji do swojej książki, no nie? No powiedz coś, nie tworzysz? – usłyszał, jak Anna zapala papierosa.

– Nie. Niestety nie – dalej czekał, co powie.

– Dobrze, czyli mamy problem. Ty nie wiesz, o co chodzi, dlaczego ci ludzie nie żyją. W dodatku policja uważa, że masz z tymi śmierciami, czy niby morderstwami, jakiś związek, tak?

– No tak.

– To co robimy?

– Sam nie wiem, zastanawiam się, co robić. Na pewno nie mogę wracać, w tej sytuacji nie mogę.

– Ależ możesz. Wrócisz, to się zastanowimy. Paszport to nic, nie myśl o paszporcie.

Oczywiście, że nie myślał o paszporcie. Nawet o zakazie wyjazdu z miasta,

wydanym przez komisarza. Właściwie to była tylko prośba. Mógł ją spełnić lub nie. Bez żadnych konsekwencji. Jutro po południu mógłby z Anną siedzieć w ich ulubionym barze na Małej Stranie. I nie myśleć o wydarzeniach z Lyonu, które, gdyby się im przyjrzeć z dystansu, wydają się przypadkowym zbiegiem przykrych okoliczności. Nie wierzył w to, że ktoś czyhał na życie tych paru osób, zupełnie zresztą nieszkodliwych. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Wiesz co, ja jednak muszę jeszcze zostać – powiedział po chwili namysłu.

– Ale dlaczego, powiedz mi, dlaczego? – Anna próbowała jeszcze interweniować, ale znała go przecież, wiedziała, że przekonywanie nic nie da.

– Muszę się dowiedzieć, o co chodzi. Rozumiesz? Nie mogę tak po prostu wsiąść w samolot i nie myśleć o tym, co się tu stało – powiedział to tak pewnie, że Anna nawet nie próbował dalszej perswazji.

– No dobrze, jak tam sobie chcesz. Masz jakiś plan? Cokolwiek. Przecież nie będziesz siedział w hotelu.

– Muszę pomyśleć, spotkać się z paroma osobami, tymi, które poznałem zaraz po przyjeździe. O ile jeszcze żyją – pozwolił sobie na coś w rodzaju sarkastycznego żartu. – Wiesz co, ja teraz się rozłączę, muszę coś przeczytać. Będę miał telefon cały czas włączony. Nie musisz się obawiać, wszystko będzie dobrze, naprawdę muszę tu zostać. Może tak być? – zawiesił głos.

– Niech tak będzie. Dzwon, bo inaczej ja będę znów wydzwaniała – powiedziała zrezygnowana Anna. – To cześć, do później.

– Poczekaj jeszcze chwilę – Janowi się coś przypomniało. – Pamiętam, jak Pierre, wiesz, ten od teatru...

– Nie wiem, mylą mi się te postacie.

– Mniejsza o to. W każdym razie któreś z nich powołało się na nazwisko jakiegoś profesora, pamiętam nazwisko: Deskur, religioznawca czy teolog, już nie jestem sobie w stanie przypomnieć. Masz włączony komputer?

– Tak, chcesz, żebym sprawdziła, kto to?

– Spróbuj, on na pewno musi być stąd, z Lyonu.

Anna wpisała w wyszukiwarce: Deskur, profesor, Lyon. Momentalnie

wyskoczyło jej wiele linków. I hasło w Wikipedii. Zaczęła czytać na głos:

- Antoine Deskur, urodzony 12 lipca 1947 roku w Lyonie. Historyk, religioznawca, etnolog, autor wielu prac naukowych opisujących religijność Europy doby średniowiecza i renesansu, także autor prac popularnych tłumaczących genezę chrześcijaństwa i synkretyzm religijny, profesor nauk humanistycznych, pracownik *Université Lumière* w Lyonie. *Visiting professor* na Uniwersytecie Yale i w Oksfordzie. Autor kontrowersyjnej koncepcji naukowej, która głosi, że religijność jest zwykłym memem kulturowym, podobnie jak potrzeba miłości czy popędu. Deskur w swoich pracach broni także postawionej przez siebie w latach 80. ub. wieku tezy, że człowiek biologicznie nie umie wyznawać religii i musi mieć wielu bogów, których może zdradzać. Krytykowany głównie przez Kościół katolicki we Francji. Autor m.in. dzieł:

- „Historia religii w Europie wczesnego średniowiecza”,
- „Bóg próżnujący”,
- „Niech się stanie światłość”,
- „Mitra – brat bliźniak Jezusa”,

Laureat Nagrody Goncourtów. To tyle o nim. Są jeszcze jakieś linki, ale tego już nie otwieram.

- Tak, tak, już wiem. Słyszałem o nim, teraz mi się przypomniało – Jan usiłował sobie przypomnieć, gdzie się zetknął z tym nazwiskiem, i nie mógł, nie pamiętał.

- Czekaj – Anna zaczęła coś sprawdzać – zobaczę, co to za uniwersytet.

Po chwili znów czytała na głos wybrane informacje.

- *Lumiere* to światło, wiadomo, ale i bracia Lumiere, wiesz, ci od kina, oni też mieszkali w Lyonie, w mieście jest ich muzeum. Na Uniwersytecie Lumiere studiował Jérôme Kerviel – makler, oskarżony o największą defraudację w historii bankowości, pamiętam, było coś takiego parę ładnych lat temu, a profesorem, zanim go wyrzucili, był Robert Faurisson, literaturoznawca, publicysta, znany ze swoich prac negujących Holocaust.

- No świetnie, ciekawe towarzystwo – powiedział Jan z przekąsem.

- Czekaj, czekaj – Anna jeszcze raz przerwała Janowi – mam tu informację,

że jutro profesor Deskur ma wykład monograficzny w Instytucie Lumiere, *rue du 1er Film 25*, możesz tam dojechać metrem, wykład zaczyna się o drugiej po południu. Temat wykładu: Zwycięstwo światła nad ciemnością w religiach wczesnego średniowiecza. Pójdiesz?

- No pewnie, dobrze, że to znalazłaś – Jan zapisał na kartce adres i godzinę.
- Wiesz, staram się – Anna znów zapaliła papierosa.
- No dobrze, to ja teraz się biorę za czytanie, tak?
- Tak. Uważaj tam na siebie – powiedziała cicho.

Płótno, okrywające luźny zbiór kart, już wyschło. Jan usiadł w fotelu, zaśwycił lampkę nocną. Powoli rozłożył zawiniątko. Zaczął czytać.



Rozdział

X



*Jeśli idzie o pioruny i burze z błyskawicami,
rzecz nie jest taka prosta, jak się nam wydaje.
„Malleus maleficarum”*

XXX KWIETNIA MCDXCVII

Dziś po południu brat Karel przyniósł mi kałamarz i pióro. Nie wiem, czemu zawdzięczam ten nagły przypływ miłosierdzia. O przybory do pisania proszę od początku mojego internowania w celi konwentu dominikańskiego w Ołomuńcu. Przez cztery lata nieskutecznie. Dokładnie cztery lata, dwa i pół miesiąca, licząc od dnia osadzenia.

Osiemnastego lutego, cztery lata temu, późnym wieczorem zostałem poproszony do kapituły we wschodnim skrzydle klasztoru. Czekali tam na mnie dwaj bracia. Nie tylko Bracia Kaznodzieje, ale także rodzeni z tej samej matki i z jednego ojca. Pierwszy – Giovanni, drugi – Antonio. Obaj Conte, wizytatorzy kapituły generalnej. Znani mi, młodzi, niespełna czterdziestoletni zakonnicy, kiedyś sekretarze kapituły, którzy swoje stanowiska, wiedziałem o tym, otrzymali na osobiste polecenie obecnego, a więc nowego generała OP. Ani jeden, ani drugi nie nadawał się jednak do tego, by ich obdarowywać dostojnościami. Giovanni, gdy go poznałem, był świeżo po ślubach wieczystych i mniej więcej dziesięć lat po swoim własnym ślubie na ołtarzu kościoła w Bolonii, zresztą mieście, w którym prowincjałem dla całej dolnej Lombardii był wtedy Torriani. Żona Giovanniego, jak mi mówiono, a także jego troje dzieci, odwiedzali męża i ojca nawet wtedy, gdy mianowano go już sekretarzem. Nigdy nie

wyjeżdżali z pustymi rękami, to zrozumiały, musieli bowiem rozszerzać i tak już spore posiadłości ziemskie niedaleko Ferrary.

Antonio z kolei upodobał sobie młodych nowicjuszy. Sam wcześniej, bo mając niespełna szesnaście lat, wstąpił do zakonu. Opowiadano o jego licznych podbojach. Amory same w sobie nie byłyby może aż tak naganne, gdyby nie to, że Conte wykorzystywał swoje stanowiska do uprawiania greckiej miłości. Inaczej mówiąc, tym chłopcom, którzy nie odwzajemniali jego awansów, zamykał drogę kariery, a nawet zsyłał na banicję lub usuwał ze zgromadzenia. Mówiono także, a plotki na temat hierarchów w naszych czasach rzadko mijają się z prawdą, że na wdzięki Antonia przychylnie odpowiadał sam Gioacchino Torriani, nawet gdy nie wiedział jeszcze, że papież powoła go na kierującego zakonem dominikanów. Takie widać czasy, że do władzy dochodzą przeważnie jednostki zdeprawowane.

Obaj stanęli przede mną. Giovanni trzymał w ręce zwinięty w rulon list, przepasany dominikańską szarfą z pieczęcią kapituły generalnej. Ponieważ się bardzo jąkał (pamiętam, że nigdy nie byłem w stanie wysłuchać go do końca, choć tym razem pewnie bym musiał), przekazał list bratu. Antonio bez żadnego wstępu zaczął czytać:

„Z woli mojej, generalnego przełożonego zakonu kaznodziejów, nakazuję drogim braciom, Antoniemu i Giovanniemu Conte, by udali się do diecezji ołomunieckiej, do miasta Ołomuniec, w celu odszukania ojca Heinricha Kramera (OP). Dysponując odpowiednią plenipotencją, w imieniu Ojca Świętego, ale także wykonując swoje własne, przysługujące mi prawo, polecam zatrzymać ojca Kramera, gdziekolwiek będzie i cokolwiek będzie robił, a następnie internować, trzymając pod strażą do wyjaśnienia wszystkich kwestii związanych z jego osobą. Ojciec Heinrich Kramer ma być trzymany pod kluczem, w osobnej celi. Odbiera się także ojcu Kramerowi wszelkie pełnomocnictwa do wykonywania zastępstwa w imieniu biskupa diecezji Ołomuniec oraz przywilej pełnienia posług pasterskich i inkwizytorskich. Zabraniam jednocześnie udzielać informacji ojcu Kramerowi, ani słuchać, co sam ma nam do powiedzenia. O dalszych dyspozycjach poinformuję w osobnym liście, polecając niezwłoczne wykonanie już obowiązujących.

Kolejny list z poleceniami w mojej sprawie, o ile wiem, nigdy nie nadszedł. Cztery lata wydają mi się całym wiekiem. Co będzie dalej?

Nauczyłem się mówić do siebie, nawet ze sobą rozmawiać. Bracia nie odpowiadają na moje pytania. Brat Karel, przynosząc dziś pióro i kałamarz, nie wymówił jednego słowa. Najbardziej brakowało mi pisania, prowadzenia dziennika, którego zapiski rzadko dzieliły dni, raczej tygodnie, miesiące i lata, ale chyba nigdy aż cztery, jak ostatnio.

Mam swoją celę. Tę samą, co wcześniej, przed internowaniem. W niej stół, krzesło, łóżko drewniane z siennikiem, który mi już raz zmieniono na nowy, i szafę do trzymania ubrań. W kącie stoi kubeł nakryty drewnem. Załatwiam się do niego, bracia raz dziennie wynoszą nieczystości, a jak latem robi się gorąco, to i dwa razy na dzień. Raz w miesiącu prowadzą mnie do łaźni. Ubrania piorą wtedy, gdy o to poproszę. Karmią mnie dwa razy dziennie, nawet obficie, a w każdą niedzielę dostaję butelkę wina. Wielu skazańców chciałoby odbywać karę w takich warunkach.

Cela ma osiem kroków w jedną, pięć w drugą stronę, jest więc zupełnie duża, nie trzeba mi większej. Wysoka przy tym. Nawet gdy stanę na krześle, nie sięgam ręką sufitu. Pod sufitem jest jedno okno, nieduże, wychodzące jednak na odległe pola, ludzi więc widzę tylko z daleka i tylko wtedy, gdy w polu trwają prace. Od czasu do czasu, dwa, trzy razy dziennie, ktoś zagląda przez dziurkę od klucza, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyję.

Czy w takich warunkach można w ogóle żyć? Pytam sam siebie i odpowiadam: można. Choć nie wiem, czy warto. Bóg dał mi jednak zdrowie i nie chce, abym je stracił, więc nie mogę go zawieść. Wiele razy, szczególnie na początku mojej gehenny, zastanawiałem się nad ostatecznym rozwiązaniem. Myślę, że taki krok z mojej strony, krok rozpacz, spotkałby się z radością tych, przez których jestem w tym miejscu. Wydając na mnie wyrok, nie chcieli być winni mojej śmierci. Jakie to marne i tchórzliwe. Woleli, abym zrobił to sam, kiedy zabraknie mi już motywacji do życia.

Nie wiem, co się dzieje z panem Sternberkiem. Pewnie i on nie wie, co ze mną. Przez cztery lata wszystko mogło się zmienić. Jeśli moje internowanie nie jest przypadkowe, a z pewnością nie jest, wielu podobnych do mnie i pana Sternberka może być w identycznej sytuacji. Jak wielu? Czy ktoś jeszcze? Brak odpowiedzi jest dla mnie największą dolegliwością, nie samo uwięzienie. Jestem jak zagubiony żeglarz, który samotnie przemierza ocean, nie widząc przed sobą lądu.

Potraktowałem odosobnienie jako formę pokuty i rachunku. Jedno i drugie czynię codziennie, rozmawiając z naszym Panem, tak jak dziś rano, gdy do mnie przyszedł.

– Usiądź na krześle, Panie – powiedziałem, gdy go zobaczyłem opartego o ścianę.

– Dziękuję, Heinrichu, nie trzeba, postoję, rozprostuję stare kości – odrzekł.

– Prawda, nie jesteśmy już młodzi, Panie – dostrzegłem jego podkrążone oczy, zmęczoną twarz i pajęczynę zmarszczek na czole.

– To prawda, odczuwam lata bardziej, niż ci się wydaje.

– Dlaczego przyszedłeś?

– A tak, bez ważnego powodu. Chciałem cię odwiedzić, żebyś się nie czuł samotny.

– O ile cię znam, masz jakiś interes. Nigdy nie przychodzisz ot, tak sobie. Czyż nie?

– Prawdę mówiąc, tak. Zawsze odgadniesz, jeśli ktoś nie jest z tobą szczerzy.

– Praktyka, Panie. Wieloletnia.

– Przyznasz jednak, że moja jest dłuższa. A może przy tym nawet trudniejsza.

– Nie licytujmy się jak karciarze. I ty, Panie, i ja nie mamy łatwego życia.

– Święte słowa, Heinrich, święte słowa – mój Pan się zamyślił, jakby chciał sobie przypomnieć prawdziwy powód wizyty.

– Do rzeczy, do rzeczy – wyrwałem go z zadumy.

– Tak, słusznie. Pamiętasz jeszcze, mój drogi, swoje rodzinne miasto?

– Schlettstadt? Jak miałbym nie pamiętać. Spędziłem w nim dzieciństwo i pierwsze lata młodości.

- W ubiegłym roku Schlettstadt nawiedziła okropna zaraza.
- Nic o tym nie wiem, Panie. Skąd miałbym wiedzieć. Sam widzisz, gdzie jestem i co robię.
- Ludzie umierali na ulicach. Nie nadążano z pochówkami. Zaledwie trzy lub cztery rodziny przeżyły, te, które zawczasu wyprowadziły się za mury miasta. Twoja siostra i twój brat też wyzionęli ducha.
- Przykro mi to słyszeć, Panie. Nic się nie dało zrobić?
- Niestety, nic.
- W takim razie zostałem już zupełnie sam.
- Masz jeszcze mnie.
- To nie to samo, co brat i siostra.
- Z pewnością, z pewnością – odpowiedział mój Pan i znów się zamyślił. – A pamiętasz, Heinrichu, swój pierwszy proces?
- Bardzo dobrze pamiętam.
- Te dwie kobiety, które skazałeś na śmierć...
- Zaprzeczały twojemu istnieniu, Panie.
- Sam czasem zaprzeczam swojemu istnieniu.
- Jakże to?
- A tak. Trudno mi nieraz w siebie uwierzyć.
- Nie może tak być...
- A może, może. Tyłu jest wątpiących, w końcu i ja zacząłem wątpić.
- Ty nie możesz...
- Dlaczego nie mogę? Jestem tylko człowiekiem. A wy chcecie mi odebrać człowieczeństwo.
- Nie wiem, co powiedzieć...
- Mniejsza o to. Nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Jestem zmęczony.
- Staram się...
- Te kobiety...
- Tak, Panie?
- Umierały w męczarniach, na stosie, prawda?
- Nie ja ten stos podpalałem.
- Tak, tak, wiem, nie ty. A te młode kobiety z Bawarii... Ze wsi niedaleko Norymbergi. Jak się ta wieś nazywała?

- Roth.
- A właśnie. Co one ci takiego zrobiły?
- Mnie nic, ale tobie, Panie.
- Nie pamiętam, przypomnij, proszę.
- W dzień świętego Jana uprawiały pogańskie obrzędy, przecież wiesz, ty wszystko wiesz.
- I trzeba je było wydawać na męki?
- Jeśli nie chciały się przyznać... Nie było innego wyjścia.
- Zawsze jest inne wyjście.
- Nie rozumiem, Panie.
- W Schlettstadt w ciągu paru dni zmarło więcej ludzi niż w czasie całej twojej praktyki, ale nie mogę się pozbyć wątpliwości, czy aby mnie nie wyręczasz tam, gdzie nie jest to konieczne ani potrzebne.
- Jak mam to rozumieć?
- A dokładnie tak, jak mówię, Heinrichu.
- Nie chcę być niegrzeczny, Panie, ale dla mnie to coś nowego. Zawsze myślałem, że działałam w twoim imieniu.
- O nic cię przecież nie prosiłem. Nie prosiłem cię, żebyś osiemnastego marca 1477 roku w Augsburgu skazał na spalenie cztery kobiety i czterech mężczyzn, mężów tych kobiet. I czym ci zawinili? Że przyjmowali u siebie waldensów, czy jak się tam oni nazywają, nigdy nie pamiętam, gubię się w tych waszych dziwnych nazwach, które nic nie znaczą, wprowadzają tylko niepotrzebne zamieszanie. Tak samo dwa lata później, 21 maja we Fryburgu, czyli niedaleko twojego rodzinnego domu. To chyba twoje największe osiągnięcie. Jedenaście kobiet spalonych w dwa dni. Za co? Sam powiedz.
- Zanim zostały spalone, wydałem dyspozycję, by je powieszono.
- A tak, rzeczywiście, to ci się chwali, przynajmniej nie cierpiały w ogniu. Co im zarzucałeś?
- Uprawiały czarownictwo.
- Czyżby?
- Ponad wszelką wątpliwość, Panie. Zostało im dowiedzione.
- Musiałeś najpierw z nimi popracować. Miały złamane ręce i nogi, gdy zawisły na sznurze.

- Działiałem zgodnie z prawem.
- Nie robię ci wyrzutów, przypominam tylko. A jeszcze ostatnio, kilka lat temu, ta rodzina z Konstancji, jak ona się nazywała?
- Santi, panie.
- Właśnie. O tym, że pan i pani Santi umarli w klasztornej piwnicy, i to raczej z głodu, a nie z powodu choroby czy ran, już wiesz. Właściwie dlaczego wydałeś na nich wyrok?
- Dobrze wiesz, Panie. Nie udawaj, że nie wiesz.
- Jeśli uważasz, że wiem wszystko, musiałem też wiedzieć o ich przewinach, jednak pozwalałem im żyć. I to, zdaje się, nawet dość szczęśliwie. Oczywiście mówię hipotetycznie, zakładając, że moja wiedza jest nieograniczona.
- A nie jest?
- Skąd mam wiedzieć, Heini, skoro nawet ty nie jesteś tego pewien? Odkąd pamiętam, usiłuję cię przekonać, że wiem to, co chcę wiedzieć, i jestem tym, kim jestem. Czy to takie trudne do zapamiętania? No, sam powiedz, czy trudne. Przy okazji, co u pięknej córki Santich, Anny?
- Nie wiem, nic nie wiem...
- A chciałbyś się dowiedzieć, Heinrichu? No powiedz, chciałbyś?
- Bardzo bym chciał, Panie.
- Jak bardzo? No powiedz.
- Najbardziej na świecie.
- Mógłbyś dla tej wiedzy poświęcić nawet mnie?
- To znaczy?
- Czy mógłbyś mnie wydać na śmierć?
- Jeszcze raz? Już raz cię wydano, Panie.
- Nie uciekaj od odpowiedzi. To było dawno temu, już o tym zapomniałem.
- Nie wiem. Jeśli skłamię, i tak będziesz o tym wiedział. Nie wiem, Panie.
- Tak myślałem. Wydałbyś mnie bez mrugnięcia okiem. Wszyscy tacy jesteście.
- Ja nie.
- Wszyscy. Gdyby moja historia wydarzyła się dziś, zachowalibyście się tak samo. Ktoś by mnie oskarżył za winy, których nie popełniłem, ktoś inny umyłby ręce, a ty kazałbyś rozpalić stos.

– Panie... – zawołałem, ale on już nie słuchał. Odszedł, a chciałem mu jeszcze tyle powiedzieć.

Kończy się atrament w kałamarzu. Prosiłem brata Karela, gdy z mojej celi wynosił nieczystości, aby przyniósł nowy. Spojrzał na mnie ze smutkiem i nic nie odpowiedział.

XXIII SIERPNIA MD

Nareszcie wolny. Uczę się mówić, uczę się słuchać. Pan Sternberk żyje i ma się dobrze. Zabrał mnie dziś z ołomunieckiej niewoli. Jestem od kilku godzin w jego zamku. Pierwsze, co zrobił, to został moim golibrodą. Broda sięgała mi do pasa. Sam się wystraszyłem swojego wyglądu, gdy przystawił mi do oczu lustro. Czeka nas długa rozmowa. Gdy się czegoś dowiem, napiszę więcej.

XXV SIERPNIA MD

Siedem i pół roku niewoli. Przy niej babilońska, mimo że trwała całe pokolenie, była nic nieznaczącą dolegliwością.

W dwa dni i dwie noce, niemal nie śpiąc, pan Sternberk opowiadał mi, co się wydarzyło, gdy siedziałem w celi ołomunieckiego konwentu. Oprócz faktów i potwierdzonych informacji było jeszcze wiele domysłów. Nie na wszystkie pytania umiał odpowiedzieć, nie wszystko rozumiał. Jednak wystarczająco wiele, by mi przedstawić wiarygodną historię.

W dzisiejszym świecie żadna tajemnica nie przetrwa długo. Nowoczesne środki transportu, jak zaprzęgi wielokonne czy konie zmieniane na podwodach i stacjach, powodują, że informacje, jak ludzie, w ciągu kilku dni mogą być dostarczone z jednego na drugi kraniec Europy. A dodatkowo, gdy trzeba wysłać krótką wiadomość, gołąb pocztowy, wynalazek znany od wieków, w jedną dobę przekaże ją na przykład z Pragi do Rzymu. Świat

skurczył się do rozmiaru małej wioski. Niezależnie od tego, czy tego chcemy, czy też nie.

Pan Sternberk, ostrzeżony o mającym nastąpić aresztowaniu, w godzinę spakował najpotrzebniejsze rzeczy i udał się z całą rodziną najpierw na Śląsk, do Świdnicy, w której posiadłość miała rodzina żony pana Sternberka. Stamtąd wyprawiał się w mniej lub bardziej odległe podróże. Najpierw do Ołomuńca, a kiedy mu powiedziano, że jestem trzymany pod kluczem, ruszył do Krakowa, aby sprawdzić, czy jego, choć lepiej już będzie powiedzieć nasi krakowscy przyjaciele, są bezpieczni. Gdy się okazało, że nic im nie grozi, udał się w długą, trwającą ponad rok podróż po Europie, odwiedzając Erfurt, Lipsk, Heidelberg, Kolonię, a następnie miasta Italii: Mediolan, Padwę, Florencję i Rzym. Odbывał spotkania, prowadził rozmowy. Nabrał w końcu przekonania, że aresztowanie mnie, a także próba, jeśli o nią rzeczywiście chodziło, aresztowania samego pana Sternberka, były incydentami. W żadnym razie jakąś większą operacją. W Bolonii Sternberk spotkał się z ojcem Vincenzo Bandello, jak ja kaznodzieją. Od niego się dowiedział, że kardynał Porta umarł nagle, kilka dni przed moim internowaniem, wypijając truciznę, którą ktoś zmieszał z winem i mu podał. Sternberk i Bandello znali się jeszcze z dawniejszych lat, gdy Sternberk uczestniczył w naukach kardynała na praskim uniwersytecie i nieraz, po wykładach, zostawał, by zadawać ojcu Bandello pytania, na które zresztą nie zawsze ojciec umiał odpowiedzieć. Ja również znałem ojca Vincenzo. Z górą dwadzieścia lat temu wspólnie występowaliśmy przeciw błędom franciszkańskim. Franciszkanie bowiem, a przynajmniej ich część, głosili tezę o niepokalanym poczęciu Najświętszej Marii Panny. Wydawała się to tak dziwna teza i bez pokrycia w znanych nam faktach biblijnych, że staraliśmy się wspólnie z Vincenzo ją odrzucić, zanim zacznie żyć swoim życiem, wbrew rozsądkowi, ale też wbrew doświadczeniu. Trudno sobie przecież wyobrazić, by zwykły człowiek, a takim była matka Jezusa, od chwili swojego poczęcia mógł uchodzić za nietkniętego grzechem pierworodnym, stając się w istocie rzeczy czwartą osobą boską, obok Boga Ojca, Jego Syna i Ducha Świętego. Już święty Tomasz przestrzegał przed stawianiem Matki Boskiej w jednym szeregu z Bogiem. Jeszcze trochę, a i Józefa zaczniemy wliczać do panteonu

bogów. A może i Marię Magdalenę czy Łazarza, upodabniając się do Greków i Rzymian, co musieli mieć boga każdej, codziennej czynności, bo inaczej czuli się samotni i w trwodze.

Ojciec Bandello opowiedział panu Sternberkowi o intrydze, jaką uknuto przeciw mnie, a dokładnie zrobił to mój brat Jakob Sprenger za zgodą generała zakonu. Jakob, nie tak dawny mój przyjaciel, pomocnik w pisaniu „*Malleus maleficarum*”, już w czasie pamiętnej kapituły generalnej zachowywał się wobec mnie, jakbym mu uczynił krzywdę.

Zazwyczaj największe uprzedzenia i niechęci wynikają z pobudek błahych. Tak było i tym razem. Widząc, jaka popularność spadła na mnie, bądź co bądź głównego autora, po wydaniu księgi począł ogłaszać, że nie ma z nią nic wspólnego i że bez jego wiedzy posłużyłem się nazwiskiem Sprenger. W swojej intrydze poszedł nawet dalej. Rozpuścił plotki, jakobym miał zdefraudować znaczne sumy pieniędzy zakonnych i szykował zamach na generała zakonu, ojca Torrianiego. Przedstawił przy tym świadków, którzy mieli słyszeć moje rozmowy i widzieć, jak kradnę złote monety z kasy konwentu w Kolonii. Potem wszystko toczyło się już szybko, ojciec Torriani wydał nakaz mojego internowania w miejscu pobytu, czyli w Ołomuńcu. Sprawdzone także wszystkie moje kontakty z ostatniego czasu i uznano, że w spisku może brać udział pan Sternberk. Chciano go więc przesłuchać, stąd obecność uzbrojonych braci na zamku Sternberków. Z miesiąca na miesiąc sprawa cichła. Gdy pan Sternberk półtora roku później wrócił z całą rodziną na zamek, nikt go już nie niepokoił. Natomiast wszelkie próby spotkania ze mną, jakie pan Sternberk podejmował, okazały się nieskuteczne. Dwa czy trzy lata po moim uwięzieniu zmarł Sprenger, ale jego śmierć w żaden sposób nie zmieniła mojej sytuacji. Generał wolał, abym resztę życia, na wszelki wypadek, spędził w zamknięciu. Dopiero gdy pierwszego sierpnia tego roku, czyli przed niespełna miesiącem, Gioacchino di Giacomo Torriani da Venezia, trzydziesty szósty generał zakonu kaznodziejów, sam wyciągnął nogi na apopleksję, pojawiła się szansa odmiany mojego losu. Tym bardziej, że kapituła obrała nowego generała, ojca Bandello. Pan Sternberk natychmiast ruszył w drogę do Mediolanu, by spotkać się z ojcem Vincenzo.

– Gościłem u Vincenzo trzy dni – opowiadał pan Sternberk – przyjmowany jak prawdziwy przyjaciel. Zaprowadził mnie do kościoła Santa Maria delle Grazie, który właśnie skończył budować. Pokazał mi niezwykle malowidło ostatniej wieczerzy, które sam zamówił u Leonarda z Vinci. Zapewniam cię ojcze, nie ma większego artysty jak Leonardo i nie wiem, czy kiedykolwiek będzie. Gdy się Vincenzo dowiedział, że nadal siedzisz pod kluczem, od razu napisał list uwalniający. Wyjeżdżając z listem i żegnając się z ojcem Bandello, zdradziłem mu nasze tajemnice. Przyznał, że reformy, jeśli nie całego Kościoła, to chociaż zakonu są mu bliskie. Obiecał pomoc, o ile, jak to zaznaczył, „będzie mógł się na coś przydać”. Tak oto znalazłem się w konwencie w Ołomuńcu, choć w pierwszej chwili cię, ojcze, nie poznałem. Zarosteś jak, nie przymierzając, stary cap. Wybacz te słowa, wiesz, że zawsze mówię, co myślę. Czasem szybciej mówię, niż myślę, niestety.

– Święta prawda, panie Sternberk, święta prawda – przyznałem.

Okazało się też, o czym mi pan Sternberk powiedział, że w czasie mojego odosobnienia Jakob Sprenger, za zgodą ojca generała, zlecił napisanie ksiąg, które kazał sygnować moim nazwiskiem, aby miały większą popularność. W kolejności były to: „Kilka rozpraw i kazań o misterium Najświętszego Sakramentu Eucharystii”, „Traktat o błędach Mistrza Antonia Roselli” i „Tarcza obronna Świętego Kościoła Rzymskiego przeciw waldensom i pikardom”. Nawet nie chcę do nich zaglądać, obawiając się myśli, które do mnie nie należą.

Najciekawsze Sternberk zostawił na koniec.

– Patrz, ojcze – wyjął z szuflady pismo z pieczęcią naszego zakonu. – Krótco przed śmiercią ojciec Torriani wydał na ciebie wyrok. Miałeś za swoje winy spłonąć na stosie. I być może tak by się stało, gdyby przypadek nie zabrał tego człowieka z doczesnego świata.

Czytałem. Torriani informował przeora w Ołomuńcu, że proces wykazał moją winę odstępstwa od wiary, defraudację zakonnych funduszy oraz że nałożono na mnie karę ognia. Polecał przekazanie mnie delegatom

wysłanym przez Torrianiego.

– Niech sobie ojciec wyobrazi – mówił dalej Sternberk – że kilku wysłanników Torrianiego przyjechało po ojca do Ołomuńca. Kiedy bracia przeczytali pismo i zrozumieli, co się święci, zażądali od delegatów dodatkowych pełnomocnictw, których delegaci nie posiadali. Mieli jedynie ogólne dyspozycje, a kuci na cztery nogi kaznodzieje uparli się, że w takich opresjach należy się dodatkowy list wyjaśniający, o jakie dokładnie odstępstwa nie tylko od wiary, ale też od reguł zakonnych chodzi. Musieli więc, chcąc nie chcąc, wrócić po kolejny list aż do Awinionu. W tym czasie, nie informując ojca, bracia z ołomunieckiego konwentu układali plan ewakuacji lub zgonu ojca, oczywiście zgonu na niby. Na szczęście nie musieli nic robić, bo gdy delegaci dotarli do Awinionu, to generał Torriani już nie żył. Prawdopodobnie braciszkanie, którzy po ojca przyjechali, jeśli to byli prawdziwi zakonnicy, mieli się ojca pozbyć gdzieś po drodze. Braciom z Ołomuńca zawdzięcza więc ojciec, jak się wydaje, życie.

Sternberk miał dla mnie jeszcze jedną wiadomość. Mój przyjaciel Girolamo Savonarola spłonął dwa lata temu na stosie, we Florencji. Najpierw powieszony, potem spalony, a jego prochy wrzucono do rzeki.

– Zgadnij, ojcze – spytał pan Sternberk – kto go najmocniej oskarżał o herezje?

– Torriani? – odpowiedziałem pytaniem, choć wydawało mi się to jednak mało prawdopodobne.

– Tak jest, ojcze. Torriani – potwierdził Sternberk.

Pomyślałem wtedy o naszych ślubach, tych wieczystych. O przysiędze ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Aż do śmierci. Aż do śmierci...Czy to aby nie za krótko?

W przypiływie złości przepowiedziałem twój koniec na stosie, Girolamo. Choć nawet bez mojej przepowiedni, zmierzałeś tam od dawna.

Zdecydowaliśmy z panem Sternberkiem wyjechać do Rzymu, gdy tylko przyzwyczaję się do świata, którego nie widziałem siedem długich lat.

Pan Sternberk jest jeszcze młody, dobiega lat pięćdziesięciu. Przy moich siedemdziesięciu wydaje się młokosem. Nie wiem, jak to się dzieje, ale nie czuję starości na plecach. Ani z wyglądu, ani z rozumu nie przypominam starca.

XXII LISTOPADA MD

Ostatni przystanek na wzgórzu, z którego roztacza się panorama miasta. Najwyżej, wprost naszych oczu, powstaje nowa bazylika. Jeszcze nie wyszła z ziemi wyżej niż na kilka metrów, a już widać, jak wielki to będzie kościół. Z prawej mauzoleum Hadriana, który papież Grzegorz Wielki mianował zamkiem świętego Anioła, upamiętniając w ten sposób ukazanie się anioła chowającego miecz na znak końca epidemii panującej w Rzymie. Bliżej, z lewej strony, Koloseum i Panteon. Wszystko otoczone murem i ciągle zielonymi, mimo późnej jesieni, łąkami. Jest ciepło, nawet gorąco jak na tę porę roku.

Kończy się rok jubileuszowy. Z tego powodu liczba pielgrzymów przerasta, i to wiele razy, liczbę mieszkańców Świętego Miasta.

Siedem wzgórz, na każdym bazylika, jak siedem wzgórz, na których kiedyś stanęło miasto. Widzimy je teraz z panem Sternberkiem. I podziwiamy, zanim zejdziemy w dolinę. Siedem wzgórz jak siedem głównych grzechów Rzymu.

Jechaliśmy przez Alpy konno. Od mojego ostatniego przejazdu górami do Rzymu minęło wiele lat. Widzę, jak wiele się zmieniło na szlaku. Drewniane tyczki, nowy wynalazek, wystające znad śniegu, pozwalają uniknąć zagubienia drogi. Gospody i zakonne przystanki dla pielgrzymów, ulokowane najczęściej na przełęczach, sprawiają, że nawet słaby podróżnik lub pątnik może odpoczywać do woli. My, jak już powiedziałem, jechaliśmy, mijając po drodze dziesiątki, a nawet setki śpieszących do Rzymu na własnych nogach.

Odpoczywamy teraz w domu gościnnym Braci Kaznodziejów na Via Appia, za murami. Rzym niewiele się zmienił od mojego ostatniego pobytu. Choć

jest tu podobno więcej niż tysiąc zajazdów i oberży, to jednak większość odwiedzających miasto rozkłada się na pastwiskach, plantacjach winorośli i ogrodach lub nawet wprost na ulicach. Może to nie jest bezpieczne, za to nic nie kosztuje.

Forum Romanum wygląda wciąż tak samo, jak wielka łąka, i wypasaniu służy. Więcej dziś było na nim kóz i owiec niż ludzi.

Zaszliśmy do bazyliki świętego Jana na Lateranie, by potem, wzdłuż murów, dotrzeć do kościoła świętego Krzyża z Jerozolimy. Można powiedzieć, że Rzym to miasto świątyni, podobno jest ich ponad dwa tysiące, ale też miasto pól uprawnych i łąk oddzielających jeden kościół od drugiego. Mówiąc szczerze, gdyby nie kościoły, miasto przypominałoby raczej wielką wioskę.

Minęliśmy po drodze bazylikę świętego Marka i pałac kardynała Barbo, który został papieżem, przyjmując imię Pawła II. Podobno materiał do budowy czerpano z Kolosseum i z teatru Marcellusa, nie dziwi więc, że oba zabytki są już w ruinie.

U Świętego Piotra odpusty. Każdy ze stu ołtarzy wypełniony pielgrzymami. Największe zbiegowisko u księdza (lub zakonnika, nie wiem tego), bo dawał odpust na dziesięć tysięcy lat. Ale tylko przybyszom. Mieszkańcy Rzymu, nie wiem czemu, mogli dostać odpuszczenie grzechów jedynie na dwa tysiące lat. Dziwne to zwyczaje. Wypełniają kabzę Kościołowi, ale chluby mu nie przynoszą. Za kilka florenów można nawet kupić przewodnik po Rzymie, z naniesionymi kościołami, w których najszybciej i najtaniej, bez kolejki, można otrzymać odpust. Co za czasy! W latach mej młodości nie do pomyślenia.

Pan Sternberk nie miał ochoty na długie zwiedzanie, ale przymusiłem go, byśmy zaszli do bazyliki większej Matki Bożej i bazyliki świętego Jana na Lateranie. W pierwszej obejrzelismy fragment Jezusowego żłóbka, a także siano, płótno, na których spoczywało Dzieciątko. W drugiej, w skarbcu, przypatrywaliśmy się fragmentom Arki Przymierza, drzazgom z Mojżeszowej laski, okruchom chleba z ostatniej wieczerzy, a także sandałom, w których chadzał Jezus z Nazaretu.

Pan Sternberk kręcił głową, nie znajdując upodobania w tych pamiątkach.

Powiedział, że podróżując od lat, mógłby z tego, co mu chciano po drodze sprzedać jako relikwie, zbudować kilka Ark Przymierza, przynajmniej dziesięć złotych Chrystusowych i jeszcze więcej lasek Mojżesza. A gdyby kupował wszystkie sandały Nazarejczyka, które mu proponowano, połowa mieszkańców Rzymu miałaby w czym chodzić do końca życia. Co prawda, to prawda. Znałem kiedyś pewnego stolarza ze Strasburga. Ów jegomość specjalizował się w produkowaniu drzazg z Jezusowego krzyża, które pokryte patyną, sprzedawał na pniu obnośnych handlarzom, a ci, po wyższej już cenie, proponowali owe „relikwie” gawiedzi. Słyszałem też o handlarzu, którzy cały rok przemierzał drogi środkowej i północnej Italii, roznosząc zamówione wcześniej święte przedmioty. Kiedy pewnego razu skradziono mu tobołek, okazało się, że samych chust, którymi kobiety wycierały krew Chrystusa, miał około dwudziestu. Oferował też, na specjalne życzenie i po odpowiednio wysokiej cenie, cały żłóbek Jezusa w nienaruszonym stanie, a także pukiel włosów Marii Magdaleny, które sama sobie wyrwała na Golgocie. O ile wiem, włosy cieszyły się ogromnym powodzeniem, tak że musiał zapewne ogołocić niejedną głowę, aby nastarczyć z zamówieniami. Zmarło mu się, niestety, w bardzo przykrych okolicznościach. Jako że nie umiał pisać, nie zapisywał sobie, komu i co sprzedawał. Polegał na swojej pamięci, a ta jakże często nas przecież zawodzi. Gdy pragnął szynkarzowi z Mantui trzeci raz sprzedać bucik Najświętszej Marii Panny, szynkarz miał powiedzieć: „Przedałeś mi bucik dwa lata temu i bardzo byłem szczęśliwy, mając tak cenną relikwię. Gdy rok później próbowałeś mi sprzedać obuwie naszej Pani, spytałem tylko: lewe czy prawe? Okazało się, że prawe, lewe już miałem. Ale gdy teraz chcesz mi znów sprzedać bucik, to powiem ci, żeś oszust, gdyż może być tylko prawy lub lewy but, a oba już mam, za oba ci zapłaciłem”. Stolarza znaleziono później powieszzonego przy drodze do Werony, a na szyi, oprócz sznura miał zawieszony dwa małe buciki. Jeden lewy, drugi prawy. Tak to właśnie bywa z relikwiami. Nawet jeśli pomogą jednemu, to innym mogą zaszkodzić.

XXVI LISTOPADA MD

Byliśmy wczoraj na wykładzie młodego astronoma i matematyka. Studiuje w Bolonii, do Rzymu przyjechał świętować rok jubileuszowy, ale chyba przede wszystkim, żeby obserwować zaćmienie Księżyca, które było tu podobno na początku listopada. Jak przyjechał, tak został, przygotowując się do obserwacji Saturna, który miał być zakryty przez Księżyc ostatniego dnia roku, co niektórzy uważali za znak, nie wiedzieli tylko, czego ma być znakiem. W auli uniwersytetu było zaledwie kilku słuchaczy. Nie wiem, co to za ludzie, bo żadnego z nich ani pan Sternberk, ani ja nie znaleźliśmy. Młodzieniec poddawał krytyce budowę świata według nauk Ptolemeusza, sugerując całkowitą odmienność nowej, własnej koncepcji, bliskiej tej, którą pan Sternberk przedstawiał mi już wiele lat temu. Chłopak był przy tym nieśmiały, jakby obawiał się, że to, co mówi, może zostać uznane za herezję. Częściej więc sam sobie zadawał pytania. W ten sposób zrzucał z siebie odpowiedzialność i wywoływał u słuchaczy zwątpienie. Bardzo to, muszę przyznać, robił zręcznie. Uważny słuchacz i tak pojął to, co ów młody człowiek chciał, by było zrozumiane.

Po wykładzie podeszliśmy do niego, a pan Sternberk, nie uprzedzając mnie, przywitał go słowem: „*Sol!*”. Na co ów młody człowiek odpowiedział bez zastanowienia: „*Invictus!*”. Poznali się, o czym Sternberk poinformował mnie potem, w Krakowie, na uniwersytecie, na którym chłopak rozpoczął właśnie wtedy swoje kształcenie.

Gdy przyszło do rozmowy, wydawał się zagubiony i zawstydzony.

– No powiedzże, nad czym tak usilnie pracujesz? Co cię trzyma w Rzymie już prawie rok? – spytał pan Sternberk z właściwą sobie otwartością.

– Ach, różne rzeczy, sam nie wiem jeszcze, do czego doprowadzą, pracuję w każdym razie usilnie.

– Mów jaśniej, nie każ nam czekać – Sternberk udawał zniecierpliwionego, a młodzieniec jeszcze bardziej się zamknął w sobie.

– Kiedy naprawdę nie wiem jeszcze, panie Sternberk.

– To ja ci powiem. Bąki tu zbijasz, gdy dobroczyńcy płacą za twoje szkoły – Sternberk się uśmiechnął, a chłopczyzna, z początku wystraszony, też zaczął

się śmiać, rozumiejąc, że pan Sternberk żartuje.

– Oj, panie – począł kręcić głową – żebyś ty wiedział, ile czasu mi zajmuje samo czytanie mistrzów. A jeszcze więcej ich stopniowe poprawianie. Czasem mi się zdaje, że biorę sobie na głowę zbyt wiele zupełnie się różniących dziedzin, nie będąc biegły w żadnej z nich – rozgadał się, widząc, że w naszych osobach ma ludzi sobie przychylnych. – Wczoraj cały dzień pisałem o pieniądzu, lecz myślę o nim od dawna. Weźmy denara i grosz praski. Oba dostępne i w Polsce, i w Czechach, ale i dalej, poza tymi krajami też, nawet w Rzymie można nimi płacić. Powiedzmy, rzeźnik za zarżnięcie wieprza na Śląsku weźmie tak cztery grosze, jak cztery denary. W denarach lub groszach można zapłacić pracownikowi, co cały dzień stoi w polu, i to będą trzy denary, jak i grosze. Beczka piwa sześćdziesiąt denarów i sześćdziesiąt groszy jest warta. Obraca się jednak głównie groszem, mimo że ich wartość nabywcza jest podobna, a nawet taka sama. Dlaczego tak się dzieje?

– A skąd mamy wiedzieć? Ty nam powiedz – Sternberk zaśmiał się głośno, dając tym delikatnie do zrozumienia, że niepotrzebnie zawraca głowę porównywaniem pieniądza. I według mnie niepotrzebnie, bo jakie to ma znaczenie. Pieniądz to pieniądz, i tyle. Nie jest ważne, który się wydaje, ważne, by coś znaczył.

– Ano po pierwsze dlatego, że kruszec, z jakiego zrobiono denara, jest wyżej ceniony. To z kolei powoduje, że w rozliczeniach na duże odległości chętniej się przyjmuje denara. Konsekwencja taka, że denar ludzie chcą bardziej zatrzymywać i oszczędzać w denarach, a w groszach płacić. To by znaczyło tyle, moi panowie, że pieniądz gorszy, jakim się nam okazuje grosz, wypiera lepszy – denara, mimo że w zgodzie z prawdą oba znaczą tyle samo i prawdę powiedziawszy, nie ma pośród nich lepszego i gorszego. A jeśli już się zgodzimy, że jest, no to przecież lepszy powinien wypierać gorszy, a nie na odwrót.

– Bardzo to ciekawe, ale obawiam się, że całkiem już jestem pogubiony. Zajmij się lepiej, jak miałeś, urządzeniem ciał, które nas otaczają, Ziemią i całą tą, jak ją nazywacie, astronomią – Sternberk poklepał chłopca po ramieniu i już mieliśmy odchodzić, gdy nasz rozmówca przytrzymał

Sternberka za rękaw płaszcza.

– Panie Sternberk – powiedział z cicha, jakby ogłaszał poufną tajemnicę – jest tak jak przewidywaliśmy. Potrzebuję jednak czasu, zanim wszystko udowodnię w liczbach i obserwacjach. Może to będą miesiące, może lata, nie wiem jeszcze.

– Dobrze – Sternberk wyswobodził się z uścisku. – Czekamy cierpliwie. Informuj nas, a gdybyś czego potrzebował, wiesz, że możesz prosić.

– Tak, wiem. Jestem wdzięczny za wszystko – odpowiedział.

Przypatrywałem mu się cały czas. Niepozorny, niewysoki, niedbale ubrany, o zbyt długich, dawno nieścinianych, nieco kręconych włosach, z rozbieganym wzrokiem, nie wyglądał na kogoś, kto może cokolwiek odkryć. Lecz pozory czasem mylą, może tak będzie w jego przypadku. Choć szczerze mówiąc, widząc go i słuchając, wątpię. Nie wiem nawet, jak się nazywa. Nie spytałem pana Sternberka, bo ta wiedza nie jest mi potrzebna.

XXIX PAŹDZIERNIKA MDI

Pan Sternberk wyjechał dziś rano na swoje Morawy (mówiąc szczerze, i mnie zaczyna być tęskno za Ołomuńcem). Zrobił to nagle i niespodziewanie. Powiedział, że nie chce już dłużej znosić Rzymu, jego wielkości i małości zarazem. Wczorajsze wydarzenia tak na niego podziały. Spakował ubrania, przytroczył do kulbaki i ruszył na północ. O tym, jakie to wydarzenia tak poruszyły Sternberka, opowiem zaraz. Najpierw śpieszę wytłumaczyć, dlaczego zostaję w Świętym Mieście. Z górą pół roku temu ojciec Bandello dał mi posługę w naszej, dominikańskiej bazylice świętej Sabiny, nazwanej od imienia rzymskiej mieszczyki z pierwszego wieku po Chrystusie, ściętej za to, że broniła wiary bardziej niż swojego własnego życia. Oprócz codziennej, pierwszej porannej mszy mam też wykłady na temat cnót zakonnych i przestróg demonicznych w naszym nowicjacie. Opowiadam młodym adeptom, jak mają się ustrzec niebezpieczeństw wspólnotowego zamieszkiwania i jak zachować chrześcijańskie cnoty zakonne: ubóstwo,

oddanie, ale też rozum, którym mnich powinien się kierować niezależnie od żarliwej wiary. Opowiadam o własnych doświadczeniach, gdyż mam o czym. A oni słuchają tego jak Ewangelii. Kilku młodych braciszków przyszło na pierwszy wykład z moją księgą „*Malleus maleficarum*” (egzemplarze drukowane w Moguncji i Spirze), prosząc, bym owe egzemplarze sygnował własnoręcznym podpisem na początkowej stronie. Myślałem, że ta księga została już zapomniana. Jednak żyje, a moi słuchacze znają mnie przede wszystkim właśnie z tego, że jestem jej autorem.

Wczoraj odwiedził mnie dobrze mi znany Giuliano della Rovere, kardynał i biskup Savony. Przyszedł w przebraniu mnicha franciszkańskiego, którym w młodości miał zresztą zostać, lecz nie złożył ślubów. Giuliano od wejścia Borgii na tron papieski ukrywa się to tu, to tam, głównie we Florencji i Bolonii. Byle dalej od papieża, który widzi w della Rovere swojego największego wroga. Tak więc jeden goni, drugi ucieka, z tym że na niby. To znaczy papieżowi nie zależy specjalnie, aby pochwycić kardynała Rovere, a kardynałowi nie przeszkadza, a nawet schlebia, że sam papież go nienawidzi. Prawdę mówiąc, obaj mają niejednego grzech na sumieniu. Kościołem rządzi Borgia, ale nie wiadomo, jak długo i ile jeszcze trzeba czekać, by władzę przejął della Rovere. Kiedyś to pewnie nastąpi.

Giuliano kazał mnie i panu Sternberkowi wdziać mnisie habity, także franciszkańskie, i podążać za nim do pałacu papieskiego. Chciał nam pokazać, jak spędza czas Namiestnik Piotrowy. Nigdy nie byłem w tych nowych salach mieszkalnych, jedynie kiedyś w Kaplicy Sykstusa. Reszta pałacu dopiero powstaje, a papież Aleksander zajmuje kilkanaście komnat w północnym skrzydle. Wartownik znany Giuliano przeprowadził nas od strony bazyliki świętego Piotra. Szliśmy niczym procesja, z kapturami na głowach, z zapalonymi świecami. Ominęliśmy główne wejście i niezatrzymywani, niewielkimi drzwiami przy papieskiej kaplicy dostaliśmy się do środka. Tam czekał już na nas inny wartownik. Wspięliśmy się po krętych schodach na pierwsze piętro, a dalej, po pokonaniu kolejnych kilku stopni, znaleźliśmy się na galerii. Osłonięci kotarą, obserwowaliśmy papieską salę przyjęć – jak ją nazwał Giuliano. Oświetlona setkami świec, wydawała się tak jasna,

jakby to był słoneczny dzień w samo jego południe.

Z dołu dochodziła muzyka. Nie widzieliśmy orkiestry. Musiała być schowana pod nami, to znaczy pod galerią, na której staliśmy. Moją uwagę z miejsca zwróciły malowidła na ścianach. Bogate, zdobione złotem i srebrem, przedstawiały sceny z Biblii. Nie napatrzyłem się długo na sufity i ściany, bo Giuliano szturchnął mnie w bok i pokazał palcem na dół. Pośrodku sali, w fotelu z wysokim oparciem, siedział papież. Był nagi od pasa w górę. U jego stóp trzy całkiem nagie kobiety próbowały ściągnąć papieżowi spodnie, a właściwie coś w rodzaju długich, białych kalesonów. Papież udawał, że się nie zgadza, ale dozwalał im manipulować przy pasie. Kiedy go już rozwiązały, odepchnął wszystkie trzy nogą. I on, i one śmiały się przy tym, jakby wspólnie uczestniczyli w najlepszej w życiu zabawie.

Doliczyłem się w sali dwudziestu pięciu kobiet i dziesięciu mężczyzn, razem z papieżem. Kobiety, jak jedna, były rozebrane do naga, mężczyźni natomiast różnie. Jedni ubrani po szyję, inni jak ich Pan Bóg stworzył, a jeszcze inni właśnie się ubierali lub zdejmowali okrycia. Na stole ustawionym pod ścianą, między talerzami, misami i butlami wina, w miłosnym uścisku kopulowały dwie pary. Papież sięgnął po brzoźową witkę zakończoną liśćmi, zbliżył się do stołu i witką dzielił po pupach kopulujących. Zrobił to rozbawiony, więc pary nie przestały spółkować, zdając sobie zapewne sprawę, że tym, co robią, cieszą oczy Aleksandra. On sam podszedł do kobiety siedzącej na podłodze, ściągnął kalesony i przyciągnął kobietę do swego przyrodzenia. Stał do nas tyłem. Kiedy się zadowolił i wciągnął spodnie, począł tę kobietę gonić, ale nie naprawdę, jedynie dla zabawy, dzielając ją od czasu do czasu witką po plecach i wielkich, różowych pośladkach. Nieco zdyszany siadł w fotelu, a u jego stóp natychmiast znów się pojawiły trzy nimfy o rozbudowanych kształtach.

– Ojciec święty gustuje w obszernościach. Te kobiety są podobne do hipopotamów – powiedział mi pan Sternberk cicho do ucha, gdy ja nie mogłem wymówić słowa.

– Ci dwoje – odezwał się Giuliano – całujący się pod ścianą, to syn i córka papieża.

– Miłość nie wybiera – uśmiechnął się Sternberk, wyraźnie rozbawiony

scenami rozgrywającymi się u dołu. – Oni tak często? – szepnął do ucha kardynała Rovere.

– Jeśli są w Rzymie, to codziennie – kardynał pokazał palcem na papieża. Aleksander przybrał pozę psa. Wsparty na rękach i kolanach, dźwigał kobietę. Poganiała go tą samą, brzozową witką po tyłku. Przeszli tak kilka kroków, w końcu zrzucił ciężar z grzbietu i sam począł batożyć, aż zaczęła krzyżeć z bólu, bo z jej pośladków trysnęła krew. Jeden z nagich, młodych mężczyzn (Giuliano rozpoznał w nim osobistego sekretarza papieża) sięgnął do worka, wydobyl z niego naręcze kasztanów i rzucił je na podłogę. Następnie kobiety siadały łonem na owe kasztany i niejako wciskały je w siebie, aby przenieść kilka kroków i wypuścić na stół, przy którym papież kończył ogryzać pieczone gołąbki lub może inne, niewielkie ptactwo.

Towarzystwo papieża, a i on sam też, bawiło się w najlepsze. Dałem znak Rovere, że chciałbym już wyjść, pan Sternberk też miał dość. Kręcąc z niedowierzaniem głową, zaczął się wycofywać. Kardynał i ja poszliśmy za nim.

– Sami widzieliście – powiedział della Rovere, kiedy już znaleźliśmy się przed pałacem. Owiało nas chłodne, wieczorne powietrze, studząc nieco rozpalone głowy.

– Wolałbym tego nie oglądać – odrzekłem.

– Najgorętsza miłość ma najchłodniejsze zakończenie, mawiał Sokrates – powiedział pan Sternberk, nie wiedząc czemu odnosząc się w ten sposób do tego, co przed chwilą zobaczyliśmy. – Jutro stąd wyjeżdżam – zdecydował nagle. – Rzym to strata czasu, Kościół to strata czasu. Do zobaczenia, ojciec – powiedział tylko do mnie, nie zważając, że obok mnie stoi kardynał della Rovere, jeden z najważniejszych w naszym Kościele i prawdopodobnie przyszły biskup Rzymu. Oczywiście, jeśli przeżyje Borgię. Papieże nie żyją zbyt długo, ale kandydaci na Piotrowy stolec, zdarza się, jeszcze krócej. Już tam w kurii rzymskiej potrafią zadbać o to, co komu podać do jedzenia lub do picia, gdy trzeba przyspieszyć konklawe. A jednak z Kościołem jest jak z piękną kobietą. Kochamy go, gdy jest wierny, kochamy i cierpimy, gdy zdradza.

XIX CZERWCA MDV

Idzie mi siedemdziesiąty piąty rok życia. Mój dom jest teraz na zamku Sternberk. Do Ołomuńca jeżdżę raz w miesiącu, żeby celebrować nabożeństwo w naszym konwencie. Jestem najstarszy z braci, choć nie jestem jeszcze stary. Ledwie kilka siwych włosów, umysł też domaga. Czytam i widzę bez szkieleł powiększających obraz.

Mam swój pokój na zamku, a pan Sternberk dał mi służącego do mojej wyłącznej dyspozycji. Służący nie jest mi potrzebny, przyzwyczailem się sam dbać o siebie. Pan Sternberk coraz częściej powtarza, że nadchodzi czas próby. Nigdy go nie rozumiałem do końca, zawsze wydawał mi się dziwny. Pokochałem go jednak jak syna, którego nigdy nie dane mi było mieć. On z kolei widzi we mnie przede wszystkim niemieckiego klechę.

– Przyda nam się ta ojca niemieckość – powiedział niedawno. – I język.

– Niemiecki, panie Sternberk, jest inny w Rostocku, a inny w Strasburgu, skąd pochodzę.

– Ale to ciągle niemiecki. Jak ja otwieram gębę po niemiecku, wszyscy zaczynają się śmiać.

– Ja nie.

– Mój czeski akcent bywa pocieszny, wiem. Tym razem biorę ojca ze sobą – Sternberk mówił o swoich wyjazdach. Rzeczywiście, co najmniej na miesiąc każdego roku znikał, żeby, jak to nazywał, „doglądać naszych spraw”, gdy tymczasem nie miałem żadnej pewności, których to naszych spraw dogląda.

– Wyjeżdżamy jutro skoro świt.

– Tak zaraz? Dokąd to niby mamy jechać? – udałem zdziwionego.

– Lipsk, Erfurt, Kolonia. Czas, żeby ojciec zabrał się do pracy. Wystarczy leniuchowania.

– Bardzo chętnie, panie Sternberk. Bardzo chętnie – odpowiedziałem, ciesząc się z czekającej mnie odmiany.

II LIPCA MDV

Drogę z Lipska do Erfurtu znam na pamięć z dawnych lat, gdy jako młody jeszcze mnich wielokroć przemierzałem to pustkowie między Dreznem

a Norymbergą. Najłatwiej tędy podróżować zimą, gdy mróz skuje rzeki i rozlewiska. Droga wtedy znacznie się skraca, bo nie trzeba obchodzić niebezpiecznych mokradeł i bagien, a niejeden podróżnik został w nich na zawsze.

Z Lipska wyjechaliśmy wczoraj wieczorem. Jeśli się ma dobry powóz i sprawnego woźnicę (i jedno, i drugie mieliśmy), a tym bardziej jeśli dobrze się zna drogę (tu ja byłem pomocny), podróż nie zajmuje więcej niż dobę. Pan Sternberk całą drogę spał, wiedząc, że jestem obok i z pewnością nie zmylę kierunku. Tuż po południu zbliżaliśmy się do Stotternheim – miasteczka położonego nie dalej niż godzina jazdy od Erfurtu. Świeciło słońce. Już rano, gdy zaczęło się robić bardzo ciepło, zdjąłem habit, nakładając spodnie, pończochy i białą koszulę. Wyciągnąłem się po swojej stronie, aby rozprostować kości.

Pobyt w Lipsku trwał tylko trzy dni. Z górą pół wieku temu wielu czeskich profesorów z praskiego uniwersytetu (jako że praską uczelnię opanował wówczas niezdrowy ferment husycki) przeniosło się do Lipska. Niektórzy z nich jeszcze żyją, a dwóch lub trzech ciągle wyklada na wydziale teologicznym (w istocie, po latach bliżej im do herezji husyckiej niż do polityki uprawianej przez dzisiejszy Kościół). Pan Sternberk odbywał spotkania z „czeskimi przyjaciółmi”, jak ich nazywał. Ja spędzałem czas w naszym konwencie i w dominikańskim kościele świętego Pawła, który jest też świątynią uniwersytetu. Bracia prosili mnie, żebym dał choć jeden wykład lub odczyt, na temat, który sam wybiorę. Przygotowałem sobie z wieczora główne tezy, a rano w kościele, w czasie wygłaszania, trudno było znaleźć wolne miejsce. Zobaczyłem pana Sternberka. Siedział w trzecim rzędzie ławek, wśród licznej grupy bardzo młodych ludzi. Zapewne studentów.

– Szanowni zgromadzeni – zacząłem. – Wielu z was zna mnie jako inkwizytora Niemiec i jeszcze z dzieła, jakie napisałem wspólnie z bratem Jakobem. Chcę wam powiedzieć, bo tego na pewno nie wiecie, że ostatni raz byłem inkwizytorem więcej niż dwadzieścia lat temu. Ostatni raz skazałem wtedy ludzi na więzienie. Skazywałem ludzi na śmierć, skazywałem na spalenie, bo miałem takie prawo i uważam, że słusznie czyniłem, choć

sam przesiedziałem wiele lat w zamknięciu za winy, których nie było. I jaki z tego morał? Nie wiadomo. A przynajmniej ja, Heinrich Kramer, nie wiem. Jedno wiem. Szatan istnieje. Można zadać pytanie: jak to się dzieje, że tysiąc pięćset lat po tym, gdy Jezus Chrystus umarł, by oczyścić nas z grzechu, my dalej grzeszymy. Czyli co? Tamten desperacki czyn okazał się nieskuteczny? Jak to się dzieje, że Bóg zgodził się, by jego Syn, cierpiąc, odkupił nasze winy, a potem zgadzał się na kolejne grzechy ludzi? To nie Bóg, to szatan wiedzie nas ku złu, można odpowiedzieć. A więc czy Bóg, dozwalając szatanowi, sam nie popełnia występku? Nasz brat, święty Tomasz, tłumaczył to tym, że zło bierze się z czynów, a Bóg dał człowiekowi wolną wolę. Może czynić dobrze, ale może też słuchać podszeptów szatańskich. Apeluję więc do Boga i proszę, by nam odebrał wolną wolę. Zabierz nam, Panie, naszą wolę, krzyczę! W ten sposób uchroni od niegodziwości. Zdając sobie sprawę, że moje wołanie będzie nieskuteczne, bo dlaczego Bóg ma wysłuchać skromnego mnicha, jeśli nie słucha nawet własnego Syna. Który w dodatku, jako jedyny z nas, był niewinny. Stworzeni na podobieństwo Boga, podobnie jak On, mamy swoją jasną i ciemną stronę. Boską i szatańską. W każdym z nas jest trochę z Boga i trochę z szatana, a ponieważ Bóg jest wszystkim, co zawiera się we wszystkim, zawiera też w sobie część szatana i nie jest to w żadnym wypadku bluźnierstwo, tylko stwierdzenie gorzkiej prawdy. Nie mamy zdolności, by naprawiać Boga, za to możemy zacząć od siebie. Od Kościoła Bożego. Powiadam wam, antychryst zakradł się do Kościoła. Prawdziwy szatan, który chce zabić Boga. Gdzie go szukać? Rozejrzyjcie się, a znajdziecie go tam, gdzie się nie spodziewacie.

Mówiłem dalej, że szatan jest nawet teraz z nami, w tym kościele. I że każdy musi z nim stoczyć swoją własną walkę.

– Czytajcie Biblię, bójcie się Boga, nie swoich biskupów, nie papieża – zakończyłem, a w kościele zapanowała cisza. Nikt się nie ruszał. Nikt nie zareagował na te słowa. Zobaczyłem, że pan Sternberk jako pierwszy wstaje, zaczyna bić brawo, a po nim kolejni, tak że w końcu tylko mniejszość siedziała cicho, natomiast większość stała i klaskała.

– No, ojcze, nie spodziewałem się – powiedział potem pan Sternberk. Ani on, ani ja nie musieliśmy dłużej na ten temat rozmawiać, rozumieliśmy się bowiem bez słów. Przyznam, że z większą trudnością przychodziło mi zrozumienie samego siebie.

Dojeżdżaliśmy więc do Erfurtu, mijając pod drodze miasteczko Stotternheim. Dałem odpocząć oczom. Przymykając je, szykowałem się do krótkiej drzemki. Konie szły stępa, tak jak my zmęczone ciężkim, gorącym, letnim powietrzem. Nagle usłyszałem grzmot. Wyjrzałem przez okno (panu Sternberkowi uderzenie pioruna w ogóle nie przeszkadzało, spał dalej). Zobaczyłem ciemne, prawie czarne chmury idące na nas od zachodniej strony. Spadły pierwsze krople deszczu i zaraz lunęło. Padało, jakby niebo wylewało wszystkie swoje, skrywane dotąd żale. Droga momentalnie zamieniła się w rwący potok, a pioruny raz po raz waliły w otaczające nas drzewa. Wyjrzałem przez okno. Woźnica trzymał w jednej dłoni lejce, a drugą, nad głową podpierał drewniany, okrągły dekiel z jakiejś beczki, chroniący go przed ulewą, a może sądził, że i przed gromem. Powóz w końcu stanął w głębokich koleinach wypełnionych błotnistą mazią, a ja przez okno dostrzegłem człowieka. Siedział skulony pod rozłożystym krzakiem głogu. Trząśł się z zimna, ale pewnie też i ze strachu, bo przed chwilą piorun uderzył w ogromny dąb rosnący nie dalej niż pięćdziesiąt kroków od nas. Huk był przy tym tak wielki, że na chwilę straciłem słuch. Pan Sternberk, już obudzony, spoglądał z niepokojem to na mnie, to na pole. Nagle człowiek, który siedział pod krzakiem, podniósł się, chwycił leżący obok tobołek przewiązany sznurem i kilkoma susami znalazł się przy oknie naszego powozu. Pan Sternberk uchylił drzwi i mężczyzna, ślizgając się jeszcze nieporadnie na stopniach, wskoczył do środka. Upłynęło kilka chwil, zanim wydał z siebie głos.

– Dziękuję, panie – powiedział, drżąc i szczękając zębami.

Rzuciłem w jego stronę wełnianą derkę, a on natychmiast się nią okrył, choć dalej drżał, jak mi się wydaje, ciągle wystraszony grzmotami i błyskawicami. Młody, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, wyglądał

jak przemoczona owca.

Burza z wolna przesuwała się ku wschodowi. Ulewa przeszła teraz w deszcz, wprawdzie rześisty, ale woźnica widział już przed sobą drogę, więc ruszył. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Wyjechaliśmy w końcu z nawałnicy.

– A dokąd to Bóg prowadzi? – spytałem.

– Do Erfurtu, jaśnie panie – wyjąkał.

– Mogłeś stracić życie, chłopcze. Nigdy się nie chowaj przed burzą pod krzakami i drzewami, już raczej idź na pole – odezwał się Sternberk.

– Wiem, panie, ja głupi, ale tak się bałem, że nie wiedziałem, co robię. Modliłem się tylko o szybką śmierć albo o koniec tego piekła, ślubując, że jeśli uda mi się wyjść z tej opresji, natychmiast założę habit – odpowiedział młodzieniec.

– Jak cię zwa?

– Martin. Martin Luter, jaśnie panie. Wracam z domu do Erfurtu, gdzie studiuje prawo, a wcześniej filozofię. Szkoda mi na konia albo powóz, więc zawsze podróżuję pieszo z Mansfeld, zostawiając grosz na jedzenie i książki – odpowiedział rezolutnie, a jego szczęka wreszcie przestała drżeć. – A panowie?

– Ja się nazywam Sternberk, a to – pokazał na mnie – ojciec Heinrich Kramer, z zakonu kaznodziejów.

Chłopak na mnie spojrział i począł się uśmiechać, jakby spotkał znajomego.

– To chyba jakiś znak...Naprawdę mam sposobność rozmawiać z ojcem Kramerem? Instytorem? Tym słynnym ojcem Kramerem? – wydawało się, że chłopak nie może uwierzyć, kogo spotkał.

– W samej rzeczy młody człowieku – odpowiedziałem, połechtany mile, że na prowincjonalnej drodze, na wschodnich rubieżach cesarstwa, spotykam człowieka, i to bardzo młodego, który o mnie słyszał. Wolałem się jednak upewnić, że mnie z kimś nie myli, zapytałem więc: – A skąd ty mnie znasz?

– Każdy powinien ojca znać, ale wydawało mi się, że ojciec musi być dużo starszy i wyglądać na starszego...

– Jak stary zniedołężniały pies?

– Nie, nie, nie wiem, widzę, ojcze, mam oczy, tym niemniej się dziwię
– zmieszany sięgnął po tobołek, rozwiązał go, zaczął gmerać w środku, wyciągając przybory do pisania, rulony papieru, Biblię, kilka książek, kawał nadgryzionego chleba i dopiero na końcu to, czego szukał. – „*Malleus maleficarum*”, ojcze. Pierwsze wydanie. Szczególnie cenne, dla mnie bezcenne. Kupiłem niedawno. Kosztowało sto groszy. Drogie bardzo, bo za sto groszy można się pół roku utrzymać, ale co tam, zarobiłem na korepetycjach z łaciny. Zdążyłem już trzy razy przeczytać i ciągle się zastanawiam, jak ojciec umiał wszystko zgłębić, a potem wytłumaczyć i ostrzec.

Spojrzałem na pana Sternberka. Pokiwał głową i podkręcił wąsa, zadowolony, że uratowaliśmy ciekawego, prawdopodobnie czytanego, rezolutnego, lecz zdaje się też strachliwego nieco młodzieńca.

– A co jeszcze czytasz, chłopcze? Co teraz czytają tacy młodzi ludzie jak ty? – zapytał Sternberk.

– Wszystko co związane z *via moderna* – odpowiedział bez namysłu Martin. – *Via antiqua* odchodzi w przeszłość. Żyjemy w nowoczesnych czasach. A nasz uniwersytet, może wiecie, przoduje w nowych prądach. Co nie oznacza, że odpychamy tradycję, o czym świadczy „*Malleus*” w moim tobołku. W ogóle uważam, że jakikolwiek postęp może trwać jedynie na pohybel szatańskim wpływom. Sam miałem nieraz poczucie obecności złego. „*Malleus maleficarum*” to dla mnie coś takiego, ojcze, jak święta relikwia. Chroni przed złym, daje poczucie bezpieczeństwa. Bo tak sobie myślę: skoro mam w tobołku przepis na walkę z szatanem, to diabeł dwa razy pomyśli, nim mnie napadnie. A czytam mistrza Eckharta, który kiedyś uczył w naszej szkole. Czytam największych mistrzów. A moim ulubionym dziełem jest „*Reformatio generalis*” Mikołaja z Kues. Wiecie, czcigodni, o kim i o czym mówię. Nawet jeśli się ze mną nie zgodzicie, będę się upierał – Kościół wymaga reform, a ludzie muszą się poprawić, także najwięksi nasi pasterze, bo od nich się poczyna zepsucie, o którym tak wiele i ty piszesz, ojcze – chciał wstać i mi się ukłonić, ale powóz był za niski, więc tylko głęboko schylił przede mną głowę.

Pan Sternberk się uśmiechnął. Widziałem, że zajęty rozmową z chłopcem, nie zauważył Erfurtu, do którego właśnie wjechaliśmy północną bramą. Rozrosło się miasto od mojego ostatniego pobytu. Czterdzieści lat temu wizytowałem nasze zgromadzenie, wtedy niewielkie, a dziś, wiem to, bo mi mówiono, liczące ponad stu braci, posiadające dwa kościoły i nowy konwent. Ulicą, którą się poruszaliśmy, co i rusz przejeżdżali konni jeźdźcy, goniły powozy, a między nimi tłum ludzi śpieszących we wszystkie strony, nie wiadomo dokąd i w jakim celu.

Chłopak, jak się wydawało, też nie zauważył, gdzie jest i że dobiega końca podróży. Gęba mu się nie zamykała i po wcześniejszej płochliwości nie było już śladu. Mówił z egzaltacją cechującą jedynie młode, ale i często otwarte umysły.

– Furda, starzy! Idzie nowe! Trzeba zmieniać świat, bo inaczej świat nas zmieni! – prawie zaczął krzyczeć, ale kiedy zauważył niestosowność tych haseł, wypowiedzianych w naszej obecności, przerwał. Nie przeproszał jednak, tylko tłumaczył dalej. – Czcigodny ojcze i panie, panie..., jak się pan nazywa? – spytał bez ceregieli.

– Sternberk, młodzieńcze, Sternberk.

– Tak, wybacz, kimkolwiek jesteś, tylko reforma, tylko zmiany uchronią nas przed najgorszym. Żyjemy w czasach ostatnich, przeczuwam to od dawna. Jedynie głęboka wiara oparta w Piśmie może nas poprowadzić ku zbawieniu. Filozofia próbuje opisywać świat, a on wymaga nie opisywania, lecz zmian. I to zmian rewolucyjnych...

– W takim razie zostań jednym z nas – przerwał mu pan Sternberk.

– Jednym z was? A kim wy, na Boga, jesteście, skoro chcecie, żebym do was przystał – młodzieniec otworzył gębę i trwał tak, nim przemówił Sternberk.

– Wkrótce się dowiesz – spojrzał przy tym na mnie, a ja tym razem pokiwałem głową z aprobatą.

XVIII LIPCA MDV

Martin długo się upierał nad wyborem zakonu dominikanów. Ostatecznie, na moją i pana Sternberka prośbę, poszedł na służbę do augustianów w Erfurcie, u których, jak to Sternberk trafnie ujął, „nauczy się cierpliwości, porządku i posłuszeństwa bardziej niż u kaznodziejów”. Czy wytrzyma w trudnej regule eremitów? Bóg raczy wiedzieć. Pan Sternberk prosił listownie swego przyjaciela i wtajemniczonego, ojca Jana von Staupitza, przeora augustianów w Monachium, by miał oko na Martina i w trudnych być może dla niego chwilach przyszedł mu z pomocą. Podobnie zwrócił się, ale już osobiście, do ojca Jodocusa Trutfettera, który wtajemniczony nie jest, wykładowcy teologii i filozofii na erfurckim uniwersytecie, przedstawiając Martina jako „najzdolniejszego z najmłodszych”. Polecając także łaskawą pomoc nowicjuszowi w jego zakonnych przygodach. Swoją prośbę wsparł znaczną sumą guldenów „na utrzymanie augustiańskiego klasztoru”. Odpowiednio i Martin otrzymał wsparcie, aby nie musiał się martwić o utrzymanie i kształcenie w najbliższych latach. Jest w tym chłopcu coś żarliwego i świeżego. Jest też coś, co mnie do niego zniechęca – przebiegłość, interesowność i brak skromności, według mnie niezbędnej, by realizować wielkie cele. Pan Sternberk uważa, że to kandydat idealny i że takiego szukaliśmy. Może i ma rację.

Jednak chłopiec przypomina Narcyza, bohatera greckiej opowieści, syna boga rzeki Kefisosa i nimfy Leiriope. Owidiusz pisał, jak to zakochała się w nim nimfa Echo. Narcyz wolał jednak udawać się na łowy niż prawdziwie miłować. Pewnego razu, gdy zobaczył w tafli jeziora swoje odbicie, zakochał się w nim. Miłość do swego własnego wizerunku była tak wielka, że biedny Narcyz nie odstępował brzegu jeziora. W końcu umarł z tęsknoty za niemożliwym do spełnienia uczuciem. Oby inny los czekał naszego adepta, który niewątpliwie, jak Narcyz, jest jednak w sobie zakochany.

Kiedy za chłopakiem zamknęła się klasztorna furta, pan Sternberk zarządził powrót do domu.

– Jak myślisz, ojcze? – spytał. – Chyba już znaleźliśmy. Trzeba go hodować jak roślinę. I tylko od czasu do czasu podlewać, by nie zmarlała.

– Rośliny wydają dobre, ale i złe owoce, panie Sternberk – odpowiedziałem,

a mój przyjaciel machnął ręką, jakby chciał odrzucić niepokój o to, co się stanie lub raczej co może się stać.

XXIV GRUDNIA MDVIII

Nareszcie spokój. Nikt nie pogania, niczego ode mnie nie oczekuje. Pan Sternberk, u którego mieszkam, częściej przebywa z daleka od zamku niż tu, w swoim domu. Czy to w interesach, czy w sobie znanych sprawach odwiedza miasta niemieckie, francuskie. Był nawet blisko pół roku w Lizbonie. Nie pytam, w jakim celu, a i on przestał ze mną rozmawiać tak często, jak kiedyś. Od czasu do czasu pojawiają się w naszym domu goście ze świata. A ponieważ rozmowy coraz bardziej mnie męczą, rzadko biorę w nich udział, ograniczając się przeważnie do błogosławienia zebranych. Czas spędzam na czytaniu, dziwiąc się, jak wiele jest ksiąg, które nigdy nie trafiły przed moje stare, a jednak nadal sprawne oczy.

Wczoraj dostałem list od naszego wychowanka z Erfurtu. Jest już po święceniach, o czym informuje z radością, ale też ze smutkiem. Oto co pisze.

„Czcigodny Ojciec. Kiedy dwa lata temu, w przerażających okolicznościach, poznałem Ojca, myślałem, że będzie nam dane częściej się widywać. Pewność i determinacja Ojca zawsze były dla mnie drogowskazem. Wiem, że podołam zadaniu, bo tak wielu tak niewiele w gruncie rzeczy ode mnie oczekuje. Tylko tyle, bym mówił prawdę, ale czym ona jest? I czy jest jedna, Ojciec? Mam już czasem w głowie taki chaos, że wolałbym zostać trafiony gromem wtedy, w drodze do Erfurtu, gdyż czuję wielką odpowiedzialność, jaka na mnie dziś spada, a także osamotnienie. Jedno i drugie bywa nie do wytrzymania. Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy Królestwo Boże jest dla mnie, czy znajdę w nim swoje miejsce ja – grzesznik ponad miarę. Czy nasze doczesne życie ma w ogóle znaczenie dla przyszłego zbawienia? Zapewne ma. Ale czy nasz Pan byłby tak małostkowy, aby godzić się na rozgrzeszanie za życia i tylko tym uchylać drzwi Edenu, którzy pożałują swoich grzechów i dostaną odpuszczenie? W dodatku płacąc za nie srebrnikami. Grzeszą

zawsze ci, którzy biorą, ale też ci, co dają. Czy nie mam racji?

A czy Pan Sternberk się na mnie nie zawiedzie? Czy mam wystarczające siły i wiele mi nie zbywa na rozumie, aby przeprowadzić nasz plan? Podzieliłem się tajemnicą z najbliższym mi przyjacielem, z którym razem od lat zdobywamy wiedzę. Pan Sternberk polecał dzielić się, ale tylko z zaufanymi i pewnymi ludźmi. Takim jest mój przyjaciel. Nazywa się Andreas Karlstadt – przy jego rozumie i talencie do nauki moje starania wyglądają zaledwie na uporczywe zgłębianie alfabetu. Już wcześniej rozmawialiśmy o potrzebie zmian, ale jego myśli są dla mnie upokarzające. Drwi z modlących się do relikwii i świętych obrazów. Kiedy mnie pierwszy raz odwiedził w konwencie, widząc obraz Matki Boskiej, odwrócił go do ściany, mówiąc: „Po co ci, Martinie, portret kobiety, która nawet nie wiedziała, kto był ojcem jej dziecka?” A jednak to Matka Boga, należy się jej szacunek. Obaj z Andreasem, w równym stopniu on i ja, pogardzamy „handlarzami zbawienia”, jak nazywamy tych, co kupczą bożym odpustem. Karlstadt spędził ostatnie dwa miesiące w Świętym Mieście, uczestnicząc w wykładach z teologii i filozofii na uniwersytecie. Poznał tam pewnego pośła z Florencji, który przygotowuje pracę na temat etyki sprawowania władzy. Andreas czytał fragmenty owego dzieła, odnoszącego się do naszych książąt i królów, ale, piszę te słowa z żalem, łatwo można by je stosować do papieży i biskupów.

Ponieważ stara bazylika świętego Piotra jest już rozebrana, a właściwie, jak opowiadał, zburzona (część kamieni rozkradziono na budowę willi miejscowych bogaczy i biskupów), a na jej miejscu powstanie nowa, modlił się Karlstadt w kościele świętej Marii z Nazaretu – także moim ulubionym rzymskim kościele. Jak ta modlitwa wyglądała, aż przykro opowiadać. Przy każdym z dziesięciu ołtarzy odprawiano mszę. Celebrowali je głównie księża pielgrzymujący, dla próżnego zarobku odpuszczając winy nawet bez spowiedzi, byle szybciej, byle więcej monet trafiło do ich trzosa. A już czekali następni. Ci, jeśli msza trwała ich zdaniem zbyt długo, przepychali wiernych kijami w stronę wyjścia, by zrobić miejsce dla następnych.

Przestaję już mieć złudzenia, jeśli idzie o prowadzących Kościoł. Jeśli go gdzieś prowadzą, to ku zgubie. Giuliano della Rovere, o którym mi pan

Sternberk mówił, że jesteście przyjaciółmi, zawodzi nadzieje na reformy. Wprawdzie nie jest rzezimieszkiem, jak Borgia, ale myśli tylko o nowych wojnach i o tym, jak powiększyć majątek kurii, a przy okazji swój i licznej swojej rodziny.

Ja udaję się wkrótce do Wittenbergi, aby rozpocząć swoje wykłady na nowym uniwersytecie założonym przez Fryderyka, księcia saskiego. Książę musi być Ojcu znany, a jeszcze bardziej panu Sternberkowi. Wiem, że są w przyjaźni i dzięki Sternberkowi dostaję właśnie posadę nauczyciela filozofii moralnej. Nie wiem tylko, czy moja wiedza, ale też postawa moralna usprawiedliwia ten krok. Pan Sternberk, który był u nas niedawno, powiedział: „Nic się nie martw, Martin, nawet gdybyś się bardzo starał grzeszyć, nigdy w grzechu nie dościgniesz papieży”. Jest w tym zdaniu, jak myślę, dużo prawdy, choć nie wiem, czy cała. Zgłębiając liczne dzieła, choćby „Sentencje” Piotra z Lombardii, w których mam być biegły, zastanawiam się, co ja tu robię? Wybacz, Ojciec. Pytania i wątpliwości same mi przychodzą, nawet gdy ich nie oczekuję.

Będzie czas o tym rozmawiać, gdy się znów zobaczymy. Oby jak najprędzej!”

IV STYCZNIA MDIX

Początek nowego roku Pańskiego zawsze nastraja mnie i wiedzie ku rozmyślaniom. Coś się bowiem kończy, a zaczyna niepewne. W moim wieku zazwyczaj wszystko się już kończy. Siedzę na zamku niczym kwoka na jajach, doglądając biblioteki i piwniczki z winem. Nie chce mi się stąd ruszać, bo i dokąd miałbym. Rodzina pana Sternberka już dawno temu przeniosła się do Pragi, a i sam mój gospodarz spędza tam więcej czasu. Różnica między moim uwięzieniem a mieszkaniem teraz na zamku jest tylko taka, że tu mam dostęp do ksiąg. I dostęp do trunku.

Jeszcze nie wszystko między mną a panem Sternberkiem zostało nazwane. Gdyby jemu, a także jego przyjaciółom, chodziło o zniszczenie Kościoła i na jego gruzach zbudowanie nowego, jak mówią „prawdziwego”, wolałbym do tego nie przykładać ręki. A z drugiej strony dobrze rozumiem potrzebę uzdrowienia. Jak choremu organizmowi, który żre gorączka,

potrzeba medyka, jak nodze, której grozi gangrena, trzeba okładów z ziół, tak Kościołowi niezbędny jest uzdrowiciel ordynujący właściwe lekarstwo. Oby jednak nie okazało się ono trucizną zażytą w dobrej wierze. Nie mam upodobań samobójczych, jak Seneka, Katon czy Petroniusz. A współczesny Rzym to nie ten starożytny, w którym zabicie samego siebie było oklaskiwanym teatrem, przedstawieniem dla zaproszonych gości. Mam dziś przecucie wzrastającej siły zła. Czy nie jest jednak tak, jak z drzewem? Gdy mu odetniesz gałąź, wyrośnie w innym miejscu, mocniejsza jeszcze. Czy nie jest tak, jak z runem? Przycinane, gęstnieje i nabiera twardości.

Jakbym słyszał Annę Santi, przekonującą, że szatan jest w każdym z nas. Musisz wiedzieć, Anno, gdziekolwiek teraz jesteś, że diabeł z kopytami, rogami i całym jego wszetecznym wyglądem nie zasługuje na naszą uwagę. Wystarczy go skropić święconą wodą, a ucieknie jak poparzony gorącym olejem. Takiego diabła się nie boję. Boję się tego, co siedzi we mnie. Boję się siebie, bo jak każdy człowiek, nie jestem wolny od grzechu. Ja – człowiek, mierzę się z ja – szatanem. Bóg, który na to dozwala, pozwala istnieć złu, uświęcając je swoją mocą. Czy zatem nie uznając Boga, tracimy także szatana z całym jego złem danym mu przez Boga? Niestety, nie. Bóg nie zależy od naszej woli jego osobistego istnienia, podobnie szatan nie zależy. Jesteśmy za każdym razem bezwolni w tym dziele Boskiego tworzenia, gdyż także my sami nie zależymy od naszej woli powstania i przyjścia na świat. Żaden z nas tego nie wypraszał i nie oczekiwał. Życie staje się więc raczej planem szatańskim, bo o ile Bóg jest w stanie obejść się bez człowieka – wcześniej jakoś się obchodził, gdy nas nie było – o tyle szatan, powołany, by czynić zło, bez człowieka traci swój sens. Za wszelką więc cenę będzie chciał utrzymać nasz rozumny gatunek, bo ma z nim uciechę większą niż z obcowania z kozą czy krową. Ale musi o to prosić swego Pana, w Panu z kolei zawiera się wszystko we wszystkim, także chimera, która mu każe raz używać szatana, a raz go uśmiercać na oczach ludzi. I kiedy się już wydaje, że nasz Pan zdecydował miłosiernie o zabiciu szatana – ten w najlepsze każe nam znów popełniać złe uczynki, niejako za plecami Boga. Szatan, raz bowiem stworzony, trwa wiecznie. Wadą boskiego planu było więc samo stworzenie zła, a nie jego trwanie. Co raz zostało stworzone ręką Boga, trwa

wiecznie.

Jest też tak, że Bóg, który widzi wszystko, nie wszystko dostrzega. Już to ze znanych tylko sobie powodów nie chce, już to nie może, dzieląc się odpowiedzialnością z nami – swoimi dziećmi, stworzonymi właśnie po to, by mógł się w nas niejako przejrzeć.

Dopuszczamy wszelako myśl, nawet gdy jest grzeszna, że w szatanie nie może być samego zła, że samo zło w czystej postaci nie istnieje. Co więc zrobić i jak rozumieć cząstkę dobra w kwintesencji zła? Zauważając ją i rozwijając, działamy w gruncie rzeczy na niekorzyść Bożego zamysłu.

Trzeba się więc pogodzić z istnieniem przeciwieństwa dobra. Zaakceptować działalność szatana jako część boskiego planu. Lecz nie można się z tą działalnością zgadzać, nawet gdyby nasza myśl zmierzała *ad absurdum*: zabijając szatana, jednocześnie uśmiercamy Boga. Wolna wola mianowicie prowadzi nas ku zgubie. Pan, już na początku, obdarował nas pokusą zła. Możemy się temu dziwić, ale czas uznać za niepodważalny dowód istnienia Boga to, że sami wywołujemy zło, tak jak wolną wolą sami, bez pomocy Boga, stwarzamy szatana.

Trudno to zrozumieć. Kolejny wniosek byłby taki, że sami powołaliśmy do życia Boga, a nie On nas. Albo przynajmniej taki, że nie możemy bez siebie istnieć. My bez Boga, a Bóg bez nas. Przecież to nieprawda, bo kiedyś nas nie było, a Bóg istniał, gdyż jest przedwieczny. A ja? Co się ze mną stało? Gdzie się podziałeś, Heinrichu Kramerze?

- Tu jestem – odpowiadam.
- Doprawdy to ty? Ten starzec, który ciągle uważa się za młodego?
- Kto do mnie mówi?
- Nie wiesz? Nie domyślasz się?
- Nie, na miły Bóg, nie wiem.
- Sam do siebie gadasz.
- Kłamiesz!
- A żebyś wiedział. Sam do siebie. I jeszcze udajesz, że tego nie wiesz.
- Nie jesteś moim Panem?
- Jak mogę nim być? Nie pamiętasz już, co się stało?
- Nie, mów.

– Wydałeś na niego wyrok, spaliłeś go, a teraz próbujesz go jeszcze raz wydać na śmierć.

– Nieprawda, łżesz!

– Mówię prawdę.

– Idź precz.

Zdawało mi się, że słyszę głos Anny.

III LISTOPADA MDX

Minęło ledwie pięć lat, a Martin tak bardzo się zmienił, że w pierwszej chwili go nie poznałem. Włosy mu się przeredziły, przytył także na Sternberkowym wikcie, co razem z tonsurą upodabnia go do starych, zmęczonych życiem mnichów, a przecież nie ma nawet trzydziestu lat. Nie mówi już z tą samą, znamionującą pierwszą młodość swadą i zaangażowaniem. Waży słowa i zanim coś powie, długo się namyśla. Przybył na zamek prosto z Rzymu, razem z panem Sternberkiem, który w Stolicy Piotrowej spędził ostatnie pół roku, chociaż kiedyś zapowiadał, że „jego noga na tej zhańbionej ziemi nie stanie”.

– Tak powiedziałem kiedyś, dobrze wiesz, ojcze, kiedy – przyznał. – Zapewniam cię, że Lateran omijałem z daleka, spotykając się to z tym, to z owym poza murami. Cały Rzym, całe główne miasto, przewrócone do góry nogami. Nowa świątynia budowana na miejscu starej będzie tak wielka, jakbyś postawił w rzędzie dziesięć takich zamków jak mój, a przecież mój do małych nie należy...

– Lepiej by było postawić domy dla ubogich – przerwał mu Martin.

– To też chcę powiedzieć – dodał Sternberk. – Nasz przyjaciel Martin ma nową nazwę dla Rzymu, bo Święte Miasto, jego zdaniem straciło swoją aktualność. No, mówże – dał znak ręką.

– Diabelskie Miasto, inaczej się tego nie da nazwać – syknął Martin.

– Wyobrażasz sobie, ojcze? Tak mówi młody zakonnik, wykładowca na uniwersytecie, dobry chrześcijanin. A papież według ciebie to kto?

– Jak to kto? Antychryst, co przejął władzę nad Rzymem – tym razem

Martin, mówiąc, nieznacznie się uśmiechnął.

– Widzisz, ojcze, jak wytresowałem naszego młodego przyjaciela?

– Nie musiał mnie pan wcale tresować. Sam tak uważam, nie od dziś – Martin spoważniał, odwrócił się w moją stronę. – Pisałem już ojcu jakiś czas temu, co myślę o Kościele.

– Panie Sternberk, nigdy o to nie prosiłem, ale czy może pan wyjawić swój plan, jeśli on w ogóle istnieje? – zadałem pytanie, które od dawna siedziało w mojej głowie.

– Właśnie po to zjechaliśmy, ojcze, na zamek, żeby o tym rozmawiać. Czynimy tak od dawna, jak ojciec się domyśla. Rada ojca będzie dla nas ważna – Sternberk spojrział na Martina, a Martin na mnie.

– Słucham więc, panie Sternberk – odpowiedziałem.

– Mamy plan zabicia papieża...

– Co pan mówi? Panie Sternberk, chyba nie chcecie tego zrobić?

– Oczywiście, że nie – zaczął rechotać, trzymając się za brzuch. – Chciałem tylko sprawdzić, co ojciec powie. Nie chcemy używać siły, szczególnie że samo usunięcie papieża, takie lub inne, nie da oczekiwanych efektów, bo przyjdzie kolejny. Ale niech Martin o tym mówi, tym bardziej że będzie ten plan realizował.

– Naszym celem jest reforma Kościoła – Martin zaczął oficjalnym tonem, jakby miał wygłosić homilię.

– To wiemy, chłopcze, przejdź do konkretów – pouczył go pan Sternberk.

– Wtajemniczonych są już dziś setki, a może i tysiące. Od niemieckich książąt, przez biskupów, doktorów największych uczelni, zakonników, jak ojciec i ja, ale też zwykłych ludzi. Głównym ośrodkiem naszych myśli jest Wittenberga, na której wykładam ja i moi przyjaciele, o niektórych już ojcu pisałem. Zamierzamy wystąpić z listem do papieża. Pod listem podpisze się od pięciuset do tysiąca znaczących, mniej ważnych i w ogóle nieznanym osób. List, wysłany także do wszystkich diecezji w cesarstwie, będzie postulował zmiany, takie jak odstąpienie od odpustów za pieniądze, walkę z symonią hierarchów Kościoła, życiem ponad stan kurii rzymskiej, odstąpienie od celibatu, którego i tak prawie nikt nie dotrzymuje, chyba że tylko chorzy i niepełnosprawni lub szaleni na umyśle, zmianę organizacji

Kościół, polegającą na wprowadzeniu gmin chrześcijańskich zarządzanych przez delegatów wiernych, zamiast rozbudowanej biurokracji i wszechwładzy klechów. Do tego wiele zmian doktrynalnych i zwyczajowych, takich jak odejście od kultu maryjnego i kultu świętych, kultu obrazów, a także relikwii; zlikwidowanie spowiedzi indywidualnej i oparcie religijności o to, co najważniejsze, czyli o Biblię. Czy ojciec wie, że pierwszy raz sięgnąłem po Biblię dopiero kilka lat temu, gdy się nauczyłem łaciny? Trzeba jak najprędzej przetłumaczyć ją na język niemiecki. A wszystko po to, ojcze, by zapobiec chorobie, która od dawna toczy Kościół, ale też przygotować grunt pod zmiany, które nas czekają, a które są dziś niemożliwe, bo źli ludzie w Rzymie i ich pomocnicy w diecezjach powstrzymują wszelkie reformy. W dodatku każą się traktować jak królowie, mając w pogardzie zwykłych ludzi. W interesie papieża jest utrzymywać prosty lud w ciemności i zabobonach. I co ojciec o tym myśli? Jaka będzie odpowiedź papieża? Ojciec dobrze zna Giuliano della Rovere.

– Chcecie wiedzieć, jaka będzie odpowiedź papieża?

– Jeśli ojciec może?

– Zapłoną stosy. Papież nie tylko nie odpowie, ale wyśle po was swoje straże i prędzej czy później doprowadzi przed oblicze inkwizycji. Tylko naiwny może sądzić, że ten plan może się udać. Już lepiej rzeczywiście pozbawić go życia, bo inaczej on was go pozbawi. Ulegacie złudzeniu, że zepsucie moralne Rzymu oznacza jego słabość. Jest odwrotnie. Dla obrony swojej pozycji papież, ten czy każdy inny, nie cofnie się przed niczym. Co zresztą papieże już pokazywali w przeszłości, z nielicznymi zaledwie wyjątkami.

– Ojciec nie zna całej naszej siły – wtrącił pan Sternberk. – Dostaniemy wsparcie od znanych, niemieckich rodów. Nie ma takiej siły, która by mogła nas aresztować i postawić przed oblicze sądu kościelnego.

– Być może, panie Sternberk, ale pozwólcie udzielić sobie rady – odpowiedziałem, zastanawiając się, co im powinienem w tej sytuacji doradzać, aby nie wpędzić na drogę bez wyjścia.

– Słuchamy, ojcze, jakże by inaczej, słuchamy! – od razu zakrzyknął Martin.

– Lepiej dla sprawy, jeśli pod listem podpisze się jeden człowiek. Trzeba go jednak odpowiednio przygotować. Musi nabrać doświadczenia.

Powinien się cieszyć szacunkiem w Kościele. Pismo nie może być przy tym skierowane do papieża. Z papieżem, bezpośrednio i oficjalnie, może rozmawiać król, cesarz, a także kardynałowie Kościoła. Nikt więcej. Trzeba je wysłać do niektórych biskupów, najlepiej tych, co są nam bliscy – i Luter, i Sternberk zauważyli, że mówię „nam”, a nie „wam”, i obaj pokiwali głowami z aprobatą. – To mógłbym być na przykład ja, gdybym nie był taki stary. Możesz być też ty – popatrzyłem na Martina, a on się skrzywił, jakby chciał powiedzieć, że nie wierzy w siłę swojego nazwiska, a tym bardziej nie ma mowy o szacunku. – Musisz jednak zbudować swoją pozycję, przynajmniej tam, chłopcze, gdzie teraz jesteś. Dalej: list powinien zawierać same postulaty, kilkanaście tez, może więcej, zależy, czego tak naprawdę najbardziej chcemy. Spisane tezy można też, dla pewności, wywiesić w kościołach i konwentach, w których mamy przyjaciół. Chociaż tu mogę się mylić, nie wiem, jaka będzie reakcja proboszczów i przeorów. Im mniejsze ryzyko, tym lepiej. Gdybyś to ty miał się podpisać pod listem, musisz mieć zapewnioną ochronę, gdyż może być i tak, że będziesz musiał się ukryć przed światem. Przynajmniej na jakiś czas, bo papież natychmiast nałoży na ciebie ekskomunikę. Im więcej wielkich się za tobą ujmie, tym lepiej. Oni będą tworzyli nowy Kościół, jeśli nie na gruzach, to obok Kościoła rzymskiego...

– Ciekawe, co ojciec mówi – przerwał mi Sternberk. – Ale to znaczy, że trzeba poczekać – spojrzał na Martina – jeszcze za wcześnie, jeszcze nie teraz. Czy dobrze ojca zrozumiałem?

– Bardzo dobrze. Nikt nie posłucha dwudziestokilkuletniego mnicha. Może nawet powinienś poczekać, aż della Rovere odejdzie z tego świata, to bardzo trudny przeciwnik. Każdy następny papież będzie dla nas korzystniejszy.

– Też tak uważam, ojcie – przyznał Luter.

– Musicie, musimy się przygotować. Mógłbyś być moim wnukiem, Martin – zauważyłem.

– To się dobrze składa, bo nie mam już dziadka. Pan, panie Sternberk, mógłby być moim ojcem.

– A ja ojca synem – uśmiechnął się do mnie Sternberk.

– No, tośmy się dobrali. Dla waszego, bo z pewnością już nie mojego,

bezpieczeństwa, zachowajmy tę rozmowę dla siebie, nie informując na razie nikogo o treści, miejscu i czasie, w którym się odbyła – zakończyłem dyskusję, która jednak, każdy z nas to wiedział, będzie musiała mieć swój ciąg dalszy. Ze mną lub może już beze mnie.

I GRUDNIA MDXI

Wieczność nie może, nawet nie powinna, ograniczać się do istoty Boga, gdyż Bóg nie żyje, lecz trwa w czasie, jak i poza nim. Czy wieczność jest tym samym, co nieskończoność? Nie, bo nieskończoność jest zaledwie boskim narzędziem osadzonym w wieczności. Nieskończoność nie ma początku ani końca. Wieczność w ogóle nie rozważa istnienia granic czasu, gdyż ze swej natury jest boskiego charakteru. Pytacie więc, czy czas w ogóle istnieje. Odpowiadam: bez wątplenia istnieje, o ile istnieje „ja”. Bez „ja”, bez osoby, nie można zauważyć czasu, który nie jest zjawiskiem samym w sobie, jak Bóg, lecz za każdym razem polem obserwacji osoby. Gdy jej nie ma, nie ma też wszystkiego, co realnie istnieje. Bóg nie stworzył czasu oddzielonego od reszty stworzenia, tak jak nie powołał wszystkiego wyłącznie dla siebie. Z samego nazwania rzeczy nie wynika jeszcze fakt ich istnienia. Czas i jego upływ to całkowicie dwie różne postacie. Czas jest strukturą ciągłą, bez końca i bez początku. Upływ czasu powoduje, że zaczynamy go dostrzegać. Upływ czasu to proces. Jak starzenie, jak przejście z domu na pole, jak wejście po schodach katedry. Tylko dlaczego ja to piszę? Mam osiemdziesiąt jeden lat, a ciągle czuję się i wyglądam młodo. Czyżby czas się dla mnie, z Bożą pomocą, zatrzymał? Zatrzymuję i ja pisanie, wierząc, że będzie mi jeszcze dane do niego wrócić.

IV SIERPANIA MDXV

List, jaki przyszedł wczoraj od Martina:

„Mój Ojciec. Nie pisałem od dawna, choć wciąż dostawałem wieści o Tobie. Czy to od pana Sternberka, czy od Twoich braci podróżujących z Moraw

do Niemiec. Wiem dzięki temu, że masz się dobrze i wcale nie doskwiera Ci wiek, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Nie stronię od zabaw, Ojcze, ani od alkoholu, ani od dziewczek i kobiet, co czyni moje zdrowie chwilami słabym. Jak jednak wiesz, przekonany jestem, że niezależnie od tego, jak będę żył, i tak nasz Pan sam zdecyduje o moim zbawieniu. Nie wydaje mi się jednak, abym czynił co złego, bo czy z samej radości obcowania może się zrodzić zło?

Pan Sternberk doniósł Ci, że od niedawna wykładam przedmioty biblijne, już jako profesor, jeden z młodszych, i w Wittenberdze, i w Erfurcie. Nie ustaję też w pozyskiwaniu dla naszej idei nowych wtajemniczonych. Czynię to, udzielając prywatnych wykładów i odczytów, jak wczorajszy, na którym mówiłem o konieczności reform i wskazałem przyczyny. Wspominałem, że nasz Kościół od dawna przegrywa walkę z władzą świecką, walkę o obsadzanie kościelnych stanowisk. Książęta i królowie, których się namnożyło w ostatnich latach ponad miarę (podobnie jak biskupów i kardynałów), uważają kościelne godności za własne. I nie pozwalają, by papież miał na nie jakikolwiek wpływ, jeśli idzie o mianowanie nowych dostojników. Często jest tak, że biskupem zostaje najmłodszy syn jakiegoś księcia. Znam przypadki dwunastoletnich biskupów. Wyobrażasz sobie, Ojcze? Jak dwunastoletnie dziecko, nawet młodzieniec, może wypasać liczną trzodę wiernych? Jak może to robić świadomie i odpowiedzialnie? Książęta i królowie usadawiają najmłodszych, bo dla nich zwyczajowo nie przewidziano praw do ojcowizny. Odbywa się to na drodze protekcji, a często także symonii. A jeszcze i stan rycerski niechętnie patrzy na hierarchów powiększających majątki, gdy oni, narażający często życie w obronie wiary, przymierają głodem. Pokój sprzed lat dwudziestu sprawił, że rycerski stan, a także ich zamożni patroni, nie mogą już mieczem poszerzać swoich majątków kosztem dóbr kościelnych.

Śmierć papieża Juliusza jeszcze ten chaos powiększa, bo jego następca Leon X nie posiada żadnych talentów, a już na pewno dyplomatycznych. Doprowadził do kłótni między dominikanami a franciszkanami o to, który zakon ma w całej Rzeszy udzielać odpustów i brać za to pieniądze.

Ostatecznie łupy przypadły Twoim braciom, Ojciec – dominikanom. Trzeba żałować Piusa, który rządził Stolicą Piotrową niecały miesiąc. Jak Ojciec wie, Francesco Piccolomini był nam bliski. Niestety, plany reform, które zaczął wprowadzać, przerwała nagła śmierć. Bardzo żałuję, bo z nim byłoby nam łatwiej. Mówi się i o tym, że ktoś mu pomógł zejść z doczesnego świata; czy tak było w istocie, jeden Bóg wie, choć wydaje się to bardzo prawdopodobne. Trucizna ducha, ale i trucizna zabijająca ciało od dawna bowiem opanowują Wzgórze Watykańskie. Podobno każdy biskup i kardynał, w obawie przed otruciem, chodzi już z własnym bukłaczkiem, a po przyjęciach zostają na stołach nieruszone jadła i napoje.

W tej sytuacji, gdy kler panoszy się dziś w całym cesarstwie, gdy możni stają się jeszcze bogatsi kosztem biedoty, nie powinno być wszak trudne zmobilizowanie mas, które poprą nasze idee. Choć nie wiem, i to też prawda, dokąd nas one zaprowadzą”

Moja odpowiedź dana Martinowi:

„Drogi Martinie. Odpowiadając na Twój kolejny list, pozwalam sobie na moje, starego człowieka, uwagi. Przyjmij je, proszę, a jeśli będą pomocne, tym lepiej. Jeśli nie – spalisz to pismo i zapomnisz, że śpieszyłem z radą. Zbliży się czas Twojego wystąpienia. Wyczuwam to, bo i do mnie, na moim pustkowiu, docierają informacje. Pan Sternberk mówił mi, że chcesz napisać dzieło, w którym wyłuszczysz wszystkie problemy i wezwiesz do zmian. Pamiętaj jednak, że gawiedź nie umie czytać. Swoje przemyślenia określ w postulatach, może być ich wiele, ale nie za wiele. Niech inni odczytują je na kazaniach, tam gdzie jest to możliwe. Pamiętaj jednak, by liczba owych tez była zawsze nieparzysta. Parzysta liczba sprawia wrażenie zakończenia dzieła, a nieparzysta sugeruje, że główny problem dopiero przed nami.

Jeśli mogę Ci też radzić, to także, by nie wywoływać z miejsca papieskiego gniewu. Niech będzie syty wilk, a owca niech też z tego wyjdzie cało. Głoś, że kto prawdzie odpustów papieskich zaprzecza, powinien być przeklęty. A zaraz dodawaj: ci, co są tacy pewni, że odpusty zapewnią

im życie wieczne, najprędzej wpadną w paszczę szatana. I że Bóg jest miłosierny także bez nabywania łask odpustowych.

Powinniśmy nauczać lud chrześcijański, że nie jest to zadaniem papieża, by przekonywał, że kupowanie odpustów ma się równać jakiemukolwiek uczynkowi miłosierdzia. Powinieneś spisać, a potem nauczać chrześcijan, że gdyby papież wiedział, jakich okrucieństw się ci dopuszczają, co odpusty sprzedają, to wolałby Kościół widzieć zamieniony w popioły aniżeli budować go kosztem skóry, ciała i kości swoich owieczek. Każdy pobożny chrześcijanin, prawdziwie żałujący za grzechy, ma i bez listu odpustowego zupełne odpuszczenie. Zaraz też dodawaj, by uspokoić Leona, iż nie należy gardzić jego osobistym odpustem, gdyż papież jest powołany, by tłumaczyć Boskie przebaczenie. Mimo to na papieskich odpustach nie powinniśmy budować naszego zbawienia, bo papież jest tylko i aż człowiekiem. Prawdziwym skarbem, i niech to mocno wybrzmi, jest Ewangelia i cała Biblia, zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu.

Wprowadź, proszę, Martinie do praktyk kościelnych nieco rozsądku, zadając proste pytania: dlaczego się odbywają egzekwie i z jakiej to przyczyny nie dozwala się cofnąć kościelnych zapisów poczynionych na msze za umarłych, skoro wszak za ludzi zbawionych nie trzeba się już modlić? Albo: Jak możemy mówić o Bożej doskonałości i pobożności papieża, jeśli bezbożnemu wolno za pieniądze wyzwalać pobożne dusze, a nie wolno lub nie chce się ich wyzwalać za darmo ze zwykłej miłości i dobroci dla bliźnich? I jeszcze to: Dlaczego ktoś tak bogaty jak papież nie buduje nowego Kościoła rzymskiego za swoje własne pieniądze, tylko za pieniądze ściągane niczym nienależne podatki od ludzi biednych i prostych? I niech dwa ostatnie zdania Twoich, Martinie, wystąpień będą takie, o to proszę: Należy przypominać każdemu chrześcijaninowi, że powinien iść za Chrystusem jako swoim Panem, przez krzyż, pokutę, śmierć, a czasem piekło. Bądźcie też pewni, że raczej cierpiący niż używający fałszywych słów o pokoju mogą wejść do Królestwa Bożego. Nie wahaj się głosić tych słów, Martinie. Bądź jednak ostrożny, gdyż swoim dziełem zmieniasz Kościół, a więc cały nasz świat. A świat, tym bardziej Kościół, nie lubi zmian radykalnych”

IV LISTOPADA MDXV

Kolejny, krótki tym razem, list od Martina nadszedł dziś rano:

„Ojcie. Biorę do serca wszystkie uwagi i rady Ojca. Zgadzam się z Ojcem, z każdą Jego myślą i w każdym słowie. Idąc tym samym, co Ojciec śladem, uzupełniamy treść naszych postulatów o kolejne, nie mniej, jak mniemam, ważne. Gdy będziemy gotowi, przedstawię Ojcu i panu Sternberkowi efekty naszych prac. Wiem, że i pan Sternberk, jeżdżąc po świecie, nie ustaje w wysiłkach dla naszej idei. Proszę o modlitwę za mnie”

V LUTEGO MDXVI

Porządkując dokumenty, trafiłem na stare, pożółkłe, zwinięte w rulon płótno. Portret Anny malowany, gdy miała szesnaście, a może osiemnaście lat. Teraz powinna mieć koło pięćdziesięciu. Czy nadal jest tak piękna? Kobiety krócej zachowują młodość niż mężczyźni. Dlaczego nikt jej nie odnalazł, mimo że bracia we wszystkich niemal konwentach mieli jej skopiowany wizerunek? Czyżby się ukrywała? Tyle lat? Jak to możliwe, pytam sam siebie, nie znajdując odpowiedzi.

Nie mam sobie nic do zarzucenia, nasze śledztwo odkryło winę Santich. Dlaczego myślę akurat o tej sprawie, choć moje doświadczenie liczy się w setki dochodzeń i procesów? Zwracałem uwagę Martinowi na potrzebę, a nawet konieczność rozwiązania kwestii żydowskiej. Nie mielibyśmy wtedy takich rodzin, które udają pobożnych chrześcijan, a pokątnie wyznają Torę i Talmud. Przez edykt królów kastylijskich panoszą się teraz po całej Europie. Dopóki siedzieli w Hiszpanii i na południu Francji nie mieliśmy z nimi kłopotu. Dlaczego, Boże, uczyniłeś swoim Synem Żyda? Czy w ogóle Żyd może być niewinny i niewinnie umrzeć na krzyżu? Czy nie było już lepszych na świecie, godniejszych? Czyniąc to, wydałeś go na mękę z rąk jego własnych braci. Niech będzie pochwalone imię Twoje, Panie. Wiedziałeś, że tak będzie. Dlaczego nie poczekałeś i nie uczyniłeś mnie swoim Synem? Czasy ostatnie zbliżają się, wiem to, gdyż widzę i rozumiem więcej od innych. Darowałeś mi tyle lat w zdrowiu i młodości, myślę

więc, że wiedziałeś, co robisz. Jeśli nie wypełniam misji, powiedz mi. Ześlij znak. A jeśli należycie wypełniam zadanie, zbaw mnie ode złego i zabierz do siebie. Amen.

IV LIPCA MDXVII

Dawno nie było tak gorącego lata. Nawet mury Sternberkowego zamku nie chronią przed upałem. Zboże wyschło, bo i deszcze nie padają od wiosny. Plony będą tego roku słabe, głód może zajrzeć w oczy co biedniejszym gospodarzom. Zwierzęta wychudły, nie mając soczystej trawy. Łąki wyglądają jak rżysko po żniwach, żółte i twarde. Przyszła do mnie na zamek delegacja ze wsi, żebym zbadał, czy aby jakaś zła siła nie spowodowała klęski. Dawniej i ja bym tak myślał, a teraz nie wiem. Stanęli w progu, nie mieli nawet śmiałości wejść do sieni. Trzej dużo ode mnie młodszy wieśniacy. W lnianych portkach, lnianych, białych koszulach, na bosaka. Padli na kolana jak w kościele. Biedni, nie wiedzieli, że moje królestwo jest już z innego świata. Kazałem im odejść i modlić się o deszcz.

Wieczorem, przy kolacji, pan Sternberk prosił, bym był gotów do wyjazdu. Wiedziałem, że ten dzień nastąpi. Raduję się i boję jednocześnie.

II PAŹDZIERNIKA MDXVII

Dziś po obiedzie opuszczam zamek, żegnam Morawy, które w ostatnich latach stały się moim domem. Wyjeżdżam razem z panem Sternberkiem. Mamy przygotowany wikt i cztery konie do powozu ze stangretem. Daleka droga przed nami. Pan Sternberk bardziej się obawia trudów podróży, niż ja, osiemdziesięciosiedmioletni starzec. Odwiedzimy miasta niemieckie, a najważniejsze mamy w Wittenberdze, gdzie czeka już na nas Martin, abyśmy razem zdecydowali, co, kiedy i jak czynić. Nastał bowiem czas działania. Miej nas, Panie, w opiece, gdyż nie wiemy, co będzie.

Jeśli zdrowie i siły dopiszą, odwiedzę także rodzinne strony, a potem klasztor Montluel położony w lasach nieopodal Lugdunum, czyli jak to się teraz mówi: Lyonu. W Montluel czekają na mnie jego słynne księgi.

Nie wiem, czy zajęcia i trudy podróży pozwolą mi na pisanie. Jeśli nie, spiszę wszystko po powrocie. Jeśli wrócę.

XIV GRUDNIA MDXVII O ŚWICIE

Wiem, że mój ziemski czas dobiega końca. Nie będę już więcej rozpatrywał spraw. Poproszony o to przez moich braci, przekonany o słuszności zarzutów, a także dla siebie samego, raz ostatni spełniłem swą posługę. Z Boskiego przywileju, bo nie kto inny, tylko On mnie tu przyprowadził, znalazłem się opodal Lyonu, w konwencie benedyktyńskim. Nie mogłem więc odmówić przyjaciółom moim. Gdy teraz zanoszę do Ciebie ten psalm pokutny. *Miserere*. Pokutuję ja, grzeszny. Nie powinienem, okazałem się słaby i mściwy. Odwróć oblicze swe od moich grzechów i wymaż wszystkie moje przewiny! Stwórz, Boże, we mnie serce czyste i odnów w mojej piersi ducha niezwycięzonego! Światłości Niezwyciężona. Nie odrzucaj mnie od swego oblicza i nie odbieraj mi świętego ducha swego! Przywróć mi radość z Twojego zbawienia i wzmocnij mnie duchem ochoczym! Chcę ludzi nieprawych nauczyć dróg Twoich. I nawrócą się do Ciebie grzesznicy. Od krwi uwolnij mnie, Boże, mój Zbawco: niech mój język sławi Twoją sprawiedliwość! Otwórz moje wargi, Panie, a usta moje będą głosić Twoją chwałę. Ty się bowiem nie radujesz ofiarą i nie chcesz całopaleń, choćbym je dawał. Moją ofiarą, Boże, nie gardź. Nie pogardzaj, Boże, sercem pokornym i skruszonym. Panie, okaż Syjonowi łaskę w Twej dobroci: odbuduj mury Jeruzalem! Wtedy będą Ci się podobać prawe ofiary, dary i całopalenia, wtedy będą składać cielce na Twoim ołtarzu.

Piszę te słowa, bardzo już zmęczony. Niech mój ostatni proces zostanie w pamięci. Jako *votum* dla miasta Lyon i ku przestrodze dla innych miast, miasteczek i wsi. Dokończyłem dzieło, przypadki, jak widać, się zdarzają, niezależnie od tego, czy ich chcemy, czy nie.

Którzy zostaniecie, gdy mnie już nie będzie, pamiętajcie. W tej księdze spisałem całą wiedzę, jaką mi przyszło posiąść w długich latach, gdy starałem się używać siebie samego jako narzędzia, nigdy zaś środka

wiodącego do celu. Nawet jeśli moje starania ci, co przyjdą po mnie, ocenią jako zbyt intensywne, a czasem okrutne, chciałbym tym wszystkim braciom i siostram powiedzieć, że niczego nie żałuję. Czym są te, nawet tysiące ofiar, wobec ratunku dla reszty. Tam, gdzie zło toczy swą odwieczną walkę z dobrem, metodą konieczną jest upór i przekonanie o słuszności raz wybranej drogi. Ponieważ dopiero u schyłku życia, w osiemdziesiątym siódmym jego rocznym obrocie, przyszło mi zrozumieć swoją powinność, jako człowiek, ale i doktor praw, przekazuję to wyznanie. Doświadczyłem objawienia. Lecz nie ja będę patrzył, jak się wypełnia. Mój los kończy pokuta i strach. Albowiem to, co się stanie, gdy mnie już nie będzie, przeraża mnie, choć przecież widziałem samo zło w jego najczystszej postaci. Być może nie potrafiłem mu się przeciwstawić. Ale czy mogłem w istocie? Chciałem mu zapobiec, a okazałem się zaledwie ofiarą. Nie przemawia przede mną żal, a niepokój o pokolenia, które przyjdą po nas. Liczone panem z Roccasecca. O ich słabość i niewiedzę. Miasto, do którego na końcu przybył On, zapłonie i zgaśnie razem z Nią. Stanie się światłość jak na początku. Na naszej ziemi, która będzie jednością, ale będą i inne, lecz zło wyjdzie stąd. Gdy Słońce zatrzyma się o zachodzie i ruszy w przeciwnym kierunku. Wtedy się wszystko dopełni w tym mieście, które sądziłem na górze, i w tym samym miejscu okaże się, kto jest panem i kto komu służy. Ktoś będzie świadkiem i ofiarą, by świat nie pogrążył się w chaosie. Liczę już tylko na niego. Urodziłem się za wcześnie. Żyłem za długo. Umrę w grzechu. H.K. Institor. Lugdunum, xiv grudnia o świcie ad mđxvii. Światło nieskończoności. Amen



Rozdział

XI

*Gdybym chciał przywołać wszystko, co wydarzyło się w tym mieście,
powstałaby obszerna księga.
Wielu było tu ślepych, kulawych i uschniętych.
Wszyscy, w obliczu sądu, składali zeznania,
przekonując, iż zostali z czarowaniem.
Wynika stąd, że ta ziemia jest pożywieniem dla szatana.
„Malleus maleficarum”*

13 GRUDNIA 2017

Aie pamiętał, o której zasnął. Obudził się nagle, siedząc w fotelu. Kartki cały czas leżały mu na kolanach.

Dzwonił telefon, kilka sygnałów i cisza. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to komórkowy. Sięgnął. Wyłączony. Nie ładował baterii od przyjazdu do Lyonu, a przecież zanim usnął, długo rozmawiał z Anną. Znowu dzwonek, drugi, trzeci. Podniósł słuchawkę hotelowego telefonu.

– Dzień dobry, panie Gutman, to znowu ja – recepcjonista, jak zwykle, sprawiał wrażenie zakłopotanego – przepraszam, że pana ciągle budzę, ale jest tu pani, która, jak by to powiedzieć, koniecznie chce do pana iść. Mam wpuścić czy...?

– Nie, nie, już schodzę – Jan nie dał dokończyć recepcjoniście.

Szybko założył spodnie, naciągnął sweter i zbiegł po schodach, uspokojony, że przynajmniej Julii nic się nie stało. Bo to ona, na pewno ona, miał nadzieję, że chociaż tym razem nie ucieknie. Może coś się wyjaśni. Może już wie o pani Becu, Jeanie i przeorze.

Pokonując ostatnie stopnie, nie zobaczył wcale Julii, tylko Annę. Stała odwrócona tyłem przy recepcji. W tej swojej śmiesznej, dwa, trzy numery za dużej, zielonej, wełnianej czapce. Spod niej wystawały długie, jasne włosy. Anna przeważnie upinała z nich dwa warkocze, ale teraz włosy luźno spadały na ramiona, a właściwie na jej ulubiony, zamszowy, brązowy płaszcz do kolan. Zielony szalik otulał jej szyję. Jeszcze nie widziała Jana. Zawołał: – Anna.

Odwróciła się. Zobaczył jej oczy, nieco zagubione. Przez chwilę pomyślał, że kolor oczu dobrała do szalika. Duże, zielone, migdałowe oczy patrzyły na niego z czułością, którą bardzo dobrze znał. Wyglądała jak dziecko. Jej metr sześćdziesiąt wzrostu, szczupłość, o której sama mówiła: „chudość, za duża ta chudość, trzeba zgrubnąć, bo ci się przestanę podobać, ale jakoś nie mogę, chociaż czasem jem jak wariatka, no nie?” Twarz właściwie dziecięca. Każdy, kto się dowiadywał, że Anna jest już po trzydziestce, uważał to za kiepski dowcip. Ona wyglądała na osiemnaście lat, a w dodatku, odkąd pamiętał, tak samo.

Stali naprzeciw siebie. W końcu Anna odezwała się pierwsza:

– No co tak patrzysz? Jestem. Dobrze? – zaczęła rozwiązywać szalik, zdjęła czapkę.

– Jak to zrobiłaś? Parę godzin temu rozmawialiśmy przez telefon – zauważył, że portier lustruje go wzrokiem, przychylnie lustruje i dyskretnie puszcza oko, jakby chciał powiedzieć: no no, każdego dnia inna, gratuluję.

– Nie parę, tylko dziewięć godzin temu. Normalnie to zrobiłam – Anna zdjęła też płaszcz. – Pojechałam rano, o trzeciej trzydzieści, na lotnisko, wsiadłam w samolot o czwartej pięćdziesiąt i przyleciałam. A ty co tak stoisz? Może byśmy poszli do pokoju, co?

– Tak, jasne, chodźmy – Jan, zanim poszli do windy, jedną ręką odebrał od niej płaszcz, czapkę i szalik, a drugą przygarnął do siebie, podniósł i pocałował w policzek. – Dobrze, że jesteś – powiedział to jakoś tak, że Annie od razu, mimo zmęczenia, chłodu i nieprzespanej nocy, zrobiło się ciepło. Wjechali na trzecie piętro, Jan zamówił śniadanie do pokoju. Prawie natychmiast kelner przyniósł bułki, mleko, dżem i kawę. Kiedy

Anna wyszła spod prysznic, Jan spał, w poprzek szerokiego łóżka, z bułką w ręce. Odłożyła bułkę na talerz, położyła się obok niego i też natychmiast zasnęła.

Kiedy się obudziła, Jan jeszcze spał. Dochodziła pierwsza po południu. Szybko założyła spodnie, bluzkę. Zaczęła czesać włosy i delikatnie budzić Jana. Pomyślała, że musi być naprawdę zmęczony tymi trzema dniami, bo zwykle śpi jak zając. Wystarczy szmer, dotknięcie, zaraz się budzi. Pogłaskała go po głowie, a on otworzył oczy i usiadł na brzegu łóżka.

– Która godzina? – spytał, przecierając oczy.

– Zaraz będzie pierwsza, trzeba się zbierać – podała mu filiżankę z kawą.

– Musimy sprawdzić, jak tam dojechać.

– Kochanie, ja już wszystko sprawdziłam, wczoraj – sięgnęła do kieszeni płaszcza, wyciągając kartkę. – Musimy dojść do przystanku metra Bellecour, to parę minut stąd. Wsiadamy, jedziemy do przystanku Monplaisir Lumiere. Pięć przystanków. W sumie, jeśli zaraz wyjdziemy, powinniśmy tam być za pół godziny, najdalej czterdzieści minut.

– Niesamowita jesteś – powiedział, przegryzając bułkę z dżemem.

– Wiem – i w tym „wiem” nie było cienia kokieterii, była cała prawda o Annie. – A teraz zacznij mi wszystko opowiadać w szczegółach. Mamy prawie godzinę do wykładu Deskura.

Z metra wyszli na ulicę Alberta Thomasa. Rozejrzeli się, choć lepiej byłoby powiedzieć, że to Anna się rozejrzała i palcem wskazała drogę. Przeszli na drugą stronę ulicy, skąd było już widać okazałą, secesyjną, dwupiętrową willę – muzeum braci Lumiere. Zielona strzałka z napisem *Conférence* kierowała do ogrodu za domem, a dokładnie do parterowego pawilonu, w którym urządzono salę projekcyjną z widownią dla mniej więcej dwustu osób. Do wykładu zostało piętnaście minut. Coraz więcej osób mijało willę, zatrzymując się przed pawilonem. Niektórzy palili papierosy, inni tylko czekali na dworze, nie chcąc wchodzić do coraz bardziej wypełnionego ludźmi holu.

To był właściwie pierwszy dzień bez deszczu, od kiedy Jan był w Lyonie. Nawet słońce wychodziło od czasu do czasu. Temperatura wyraźnie

podskoczyła. Termometr wiszący w cieniu, na ścianie pawilonu, pokazywał dwanaście stopni.

Przestał liczyć dni, dlatego teraz trudno mu było sobie przypomnieć, czy spędził w tym mieście dwa, trzy dni, może tydzień. Nie, tydzień na pewno nie.

Przyglądał się grupce młodych, znacznie od niego młodszych ludzi siedzących na zwróconych przodem do siebie ławkach. Trzy dziewczyny, dwóch chłopaków. Może pierwszy, drugi rok studiów. Jeśli to w ogóle byli studenci. Jan nadstawił ucha, wyłowił kilka słów. Mówili o święcie, pewnie o Święcie Świąteł. I że przed jedenastą mają się gdzieś spotkać. Jedna z dziewcząt powiedziała, że nie wie, w co się ubrać, na co jej kolega pokręcił z dezaprobatą głową i poradził, żeby założyła szlafrok. „Szlafrok albo podomkę z kapturem” – roześmiał się, a razem z nim reszta. Nagle cała piątka wstała i z daleka zaczęła się komuś kłaniać, machając rękami na powitanie.

– Zobacz – Anna złapała za ramię Jana – ten człowiek, w brązowej marynarce, ma długie, siwe włosy, rozmawia z młodymi ludźmi, widzisz? – spytała.

– Tak.

– To jest Deskur, widziałam jego zdjęcia w Internecie.

– Inaczej go sobie wyobrażałem.

– Jak?

– Inaczej. Chyba jako starca z teczką i laseczką z binoklem w oku.

– Nie przesadzaj. On ma dopiero siedemdziesiąt lat. Wchodzimy – zarządziła Anna.

Usadowili się w trzecim rzędzie. Sala szybko zaczęła się wypełniać, tak że ci, którzy wchodzili jako ostatni, musieli już szukać miejsc siedzących na parapetach przy oknach, wychodzących na ogród.

Deskur przecisnął się wąskim przejściem między widownią a ścianą, stanął przy biurku, tyłem do ekranu, na którym zwykle wyświetlano filmy. Zdjął zegarek, położył na skraju biurka, rozejrzał się po widowni. Zdjął marynarkę, zawiesił ją na oparciu krzesła. Brązowy golf, brązowe, welwetowe spodnie

i zamszowe pantofle zdradzały lekką niedbałość o ubiór, ale jednak bardzo dobrze do siebie pasowały.

– Dzień dobry, panie i panowie – zaczął. – Cieszę się, że tyłu moich studentów bierze udział w naszym spotkaniu – w tym momencie kilkanaście, a może kilkadziesiąt osób podniosło ręce, jakby chcieli się odróżnić od reszty słuchaczy – ale jeszcze bardziej cieszy to, że wielu z państwa widzę pierwszy raz. Na poprzednim wykładzie, jak być może część z was pamięta, omawialiśmy kształtowanie się wczesnego chrześcijaństwa. Dzisiejszy wykład, w jego pierwszej części poświęcimy szczegółowemu omówieniu jednej z religii, jak się wydaje, najistotniejszej, dualistycznej religii założonej przez irańskiego proroka Maniego, żyjącego w trzecim wieku po Chrystusie. Prawdopodobna data urodzin 216, prawdopodobna data śmierci 277 rok. W drugiej części wykładu spróbuję państwu przedstawić związki manicheizmu i mitraizmu z chrześcijaństwem. Tytułem wstępu przypomnijmy, że dopiero z górą pół wieku po Manim chrześcijaństwo zostaje uznane za religię państwową w mocno już podupadłym Rzymie, a więc także na terenach, na których przyszło nam żyć, czyli w Lyonie, dawnej prowincji rzymskiej zwanej wówczas Lugdunum – nazwa celtycko-łacińska. Po zdobyciu Lugdunum przez Rzymian, w czterdziestym trzecim roku przed Chrystusem, miasto stało się głównym ośrodkiem administracji, romanizacji i centrum kultu na terenie Galii. W dwunastym roku naszej ery zbudowano tu pierwsze ołtarze Augusta i bogini Romy. Dużą rolę w rozwoju miasta odegrali rzymscy żołnierze, którzy po zakończeniu swej służby wojskowej osiedlali się w Lugdunum, sprowadzając na te tereny kult Mitry, a także mitraistyczne sanktuaria, które możemy jeszcze podziwiać w wielu miejscach w Europie, niestety już nie w Lyonie.

Cała krypta mitraistyczna znajduje się na przykład pod kościołem św. Klemensa w Rzymie. Ołtarz chrześcijański postawiono niemalże dokładnie nad pogańskim – pogańskim z punktu widzenia chrześcijan, rzecz jasna. Niektórzy moi koledzy po fachu, szczególnie zza oceanu, uważają, choć jednoznacznych dowodów na to nie ma, że stara świątynia watykańska, na miejscu której pod koniec piętnastego wieku zaczęto stawiać bazylikę świętego Piotra, powstała tam, gdzie wcześniej modlono się do Mitry.

Ale najwięcej mitreów, bo aż czterdzieści, wykryto w Niemczech – kilka w Konstancji, Weingarten i Kolonii, kilkanaście w najbliższych okolicach Frankfurtu nad Menem, tu bowiem oraz w prowincjach naddunajskich znajdowały się najsilniejsze bastiony kultu Mitry. Wygaśnięcie mitraizmu związane było jednak z prześladowaniami jego wyznawców przez kler chrześcijański. Palono masowo woluminy klasyków. Biskup Cyryl podburzył wiernych do spalenia Biblioteki Aleksandryjskiej i ponad sto pięćdziesiąt tysięcy niepowtarzalnych dzieł bezpowrotnie spłonęło, także tych dotyczących najważniejszego boga cesarów – Mitry. Niszczenie ksiąg przez hitlerowców to przy chrześcijańskich piromanach niewinne igraszki. Wszak istniały już maszyny drukarskie i każdą książkę można było łatwo odwzorować. Niestety, za czasów Cyryla i tak zwanych ojców Kościoła niczego jeszcze odwzorować się nie dało. Ponieśliśmy nieodwracalną, katastrofalną stratę, otrzymując w zamian misteria ściągnięte w całości z innej wiary, ale już pod nazwą chrześcijaństwa. Otrzymaliśmy też coś jeszcze, co stanowiło główny dorobek chrześcijaństwa. Mianowicie stosy, inkwizycję, ciemnotę, zabobon i wyprawy krzyżowe. To była krótka dygresja, teraz wracam do głównego wątku.

Deskur usiadł na biurku. Na chwilę przerwał, jakby zastanawiając się nad dalszym tokiem wykładu.

– Mani był pesymistą. I tak właśnie, pesymistycznie, oceniał historię człowieka i boską ideę – mówił dalej. – Trzymajmy się tej tezy. Pozwoli nam zrozumieć fundamentalną dla chrześcijaństwa zasadę walki dobra ze złem, w której zło ostatecznie zwycięża. Mani, by odzyskać Boga dla człowieka, proponuje unicestwienie czasu. Niejako poza nim buduje swoją własną mitologię. Jest gnostykiem czerpiącym w zasadzie z każdej znanej sobie religii. Pamiętajmy jednak, że chrześcijaństwo w trzecim wieku po Jezusie nie jest jeszcze w żadnej mierze ukształtowaną formalnie religią. Cały czas pozostaje sektą, usilnie zwalczaną, by wkrótce, w glorii chwały, wejść na salony władców. Paradoksalnie to właśnie Mani, patron duchowy świętego Augustyna, przygotowuje drogę chwały

Nazarejczykowi. Punktem wyjścia jest dla Maniego świadomość nędzy i grzeszności aktualnej sytuacji, opisywanej jako mieszanina ducha i materii, światłości i mroku, utożsamianych z dobrem i złem. Człowiek uświadamia sobie wyraźnie, że takie pomieszanie pojęć jest równoznaczne z upadkiem, czymś nienormalnym, bo zakłada wcześniejszą, początkową doskonałość, z jakiej wszyscy osunęliśmy się w dół. Należy wobec tego, dla zbawienia, przełamać sytuację aktualną, wyłączyć czas poza nawias zdarzeń i tym sposobem odzyskać utraconą, pierwotną doskonałość. Mit gnostycki składa się u Maniego z trzech etapów. W pierwszym mamy podział na dwie przeciwstawne zasady, w drugim następuje upadek, wreszcie w trzecim – odbudowanie pierwotnej zasady.

Najbardziej znaną i podstawową cechą manicheizmu jest doktryna dualistyczna o wyraźnie irańskim pochodzeniu. Zgodnie z nią współistnieją ze sobą dwie zasady – Bóg i Materia. Pierwsza z nich jest źródłem wszelkich sił dobra, druga – sił szkodliwych. Substancje te nazywają się także Światłością i Ciemnością, Prawdą i Kłamstwem, Dobrem i Złem. W istocie jest to ta sama opozycja, która zachodzi między Ahura Mazdą a Arymanem, mówiliśmy o tym tydzień temu, niektórzy z was pamiętają. Oba byty są bliźniakami zrodzonymi z Zerwana. Aryman rodzi się zniekształcony, czarny i cuchnący, jest bowiem płodem zwątpienia Zerwana, który rozpaczał, że nie będzie już miał potomstwa. Będąc pierworodnym, Aryman dostał władztwo nad połową świata. Drugi z bliźniaków, Ahura Mazda, jasny, pachnący i doskonały, otrzymuje panowanie nad drugą połową. Aryman staje się drugorzędnym bohaterem boskiego dramatu. Jest on zwykłym księciem, podczas gdy jego brat królem. Nadto twierdzi się, a priori, że już z góry zadekretowany jest końcowy triumf dobra. Oczywiście niesłusznie, bo ta naiwna dekretacja ku pokrzepieniu ma się nijak do realnej rzeczywistości. Wątki te przeszły do manicheizmu, który jednak, tak jak chrześcijaństwo, stanowczo odrzuca boskie pochodzenie zła i jego bliźniactwo z dobrem. Dobro, byt boski, to w istocie światło tożsame z królestwem światłości, uosabianym przez Słońce, będące w gruncie rzeczy najwyższym bóstwem, posiadającym nawet cechy antropomorficzne, ludzkie. Słońce staje w opozycji do mroku i ciemności. Czy można sobie wyobrazić, wyobraźnią współczesną

Maniemu, doskonalszy byt niż Słońce? Można sobie oczywiście wyobrazić jego brak, ale tylko jako deficyt pierwiastka boskiego. Bóg Słońce rodzi się każdego dnia i każdej nocy umiera po manichejskiej walce o przetrwanie światłości.

Mamy tu, moi drodzy, wzorcową dualność, wyobrażoną w doskonałej opozycji dwóch światów. Pragnienie ciepła i bezpieczeństwa zostaje zagrożone w chwili, gdy Bóg umiera, by się odrodzić, choć nie wiemy, czy odrodzi się na pewno. Z doświadczenia wynika, że tak będzie, ale nasze doświadczenie może być przecież iluzją prawdy, tym bardziej, że siły ciemności nie próżnują. Pragną rozkoszy tak samo jak siły światłości. Przełamują granicę, wdzierają się w nasz błogostan, rujnując nadzieję. Dla Maniego jest to właśnie punkt wyjścia do opisanie mitu walki dobra za złem. Ojciec światłości musi wreszcie porzucić stan spoczynku, lecz dobro samo w sobie nie może używać metod walki zaproponowanej przez immanentne zło. Musi powołać do życia byt pośredni, nazywany matką życia. Matka rodzi, czy też lepiej powiedzieć: stwarza pierwszego człowieka. Pierwszy człowiek schodzi do otchłani, dając się otoczyć ciemnościom, lecz nie po to, by zginąć. On przynosi światło, jego pierwiastki zakiełkują, zrodzą dobro. W tej piekielnej otchłani obcuje z zastępami diabłów, wzywając ojca światłości, czyli boga utożsamianego ze Słońcem. Mit powtórzony w chrześcijaństwie. Augustyn odciął się od Maniego, ale nie do końca, jak się okazuje. Pierwszy człowiek najpierw sam dokonuje aktu samozbawienia, a potem, w procesie utożsamienia ze swoim ojcem, dokonuje aktu ekspiacji, zbawiając altruistycznie pozostałych, kimkolwiek oni są. Rozumiecie ten skomplikowany system zależności? Nic się nie może dziać normalnie. Każdemu działaniu musi towarzyszyć jakaś skomplikowana, piętrowa gra. Jakby wierność zasadom tworzoną przez byt naczelny zawsze musiała się objawiać w wyszukanych i niepraktycznych powinnościach. Popatrzcie, a przecież ich praojcom wierzącym w święte korzenie, drzewa, krokodyla czy panterę, do głowy by nie przyszło, żeby sobie utrudniać akt bożego zbawienia. Im stawaliśmy się dojrzałsi, tym bardziej, w jakimś masochistycznym szaleństwie, utrudnialiśmy sobie dostęp do nieba.

– Dobrze – Deskur zrobił długą przerwę, wydawało się, że stracił wątek,

ale on tylko dłużej się zastanawiał, próbując znaleźć właściwe słowo. – Dramat trwa dalej. Tym bardziej okrutny, że pierwszy człowiek, jak się wydaje, opuszczony przez byt naczelny, przenosi swoje prawa na Mitrę. Dopiero teraz, po micie założycielskim, pojawia się świat jako scena starcia dobra i zła. Jego stwórcą jest właśnie bóg Mitra, zwany w greckich źródłach demiurgiem. Ten pośredni bożek, konstruktor świata widzialnego, zaczyna budować świat. Zabija Archontów, obdziera ich ze skóry i sporządza z niej niebo. Z ich kości robi góry, z ciała i odchodów – ziemię. Następnie Mitra oczyszcza cząstki światła, jeszcze niezepsute złą materią, i lepi z tego gwiazdy. W tym momencie na scenę wchodzi Adam. Pierwszy człowiek ma już więc swoje imię. Nie jest jeszcze świadom swego stanu, nie potrafi rozeznąć, kim właściwie jest. Czy nosi w sobie cząsteczki światłości, czy cząsteczki mroku. Pomoże mu zbawiciel, Jezus lub Mitra. Możemy sobie wybrać dowolnie jego imię: Bóg Ojciec, Ormuzd, budzi Adama z pierwotnego uśpienia. Na tym etapie kreacji nie ma jeszcze mowy o kobiecie, która dopiero potem dostaje swoje imię – Ewa. Adam zaczyna siebie poznawać. Kreator przekonuje go, że jego ciało ma naturę diabelską. Manichejski motyw zbawienia staje się więc motywem wyzwolenia duszy z jej uwikłania w materialną, demoniczną strukturę cielesną.

Według mitologii manichejskiej, przemieszanej prawdopodobnie z rytmem chrześcijańskim, wkrótce pojawi się fałszywy Mitra lub równie dobrze może nim być fałszywy Jezus cwałujący na byku, który się stanie głównym bohaterem wielkiej wojny, a jej zwycięzcą będzie nowy Kościół, to znaczy wspólnota manichejska, oczekująca sądu ostatecznego. Zgromadzone przed boskim tronem dusze będą podzielone na dobre i złe. Przez krótki czas nad światem będzie panował Jezus, po czym wraz z wybranymi i bóstwami opiekuńczymi opuści doczesny świat, udając się do królestwa światłości. Potępieńcy, demony, świat materii i ciemności, zbite w jedną masę, będą natomiast strącone do grobu, który będzie przywalony i zapieczętowany czymś w rodzaju głazu – pamiętamy gład skrywający ciało Jezusa po ukrzyżowaniu. Zanim jednak dojdzie do apokalipsy, Mitra czy Jezus będzie odbierał uwielbienie jako wspomóżyciel zbawienia, a jego, położone zazwyczaj w grotach lub podziemiach, sanktuaria będą nawiedzali

wierni nowej religii opartej na micie podobnym do mitu założycielskiego chrześcijaństwa, które, gdy stanie się już religią panującą, przejmie po Mitrze nie tylko wiele z manichejskiej demonologii, ale także same świątynie, zarządzając w nich własne kościoły. Wiele z tych kościołów funkcjonuje zresztą do dziś.

Wątki demoniczne powracają w astrologii manichejskiej, będącej pod przemożnym wpływem astralnej religii Sabejczyków. Słońce i Księżyc są tu astrologicznie pozytywne, stanowiąc istotny element historiografii zbawczej. Natomiast planety i znaki zodiaku, uważane za złe, negatywne, utożsamia się z demonami. Bliźnięta i Łucznik panują nad światem dymu. Baran i Lew – nad ogniem. Byk, Wodnik i Waga sprawują władzę nad wiatrem. Rak, Panna i Ryby są władcami wody, Koziorożec zaś i Skorpion – ciemności. Dwanaście znaków zodiaku. Dwanaście, przyjrzyjmy się tej dwunastce uważnie – liczba od zarania dziejów magiczna, nawiasem mówiąc, dwanaście gwiazd na fladze Unii Europejskiej to jak dwanaście gwiazd w koronie świętej Niewiasty. Niewiasta obleczone w Słońce ma pod nogami Księżyc, a nad głową dwanaście gwiazd według Apokalipsy świętego Jana. Jak dwanaście prac Herkulesa. Jak dwanaście plemion Izraela. Jak dwunastu apostołów. Jak dwanaście koszy chleba, rozmnożonego przez Jezusa. Jak dwanaście bram Jerozolimy. Jak dwanaście tablic, na których Sumerowie spisali swój epos o Gilgameszu. Jak dwanaście miesięcy w roku, dwanaście godzin dnia i dwanaście nocy. Nie umiemy się, jak widać, wyzbyć magii w naszym myśleniu. W dodatku flagę Unii zatwierdzono oficjalnie ósmego grudnia 1955 roku, w dniu święta Niepokalanej Marii Panny. Pierwszy raz, prawie rok później, zawieszono ją na katedrze w Strasburgu. W ten sposób Słońce, ostatecznie i nieodwołalnie, zostało uznane za naczelnego boga naszej cywilizacji. Dodajmy, cywilizacji, która się chyli ku upadkowi i tylko zrozumienie naszego wspólnego mitu założycielskiego może nas uratować. Ale to, przynajmniej na razie, nie jest przedmiotem wykładu. Wiemy już, że liczbę słońc ogranicza nieskończoność. A nieskończoności nie rozumiemy, tak jak nie pojmujemy istoty Boga.

Cała ta astrologiczna panorama wchodzi w zakres szerszej wizji kosmologicznej, powtarzającej motyw walki między dwoma manichejskimi

królestwami jako konfliktu przeciwstawnych żywiołów kosmicznych. Ale na temat kosmologii w religiach pierwszych wieków po Chrystusie będziemy mówili po przerwie. Jeśli macie jakieś pytania, to bardzo proszę.

Milczenie trwało długo. Na tyle, że profesor Deskur zaczął zbierać notatki ze stołu i wytarł tablicę, na której zapisywał co ważniejsze nazwy. Jeszcze raz spojrzął na słuchaczy i zamierzał opuścić salę, gdy Jan wstał.

– Panie profesorze...

– Tak? Słucham pana – zainteresował się Deskur.

– Motyw walki żywiołów. Mniej więcej o tym samym pisał święty Augustyn.

– W rzeczy samej – zbliżył się do miejsca zajmowanego przez Jana i Annę. – Spróbuję zacytować z pamięci: „Manichejczycy przypisują ludowi ciemności pięć żywiołów, które się zwą Dym, Ciemność, Ogień, Woda i Wiatr. Dla zwalczenia tych pięciu złych żywiołów posłanych zostało, z królestwa i substancji Boga, pięć innych żywiołów”.

– No właśnie. Jak należy to rozumieć?

– Myślę, że wprost, jako relacja z mitu znanego Augustynowi. Klasyczny motyw walki przeciwieństw. Obecny w długiej historii naszego gatunku.

– A który, według pana, mit założycielski: chrześcijaństwa czy manicheizmu, wynika z siebie, a może wynikają z siebie nawzajem?

– Na to pytanie – Deskur przerwał i uważnie przyjrzał się Janowi – mogę jedynie odpowiedzieć anegdota. Paul Dirac, znany państwu zapewne wybitny matematyk i fizyk – tu zwrócił się do całej sali – żyjący w dwudziestym wieku, miał kiedyś wykład na Uniwersytecie Cambridge. Po wykładzie Dirac jak zwykle zwrócił się do słuchaczy, czy są jakieś pytania. Na to wstał jeden z młodych fizyków i mówi mniej więcej tak: nie rozumiem, w jaki sposób równanie zapisane na tablicy wynika z poprzedniego równania. Dirac odpowiedział krótko: to nie jest pytanie, lecz stwierdzenie faktu, czy są pytania? Więc i ja pytam: czy są jeszcze jakieś pytania?

– Jeszcze jedno – Jan spojrzął na Annę, potem na Deskura – jak wyglądała obrzędowość manichejska i jakie znaczenie miał dla tej obrzędowości kult

Mitry?

Deskur spojrział na Jana z zaciekawieniem.

– Proszę pana, prawdopodobnie takie samo, jak dla pierwotnego chrześcijaństwa – zaczął mówić. – Mitraizm, kult solarnego boga Mitry, był kultem misteryjnym znanym początkowo w Azji Przedniej, później rozprzestrzenił się na całe Cesarstwo Rzymskie. Do połowy dwudziestego wieku zakładano, że postać Mitry jest tożsama z perskim bogiem, herosem noszącym to samo imię, czy w każdym razie można ją od niego wywodzić. Dziś nie uznaje się tego za pewnik, bo rozpowszechniony na terenach Azji Mniejszej i Cesarstwa Rzymskiego kult wykazuje – zarówno jeśli chodzi o mitologię, jak i praktykę religijną – wyraźne różnice w porównaniu z kultem indyjsko-perskim. Jest zatem w ogóle kwestią dyskusyjną, czy kult Mitry wywodzi się z zaratusztrianizmu, czy też powstał w sposób autonomiczny. O ile postać boga Mitry jest poświadczona na terenach Azji Mniejszej od XIV wieku przed Chrystusem, o tyle wzmianka o mitraizmie na ziemiach rzymskich pojawia się dopiero w pismach rzymskiego poety Stacjusza. Najstarsze mitrea – miejsca sprawowania kultu, przynajmniej te nam znane – pochodzą z początku drugiego wieku, najnowsze z połowy piątego wieku po Chrystusie. Punkt szczytowy mitraizm osiągnął pod koniec drugiego wieku i w trzecim wieku po Chrystusie, gdy jego wyznawcą został cesarz Kommodus panujący w latach 180–192. Jako *Sol Invictus* – Słońce Niezwyciężone, Mitra czczony był przede wszystkim od czasów Aureliana przez cesarzy rzymskich, wśród których znalazł się także młody Konstantyn Pierwszy, zanim nie przystąpił do chrześcijaństwa. Wraz z rozkwitem chrześcijaństwa na ziemiach Cesarstwa Rzymskiego mitraizm z wolna zanikał, by popaść w końcu w całkowite zapomnienie. O kulcie tym przypomniano sobie dopiero w czasach nowożytnych, w związku ze znaleziskami archeologicznymi. Podsumowując: pogaństwo, reprezentowane przez kult Mitry, zostało schryścianizowane. Tę operację w 392 roku zatwierdził cesarz Teodozjusz. Miejsca kultu pozostały te same, zmieniło się tylko imię Boga i rodzącej się dopiero nowej tradycji religijnej. Pogańscy kapłani stali się kapłanami chrześcijańskimi, a praktyki religijne, te same lub prawie te same,

dostały nazwę: chrześcijańskie. Mitra zamienił się w Chrystusa. Chyba nie mamy co do tego wątpliwości.

Jeśli chodzi o źródła materialne związane z Mitrą, nie istnieją właściwie żadne. Tak jak nie istnieją żadne materialne dowody na istnienie Chrystusa – te wszystkie chusty, relikwie, zostawmy naiwnym badaczom. Znakomita większość tego, co wiemy, wywodzi się z interpretacji przedstawień plastycznych, nieopatrzonych żadnymi inskrypcjami poza krótkimi dedykacjami. A zatem interpretacje mitraizmu, szczegóły obrzędów, w znacznej mierze związane są ze spekulacjami. Mimo wszystko coś jednak wiemy. Podstawowe i najważniejsze obrzędy, tak jak w chrześcijaństwie, polegały na dokonywaniu inicjacji. Obrzędy te sprawowano w mitreach – miejscach najczęściej położonych w podziemiach czy w jaskiniach. Ceremonie nie były publiczne, mogli w nich brać udział wyłącznie mężczyźni. Do praktyk chrześcijańskich jednak, właściwie od początku, od pierwszych ewangelistów, dopuszcza się kobiety. Chrześcijaństwo ma więc u prapoczątku rys koedukacyjny, nawet feministyczny. Kobiety miały, o czym często zapominamy, ogromny wpływ na propagowanie nowej wiary, robiły to zresztą w swoim interesie, bo dzięki chrześcijaństwu otrzymywały prawa, nazwijmy je współczesnym językiem – obywatelskie, o których wcześniej mogły jedynie pomarzyć. W wiekach średnich oczywiście to się zmienia. Kobieta staje się nieczysta i jako nieczysta zagraża czystości religii – czy to realnie, czy tylko instrumentalnie. Współczesny islam zresztą, który wydaje się nam, wychowanym w tradycji chrześcijańskiej, groźny, a nawet jest taki naprawdę, przynajmniej jedna z jego odmian, w gruncie rzeczy przypomina średniowieczną religijność chrześcijan, łącznie z jego próbami ekspansji i zawłaszczania umysłów wierzących inaczej, w tym umysłów i kultury muzułmańskiej, znacznie bardziej rozwiniętej kiedyś niż dorobek barbarzyńskich chrześcijan. Niestety, ludzkość od zarania cierpiała na nierównomierny rozwój cywilizacji. Tak jest i dziś, z tego bierze się dramat współczesnego świata, nie z samej istoty religii i różnych dróg prowadzących do tego samego, jak to mówią, Boga, czy ze stosunku do kobiety, do podmiotowości kobiety lub braku tej podmiotowości. Ale na początku religii Chrystusowej osoba płci żeńskiej staje się wyemancypowana i ważna.

Jest to także próba odreagowania po mitraistycznym *Sol Invictus*, w którego obrzędowości nie przewidziano miejsca dla kobiet. Tak było przynajmniej w Persji i Azji Mniejszej, bo kiedy Mitra staje się bogiem dla Rzymian, kobiety zaczynają z wolna uczestniczyć w misteriach, choć nigdy, tak jak do niedawna w chrześcijaństwie, nie stają się kapłankami. Bardzo dobrze widzimy ten proces w dziele literackim, a nie historycznym, jakim jest „Quo vadis” polskiego noblisty, Henryka Sienkiewicza. Nie na próżno kobieta – matka Chrystusa – staje się trzecim w kolejności lub czwartym bogiem panteonu tej politeistycznej w gruncie rzeczy religii. Jest nawet kimś więcej – najważniejszą kobietą w historii świata. Przy niej Hera, żona Zeusa, gra jedynie rolę epizodyczną. Matka Boska jest kimś bardziej i więcej niż Joanna d’Arc, Marilyn Monroe, Jacqueline Kennedy, matka Teresa, Michelle Obama i Melania Trump razem wzięte.

Ostatnim zdaniem Deskur wzbudził wesołość słuchaczy, na chwilę przerwał, poczekał, aż sala ucichnie.

– Obecność Marii Magdaleny przy boku Chrystusa najlepiej świadczy o roli kobiety w nowej, dopiero powstającej religii. Sądzę, choć nie mam na poparcie tej tezy dowodów, że chrześcijaństwo, wbrew pozorom, wymyśliły kobiety. Wiemy na pewno, że Maria Magdalena była jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym i najważniejszym apostołem, podróżującym do dalekich krain, odwiedzając także nasze miasto z posłaniem swego Boga i męża jednocześnie. Ewangelia według Marii Magdaleny, odrzucona przez pierwszych chrześcijan już w trzecim, czwartym wieku, pierwotnie była uważana za najważniejszą, bo pisaną na podstawie wspomnień najbliższej Chrystusowi osoby. Konflikt Piotra, pragnącego skupić w swoich rękach pełnię władzy, z Marią, skończył się dla niej źle – została skazana na banicję. Ale to Levi tłumaczy Piotrowi mniej więcej tak: „Jeśli Zbawiciel ją wybrał, kimże w istocie jesteś, by się przeciwstawić naszemu Panu. On sam ją umiłował bardziej niż nas”. Tak było, a niezdrowe ambicje świętego Piotra doprowadziły wkrótce do okrutnej rozprawy z chrześcijanami.

– Jeśli tysiąc lat po Jezusie – Deskur mówił dalej – kobieta spychana

jest na margines, jeśli zaczyna się jej dodawać cechy diabelskie, to właśnie dlatego, że od zarania dziejów trwa konfrontacja dwóch żywiołów – męskiego i żeńskiego, stając się jednym z ważniejszych archetypów, a nawet paradygmatów rozwoju – powiedzą jedni, lub upadku ludzkości – powiedzą inni. Spychając kobietę do roli służebnej, mężczyzna wypiera niedawny kompleks kobiety. Prawdopodobnie sprawniejszej intelektualnie i choć słabszej fizycznie, to jednak górującej nad mężczyzną umiejętnością logicznego, strategicznego myślenia, a także czymś w rodzaju praktycznej przebiegłości.

Po sali przeszedł szmer, ktoś cicho gwizdnął. Deskur znów przerwał. Tym razem on się uśmiechnął.

– Bardzo dobrze, gwizdźcie, tupcie, reagujcie na to, co mówię. Pamiętajcie, żeby nigdy, do końca, nie wierzyć profesorom. Pamiętajcie jednak, że opozycja, z czego nie zawsze sobie zdajemy sprawę, jest podstawowym paradygmatem boskiej twórczości. Jak dobro i zło, jak czarny i biały, swój i obcy, mądry i głupi, piekło i niebo, lewy i prawy, Paweł i Szaweł, Wschód i Zachód, i tym podobne. Jeśli Wielkiemu Kreatorowi coś się wymknęło spod kontroli, to chyba tylko dwa pojęcia – symbole. Nieskończoność i zero. Nad nieskończonością głowili się już starożytni Egipcjanie, a potem Grecy. Skończoność nie mogła być dla nich, i nie jest do dziś, opozycją dla nieskończoności, bo tę pierwszą rozumiemy, a drugiej nadal nie pojmujemy. Z kolei zero jako pierwsi wprowadzili Olmekowie – około czterystu lat przed naszą erą. Zapisywali je czymś, co przypominało muszlę. Co ciekawe, niektórzy współcześni filozofowie i matematycy wciąż nie wierzą w istnienie zera i w realność nieskończoności, nie mówiąc o tych, często dobrze wykształconych, szalonych mieszkańcach naszej planety, dla których Ziemia, podtrzymywana przez zad ogromnego wieloryba, ciągle jest epicentrum wszechświata.

Dość tych dygresji, wracamy do głównego wątku. Jak wszystkie kultury misteryjne, także misteria mitraistyczne związane były z objawieniem tajemnicy, której treść, inaczej niż w chrześcijaństwie, przekazywano wyłącznie wtajemniczonym. Oni z kolei zobowiązani byli do zachowania

sekretów, a złamanie tajemnicy karane było śmiercią. W chrześcijaństwie odwrotnie – jak wiemy, śmiercią karano tych, co mieli zbyt wiele tajemnic. Największą popularnością cieszył się mitraizm wśród legionistów, nie dość bowiem, że otaczane kultem bóstwo było bogiem wojowniczym i walecznym, to mitraizm wymagał zachowania surowej, żołnierskiej dyscypliny. Podstawowym misterium mitraistycznym była inicjacja przebiegająca w formie chrztu z krwi. Inicjowany prowadzony był do grotty, jaskini lub piwnicy, ustawiano go pod wykutym w sklepieniu otworem zasłoniętym kratą, na której zabijano byka, zadając mu cios sztyletem w kark. Inicjowany dosłownie kąpał się w spadającej przez kratę krwi byka, mazał nią całe swe ciało. Następnie, po wyprowadzeniu z ciemności na światło, przez tydzień karmiony był mlekiem jako nowo narodzony. Nietrudno dostrzec w tym analogię do podstawowego misterium chrześcijańskiego – chrztu z wody, która zastępuje krew. Na podstawie egipskich papirusów magicznych możemy przypuszczać, że misterium inicjacji przedstawiało podróż inicjowanego przez świat żywiołów do centrum Kosmosu, a jej uwieńczeniem było nawiedzenie przez wizję przedstawiającą samego Mitrę. Po drodze inicjowany spotykał boga solarnego, Heliosa, który płodził go na nowo. Witając bóstwo, inicjowany uznawał w nim najwyższego władcę. Mówił do niego: „Bądź pozdrowiony, Panie, Władco wody, bądź pozdrowiony, stwórcy Ziemi, władco ducha. Panie, odrodzony być pragnę, a ponieważ zostałem wywyższony, umieram, idę drogą, którą ty ustanowiłeś, jak ustanowiłeś sakrament”

Znanych było siedem stopni inicjacji mitraistycznej: *Corax* – kruk, *Nymphus* – oblubieniec, *Miles* – żołnierz, *Leo* – lew, *Perses* – Pers, *Heliodromus* – słoneczny biegacz i *Pater* – ojciec. Stopnie te odpowiadały siedmiu znanym wtedy planetom, za które uważano: Merkurego, Wenus, Marsa, Jowisza, Saturna, Słońce, Księżyc, samą zaś inicjację traktowano jako metaforę podróży duszy przez sfery planetarne do światła, do gwiazd. Inicjacji towarzyszyły różne obrzędy, na przykład wieńczenie laurem, nakładanie rąk, wymierzanie policzka, okadzanie czy mazanie języka miodem. Na zachowanych zabytkach mitraistycznych głównym motywem jest scena zabijania – tauroktonia, przedstawiająca Mitrę zabijającego byka. Podług mitologii mitraistycznej

Mitra ścigał byka, pojmał go i na własnych plecach, jak Jezus baranka, zaniósł do jaskini, gdzie złożył go w ofierze w intencji odnowienia świata. Ziemia i wszelkie życie, zroszone krwią i nasieniem byka, przechodzi proces regeneracji. Mitrę przedstawiano właśnie jako młodzieńca ubranego w rzymską tunikę, na głowie miał czapkę frygijską. W scenie tauroktonii klęczy jednym kolanem na plecach byka. Lewą dłoń podnosi jego głowę do góry, prawą, w której trzyma sztylet, zabija go, zadając mu cios w krzyż. Odwraca przy tym wzrok od zwierzęcia, podobnie jak Perseusz zabijający Meduzę. Płaszcz Mitry po stronie wewnętrznej często przedstawiano z wyobrażeniami ciał niebieskich.

W trakcie owego obrzędu Mitrze towarzyszą dwaj dadoforzy – młodzieńcy trzymający pochodnie: Cautes i Cautopates. Jeden trzyma pochodnię zwróconą do góry, drugi zaś – do dołu. Symbolizują oni zrównanie dnia z nocą: Cautes ze wzniesioną pochodnią symbolizuje moment równonocy wiosennej, Cautopates z opuszczoną pochodnią symbolizuje równonoc jesienną. Dadoforzy ubrani są jak Mitra. A ponieważ przedstawiani są ze skrzyżowanymi nogami, więc doszukiwano się aluzji do punktu przecięcia równika z ekliptyką punktu wiosny i jesieni. Poza Mitrą, bykiem i dadoforami na wyobrażeniach przedstawiających scenę tauroktonii widzimy jeszcze węża, koguta, kruka, skorpiona, czasem lwa i kielich – być może mamy tu do czynienia z protoplastą świętego Graala.

Jeśli chodzi o interpretację, sprawa nie jest oczywista. Belgijski badacz mitraizmu Franz Cumont uważa, że idzie tu o postacie z mitologii irańskiej. Inni badacze, zwłaszcza ostatnio, uważają, że chodzi tu o symbole planet.

Jako bóstwa solarne Mitra i Jezus odbierali cześć w niedzielę, dzień słońca – *dies solis*, stąd w językach europejskich mamy *Sonntag*, *Sunday*.

W przeciwieństwie do chrześcijaństwa, w Cesarstwie Rzymskim mitraizm nie był prześladowany. Cesarz Aurelian wyniósł nawet mitraizm do rangi religii państwowej. Dopiero w roku 391, gdy cesarz Teodozjusz Pierwszy uznał chrześcijaństwo za religię państwową, praktykowanie innych kultów zagrożone zostało karą śmierci. W rezultacie w krótkim czasie mitraizm zanikł, choć przetrwała jego obrzędowość pod nową nazwą chrześcijaństwa. Na podstawie wykopalisk wiemy, że mitrea po prostu zostały porzucone,

lecz odnalezione zabytki sztuki mitraistycznej nie noszą najczęściej śladów zniszczenia. Tam, gdzie nad mitreami nadbudowano kościoły chrześcijańskie – na przykład rzymską bazylikę świętego Klemensa, kościół Santa Prisca – mitrea nadal są walorem, nazwijmy go turystycznym, ale też archeologicznym. Chrześcijaństwo odkryło w mitraizmie poważnego wroga. Legenda Mitry dawała ludziom nadzieję na życie pośmiertne i skuteczną walkę ze złem, dlatego też była dla chrześcijaństwa zabójczo silną konkurencją. Oprócz wiary w nieśmiertelność i Sąd Ostateczny występuje zresztą szereg innych, zaskakujących analogii pomiędzy chrześcijaństwem a kultem *Sol Invictus*: chrzest, komunia, confirmacja, trójca święta Mitry – znacznie starsza od chrześcijańskiej, nabożeństwa w świątyniach, a nawet arka i potop, żeby wymienić najważniejsze z nich. Walka między tymi religiami była zażarta i krwawa, chrześcijaństwo nie cofało się nawet przed najokrutniejszymi czynami, siłą zdobywało wyznawców Mitry, a co najważniejsze, przejęło dzień 25 grudnia – dzień narodzin Mitry, jako obchodzone obecnie Boże Narodzenie. Zburzono w tamtym czasie mitreum w Dieburgu, a w mitreum saarberskim odnaleziono szkielet związanego kapłana, którego zwłoki wrzucono tam w celu zbezczeszczenia świątyni. Analogie występujące między chrześcijaństwem a kultem Mitry świadczą przede wszystkim o potędze Mitry, którego wyznawców chrześcijanie zdobywali siłą, przysposabiając dla swoich potrzeb motywy starego bóstwa.

Szczerze mówiąc, rozumiem Teodozjusza. Chciał mieć swoją religię, aby zachować i ugruntować władzę polityczną. Definiował swoich wrogów poprzez wyznawanie kultu nowego Boga – Jezusa. Już nie Mitry.

Chrześcijaństwo oczywiście powstało z judaizmu, jednak szybko przejęło tak wiele z kultu boga Mitry, że faktycznie stało się odłamem mitraizmu. Dokonało się to za sprawą świętego Pawła, który pochodził z Tarsu – wielkiego i ważnego ośrodka kultu Mitry. Jezus, syn hebrajskiego Boga Jahwe, i Mitra, syn Ormuzda – Mazdy są faktycznie niemal identycznym mitem. Obrzędy, nawet język liturgiczny mitraistów jest niemal identyczny z chrześcijańskim. Oczywiście tym z początków chrześcijaństwa. Idea odkupiciela, jednocześnie Boga i człowieka, składającego swoje życie w ofierze za zbawienie wyznawców, nie pochodzi z judaizmu, lecz

z mitraizmu. Tak samo symbole baranka, ryby, przemienionego Zbawiciela, który zmywa grzechy świata i daje życie wieczne, oraz siedem sakramentów, pokonanie Złego i zrzucenie go do piekła, apokaliptyczny koniec świata, Sąd Ostateczny i zmartwychwstanie zmarłych – są zapożyczone, wręcz skopiowane z mitraizmu. Cesarze rzymscy, wyznawcy Mitry, a potem Chrystusa, przyczynili się do jeszcze większego upodobnienia chrześcijaństwa do mitraizmu. Tak przetworzone chrześcijaństwo wyeliminowało w Europie wszystkie konkurencyjne religie oparte na kulcie zbawicieli, synów bożych, bogów zmartwychwstających, bogów solarnych. Wymazano wręcz całą historię religijności, aby nie spotkać się z zarzutem religijnego plagiatu. Następnie teolodzy chrześcijańscy mogli zacząć głosić, że ich religia jest jedyna i wyjątkowa w historii świata, a także bronić dostępu do prawdy i do ksiąg, które tę prawdę potwierdzały. Jedyna i podstawowa różnica między mitraizmem i chrześcijaństwem jest taka, że zbawiciel Mitra był bóstwem, jeśli tak można powiedzieć, pozytywnym, a Chrystus negatywnym. Inaczej: Mitra był z życia zadowolony, a Chrystus nie. Gawiedź, czyli wszyscy oprócz duchowieństwa i panujących, mieli prawdy reglamentowane – wiedzieli tyle, ile im chciano powiedzieć. Zresztą w wielu miastach, miasteczkach niemieckich jeszcze pod koniec średniowiecza stan duchowny liczył od dwudziestu, trzydziestu, do czterdziestu procent wszystkich mieszkańców. Wyobraźmy sobie Lyon w czwartym, piątym wieku. Z dwudziestoma, może trzydziestoma tysiącami mieszkańców, z których co najmniej pięć, sześć tysięcy paradowało w habitach. A w takiej Kolonii czy w Trewirze (oba miasta, chociaż geograficznie na rubieżach, należały do rzymskiej Galii) procent funkcjonariuszy nowej religijności sięgał niemal połowy tubylców. Zrozumiały, że nowa odmiana starego kultu była wszechobecna. Nie dało się stać z boku i nie wierzyć. Wiara była koniecznością, tak jak jedzenie, picie, spanie, płodzenie dzieci. Pewnie dłużej można było przeżyć bez jedzenia niż bez deklaracji o uznaniu nowego Boga za swojego. Do stanu duchownego szło się w większości przypadków jedynie po to, by przetrwać, by nie zginąć w okrutnym świecie konkurencji. Dodajmy, że zdecydowana większość kleru nie czytała, nie pisała, nie znała Biblii ani innych, naukowych dzieł, nie różniła się więc specjalnie od plebsu. Trzeba było czekać aż do XIX

wieku, kiedy obiektywne badania religioznawcze zaczęły odkrywać prawdę o początkach chrześcijaństwa. Czy to panu wystarczy? – Deskur zwrócił się do Jana.

– W zupełności – Jan dopiero teraz usiadł.

– A więc spotykamy się po przerwie, za dziesięć – profesor spojrzął na zegarek – już za pięć minut.

Publiczność z wolna opuszczała ławki, kierując się w stronę drzwi. Profesor Deskur czekał, aż wszyscy wyjdą.

– Panie profesorze – odwrócił się. Jan i Anna stali przed nim, przyjmując pozę uczniów, którzy po skończonej lekcji chcą jeszcze o coś zapytać nauczyciela.

– Tak? – odpowiedział tym samym tonem, co parę minut wcześniej.

– Chcielibyśmy z panem porozmawiać – powiedział Jan.

– Teraz? – zdziwił się Deskur.

– Tak, jak najprędzej.

Deskur spojrzął na zegarek.

– Dobrze, ale tylko kilka minut, więcej nie mogę państwu poświęcić.

Jan zaczął opowiadać. Na początku o tym, kim jest, co robi w Lyonie. Kiedy wspomniał o Institorze, profesor nagle się ożywił, ale nie pytając o nic, słuchał dalej. Kiedy Jan doszedł do miejsca, w którym dość chaotycznie mówił o swoich przypuszczeniach dotyczących, być może, bo nie jest tego pewien, ani nawet nie jest pewien, czy warto o tym mówić, jednak skoro już zaczął i może rozmawiać z profesorem, to musi to powiedzieć, w każdym razie przypuszcza, że nie wszystko, co się zdarzyło w ostatnich trzech dniach, odkąd jest w Lyonie, że nie wszystko z tych zdarzeń było dziełem przypadku. Ani to, że znalazł się w jakimś dziwnym teatrze, ani to, kim są ludzie, których poznał, ani śmierć tej starszej kobiety, śmierć zakonników, to, co przeczytał w książce, ani nawet to, że akurat dziś Deskur miał wykład na temat, o którym Jan myśli bardzo intensywnie przynajmniej od wczoraj. Do rozmowy od czasu do czasu, swoim kiepskim francuskim, włączała się Anna, ale wypadało to jeszcze bardziej chaotycznie niż monolog Jana.

– Chwileczkę – uspokoił oboje profesor Deskur. – Wiem, co pan robi w Lyonie, a pani? Jak się tu pani znalazła i w jakim celu? Czym się pani właściwie zajmuje?

Anna szybko wytłumaczyła, że przyjechała, bo niepokoiła się o Jana. Jest fizykiem, pisała pracę doktorską o Keplerze, interesuje się kosmologią, pracuje na Uniwersytecie Karola w Pradze.

– Dobrze – przerwał jej Deskur. – Twierdzicie państwo, choć nie macie takiej pewności, że w Lyonie działa jakaś sekta, tak? – Jan i Anna bezradnie rozłożyli ręce i pokręcili głowami. – I że ta sekta coś przygotowuje, choć tak naprawdę, nie wiadomo co. Wydaje się wam także, że tematyka poruszana przeze mnie na dzisiejszym wykładzie jest dokładnie tym, w czym tkwicie od kilku dni.

– Ja jestem w Lyonie od dzisiejszego rana – sprostowała Anna. – Jan jest tu już trzeci czy czwarty dzień.

– Dobrze, trzeci dzień – Deskur przypatrywał się im z niepokojem, którego nawet nie próbował ukrywać. – Na dokładkę jeszcze sekta prawdopodobnie zabiła jakąś waszą znajomą, którą poznaliście tego samego dnia, w którym zginęła, oprócz tego jeszcze jacyś zakonnicy, których też zamordowano. Tak?

– Mniej więcej, w dużym skrócie – przyznał Jan.

– W takim razie jedyne, co mogę powiedzieć, to poradzić, żebyście się z tym zwrócili nie do profesora antropologii, ale do profesora psychiatrii, żegnam państwa – odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Profesorze – Jan go przytrzymał za rękę i trzymał tak, że nieco już wystraszony Deskur nie mógł jej wyrwać – jest jeszcze coś. Mówił pan na wykładzie o tym, że pierwsze kościoły chrześcijańskie powstawały często w podziemiach, w miejscach wcześniejszego kultu Mitry, tak?

– No tak – odpowiedział niepewnie Deskur.

– I że Mitra przedstawiany jest w czapce frygijskiej na głowie, z bykiem i sztyletem w ręce, czy tak?

– To prawda, tak mówiłem.

– W takim razie ja znam takie miejsce.

– Słucham?

- Znam miejsce, które jest prawdopodobnie sanktuarium Mitry.
- Ja też, i co z tego – profesor wyswobodził wreszcie rękę z uścisku Jana.
- Gdzie ono jest?
- Najbliższe są w Rzymie, w Londynie i pod Frankfurtem.
- Nieprawda. Jest także w Lyonie. I zdaje się, że wciąż działa.

Minęło kilka minut. Sala znów zaczęła się wypełniać słuchaczami.

– Porozmawiamy później, po wykładzie, jeśli wam na tym zależy – powiedział Deskur, siadając ciężko za biurkiem. Anna i Jan zajęli swoje miejsca na widowni. Deskur zaczął mówić, od czasu do czasu zerkając w ich stronę.

– Niespełna cztery miliony lat temu pojawiły się w Afryce australopiteki – ssaki naczelne zaliczane do człowiekowatych. Posługiwały się własnoręcznie sporządzonymi narzędziami i stworzyły pierwszą kulturę zwaną *olduvai*. Była to, jak wiemy, najstarsza kultura paleolitu, jej nazwa pochodzi od wąwozu Olduvai w północno-zachodniej Tanzanii. Niektórzy naukowcy twierdzą, że któryś z nich rozpoznał swoje odbicie w tafli jeziora i tak oto narodziła się świadomość własnego „ja” i zarazem wiara w życie po śmierci. Wczesne kultury rozumiały również, że ich los na Ziemi zależy od Słońca. Każdego ranka, kiedy Słońce wschodzi, przynosząc światło, ciepło i bezpieczeństwo, chroni człowieka od zimna i ataków drapieżników ukrytych w ciemności. Bez Słońca zboże nie wyrośnie, a życie na ziemi nie przetrwa. Z czasem pojawiły się najstarsze ślady religii w postaci pochówków i rysunków naskalnych, w tym rzeźby i rysunki wyrażające szacunek i uwielbienie dla Słońca. Dające życie i ochronę Słońce stało się uosobieniem niewidzialnego stwórcy albo Boga. Było znane jako bóg Słońce, Światło Świata, Zbawca Ludzkości i pod wieloma innymi nazwami. Ozyrys i Horus byli bogami Słońca w starożytnym Egipcie. Ozyrys, a potem Horus, będąc Słońcem albo Światłem, miał wroga zwanego Set – będącego uosobieniem Ciemności czy Nocy. I mówiąc metaforycznie – każdego ranka Horus wygrywał walkę z Setem, a kiedy nastawał wieczór, Set wygrywał walkę i wysyłał Horusa do świata podziemi. Warto odnotować, że konflikt światła z ciemnością, czyli dobra ze złem, to jeden z najważniejszych

mitologicznych dualizmów, obecnych i wyrażanych na wielu płaszczyznach po dziś dzień.

Ozyrys był królem Egiptu i bogiem odrodzonego życia. Po śmierci każdy Egipcjanin trafiał do królestwa Ozyrysa jako boga i sędziego udzielającego łaski. Data urodzin Ozyrysa przypadała na 25 grudnia, ze względu na zjawisko zachodzące 25 grudnia, w dniu przesilenia zimowego. Od przesilenia letniego do zimowego dni stają się krótsze i chłodniejsze. Z perspektywy północnej półkuli – musimy pamiętać, że świat widziano wtedy głównie z perspektywy półkuli północnej – Słońce wędruje na południe, staje się mniejsze, i wydaje się oddalać. Skracanie się dni, dojrzewanie zbóż, gdy zbliża się zimowe przesilenie, symbolizowało dla starożytnych proces śmierci. To była śmierć Słońca. Do 22 grudnia proces umierania Słońca się dopełniał. Słońce, poruszając się na południe przez 6 miesięcy, osiąga najniższy punkt na niebie i wstrzymuje swą wędrówkę na 3 dni, 22, 23, 24 grudnia. 25 grudnia gwiazda na wschodzie nazywana Syriuszem – najjaśniejsza gwiazda na niebie, leży w jednej linii z trzema jasnymi gwiazdami z Pasa Oriona. Te trzy gwiazdy nazywane są dziś, tak jak w starożytności: Trzej Królowie. Trzej Królowie i najjaśniejsza gwiazda – Syriusz, wskazują miejsce wschodu Słońca 25 grudnia. W ten dzień Słońce podnosi się o jeden stopień, tym razem na północ, zapowiadając dłuższe dni, ciepło i wiosnę. Jednak nie czczono zmartwychwstania Słońca aż do wiosennej równonocy lub Wielkanocy, kiedy symbolicznie życie się odradza. Dlatego zresztą odrodzenie, zmartwychwstanie Jezusa nie mogło się odbyć zimą. A to dlatego, że z wiosenną równonocą Słońce, nasz bóg, przewyższa ciemność, dzień staje się dłuższy niż noc i zaczyna się wiosenny rozkwit.

W tekście egipskim pisanym w języku demotycznym z 550 roku przed naszą erą, zatytułowanym „Opowieść Satmiego”, czytamy: „Cień Boga pojawił się przed Mahitusket (łaski pełna) i oznajmił jej: będziesz miała syna, którego będą zwać Si-Osiris (Syn Ozyrysa, czyli syn boga)”

I tak w wyniku niepokalanego poczęcia przez Isis – Izydę narodził się syn boga, czyli Horus. Set chce zabić dziecko imieniem Horus, jego matka Izyda ucieka więc z nim. Wcześniej jego ojciec Ozyrys w wieku 12 lat dyskutował jak równy z równym z mędrkami w świątyni. Ozyrys i Horus

czynili cuda, takie jak uzdrawianie chorych i wskrzeszanie zmarłych. Ozyrys, umierający co roku, pozwalał Egipcjanom żywić się swoim ciałem – chlebem. W „Tekstach piramid” zwany jest także Panem Wina. Ozyrys daje Izydzie do picia z kielicha swoją krew, by pamiętała o nim po jego śmierci. Ozyrys i Horus w miarę upływu czasu stawali się aspektami tej samej postaci, gdyż cała sytuacja zmierzała w kierunku monoteizmu. Nie musimy przypominać, że ten mit, niemal dokładnie, powtarza się później w chrześcijaństwie, bo przecież Jezua bardzo chętnie udostępnia swoją boską krew pod postacią wina.

Te mityczne, boskie atrybuty przetrwały dzięki instytucji faraona. Był on ucieleśnieniem Horusa, najwyższym władcą oraz najważniejszym z kapłanów. Faraon pełnił funkcję najwyższego sędziego, a jego słowo było w państwie prawem. Nazywany był Synem Bożym, bogiem na ziemi, królem królów. Faraon należał do niebios i był pośrednikiem pomiędzy poddanymi a panteonem. Sprawował absolutną władzę jako żywy bóg na ziemi, opiekujący się wszystkimi mieszkańcami Egiptu. Jego matce zwiastowano boskie poczęcie. Teogamia, czyli małżeństwo boże, pochodzi z Egiptu: bóg zapładnia królową i rodzi się nowy faraon. Istniał też rytuał zmartwychwstania zmarłego faraona – uczestniczyły w nim kobiety – po czym wstępował on do nieba. Można powiedzieć – znamy tę historię aż za dobrze.

Faraon był więc protoplastą Jezusa – Boga na Ziemi. Ale boskie przywileje Jezusa nie wzięły się tylko i wyłącznie od faraona. Grecy przedstawiali Heraklesa (około 500 roku przed Chrystusem) z kolumnami, które tworzyły znak krzyża. Z tego wizerunku zapożyczono motyw Jezusa – siłacza niosącego krzyż na swoją Golgotę. Postacie Chrystusa i Heraklesa są podobne również w innych aspektach. Obaj byli synami najwyższego Boga i byli prześladowani. Herakles ze szczytu góry widział królestwo tyrana, Jezusowi szatan pokazywał z wysokiej góry „wszystkie królestwa”. Umarli w identycznych okolicznościach – trzęsienie, ciemności i obaj mówili to samo: „Wykonało się” – Jezus u Jana. Obaj zmartwychwstali i odlecieli do nieba.

Cud w Kanie Galilejskiej – najbardziej zadziwiający i bezsensowny,

bo cóż wspólnego z misją Jezusa miało wyprodukowanie około 600 litrów wina – znalazł się u Jana, i tylko tam, dzięki Dionizosowi. Dionizos to bóg, który żył na ziemi, w Grecji. Syn dziewicy. Urodzony 25 grudnia. Nazywany był Królem Królów, Synem Bożym, Alfą i Omegą. Był bogiem cierpiącym, ukrzyżowanym i zmartwychwstałym. Gminy dionizyjskie czciły nad ołtarzem Dionizosa jako ukrzyżowanego boga. W rzeczywistości cud zamiany wody w wino był dokonany przez Dionizosa, a przypisany później Jezusowi. Przydomek Dionizosa zamieniającego wodę w wino autor ewangelii Jan przeniósł na Jezusa. Wszyscy pamiętamy te słowa: „Ja jestem prawdziwym krzewem winnym”. Kult Dionizosa był chyba pierwszym w świecie śródziemnomorskim, którego wyznawcy prowadzili działalność misyjną. Rozpowszechnił się w Grecji już w siódmym wieku przed naszą erą. Swoją drogą, cud Dionizosa to już był plagiat, gdyż najwcześniejsze jego źródło pochodzi z obrazu uczt, który znajduje się na grobie egipskim w Paheri, a powstał mniej więcej w 1500 roku przed Chrystusem. Przedstawia zamianę wody w wino przez faraona.

Przyjrzyjmy się jeszcze Adonisowi. On także był synem dziewicy. Urodzony 25 grudnia. Stał się symbolem umierania i odradzania. Ku czci Adonisa obchodzono ośmiodniowe święta wiosenne – adonie, podczas których opłakiwano jego śmierć i czczono zmartwychwstanie. W tym przypadku po czterech, a nie po trzech dniach. Mitra, jak już wiemy, również był synem dziewicy urodzonym 25 grudnia. Czynił cuda, nazywany był Światłem, Zbawcą i Pasterzem. Gdy zmarł, został pochowany w skalnym grobowcu. Po trzech dniach zmartwychwstał. Mitra jest pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem. Zapewnia zbawienie ludziom przez własną ofiarę. Jego kult obejmuje chrzest, komunię, posty, a jego wierni nazywają się braćmi. Wśród duchowieństwa mitrackiego są mężczyźni i kobiety ślubujące celibat. Wierzono, że po zejściu Mitry na ziemię zaprowadzi on królestwo boże. Ojcowie Kościoła byli uderzeni tymi podobieństwami. Święty Augustyn opowiada, że pewien kapłan azjatycki powiedział mu, że czczą tego samego Boga. Za wszelką cenę próbował więc Augustyn wyszukiwać, a nawet stwarzać oryginalne mity chrześcijańskie, aby już nikt nie mógł mu zarzucić braku oryginalności. Około roku 200 Tertulian, dla wytłumaczenia

podobieństw mitraizmu i chrystianizmu, mówi o „sztuczki diabła”

Przyjrzyjmy się jeszcze innym bogom. Kriszna z Indii (900 rok przed naszą erą) został urodzony przez Devaki, z gwiazdą na wschodzie zapowiadającą jego nadejście. Złożono mu dary z mirry, kadzidła i złota. Czynił cuda. Zmarł, a po śmierci zmartwychwstał. Czyli klasycznie, jak Jezus z Nazaretu. Był już w grobie, ale z niego wyszedł, czyli ukazał swoją boską naturę. Jak wielu innych przed Chrystusem.

Bóg Sobek, o którym opowiadają „Teksty piramid”, z 3000 roku przed naszą erą, to bóg krokodyl. Chodzi sobie, nawet nie pływa, właśnie chodzi, jak Chrystus, po wodach jeziora Faiun, rozdaje biały chleb i ryby ludziom na brzegu. A modlitwa „Ojcze nasz”, którą podobno ułożył Jezus i nauczył jej ludzi? Niestety, znów mamy do czynienia z plagiatem. Ta modlitwa znajduje się w tekście egipskim z tysięcznego roku przed Jezusem i jest znana jako „Modlitwa ślepca” albo modlitwa Echnatona. Spisana na papirusie, przechowywana w British Museum. Odczytano ją zresztą w całości stosunkowo niedawno, bo kilkanaście lat temu. Jeśli pozwolicie, zacytuję z pamięci:

Ojcze nasz, niezrozumiały naszą wiedzę, ale trwający, niech się święci imię Twoje, niech przyjdzie twoje prawo, dające światło gwiazd i naszemu życiu. Nakarm nas chlebem i odpuść nam śmiertelne grzechy, jak i my wybaczymy je przed niebem, i chroń nas od pokusy i zła.

Jak widzicie, przenoszenie postaci, tekstów z dawnych religii do Biblii jest na porządku dziennym. Zarówno w części judaistycznej, czyli w Starym Testamencie, jak i w chrześcijańskiej części, czyli w Nowym. Podobnie Nowy czerpie ze Starego, powiedziałbym nawet: czerpie garściami. W Starym Testamencie jest historia Józefa, który był prototypem Jezusa. Narodziny Józefa były cudem – Jezusa narodziny także. Józef miał 12 braci – Jezus miał 12 uczniów. Józef został sprzedany za 20 srebrników – Jezus za 30. Brat Juda dokonuje zdrady Józefa – uczeń Judasz dokonuje zdrady Jezusa. Józef zaczyna swoją misję w wieku 30 lat – Jezus także.

W rzeczywistości autorzy Pisma Świętego chyba naprawdę pisali pod natchnieniem, ale natchnieniem całkiem sporej biblioteki starożytnych mitów o bogach. Mieli z czego wybierać, a wszyscy, podobnie jak Jezus, są

tylko literacką fikcją naszych przodków.

Historię Noego i jego arki też wzięto bezpośrednio z tradycji. Koncept wielkiej powodzi jest wszechobecny w starożytnym świecie, z setkami przykładów w różnych czasach. Ale na przedchrześcijańskie źródło najlepiej wygląda epos o Gilgameszu, napisany w 2600 roku przed Chrystusem. Historia wielkiej powodzi zesłanej przez boga, arce ratującej zwierzęta, a nawet uwolnieniu i powrocie gołębia, wszystko tak samo jak w biblijnej historii, obok wielu innych podobieństw. Historia Mojżesza również jest splagiatowana. Została zaczerpnięta z mitu o Sargonie z Akkad, około 2250 rok starej ery. Sargon urodzony przez niepokalaną dziewicę – kapłankę, po narodzinach, by uniknąć śmierci, został włożony do kosza i spuszczonej rzeką. Uratowany przez człowieka zwanego Akki i wychowany na księcia. W Ewangelii świętego Mateusza mamy też napisany na nowo fragment o dzieciństwie Mojżesza. O tym, jak mimo przeszkód umknął przed dekretem faraona nakazującym zabicie Żydów. Mateusz opowiada tę historię, a później zmyśla historię prześladowania dzieci w Betlejem przez Heroda Wielkiego – by pozwolić Jezusowi, na wzór Mojżesza, uciec z całą rodziną do Egiptu i wrócić stamtąd jako wykładowca nowego prawa. Poza tym Mojżesz jest znany jako dawca prawa, który dał dziesięć przykazań. Ale idea dawania prorokowi przez Boga prawa na górze jest także starszym motywem. Mojżesz jest tylko kolejnym prawodawcą w długiej linii prawodawców, ogłaszających swoje myśli na szczycie góry, a więc w wywyższeniu. Gdyby ogłaszali w dole, ich prawo miałoby element upadku, z gruntu byłoby więc złe. W Indiach Manu był wielkim dawcą prawa, na Krete Minos zstąpił z góry Dicta, gdzie Zeus dał mu święte prawa. W Egipcie był Mises, który zniósł kamienne tablice ze spisaniem prawem. Manu, Minos, Mojżesz. Nawet dziesięć przykazań zaczerpnięto bezpośrednio z egipskiej „Księgi umarłych”. Co w „Księdze umarłych” napisano jako „Nie ukradłem”, stało się „Nie kradnij”, „Nie zabiłem” – „Nie zabijaj”, „Nie skłamałem” – „Nie dawaj fałszywego świadectwa” i tak dalej. Jeśli o tym zapominamy, to dlatego, że wygodniej jest wierzyć w oryginalność i niepowtarzalność własnej religii. Nawet jeśli owa wygoda zakłamuje prawdę.

Reguły moralne nie zostały wyrzeźbione przez Boga na kamiennych tablicach

i objawione człowiekowi, ale ukształtowały się w naszych umysłach w rezultacie długiego procesu ewolucji. Prawda jest taka, że w religii chrześcijańskiej niewiele mamy rzeczy oryginalnych. Wydaje mi się nawet, że w chrześcijaństwie nie ma niczego oryginalnego.

Egipskie dyski słoneczne, umieszczane nad głowami bogów i kapłanów, stały się potem aureolami katolickich świętych. Piktogramy Izydy trzymającej w ramionach swojego cudownie poczętego syna Horusa to pierwsze wzorce obrazów Maryi dziewicy trzymającej małego Jezusa. Znamy to z licznych obrazów, właściwie nie ma bardziej wzruszającej sceny niż ta, w której matka – Maria, przytula i ochrania syna – Jezusę. W zasadzie wszystkie elementy rytuału katolickiego – biskupie nakrycia głowy, ołtarz, różaniec, Trójca Święta oraz komunika i akt spożywania Ciała Bożego wzięto bezpośrednio z wcześniejszych, pogańskich obrzędów religijnych. Nawet dzień święty chrześcijaństwo przejęło od pogan. Początkowo chrześcijanie czcili żydowski szabat – sobotę, lecz Konstantyn przesunął dzień święty tak, by pokrywał się z pogańskim dniem czczenia Słońca. Do dzisiaj większość wiernych chodzi na mszę w niedzielę rano, nie mając pojęcia, że czynią tak, bo kiedyś właśnie w ten dzień pogaństwo oddawali cześć bogu, Słońcu. Nawet jeśli bezwiednie, cały czas oddajemy honory temu samemu bogowi, a jest nim Słońce. To pokazuje, jacy jesteśmy naiwni w swojej religijności.

Idźmy dalej w naszych rozważaniach. Kult dziewic – matek bogów również jest znany na całym świecie. A to dlatego, że Dziewica jest konstelacją Panny, znaną także jako Dziewica Panna. *Virgo* – Panna po łacinie, jak państwo doskonale wiecie, znaczy przecież dziewica. Starożytny symbol Panny to przerobiona litera M. Oto dlaczego imiona: Maria, i imiona innych matek – dziewic, jak matki Adonisa – Myrry albo matki Buddy – Mai zaczynają się na M. Panna odnosiła się także do domu chleba, gdyż reprezentacją Panny jest dziewica trzymająca kłos pszenicy. Dom chleba to symboliczny kłos pszenicy, który oznacza sierpień i wrzesień – czas żniw. Słowo Betlejem w istocie, z hebrajskiego *Bet Lehem*, tłumaczy się właśnie jako Dom chleba. Betlejem odnosi się więc do konstelacji Panny, miejsca na niebie, nie tylko na ziemi. Nie przypadkiem więc Chrystus rodzi się w tej małej kiedyś wiosce pod Jerozolimą.

Doszliśmy do miejsca, w którym należy spojrzeć w gwiazdy. Czy państwo spoglądacie czasem w gwiazdy?

Deskur podszedł do okna, otworzył je i spojrzął w niebo. Stał nieruchomo dłuższą chwilę.

– Niestety – profesor zamknął okno i wrócił za biurko – w Lyonie nie ma warunków do oglądania nieba. Nocą widać jedynie czasem przymglony Księżyc. W dużym mieście jest zbyt jasno, żeby dostrzec coś więcej niż Wielki Wóz. Tak czy inaczej krzyż zodiakalny to jeden z najstarszych obrazów w ludzkiej historii. Przedstawia Słońce i drogę, jaką przebywa ono w ciągu roku dwanaście najważniejszych konstelacji. Odzwierciedla też dwanaście miesięcy, cztery pory roku, przesilenia i równonocce. Termin zodiak odnosi się do konstelacji, a one mają postać ludzką i zwierzęcą. Inaczej mówiąc, wczesne cywilizacje personifikowały gwiazdy i Słońce, tworząc mity na podstawie ich wyglądu, ruchu i położenia względem siebie. Jak już wiemy, Słońce stało się uosobieniem niewidzialnego Boga, a dwanaście konstelacji reprezentujących trasę wędrówki boga Słońca otrzymało nazwy, zazwyczaj związane z elementami natury, jakie występują w okresach, gdy przechodzi przez nie Słońce. Ludzie od zarania mieli skłonność do antropomorfizacji przyrody. Na przykład Wodnik – niosący wodę, który przynosi wiosenne deszcze. Nie była to jednak tylko artystyczna koncepcja czy narzędzie śledzenia ścieżki Słońca, był to także symbol pogański. A więc krzyż nie jest symbolem jedynie chrześcijaństwa. Oto dlaczego Jezus we wczesnych malowidłach zawsze ma głowę na tle krzyża wpisanego w okrąg. Bo Jezus jest Słońcem, które przyjdzie ponownie, jak to robi każdego ranka, przychodząc w koronie cierniowej, będącej koroną z promieni Słońca. Chyba najbardziej oczywisty ze wszystkich astrologicznych symboli dotyczących Jezusa to dwunastu apostołów. Są zwyczajnie dwunastoma znakami zodiaku, z Jezusem jako Słońcem, które porusza się między nimi, tak jak jest to przedstawione na krzyżu zodiakalnym. Tekst Biblii ma, jak państwo teraz rozumiecie, więcej wspólnego z astrologią niż z czymkolwiek innym. Jej spora część mogła zostać po prostu napisana przez żydowskich uczonych i kapłanów, którzy wiernie przetłumaczyli teksty egipskie. Pośród wielu astronomicznych i astrologicznych metafor w Biblii jedna z najistotniejszych

dotyczy następujących po sobie wieków. Aby to zrozumieć, musimy zaznajomić się ze zjawiskiem zwanym ruchem precesyjnym Ziemi. Niestety, w tej materii poruszam się jak słoń w składzie porcelany, ale mamy dziś na widowni gościa z Pragi – Deskur spojrział w stronę Anny – panią doktor fizyki z Uniwersytetu Karola, przypominę tylko, że to najstarsza uczelnia wyższa w Europie Środkowej, mamy więc panią doktor, która zajmuje się także bliską fizyce kosmologią i zapewne lepiej wytłumaczy państwu to zjawisko ode mnie. Czy możemy panią o to prosić, pani Anno?

Anna wstała z miejsca. Spojrzała na Jana.

– Tak, ale mój francuski... – powiedziała niepewnie.

– Śmiało, na pewno panią zrozumiemy – zachęcał Deskur.

– Dobrze, spróbuję – Anna zaczęła mówić powoli, a potem coraz szybciej, zapominając, że słucha jej cała sala. – Starożytni Egipcjanie oraz wcześniejsze kultury odkryły, że co około 2150 lat wschód słońca o poranku w dniu przesilenia wiosennego występuje w innym miejscu w zodiaku. Wynika to z powolnej zmiany kąta nachylenia Ziemi względem własnej osi. Zwie się to ruchem precesyjnym, bo obserwowane konstelacje cofają się w stosunku do ich normalnego cyklu rocznego. Czas potrzebny na precesyjne przejście przez wszystkie dwanaście znaków wynosi 25.765 lat. Jest to tak zwany Wielki Rok, a starożytni byli go bardzo świadomi. Każdy okres 2150 lat zwali erą. Od 4300 przed Chrystusem do 2150 przed jego przyjściem na świat trwała era Byka. Od 2150 przed Chrystusem do pierwszego roku po jego urodzinach era Barana. Od tamtej chwili do 2150 roku będzie trwała era Ryb. Czyli jesteśmy prawie u jej końca, w roku 2150 wkroczymy w nową erę, Wodnika. Czy ja to zrozumiałe tłumaczę? – niepewnie spojrzała na Deskura.

– Ależ tak, proszę mówić dalej – zachęcił Annę.

– To teraz parę słów o samej Ziemi. Porusza się wokół Słońca po orbicie, która ma kształt elipsy. Średnia odległość naszej planety od Słońca wynosi około stu pięćdziesięciu milionów kilometrów i jest nazywana jednostką astronomiczną. Oś Ziemi jest nachylona do płaszczyzny orbity pod kątem sześćdziesięciu sześciu stopni trzydzieści trzy minuty. W konsekwencji w ciągu roku oświetlenie Ziemi się zmienia. Wyróżniamy takie strefy oświetlenia Ziemi: międzyzwrotnikową, średnich szerokości geograficznych

oraz okołobiegunowe. Ich granice wyznaczają zwrotniki Raka i Koziorożca oraz koła podbiegunowe. Głównymi następstwami tego obiegowego ruchu są: występowanie astronomicznych pór roku, zmieniająca się droga ruchu Słońca po sklepieniu niebieskim w ciągu roku, czyli tak zwana elipsa słoneczna, zmieniające się w ciągu roku miejsce wschodu i zachodu Słońca. Oczywiście są też inne następstwa, ale musiałabym o tym zbyt długo opowiadać. Mówiąc w skrócie: gdybyśmy się wykazali cierpliwością i rejestrowali położenie Słońca na niebie codziennie o tej samej godzinie, bez poprawki na czas letni, to łącząc linią miejsca, przez które przechodzi Słońce, uzyskalibyśmy regularną ósemkę, a więc symbol nieskończoności. Ta ósemka nazywana jest analemą. Czyli Słońce jako nieskończoność, ale też doskonałość. Można zrozumieć, że niektóre religie obrały sobie Słońce za najwyższe bóstwo i że my wszyscy przyjęliśmy w związku z tym analemę jako symbol nieskończoności, choćby w matematyce, fizyce, ale i symbol doskonałości. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, bo nie jestem biologiem, ale różne łańcuchy DNA też mają skłonność do występowania pod postacią analemy właśnie, czyli symbolu doskonałości.

– Dziękuję pani, to ciekawe, co pani mówi – przerwał jej Deskur. – Czyli sami państwo widzicie, że bóg Mitra, bóg Słońca i światłości, nieskończony w swojej doskonałości, zaprowadzający pokój i zgodę między swoimi poddanymi, z którego brały się i biorą inne bóstwa świata, jest niczym więcej jak naszym, ludzkim odkryciem, wynikającym z obserwacji. Czymś w rodzaju owej ósemki – symbolu nieskończoności.

Mówiąc inaczej – tak długo jak ludzie nie podnosili głów ku niebu, wierzyli w bóstwa ziemskie, na przykład w wielkie drzewo. Kiedy podnieśli wzrok i ujrzeli nieboskłon – dali początek nowemu bogowi, z którym wędrujemy do dziś. I tym bogiem jest właśnie Słońce. Nawet Biblia odzwierciedla symboliczną wędrówkę poprzez trzy ery, zapowiadając czwartą. W Starym Testamencie, kiedy Mojżesz schodzi z góry Synaj z dziesięcioma przykazaniami, jest bardzo zły, widząc ludzi oddających cześć złotemu cielcowi. Rozbija więc kamienne tablice i nakazuje swojemu ludowi wzajemnie się pozabijać – by się oczyścić. Większość wierzących łączy ten gniew z faktem uwielbienia przez Izraelitów fałszywego

bożka. W rzeczywistości złoty byk jest astrologicznym Bykiem, a Mojżesz reprezentuje nową erę – Barana. Dlatego Żydzi do dziś nadal trąbią w barani róg. Mojżesz reprezentuje już nową erę, Barana, a w tej erze każdy musi porzucić poprzednią. Inne bóstwa także wskazują to przejście, na przykład nasz Mitra, przedchrześcijański bóg, który zabił byka w tej samej symbolice. Jezus jest postacią przewodnią następnej po Baranie ery, ery Ryb, a dzień jego rzekomych narodzin stał się początkiem tej ery. Myślę, że wszyscy widzieli znak ryby Jezusa, znak *ichthys* – symbol pierwszych chrześcijan, nie wiedząc, co tak naprawdę znaczy. Są ludzie, którzy lubią przyklejać ten znak nawet na bagażnikach albo na szybach samochodów, w ten sposób epatując swoją, niby chrześcijańską tożsamością. W gruncie rzeczy potwierdzają tylko brak wiedzy, którą zastąpiło myślenie magiczne. To pogański symbol astrologiczny solarnego królestwa ery Ryb. Czy mam rację, pani Anno? – znów spojrział w jej stronę.

– Istotnie – odpowiedziała szybko Anna – kosmolodzy, a jeszcze częściej astrolodzy, za każdym razem chcąc tłumaczyć zasady, na jakich opiera się znany nam świat, sięgają po Biblię. Od niej zaczynają, a czasem także na niej kończą, udowadniając, że Biblia, oprócz swojej wartości duchowej, jest także genialnym dziełem naukowym, a może nawet przede wszystkim ma naukową wartość.

– Właśnie – uśmiechnął się Deskur – właśnie to chciałem powiedzieć, a pani mnie uprzedziła. Kiedy więc u świętego Łukasza uczniowie pytają Jezusa, gdzie będzie następna pascha, gdy jego już nie będzie, Jezus mówi mniej więcej tak: „Kiedy wejdziecie do miasta, ujrzyście człowieka niosącego dzban z wodą. Idźcie za nim do domu, do którego wejdzie”. Ten fragment jest jednym z najlepiej odkrywających wszystkie astrologiczne konotacje. Człowiek niosący dzban z wodą to rzecz jasna Wodnik – nie trzeba wielkiej wiedzy, żeby to zrozumieć. Zawsze jest przedstawiany jako człowiek niosący wodę. Reprezentuje erę nastającą po erze Ryb i kiedy Słońce, *Sol Invictus* – Syn Boży, Jezus Chrystus, opuszcza erę Ryb, wejdzie do domu Wodnika. Jako że Wodnik następuje po Rybach w ruchu precesyjnym. Jezus mówi więc, że po erze Ryb nastąpi era Wodnika. Cały pomysł końca świata może być w takim razie złym rozumieniem astrologicznych alegorii, czy tak, pani

doktor? – Deskur znów wywołał Annę.

– Tego nie wiem – Anna znów podniosła się z miejsca. – I podejrzewam, że nawet pan, profesorze, tego nie wie. Poznanie jest możliwe tylko do pewnego stopnia.

– Do jakiego stopnia, pani zdaniem? – odparł zaciekawiony Deskur.

– Poznanie jest możliwe o tyle, o ile mamy na nie przyzwolenie Boga. I to niezależnie od tego, czy mówimy o Mitrze czy o Jezusie lub o ich ojcach: Mazdzie lub Bogu Ojcu. Czy o jakimkolwiek innym bycie początkowym.

– To ciekawe, ale prowadzi do wniosku, że Jezus jest niczym innym, jak tylko mitologicznym powtórzeniem boga Mitry, archetypem boskiej postaci w ogóle.

– Zgadzam się z panem.

– A co, jeśli w niego nie wierzymy? Jeśli nie wierzymy w te wszystkie boskie mity? – Deskur zbliżył się do Anny i Jana.

– Wtedy zaczynamy opowiadać bajki o australopitekach – powiedziała zdecydowanie Anna, a Jan ją uszczypnął w rękę.

– Świetna riposta, gratuluję pani – profesor udał, że nie zauważył złośliwości Anny. Znów wrócił do biurka i siedząc, kontynuował wykład. – Prawda jest jednak taka, że religia chrześcijańska jest tylko parafrazą kultu solarnego, w której podstawiono osobę Chrystusa w miejsce Słońca i oddaje mu się cześć pierwotnie oddawaną Słońcu. Chrześcijaństwo nie opiera się na prawdzie, jest jedynie rzymską historią rozkręconą politycznie. To było polityczne zagranie, by uosobić, uhistoryzować Boga i połączyć oficjalną religię Rzymu, czyli kult Słońca, *Sol Invictus* – Niezwyciężone Słońce, z wyznawcami Jezusa – charyzmatycznego nauczyciela i pobożnego Żyda z Galilei, jakich wielu było w tamtym czasie, zainspirowanego przez współczesnych mu przywódców religijnych. Jezus z Nazaretu równie dobrze mógł być kimś innym. Jakimś Szymonem z Cezarei albo Józefem, powiedzmy z Aszkelonu. O jego prawdziwym życiu nie wiemy praktycznie nic, poza tym, że się urodził za życia króla Heroda Wielkiego. W 325 roku cesarz Rzymu Konstantyn zwołał radę Nicei, gdzie debatowano i rozstrzygano w drodze głosowania wiele elementów nowej religii. Podczas tego spotkania ustanowienie Jezusa Synem Bożym i jego boskość oficjalnie zaproponowano i przegłosowano,

choć nie wszyscy głosowali „za”. Kościół dosłownie ukradł Jezusa jego wcześniejszym wyznawcom, ogłaszając go Bogiem i wykorzystując do rozszerzenia swojej władzy. Zabawne, że ci, którzy nie przyjęli oficjalnej wersji i czcili dalej Jezusa jako proroka i zwykłego śmiertelnika, nazwani zostali heretykami. Konstantyn zamówił i sfinansował nową Biblię. Ewangelie mówiące o Jezusie jako śmiertelniku zostały zwyczajnie zebrane i spalone. Od teraz każdy, kto chciał uzyskać zbawienie, musiał to zrobić przez oficjalnie ustanowiony Kościół rzymski. W konsekwencji wprowadzono dyktaturę i karę śmierci dla heretyków w Cesarstwie Rzymskim, gdy w 392 roku Teodozjusz zakazał praktykowania kultów pogańskich. Tak oto zaczęła się długa historia chrześcijaństwa, przesiąknięta krwią i duchowymi kłamstwami. A przez następne tysiąc pięćset lat Watykan trzymał polityczną władzę nad całą Europą, doprowadzając do okresów zwanych ciemnymi wiekami, podczas których zaistniały krucjaty czy inkwizycja. Chrześcijaństwo, razem ze wszystkimi innymi teistycznymi systemami, do pewnego stopnia jest oszustwem, które polega głównie na ślepym słuchaniu autorytetów duchownych. Od najwcześniejszych lat wciskane jest w bezkrytyczne umysły dzieci, trudno więc się dziwić, iż potrafi świetnie przetrwać i się powielać. Choć islam, zdaje się, robi to jeszcze lepiej. Dzisiaj religia redukuje ludzką odpowiedzialność za naszą cywilizację za sprawą Boga kontrolującego wszystko, a w rezultacie ludzie naprawdę wierzą, że nie mają prawa decydować o własnym życiu, że nie mają prawa świadomie planować rodziny, że nie mają prawa wykorzystywać embrionalnych komórek macierzystych do uleczenia chorób, gdyż wszystko to należy do Boga. Wiara to hipnotyzujące słowo, które nakazuje po prostu wierzyć i nie pytać. Zastępuje ciekawość świata i zdobywanie wiedzy, a w konsekwencji okrutne zbrodnie są usprawiedliwiane właśnie w imię boskiej wiary. Im więcej skrzywdzonych, nieszczęśliwych, cierpiących i niemyślących za dużo, tym więcej kieruje się do Boga, czyli do Kościoła. Księża bazują głównie na ludzkim strachu przed śmiercią i podając się za wysłanników Boga, dokładnie tak samo jak kapłani pięć tysięcy lat temu w Egipcie, obiecują życie pozagrobowe. Prawda jest taka, że wiedzą o nim tyle samo, co ci naiwni ludzie przychodzący po obietnice, czyli nic. I tak

oto potężny mit życia po śmierci, właściwie tylko on, bo reszta go tylko dopełnia, gwarantuje Kościołowi przetrwanie i polityczne wpływy, kosztem rozwoju naszej cywilizacji. Kościołowi, który dopiero dwadzieścia pięć lat temu zrehabilitował Galileusza, przyznając głosem papieża, że ten wybitny filozof, astronom, fizyk i matematyk jednak nie błądził. No, powiem wam, że lepiej późno niż wcale.

Deskur przerwał nagle, jakby zauważył, że w swoich rozważaniach posunął się za daleko. Nieco speszony, zabrał z krzesła marynarkę i począł ją zakładać.

– Wnioski nasuwają się same – mówił, nie podnosząc wzroku. – Wszyscy wierzymy w jednego boga, w Słońce. Dzięki Słońcu istnieje Ziemia, na której może kwitnąć życie, więc życie pochodzi od boga – Słońca. A sąd ostateczny to jego wypalenie. Gdy Słońce zgaśnie, życie na Ziemi zginie wraz z całą naszą cywilizacją, dlatego jest bogiem. Bogiem dla ludzi, ponieważ daje nam życie, i jest Światłem Świata, a widzimy go na niebie. Tylko w przeciwieństwie do swoich mitycznych odpowiedników – uosobień, jest, niestety, bogiem śmiertelnym i kiedyś umrze. Podobnie jak my wszyscy. Chyba że wcześniej, jako gatunek, znajdziemy kolejną ziemię obiecaną. Prawdopodobnie będzie nią inna planeta. Ruszymy wtedy w górę, bo nieboskłon, mimo że jesteśmy jego małym ziarnem, widzimy zawsze u góry, co zresztą potwierdza boskość naszej peregrynacji. Dziękuję państwu za uwagę.

Profesor Deskur poczekał, aż wyjdzie ostatni słuchacz. Wskazał ręką Annie i Janowi krzesła w pierwszym rzędzie, sam zaś usiadł na biurku i przypatrywał się obojgu. Zaczął mówić pierwszy.

– A więc uważacie, że w Lyonie istnieje, a nawet działa mitreum, czyli świątynia Mitry?

– Tak, tak sądzę – Jan spojrzał na Annę, jakby się chciał upewnić, czy ma dalej mówić.

– Mów, mów – ponaglała Anna.

– Czy był pan w kaplicy na Starym Mieście, tej, która kiedyś należała do dominikanów?

– Oczywiście, byłem w każdym lyońskim kościele – Deskur zaczął się niecierpliwić.

– Zauważył pan, że znajduje się w podziemiach? Z zewnątrz tego nie widać, dopiero gdy się wchodzi...

– Proszę pana – przerwał mu Deskur – byłem tam co najmniej pięć razy. Jeśli uważa pan, że mogła tam być świątynia Mitry tylko dlatego, że to miejsce znajduje się w podziemiach, to jest pan w błędzie. Od czasów wczesnochrześcijańskich całe Stare Miasto obniżyło się średnio o metr, półtora metra, a w niektórych miejscach nawet o trzy i więcej metrów. To, co dziś widzicie jako piwnicę, kiedyś było prawdopodobnie na poziomie ulicy. A więc tajemnica została wyjaśniona, możemy iść – zeskoczył z biurka.

– To nie wszystko, profesorze – powiedział stanowczo Jan. – Tam, w miejscu, w którym jeszcze niedawno musiał być ołtarz, teraz jest fresk. Słabo widoczny, zatarty fresk przedstawiający młodzieńca ubranego w rzymską tunikę. Postać ma na głowie czapkę frygijską, w ręce trzyma miecz lub może sztylet i próbuje walczyć, jak mi się wydawało, ze smokiem, ale równie dobrze może to być byk, o którym przecież pan mówił na wykładzie.

Deskur znów usiadł na biurku.

– A kiedy pan widział tego byka czy smoka?

– Przedwczoraj.

– I jest pan pewien, że się panu nie przywidziało?

– Najzupełniej pewien.

– Byłem tam najdalej rok temu – Deskur z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął okulary. Założył je i jeszcze raz zaczął dokładnie lustrować wzrokiem Jana i Annę. – Kaplica była zupełnie pusta, ołtarz składa się z kilku kamiennych bloków. Żadnych fresków, napisów, nic.

– Był pan tam w teatrze?

– W jakim teatrze?

– W Teatrze Bez Końca. Tam jest teatr. Musiał pan o tym słyszeć – powiedział zdziwiony Jan.

– Nie słyszałem. Kiedy byłem tam ostatni raz, na pewno nie było żadnego teatru. Podejrzewam, że moi studenci bywają tam nawet częściej niż ja, bo kaplica jest odzwierciedleniem historycznego eklektyzmu

architektonicznego, mieszaniną przynajmniej kilku stylów. Jeśli tam powstał jakiś teatr, to raczej stało się to niedawno, inaczej coś bym o tym wiedział.

– Dziwne – powiedziała cicho Anna. – Nie wiem, co o tym myśleć.

– Aha – profesor powiedział to w taki sposób, jak się czasem coś mówi, gdy nie wie się tak naprawdę, co powiedzieć. – Może ten fresk jest świeży, może go ktoś ostatnio namalował. Nie przyszło to panu do głowy?

– Nie. Wydaje mi się, że to stare malowidło, bardzo stare, oczywiście nie mam pewności. Zresztą dlaczego ktoś miałby odtwarzać wizerunek Mitry w chrześcijańskim kościele, który przerobiono na teatr?

– Scenografia teatralna – stwierdził Deskur.

– Nie sądzę. O ile wiem, nie grano tam niczego takiego, co by uzasadniało dziwną scenografię. Nie, to niemożliwe – powiedział zdecydowanie Jan.

– Tylko że ja nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć – Deskur rozłożył ręce.

– Może freski ktoś niedawno odsłonił – przyszło do głowy Annie, ale profesor pokiwał przecząco głową.

– Tego nie biorę pod uwagę. Oglądałem to miejsce wiele razy. Kamienne bloki, z których zbudowany jest ołtarz, rzeczywiście pochodzą z trzeciego, czwartego wieku po Chrystusie, ale nie ma mowy, żeby skrywały jakąś tajemnicę.

– Musimy to zobaczyć, profesorze – powiedziała Anna rozkazująco.

– Tak, z pewnością, ale chyba już nie dzisiaj.

– Właśnie dzisiaj, teraz, natychmiast. Może nie przekonała pana opowieść Jana, ale mnie ona przekonuje. Jedziemy, profesorze – powiedziała i podniosła się z krzesła, ale Jan ani profesor nie wstawali.

– No, dlaczego tak siedzicie, jedziemy. Nie interesuje to pana, profesorze? – i zwracając się do Jana – a ty, co tak wrosłeś w krzesło? Tu naprawdę dzieje się coś tajemniczego, ja to czuję przez skórę.

Anna włożyła ręce w kieszenie spodni i przypatrywała się na zmianę to profesorowi, to Janowi, zdziwiona, że nie dzielają jej entuzjazmu. Deskur znów spojrzał na zegarek.

– Dajcie mi chwilę, muszę zadzwonić – wyciągnął telefon, odszedł kilka kroków. Rozmawiał cicho, do Anny i Jana dochodziły tylko strzępy

urwanych zdań. – Możemy jechać – Deskur na powrót schował telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Ale, ale – zatrzymał się w otwartych drzwiach – jak wy się tam chcecie dostać o tej porze? Macie klucz?

– Ja nie mam, ale znam kogoś, kto ma – powiedział Jan. Wyszedł pierwszy. Profesor i Anna szli za nim.

– Kto ma klucz? – spytała Anna.

– Aktorka z tego teatru, wiem, gdzie mieszka.

– Byłeś u niej w domu? – Anna uniosła brwi, na chwilę przystanąła, a profesor razem z nimi.

– Byłem.

– A dlaczego u niej byłeś?

– Anna, daj spokój, po nic nie byłem. Potem ci opowiem, nawet zapomniałem, że tam byłem.

– No dobrze. Profesorze, ma pan tu gdzieś samochód? – Anna poczuła się jak szef ekspedycji.

– Tak, tak, chodźcie za mną, stoi na chodniku przed instytutem.

Anna usiadła obok Deskura, Jan z tyłu. Stare renault nie chciało na początku zapalić. Profesor majstrował kluczem w stacyjce, w końcu silnik zaskoczył i ruszyli.

– Tak to jest ze starymi autami. Podjedziemy jeszcze na chwilę do mojego domu, to niedaleko stąd, muszę coś zostawić i jedziemy dalej – powiedział przepaszająco Deskur. – Lubię stare rzeczy, a one czasem, niestety, odmawiają posłuszeństwa, niezależnie, czy tego chcemy, czy nie.

Jan przypomniał sobie, że to zdanie słyszał już w ostatnich dniach przynajmniej kilka razy.

Zatrzymali się dwie przecznice dalej, przy *rue Roger Brechan*. Deskur nawet nie wyłączył silnika. Niebieska, metalowa tabliczka na murze, częściowo przykryta bluszczem, miała numer 8 z literą A. Profesor wyjął z bagażnika niedużą paczkę, powiedział, że za chwilę wraca, i zniknął po drugiej stronie furtki, która jak cały mur otaczający dom (z ulicy ledwie widoczny) pokryta była serpentynami ciemnozielonych liści. Wrócił rzeczywiście po chwili.

– Niech pan mi mówi, jak mam jechać – odwrócił się na chwilę do Jana, siadając za kierownicą – a pani może niech coś jeszcze opowie o sobie, bo pani mąż już bardzo wiele się naopowiadał.

Anna udała, że nie słyszy słowa „mąż”. Zaczęła mówić o swojej pracy, o tym, że niedawno obroniła doktorat z drugiego prawa dynamiki Keplera, a dokładniej, z porównania elipsy słonecznej z drugim prawem Keplera. Kiedy to mówiła, Deskur na chwilę przyhamował.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – powiedział do siebie profesor.

– Co ciekawe? – spytała Anna.

– Nic, nic, no niechże pan tam nie śpi – odwrócił się do Jana.

– Nie śpię, musimy przejechać Rodan, może tym dużym mostem, za mostem w lewo, o ile dobrze pamiętam, tam jest jednokierunkowa ulica, ale nie wiem, czy w naszą stronę, czy w przeciwną.

– Wiem, wiem – profesor znów się odwrócił. – Przecież to moje miasto, mieszkam w nim siedemdziesiąt lat. Po zmierzchu, czyli już za chwilę, będzie tam trudno wjechać – Festiwal Świąteł – Deskur jeszcze raz się obejrzał, sprawdzając, czy nazwa jest Janowi znana. Jan pokiwał głową. Potem w paru zdaniach opisał Annie, o co chodzi, mówił o tradycji i o tym, że w tym roku festiwal kończy się 13 grudnia, a zaczął 8 grudnia.

– To zrozumiałe – Anna odwróciła się do Jana, oparła ręce na krawędzi siedzenia. Jest takie słynne powiedzenie ludowe: „Święta Łuca dnia przyrzuca”. Dziś są imieniny Łucji, świętej Łucji, patronki niewidomych, która „przynosi światło”. W wierzeniach ludowych 13 grudnia był dniem szczególnej aktywności czarownic, bo z jednej strony mamy jeszcze najkrótszy dzień – słońce coraz później wstaje, ale już zaczyna też coraz później zachodzić, można odnieść wrażenie, że dzień staje się coraz dłuższy. Tego dnia, 13 grudnia, jak żadnego innego dnia roku, ciemność zaczyna przegrywać z rodzącą się w trudach światłością.

– Ale to też święto Lucyfera – wtrącił się Deskur. – On, jak Łucja, też przynosi światło. Męskim odpowiednikiem Łucji jest właśnie Lucyfer, który ma ten sam łaciński źródłosłów. Lucyfer, święty Kościoła, był zresztą biskupem Cagliari w czwartym wieku.

– A, ciekawe, nie zdawałam sobie sprawy, że i Lucyfer nam się dziś pojawi.

– W każdym razie – mówił dalej Deskur – przed zmianą kalendarza juliańskiego na gregoriański najdłuższa noc, po której umownie odradzało się Słońce, wypadła w czasie przesilenia zimowego, 23 grudnia, a następnego dnia, już w światłości, rodził się Bóg, niezależnie od tego, czy mówimy o Jezusie, czy o jego pierwowzorze, czyli Mitrze. Jeśli zgodnie z kalendarzem gregoriańskim od przesilenia odejmiemy 10 dni, wtedy w kalendarzu juliańskim, obowiązującym do 1582 roku, mamy noc z 13 na 14 grudnia, czyli dzisiejszą noc i jutrzejszy poranek. Symboliczny dzień zaślubin Lucyfera z Łucją.

– Aż ciarki przechodzą po plecach – Anna próbowała to powiedzieć niby żartem, ale ani Deskur, ani Jan nie zareagowali. Obu, szczególnie jednak Janowi, w ogóle nie było do śmiechu. Przyszło mu do głowy, że za życia Heinricha Kramera obowiązywał jeszcze kalendarz juliański, dla którego kluczowa była najbliższa noc. To znaczy kluczowa, jeśli chodzi o odrodzenie Słońca. Ale co z tego wynika? Odwrócony, obserwował ulicę. Wydawało mu się, że jakiś samochód, zdaje się też renault, tyle że nowe, w każdym razie młodsze niż samochód Deskura, jedzie za nimi, odkąd ruszyli spod domu profesora. To się zbliżał, to oddalał. W każdym razie bez wątpienia towarzyszył im od dłuższego czasu

– Jedźmy teraz trochę wolniej – poprosił Deskura.

– To już tu? – Deskur jechał teraz dwadzieścia na godzinę i nadal zwalniał.

– Jeszcze kawałek, ale wydaje mi się, że ktoś za nami jedzie, mniej więcej od miejsca, w którym pan mieszka.

W tym momencie renault jadące z tyłu zatrąbiło i samochód wyminął ich, dodając gazu.

– Chyba zaczynasz mieć manię prześladowczą – Anna powiedziała to żartem, ale Jan odpowiedział poważnie:

– Nie wydaje mi się – na co już ani Anna, ani tym bardziej Deskur, nie zareagowali. – Teraz, profesorze, proszę uważać, za chwilę będzie taka krótka, ślepa uliczka w prawo – Jan przyglądał się domom, próbując nie pomylić drogi. Na dworze zrobiło się już szaro, w szarówce, tuż przed zmierzchem, szczególnie łatwo pomylić jeden dom z drugim. – To ten, tak, dwa okna na górze, drugie piętro z lewej strony.

- Ciemno tam jakoś – zauważyła Anna.
- Wszędzie ciemno, jeszcze wcześniej – dodał Jan.

Deskur zaparkował przy chodniku, wygramolił się z auta. Zaproponował, żeby Anna i Jan poszli jednak sami na górę, on zaczeka. Bieganie po piętrach to nie dla niego.

– Jeśli jest w domu, to ją po prostu weźcie, pojedziemy wszyscy. Tylko niech zabierze klucz od kaplicy – zaczął na powrót siadać za kierownicą, ale Anna, zdecydowanym ruchem, przytrzymała go za rękę.

– Nie ma mowy, pan z nami – powiedziała to tak, że Deskur już bez słowa sprzeciwu ruszył razem z nimi.

Drzwi prowadzące na klatkę schodową, mimo podświetlanego domofonu osadzonego tuż przy klamce, były otwarte. Drewniane schody wydawały dźwięki, tworząc muzykę o nieregularnym, synkopowym rytmie. Anna szła pierwsza, za nią Deskur, na końcu Jan. Na zewnątrz dom, właściwie stara kamienica, wyglądał całkiem porządnie. Zdaje się, niedawno odmalowana elewacja, z zieloną, drewnianą bramą prowadzącą na podwórko. Anna już od rana starała się przyglądać miastu. Jak zawsze, gdy wyjeżdżali z Pragi, zwracała uwagę na szczegóły. Brama, balkon, kawałek gzymsu albo całe niezwykle dzielnice miast, miasteczek – nazywała je „bardzo ładne miejsca”. Cały Lyon z pewnością zasłużył, w jej słowniku, na nazwę: bardzo ładne miejsce. Już na pierwszy rzut oka bogate, zadbane, ułożone, czyste. Z bramami kamienic – dziełami sztuki.

Janowi było przeważnie wszystko jedno, gdzie jest. Najlepiej się czuł u siebie, na Małej Stranie. Jeśli w ogóle gdzieś wyjeżdżał, robił to zresztą bardzo rzadko, to tylko wtedy, gdy koniecznie musiał. A i tak zaraz chciał wracać. Do Lyonu przyjechał, bo musiał. „Prawdziwy Czech, woli swoją Małą Stranę niż Paryże, Nowe Jorki czy Londyny, a Pradze niczego, ale to niczego nie brakuje” – powtarzał.

Weszli na drugie piętro. Jan nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę i spróbował jeszcze raz.

- Pewnie jej nie ma – powiedział cicho.

Anna przeszła kilka kroków, stanęła przed drzwiami sąsiadów Julii, po przeciwnej stronie klatki schodowej.

Odwróciła się do Jana i Deskura, jakby chciała zapytać, czy dobrze robi. Deskur kiwnął głową. Nacisnęła dzwonek. Potem drugi, trzeci raz.

Drzwi otworzyła niska, bardzo szczupła kobieta, mniej więcej w wieku Deskura, ubrana w kwiecistą podomkę, z papilotami we włosach.

– O co chodzi? – spytała, przytrzymując drzwi, tak że przez wąską szparę było widać jedynie fragment słabo oświetlonego korytarza.

– My do Julii, pani sąsiadki, ale jej nie ma, wie pani może, gdzie jest? – Anna starała się mówić z najlepszym, na jaką ją stać, francuskim akcentem.

– Nie wiem, o co pani chodzi – kobieta próbowała zamknąć drzwi, ale Anna przytrzymała klamkę.

– Chodzi tylko o to, czy pani wie, co się dzieje z Julią, pani sąsiadką z przeciwka.

Anna przez chwilę mocowała się z kobietą, w końcu kobieta dała za wygraną, odwróciła się, krzyknęła: „Cyril, chodź tu” i zniknęła w korytarzu, zostawiając otwarte drzwi, w których zaraz pojawił się młody, wysoki, barczysty mężczyzna w krótkich spodniach i rozpiętej koszuli ukazującej wydatny brzuch.

– Co jest? – mężczyzna na powrót przytknął drzwi, zostawiając wąski prześwit.

– Pytamy tylko o Julię, waszą sąsiadkę – Anna zrobiła krok w tył, razem z nią Deskur i Jan.

– Jaka sąsiadka? – mężczyzna wyszedł na klatkę, zamykając za sobą drzwi. Przypatrywał się badawczo Annie, Janowi i Deskurowi.

– Julia, byłem tu niedawno, wie pan, gdzie ona jest? Bo w domu jej nie ma – spytał teraz Jan, robiąc krok w przód i dając znak ręką Annie i Deskurowi, żeby zostali z tyłu.

– Proszę pana – mężczyzna zaczął zapinać guziki koszuli. – To mieszkanie po drugiej stronie od paru miesięcy stoi puste, nikt w nim nie mieszka, nic nie wiem o jakiejś Julii, ale bardzo bym się chciał dowiedzieć, o co wam chodzi.

– Jest pan pewien, że nikt tu nie mieszka? – spytał podejrzliwie Jan. –

Byłem w tym mieszkaniu wczoraj, już nie pamiętam, czy przedwczoraj, w każdym razie z pewnością spędziłem w nim około godziny.

– No to chyba musiał się pan włamać, bo pan Daquin wyprowadził się na cmentarz jakoś w kwietniu czy maju i od tamtej pory mieszkanie stoi puste, a pan Daquin, obawiam się, już nie wróci. Biedak nie miał nawet żadnej rodziny.

– To niemożliwe – Jan nie bardzo wiedział, co ma w tej chwili powiedzieć.

– Chyba wiem, co mówię – mężczyzna otworzył drzwi, krzyknął: – Mamo, prawda, że pan Daquin wyciągnął kopyta kilka miesięcy temu i że nikt tu po nim nie mieszka?

Kobieta na powrót pojawiła się w drzwiach. Zlustrowała wzrokiem Jana, który stał najbliżej.

– No pewnie, że nikt tu nie mieszka – przeniosła wzrok na Annę i Deskura. – A wy tak łazicie po mieszkaniach? Cyril – złapała za łokieć syna – czytałam o ludziach, co szukają pustych mieszkań, wiesz, ktoś umiera, nie ma spadkobierców i natychmiast pojawiają się hieny, które sobie roszczą pretensje do majątku zmarłego.

– Zapewniam panią, że nie mamy złych intencji – teraz Anna zrobiła krok w przód. – Po prostu próbujemy coś wyjaśnić. Może ktoś się tu wprowadził, a wy nie zauważyliście?

– Cyril – kobieta mocniej złapała syna za łokieć – ona jakoś dziwnie mówi, jak nie-Francuzka, dzwoń po policję.

– Spokojnie, proszę się nie denerwować – Jan ręką dał znać Annie, żeby się cofnęła. – Przepraszam, spróbujemy to inaczej wyjaśnić.

– I jeszcze nam grożą, Cyril, słyszysz? – kobieta pociągnęła syna w stronę drzwi.

– Nie, nie, już idziemy, dziękuję i jeszcze raz przepraszam – Jan wziął Annę za rękę, Deskur sam zrobił krok w tył i pierwszy zaczął schodzić w dół, za nim Anna i Jan. Dopiero na parterze usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

Wyszli na ulicę. Zaczął padać deszcz, a właściwie mżawka, trochę deszczu, trochę małych, mokrych płatków śniegu, siekących policzki, więc cofnęli się do sieni.

– I co? – milczący do tej chwili Deskur spojrział badawczo na Jana.

– Sam nie wiem, o co chodzi – Jan wyszedł na chodnik, podniósł głowę. We wszystkich oknach kamienicy, z wyjątkiem okien mieszkania Julii, świeciło się światło.

– Nie pomyliłeś domu ani piętra, Janie, prawda? – Anna pokiwała głową, jakby chciała sama sobie odpowiedzieć twierdząco.

– Nie pomyliłem – Jan wyszedł na ulicę, jeszcze raz spojrzął w górę. – Na pewno ta kamienica i to mieszkanie.

– To co jeszcze chcecie mi pokazać? – spytał Deskur, a Jan i Anna wyczuli w pytaniu lekko drwiący ton.

– Niech mi pan wybaczy, profesorze, ale tu się coś dziwnego dzieje – Jan patrzył to na Deskura, to na Annę.

– Sam to widzę, nie musi pan mówić – Deskur zmarszczył brwi. – Jeśli chcecie, mogę was podwieźć do hotelu. Ja wracam do domu, na dziś mam już dosyć tej wycieczki – wyszedł z bramy, stanął na chodniku, czekając, aż pójda za nim.

– Chwileczkę, profesorze – Anna przytrzymała Deskura za rękaw płaszcza. – Jedźmy do tego teatru. Skoro już pana mamy, musimy tam pojechać.

– Ależ, droga pani, jak pani tam chce niby wejść? – Deskur, nie czekając na odpowiedź, ruszył do auta, a za nim Anna i Jan.

Deskur uruchomił silnik i pytająco spojrzął na Annę, a potem odwrócił głowę na tylne siedzenie zajmowane przez Jana.

– Mam inny pomysł, profesorze – Jan sięgnął do kieszeni spodni, wyjął portfel i zaczął czegoś szukać. – Jeśli ten komisarz, który ze mną rozmawiał, już tu był, jeśli szukał Julii, to może wie więcej niż my. Mam tu gdzieś jego wizytówkę, o, jest. Mógłby pan włączyć światło?

– Niech pan mi to da – Deskur sięgnął do kieszeni marynarki po okulary. – I co my tu mamy? Benoit Givet, numer telefonu, to wszystko, adresu brak. Rozumiem, że chcecie mnie zaciągnąć na komisariat, tylko nie wiem, na jaki i szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego.

– Janie, dzwoń do niego – Anna podyktowała numer.

Jan wprowadził numer Giveta, zadzwonił, ale telefon komisarza był

odłączony. Zadzwoił drugi, trzeci raz. Za każdym tak samo. Telefon Giveta milczał.

– Panie profesorze – Anna znów przejęła rolę kierownika wyprawy. – Nie możemy tego tak zostawić. Podjedźmy do najbliższego posterunku, czy jak wy to nazywacie, komisariatu. Z pewnością znają tego Giveta, to nas z nim chyba jakoś skontaktują. Czy mogę pana o to prosić? – zajrzała mu w oczy tak głęboko, że profesorowi nie wypadało odmówić.

– No dobrze, ale nie musimy jechać, wystarczy przejść sto, może dwieście metrów, komisariat dzielnicowy jest za rogiem – Deskur zgasił silnik, wysiedli z auta i ruszyli pieszo.

Komisariat zajmował parterową oficynę w podwórzu kilkupiętrowej kamienicy na *rue de la Charite*, pod numerem 47. Żeby do niego trafić, trzeba było przejść otwartą na oścież bramę, wejść na dziedziniec i skierować się w prawą stronę. Mała tablica przy drzwiach informowała: *Commissariat Lyon 2 Eme*.

W środku, tuż przy wejściu, na początku korytarza prowadzącego do kilku pokoi, drzemał za biurkiem mężczyzna, mniej więcej w wieku Jana, ubrany w czarny sweter z zawiązanym na szyi wełnianym, zielonym szalikiem. Kiedy wszyscy troje stanęli przed biurkiem, mężczyzna się ocknął.

– Tak, słucham – powiedział, prostując się w fotelu.

– Nazywam się Jan Gutman, Chcieliśmy się skontaktować z komisarzem Benoit Givetem – zaczął Jan. – Próbowałem do niego dzwonić, ale telefon nie odpowiada, to ważne, mamy mu coś do przekazania, to znaczy coś do powiedzenia.

– Z kim, z kim? – mężczyzna zdjął szalik i położył na biurku.

– Komisarz Givet, Benoit Givet – Anna uprzedziła Jana. – Profesorze – spojrzała na Deskura – wizytówka!

Deskur położył wizytówkę na biurku i cofnął się, stając za Anną i Janem. Mężczyzna przez chwilę przypatrywał się wizytówce.

– Tu nie pracuje żaden Givet – oddał Annie wizytówkę. – A o co pani, to znaczy pani i panom, chodzi właściwie?

– No właśnie tłumaczę, że chcemy się skontaktować z pana kolegą,

komisarzem Givetem – Jan oparł ręce o biurko.

– Niech pan mi się tu nie opiera – zareagował nerwowo mężczyzna, dając znak ręką, żeby Jan się cofnął. Przysunął się jeszcze bliżej biurka. – Serge! – zawołał, a z najbliższego pokoju wysunęła się najpierw szpakowata głowa, a potem tułów mężczyzny, ubranego identycznie, w czarny sweter i szalik, tyle że ceglasty, zarzucony na szyję.

– O co chodzi? – szpakowaty mężczyzna zobaczył trójkę petentów, zamknął za sobą drzwi i poszedł do biurka. – Komisarz Serge Trudot, słucham, o co chodzi? – powtórzył.

– Szukamy komisarza Giveta, waszego kolegi... – chciał mówić dalej, ale Trudot mu przerwał.

– Chwileczkę, zapraszam do siebie – Trudot pokazał ręką drogę, poszedł pierwszy, a za nim Jan, Anna i Deskur.

Kiedy już wszyscy byli w środku, Trudot usiadł w fotelu za biurkiem, gościom wskazując krzesła przed biurkiem. Były tylko dwa, więc Anna, Jan i Deskur cały czas stali.

– Ach, proszę wybaczyć – zorientował się Trudot, przesunął swój fotel na drugą stronę, sam usiadł na krawędzi biurka, a Deskur, Jan i Anna zajęli miejsca przed solidnym, okazałym meblem. Deskur w fotelu, Jan i Anna na krzesłach.

– To jeszcze raz – zaczął Trudot. – Kim jesteście i kogo szukacie – powiedział, przyglądając się na zmianę wszystkim trojgu.

Jan pokrótce opowiedział, kim jest i co go sprowadziło do Lyonu, przedstawił Annę, na końcu Deskura.

– Profesor Deskur pracuje na waszym uniwersytecie... – Jan zawiesił głos, chciał mówić dalej, o komisarzu Givet, ale Trudot mu przerwał.

– To pan, profesorze? – spytał zaciekawiony.

– Ja, a co?

– Nigdy nie miałem przyjemności pana poznać, chociaż bardzo chciałem – komisarz, siedząc na krawędzi biurka, przyjął niemal wyprostowaną pozycję.

– Moja córka u pana studiowała, to znaczy chodziła na pana seminarium, prawie dwa lata. Wiele mi o panu opowiadała, o tych różnych pana koncepcjach antropologicznych. Przyznam, zajmujące, bardzo zajmujące...

– Bardzo mi miło, panie komisarzu – Deskur skinął głową, jakby chciał się w ten sposób przywitać. – A pana córka? Jak się nazywa pana córka?

– Tak jak ja, Trudot, Julie, Julia Trudot, pamięta pan może?

– Jakże miałbym nie pamiętać! – twarz profesora pojaśniała. – Przecież to była moja najlepsza studentka. Niestety, nie dokończyła seminarium. Rok, może dwa lata temu przerwała studia i jak mi mówiono, wyjechała z Lyonu, a nawet, zdaje się, w ogóle z Francji.

– To już prawie trzy lata, profesorze, trzy lata – Trudot na chwilę się zamyślił. – Czas leci szybko profesorze, niezależnie od tego, czy chcemy, czy nie.

Jan po raz kolejny, trzeci czy czwarty, usłyszał to samo zdanie, od kiedy przyjechał do Lyonu. Deskur i Trudot byli zajęci sobą, więc ukradkiem nachylił się do ucha Anny i szepnął:

– Oni wszyscy mówią tu o czasie, kolejny raz to słyszę.

– Nie rozumiem, potem mi to wytłumaczysz – Anna szepnęła tym razem do ucha Jana.

– A gdzie ona, gdzie pana córka, że tak powiem, przebywa teraz? Wszyscy mieliśmy nadzieję, że zostanie na uczelni. Jej prace seminaryjne mnie samego, starego profesora, zaskakiwały oryginalnością. To naprawdę bardzo inteligentna młoda dama – ożywił się wyraźnie Deskur.

– Bóg raczy wiedzieć, profesorze, gdzie ona jest – Trudot, siedząc cały czas na krawędzi biurka, założył nogę na nogę i pochylił się w stronę Deskura.

– Przez dwa lata dawała znać. Uczyła francuskiego, była nawet gdzieś na Triobrandach, takie wyspy, wie pan, pisała co parę tygodni, ale zdarzało się i tak, że wcześniej przez kilka miesięcy nie mieliśmy od niej z żoną wiadomości. Jechała po śladach brytyjskiego naukowca sprzed prawie półtora wieku, Malinowskiego...

– To akurat polski etnolog, nie brytyjski – poprawił Deskur.

– Mniejsza z tym. W każdym razie parę miesięcy temu napisała z Paryża, i to był ostatni list. A wie pan, że ona nigdy nie miała telefonu komórkowego?

Dziwne, prawda? I nigdy nie można się było z nią skontaktować przez Internet? Mówiła, że wszystkie, najważniejsze odkrycia naukowe zdarzyły się, zanim ludzie mieli telefony komórkowe i Internet.

– Jest w tym dużo racji – przyznał Deskur.

– Ja tak nie uważam, profesorze – obruszył się komisarz. – Telefon to bardzo praktyczne odkrycie, można się za jego pomocą kontaktować. A ona nie chciała chyba z nami...

– Panowie – Anna przerwała dyskusję Deskura z Trudot. – Zostawmy te rozważania na później. Nie przyszliśmy tu, panie komisarzu, żeby rozmawiać o pana córce.

– No tak, przepraszam – Trudot usadowił się na biurku, wziął do ręki notes i długopis, chwilę nim popstrykał, to wysuwając, to chowając wkład, a potem zaczął zadawać pytania, notując odpowiedzi.

– Czyli tak, powiedzcie jeszcze raz, jak się nazywacie, kogo szukacie, bo rozumiem, że pan, profesorze, jest częścią tej niewielkiej grupy poszukiwawczej. Ktoś wam się zagubił? – Trudot spojrzał na Deskura, jakby odpowiedzi oczekiwał właśnie od niego, ale Deskur jedynie wzruszył ramionami, pokazując głową na Jana i Annę.

– Istotnie – zaczął Jan. – Pan profesor jest tu z nami tylko dlatego, że go o to prosiliśmy, poznaliśmy się dziś na jego wykładzie. Jak panu wcześniej powiedziałem, od kiedy jestem w Lyonie, miały miejsce dziwne zdarzenia, w których przypadkiem uczestniczyłem. W końcu, w hotelu, w którym mieszkam...

– Jaki to hotel? – spytał Trudot, a Jan podał nazwę i adres.

– W tym hotelu – mówił dalej Jan – pojawił się wczoraj jeden z pańskich kolegów, komisarz Benoit Givet. Doszło do czegoś w rodzaju przesłuchania, jak mi się wydaje. Givet prowadził dochodzenie w sprawach zagadkowych śmierci, prawdopodobnie jakoś ze sobą powiązanych. Lub też niepowiązanych, mniejsza z tym. Ja w każdym razie znałem oboje...

– Oboje, czyli kogo pan znał – Trudot przerwał notowanie, bo zaczął się gubić w tej nieco chaotycznie opowiadanej przez Jana historii.

– No właśnie, pani Becu i brat Guzman z zakonu dominikanów, no a potem jeszcze nasze odwiedziny u aktorki, którą poznałem po przyjeździe

do Lyonu, byłem nawet u niej w mieszkaniu, ale jak tam dziś wszyscy wróciliśmy, to się okazało, że w tym mieszkaniu od wielu miesięcy nikt nie mieszka.

– Zaraz, zaraz – Trudot już całkiem się pogubił. – Najpierw powiedzcie, kogo właściwie szukacie.

– Szukamy komisarza Benoit Giveta – wtrąciła się Anna – pana kolegi zapewne, ponieważ Givet sam prosił Jana o kontakt, gdyby rzecz jasna coś się działo. A dzieje się, bo gdzieś przepadła ta aktorka, którą Jan poznał. A ponieważ telefon Giveta milczy, usiłujemy się z nim skontaktować bezpośrednio, dlatego tu jesteśmy, rozumie pan...

– Oczywiście, że rozumiem – powiedział Trudot, chociaż nadal niewiele rozumiał z tej opowieści. Znów popstrykał długopisem. – Jak nazwisko tego komisarza?

– Givet. Benoit Givet – powtórzył Jan.

– Givet... – zamyślił się Trudot. – Benoit... – znów pstrykanie długopisem. – Nie, na pewno nie. Nie znam. Ale w Lyonie jest około setki, może i więcej komisarzy, możliwe, że nigdy się nie poznaliśmy, chociaż z drugiej strony wydawało mi się, że znam wszystkich. Proszę mi dać do niego numer telefonu.

Jan przeczytał numer z wizytówki. Trudot spróbował raz, potem drugi. Telefon Giveta nadal milczał.

– Dobrze, zrobimy inaczej – nacisnął klawisz stacjonarnego telefonu ustawionego na biurku. – Gael, tak, tak, to ja – zaczął Trudot. – Słuchaj, sprawdź mi proszę, Benoit Giveta – Trudot przeliterował dla pewności nazwisko – komisarz, sprawdź, gdzie pracuje, może to któryś z nowych, bo go nie kojarzę – czekał minutę, może dwie, pstrykając długopisem. – Nie ma? Jesteś pewien? Nigdzie w Lyonie? A wejdź do centralnej kartoteki, może ten cały Givet jest tylko oddelegowany do Lyonu – znów oczekiwanie. – Jesteś pewien? Rozumiem, to dziwne. No nic, zobaczymy się wieczorem, tak? Świetnie. Przygotuj się, bo wiesz... Nie, nie, nic się nie stało. No, trzymaj się.

Trudot odłożył na miejsce słuchawkę telefonu. Zakłopotany spojrzał najpierw na Deskurę, potem na Annę i na końcu na Jana.

– Przykro mi, ale komisarza o takim imieniu i nazwisku nie ma nie tylko w Lyonie, ale w całej Francji. Obawiam się, że ktoś wam zrobił głupi kawał, podając się za policjanta, lub mamy tu do czynienia z przestępstwem świadomego podszywania się pod policję dla osiągnięcia jakichś celów, tylko że nie wiem, jakich. Jeśli złożycie zawiadomienie – tu Trudot popatrzył na Jana i Annę – zaczniemy szukać tego, prawdopodobnie, przebierańca.

– Chyba będę musiał tak zrobić – Jan spojrział na Annę – bo ten policjant czy ktoś, kto udawał policjanta, zatrzymał mi paszport.

– Co? – Trudot podniósł się z biurka. – Jak to zatrzymał? I pan mu tak po prostu oddał swój paszport? Gdzie to się działo?

Jan opowiedział o spotkaniu w hotelu i o tym, że człowiek podający się za policjanta wyglądał wiarygodnie. Rozmawiali może pół godziny. Był jeszcze jego pomocnik, niższy rangą, bo Givet wydawał mu polecenia.

– I pan, w swojej naiwności, nie wziął pod uwagę, że to mistyfikacja? Że jak się komuś odbiera paszport, to trzeba zrobić protokół, potem go podpisać, i że można tych czynności dokonać tylko w siedzibie policji, za zgodą prokuratora? Pan, człowiek wykształcony, że tak powiem, obyty, dał się tak podejść? – Trudot patrzył na Jana ze zdziwieniem, ale też z czymś w rodzaju politowania.

– A co pan by zrobił na moim miejscu? Przecież wszystko wydawało się logiczne, wiarygodne – Jan się nieco obruszył. – Łatwo panu mówić, ale ja nie znam procedur. Jeśli odnajduje mnie policja, w dodatku w hotelu, i rozpytuje o rzeczy, o których nikt postronny nie powinien wiedzieć, to jak pana zdaniem miałem się zachować? Zadzwoić do jakiegoś Gaela z pytaniem, czy zna Giveta? – Jan, nieco poirytowany, podniósł głos.

– Niech pan się nie denerwuje – Trudot znów się zamyślił. Rzucił okiem na swoje notatki pisane przed chwilą. – Właśnie, właśnie, mówił pan o jakichś tajemniczych śmierciach, które interesowały naszego przebierańca.

Jan jeszcze raz opowiedział o pani Becu, o Jeanie. O tym, że znalazł ich martwych, i że jemu samemu wydawało się, że te śmierci nie wyglądały na naturalne, na pewno były nagłe. Pomiął sprawę przeora. Uznał, że dwa

trupcy na razie w zupełności wystarczą.

– Zaraz – Trudot znów nacisnął klawisz telefonu. – Gael, wybacz, że ci znów zawracam głowę, ale gdybyś jeszcze mógł sprawdzić dwa wydarzenia z ostatnich dni, zdaje się, ostatnich dwóch dni – kątem oka spojrział na Jana, który pokiwał głową. – Śmierć, być może morderstwo, dwóch osób. Kobieta o nazwisku Becu, mężczyzna o nazwisku Guzman, zresztą zakonnik. Dobrze, tak, oddzwoń, jak coś znajdziesz.

Czekając, aż kolega oddzwoni, komisarz znów wdał się w pogawędkę z Deskurem. Mówił o książkach profesora z dedykacją dla córki, które stoją w jego domowej bibliotece.

– Córka nigdy nie zagrzewa miejsca, gdziekolwiek jest, więc woli swoje rzeczy, także książki, trzymać u nas, wie pan, jak to jest z dziećmi, które szukają dla siebie miejsca... – wytłumaczył Trudot.

– Niestety, nie wiem – westchnął Deskur. – Tak się złożyło, że nie mam dzieci.

– Czasem myślę – Trudot brnął dalej, nie słuchając, co mówi Deskur – że człowiek, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie jest stworzony do posiadania potomstwa. Chyba że traktujemy rzecz utylitarnie, dziecko jako inwestycja na przyszłość. Z pewnością jednak nigdy nasza inwestycja nie będzie nam zwrócona w całości czy choćby w części. Czyli, mówiąc krótko, inwestujemy tak czy inaczej bez oprocentowania, co przyzna pan, profesorze, nie może być traktowane jako inwestycja udana. W dodatku tracimy nad nią kontrolę, co już się wydaje zupełnie nieracjonalne.

Jan i Anna, słuchając, rozglądali się po gabinecie. Na trzech ścianach, z wyjątkiem tych wejściowych, wisało pełno map i dyplomów. Mapy Francji, regionu Alpy – Rodan, Lyonu i podlyońskich miejscowości. Jan usiłował przeczytać napisy na dyplomach, tych, które wisały najbliżej.

„Dla Serge’a Trudot za zajęcie czwartego miejsca w LXIII Krajowych Zawodach Strzeleckich Policji. Chartres 8 maja 2013”. Kolejne dyplomy: dla całego komisariatu za zwycięstwo w konkursie na najlepszy komisariat regionu, ze zdjęciem sześciu mężczyzn, w tym Trudota, w mundurach. Dla samego Trudota za wyłowienie największego szczupaka w policyjnych

zawodach wędkarskich (ryba na zdjęciu, trzymana przez komisarza, sięgała mu od pasa do ziemi). Dyplom dla Julii Trudot, za wygraną w zawodach pływackich...

Zadzwonił telefon, Trudot szybko odebrał. Ktoś w słuchawce, prawdopodobnie Gael, coś mu tłumaczył, więc komisarz powtarzał tylko: „Tak, tak, rozumiem, tak, rozumiem, tak, tak, sprawdziłeś dokładnie, prawda? Rozumiem, Gael, dziękuję, już ci nie będę zawracał głowy. Nie, nie, wszystko porządku, naprawdę, trzymaj się”

– Szanowni państwo – Trudot zwrócił się do wszystkich, odkładając słuchawkę. – Lyon, mimo że wielkie, to jednak w porównaniu z innymi metropoliami bardzo bezpieczne miasto. Rocznie popełnianych jest tu zaledwie od kilku do kilkunastu zbrodni. Nic takiego nie miało miejsca w ostatnich dniach. Nawet jeśli ktoś umiera z przyczyn naturalnych, to taka informacja, niejako z rozdzielnika, prawie natychmiast po wyjściu lekarza trafia do naszego zbioru danych. Kolega sprawdził dane za ostatni miesiąc. W tym czasie w Lyonie nie umarł nikt o nazwisku Becu ani nikt, kto by się nazywał Guzman. Myślę, że to dla was – tu spojrzał na Annę i Jana – bardzo dobra informacja. Wasi znajomi żyją. Dla mnie ta informacja ma inną wartość. Bo albo wasze opowieści są czystą konfabulacją, albo rzeczywiście mamy do czynienia z czymś, co trzeba wyjaśnić. Na przykład wasz udział w całej tej historii.

– A nie bierze pan pod uwagę, że mogli umrzeć albo nawet ktoś mógł ich zabić i w obu przypadkach komuś mogło zależeć na tym, żeby nikt się o tym nie dowiedział? – spytała zaczepnie Anna.

– Takie rzeczy mogą się zdarzyć – w głosie Trudota można było znów wyczuć nutę ironii – najczęściej w filmach kryminalnych. Sam jestem miłośnikiem filmów Hitchcocka. Na przykład w filmie „Kłopoty z Harrym” ktoś umiera, nie wiadomo, czy zabity, czy śmiercią naturalną, i nikomu nie zależy na ujawnieniu tego faktu. Jednak to film, w dodatku właściwie komedia. W filmach takie rzeczy mogą się zdarzyć i zdarzają.

– Jednak tu się też wydarzyły... – Anna mówiła dalej, niezrażona tonem komisarza.

– Jest pani pewna? Przecież pani przy tym nie było, wszystko zna pani

jedynie z opowieści pana – spojrzał do swoich notatek – pana Gutmana.

Jan powinien odpowiedzieć komisarzowi, ale od kilku chwil przyglądał się wiszącemu na ścianie dyplomowi. A właściwie zdjęciu młodej dziewczyny na dyplomie, ubranej w jednoczęściowy kostium pływacki. Przeczytał: „Za zajęcie pierwszego miejsca... Dla Julii Trudot...”

– Proszę pana... – Anna wydeła policzki, zrobiła minę, jakby słowa Trudota ją osobiście zabołały. – Byłoby lepiej, gdyby pan komisarz, chociaż przez chwilę, uważniej słuchał, co się dzieje w pana mieście.

– Tak, a co się takiego dzieje? Może mnie pani oświeci – Trudot spojrzał na Deskura, który zniecierpliwiony, od czasu do czasu zerkał na zegarek.

– Wolałabym, żeby to pan nam powiedział... – Anna przerwała, bo Jan nagle wstał i podszedł do ściany. Przypatrywał się teraz z bliska zdjęciu młodej dziewczyny na dyplomie.

– Panie komisarzu – odwrócił się do Trudota, pokazując ręką na dyplom. – To pana córka?

– W samej rzeczy, moja córka – odpowiedział Trudot, zdziwiony nagłym zainteresowaniem Jana. Anna i Deskur, niemniej zdziwieni, patrzyli na Jana.

– To zdjęcie sprzed paru lat, prawda?

– No widzi pan, sprzed pięciu, może sześciu, jest tam napisane, a co?

– Nie mogę się mylić. To jest Julia. Właśnie jej szukamy. Aktorka Teatru Bez Końca. Mówiłem o niej, ale nie wiedziałem, że to pana córka – Jan przerwał, odszedł od ściany i ciężko usiadł na krześle.

Zapadła cisza. Anna spojrzała na Jana, na Trudota, na Deskura. Jan siedział ze wzrokiem wbitym w dyplom na ścianie. Deskur kręcił głową z niedowierzaniem. Komisarz zerwał się z biurka i pierwszy przerwał ciszę.

– Panie Gutman, czy jak się tam pan nazywa – jego twarz poczerwieniała. – Czego pan właściwie chce? Opowiada pan jakieś brednie, ja dzwonię po kolegach, żeby wyjaśniać pana imaginacje, ale teraz to już pan przesadził. Jeśli natychmiast stąd nie wyjdziecie, przepraszam, profesorze, nie mówię do pana, każę pana i panią wyprowadzić. Zresztą zrobiłbym to już dawno,

gdyby nie obecność profesora Deskura.

– Niech się pan uspokoi – Jan powiedział to w taki sposób, że komisarz znów opadł na biurko. – Julia, pana córka, jest w Lyonie. Poznaliśmy się dwa, trzy dni temu. A pół godziny temu próbowaliśmy ją odwiedzić w mieszkaniu, do którego mnie zaprosiła, już o tym opowiadałem. Według sąsiadów nikt w tym mieszkaniu od dawna nie mieszka. To wszystko.

– Tak było, profesorze? – Trudot wbił wzrok w Deskura.

– No tak – Deskur bezradnie rozłożył ręce. – Sąsiedzi nas właściwie przegonili, twierdząc, że w mieszkaniu, do którego chcieliśmy się dostać, nikt od dawna nie mieszka. Ale czy tam ewentualnie mieszkała właśnie pana córka, tego przecież nie mogę wiedzieć. Nawet trochę mi się to wszystko wydaje nieprawdopodobne. Mam wrażenie, że niechcący uczestniczę w jakimś *teatrum*, nic z tego nie rozumiem. A w dodatku coraz bardziej zaczynam czuć coś w rodzaju dyskomfortu. Najchętniej wróciłbym do domu, zostawiając pana, komisarzu, z moimi, dopiero co poznanymi, czeskimi przyjaciółmi. Jesteście solidnie wykształceni i zdaje się, nawet mili – uśmiechnął się do Anny, a ona też odpowiedziała uśmiechem – z tym że wasze opowieści są, jakby to powiedzieć, w znacznym stopniu skomplikowane. Nie mówiąc o tym, że brzmią nieprawdopodobnie.

Trudot wstał. Zaczął nerwowo chodzić od ściany do ściany, pstrykając przy tym raz po raz długopisem. Scena, na pierwszy rzut oka, wyglądała komicznie. Deskur, Anna i Jan śledzili komisarza wzrokiem, odwracając głowę w tę i we w tę. W jedną, w drugą stronę. Jak studenci na egzaminie, oczekujący werdyktu egzaminatora.

Trudot zatrzymał się przy ścianie, na której wisiał dyplom ze zdjęciem jego córki. Przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym zdjął ze ściany i przystawił niemal do nosa Janowi.

– I co, panie Gutman – powiedział głośno, ale zaraz znacznie ciszej, jakby sam zauważył, że niepotrzebnie podniósł głos – uważa pan, że to Julia, moja córka, tak?

– Jestem tego pewien – Jan odsunął od siebie dyplom w szklanej ramce. – To znaczy jestem pewien, że ją poznałem i że ma na imię Julia, przynajmniej tak mi ją przedstawiono. A czy to pana córka, to już pan najlepiej wie.

– Tylko bez impertynencji, kolego – obruszył się Trudot, z powrotem wieszając dyplom na ścianie. – Nie wiem, dlaczego miałbym panu wierzyć. No, niech mi pan powie, dlaczego?

Znów zapadła cisza. Trudot odłożył długopis. Usiadł na biurku wpatrzony w Jana, który zastanawiał się, jak ma odpowiedzieć na pytanie komisarza i czy w ogóle jest sens odpowiadać. Deskur znów zerknął na zegarek. Anna, jak zwykle, poczuła się w obowiązku przerwać ciszę.

– Uważa pan, żeśmy to wszystko wymyślili? Naprawdę? – przysunęła się razem z krzesłem do biurka. – Akurat pan powinien wiedzieć, że najbardziej nieprawdopodobne scenariusze okazują się często prawdziwe. Czy nie mam racji?

– Do czego pani zmierza? – Trudot poszukał wzrokiem Deskura, ale profesor znów bezradnie rozłożył ręce.

– To panu powinno zależeć na wyjaśnieniu całej historii, z pewnością bardziej niż nam, zwłaszcza że się pojawił wątek osobisty, na pierwszy rzut oka chyba po to, żeby jeszcze bardziej zagmatwać i tak skomplikowaną historię.

– Dobrze – Trudot wstał, podszedł do okna. – Załóżmy, że to prawda – mówił, odwrócony plecami. – Nawet jeśli tak – wrócił, usiadł na biurku, przyglądając się na przemian Annie i Janowi – nie wiem, co miałbym z tym zrobić, jak państwo myślicie, co?

Anna i Jan milczeli. Deskur chciał coś powiedzieć, ale komisarz go uprzedził.

– Dobrze – powtórzył Trudot, wstał, wziął do ręki notes, włożył do kieszeni długopis, sięgnął po szalik, zdjął ze ściany dyplom ze zdjęciem Julii, wyjął go z oszklonej ramki. – Idziemy w takim razie – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Do mieszkania Julii? – spytał Jan.

– A dokąd? Oczywiście, jeśli to rzeczywiście była moja córka, a wy – Trudot znów spojrzał na Jana i Annę – nie macie jakichś zwidów czy czegoś

takiego. Bardzo proszę, państwo przodem.

Przeszli korytarzem do wyjścia. Trudot zatrzymał się przy biurku dyżurnego policjanta, przerywając mu kolejną drzemkę.

– Nicolas, idziesz z nami – powiedział – zamknij dobytek, za chwilę wracamy.

Szli wąskim chodnikiem jedno za drugim, jak procesja. Najpierw Jan, za nim Anna, potem Trudot, dalej Deskur, na końcu młody policjant. Deszcz przestał padać, ale w powietrzu unosiła się delikatna mgła. Kiedy przechodzili obok samochodu Deskura, profesor wyprzedził Annę i Jana, zatrzymał komisarza.

– Panie komisarzu – złapał Trudota za rękaw swetra – niech mi pan wybaczy, ale ja dalej nie idę. Późno już, a ja mam jeszcze sporo do zrobienia, ostatni dzień Święta Świąteł, wie pan. Nie sądzę zresztą, żebym wam mógł pomóc. Wracam do domu, a pani i panu – odwrócił się do Jana i Anny – życzę przede wszystkim spokoju i równowagi.

– Oczywiście, oczywiście, profesorze – Trudot podał rękę Deskurowi – do zobaczenia, do widzenia w jakichś normalnych okolicznościach.

Poczekali, aż Deskur usadowi się w swoim aucie. Gdy odjechał, ruszyli dalej.

Kiedy stanęli przy *rue Franklin* 52 (Jan dopiero teraz spojrzał na nazwę ulicy i numer domu), Anna pierwsza weszła do sieni, za nią Jan, Trudot i młody policjant, który nie rozumiał, dlaczego tu jest, ale szedł karnie, wykonując polecenie przełożonego.

Na drugim piętrze Anna najpierw nacisnęła dzwonek mieszkania Julii i od razu dzwonek po drugiej stronie korytarza. W drzwiach natychmiast pojawił się ten sam, młody mężczyzna w krótkich spodniach.

– Czego znowu – zmierzył wzrokiem całe towarzystwo. – Ile wam można mówić, że tam nikt nie mieszka, mam faktycznie dzwonić po policję?

– Komisarz Serge Trudot, policja miasta Lyon – Trudot wyjął legitymację

i machnął mu ją przed oczami.

– O, to coś nowego – mężczyzna przyjął udawaną postawę na baczność. – Cyril Mahut, mieszkaniec *rue Franklin 52*, także miasto Lyon.

– Zna pan osoby mieszkające naprzeciwko? – komisarz wyjął z kieszeni notes i długopis, jakby chciał notować.

– Już mówiłem tej pani i temu panu, że od kilku miesięcy nikt tu nie mieszka. Co mam więcej powiedzieć?

Trudot wydobył spod swetra dyplom ze zdjęciem Julii.

– Zna pan tę osobę? Widział ją pan może?

Mężczyzna wziął do ręki dyplom, zaświecił światło w korytarzu, przypatrywał się zdjęciu, cmokając.

– Ajajaj, piękna dziewczyna, chętnie bym ją poznał, jeśli mi pan da do niej numer telefonu, ale widzieć to jej nie widziałem, ani tu, ani niestety gdzie indziej – powiedział, oddając dyplom.

– Ktoś ma klucz do tego mieszkania? Jest tu jakiś dozorca? – Trudot znów włożył dyplom pod sweter.

– A jakże, parter, mieszkanie numer jeden, dozorca ma klucze do wszystkich mieszkań. Co złego, to nie ja – powiedział, wchodząc do mieszkania i zamykając komisarzowi drzwi przed nosem.

W mieszkaniu Julii byli minutę, może dwie. Ani Trudot o nic nie pytał, ani Jan nic nie mówił. Zeszli na dół, oddali dozorczy klucze.

– I co, panie Gutman? Dobrze zapamiętałem pana nazwisko? – Trudot zawiesił głos.

– Panie komisarzu, może mi pan nie wierzyć, ale ja tam naprawdę byłem – Jan oparł się o ścianę w sieni. – Nic z tego nie rozumiem.

– Ja tym bardziej, panie Gutman. Nicolas... – odwrócił się do swojego młodszego kolegi – wracamy na komisariat, a państwo – teraz patrzył tylko na Annę – możecie robić, co chcecie, to znaczy możecie zgłosić kradzież

lub zaginięcie paszportu albo się zająć swoimi sprawami, nie zwracając nam więcej głowy. I jeszcze coś – Trudot zrobił pauzę – gdybyście byli obywatelami Republiki Francuskiej, wiedziałbym, co z wami zrobić, a ponieważ nie jesteście, to nie chce mi się dalej angażować w wyjaśnianie waszych osobistych problemów. Wyjaśnijcie je sobie sami, macie tu gdzieś w Lyonie swój konsul. I ambasadę w Paryżu. Żegnam, idziemy, Nicolas.

Poszli, zostawiając Annę i Jana przed kamienicą na *rue Franklin* 52.

– Co robimy? – Anna spojrzała na Jana, oczekując, że tym razem on coś zaproponuje.

– Chodźmy, spacer dobrze nam robi – odpowiedział, biorąc ją za rękę.

Szli w stronę Saony, nie odzywając się do siebie. Minęli *rue de la Charite*, *rue Auguste Comte*, *rue Victor Hugo*. Na *quai Marechal Joffre* skręcili w prawo. Idąc wzdłuż rzeki, doszli do placu Bellecour.

Mimo że kulminację Święta Świąteł zaplanowano dopiero na późny wieczór, to już teraz większość kamienic nad Saoną była oświetlona. Punktowe, laserowe światło, mieniające się różnymi kolorami, wędrowało nabrzeżem, przeskakując na drugą stronę rzeki. Elewacje budynków starego miasta, tych położonych na samym brzegu, odpowiednio oświetlone rzutnikiem z przeciwnej strony rzeki, wyglądały jak wielki parowiec, zacumowany nad Saoną, puszczający dym z komina. Setki osób, prawdopodobnie w większości turystów, stało na moście Bonapartego, robiąc zdjęcia. Zamknięty dla ruchu most przypominał wielki deptak, którym albo w stronę starego miasta, albo w stronę placu Bellecour przemieszczał się tłum widzów.

Jaskrawo oświetlona bazylika na wzgórzu Fourvière, ze swoimi strzelistymi wieżami, wyglądała jak pałac z bajek dla dzieci. Z wież, od czasu do czasu, wystrzeliwały ku niebu linie proste laserów. Wyglądało to tak, jakby ogromna bryła bazyliki unosiła się w powietrze i wirowała razem ze światłem lasera.

Kiedy Jan i Anna skręcili na plac Bellecour, usłyszeli za sobą westchnienie tłumu. Odwrócili się i zobaczyli wirujący w powodzi świąteł most. Niektórzy

stojący nad Saoną, ulegając złudzeniu, złapali się za barierki, inni zaczęli zbiegać w stronę starego miasta, inni w drugą stronę, do placu Bellecour. W chwili, w której Jan i Anna wchodzili na plac, cały rozbłysnął światem, a wszystkie kamienice nabrały kolorów. Ustawione w rogach placu ogromne rzutniki skierowały światło w centralny punkt, tworząc na przemian sylwetki łabędzia, konia, samolotu, prawdopodobnie pierwszego samolotu Blériota, bo za chwilę pojawiła się także twarz z sumiastymi wąsami, w czapce pilotce. Na chwilę światła zgasły, żeby pojawić się ze zdwojoną siłą, a zaraz potem głośną muzyką Jeana Michela Jarre'a i jego twarzą ułożoną z nakładających się, różnokolorowych, punktowych, laserowych świateł. Teraz twarz muzyka zastąpił olbrzymi, świetlisty latawiec, który wzbił się do lotu i płynął pod dachami kamienic, by w końcu wystrzelić w powietrze i zniknąć gdzieś na wzgórzu Fourvière. W tym samym czasie po placu biegał już stworzony z trójwymiarowego obrazu mały chłopiec, trzymający w ręce różę, a za chłopcem, właściwie przy jego nodze – lis. Potem ogromny obraz tytułowej strony książki z rysunkiem przedstawiającym tego samego chłopca przesunął się nad elewacjami budynków, dookoła placu. Na okładce tytuł: „*Le petit Prince*”, Antoine de Saint-Exupery.

I nagle tysiące małych świateł symbolizujących świece ruszyło ku ulicom wychodzącym z placu, aby po chwili znów tam wrócić i utworzyć wielkiego, różnobarwnego koguta na tle trójkolorowej, francuskiej flagi. Świetlna flaga przykryła pomnik króla Ludwika XIV usadowionego na koniu w centralnym punkcie placu. Wydawało się, że koń z jeźdźcem skaczą z cokołu i galopują wzdłuż frontu kamienic.

Opustoszały kawiarnie i restauracje przy Bellecour. Ludzie przyglądali się spektaklowi, coraz liczniej wypełniając prostokąt ogromnego, rozświetlonego placu.

Nagle Jan i Anna zostali zatrzymani przez klauna w kolorowym, mieniącym się pulsującymi światłami stroju i wepchnięci na środek placu. Trzymając ich za ręce, obracał dookoła siebie. Nie czekając na kolejne atrakcje, szybko wyrwali się uścisku i wbiegli do pierwszej z brzegu, pustej kawiarni, w której jedyny kelner, z nosem przyklejonym do szyby, w ogóle nie miał ochoty zwracać uwagi na klientów. Dopiero kiedy usadowili się w fotelach przy

niskim stoliku, podszedł, zerkając od czasu do czasu w stronę połyskującej witryny. Spytał krótko:

– Tak?

– Dwie kawy – odpowiedział Jan – jedna czarna, druga z mlekiem.

– Tak – rzucił szybko, od niechcienia, zniknął na chwilę w kuchni, po czym wrócił przed ekran okna, żeby dalej obserwować wydarzenia na placu.

Kawę przyniosła niemłoda już kucharka, ubrana w biały fartuch i biały берет.

– Każdego roku to samo, nie da się oglądać – powiedziała bardziej do siebie niż do nich, zestawiając z tacy filiżanki. – A wy co? Pewnie miejscowi, bo widzę, że też macie dość – usiadła na chwilę w fotelu obok, zainteresowana, że jest ktoś jeszcze, oprócz niej, kto nie wydaje się zainteresowany słynnym Świętem Świąteł. I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: – Opowiadali dziś w radiu, że do miasta przyjechało ponad dwa miliony gości. Wieczorem trudno przejść ulicą, tylu ich jest, ale jutro już będzie spokojniej. Wy co? – powtórzyła pytanie.

– Musimy coś omówić, jeśli pani pozwoli – Jan dał do zrozumienia, że chcą zostać sami.

– No pewnie, pewnie – kucharka wstała i naburmuszona, wróciła do kuchni.

Siedzieli już pół godziny, próbując, każde z osobna, pozbierać chaotyczne myśli w logiczny ciąg zdarzeń. Milczeli, bo nic mądrego nie przychodziło im do głowy. Anna prawie w ogóle nie spała ostatniej nocy. Teraz, w ciepłej kawiarni, zapadała w letarg. Nagle ocknęła się, przebudzona pomysłem, który jej przyszedł do głowy.

– Dzwon do Dijon, do tego ich klasztoru – powiedziała tonem rozkazującym.

– Teraz?

– A kiedy? Może się czegoś dowiemy.

Znalazła w telefonie numer konwentu dominikańskiego.

– Wpisz na początku kierunkowy, dwadzieścia jeden, dzwoni, zobaczymy.

Odebrał mężczyzna o bardzo młodym głosie. Jan się przedstawił i spytał,

czy coś wiedzą o bracie Jeanie.

– Jakim bracie? – upewnił się mężczyzna, pewnie nowicjusz albo młody zakonnik.

– Jeanie Guzmanie.

Chwila ciszy.

– To jakiś żart? Guzman miał na imię Dominik, był założycielem naszego zakonu. Nie ma u nas brata o tym nazwisku.

– Jest ojciec pewien?

– Oczywiście. Nie ma w ogóle takiego brata, gdyby był, byłby znany w całej Francji i pewnie nie tylko we Francji.

– A ojciec Roger, przeor lyońskiego zgromadzenia?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi?

– Gdzie jest przeor?

– Chciał pan z nim rozmawiać? Proponuję zadzwonić jutro rano, bo ojciec Roger będzie za chwilę celebrował ogólną kompletę.

– Wrócił do Dijon? Dziś?

– Nie, proszę pana. Ojciec Roger jest u nas od kilku miesięcy, na czas remontu ich konwentu w Lyonie.

– I nigdzie w tym czasie nie wyjeżdżał?

– Nie, a dokąd miałby...? Ale, ale, o co panu chodzi? Skąd te pytania?

Jan przeprosił. Powiedział, że to nieporozumienie. Rozłączył się i spojrzał na Annę.

– Słyszałam. Czyli sprawy się jeszcze bardziej gmatwają – wypita dwoma łykami resztki kawy. – Musimy pojechać do Deskura, pogadać, ale tak poważnie, nie na łapu capu na ulicy czy w komisariacie.

– Zdaje się, że nas ma za wariatów – Jan zrobił kółko na czole – i wiesz co, w pewnym sensie może i ma rację. Zostawmy to, Anno, wracajmy do domu.

– I kto to mówi? Tyle rzeczy się zdarzyło, a ty chcesz zrezygnować? Teraz? W tym momencie?

Wolał się z nią nie kłócić. Będzie, jak ona chce, najwyżej wyjadą jutro rano. Z baru weszli z powrotem na plac. Musieli się kilka minut przepychać

w tłumie, żeby dojść do *rue Boissac*. Złapali przejeżdżającą taksówkę, kazali się wieźć na *rue Roger Brechan*, numer 8 A.

Otworzyła im stara, otyła kobieta. W zawieszonym na szyi fartuchu, w plastikowych klapkach na nogach i w sukience, która przypominała raczej modę dawno minionych lat, nie wyglądała na żonę profesora. Jan wolał się upewnić.

– Pani Deskur? – spytał.

– Nie, ja tu pracuję, o co chodzi? – kobieta zastawiła drzwi swoim obfitym ciałem.

– Jan Gutman, profesor nas zna, chcieliśmy zamienić kilka słów.

– Wejść i tu poczekać, przy drzwiach – wydała dyspozycje, a sama zniknęła za drzwiami pokoju. Gdy je otwierała, słychać było rozmowę toczącą się w środku. Musiało tam być przynajmniej kilka osób. Podniecone dyskusją głosy mieszały się, tak że trudno było wyłowić chociaż jedno zrozumiałe zdanie. Ucichły, gdy kobieta zamknęła za sobą drzwi. Jan spojrzał na ścianę rozległego korytarza. Przy wejściu na schody wisiał obraz.

– Patrz – objął Annę i skierował jej wzrok w stronę malowidła. – Dokładnie taki sam wisiał w gabinecie pani Becu.

– Analema – Anna podeszła bliżej, żeby się upewnić. – To jest ten pozorny ruch Słońca po niebie, ciekawe.

– Dokładnie taki sam – powtórzył Jan.

– Nieskończoność, symbol nieskończoności, zobacz, kosmiczne narodziny Słońca – zrobiła ruch ręką, kreśląc w powietrzu elipsę.

Gospodyni Deskura wyszła z pokoju, stanęła przed Anną i Janem, nabrała powietrza, po czym szybko wyrecytowała.

– Profesor nie przyjmie. Ma teraz spotkanie. Nie ma czasu. Prosił, żeby podziękować. I pożegnać, żegnam więc – odprowadziła ich do wyjścia i głośno zatrasnęła drzwi, gdy się już znaleźli w ogrodzie. Po chwili jeszcze raz otworzyła, upewniła się, że poszli, a potem jeszcze mocniej trzasnęła drzwiami.

Szli, nic do siebie nie mówiąc. Obok przejeżdżały taksówki, ale ich nie zatrzymywali. Doszli do przystanku metra Sans Souci. Spojrzeli na siebie i dalej nic nie mówiąc, zjechali schodami w dół. Weszli do ostatniego

wagonu. Ledwo się zmieścili, bo o tej porze – do północy zostały tylko dwie godziny – tłumy ciągnęły w stronę placu Bellecour i Starego Miasta, żeby zobaczyć finał Święta Świąteł.

Wysiedli na Vieux Lyon, niedaleko katedry. Ludzi było tu znacznie mniej niż na placu Bellecour. Snuli się wąskimi, jaskrawo oświetlonymi uliczkami. Było nie więcej niż kilka stopni powyżej zera, ale bez wiatru, więc spacerujący między kamienicami pamiętającymi czternasty, a nawet trzynasty wiek nie odczuwali zimna. W czynnych ogródkach przy barach i restauracjach wszystkie miejsca okupowali klienci, przeważnie turyści pstrykający nieustannie zdjęcia, więc flesze aparatów jeszcze bardziej rozjaśniały najstarszą dzielnicę Lyonu.

Właściwie nie wiedzieli, dokąd idą. Jan trzymał Annę za rękę, mocno, jakby się obawiał, że mu ucieknie. Od Saony szła niewielka mgła, dodatkowo nadająca temu miejscu magicznego charakteru. Mijali nieśpiesznie kroczących ludzi, rozglądających się na wszystkie strony, jakby ci wszyscy uczestnicy święta chcieli je lepiej zapamiętać. Doszli do oberży „Pod Ślimakiem”. Jan zatrzymał się przed wejściem i powiedział Annie, że w tym miejscu poznał całe to dziwne towarzystwo, Julię, Pierre’a i jego dwóch kompanów z teatru. A właśnie, teatr. Podeszli jeszcze do końca krótkiej ulicy, stając przed kaplicą dominikanów, jedynym nieoświetlonym budynkiem spośród tych, które dziś mijali. Jeszcze wczoraj, choć może to było dwa dni temu, tablica ustawiona od frontu informowała: Teatr bez Końca, ale teraz nie było ani tablicy, ani żadnej informacji o teatrze. Spróbował otworzyć drzwi, ale, jak się zresztą spodziewał, były zamknięte. Znow wy tłumaczył Annie, że właśnie stoją przed „Teatrem bez Końca”.

– Nie wygląda mi to na teatr. Raczej na opuszczony klasztor. I to dawno temu opuszczony – skomentowała.

Jan się rozejrzył. Ostatni raz, gdy tu stał (kiedy to było?), podeszła do niego Julia. Bardzo by chciał, żeby się znow pojawiła, to znaczy nie tylko ona, Pierre też. I Jean, i ojciec Roger. Gdyby dało się wytłumaczyć to, czego nie rozumie. Bo z pewnością jest jakieś racjonalne wytłumaczenie zdarzeń z ostatnich dni. Inaczej... Nie, nie ma żadnego „inaczej”.

„Pod Ślimakiem” był ostatni wolny stolik, akurat dla dwóch osób.

Przy samym oknie wychodzącym na *rue Mourguet* zamkniętą dziś dla samochodów, więc całą szerokością jezdni przemieszczali się spacerowicze z uniesionymi głowami, podziwiając laserowe światła wysyłane z placu Bellecour w stronę wzgórza Fourvière. Wzięli herbatę z cytryną i kanapki z wołowiną. Dopiero gdy kelner przyniósł zamówienie, zrozumieli, że nie są głodni, więc Anna spakowała kanapki do torby. Siedzieli przy herbacie. Kobieta przypatrywała się Janowi, który zwykle golił się codziennie, ale teraz miał kilkudniowy zarost, podkrążone oczy, jakby nie spał od dawna. Do tego przybrudzony kołnierz białej koszuli wystający spod granatowego swetra. I jeszcze buty, pochłapane, brudne, jakby nigdy nie widziały szczotki i pasty. Dopiero teraz, kiedy siedzieli, nie wiedząc, co mają dalej robić, zobaczyła innego Jana niż zwykle. Wydawał się starszy niż w rzeczywistości, zaniedbany i zmęczony. Zawsze starał się dbać o wygląd, na zajęcia ze studentami zakładał krawat i marynarkę. Gdyby miał prowadzić wykład w brudnych butach, wolałby go odwołać. Punktualny, nawet natrętnie punktualny, bo gdy Anna spóźniała się dłużej niż kilka minut, zaczynał swoje nauki. „Dlaczego ja się nigdy nie spóźniam, a ty zawsze?” – pytał. „Bo ja już, widać, taka jestem, zawsze się będę spóźniała, a ty zawsze będziesz punktualny, takie charaktery, nie ma o czym gadać” – tłumaczyła.

– Dlaczego mi się tak przyglądasz? – spytał, gdyż Anna od dłuższej chwili wpatrywała się w Jana, w sposób, w jaki patrzę ci, co mają wzrok monotonnie utkwiony w jednym punkcie, a tak naprawdę myślą o czymś zupełnie innym.

– Nie przyglądam się, po prostu patrzę. I widzę, że jesteś zmęczony.

– Nie ufasz mi? – Jan spojrzał na nią z wyrzutem. – Dziwnie na mnie patrzysz. Jakbyś chciała coś powiedzieć, a się obawiasz. Tylko nie wiem czego.

– Jesteś przewrażliwiony.

– Być może.

– To co robimy? – spytała od niechcienia, właściwie nie czekając na odpowiedź.

Kiedy to mówiła, zwrócony przodem do szyby Jan zobaczył coś, co przykuło jego uwagę. Ulicą, tyle że przeciwną jej stronę, szła procesja.

Ale to nie byli księża ani zakonnicy. Nie mieli zakonnych habitów, a jednak wszyscy wyglądali podobnie. Mieli szare lub brązowe, długie płaszcze – trudno było rozpoznać z tej odległości kolor. Szli gęsiego, trzymali w dłoniach okrągłe lampiony podświetlone od środka świecami. Pomarańczowo-żółte wyglądały jak małe słońca oświetlające drogę. Anna zwróciła głowę do okna i razem obserwowali dziwny pochód. Kiedy ostatni uczestnik liczącego kilkadziesiąt osób marszu znikł w prostokącie okna, Jan zostawił pieniądze na stole i natychmiast wybiegł na ulicę. Szli w niewielkiej odległości za pochodem, którego czoło skręciło już w *rue Tramassac* i posuwało się dalej, w stronę *parc de Hauters* u podnóża Fourvière i bazyliki Notre Dame. *Montee des Chazeaux* doszli do parkowego ogrodzenia. Z tego miejsca na szczyt wzgórza Fourvière trzeba się już było wspinać krętymi ścieżkami w gęstwinie drzew i krzewów. Pochód szedł w milczeniu, a Jan i Anna podążali za nim w odległości dwudziestu, może trzydziestu kroków. Mniej więcej w połowie wzniesienia, po dziesięciu, piętnastu minutach marszu, procesja zwolniła. Każdy jej uczestnik po kolei przechodził przez wąską furtkę w ogrodzeniu oddzielającym dolny park od górnego. Kiedy ostatni uczestnik pochodu pokonał wąskie przejście, Jan i Anna odczekali pół minuty i spróbowali wejść za nim. Okazało się to niemożliwe, gdyż dwaj rośli mężczyźni stojący przed furtką, ubrani w takie same jak pozostali płaszcze, zagrodzili im drogę.

– Niestety, dalej nie można, to spotkanie prywatne zamknięte, proszę zawrócić – powiedział zdecydowanym tonem jeden z nich.

– A możemy chociaż wiedzieć, co to za spotkanie? – spytał Jan. Zrobił krok w tył, rozglądając się, czy gdzieś w pobliżu nie ma przypadkiem innej drogi ku górze. – Spytałem, co to za spotkanie?

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego tak, jak patrzy się na intruza, któremu w dodatku nie należy poświęcać zbytnej uwagi. Stali przy furtce, ze wzrokiem utkwionym w czubki okolicznych drzew, i najwyraźniej nie mieli zamiaru odpowiadać na pytania.

– Szkoda czasu, wracajmy – Anna pociągnęła Jana za rękaw płaszcza. Przeszli kilkanaście kroków w dół, a potem Jan wziął Annę za rękę i poprowadził wąską ścieżką wzdłuż ogrodzenia. Kiedy byli już wystarczająco daleko

od furtki, wspięli się na płot, przeskakując na drugą stronę. W tym miejscu było tak ciemno, że dłuższą chwilę musieli przyzwyczajać oczy. W końcu zobaczyli ścieżkę prowadzącą w górę. Ruszyli, odgarniając po drodze gałęzie drzew smagające ich po twarzach. Uważając, by nie zejść ze szlaku, doszli do niewielkiej polany pod szczytem. Przystanęli, łapiąc oddech. Anna odwróciła się pierwsza.

– Patrz – powiedziała cicho, jakby się obawiała, że to, co zobaczyła, może nagle zniknąć.

Stali już prawie na samym szczycie. Z tego miejsca widać było całe miasto z dwiema przedzielającymi je od północy ku południowi tętnicami rzek. Lyon wydawał się ogromnym, wielobarwnym płótnem, nocnym pejzażem złożonym z tysięcy kolorowych punktów. Jak w dziełach puentylistów, których prace można oglądać jedynie z dystansu, bo z bliska kropki i maźnięcia tworzą niezrozumiałą masę plam. Ze środka, gdzieś z okolic placu Bellecour, wystrzeliły w stronę wzgórza Fourvière dziesiątki laserowych linii, układających się na szczycie, bezpośrednio nad bazyliką, w pomarańczowe, gigantyczne Słońce, tryskające promieniami na wszystkie strony, oświetlające cały plac przed świątynią. Wokół połyskującej gwiazdy te same, laserowe linie utworzyły łaciński napis *Sol Invictus*.

Anna usiadła na trawie. Nie mogła oderwać oczu od tego, co widziała. Jan wziął ją w końcu za rękę i ruszyli dalej, ku wierzchołkowi wzgórza.

Gdy wyszli z parku, zobaczyli tych samych ludzi, co wcześniej, ale tym razem maszerujących w jakimś niezwykłym, misteryjnym szyku wokół bazyliki Notre Dame w promieniach sztucznego, laserowego Słońca. Zamiast lampionów mieli same świece, które ochraniali rękoma przed delikatnymi podmuchami wiatru, a na głowach kaptury, pod którymi trudno było dostrzec twarze, zwłaszcza że Annę i Jana dzieliło od nich kilkadziesiąt metrów.

– Co to jest, Janie? Co to jest? – szepnęła Anna i ścisnęła Janowi mocniej rękę, jakby się chciała upewnić, że widzi to samo, co ona.

– Jakieś misterium, nie wiem – odpowiedział cicho, chociaż z tej odległości

na pewno nikt ich nie mógł słyszeć.

– Do kogo się modlą, do Słońca?

– Trudno powiedzieć – Jan wyciągnął telefon. Chciał zrobić zdjęcie, ale Anna go powstrzymała.

– Flesz, zobaczą nas, lepiej wracajmy – próbowała pociągnąć Jana w stronę, z której przyszli.

– Poczekaj, jeszcze chwilę.

Stali oparci o pień dębu, skryci pod koroną gałęzi i liści. W milczeniu przyglądali się procesji po raz kolejny zataczającej krąg wokół bazyliki.

– Janie? – Anna szarpnęła ręką Jana.

– Tak, tak, wiem, zaraz schodzimy – odpowiedział, nie odwracając wzroku od placu przed bazyliką.

– Nie o to chodzi. Jeśli to ma coś wspólnego ze Słońcem, to ono się zaczyna rodzić, pamiętasz, 13 grudnia, czyli dziś. Poza tym kalendarz gregoriański mamy, a w czasach tego Institora był jeszcze juliański. Potem dodano dziesięć dni. Symbolicznie mamy noc narodzin Boga, tak? Tego ichniego Mitry też, prawda? Czyli przesilenie według juliańskiego.

– Możliwe, Anna, możliwe – Anna zrozumiała, że jej nie słucha. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale teraz to on szarpnął ją mocno za rękę. Przeszli ostrożnie kolejne dziesięć kroków, skrywając się tym razem za rzędem platanów oddzielających plac bazyliki od skarpy i urwiska. Z tego miejsca obserwowali procesję. Było ich więcej niż myśleli. Na Starym Mieście wydawało się, że w pochodzie uczestniczy może pięćdziesiąt osób, raczej nie więcej. Tu, na górze, było ich co najmniej sto.

Skończyli procesję, gromadząc się na łące między bazyliką a urwiskiem, nieco bliżej miejsca, w którym stali Jan i Anna. Otoczyli coś, co przypominało kikut bezlistnego drzewa. Jedna z osób wyszła z grupy, stanęła przy drzewie. Inni rozeszli się, by za chwilę wrócić, każdy z naręczem gałęzi. Wokół kikuta i stojącej przy nim, zakapturzonej postaci ułożono okazałych rozmiarów stos. Ktoś podszedł, otworzył kanister i oblał gałęzie płynem. Jan i Anna z miejsca poczuli charakterystyczny, słodkawy zapach benzyny. Jan spojrzął na zegarek. Do północy została minuta. Wydawało się, że wszyscy zgromadzeni przed bazyliką na coś czekają. Jan spojrzął na Annę, kiwnęła

głową. Oboje wyszli z ukrycia dokładnie w chwili, w której zabił dzwon na wieży bazyliki. Zanim ktokolwiek dostrzegł ich w ciemności, postać stojąca przy drzewie szybko opuściła stos. Przy trzecim uderzeniu dzwonu rzucona zapałka wznieciła ogień. Dopiero wtedy, w jaskrawym świetle wielkiego ogniska, zauważono Annę i Jana. Oboje, widząc, że nikt nie ucierpiał, zrobili kilka kroków w tył, ale w tym samym momencie ruszyło w ich kierunku kilka osób. Jan znów mocno chwycił Annę za rękę. Pobiegli w stronę skarpy, wybierając najkrótszą drogę ucieczki, choć tak naprawdę nie wiedzieli, dlaczego uciekają i przed czym. Przebiegli dwadzieścia, trzydzieści metrów, nie oglądając się za siebie. Gdy dobiegli do skarpy, Jan poślizgnął się na mokrej trawie, puścił rękę Anny i na plecach przejechał kilka ostatnich metrów na sam skraj urwiska. W ostatniej chwili złapał wystające z ziemi korzenie drzew i zawisł na skarpie. Spojrzał w dół. Pod nim było krótkie, strome zbocze, a niżej dwustumetrowa przepaść. Dzwon wybijał ostatnie, dwunaste uderzenie. Anna podała mu rękę, ale w tej samej chwili korzenie pękły i Jan pociągnął ją za sobą. Spadali stromizną urwiska. Jan cały czas trzymał rękę Anny, drugą próbując złapać się czegokolwiek, ale na niemal pionowo opadającym zboczu, oprócz trawy, nic nie rosło. Kiedy wydawało się, że już nic nie może ich uratować, bo zbocze przechodziło w pionową ścianę przepaści, poczuli uderzenie. Zatrzymali się na ogrodzeniu. Obolali, utytłani w piachu i lekko zamroczeni, usiedli oparci o siatkę, która ich uratowała przed upadkiem z wysokości. W mroku sprawdzili czy wszystko z nimi w porządku. Głowa, ręce, nogi. Nic się nie stało, żadnych złamań. Jedynie otarcia. Starte do krwi paznokcie Anny, gdy spadając, próbowała się chwytać wysokiej trawy i wystających z ziemi kamieni. Spojrzeli w górę, ale nikogo nie zauważyli. Nikt ich nie gonił. Podnieśli się i powoli ruszyli wzdłuż ogrodzenia. Po kilku minutach doszli do ścieżki, którą wcześniej wdrapywali się ku górze. Przechodziła niżej w szeroką, oświetloną latarniami, parkową aleję. Gdy już znaleźli się na samym dole, jeszcze raz spojrzeli w górę. Na szczycie widać było dopalające się ognisko. Po kilku minutach marszu wyszli na *rue de Boeuf*. Złapali taksówkę i kazali się wieźć do „Mirage”.

– Musimy jechać do autostrady, a potem wzdłuż Rodanu, wie pan – kierowca odwrócił się do Jana – pieprzone Święto Świateł, całe śródmieście

zamknięte dla ruchu, to trochę potrwa, dobrze?

Jan nie odpowiedział. Było mu obojętne, którądy pojedą do hotelu.

Autostradą szybko przedostali się na drugi brzeg Saony. Stanęli w korku na *quai Gailleton*. Całą szerokością nabrzeża Rodanu szli ludzie. Samochody próbowały wymijać pieszych, ciągnących od placu Bellecour. Niektórzy z nich trzymali w rękach butelki wina. Idąc, zataczali się po świątecznych biesiadach w barach i restauracjach Starego Miasta. Taksówkarz skręcił w lewo.

– Ominiemy to stado – powiedział, jeszcze raz odwracając się w kierunku Jana.

Wjechali na *rue de la Charite* i wtedy Jan kazał się zatrzymać.

– Niech pan na nas poczeka – rzucił krótko – to potrwa chwilę.

Znów mocno chwycił rękę Anny i wyciągnął ją z taksówki. Nie protestowała. Zmęczona, poturbowana, nie miała sił zadawać pytań. Stali na *rue de la Charite*, pod numerem 47. Dwie, może trzy godziny temu byli w tym miejscu. Otwartą bramą przeszli na dziedziniec, do komisariatu policji. Ale komisariatu nie było, na parterze oficyny nie świeciły się nawet żadne światła. Jan nacisnął pierwszy z brzegu dzwonek domofonu.

– Tak? – odezwał się zaspany, kobiecy głos.

– Tu był komisariat policji, co się z nim stało? – spytał.

– A co pan, żadnego komisariatu na szczęście tu nie ma, ale zaraz mogę wezwać policję, żeby z wami zrobiła porządek – odłożyła słuchawkę domofonu.

Jan przyjrzał się fasadzie kamienicy. Tam gdzie jeszcze niedawno świecił neon komisariatu, teraz była zwykła, jarzeniowa lampa, a nad drzwiami, zamiast nazwy jednostki policyjnej, tabliczka z napisem: „Gospodarz domu mieszka pod numerem 12”.

– Rozumiesz coś z tego? – spytał Annę. W jego głosie było słycać bezradność, nawet nie zdziwienie. Zrezygnowany pokręcił głową.

– Nie, Janie, nie rozumiem, wracajmy już – odpowiedziała cicho, jakby się bała zbudzić kolejnych mieszkańców domu, i nie czekając na Jana, ruszyła z powrotem do auta.

O pierwszej wysiedli przed hotelem „Mirage”

– Co się stało? Ktoś was pobił? – portier od razu sięgnął po apteczkę, gdy tylko stanęli przy recepcji. Brudni, podrapani, rzeczywiście wyglądali jak ofiary napadu.

– Nic takiego, mieliśmy małą przygodę – Jan chciał się jak najprędzej znaleźć w pokoju. – Gdyby pan mógł zarezerwować dla nas poranny lot do Pragi.

– Oczywiście, tak zrobię, jak pan sobie życzy – powiedział, wręczając Janowi apteczkę. – W środku jest woda utleniona i jakieś plastry.

Już szli do windy, ale portier ich zatrzymał.

– Panie Gutman, jeszcze coś. Jest list do pana.

Jan otworzył kopertę. W środku był jego paszport.

– Kto to przyniósł? – spytał.

– Nie wiem, proszę pana. Zacząłem pracę trzy godziny temu, a list już był.

– Dziękuję. Gdyby pan mógł nas obudzić o szóstej i przygotować rachunek. Zapłacimy przed wyjazdem.

– Nie trzeba, panie Gutman. Już ktoś zapłacił.

– Kto?

– Nie wiem. Mam informację, że zapłacone.

Wzięli prysznic, potem długo przemywali otarcia wodą utlenioną, naklejali plastry na starte paznokcie Anny. Do rana nie zmrużyli oka. Po szóstej zeszli na śniadanie, zjedli jajecznicę, wypili kawę. Nawet nie chciało się im rozmawiać. Woleli milczeć. Taksówka zawiozła ich na lotnisko Saint-Exupéry. Samolot wystartował zgodnie z planem. Stewardesa Air France przyniosła herbatę, ciastka i dwie małe butelki Cotes du Rhone. Wypili wino i zasnęli, obudzili się na Ruzyne. Wszyscy pasażerowie już wyszli, a stewardesa potrząsała ich za ramiona, mówiąc: – Jesteśmy na miejscu, to Praga,

wysiadamy.

Opuszczając samolot, przeczytali napis na małej, świetlnej tablicy obok kokpitu: „Dziękujemy za wybranie linii lotniczej Air France i ponownie zapraszamy do Lyonu, cudownego francuskiego miasta nad Rodanem i Saoną. Czekamy na Was”




Rozdział
XII



*Każdy człowiek jest kuszony przez pożądanie.
Gdy pożąda – grzeszy. Grzesząc – skazuje się na śmierć.
„Malleus maleficarum”*

XIV GRUDNIA MDXVII

eszcze przed świtem ze swoich domów położonych nieopodal lyońskiego rynku wyszli: piekarz – pan Sugot, szynkarz – pan Saligner oraz hodowca bydła – pan Abrusiane. Ich domy sąsiadowały ze sobą, tak że całej trójce dojście w umówione miejsce – do pobliskiego, opustoszałego targowiska, zajęło tylko chwilę. Ruszyli dalej w milczeniu, przyglądając się jednak sobie od czasu do czasu, dla upewnienia, czy to, co chcieli zrobić jeszcze wczoraj wieczorem, dziś rano przypadkiem nie uleciało z ich głów. I czy najnormalniej w świecie nie obleciał ich strach. Dla dodania animuszu, idąc, uścisnęli sobie dłonie i kilka razy pokleпали po ramionach.

Tak doszli do rogatek miasta. Za wschodnią bramą czekał na nich powóz pana Abrusiane. Hodowca bydła już w nocy nakazał woźnicę zaprzęgać w dwa konie i ruszać z miasta przez zachodnią bramę. Woźnica miał nakazane objechać cały Lyon bocznymi drogami, tak by nikt go nie widział, a przynajmniej po ciemku nikt nie rozpoznał, do kogo należy powóz (na wszelki wypadek pan Abrusiane wieczorem poprzedniego dnia pokrył czarną farbą wszystkie znaki rodowe na drzwiach, a nawet na dyszlu i piastach kół). Pan Abrusiane odprawił woźnicę, nakazując mu wracać pieszo do miasta, po czym natychmiast chwycił lejce. Obok niego usiedli panowie Sugot i Saligner.

Zaczynało świtać, gdy dotarli nad rozlewiska Rodanu. Pan Abrusiane skręcił w dębowy las. Ustawił pojazd za rzędem rozłożystych drzew, w taki sposób, żeby nie można było dostrzec go z drogi. Dopiero teraz zaczęli rozmawiać.

– A jeśli nie będzie tędy przejeżdżał? Co zrobimy? – spytał pan Sugot.

– Na pewno będzie, przecież nie ma innej drogi, a i dokąd będzie wracał, jeśli nie do Montluel, skoro stamtąd przyjechał – odparł pan Abrusiane.

– Idzie tylko o to, czy dzisiaj? – dodał niepewnie pan Saligner.

– Nie ma już nic do roboty w Lyonie. Zaczekam tak długo, jak będzie to potrzebne, a wy jak chcecie – pan Abrusiane zszedł z kozła, otworzył drzwi powozu i powoli wyjął spod siedzenia trzy siekiery, kładąc je na trawie. – Wybierajcie, panowie – spojrzał na obu, ale żaden z nich nie ruszył się z kozła. – No wybierajcie, musimy być przygotowani.

Zrobiło się już całkiem widno. Każdy, niby od niechcienia, jakby narzędzie paliło ich w ręce, wziął siekiere i włożył ją za pas spodni.

Wszystko dokładnie zaplanowali. Będą musieli działać szybko, bo wprawdzie droga z Lyonu do Montluel nie należy do licznie uczęszczanych, to jednak kilka razy dziennie przejeżdżają nią pojazdy. Zdarza się też, że drogę między dwoma miastami co biedniejsi zmuszeni są pokonywać pieszo.

Ustalili między sobą, że dyspozycje, a być może i konieczne w tej sytuacji rozkazy, będzie wydawał pan Abrusiane. Nie tylko jako najstarszy i najzamożniejszy z całej trójki, ale przede wszystkim, jak to powiedział na wczorajszym spotkaniu pan Sugot, najbardziej z nich pokrzywdzony.

– Strata żony, panie Abrusiane, jest bardzo bolesna, ale to jednak nic w porównaniu ze stratą córki – mówił Sugot.

– Święta prawda, w dodatku tak pięknej i młodej jak pana córka – dodał Saligner.

– Jedynej córki, panowie, jedynej, jedyne dziecko – wtrącił Abrusiane.

– Żony, szczególnie po latach, zaczynają doskwierać nawet najbardziej

wyrozumiąłem mężom – mówił dalej Sugot.

– Święta prawda, panie Sugot – mówił Saligner. – Sam miałem nieraz swojej tak dość, że...

– Ale to nie znaczy, że należy je topić lub palić na stosie – przerwał mu Sugot.

– W żadnym razie, drogi panie Saligner, w żadnym razie – zgodził się Sugot.

– Planujmy, panowie, nie ma czasu na dyskusje – pan Abrusiane przedstawił plan działania, z którym bez wahania zgodzili się i pan Sugot, i pan Saligner.

To było wczoraj. Teraz stoją opodal drogi, ukryci w gęstwinie lasu. Czekają już dwie, może trzy godziny. Milczą. Pan Saligner od czasu do czasu sięga do kieszeni płaszcza po butelkę śliwowicy, którą przezornie zabrał dzisiejszego poranka. Sam wychyla łyk i podając towarzyszom, za każdym razem mówi to samo: – Dla kurażu, panowie, dla kurażu.

Pan Sugot pierwszy zauważył w oddali pojazd jadący od strony Lyonu. Kiedy czterokonny zaprzęg zbliżył się do mokradeł, mniej więcej na wysokość lasu, w którym czekali, pan Abrusiane dał sygnał.

Wyskoczyli jednocześnie. Pan Saligner chwycił za uzdę najbliższego konia i mimo że woźnica próbował się ratować batem, na przemian okładając to pana Salignera, to końskie zady, powóz niemal natychmiast stanął. Pan Sugot wdrapał się na kozła i ściągnął woźnicę. Zgodnie z planem nakreślonym przez pana Abrusiane woźnica miał otrzymać mieszek wypełniony złotymi monetami, w zamian za milczenie i natychmiastowe opuszczenie okolic Lyonu. Niestety, z każdym, nawet najlepszym planem, często bywa tak, że nieprzewidziane wypadki zmieniają go już na samym początku. Woźnica nie miał zamiaru rozmawiać, a tym bardziej wchodzić w układy. Kiedy Sugot podniósł go z ziemi i prowadził do pana Abrusiane, woźnica nagle, zza paska, wyciągnął nóż, dźgnął pana Sugot w rękę i zaczął uciekać w stronę lasu. Prawdopodobnie uciekłby bez problemu, gdyż był dużo młodszy i szybszy od całej trójki, ale wybrał najgorszą drogę ucieczki.

Po przebiegnięciu kilkunastu kroków skręcił, próbując pobiec skrótem, ale tam, gdzie rosła, wydawało się, normalna trawa, zaczynało się bagno. Woźnica biegł zbyt szybko, żeby wyhamować. Chciał się wydostać i wrócić na drogę, ale bagno wciągało go coraz głębiej. W kilka chwil zakryło mu nogi, tułów, sięgało już niemal do szyi. Pan Abrusiane, pan Sugot i pan Saligner stali nie dalej niż kilka kroków, przyglądając się, jak głowa woźnicy ginie w czarnej mazi.

– Trudno – powiedział pan Abrusiane – Bóg wie, że nie chcieliśmy mu zrobić krzywdy.

– Jak pana ręka, panie Sugot? – spytał jeszcze Saligner, a kiedy okazało się, że rana jest niegroźna, ruszyli biegiem do głównej drogi.

Kiedy otworzyli drzwi powozu, ojciec Kramer siedział nieruchomo. Miał przymknięte oczy, jakby spał. Saligner wyciągnął zza pasa siekiere i obuchem szturchnął ramię Kramera.

– Czego chcecie? – mruknął zakonnik, otwierając oczy. – Nie mam pieniędzy ani żadnych kosztowności.

– Nie chodzi o pieniądze – odparł pan Abrusiane.

– To o co?

– O ciebie. Wychodzisz sam czy mamy cię wynieść? – spytał Abrusiane.

Ojciec Kramer powoli wysiadł z powozu.

– Idziemy – nakazał pan Abrusiane.

– Kim jesteście, czego chcecie, ludzie? – spytał cicho zakonnik.

– Nie domyślasz się? – pan Abrusiane spojrzał mu w oczy, ale nie zobaczył w nich strachu. To były oczy człowieka pogodzonego z nieuchronnością losu, oczy starego człowieka.

– Ja się nazywam Saligner, to jest pan Abrusiane, a pan Sugot oprawia właśnie karetę jaśnie pana – powiedział ironicznie Sugot.

– A więc to tak – ojciec Kramer uniósł głowę.

– Nie spodziewałeś się, prawda? – hodowca obuchem siekiery popchnął Kramera.

- Niech będzie, co ma być – odpowiedział dominikanin.
- Z pewnością będzie, z pewnością, ale zanim będzie, będziesz się musiał troszeczkę pomęczyć – odparł Abrusiane, popychając ojca Kramera mocniej, aby przyspieszył kroku.

Szli gęsiego. Prowadził pan Saligner, za nim szedł ojciec Kramer, a na końcu pan Abrusiane. Kiedy doszli do ukrytego w lesie powozu, usadowili Kramera na koźle, a sami zasiedli po obu jego stronach. Pan Abrusiane znów chwycił lejce i batem pognał konie. Jechali leśnym duktem kwadrans, zatrzymując się na polanie. Kazali Kramerowi zejść i usiąść w trawie, a sami zabrali się do pracy.

W tym czasie pan Sugot już dojeżdżał powozem ojca Kramera do rozlewiska nad Rodanem, dobrą milę od drogi Lyon – Montluel. Zatrzymał konie na skraju bagna, zdjął uprząż, wyprowadził je na pole ciągnące się od drogi aż do wsi Miribel. Każdego konia klepnął w zad. Rozbiegły się na wszystkie strony, ale po chwili znów biegły obok siebie, prosto do pierwszych zabudowań Miribel. Kiedy w szpalerze drzew stracił je z oczu, wrócił do powozu, złapał za dyszel i mocno napierając, skierował pojazd w bagniste rozlewisko rzeki. Nie czekał, aż się zatopi. Wrócił na drogę i szybko pobiegł szukać panów Abrusiane i Saligner. Biegł około pół godziny, od czasu do czasu przystając dla złapania oddechu. Znalazł ich tam, gdzie się umówili. Na polanie, z dala od głównej drogi.

Ojciec Kramer skurczony, trzęsący się, być może z zimna, być może ze strachu, siedział na trawie. Pan Abrusiane i pan Saligner kończyli układać stos wokół wbitego w ziemię pala. Pan Abrusiane na chwilę skrył się w powozie, a potem wyciągnął dwa worki suchej słomy, którą podłożyli na spód, aby lepiej się paliło.

Kiedy przywiązywali Kramera do pala, nie protestował. Pokręcił tylko głową, gdy mu chcieli zdjąć filcowy kapelusz z szerokim, skrywającym część twarzy rondem. Wszystko odbywało się w ciszy, przerywanej dopiero trzaskiem rozpalanych gałęzi.

Ogień momentalnie zajął całe ubranie. Pierwsze spaliły się brązowe trzewiki zrobione z grubej, końskiej skóry. Być może wszystkim trzem się tylko zdawało, stali przecież co najmniej dziesięć kroków od ogniska,

że zamiast nóg i stóp Kramera płomienie obejmują coś w rodzaju kozich kopyt i dziwnie zwierzęco zdeformowanych goleni. Podobnie gdy płomienie sięgnęły głowy i kapelusz spalił się w jedną chwilę, spod niego wychynęło coś, co przypominało koźle lub baranie rogi. Ani pan Abrusiane, ani pan Sugot, ani pan Saligner nie mieli jednak zamiaru dzielić się swoimi przywidzeniami. Każdy z nich był właściwie pewien, że ulega emocjom. Widzieli już wprawdzie kilka razy w swoim życiu ludzi palonych na stosie, ale przecież nigdy żaden z nich nie podkładał ognia. Chyba nawet bardziej zaskoczyło ich to, że ojciec Kramer ginął bezgłośnie. Żaden krzyk nie wydobył się z jego gardła, jakby żar nie sprawiał mu bólu.

Zarówno panu Abrusiane, jak i panu Sugot, a także panu Saligner wydało się to dziwne – paleni na stosie zawsze umierają w męczarniach, jęcząc przy tym i skowycząc – jednak nie na tyle dziwne, by sobie tym musieli zaprzętać głowę. Nawet, do pewnego stopnia, każdemu z nich to odpowiadało. Przygotowani na lamenty, zawodzenia Kramera, mile rozczarowani ciszą, przerywaną tylko trzaskiem buzującego w ogniu igliwia, przypatrywali się do samego końca ofierze, która z każdą chwilą malała, aż w końcu został z niej solidnych rozmiarów kopiec kości i popiołu.

Kiedy stos się dopalił, pan Abrusiane wyciągnął z powozu trzy łopaty, którymi wspólnie rozgarnęli palenisko, mieszając je z warstwą wilgotnej ziemi.

Nawet gdyby ktoś, za jakiś czas, przypadkiem, zapędził się w to miejsce i niechcący dostrzegł ślady ogniska, nie pomyślałby nawet, że na polanie w samym środku lasu spalono człowieka. Co najwyżej mógłby pomyśleć o udanym polowaniu na dzikie zwierzę, których w lyońskich lasach zawsze było w bród. Mógłby też pomyśleć o udanej uczcie myśliwych, żałując, że sam w niej nie wziął udziału.

Po zapakowaniu na powrót narzędzi pan Sugot z panem Saligner zajęli miejsca w powozie, a pan Abrusiane usiadł na koźle. Pojechali tym razem inną drogą, po trzech godzinach wjeżdżając od północy do Lyonu.

Zbliżało się południe. Dzień był ciepły, choć grudniowy. Świeciło słońce, na niebie nie było nawet jednej chmury. Święta Bożego Narodzenia

zapowiadały się pogodnie, a nawet radośnie.

Pan Abrusiane zatrzymał powóz dwie ulice przed rynkiem, w miejscu, w którym czekał już umówiony woźnica. Kiedy zszedł z kozła, woźnica przejął lejce i ruszył w stronę rogatki miasta, do stajni.

Pan Saligner, pan Sugot i pan Abrusiane podali sobie ręce i nic nie mówiąc, rozeszli się do domów.

Na wiosnę, kiedy słońce osusza najpłytsze, położone przy samej drodze mokradło, zauważono wystającą z niego ludzką rękę. Okazało się, że to ręka woźnicy, a jego trup pozostał zakonserwowany, jakby umarł przed chwilą. Ciało przewieziono do opactwa Montluel. Ponieważ woźnica nie miał rodziny, pochowano go na małym przyklasztornym cmentarzu w asyście braci zakonnych. Opat nakazał zawiesić na zwykłym, dębowym krzyżu drewnianą tabliczkę z wyrytym napisem: „Tu spoczywa Jacques, nieznanego nazwiska, woźnica ojca Heinricha Kramera, z Bożej łaski Institora”

Kilka lat później grobu już nie było. Jak większość mogił na małym cmentarzu, i ta została przekopana, żeby zrobić miejsce na zbiorowe pochówki ofiar czarnej śmierci, zbierającej bogate żniwo we wsiach położonych na północ i wschód od Lyonu, a przede wszystkim w samym mieście, w którym nawet wypalono kilka kwartałów ulic, aby powstrzymać ogniem rozszerzającą się zarazę. Poszły z dymem także domy pana Abrusiane, pana Sugot i pana Saligner. Ich domostwa już zresztą dawno, po procesie czarownic, w ostatnich dniach 1517 roku, przeszły na własność zakonu dominikanów, gdyż rodzina skazanych za czary lub kacerstwo musi także ponieść zasłużoną karę. Abrusiane, Sugot i Saligner nie czekali, aż przeor Roger, w asyście braci zakonnych, przyjdzie ustanawiać swoje prawa na ich własności. Wyjechali z Lyonu tuż po procesie.

Chodziły słuchy, że wszyscy trzej, zabierając ze sobą jedynie najpotrzebniejsze rzeczy i pieniądze, osiedlili się gdzieś nad oceanem, w Hiszpanii czy w Portugalii. Niektórzy powtarzali plotkę, że pan Abrusiane, pan Sugot i pan Saligner wyprawili się potem wspólnie do Nowego Świata, nazywanego od niedawna Ameryką, na pamiątkę pewnego florenckiego żeglarza, odkrywcy nieznanego wcześniej lądu.

Z plotkami bywa jednak tak, że najczęściej nie mają nic wspólnego

z prawdą. Nawet gdyby komukolwiek w Lyonie zależało na jej poznaniu, było to już niemożliwe. Cała prawda, lub może tylko jej część, została w lesie. W połowie drogi między Lyonem a Montluel, przysypana wilgotną ziemią.



Rozdział
XIII

– Prawda, że nie wierzysz w Jezusa Chrystusa? – spytała, a on się wyparł niewiary.

– Jeśli chcesz, abym ci uwierzyła, pójdziemy jutro z rana do kościoła na mszę.

Dopiero wtedy mężczyzna pojął, że dłużej nie może już kłamać.

Wyznał jej więc całą prawdę.

„Malleus maleficarum”

14 GRUDNIA 2018

Zostało jeszcze kilka stron. A może tylko zdań, ostatnich. Tak myślał, ale nie mógł ich znaleźć. Pisał, skreślał, potem żałował, że już ich nie ma. Może były całkiem niepotrzebne, skoro nawet nie próbował ich przechować w pamięci.

Powinien wyjść. Tak zwyczajnie, jak każdy normalny człowiek. Przejść się i wrócić. Pewnie byłoby mu łatwiej, ale ostatni raz chodził po ulicach Pragi zimą. Pamięta, bo padał śnieg. A już zaraz będzie kolejna zima. Pory roku przesuwają się za oknem szybciej niż mógł się spodziewać. Śnieg, liście seledynowe, liście zielone, liście żółte i czerwone, śnieg. Z ich mieszkania – trzecie piętro, Na Kampie pod numerem dwunastym, strona południowo-wschodnia, gdyby się wychylić z okna i spojrzeć w lewo, widać pierwszą linię kamienic Starego Miasta, oddalonego o sto, dwieście metrów. Bliżej – początek mostu Karola i rzeka, teraz, przy brzegach, pokryta delikatną warstwą kruchego lodu, po którym niezgrabnie, ślizgając się, spacerują ptaki.

Potrafił godzinami siedzieć w oknie. A potem tak samo długo miał wyrzuty sumienia, że traci czas. Karmił gołębie. Zlatywały się o tych samych, wyznaczonych przez Jana godzinach. Punktualnie, jak odjazdy i przyjazdy

przedwojennych czeskich pociągów. Okruchy pieczywa, niedojedzony obiad. Wydziobywały do czysta parapet. Kiedy próbowały wchodzić do mieszkania, Jan brał je delikatnie w dłonie i wystawiał na zewnątrz. Codzienny rytuał, do którego przyzwyczyli się i on, i ptaki.

Na początku włączał radio, czasem telewizor. Mimowolnie, siedząc przy komputerze, wchodził na portale informujące o wydarzeniach. Potem przestał, bo go to wszystko rozpraszało. Nie umiał pogodzić zgiełku, natłoku wiadomości z pracą. Tracił koncentrację. Ten stan niewiedzy o tym, co się działo poza nim, poza jego małym fragmentem większej całości, bardzo mu odpowiadał. Prosił Annę, żeby mu niczego nie mówiła.

Anna wpadała na chwilę. Codziennie, czasem co drugi, trzeci dzień. Przynosiła zakupy, sprawdzała, czy coś jadł i czy przypadkiem czegoś nie potrzebuje. Przeniosła się do rodziców na Welwarską pod koniec czerwca, może to był już początek lipca. W każdym razie było wtedy bardzo gorąco. Upały zaczęły się w kwietniu i z wyjątkiem dwóch sierpniowych, chłodniejszych tygodni trwały jeszcze prawie cały wrzesień. Nawet Wełtawa wyschła do tego stopnia, że statki wycieczkowe, których od wiosny do jesieni zawsze na rzece było pełno, przestały pływać. Stały zakotwiczone przy Wyspie Strzeleckiej, bo tylko w tym miejscu było na tyle głęboko, że nie osiadały na mieliźnie.

Powiedziała, że tak będzie lepiej. Zawsze to mówiła, kiedy nie wiedziała, co powiedzieć i co zrobić. Posiedzi trochę u rodziców, a on w tym czasie skończy. Nie chce mu przeszkadzać, i tak ze sobą nie rozmawiają. Po co ma go rozpraszać obecnością. Nic nie powiedział, ale w gruncie rzeczy uważał, że ma rację. Zawsze miała rację.

Hass sam zaproponował, że da mu urlop:

– Ile chcesz, pół roku? Rok? Pół to za mało, rok powinien wystarczyć, jak myślisz?

Obiecał, że sam poprowadzi seminarium Jana. Nie musi się przejmować studentami. Najważniejsza jest teraz książka.

– Jeśli się już zdecydowałeś, musisz to zrobić najlepiej, jak potrafisz – przekonywał. – Masz materiał, siadaj, pisz, o wydawcy na razie nie myśl,

zostaw to mnie.

Pierwsze dni po powrocie były trudne. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o Lyonie. Jan nie chciał.

– Jeśli człowiek czegoś nie rozumie, powinien trochę pomilczeć – Anna jak zwykle znalazła wytłumaczenie, a Janowi to odpowiadało.

Jak długo tam był? Trzy, cztery dni? Może dłużej? Po pierwszym stracił rachubę. Jak Hans Castorp w „Czarodziejskiej górze”. Przyjeżdża do Davos i nagle czas zaczyna się liczyć inaczej. Chyba płynie wolniej, tak się przynajmniej wydaje. Jeśli czas nie ma kontekstu, jakiegoś zrozumiałego oparcia w przestrzeni, staje się bezużyteczną, bezkształtną formą, pozbawioną treści, bez początku i końca. Anna, kiedy jej o tym powiedział, tylko się uśmiechnęła:

– Ciekawe. Każdy student pierwszego roku fizyki wie, że im wyżej, tym czas akurat płynie szybciej. Pole grawitacyjne, kochanie, ogólna teoria względności Einsteina. W Davos, w górach, czas powinien płynąć szybciej. Jeśli staniemy na szczycie Mont Blanc, to się będziemy, w pewnym sensie, szybciej starzeć niż w Pradze. Nawet nasze GPS-y uwzględniają tę różnicę. Grawitacja powoduje zakrzywienie czasoprzestrzeni. Takiego czasu, jak go sobie wyobrażamy, wiesz, takiego odtąd dotąd, po prostu nie ma, nie występuje w przyrodzie.

– Niczego to nie tłumaczy, Anna – Jan nie chciał dyskutować o czymś, na czym się nie znał.

– Prawda, masz rację, niczego – przyznała.

Dopiero po świętach Bożego Narodzenia – spędzali je jak zwykle u rodziców Anny, na Dejvicach – ale jeszcze przed Nowym Rokiem, poszli do „Hrocha”. Zamówili butelkę wina, potem drugą. Próbowali rozmawiać o Lyonie. Skończyło się na tym, że grubo po północy, chwiejnym krokiem, ślizgając się na oblodzonym chodniku, wrócili do domu, niczego nie ustalając. Z wyjątkiem tego, że Jan zadzwoni do Deskura, opowie o ostatnim wieczorze na wzgórzu Fourvière, o pani Becu, Jeanie i ojcu Rogerze, którym prawdopodobnie nic się nie stało. Prawdopodobnie, bo nic nie jest „na pewno”. Choć każde z nich odegrało inną, niż się z początku wydawało,

rolę w historii, której i tak ani Jan, ani tym bardziej Anna nadal nie są w stanie zrozumieć. Spyta profesora, co on o tym wszystkim myśli.

Zadzwonił do profesora w poniedziałek, pierwszego stycznia. Krótka rozmowa. Trwała nie dłużej niż trzy, może cztery minuty.

– No tak, wyobraźnia, panie Gutman, ma to do siebie, że jej ulegamy niezależnie od tego, czy chcemy, czy też nie – Deskur jednym zdaniem skomentował kolejne rewelacje, które usłyszał od Jana. I tyle. Nie mógł dłużej rozmawiać, może nie chciał. Życzyli sobie dobrego nowego roku. Profesor odłożył słuchawkę.

Dziś mijał dokładnie rok od powrotu. W południe zadzwonił Hass.

– Skończyłeś pisać? – spytał.

– Jeszcze nie, ale prawie tak – Janowi nie chciało się tłumaczyć, że ma problem z ostatnim rozdziałem.

– Bo widzisz – Hass zrobił pauzę – chyba mam dla ciebie zakończenie.

– To znaczy?

– Jestem niedaleko. Będę u ciebie za piętnaście minut. Porozmawiamy.

– Może lepiej nie teraz, profesorze. Staram się pracować. Jak skończę, to powiem...

– Będę za piętnaście minut.

– Ale...

– Do zobaczenia – przerwał mu Hass.

Zadzwonił domofon. Jan wpuścił Hassa, uchylił drzwi na klatkę schodową, a sam poszedł do kuchni wstawić wodę na herbatę. Kiedy wrócił, Hass już był w środku, a zaraz za nim wszedł profesor Deskur, potem Pierre, pani Becu, Jean i na końcu Julia. Deskur zamknął drzwi. Wszyscy pięcioro stanęli w ciasnym przedpokoju. Nic nie mówiąc, jakby czekali na reakcję Jana. Gdyby mu w tej chwili zrobiono zdjęcie, mogłoby wygrać konkurs na twarz roku. Twarz zdziwioną, zaskoczoną, wystraszoną. Każde z tych określeń i tak dokładnie nie tłumaczyłoby stanu, w jakim się Jan znajdował. Przerzucił wzrok z Deskura na Pierre'a, Julię, panią Becu, Jeana i znów od początku na każde z nich.

– No co? Nie zaprosisz nas do środka? – Julia odezwała się pierwsza. Jan, nic nie mówiąc, pokazał ręką, żeby przeszli do pokoju. Julia natychmiast

zajęła fotel stojący za biurkiem, pani Becu usiadła na kanapie pod ścianą. Na biurku, po jego obu stronach, przycupnęli Deskur i Hass, a Pierre i Jean znaleźli sobie miejsce na parapecie okna.

– Niezła procesja, prawda? – uśmiechnął się Hass.

– Nic nie rozumiem – Jan nadal był oszołomiony, jakby przed chwilą obudził się po pijackiej biesiadzie i jeszcze nie bardzo wiedział, gdzie jest i dlaczego.

– A co tu jest do rozumienia? – spytała Julia. – Przyjechaliśmy w odwiedziny. Prawda, niezaproszeni, ale chyba nie masz nic przeciwko temu, no nie?

– Nie, ale... – Jan cały czas jeszcze dochodził do siebie. Nie wiedział, co ma powiedzieć, jak się zachować.

– Świetnie – Julia wstała, podeszła do okna, spojrzała na most, rzekę i Stare Miasto, potem znów usiadła w fotelu.

– Widzisz, Janie, trudno się nas pozbyć, prawda? – Pierre powstrzymywał się od śmiechu, widząc reakcję Jana.

– Panie profesorze – Jan spojrzał na Hassa, kierując w jego stronę palec wskazujący – może mi pan to jakoś wyjaśnić?

– Oczywiście, oczywiście, mój drogi. Mówiłem ci, że mam w Lyonie przyjaciół, ale nie chciałeś pomocy. Pamiętasz?

– Pamiętam, tylko że...

– Nie wiem, Janie, czy to jest dobre zakończenie, ale na pewno jakieś jest. Antoine... – Hass popatrzył na Deskura – uważał, że chociaż panią Becu należy uśmiercić, bo nic tak dobrze nie robi książce, jak tajemnicza zbrodnia. Uznaliśmy jednak, po namyśle, że damy jej żyć.

– Za co wam bardzo dziękuję panowie, chciałam jeszcze trochę pochodzić po świecie – odezwała się Becu, która podobnie jak Pierre, nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Mnie też chcieli zabić – udała rozżaloną Julia. – Miałam spłonąć na stosie. Czy jakoś tak. Ostatnia ofiara Kramera, rozumiesz. Przeżyłam, w pewnym sensie, dzięki tobie.

– Co?! – Jan nadal niczego nie rozumiał.

– No tak. Staraleś się mnie znaleźć, zależało ci na tym, a to było ciekawsze

niż jakieś proste morderstwo.

– Chłopaki chciały ją spalić na scenie – wtrącił się Pierre. – Uznałem, że to gruba przesada. Oni zawsze mieli rozwiązania zero-jedynkowe.

– Podziwiam pana, że nie wyjechał pan już drugiego dnia. Szczerze mówiąc, można się było tego spodziewać. A wtedy nie doprowadzilibyśmy historii do końca – powiedział Deskur.

– A te rzeczy z Jeanem i przeorem – dorzucił Pierre. – Mogłeś nie wytrzymać. Powiem ci, bracie, że masz mocne nerwy.

– Oczywiście jak na Czecha – dodała, śmiejąc się, Julia.

– Znów zaczynasz? – Pierre pogroził jej palcem.

– Teraz już można. Teraz już wszystko można – stwierdził Jean, przyglądając się zza szyby Staremu Miastu.

– Mój wykład pomógł panu chociaż trochę? – spytał Deskur.

– Oczywiście, bardzo – Jan odpowiedział, ale od razu zdał sobie sprawę, że to, co mówi, jest właściwie tak samo dziwaczne i niezrozumiałe, jak wszystko, co przed chwilą usłyszał.

– Staralem się mówić zrozumiale, ale materia jest do tego stopnia skomplikowana, że czasem sam siebie nie rozumiem. Kultury solarne, a do takich się zalicza mitraizm i chrześcijaństwo, ale inne religie bardziej lub mniej też, zawsze będą stanowiły tajemnicę, szczególnie jeśli chodzi o obrzędowość. W obu tych szczególnych przypadkach, które wymieniłem, obrzędowość wydaje się ważniejsza niż samo bóstwo. *Sol*, słońce, światłość, *invictus*, niezwyciężone, niepokalane. Ostatecznie i nieodwołalnie, na końcu zawsze dochodzimy do tego samego.

– Myślę, profesorze, że to nam się udało – powiedział Pierre, wyglądając przez okno. Zaczął padać śnieg. Płatki spadały na szybę i natychmiast się rozpuszczały. – Piękny widok, nie wiedziałem, że Praga jest taka ładna.

– Tajemnicza, misteryjna – dodała Julia.

– Ostatecznie wszystko jest grą – powiedział od niechcenia Jean.

– Do rzeczy, moi drodzy, do rzeczy – przerwał tę kontemplację Hass, bo nagle wszyscy zaczęli się wpatrywać w mokrą, zamgloną szybę.

– Nie chcemy pana straszyć, wręcz przeciwnie, widzimy w panu sprzymierzeńca – Deskurowi zrobiło się niewygodnie na biurku, więc usiadł

na parapecie, obok Jeana i Pierre'a.

– Miał się pan dowiedzieć, co nas łączy. To znaczy, co nas łączy rodzinie
– poprawiła się pani Becu.

– Co, do cholery? – Jan cały czas stał oparty o ścianę. Zastygł w tym samym miejscu, nie ruszając się nawet o centymetr.

– A jak pan myśli? Dlaczego wybraliśmy akurat pana?

– Wybraliście?

– Poczekaj – Deskur przerwał pani Becu. – Wybraliśmy także dlatego, że nam go polecił Hass.

– I chyba dobrze zrobiłem – Hass z satysfakcją spojrzął na Jana.

– Bardzo dobrze – przyznali wszyscy niemal jednocześnie.

– Gdyby jeszcze tylko podzielał nasze poglądy – dodał Pierre.

– Myślę, że akurat z tym nie powinno być problemu. Najważniejsze, że sprawa jest zakończona – Deskur poszukał wzrokiem Hassa, ten zaś kiwnął głową. – W takim razie kończymy przedstawienie.

– Kurtyna! – krzyknął Pierre, podniósł się pierwszy, uklonił i zaczął iść w stronę drzwi. Za nim Julia, pani Becu, Hass i na końcu Deskur.

– Chwilę – Jan przytrzymał Deskura za rękaw płaszcza. – Więc to wszystko było jedynie mistyfikacją?

– A jak pan uważa? – spytał Deskur.

– Nie wiem, co mam myśleć.

– I niech tak na razie zostanie. Wkrótce się spotkamy, zapewniam pana. W takim lub innym miejscu – mówiąc to, Deskur zamknął za sobą drzwi.

Wieczorem przysłała Anna. Przyniosła pizzę i wino kupione w barze naprzeciwko ich kamienicy. Spytała, co dziś jadł. Z początku się wykręcał, ale w końcu powiedział, że jeszcze nic.

Potem siedzieli przy stole w kuchni. Jan ugryzł pizzę kilka razy i zostawił. Dolał wina. Długo wpatrywał się w Annę, aż to ona się odezwała, choćby tylko po to, żeby przerwać ciszę.

– Coś się stało? – spytała.

– Był u mnie Hass.

– Tak? To miłe. Kiedyś częściej zaglądał. Od kiedy piszesz tę książkę,

przestał chyba w ogóle przychodzić, prawda?

– Tak. Przyprowadził Deskura, panią Becu, Julię, Jeana i Pierre’a...

– Co? – Annie kawałek pizzy wypadł z ust. – Powtórz, bo chyba nie zrozumiałam.

– Przyprowadził Deskura, panią Becu, Jeana i Pierre’a. I jeszcze Julię.

Anna dolała sobie wina i wypła kilkoma łykami.

– Twoich bohaterów, tak? Przyprowadził twoich bohaterów? Tych z książki? Niektórzy z nich mieli być nawet martwi. A jednak przyszli, to znaczy Hass ich przyprowadził, tak?

– Dokładnie tak było. Przyprowadził, posiedzieli, pogadali i sobie poszli.

– Oni poszli, a ty zostałeś? Tak po prostu?

– Jak widzisz.

– No dobrze – Anna wzięła głęboki oddech, bo nie wiedziała, jak ma o to zapytać – ale powiedz mi, jak oni mogli tak po prostu przyjść, ci twoi znajomi, to znaczy bohaterowie. Jak oni tu, że się tak wyrażę, przyszli, co? Przecież to niemożliwe.

– Też się zdziwiłem, myślisz, że nie? Nie powinni tu przychodzić. Zresztą niektórzy z nich to też twoi znajomi.

– Słabo znam Hassa, widziałam go parę razy.

– Deskura raz, za to poznałaś go w takich okolicznościach, że chyba zapamiętasz na całe życie.

– Gdzie go niby miałam poznać? Chyba że z twoich opowiadań – Anna przysunęła się do stołu, żeby być bliżej Jana.

– Kilka godzin z Deskurem w Lyonie to za mało?

– Dobrze wiesz, że nigdy nie byłam w Lyonie. Dlaczego tak mówisz?

– Annie odechciało się jeść. Schowała niedojedzoną pizzę do pudełka, wpatrując się w Jana i czekając, aż on coś powie, cokolwiek, byle mówił.

Jan wstał od stołu, podszedł do okna. Machnął ręką, jakby się chciał opędzić od pytań Anny.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – spytała.

Otworzył jedno skrzydło. Mówił do niej, stojąc tyłem.

– Popatrz, gołębie. Jeszcze nie poszły spać. Zachowują się jak ludzie. Zakładają rodziny, jedzą i srają gdzie popadnie. W ogóle się nas nie boją – przerwał, bo zauważył panią Becu. Szła chodnikiem, ciągnąc za sobą wózek z zakupami. Kiedy znalazła się pod oknem, z którego wyglądał Jan, podniosła głowę, pomachała parasolką i poszła dalej. W oddali widać było most, ale budynki po drugiej stronie Wełtawy tonęły we mgle i w mdłym świetle ulicznych latarni. W kamienicy, po drugiej stronie ich wąskiej w tym miejscu uliczki, na trzecim piętrze ktoś urządził przyjęcie. Ludzie kręcili się to w jedną, to w drugą stronę, trzymając w rękach kieliszki. Wydawało mu się, że rozpoznaje niektóre twarze, ale mógł się mylić. Na pewno się mylił.

Z otwartego okna wystawała czyjaś głowa. Jan wychylił się i stwierdził, że jest to jego głowa.

– Jan, co ci jest? – spytała Anna.

– Nic, a co ma być? – odpowiedział, cały czas stojąc do niej tyłem.

– Przestań już, proszę – podniosła się z krzesła.

Nagle wskoczył na parapet. Stał oparty o środkową ramę okna. Z mieszkania naprzeciwko dochodziła muzyka. Bardzo wyraźnie słyszał słowa, które dobrze znał: *Preces meae non sunt dignae, sed tu, bonus, fac benigne, ne perenni cremer igne. Inter oves locum praesta, et ab hoedis me sequestra, statuens in parte dextra. Confutatis maledictis, flammis acribus addictis, voca me cum benedictis. Oro supplex et acclinis, cor contritum quasi cinis, gere curam mei finis.*

Odwrócił się, ale Anny nie było.

Epilog





*A co się stało z córką? Została ofiarowana Panu Bogu.
I od tej chwili już nigdy nie mogła rzucać uroków i czarów.
„Malleus maleficarum”*

W połowie października 1517 roku, w odstępie trzech dni, do ołomunieckiego konwentu dominikanów dostarczono dwa listy adresowane do ojca Heinricha Kramera. Autorem obu był ojciec Elias, kaznodzieja zgromadzenia w Tuluzie, niewiele młodszy od Kramera, jego przyjaciel z lat studiów. Niestety, ani jeden, ani drugi list nie mogły zostać przekazane. Ojciec Kramer od tygodnia był już w podróży, w którą wyruszył razem z panem Sternberkiem. Droga wiodła przez Pragę – przebywali tu od 18 do 20 października. 25 dotarli do Erfurtu, a 31 tego samego miesiąca zjawili się w Wittenberdze, wizytując Martina Lutra. Przebywali tam do 2 listopada, by następnie udać się do Kolonii. Pan Sternberk pozostał w tym mieście. Miał odbyć kilka rozmów, głównie handlowych, i po kilku dniach wracać do Ołomuńca, natomiast ojciec Kramer ruszył dalej. Odwiedzając po drodze Strasburg i swoje rodzinne miasto Schlettstadt, 8 grudnia dotarł do Montluel, benedyktyńskiego opactwa nieopodal Lyonu. Zamierzał tu spędzić nie więcej niż miesiąc, czytając księgi jednej z największych klasztornych bibliotek środkowej Francji.

Ponieważ pan Sternberk wrócił do siebie na zamek już w końcu listopada, natychmiast dowieziono mu listy ojca Eliasza, tak by Institor mógł je przeczytać niezwłocznie po swoim powrocie. Wiedzano bowiem, że w pierwszej kolejności odwiedzi zamek – od dawna już swój dom, nie zaś konwent.

Gdy na początku nowego roku posłaniec z Lyonu przywiózł tragiczną wieść o zaginięciu ojca Kramera, Sternberk nie był jeszcze pewien, czy powinien otwierać listy. Dopiero miesiąc później, kiedy oswoił się z myślą, że Kramera nie ma już pośród żywych, przełamał pieczęcie i zaczął czytać.

W liście datowanym na 1 października 1517 roku ojciec Eliasz pisał:

„Drogi Heini, czy Brat nadal trawi czas na poszukiwania owej dziewczyny podejrzanej o konszachty z diabłem, tej, której namalowany wizerunek otrzymaliśmy wiele lat temu, będzie już chyba ze trzydzieści? Jeśli tak, mamy dla Brata dobre wiadomości. Owa dziewczka lub raczej chyba ktoś do niej nie tylko podobny, a wręcz taki sam, przebywa i mieszka w naszym mieście, jak donieśli nasi bracia, którzy są bliżej spraw ludzkich niż ja, stary już kaznodzieja. Aby się przekonać, czy mają rację, kazałem się zaprowadzić w miejsce, w którym owa dziewczka czasem zachodzi, czyli do budynku naszego uniwersytetu, na fakultet przyrodniczy o specjalności medycznej, na którym właśnie zdobywają wiedzę także niektórzy nasi młodzi Bracia Kaznodzieje. Gdy znany mi od dawna doktor, ojciec Rajmund, *ordo fratrum minorum*, prowadził swój wykład, ja siedziałem cicho obok katedry, przyglądając się studentom, ale tak naprawdę dziewczynie, którą drogi Brat przedstawił kiedyś na portrecie jako Annę o nazwisku Santi oraz zlecił nam jej poszukiwanie. Jej podobieństwo, była jedyną pobierającą nauki medyczne pośród samych chłopców, nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. Nie wiem jednak, jak by to się mogło stać, że mimo upływu kilku dziesięcioleci, kobieta wygląda wciąż tak samo (potwierdzam opinię Ojca o jej niepowtarzalnej urodzie, zwracającej uwagę każdego, kto na nią spogląda). Może to potwierdzać przypuszczenia Ojca o szatańskim charakterze poszukiwanej. Powiedziano mi jednak, że nazywa się Abrusiane, a jej imię to Julia. Natychmiast wróciłem do konwentu, skąd, nie tracąc czasu, piszę do Brata te słowa, mając nadzieję na odpowiedź, a jeśli czas i zdrowie Bratu pozwalają, może i na przyjazd do nas, aby mógł Brat na miejscu zbadać ten dziwny przypadek. Zleciłem też naszym braciom przeprowadzenie dochodzenia, z której to rodziny Abrusiane pochodzi dziewczyna. Rodzin o tym nazwisku jest bowiem w samej Tuluzie i okolicznych miastach przynajmniej kilka. O postępach prac poinformuję Brata w kolejnym liście. Niech Bóg Brata prowadzi.

Eliasz O. P. z Tuluzy”

Drugi list nosił datę 3 października:

„Wybacz, drogi Bracie, że od razu piszę kolejny list. Wiadomości mam nowe, szybko zdobyte, dobre i złe zarazem. Ustaliliśmy niewątpliwą prawdę o rodzinie Abrusiane. Pan Abrusiane jest hodowcą bydła. Miał żonę o imieniu Anna. Zmarło jej się już dawno temu. Jej rodowe nazwisko Santi, pochodziła z południowych Niemiec, z okolic Konstancji. Julia Abrusiane, tak łudzaco podobna do Anny, jest jej córką. W Tuluzie zamieszkali nie tak znowu dawno. Skąd przybyli, tego nie udało się ustalić. Tu się kończą dobre informacje. Niestety, czy dlatego, że zaczęliśmy się nimi interesować, rozpytując tu i ówdzie, czy za sprawą jakichś interesów pana Abrusiane, oboje, to znaczy on i córka, opuścili Tuluzę. Podobno udali się do Lyonu. Piszę podobno, gdyż nie mogę tego sprawdzić. Gdybyś miał dla nas jakieś polecenia, napisz prędko, bo nie wiem, jak wiele dni życia wyznaczył mi jeszcze nasz Pan.

Twój Brat Elias O. P. Tuluzia”

Pan Sternberk przeczytał do końca. Chwilę się zastanawiał, co zrobić z oboma pismami, po czym rozgarnął drewno w kominku i wrzucił je w ogień. Spłonęły w jednej chwili, zostawiając na brzozywym polanie ślady czarnego atramentu.

KONIEC



Post Scriptum

Przybył księżę ciemności i spytał:

– Wierzysz we mnie i w moją moc?

– Wierzę, panie – odpowiedział.

– Odstąpisz od swojej wiary? – nie ustawał szatan.

– A jakże, odstąpię.

Usłyszał wtedy:

– Wy, chrześcijanie, wszyscy jesteście zdrajcami. Jak który z was chce mojej pomocy, z miejsca mi się zaprzeda.

A jak już dostanie, czego chciał, zaraz się do Chrystusa zwraca z przeprosinami, aby ratować swą duszę.

„Malleus maleficarum”

I

CLAUSEWITZ CHRISTIAN BECU

Udział bierze czterech aktorów, chór. Bohater, nazywany Kapitanem L., powinien być kukłą. Akcja rozgrywa się w tym samym miejscu.

(Głos)

Czy ktoś z państwa, czy ktoś ze zgromadzonych w tej sali ma broń? Jeśli tak, prosimy o jej zabezpieczenie. W czasie spektaklu zabronione jest odbezpieczanie broni, jej zabezpieczanie, a także, co oczywiste, strzelanie. Broń zabezpieczamy w następujący sposób. Sprawdzamy, czy w komorze wylotowej znajduje się pocisk. Następnie przesuwamy w dół ten maleńki języczek, ten bezpośrednio pod lufą. O tak. Właśnie tak. Dla pewności dmuchamy w otwór lufowy. Broń, która nie jest przeładowana, nie zagwiżdże. Najlepiej będzie jednak oddać broń do szatni. Zostanie przechowana do końca spektaklu. Szatnia znajduje się przy wejściu, po prawej stronie. To znaczy z mojej strony po prawej stronie. Osoby, które mają broń i zostawią ją w szatni, będą mogły następnie wrócić na swoje miejsca. Dopiero wtedy rozpoczniemy spektakl, najwyżej z kilkuminutowym opóźnieniem. Proszę się nie obawiać, przedstawienie zakończy się jednak zgodnie z planem. Aktorzy w paru miejscach pominą po prostu mniej istotne kwestie. To jak? Rozumiem. Dziękuję. Możemy zacząć? Zaczynamy.

Zawsze razem. Jak bracia.

Taaa...

Nie chce ci się gadać?

Dlaczego?

Odpowiadasz monosylabami.

Ja wiem...?

Jak ci się nie chce, to powiedz.

Nie... dlaczego?

Nie śpij.

Nie śpię.

Wydawało mi się, że śpisz.

No co ty...

Nie powinniśmy teraz spać. W każdej chwili może nastąpić atak.

Taaa...

Widzisz coś?

Coś jakbym widział. Ale nie... Nic się nie dzieje. Dziwne. Ciebie to nie dziwi?

Może trochę.

Mnie to bardzo dziwi. Coś się powinno dziać. Zawsze coś się dzieje. To nie jest dobra cisza, mówię ci.

Cisza jak cisza.

Gdybyśmy mieli jakiś punkt odniesienia.

My jesteśmy punktem odniesienia.

W ogóle żywego ducha. Jakby nie było wojny.

Tak.

A jednak jest.

Giną ludzie.

Miliardy ludzi.

Chyba trochę przesadziłeś.

Chciałem, żeby lepiej zabrzmiało.

Wiesz, z punktu widzenia strategii śmierć, jako taka, nie ma żadnego znaczenia. Jedynie potwierdza konieczność nowych ofiar. Wojna staje się grą przez swój charakter subiektywny, jak i obiektywny. Czynniki matematyczne nie znajdują nigdy trwałego oparcia w obliczeniach sztuki wojennej. Wojna to żywioł, rachunek możliwości, prawdopodobieństw, szczęścia i nieszczęścia, przewijających się przez wszystkie, mniejsze i większe nitki tej tkaniny. Spośród wszystkich dziedzin działalności ludzkiej wojna najbardziej upodabnia się do gry w karty. Innymi słowy wojna, jak gra w karty, prowadzi do celu wolno lub też powoli, ale zawsze trwa dość długo, aby jeszcze podczas jej trwania mógł się ujawnić wpływ zdolny jej nadać ten czy inny kierunek, a zatem poddać ją woli kierującego nią intelektu. Jeśli zaś uprzytomnimy sobie, że wojna wypływa z celu politycznego, to wydaje się zupełnie naturalne, że ta pierwsza pobudka, która ją powołała do życia, pozostaje przodująca w najwyższym stopniu także w czasie jej rozgrywania. Z kolei sam przebieg wojny jest uzależniony...

Poczekaj. A więc jednak wojna, prawda?

No tak. Jako ciąg dalszy.

Ale czego?

Wojna jako ciąg dalszy wojny. To jasne. Bez niej trudno sobie wyobrazić rozwój. Cywilizacja bez wojen skazana byłaby na zagładę.

Mimo wszystko nie brzmi to wyjątkowo oryginalnie.

Bo oryginalność wojny nie tkwi w jej istocie. Polega raczej na uwzględnieniu całkowicie nowych okoliczności, które jej towarzyszą. Czy można sobie wyobrazić działanie wojenne choćby tak świetnie wyszkolonych wojsk jak nasze, bez określonej przestrzeni? Bez uwzględnienia często najdrobniejszych szczegółów terenu, na którym działamy? Lecz przede wszystkim bez geniuszu naszych dowódców? Oni za każdym razem nadają wojnie jej oryginalny charakter. Dzięki temu żadna poprzednia nie jest podobna do następnej. A i my sami nie odczuwamy tej pod każdym względem destrukcyjnej nudy wynikającej z podobieństwa zdarzeń i końcowego efektu, czyli wygranej lub też, w niektórych przypadkach, przegranej. Gdybyśmy mieli spytać, jaki rodzaj rozumu najściślej odpowiada geniuszowi wojennemu, to zarówno rzut oka na przedmiot, jak i na doświadczenie podpowiedziałyby nam, że dobro naszych braci, dzieci, honor i bezpieczeństwo naszej ojczyzny najchętniej powierzylibyśmy raczej umysłom badawczym niż twórczym, raczej uogólniającym niż jednostronnie wdającym się w szczegóły, wreszcie głowom chłodnym niż zapalonym. Gdyby Magdeburg w roku 1806 położony był wprost na linii odwrotowej armii pruskiej i armia ta nie przepadła już pod Auerstadt, to mogłaby śmiało pozostać w pobliżu tej wielkiej twierdzy trzy, do czterech dni, zebrać się i na nowo uporządkować. Ale nawet w tych warunkach Magdeburg posłużył jednak jako punkt zborny dla resztek armii Hohenlohego, która dopiero tam pojawiła się znowu jako armia istniejąca. Mimo wszystko błąd dowódców. Gdyby Polacy, naród

tyle twórczy, ile komiczny, z górą sto lat później nie popełnili grzechu zaniedbania, dopuszczając na wpół azjatyckich barbarzyńców na przedpola własnej stolicy, czy mogliby w ogóle święcić później ostateczny triumf nazywany cudem? Ale jakież to cud? A Salamina, a Wiedeń to też był cud?

Petersburg, Warszawa, Moskwa, Londyn, Paryż. Nie, Paryż nie.

Jedynie błędy generałów naprawione i okraszone geniuszem kolejnych dowódców.

Pamiętaj, że bitwa obronna zawsze jest nieco mniej atrakcyjna z wojskowego punktu widzenia.

To prawda. O marnym charakterze bitwy obronnej stanowi bierna reakcja na froncie, a spotęgowana aktywność na tyłach. Jednak i tu mamy do czynienia z faktami trudnymi do przewidzenia. Jak choćby brak dróg, gdy nie można szybko maszerować i nawet nagły napad taktyczny zostaje zahamowany nierównościami terenu. Do tego dochodzi jeszcze niebezpieczeństwo odcięcia. Sam opór będzie mógł wprawdzie trwać nieco dłużej, mianowicie do chwili, gdy wróg osiągnie swoimi kolumnami te punkty, które utrudniają nam odwrót lub zgoła go uniemożliwiają. Jeśli jednak wróg je opanuje, to już nie będzie prawie na to rady. Żadne działanie zaczepne od tyłu nie zdoła go wyrzucić znowu z zagrażających nam punktów, żadne rozpaczliwe natarcie całością nie pokona go na punktach zamykających odwrót. Zaczepność od tyłu może być zresztą odebrana jako słabość i uniemożliwić następnie atak frontalny, jak wiesz, najskuteczniejszy, bo wprost prowadzący do sukcesu.

Kiedy sobie to wszystko uświadamiam, zaczynam odczuwać niepokój.

A ja łechcące brzuch podniecenie.

Zupełnie nie wiemy, co nas czeka.

W pewnym sensie jest to jednak niepokój.

W środku tego wszystkiego my. Właściwie nie wiadomo, czy w środku, nie wiadomo nawet, z której strony.

Delikatne mrowienie przechodzące wzdłuż ciała. Od dołu ku górze. Tajemnica nieznanego. Ryzyko połączone z naturalną potrzebą rywalizacji.

Myślisz, że ktoś to jeszcze kontroluje?

Mam nadzieję. Chociaż nikt nie jest w stanie wszystkiego do końca kontrolować. Jest jakiś margines całkowicie nieprzewidywalnych zdarzeń. Stosunkowo niewielki, ale jest.

Czuję, że się znaleźliśmy na tym marginesie.

A jednak w środku.

Na marginesie.

Niech ci będzie, że na marginesie. Nie ma się o co spierać.

Dla mnie to akurat ważne. W ten sposób określamy nasze miejsce wobec spraw, które się dzieją. Niezależnie od tego, czy mamy na nie wpływ, czy nie.

Ruszajmy. Kiedy idziemy, wszystko wygląda lepiej.

Tak, ruszajmy.

W którą stronę?

Wszystko jedno.

Tam już byliśmy.

Wszędzie już byliśmy.

Tak.

Mimo to chodźmy. Podaj rękę, mój wierny druhu.

I ty podaj swoją, przyjacielu.

II

Raz jest lepiej, raz gorzej. Jak to na wojnie. Nigdy nie wiesz, co się stanie. Jednego dnia się śmiejesz, opowiadasz dowcipy, najczęściej o dowódcach. Jednego dnia się śmiejesz... Drugiego dnia idziesz na akcję i nie wracasz. Taka jest wojna. Nikt nie powiedział, że na wojnie jest łatwo. Tak, nie jest łatwo. Ci, co przeżyją, będą potem opowiadali, jak każdego dnia śmierć zaglądała im w oczy. Oczywiście nie można się nad sobą użalać, wojna jest dla ludzi. No i trzeba mieć trochę szczęścia. Ja miałem trochę szczęścia. Nawet więcej niż trochę. Byłem trzykrotnie odznaczony za odwagę na polu bitwy. Pierwszy raz za to, że nie zważając na ostrzał artyleryjski, wyniosłem z przedpola dwóch naszych rannych. Sierżanta M. i porucznika U. Nie mogę podać ich nazwisk, bo to tajemnica wojskowa. Naprawdę nie mogę, chociaż nie wiem, czy żyją. Nawet nie wiem, czy już nie powiedziałem za dużo. Trudno. Chodzi o prawdę. Kiedyś będą o tym pisać. Wtedy może już mnie nie będzie, dlatego teraz o tym mówię. Za drugim razem cały nasz oddział dostał odznaczenia za przesunięcie linii frontu o jakieś dwie mile i pokonanie przeważających sił wroga. W otwartej walce. Trzecie odznaczenie. Chyba nie mogę o tym mówić, trwają jeszcze działania zaczepne. Jeśli ktoś chce się dowiedzieć, niech śledzi doniesienia z frontu. Powiem tylko, że awansowano mnie ze stopnia szeregowego do starszego szeregowego. Wystarczy. Nogę straciłem na wzgórzu 345. Lekarze próbowali ją przyszyć, ale to była bardzo rozległa rana, ścięgna nie dały się połączyć. Powiedziałem wtedy: to nic, panowie, ratujcie moich kolegów, oni tam zostali, ja mogę przecież żyć z jedną nogą. Co tam noga, pieprzyć jedną nogę. Żałowałem ręki. Gdyby to jeszcze była lewa. Ale to prawa ręka. Leżałem dwa dni, zanim mnie znaleźli, trwał ostrzał naszych pozycji. Wdała się gangrena, trzeba było obciąć. Uczę

się teraz posługiwać lewą ręką. Najgorzej przychodzi mi pisanie listów. Oko to był już cholerny przypadek. Odłamek wszedł głęboko. Nic nie poczułem. Mam teraz w głowie małą platynową blaszkę. Platyna nie rdzewieje, więc do końca życia nie będę jej musiał wymieniać. Czasem tylko czuję chłód, szczególnie gdy temperatura spada poniżej zera. Bardzo dziwne uczucie, jakby mi wszczepiono do mózgu sopel lodu. Potem mnie przesunęli na drugą linię. Dlatego teraz tu jestem. Ale i tak wiem, że jestem potrzebny. Może to nie to samo, co akcja bojowa, ale przecież ktoś musi tu być. Wykonuję swoje zadanie najlepiej jak potrafię. Jesteśmy na wojnie. Na wojnie raz jest lepiej, raz gorzej. Nigdy nie wiesz, co się stanie. Może i dla mnie przyjdą lepsze dni.

Spróbujcie tu trochę posprzątać, starszy szeregowy. Brudno, jak w chlewie.

Tak jest. Zrozumiałem. Posprzątać.

Nikt tu od dawna nie sprzątał. Macie pół godziny, żeby wysprzątać to gówno.

Mam pół godziny.

Kto wam powiedział, że macie pół godziny? Migiem to macie zrobić. Zaraz ma mi tu być posprzątane.

Tak jest, zaraz.

To jeszcze nie posprzątałeś? Nie gadajcie tyle, tylko sprzątajcie. Gdyby każdy tyle gadał, to wojny trwałyby dwa razy dłużej, nie zdążylibyśmy z jednej na drugą. Ani z drugiej na trzecią. I tak dalej.

Sprzątam. Ale wiem, dlaczego sprzątam. Dopóki tylko ja mam jedną nogę, jedną rękę, jedno oko i blaszkę platynową w głowie, będę musiał sprzątać. Może kiedyś będzie inaczej. Oczywiście nikomu źle nie życzę. Bardzo bym chciał, żebyśmy wygrali naszą wojnę. A przecież łatwiej ją wygrać z rękami i nogami. Także z okiem. Na temat blaszki trudno mi cokolwiek

powiedzieć. Mimo wszystko czuję się bardzo dobrze.

Chór:

Wojna, wojna, wojna. A za wojną wojna. Za tą wojną wojna. Za kolejną wojna. Nic wcześniej nie było. Nic później nie będzie. Wojna. Wojna. Wojna. Wojna na kolację. Wojna na śniadanie. Jajka na bekonie. Wojna na śniadanie. Wojna na bekonie. Wojna na bekonie. Wojna na bekonie. Wojna.

Refren:

*Jednakowoż nie jest rzeczą ani konieczną, ani pożądaną.
By cnotę wojenną dla jej wszystkich części cenić tak, jak dla całości.
Wódz musi się kierować wszak tylko całością, nie zaś poszczególną częścią.
Podług właściwości, którym sprzyja zawsze wojowniczy duch.*

Dziś jest dla nas wszystkich bardzo ważny dzień. Dlatego, mimo że mam kilka odznaczeń i liczne rany, nie mam żalu, że potraktowano mnie raczej obcesowo. Przecież jestem mężczyzną, nie będę się nad sobą użalał. Zrobię to, co do mnie należy. Sala musi być wysprzątana, gdy przyjdą. Każde krzesło wytarte, stół odkurzony. Jeszcze trochę przewietrzyć. Potem zamknąć okna. Nic, żadne słowo nie może się stąd wydostać. My, na wojnie, mamy swoje tajemnice.

Co mówicie, starszy szeregowy?

Nic nie mówię. Sprzątam, według rozkazu.

Wydawało mi się, że coś mówicie. Ale jak mówicie, że nic nie mówicie, to znaczy, że nie mówicie. Zresztą jesteście za głupi, żeby coś mówić. Ofiara losu. Z drugiej strony wojna bez ofiar byłaby z pewnością uboższa... Kto wam w ogóle pozwolił iść na wojnę? Na wojnie trzeba jakoś wyglądać. Trzeba się prezentować. Gdyby każdy prezentował się tak, jak wy, przegrywalibyśmy wojny, zanim je rozpoczniemy. No i, jak to się mówi, za mundurem... No tak czy nie?

W mojej sytuacji...

A, tak, rzeczywiście. Jesteście, jakby to powiedzieć, w znacznym stopniu pourywnani. Jednak nie do końca, jak sędzę. Tak czy nie?

Wolałbym o tym nie mówić.

No właśnie. Do roboty, do roboty. Przestańcie tyle gadać i do roboty. Jak będziecie tyle gadać...

Chór:

Błogostaw każdą wojnę, każdy szturm.

Każdy nabój wystrzelony, także działa nasze.

Także działa nasze. Nasze działa. Działa nasze. Działa nasze. Nasze działa. Działa.

Refren:

Jednakowoż nie jest rzeczą ani konieczną, ani pożądaną.

By cnotę wojenną dla jej wszystkich części cenić tak, jak dla całości.

Wódz musi się kierować wszak tylko całością, nie zaś poszczególną częścią.

Podług właściwości, którym sprzyja zawsze wojowniczy duch.

Kapitana L. – to nie jest prawdziwa pierwsza litera nazwiska, ale muszę tak mówić, inaczej mogę być oskarżony o zdradę tajemnicy wojskowej – kapitana L. poznałem wtedy, gdy jechaliśmy do naszej bazy. Siedziałem obok niego, ale nie wiedziałem, że to będzie mój dowódca. Szef jednostki do specjalnych zadań, a jednak normalny facet, przynajmniej takie sprawiało wrażenie. Kilka razy byłem z nim na akcjach, między innymi na wzgórzu 345. Nic nie wskazywało na to, że... Chociaż właściwie to nie do mnie należy. No nie do mnie należy przesądzanie o jego winie. Niech go osądzi sąd, to są ludzie mądrzejsi ode mnie. Ja teraz mam kłopoty z koncentracją. Nie lubię, kiedy ktoś zbyt wiele ode mnie wymaga, po prostu zaczynam się gubić. Mylą mi się daty, nie pamiętam, co i kiedy się zdarzyło. Zresztą nie chcę pamiętać, pamiętanie sprawia mi ogromną trudność i w pewnym sensie przykrość. Dlatego wolę teraz sprzątać, oddając pamięć moim dowódcom.

Już oni będą wiedzieli, co z nią zrobić.

Chór:

Wojna, wojna, wojna. Wybierz wroga i idź na wojnę. Bez wroga wojna to żadna wojna. Wojna z wrogiem to święta rzecz, to święta rzecz. Rzecz święta.

Refren:

Jednakowoż nie jest rzeczą ani konieczną, ani pożądaną.

By cnotę wojenną dla jej wszystkich części cenić tak, jak dla całości.

Wódz musi się kierować wszak tylko całością, nie zaś poszczególną częścią.

Podług właściwości, którym sprzyja zawsze wojowniczy duch.

Kiedy to wszystko się skończy, pojadę na urlop. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem na urlopie, chyba na początku wojny. Ale jak długo ona trwa, nie pamiętam, wydaje mi się, że już bardzo długo. A może nie zauważyłem, że mamy już następną. Niby jak, ktoś spyta. Jak pomylić wojny? A ja wiem, że to jest możliwe. Niejeden już znalazł się w podobnej sytuacji. Nasze czasy obfitują w tego typu pomyłki. Listy piszę codziennie. Nie dostałem jeszcze odpowiedzi. Na wojnie tak bywa, poczta polowa nie nadąża za nami. Czasem odpowiedzi przychodzą po wojnach, a wtedy są już następne wojny. Można się pogubić. Tak naprawdę, gdyby nie nasi dowódcy, nie wiedzielibyśmy, kiedy się jedne kończą, a zaczynają następne. Może opowiadam trochę nieskładnie, ale mam w głowie małą platynową blaszkę, nie pamiętam, czy już o tym mówiłem. Na urlop pojadę w wyjściowym mundurze. Trzymam go w szafie, raz na jakiś czas wrzucam do szafy małe, białe kulki naftaliny, żeby mole nie pogryzły munduru. Mole to zaraza wojenna, potrafią się wszędzie wcisnąć. Trudniej się ich pozbyć niż wroga. Ilu naszych musiało jechać na urlop w polowych drelichach. Dlatego dbam o swój mundur, dorzucam co jakiś czas małe, białe kulki naftaliny.

Wstać. Sąd idzie. Siadać. Wprowadzić skazanego. To znaczy oskarżonego, który ma być skazany. Odczytam teraz wyrok, to znaczy akt oskarżenia. Skazuję, to znaczy oskarżam, kapitana L., syna L. i L., o to, że jako szef jednostki do specjalnych zadań odmówił wykonania rozkazu. Czyn ten

naraził jednostkę na... niewyraźnie napisane... lub nawet na jego utratę. Kapitan L., syn L. i L., prowadząc operację o nazwie C łamane przez 2, wychodząc na lewą flankę korpusu ogólnych sił armii, powstrzymał natarcie zmierzające do zajęcia punktu Z, oznaczonego na mapie symbolem X, łamane przez D łamane przez J. Czy skazany, czy oskarżony L., przyznaje się do winy?

Milczy.

Pytam jeszcze raz. Czy oskarżony L. przyznaje się do winy?

Nadal milczy.

Czy oskarżony zna prawo wojenne, zgodnie z którym, jeśli oskarżony milczy, znaczy to, że przyznaje się do winy. Czy oskarżony chce coś powiedzieć w ostatnim słowie? Albo w ogóle coś powiedzieć?

On milczy. Wciąż milczy.

Stoi i milczy.

Może coś mu jest?

Każdy ma coś do powiedzenia w ostatnim słowie.

Może on nas po prostu lekceważy.

Nie, to chyba niemożliwe. Po prostu stoi i milczy.

Czuje się winny.

Milczy, bo nie ma nic do powiedzenia na swoją obronę. Zresztą już za późno, żeby się bronić. Ponieważ oskarżony w toku postępowania odmówił prawa do obrony, zgodnie z procedurą zostaną teraz przesłuchani świadkowie skazania, to znaczy, pardon, świadkowie oskarżenia. Proszę wprowadzić pierwszego świadka. Czy świadek został pouczony, co mu grozi za składanie

fałszywych zeznań?

Tak, zostałem pouczony.

Co świadkowi wiadomo w tej sprawie?

Rankiem załadowaliśmy do wozu kilkadziesiąt jednostek uzbrojenia, a także niezbędną do prowadzenia operacji amunicję. Część sprzętu już wcześniej została wysłana na miejsce. Po kilku godzinach jazdy dotarliśmy na przedpole punktu Z. Zajęliśmy pozycje wyczekujące, gotowi w każdej chwili do natarcia.

Czy oskarżony L. był z wami?

Tak, był cały czas.

Czy w jego zachowaniu świadek zauważył coś niezwykłego?

Coś niezwykłego?

Coś, co odbiegało od normy.

W działaniu służb do specjalnych wszystko odbiega od normy.

Pytam, czy oskarżony nie zachowywał się jakoś dziwnie.

Nie wydaje mi się. Skontaktował się drogą radiową z dowództwem. Potem podniósł wzrok do góry, ścisnął mocniej pas, podłubał w nosie, dwa razy chrząknął i splunął.

A więc jednak.

Kapitan, znaczy oskarżony, zawsze przed akcją dłubie w nosie, chrząka i pluje. Zdążyliśmy się do tego przyzwyczać. W ten sposób rozładowuje napięcie. Ja na przykład obracam w ręce dwie piłeczki pingpongowe. W ten sposób... Inni robią jeszcze dziwniejsze rzeczy...

Dobrze, co dalej?

To znaczy?

Co było dalej?

Ach tak. Kapitan L. zdecydował o wysłaniu w rejon punktu Z zwiadu w osobach szeregowego K.N. – czyli mnie – oraz sierżanta B.G., który jednocześnie był dowódcą grupy zwiadowczej.

Czy wysyłanie w rejon akcji zwiadu jest standardową procedurą?

Zazwyczaj tak. Pozwala się lepiej zorientować w sytuacji i uniknąć nieprzewidywanych planem operacji zagrożeń.

Jakich zagrożeń?

Jako jednostka do specjalnych zadań uczestniczymy zwykle w najtrudniejszych z punktu wojskowego misjach. Nie zawsze przed akcją da się przewidzieć zachowanie przeciwnika. W warunkach bojowych rozpoznanie jest bardzo skomplikowane. Czasem już na miejscu podejmowane są decyzje o dodatkowym rozpoznaniu.

Czy według świadka to była właśnie taka sytuacja? Czy dodatkowe rozpoznanie było niezbędne?

Tego nie wiem. Nigdy nie uczestniczę w podejmowaniu decyzji. Decyzję zawsze, osobiście podejmuje dowódca. I za każdym razem bierze pod uwagę szereg okoliczności, które niełatwo dostrzec na pierwszy rzut oka, a które determinują nasze zachowanie.

Pytam, co świadek o tym myśli.

Co ja myślę? Wojna nie jest nigdy skierowana wyłącznie przeciwko materii, lecz zawsze równocześnie przeciwko ożywiającym tę materię siłom

duchowym, a obu tych elementów oddzielić od siebie nie sposób. Wielkości duchowe można dostrzec tylko wzrokiem wewnętrznym, ten zaś jest inny u każdego człowieka. Często nawet ten sam człowiek w różnych momentach patrzy na rzecz inaczej. Każdy zna moralne skutki zaskoczenia, natarcia ze skrzydła lub z tyłu, każdy niżej ocenia męstwo przeciwnika z chwilą, gdy ten obrócił się tyłem i zupełnie inaczej ryzykuje, ścigając niż będąc ściganym. Każdy ocenia przeciwnika według opinii o jego talentach, według jego wieku, doświadczenia, i tym się kieruje. W teorii przyzwyczajamy się często uważać walkę za abstrakcyjne mierzenie się sił bez jakiegokolwiek udziału uczucia. To jeden z tysiąca błędów popełnianych przez teorie, ponieważ nie pojmują one ich skutków. W dodatku, poza podniętą siłą uczuciowych opartą na istocie samej walki, istnieją jeszcze inne, które nie należą tu organicznie, lecz wobec swego pokrewieństwa łatwo się do niej dołączają, jak na przykład ambicja, wszelkiego rodzaju zapał i tak dalej. Cóż by się więc stało z teoriami, gdyby tego wszystkiego nie uwzględniały? A dodatkowo jeszcze nie uwzględniały inteligencji wojny samej w sobie, tego naturalnego mechanizmu wymykającego się wszelkim podporządkowaniom. Cóż by się stało, gdybyśmy szli na wojnę, nieświadomi jej atrakcyjności jako jedynej, znanego nam *perpetuum mobile*?

To ja zadaję pytania.

Tak jest.

Co świadek robił, zanim zdecydowano o dodatkowym rozpoznaniu?

Gdy skończyłem obracać w ręce piłeczki pingpongowe?

Tak.

Siedziałem w okopie i czytałem gazetę.

Czytał świadek gazetę?

Tak. Zawsze czytam gazetę. Każdy jakoś próbuje sobie skrócić czas, który

nam pozostał do rozpoczęcia natarcia. W naszym oddziale są tacy, co przed walką opowiadają dowcipy. Są tacy, którzy ucinają drzemkę, albo, za przeproszeniem, idą się wysrać. Ja akurat najczęściej czytam gazetę, zresztą zawsze tę samą. Znam ją na pamięć, ale przewracam stronę po stronie, jakbym pierwszy raz widział. Dlatego, chociaż mówię, że czytałem gazetę, to tak naprawdę jej nie czytałem.

Nie zdziwiło świadka, że operacja, do której się od dawna przygotowywaliście, została w ostatniej chwili odwołana?

Przyznaję, że zdziwiło. Ale żołnierz nie jest przecież od tego, żeby się dziwić, tylko wykonywać rozkazy.

Czy świadek ma jeszcze coś do dodania?

Chciałbym powiedzieć, że nie zgadzam się, by nas, żołnierzy jednostki do zadań specjalnych, traktowano jak zwykłych żołnierzy do zwykłych zadań.

Świadek nie jest tu od wygłaszania przemówień, tylko od odpowiedzi na pytania. Czy to jest zrozumiałe?

Zrozumiałe.

Czy w takim razie świadek chce jeszcze coś dodać?

Chciałbym, korzystając z okazji, pozdrowić swoją rodzinę. A szczególnie D. z M.C. i U. z B. B, a także A. i C. z F.

Dziękuję, świadek jest wolny. Ogłaszam przerwę. Wstać.

Nieźle się zaczyna. Ciekawe, jak będzie dalej. Mówiąc szczerze, spodziewałem się szybkiego rozstrzygnięcia, a zapowiada się długi proces. Mnie też mogli powołać na świadka, jednak tego nie zrobili. Pewnie dlatego, że nie mam ręki, nogi, ani oka, za to mam tę pieprzoną platynową blaszkę w głowie. Ale

wtedy miałem przecież jeszcze wszystko na swoim miejscu, no, może prawie wszystko. Ogarnę tu trochę, zanim wrócę. Na wojnie musi być porządek, a ja jestem od tego, żeby sprzątać. Zadanie jak każde inne.

Wstać. Sąd idzie. Siadać. Wprowadzić następnego świadka. Czy pouczono świadka?

Tak jest.

Co świadek ma do powiedzenia w tej sprawie?

W jakiej sprawie?

W sprawie operacji C łamane przez 2.

A, w tej sprawie.

Tak. Słucham, co świadek ma do powiedzenia.

Na mapie punkt Z był oznaczony symbolem X.

To już ustaliliśmy w toku postępowania.

Przepraszam, nie wiedziałem. Mieliśmy dosyć niedokładne mapy. Jak to na wojnie. Nie wiedziałem.

Do rzeczy, do rzeczy.

Problem w tym, że punkt Z mógł być wszędzie. I zarazem nigdzie.

Jak to nigdzie i wszędzie?

Działaliśmy, ogólnie mówiąc, na terytorium wroga, na otwartej przestrzeni.

A gdzie mieliście działać? W sraczu?

Nie. Za przeproszeniem, w sraczu nie.

No właśnie. Czy świadek nie brał pod uwagę możliwości dywersji ze strony dowódcy?

Nie, w żadnym razie nie.

A dlaczegoż to nie brał świadek?

Pod pojęciem dywersji, względnie natarcia dywersyjnego, rozumiemy takie natarcie na kraj nieprzyjacielski, za pomocą którego odciągamy siły z punktu głównego. Tylko w przypadku jeśli to właśnie jest głównym zamierzeniem, a nie przedmiotem, na który przy tej okazji nacieramy i go zdobywamy, działanie to jest szczególnego rodzaju. Inaczej jest zwykłym natarciem. Dywersja, oczywiście, musi posiadać przedmiot natarcia, gdyż jedynie wartość tego przedmiotu skłoni nieprzyjaciela do wysłania tam oddziałów. W przypadku gdy dywersja nie odniesie skutku, przedmioty te są ekwiwalentem za użycie siły. Łatwo zrozumieć, że dywersje mogą być więc pożyteczne właśnie wtedy, gdy odciągają z głównego teatru wojennego większą ilość sił nieprzyjacielskich niż sił, których użyto do dywersji. Jeżeli bowiem odciągają one tylko taką samą ilość, to ustaje działanie właściwej dywersji, a akcja staje się drugorzędym natarciem. Często jesteśmy skłonni uważać za dywersję przypadek, gdy pewne państwo, broniąc się przed napastnikiem, zostanie napadnięte przez trzecie – taki napad różni się jednak od zwykłego natarcia jedynie pod względem kierunku, nie ma więc podstawy do określenia go szczególnym mianem, gdyż w teorii należy określać za pomocą oddzielnej nazwy tylko coś szczególnego. Jeżeli jednak słabe siły mają przyciągnąć silniejsze, muszą istnieć szczególne okoliczności, które do tego skłaniają. I dlatego do spełnienia celu dywersji nie wystarcza wysłanie jakiegokolwiek siły na punkt, na którym dotychczas nikogo nie było. Te przesłanki nie zachodziły, gdy podejmowano rozkaz o dodatkowym rozpoznaniu.

Tak...

Za modelowy przykład dywersji uznawane są działania w północnej Holandii w 1799 roku, a także na Walcheren w roku 1809. Jest to o tyle usprawiedliwione, że angielskich oddziałów nie można przecież było wówczas użyć do czegoś innego, nie ma jednak wątpliwości, że przez to powiększyła się całość środków obronnych Francuzów i taki sam skutek wywołałoby lądowanie we Francji.

Tak...

To, że wybrzeże francuskie jest zagrożone, przynosi oczywiście dużą korzyść, gdyż neutralizuje znaczną część oddziałów francuskich strzegących wybrzeża. Jednak lądowanie znacznymi siłami będzie tylko wówczas usprawiedliwione, gdy będzie można...

Czy świadek rozpoznaje oskarżonego?

Trudno tak z daleka.

Może świadek podejść.

Tak, z bliska wydaje mi się, że rozpoznaję.

Wydaje się świadkowi czy na pewno rozpoznaje?

Rozpoznaję. Ale z drugiej strony, jednak nie całkiem. Mundur. On nie ma munduru.

Wnieść mundur. Założyć oskarżonemu mundur.

Czy teraz świadek rozpoznaje?

Sam nie wiem. W mundurze każdy wygląda tak samo.

Więc jak w końcu?

Wydaje mi się, że jednak bez munduru było mi trochę łatwiej.

Zdjąć mundur!

Tak, teraz jest mi zdecydowanie łatwiej.

I co?

Przepraszam, ale zapomniałem, jakie było pytanie?

Czy świadek rozpoznaje oskarżonego?

Nie wiem.

Jak to, świadek nie wie?

Twarz wydaje mi się jakby znajoma, ale z resztą mam już pewien kłopot.

To znaczy?

Jestem przyzwyczajony oceniać sytuację w warunkach bojowych, gdy bezpośrednio zagrożenie życia wzmacnia wszelakie doznania, ale też znacząco poprawia koncentrację i wprowadza organizm w stan chwilowej wprawdzie, jednak euforii. Tej sytuacji, proszę mi wybaczyć, nie mogę zaliczyć do sytuacji bojowych. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć.

A czy w ogóle świadek cokolwiek potrafi?

Potrafię celnie strzelać. Jestem strzelcem wyborowym, po kursie zaliczonym celująco. Umieję z odległości stu metrów trafić w serce, czyli w kwadrat o bokach dziesięć na dziesięć centymetrów.

Wyprowadzić. Świadek jest nieprzydatny. Zarządzam przerwę.

Jak to nieprzydatny? Zawsze byłem przydatny. Zaliczyłem kurs. Jestem wyborowym strzelcem, a wojna jest zjawiskiem, które jest wojną raz mniej,

raz więcej...

Ostatnich zdań nie dosłyszałem. Zapomniałem powiedzieć, że wtedy, gdy przypadkiem odłamek uszkodził mi oko, w znacznym stopniu straciłem też słuch. Niestety, nic się już z tym nie da zrobić. Na szczęście rozkazy wydawane są podniesionym głosem, czasem nawet krzykiem. To bardzo dobrze. Słyszę tylko wtedy, gdy ktoś krzyczy. Krzyk jest miły dla moich uszu, także ostrzał artyleryjski, ten szczególnie. Poza tym nauczyłem się czytać z ruchu ust. Nabrałem w tym nawet pewnej wprawy. Krzyk i usta, które krzyczą. Nawet jeśli nie rozumiem wszystkiego, to wiem, o co chodzi. Gdybym słyszał, widział, miał obie nogi i ręce, no i gdybym nie miał tej cholernej blaszki w głowie, byłbym bardzo pożytecznym świadkiem, chociaż nie pamiętam wszystkiego. Ale przecież nikt już dziś wszystkiego dokładnie nie pamięta.

A ten to kto?

Melduję, że sprzątam. Z powodu kontuzji wojennych przesunięto mnie na drugą linię. Jak umiem, także i tu staram się być pożyteczny. Proszę mówić głośniej, od pewnego czasu mam problemy ze słuchem.

Na front z nim.

Słucham?

Na front!

Gdzie?

Na front!

Proszę głośniej. W wyniku kontuzji wojennych mam uszkodzony narząd. Słuchu.

Powiedziałem, na front!

Zrozumiałem. Na front.

Sąd uda się teraz na naradę, a potem ogłosi wyrok śmierci. To znaczy ogłosi wyrok, który może być karą śmierci. Lub inny wyrok, choć wydaje się, że kara śmierci jest bardzo prawdopodobna. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Chór:

Wojny czas, czas wojny, wojny czas. Wojna trwa i będzie trwała, wojny czas. Czas wolny, wolny czas. Czas wolny, wolny czas. Wolny czas.

Refren:

Jednakowoż nie jest rzeczą ani konieczną, ani pożądaną.

By cnotę wojenną dla jej wszystkich części cenić tak, jak dla całości.

Wódz musi się kierować wszak tylko całością, nie zaś poszczególną częścią.

Podług właściwości, którym sprzyja zawsze wojowniczy duch.

III

Ja N., ja N., M., słyszysz mnie? M., odbiór.

Podaj im współrzędne.

Ja N., 01, dwa kwadrat, cztery w dół, trzy na zachód, do wschodu, punkt Z, po stronie prawej lub lewej, odbiór.

Nic?

Nic.

Spróbuj jeszcze raz.

M., odbiór, M. Słyszycie nas? M., odbiór.

Do cholery z taką wojną. Zawsze to samo. Kiedy potrzebujesz, to ich nie ma. Ja N., ja N., słyszycie mnie?

Daj spokój. Nie słyszą.

Wyjmij mapę.

Jest mapa.

Gdzie jesteśmy?

Gdzieś tu.

Gdzieś?

Na południe od punktu Z.

Ale gdzie dokładnie?

Trudno powiedzieć.

Czyli jesteśmy gdzieś tu?

Na to wygląda.

Na zachód od Tokio.

I na wschód od Los Angeles.

Czyli punkt Z byłby gdzieś w tej okolicy.

Tak by wynikało ze współrzędnych.

Czyli jesteśmy niedaleko.

Zdaje się, że tak.

Wszędzie tylko pola i żywego ducha.

Wcale mnie to nie dziwi.

Widzisz to?

To tylko mgła.

Chodźmy, niedługo zrobi się ciemno. Musimy przed zmierzchem wrócić do oddziału.

Masz rację, ruszajmy.

Podaj mi rękę, wierny druhu.

I ty swoją, mój przyjacielu.

IV

Zawsze ten sam dylemat. Czy wyrok śmierci jest współmierny do popełnionej zbrodni. Czy mogę zrobić więcej, zażądać czegoś więcej. Ale co może być gorszego niż kara śmierci. Jednak wielu przydałoby się jakoś dotkliwiej ukarać, dla przykładu. Śmierć nie jest na wojnie niczym szczególnym, i czy to w ogóle jest kara? Czy śmierć na wojnie można traktować jak karę? Żołnierz na wojnie jest od tego, by walczyć i ginąć. Wstydlivość przeżycia może być karą surowszą od śmierci. Mam nieraz ochotę powiedzieć: daruję ci życie. I zaraz gryzę się w język. Nasza społeczność nie przywykła do zaskakująco sprawiedliwych rozstrzygnięć. Woli jasne sytuacje i znane zakończenia. Jeszcze się zastanowię, pośpiech jest niewskazany. Powoli, ale skutecznie. Z rozważą, ale zdecydowanie. Żeby nie było żadnych niedomówień. Surowo, jak każe nasz wojenny obyczaj, lecz sprawiedliwie i do końca.

Wszyscy czekają.

Nie przeszkadzać mi teraz. Niech czekają. Ja... myślę.

Niecierpliwą się.

Niech się niecierpliwią. Ja... myślę. I rozważam.

Chcą wychodzić.

Nie wyjdą, będą czekali, zawsze czekają.

Mówią, że tracą czas.

Na wojnie czas nie odgrywa żadnej roli.

Nie wiedzą, co mówią?

Zwykła kokieteria.

W takim razie niech czekają.

V

Żywego ducha.

Co mówisz?

Wszędzie pusto. Jak długo idziemy?

Nie wiem, wydaje mi się, że już dość długo.

Mam wrażenie, że już tu byliśmy.

Szliśmy zgodnie z mapą. Współrzędne się zgadzają. Z południa na północ, z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód.

Jednak mam wrażenie, że ciągle jesteśmy w tym samym miejscu.

Nie sądzę. Według mnie jesteśmy już daleko i zarazem bardzo blisko celu.

Obyś miał rację.

To znaczy, tak mi się wydaje.

Może odpoczniemy chwilę.

Dobry pomysł.

Możesz się zdrzemnąć. Ja popilnuję.

Nie chce mi się spać. Poczytam gazetę. Jeśli chcesz, to ty się prześpij.

OK. Ale tylko chwilę.

OK.

Wiesz co, jakoś nie mogę zasnąć.

Śpij, śpij.

Jakoś nie mogę. Co tam piszą?

Ciągle to samo.

Ja nie czytam gazet.

Dlaczego?

Bo ciągle piszą to samo.

Właściwie też nie czytam. Przeglądam tylko. Dla zabicia czasu.

Jakoś dziwnie zabrzmiało to zabijanie.

Masz rację, trochę niezręcznie. Ilu ludzi już przez nas, no wiesz? Jak myślisz?

Będzie tego trochę.

Kiedy o tym myślę, od razu chce mi się srać.

Nie krępuj się.

Za każdym razem mam wrażenie, że na kogoś sram. Może by z tym skończyć, co?

Nie da się skończyć.

Nie mówię o sraniu.

Wiem, o czym mówisz, i sam nie wiem, co mam powiedzieć. Wstawaj, ruszamy.

Zaczekaj.

Co?

Zaczekaj, słyszysz?

Coś jakbym słyszał.

Ktoś idzie.

Tutaj? Coś jakbym widział.

Prosto na nas idzie. Jest uzbrojony. Nie, to tylko laska.

Czy ktoś tu jest? Pytałem, czy ktoś tu jest. Od kiedy straciłem wzrok i słuch, wyostrzył mi się węch. Wyczuwam obecność człowieka, męski zapach. Podejdę bliżej. Tak, teraz czuję wyraźnie, dwa różne męskie zapachy. Niestety, nie potrafię jeszcze rozpoznać zapachu wroga. Nie wiem więc, czy mogę się czuć bezpiecznie. Właściwie niewiele już mam do stracenia. Ale dopóki została mi jedna noga i w ręce mogę trzymać laskę, to jednak przecież ciągle

żyję. Przemierzyłem wzdłuż i wszerz cały wojny teatr. Cały wojny teatr, cały wojny teatr... Marsz stanowi zazwyczaj przejście z jednego uszykowania do drugiego. W moim przypadku trudno jednak mówić o uszykowaniu. Jak wiadomo, marsze rozpadają się na prostopadłe i równoległe. Te ostatnie, zwane również skrzydłowymi lub flankowymi, zmieniają geometrycznie położenie oddziałów. To, co w szyku stało obok siebie, będzie w marszu postępowało jedno za drugim, i odwrotnie. I aczkolwiek kierunek marszu może być określony również przez jakikolwiek kąt w ramach kąta prostego, to jednak porządek marszu musi mieć charakter zdecydowany – jednego lub drugiego rodzaju. Podobnie ma się sprawa z wypadkiem odwrotnym marszów równoległych. Ale już inaczej ma się rzecz z odmarszem kolumn w prawo lub w lewo. Przy marszach równoległych problem tłumaczy się sam przez się. Nikt przecież nie będzie odmaszerowywał w prawo, aby się potem posuwać w lewą stronę. Przy marszu naprzód lub w tył szyk marszowy powinien właściwie stosować się do położenia drogi względem linii przyszłego domarszu. Wymarsz ze środka w tych warunkach odpada jako określony sposób wymarszu i może zajść tylko przypadkowo. Wymarsz ze środka jest w strategii w ogóle nonsensem, gdyż wymaga podwójnej drogi. Niestety, zdaje się, że mnie spotkał właśnie ten przypadek.

Kto to jest?

Czy ja wiem?

Ponawiam swoje pytanie. Czy mogę się czuć bezpiecznie? Jeśli nie, to trudno, ale chciałbym wiedzieć, co mnie czeka.

Może to prowokacja?

Zabierz mu laskę, zobaczymy co zrobi.

Stoi.

Stoi.

Przyłóż mu. Zobaczymy, czy się obroni.

Jeśli panowie chcecie mi zrobić krzywdę, to mówiąc szczerze, wolałbym na początek stracić rękę. Chciałbym sobie za to zostawić nogę. Noga pozwoli mi dotrzeć do oddziału, o ile jeszcze gdzieś jest.

Znasz go?

Trudno powiedzieć.

Nie znamy wszystkich.

To prawda.

Zadaj mu jakieś pytanie.

Ale on nie słyszy.

Domyślam się, że chcecie mnie panowie o coś spytać. Jeśli tak, musicie mi krzyknąć prosto do ucha.

Imię, nazwisko, nazwa oddziału!

Przykro mi, ale nie mogę udzielić odpowiedzi na te pytania. Obowiązuje mnie tajemnica wojskowa. Gdybym panów spytał, jak się nazywacie i z jakiego jesteście oddziału, zachowalibyście się tak samo.

W ten sposób niczego się nie dowiemy.

Zapytaj go, skąd idzie. I dokąd.

Mogę jedynie powiedzieć, że idę ze wschodu na zachód. Początkowo szedłem w przeciwnym kierunku. W sprawie długości marszu i czasu niezbędnego do jego odbycia najstosowniej trzymać się zasad ogólnych, wypływających z doświadczenia. W nieznanym terenie łatwo stracić orientację, ale ja mam dobrą orientację w terenie. O wiele lepszą niż wtedy, gdy jeszcze wszystko

widziałem i słyszałem. Czy mogę prosić o zwrot laski? Będzie mi łatwiej stać. Dziękuję. Usiądę na chwilę. To był długi, forsowny marsz. Od punktu A do punktu Z i odwrotnie.

My idziemy do punktu Z.

Panowie też? Radzę zawrócić. Tam już nic nie ma.

Nic?

Nic.

Coś musi być.

Kiedy właśnie nie ma absolutnie nic.

A wcześniej coś było?

Naturalnie, że było.

Co było? No mówże, człowieku.

Było tam miasto. Nieduże, nawet całkiem niewielkie. Z rynkiem pośrodku. Można je było szybkim marszem przejść w pięć minut. Wyobrażacie sobie, panowie. Kilka sklepów, kościół, szkoła, bar, wszystkiego parę ulic. No i rynek. Czyste, schludne, zadbane. Można by powiedzieć miłe, spokojne miasteczko.

A ludzie? Jacy byli tam ludzie?

Szczerze mówiąc, nie wiem. Nic mi nie wiadomo o ludziach.

Musieli być jacyś ludzie.

Być może, być może. Nie brałem tego pod uwagę.

I co się stało z miastem?

Zdobyliśmy je śmiałym atakiem oskrzydającym. Znany manewr używany w czasie wojny, prawdopodobnie panom też znany, czyżbym się mylił?

A ludzie? Co się stało z ludźmi?

Już mówiłem, że nie wiem. Nie pamiętam. Czy to jest takie ważne? Co mają do tego ludzie?

Nie ufam mu, a ty?

Bo ja wiem... Nie wygląda jakoś szczególnie.

No właśnie. I to mnie niepokoi. Widziałem już takich. Niby nic, a potem się okazywało, że jednak.

Bo ja wiem...

Przeszukam go dla pewności. Ubezpieczaj mnie w razie czego. Nie, w porządku, nic nie ma. Czekał, ma coś w kieszeni.

Broń?

Nie wiem, chyba nie.

Ostrożnie.

Co to jest?

Jakieś białe kulki.

Trucizna?

Może.

Dziwnie pachnie.

Znam ten zapach, ale nie mogę sobie przypomnieć, skąd.

Mnie też wydaje się znajomy.

Z czymś mi się kojarzy.

Mnie też.

Z czymś, co było kiedyś.

Czyli kiedy?

Zanim poszliśmy na wojnę.

Nie pamiętam, co było, zanim poszliśmy na wojnę.

Ani ja. Lepiej wyrzucić to świństwo.

A więc miasto zostało już zdobyte?

Tak jest.

Na pewno?

Mówiłem, że tak. Niewiele już zostało niezdobytych miast. Mówiąc prawdę, zdaje się, że wszystkie co do jednego zostały już zdobyte, niektóre nawet po kilka razy. Dlatego dowództwo zdecydowało o przeniesieniu miasta z punktu Z w rejon, który jeszcze nigdy nie był zdobywany, i tam zaczęto je zdobywać ponownie. Dlatego właśnie w punkcie Z nic już nie ma, bo nie może być.

Brzmi logicznie.

Bo ja wiem...

Słuchaj, jeśli tam rzeczywiście nic nie ma, to nasza misja wydaje się skończona. Trzeba wrócić i wszystko opowiedzieć. Atakowanie niczego jest, z punktu wojskowego, co najmniej niezręczne.

Ja bym dalej szukał.

Ale czego, skoro tam nic nie ma?

Zawsze coś się znajdzie.

Panowie, w którą stronę?

Na południe.

Ja w takim razie na północ. Muszę dołączyć do oddziału przed kolejnym atakiem. Może się kiedyś spotkamy, najlepiej po wojnie. Dopóki trwa, są ważniejsze sprawy. Gdybyście jeszcze pomogli mi wstać. Rzadko o coś proszę, ale sami widzicie.

To jak? Wracamy?

Wracamy.

Chór:

Na wojnę, na wojnę, na wojnę. Na wojnę, na wojnę i z wojny. Z wojny na wojnę, z wojny na wojnę, z wojny. Bez cienia strachu, bez miłości i bez miłowania. Bez tego, co na wojnie strachem jest. Bez ciebie, beze mnie, bez niego. Bez tego, wszystkiego, bez sensu, małego, bez małego, bez małego, na wojnie. Bez małego. Bez małego. Małego bez. Małego.

Refren:

Jednakowoż nie jest rzeczą ani konieczną, ani pożądaną.

By cnotę wojenną dla jej wszystkich części cenić tak, jak dla całości.

Wódz musi się kierować wszak tylko całością, nie zaś poszczególną częścią.

Podług właściwości, którym sprzyja zawsze wojowniczy duch.

VI

Prosiłem o kawę. I dwie kostki cukru. Jak długo można czekać?

Już, już, zaraz.

Co my tu właściwie mamy. Całkowity brak okoliczności łagodzących, jak widzę. Do tego unikanie zeznań. I postawa w najwyższym stopniu naganna. Właściwie brak jakiegokolwiek postawy... A jednak wątpliwości... Prosiłem o kawę, dwie kostki cukru. Jak długo można czekać?

Już, już, zaraz, kończę zamiatać. Jeszcze tylko odkurzę stół i krzesła. Zajmuje mi to trochę czasu. Gdybym miał obie ręce i obie nogi...

Wątpliwości...

Słucham? Proszę mówić głośniej. Odłamek uszkodził mi słuch. Słyszę jednak rozkazy wydawane podniesionym głosem. Wystarczy krzyknąć.

Duszno tu. Otwórzcie okna. Nie ma czym oddychać.

Tego się nie da zrobić.

Niby dlaczego nie da się zrobić?

Nic się nie może stąd wydostać. Żadne słowo ani żadna nasza tajemnica.

Winny, niewinny, winny, niewinny. Wszelkie wątpliwości rozstrzygać na korzyść oskarżonego. Jakie to banalne. Każdy jest winien. Także niewinni, oczywiście, tylko w pewnym stopniu. Uznając winę, przymuszamy się z kolei do wyroku. A gdyby tak bez wyroku, gdyby ogłosić winę i nie wykonać wyroku. Lub też wykonać wyrok, nie ogłaszając winy. Oryginalność decyzji jest w pewnych sytuacjach ze wszech miar pożądana. Nawet konieczna. Co my tu właściwie mamy? Ciągle to samo. Uwiera mnie monotonia kar i wyroków. Od samego początku wiem, jaki będzie koniec. O wiele

ciekawsze wydaje się to, co bywa wcześniej, coś, co uprzedza zbrodnię. Prawdopodobnie inna zbrodnia. Może nawet niejedna. Lub też jej brak, który dopiero wywołuje potrzebę popełnienia zabronionego czynu. Sam już nie wiem, co o tym myśleć...

Kawa...

Prosiłem o dwie kostki cukru, a dostałem jedną.

Powiedzieli, że do jednej kawy należy się jedna kostka cukru.

Dobrze, ostatecznie może być jedna kostka. Ale przydałoby się w takim razie jakieś ciasteczko.

Niestety, nie ma już ciasteczek.

Nie ma ciasteczek, nie ma cukru.

Ale ja jestem.

Co?

Ja jestem.

Mam wrażenie, że już was gdzieś widziałem. Czy to nie wy przynosiliście mi jakiś czas temu kawę z jedną kostką cukru?

Tak jest.

Czego właściwie chcecie? Dlaczego mi przeszkadzacie w chwili, w której myślę... Rozważam... i analizuję?

Może mógłbym jakoś pomóc...

Wy?

Mam wprawdzie małą platynową blaszkę w głowie, z powodu której zostałem przesunięty na drugą linię, ale wiem to i owo, słyszałem o tym i o tamtym. Nie mówiąc o tym, że widziałem, gdy miałem jeszcze sprawne obie gałki oczne.

Donos?

Chcę tylko pomóc...

Mógłbym was za to oddać pod sąd.

Ależ... Proszę mi wybaczyć, myślałem...

Ja tu jestem od myślenia. Wy od przynoszenia kawy z dwiema kostkami cukru, a czasem z jedną.

Przepraszam...

Na front.

Słucham? Proszę mówić głośniej?

Na front!

Zrozumiałem, na front.

VII

Jak długo idziemy?

Trudno powiedzieć, wydaje mi się, że dość długo.

Chyba trochę za długo.

Trudno powiedzieć.

Dawno powinniśmy być na miejscu.

Według mapy jesteśmy blisko.

Nie ufam mapom. Według mnie nie posunęliśmy się ani trochę.

Przesadzasz.

Bez nas sobie nie poradzą.

Ani my bez nich.

Masz rację.

Co robimy?

Zacznijmy wszystko od początku.

Ale gdzie był początek?

Chyba tam.

A może tam?

Czy ktoś mi powie, o co tu chodzi?

Mnie też przydałyby się wyjaśnienia.

Jak to się mogło stać?

Akurat nam.

Nie rozumiem.

Ani ja.

Robi się ciemno... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Jak?

Jakbyś myślał, że to moja wina.

Ja nie myślę.

A jednak sprawiasz takie wrażenie. Kiedy zaczynasz myśleć, to ja zaczynam się bać.

Weź się w garść. Nie zachowuj się jak szczeniak.

Nigdy tak do mnie nie mówiłeś.

Naprawdę?

Naprawdę.

Słuchaj, mamy do wykonania zadanie, tak?

Tak.

Cholernie trudne zadanie, tak?

Tak.

Więc przestań biadolić i pozwól, że doprowadzimy je do końca.

Dobrze już, dobrze, nie denerwuj się... Błądzimy po omacku... Nic nie mówiłem, nic nie mówiłem.

Zaczynasz mnie wkurzać.

Chyba powinniśmy się rozdzielić.

Jak chcesz.

Gdyby jeszcze był jakiś punkt odniesienia.

To prawda, ale nic nie ma.

I w ogóle jakby nie było wojny.

Tak.

A jednak jest wojna.

Giną ludzie.

Miliardy ludzi.

Chyba trochę przesadziłeś.

Racja.

Wystarczy, jak powiesz, że giną.

A w środku tego wszystkiego my.

Właściwie nie wiadomo, czy w środku.

Nie wiadomo nawet, z której strony.

Łatwo się w tym pogubić.

Ja już się całkiem pogubiłem.

Ja chyba też.

Musimy ustalić, co powiemy po powrocie.

Jak to co? Prawdę. Że punkt Z nie istnieje.

Nikt nam nie uwierzy.

Nie będą mieli wyjścia. Muszą uwierzyć.

Czy ktoś tu jest? Halo, czy ktoś mnie słyszy?

Widzisz go? On też ciągle tu jest.

Ale jakiś inny.

Odkąd straciłem obie ręce i nogi, a także wzrok, słuch i węch, został mi jeszcze głos. Niby nic wielkiego, można z tym żyć. Nie jestem jednak pewien, czy ktoś mnie słyszy i widzi. Wózek, który mi ofiarowano jako rekompensatę za utracone części ciała, służy mi bardzo dobrze. Niestety, poruszanie się nim jest niezwykle utrudnione. Potrzebuję, by ktoś wprowadził mnie w ruch. Czy ktoś mógłby mnie wprowadzić w ruch? Dalej już wszystko samo się potoczy, wystarczy pchnąć. Czy ktoś mnie słyszy? Czy ktoś mnie słyszy?

Nie krzycz tak, uszy bolą od tego krzyku.

Czy ktoś mnie słyszy? Halo, tu jestem.

Daj mu w mordę, to przestanie.

O, dziękuję, bardzo dziękuję, a więc nie jestem tu sam. Niestety, nie wiem, z kim mam przyjemność.

Daj mu jeszcze raz.

Proszę, już wystarczy. Czy żądam zbyt wiele? Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem nawet, czy to jeszcze ta sama, czy już następna wojna. A może wojny dawno się skończyły? Tego też nie wiem. Chciałbym tylko, żeby ktoś wprowadził mnie w ruch. Bolą mnie wszystkie utracone części ciała. Jest mi zimno. Miałem w głowie małą platynową blaszkę. Pewnie ciągle tam jest, o ile to, co czuję, jest w dalszym ciągu moją głową.

Jeśli nie przestanie gadać, dam mu kulkę w łeb.

Czy ktoś mógłby mnie wprawić w ruch?

Wystarczy wyrwać język.

Masz rację.

Żeby popchnąć wózek, trzeba zdjąć blokadę koła. Na dole, z lewej strony.
Lub może z prawej.

No i po kłopotcie.

Cisza.

Nareszcie.

Spokój.

Ruszamy?

A on?

Możesz go sobie popchnąć.

Dlaczego ja? Sam go sobie popchnij.

A żebyś wiedział, że popchnę. I nawet poprowadzę.

Ruszamy?

Ruszamy.

Podaj rękę, wierny druhu.

I ty, mój przyjacielu, podaj mi swą dłoń.

VIII

Sędzia rozmawia z kukłą, kapitanem L.

Każdy popełnia jakieś błędy. Najgorsze są te, które dają się naprawić. Błędy nie do naprawienia wydają się złejsze, bowiem nie ma już czego naprawiać, a więc popełniać kolejne. Najgorzej, gdy ktoś próbuje przywrócić stan rzeczy. W mojej praktyce zdarzało się już oceniać największe podłości, które wszelako same w sobie były niczym wobec podłości wynikających z próby ich naprawiania. Tak, tak, uwierz mi. Nie ma ludzi bez grzechu. Jak mam ocenić twój? I jaki wydać wyrok? W gruncie rzeczy już postanowiłem. Jesteś ciekaw? Powoli, mamy czas. Nie ma się dokąd śpieszyć. Potrzebuję jeszcze czegoś niewielkiego, małego dowodu. Dowodziku. Odpowiedzi na proste, najprostsze pytanie. Czy popełniony błąd był konsekwencją popełnionych wcześniej? Próbą naprawienia czegoś, czego naprawić się nie da?

(Sędzia zbliża bokiem swoją głowę do głowy kapitana L., przykładą otwartą dłoń do swojej twarzy, słucha jak na spowiedzi)

No, możesz mówić. Nikt się przecież nie dowie. No, odpowiedz proszę... Nic? To niemożliwe. Coś naprawdę małego... Jak byłeś małym chłopcem, pamiętasz? Musiałeś bić kolegów... Cokolwiek... Podglądałeś siostrzyczkę, tak?... Załóżmy, że nie miałeś siostry... Brat. Tak, tak, brat... Brzydkie wyrazy... Masturbacja... Polucja!?... Nic? Naprawdę nic? Jak chcesz. Dałem ci ostatnią szansę. A ty jej nie wykorzystałeś. Skazuję cię więc na...

(Żołnierze wtaczają wózek na scenę)

Wstać. Sąd idzie. Rozpatrzyliśmy najpierw poszczególne składniki naszego przedmiotu, następnie poszczególne jego części czy człony, a wreszcie wewnętrzny związek całości, postępując od dowodów prostych ku złożonym.

Wyrok. Miał być wyrok.

Powoli, mamy czas. Nie mamy się dokąd śpieszyć. Zresztą wyrok został już

wykonany.

Jak to wykonany? Bez nas? Tak po prostu? To niesprawiedliwe.

I całkowicie wbrew zasadom.

Przypominam panom, że zasady wojenne tworzone są w zależności od zmieniających się sytuacji. A te są zwykle trudne do przewidzenia, więc i samych zasad nie jesteśmy w stanie raz na zawsze ustalić.

Skandal.

Tak się nie robi.

W najwyższym stopniu nieodpowiedzialne.

Pierwszy raz się spotykam z taką niekompetencją.

Sabotaż, to słowo bardziej tu pasuje.

Przykro mi. Jeśli krytyka chce wyrazić naganę, to musi bezwzględnie starać się zająć dokładnie takie stanowisko, jak działającego, czyli moje. Jak widzę, warto tu rozważyć jeszcze jedną ważną kwestię, a mianowicie, jak dalece krytyka może lub powinna przy ocenie danego wypadku korzystać z własnej, lepszej znajomości sprawy. Te przesłanki jednak, pozwolicie państwo, odrzucam, ponieważ był już czas na składanie dowodów. Zresztą nigdy stan rzeczy, z którego wynika zdarzenie, nie stanie przed oczami krytyki w takiej postaci, w jakiej widniał w oczach działającego. Czyli w moich oczach. Prawda jest taka, że mnóstwo drobnych okoliczności, jakie mogły mieć wpływ na decyzję, zginęło w niepamięci i niejeden motyw subiektywny nie doszedł nigdy do głosu. O tych motywach dowiadujemy się tylko z pamiętników osób działających lub osób bardzo im bliskich, a w takich pamiętnikach traktuje się sprawy w sposób bardzo dowolny i bywa nawet, że opowiada się o nich umyślnie niedokładnie. Czy nie mam racji? Uwadze krytyki uchodzi wiele rzeczy, których działający był

świadkiem. Z drugiej strony, jeszcze trudniej jest krytyce zapomnieć o tym, o czym wie za dużo. Łatwe bywa to tylko w stosunku do okoliczności przypadkowych, to jest takich, które nie tkwią w samych warunkach, ale się do nich dołączyły. Czyż i tu nie mam racji? Natomiast bardzo trudne i bodaj niemożliwe do osiągnięcia są przy wszelkich rzeczach zasadniczych. Widzimy na tym przykładzie, do jakiego stopnia przedmiotowy charakter wojny tworzy z niej rachunek prawdopodobieństwa. Aby uczynić z niej grę, potrzeba już teraz tylko jednego czynnika, którego wojnie z pewnością nie brak. Czynnikiem tym jest przypadek. Czy ktoś z państwa, czy ktoś ze zgromadzonych, ma karty? Zwykłe karty do gry? Co? Nikt nie ma? Nikt nie przynosi kart do teatru? Wiedziałem, że tak może być, więc zawczasu zaopatrzyłem się w talię kart do gry. Dwadzieścia cztery karty, od dziewiątki do asa.

Jeśli pozwolicie, potasuję teraz karty. Proszę przełożyć. Czy znana jest państwu szlachetna gra w karty? Jeśli tak, to zagrajmy.

W co gramy?

W to co zwykle.

Wyższa karta bierze?

I bije słabszą.

A gdy zmierzą się ze sobą dwie jednakowe karty?

Wtedy dokładamy do każdej po jednej nowej karcie.

A gdy także one stoczą swój zacięty bój?

Im także przyda się kolejna karta.

Co rozstrzygnie grę?

Co rozstrzygnie.

A gdy jednak i to nie przyniesie oczekiwanego rozstrzygnięcia?

To rzadkie przypadki, lecz mogą się zdarzyć.

Dokładamy wciąż. Bijemy na wierzchu tę, co leży na spodzie.

Do samego końca?

Do końca samego.

Aż któraś zwycięży?

Aż zwycięży któraś, kończąc naszą grę.

No to... proszę.

A ja tak.

To ja...

A ja...

Ja tak...

No to...

I tak...

To... tak...

Proszę bardzo...

Bardzo proszę...

Jaka piękna gra...

Ekscytująca...

Wystarczy rzucić...

I przebić...

I dołożyć...

I tak...

No to proszę...

Przebijam...

Dokładam...

Biorę...

Dokładam...

Przebijam...

Ja też...

Biorę...

No to tak...

Przebijam...

Dokładam...

Biorę...

No to tak...

Przebijam...

Dokładam...

Biorę...

No to tak...

Chór:

Jednakowoż nie jest rzeczą ani konieczną, ani pożądaną.

By cnotę wojenną dla jej wszystkich części cenić tak, jak dla całości.

Wódz musi się kierować wszak tylko całością, nie zaś poszczególną częścią.

Podług właściwości, którym sprzyja zawsze wojowniczy duch.

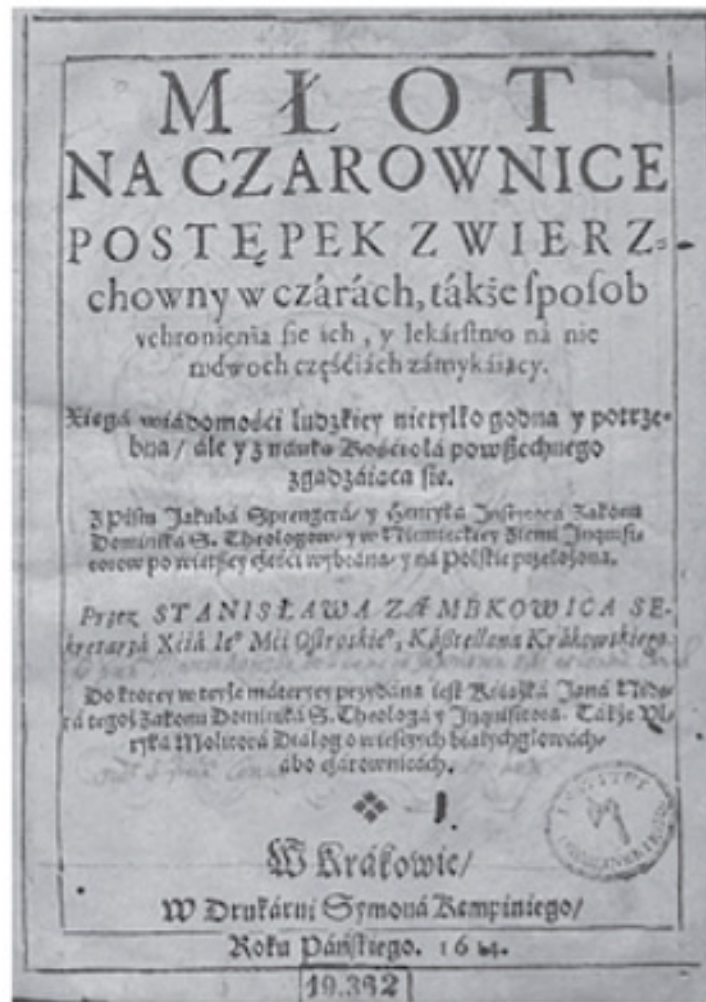
Jednakowoż nie jest rzeczą ani konieczną, ani pożądaną.

By cnotę wojenną dla jej wszystkich części cenić tak, jak dla całości.

Wódz musi się kierować wszak tylko całością, nie zaś poszczególną częścią.

Podług właściwości, którym sprzyja zawsze wojowniczy duch.

(Grają do końca)



II

„Młot na czarownice” („*Malleus maleficarum*”). Fragment dzieła Kramera i Sprengera, tłumaczonego z łaciny przez Stanisława Ząbkowicza, sekretarza księcia Janusza Ostrogskiego, kasztelana krakowskiego. Wydanie z 1614 roku. Drukarnia Szymona Kempiniego w Krakowie (zachowana polszczyzna początku XVII wieku).

ROZDZIAŁ II O ZAWARCIU PAKTU Z CZARTEM

O sposobie przeklętej czarownic profesji, abo wyznaniu. Także o czynieniu

przysięgi szatanowi niektóre objaśnienia.

Sposób przeklętej professiej w czynieniu wyraźnej umowy chowania wiary szatanowi, rozmaity jest ponieważ i same czarownice w czarach swych rozmaicie się obierają. Zaczyn wiedzieć potrzeba, iż jako trojaki są czarownice, to jest: szkodzące, a ratować nie mogące: drugie które ratować mogą, ale z jakiś osobliwej z szatanem umowy nie szkodzą. Trzecie, które i szkodzą, i ratować mogą. Tak między szkodzącymi są jedne najgorsze, wszystkie insze czary, które w inszych potrosze się znajdują spawujące, a są te, które nad skłonność natury ludzkiej, abo raczej wszystkich bydła: niemowiętka, to jest maluchne dziecieczki jeść i pożywać zwykły. Z których sposobu czynienia professiej niżej opisanego łatwo się i inszych domyślić można. I tenci jest najwyższy stopień i najbrzydliwszy w sprawowaniu czar: drugie abowiem są rozmaite, insze szkody przynoszące, to jest, że grady i powietrza szkodliwe z piorunami i błyskawicami poruszają, niepłodność w ludziach i w bydłe sprawują. Niemowiętka których nie pożerają (jako się wysszej opisało) szatanom ofiarują albo też zabijają. Ale to czynią dzieciętom nie krzczonym, te abowiem które pożerają, krzczone bywają, jako się pokaże, i to tylko za Bożym dopuszczeniem. Umieją też dziecieczki blisko wody biegające, w wodę przed oczyma rodziców ich, gdy żaden nie postrzeże wtrącać: konie pod ludźmi wściekłe czynić, z miejsca na miejsce przez powietrze tak rzeczą samą, jako i mniemaniem przebywać. Sędziów i inszych urzędników umysły żeby im nie szkodzili, odmieniać, milczenie sobie, i inszym na mękach będącym sprawować: na tych którzy je imają, strach i drzenie wielkie przepuszczać, rzeczy tajemne inszym objawiać, i niektóre przyszłe rzeczy gruntujące się na sprawach i przyczynach przyrodzonych, za nauką szatanską opowiadać. Rzeczy których nie masz, jako te które są pokazywać: do miłości, abo nienawiści nieporządnej umysły ludzkie pobudzać, piorunem ludzi, abo i bydło zabijać: władzę rodzajną, abo moc do sprawy małżeńskiej odejmować, poronione sprawować. Dziecieczki w żywocie matek ich tylko dotknięciem zwierzchownym zabijać: także też samym pojrzeniem, podczas bez dotknięcia, ludzi i bydło czarami usidlić, i o śmierć przypawić: dziecieczki swoje własne szatanom ofiarować, i wszystkie szkodliwe rzeczy, które insze czarownice po trosze czynią, gdy Pan

Bóg dla grzechów ludzkich dopuszcza, te najwyższym stopniu czarownice będące, sprawować umieją: lecz nie przeciwnym sposobem. W tym się wszakże wszystkie zgadzają, iż brzydkość cielesną z szatany odprawują: przetoż też z sposobu czynienia profesji tych najwyższych czarownic inszych czarownic sposób łatwo może być pojęty. Takowe czarownice były niekiedy przed trzydziestą lat, na granicach Sabaudiej, ku państwu Berneńskiemu, a teraz są na granicach Lombardiej, ku państwu Arcyksięcia Rakuskiego, gdzie Inquisitor Kumański w jednym roku czterdzieści czarownic i jedną, skazał na ogień, który był w roku 1485 i do tego czasu ustawicznie z wielką pilnością urząd ten odprawuje. Sposób tedy czynienia profesji dwojaki jest: jeden jawny i zawołany, barzo podobny ślubowi jawnemu: a drugi szczególny, abo osobny, który osobno szatanowi którykolwiek godziny może być oddany. Jawny i zawołany sposób bywa, gdy czarownice dnia pewnego do kupy się gromadzą, i szatana w postaci ludzkiej widzą, który gdy ich do dotrzymania sobie wiary, obiecując szczęśliwe na świecie powodzenie, i długi żywot, upomina: one czarownice zalecają mu nowicjatkę, to jest, nowo przystającą, prosząc, żeby ją w opiekę swą przyjął. Szatan tedy, jeśli do odstąpienia wiary i nabożeństwa Chrześcijańskiego także też szerokiej niewiasty (ponieważ tak błogosławioną Pannę Maryję nazywają) abo ucznia nowego chętnego, podaje rękę, wzajem też nowy uczeń, abo nowicjatka rękę dawszy, to wszystko zachować obiecuje. Lecz szatan to otrzymawszy, zaraz przydaje, że jeszcze mało na tym: a gdy uczeń coby więcej miał czynić, pyta, szatan przysięgi potrzebuje, któraby to w sobie miała, żeby mu się z duszą, i z ciałem na wieki oddał, i żeby według przemożenia swego ludzi obojej płci do niego pociągał i nawodził. Na koniec przydaje, żeby sobie pewne maści z kości i z członków dziatczek osobliwie krzczonych robili, przez któreby żądzom swoim za pomocą jego dosyć czynić mogli. Tego sposobu my Inquisitorowie (za doświadczeniem) doszlismy w miasteczku Brysaku Biskupstwa Bazyljskiego wzięwszy o nim wiadomość od jednej młodej czarownice, ale po tym nawróconej, której ciotka w Biskupstwie Argentynskim spalona była: ta nam powiedziała sposób, którego ciotka jej naprzód ją zwodząc zażyła, a ten taki był. Dnia pewnego po wschodzie za sobą kazała pójść, i do komory wnieść: Tam gdy obaczyła piętnastu

młodzieńców w zielonych szatach jako więc pospolite Rajtarowie chodzić zwykli rzekła jej ciotka: wybieraj sobie między temi młodzieńcami, a którego sobie upodobasz, dam ci go: a on cię sobie za żonę weźmie. A gdy ona powiedziała, że żadnego nie chce: srodze pobita: po tym zezwoliła. Przydała też i to, że częstokroć barzo daleko w nocy z nią noszona była od Argentynu aż do Kolna. Tać to jest, o której wzmianka w pytaniu abo questiej pierwszej stała się, chcąc pokazać, jeśli czarownice prawdziwie i rzeczysamą od szatanów bywają przenoszone z miejsca na miejsce. A to dla słów Kanonu 6. który uczy: iż tylko mniemaniem się to dzieje, gdyż też podczas prawdziwie i według ciała bywają przenoszone. Pytana abowie jeśliby tylko według mniemania i fantazjey tak jeździły od szatana zamamione. Odpowiedziała, że obojakim sposobem, jakożby i tak jest, co się niżej w opisanu sposobu przenoszenia ich pokaże. Powiedziała też, że się barzo wielkie szkody od bab czarownic przy połogu służących dzieją: gdyż częstokroć dziecięcki abo zabijają, abo szatanom ofiarują. Przydała i to, że ją ciotka jej okrutnie pobiła, dlatego iż garniec jakiś skrycie schowany odkrywszy wielu dziełek głowy w nim znaleźli. I wiele inszych rzeczy powiedziała przysięgę wprzód uczyniwszy, jako prawdziwie wszystko powiada. Tej białejgłowy powieści, strony czynienia professiej świadectwo daje Jan Nider Doktor znaczny czasów naszych (wielą uczonych swoich pism wsławiony) iż niektórzy czarownicy dziatki swoje własne warzyli i jedli. Sposób zaś pojęcia tej nauki był jako powiedział, że czarownicy na pewny czas gromadzili się, i za sprawą swoją szatana także w osobie ludzkiej widali, któremu nowy uczeń koniecznie miał przyrzec o zaprzeciu wiary Chrześcijańskiej.

Drugi przykład tenże przydając. Głośna rzecz była między ludźmi z powieści Piotra sędziego w Botylgen, że w Berneńskiej ziemi trzynaście niemowiątek czarownice zjadły, za czym rząd srodze karał takowych krwie rozlewców. Gdy tedy Piotr pytał niektojej pojmanej czarownice ktorymby sposobem dzieteczki małe jadły odpowiedziała, że takim sposobem: Na niemowiątka nie krzczone osobliwie czyhamy (abo też i krzczone) zwłaszcza krzyżem ś. nie przeżegnane, i modlitwami nie obwarowane (uważ to czytelniku, iż za poduszczeniem szatańskim nawięcej czyhają na niekrzczone dziatki, żeby do krztu nie przychodziły). Te tedy w kolebkach, abo przy boku matek ich

leżące obrzędami naszymi zabijamy: które z grobów potajemnie kradniemy i w kotle warzymy aż gdy kości odpadną wszystko ciało się rozpułynie z gęstszej materii czynimy maść, naszej nauce potrzebną i pojazdom służącą: resztą zaś napełniamy flaszki, albo bukłaczek, z którego gdy się kto napije przydawszy nieco ceremonii, zaraz stawa się uczestnikiem i uczonym w naszej sekcie. Do tegoż służy i ten sposób jaśniejszy i do rozumienia snadniejszy. Młodzieniec abowiem niektóry z żoną swoją czarownicą pojmany do Bernańskiego sadu (i w osobną wieżę od żony swojej wsadzony) rzekł. Gdybym mógł za moje zbrodnie odpuszczenia przed Bogiem dostąpić, wszystko co strony czarów wiem, z chęcią bym odjawił, abowiem widzę, że mi umrzeć przydzie. Gdy tedy od ludzi uczonych przy sobie stojących słyszał, że może odnieść dostateczne odpuszczenie grzechów, jeśliby za nie z serca żałował, usłyszawszy to z chęcią się na śmierć gotował, i sposób pierwszej zarazy objawił. Taki mówi porządek jest, którym i ja zwiedziony jestem. Naprzód potrzeba żeby w dzień Niedzielną pierwszej niż woda święcona będzie, uczeń nowy z mistrzami do kościoła wszedł i tam przed nimi wyrzekł się Chrystusa P. jego wiary, Chrztu i kościoła powszechnego. Póty powinien przysięgę uczynić magisterkowi (tak abowiem szatana a nie inaczej zowią). Gdzie wiedzieć trzeba, iż ten sposób z innymi wyżej opisanymi zgadza się. I nic to nie wadzi, że szatan bacząc sposobność nowego ucznia, którego podobno obecnością swoją jako nowotnego odstraszył dla bojaźni, tedy przez jemu znajome i towarzyszę jego łatwiej go rozumie przywieść do zezwolenia. Dla tegoż go na ten czas magisterkiem nazywają, gdy go obecnie nie masz, żeby ucznia, nie tak bojaśń, dla małego uważenia mistrza zjęła. Na koniec pije z bukłaka namienionego, co uczyniwszy natychmiast poczuje w sobie umiejętność sposobów postępowania w przedniejszych sprawach naszej sekty. Tym sposobem ja jestem zwiedziony, i żona moja, o której wiem że jest tak uporna, że w ogień będzie wolała wnieść, a niżeli cokolwiek prawdziwie powiedzieć. Ale niestetyż oboje winni jesteśmy. Jako powiedział młodzieniec, tak się wszystko pokazało. Abowiem w przód wypowiadawszy się, szedł z wielką skruchą na śmierć. Żona zaś jego na samej męce nie chciała powiedzieć, ani też przy śmierci: i tak gdy stos drzew od kata był nałożony, nałajawszy mu sprośnie, spalona była. Z tych

tedy rzeczy pokaznie sie sposób professiej ich znaczniejszy.

Abowiem według ś. Augustyna siedm jest przyczyn, z których szatani dochodzą, domyślają się przysłych przypadków (których jednak dowodnie nie wiedzą).

Pierwsza przyczyna jest, subtylność ich natury, względem bystrości rozumu.

Wtora dla doświadczenia, dawnością czasów utwierdzonego i objawienia duchów niebieskich więcej wiedzą niżeli my.

Trzecia jest dla żartkości biegu, przetoż wiadomość o rzeczach z wschodu słońca, dziwną prędkością może przybydź na zachód. Czwarta przyczyna, iż tako swoją mocą gdy Pan Bóg dopuszcza mogą choroby przywozić, powietrze zarazić, i głód sprawić, tak też to wszystko mogą wpród opowiedzieć.

Piąta, iż i z znaków mogą subtelniej opowiedzieć śmierć, aniżeli lekarz, patrząc na urynę, abo puls. Abowiem jako lekarz widzi przez znaki w członku chorym niektóre rzeczy, których prosty człowiek nie upatruje: tak i szatan te rzeczy widzi z przyrodzenia, których żaden człowiek baczyć nie może.

Szósta, iż z znaków, które pochodzą z umysłu ludzkiego, dochodzą tych rzeczy, które są abo bydź mają w sercu ludzkim, bystrzej daleko nad człowieka mądrego, wiedzą abowiem jakie duchy z podobieństwa mają nastąpić, a zatym takie sprawy.

Siódma, iż w dziejach Prorockich i pismach, z których wielu przysłych rzeczy rozumienie pochodzi bieglejsi są niż ludzie, przeto z nich wiele przypadków opowiedzieć mogą. Zaczynam dziwować sie nie potrzeba, jeśli kres wieku ludzkiego przyrodzony upatrują. Przypadkowy wszakże wiedzieć nie jest w ich mocy taki bywa przez spalenie, o które się szatan koniecznie stara, gdy jako się powiedziało niechętnie służebnice swoje widzi, obawiając się ich nawrócenia. Te jednak które widzi do posług swoich ochotne, aż do przyrodzonej śmierci, ma w swojej obronie.

Przywiedzmy na obie stronie przykłady od nas znalezione. W Biskupstwie abowiem Bazylijskim we wsi nad Rhenem leżącej, był pleban człowiek uczony, tego wszakże rozumienia, abo raczej błędu, iż czarów nie masz na świecie, ale tylko w mniemaniu ludzkim, którzy takowe sztuki białymgłowom przypisują. Tego plebana z błędu namienionego Pan Bóg

wywiódł. Gdy abowiem przez most jeden śpiesznie dla pewnej sprawy przejść chciał, spotkał nieszczęśliwie jakąś babę, której gdy na most wstępując, żeby wprzód zeszła, ustąpić nie chciał, ale upornie szedł, wtrącił babę w błoto z trafunku, baba rozgniewawszy się, łajac mu uszczypliwie poczęła mówiąc: pamiętaj popie żeć to oddam. Pleban mało co słowa jej uważając, w nocy niżej pasa, gdy z łoża wstać chciał, poczuł się być szarowanym, tak że wozić go musiano, gdy w kościele chciał być, i cierpiało to trzy lata.

Ten czas gdy minął, baba ona zachorzała, którą pleban dla onego łajania miał podejrzaną. Trafiło się tedy iż zachorzawszy posłała po tegoż plebana dla czynienia spowiedzi. Pleban acz upornie rzekł: Niech się przed szatanem swoim mistrzem spowiada, na prośbę wszakże matki swej, kazał się dwiema chłopom pod pachy wzięwszy prowadzić, i przyszedłszy do domu, usiadł w głowach łoża czarownicy, oni dwaj chłopci, przed izbą pod oknem słuchali (na dole abowiem zbudowana była) jeśliby się spowiedała tego, że plebana oczarowała. Stało się tedy, iż choć na spowiedzi żadnej wzmianki o czarach nie czyniła, skończywszy wszakże spowiedź rzekła. Popie wieszli ty kto ciebie oczarował? A pleban łagodnie odpowiadając rzekł: że nie wie: zaczym ona rzekła: Ty masz za podejrzaną (i dobrze) wiedzą bowiem żeć cie szarowała, z tej przyczyny, jako się wyższej powiedziało. A gdy on o uzdrowienie prosił, rzekła: Oto czas mój naznaczony przypada, że muszę umrzeć, ale tak sprawię, iż w krótkim czasie po śmierci mojej będziesz uzdrowiony, co się tak ziściło. Abowiem ona według postanowionego od szatana kresu umarła, po której śmierci we trzydzieści dni pleban nocy jednej do zdrowia przyszedł zupełnie. Podobną rzecz w tymże biskupstwie we wsi Buchel, trafiła się niewiasta jedna pojmana, i po tym spalona, sześć lat z latawcem obcowała, tuż przy boku męża śpiącego na łożu. Po trzykroć w tydzień czyniła w Sobotę, Czwartek i wtorek także w insze nocy chwalebne, która taką przysięgę była szatanowi uczyniła, że po siedmiu latach miała mu i z duszą i z ciałem należeć. Tak wszakże miłościwie Pan Bóg zrządził, abowiem w szóstym roku pojmana i na ogień skazana była, prawdziwą i zupełną spowiedź uczyniwszy, zaczym nadzieja jest, że jej Pan Bóg grzechy odpuścił, ponieważ bardzo chętnie szła na śmierć, powiadając, iż snadź choćby wolna być mogła, umrzeć przecie wolała, żeby jeno mocy szatańskiej uszła”

III

List o. Heinricha Kramera adresowany do pana Sternberka. Datowany na 8 grudnia 1517 roku. Odnaleziony w bibliotece opactwa Montluel 1 stycznia 1518 roku, przekazany Sternberkowi na początku marca tego samego roku:

„Drogi mój. Nigdy się do Pana w ten sposób nie zwracałem. Ostatnie lata połączyły nas jednak więzią, którą zapewne i Pan odczuwa. Gdyby było inaczej, nie przebywałbym na zamku jak jego domownik, a i Pan nie wtajemniczałby mnie w prace Waszego zebrania.

Musi Pan wiedzieć, że całe moje długie życie prowadziłem walkę. Dobrze Pan wie, z kim. Ostatecznie nie czuję się zwycięzcą. Raczej przegranym, gdyż Złego nie da się pokonać. Jest wszędzie, także w każdym z nas. Lęgnie się niczym larwa w zepsutym mięsie.

Ja sam jestem już znużony życiem. Wprawdzie moje siły fizyczne i umysłowe nie zmniejszają się wraz z wiekiem, co poczytuję za Boży dopust, jednak kalendarz odkrywa moją starość. Gdyby nasz Pan dał mi jakiś znak, wiedziałbym, że mój ziemski los dobiega końca. Ciągle na to liczę, choć nie wiem, czy zasłużyłem.

Przeczuwam jednak sam nadchodzący kres. I nie wiem, co mnie czeka potem, jeśli potem istnieje. Już same te wątpliwości kierują mnie na obrzeża, wyłączając z naszej trzody.

Gdybyśmy się mieli już nie spotkać, chcę Ci powiedzieć, że modłę się za Ciebie – młodego jeszcze człowieka – aby Ci była dana pewność. I aby odkryto przed Tobą drzwi poznania.

Ty i Martin, a wrazz Wami spore już stado, wkroczyliście na ścieżkę, z której nie ma odwrotu. Musicie nią dalej podążać, choć nie ma pewności, dokąd prowadzi. Nie ma też innej drogi, aby poznać światło. Nie unikniecie błędów. Nie popełnia ich tylko ten, kto siedzi beczynnienie.

W moim długim życiu podążałem różnymi drogami. Wszystkie prowadziły do poznania naszego Pana. Kimkolwiek jest, jakkolwiek się nazywa.

Pamiętaj, mój drogi, o jednym. Muszą być ofiary, aby świat nie pogrążył się w grzechu i w mroku. Musimy je także składać na ołtarzu własnej pychy i chciwości. Ogień oczyszcza, eliminuje jednostki słabe, ulegające

szatanowi. Zostają ludzie silni i wielcy. Nie wierz nigdy tym, którzy mówią, że szatan nie istnieje. Może przyjść pod postacią, jakiej się w ogóle nie spodziewasz. Widziałem go wiele razy. Rozmawiałem z nim, chociaż nieraz mnie mamił ludzką powierzchownością. Bądź czujny, niech Cię nie zwiodą pozory. Szatan jest najlepszym aktorem, jakiego znam, a jego sztuka polega na nieustannym udawaniu. Martin jeszcze bardzo młody, może ulegać pokusom, ale Ty starszy i bardziej doświadczony, ostateczna walka dopiero przed Wami. Z antychrystem nie da się zwyciężyć, używając jego metod. Jest bystry, z miejsca zauważy fałsz i opresję. Należy go tępić otwarcie. Powinien się bać, wtedy popełnia błędy.

Za każdym razem, gdy paliłem adeptki, odczuwałem współczucie dla ludzkich istnień, ale też satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Najważniejsze jest przekonanie o słuszności wybranej drogi. Ja miałem i mam przekonanie, że innego sposobu nie ma. Trzeba wypalić szatańskie ścierwo, tego ode mnie oczekiwała nasza trzoda. To jej obiecałem, gdy dawno temu rozpoczynałem swoją misję. Ofiary, jak już powiedziałem, są konieczne. Wojna bez ofiar prowadzi na manowce, oznaczałaby naszą słabość, której nie możemy okazać. Nie to jest ważne, że giną jednostki. Ważne to, że giną w słusznej sprawie.

Podzielał Twoje idee, były mi kiedyś obce. Dzięki Tobie zrozumiałem, jak potrzebne jest przygotowanie ścieżki, usunięcie z niej jednostek zakażonych. Tylko idąc po trupach naszych wrogów, osiągniemy cel. On, wydawałoby się, jest już bliski, a jednak odległy. Nie bój się, nie lękaj, bo prawda i sprawiedliwość w ostatecznym rachunku zawsze muszą zwyciężyć.

Nie wiem, jak wiele czasu spędzę jeszcze w tym opactwie. Gdyby jednak przyszło mi tu złożyć swoje kości, obiecaj, że je kiedyś przeniesiesz i pochowasz w swoim zamku, moim domu.

Przesyłam Ci, ku pokrzepieniu, słowa nieżyjącego już dawno opata Anzelma. Słowa, które odnalazłem w klasztornej bibliotece. Są dla mnie jak wyrocznia, niech i dla Ciebie będą.

*Nie mam, o Panie, nic co do mnie należy
Nie mam ni konia, ni stajni, ni wołu*

*Nikt mi nie darował niczego
Z wyjątkiem cierpienia
Codziennego wstawania, mierzenia się z Tobą
Aż po wieczór i nocne moje umieranie
Jak pięknie boli śmierć
Wskrzeszona o poranku świeca
Zapowiedź nowego życia
Gdy zgaśnie, będę wiedział
Będę znał odpowiedź
Jeszcze nie dziś, już nie wczoraj
Nie wypada mi pytać
Muszę czekać
Ja człowiek
Ja nic
Ja cisza.*